

EWA BIAŁOLEĆKA

Tkacz Iluzji

Tkacz Iluzji

Lustro lampy nie odbijało światła tak, jak powinno. Najwyższy czas, by znowu je wypolerować. Podkręciłem knot i pochyliłem się nad preparatem. Zarodek jaszczurki piaskowej, obrzydlistwo. Tyle tylko, że ta babranina da mi materiał do pracy nad nową metodą leczenia porażenia mózgowego. Ciekawe, co powiedzą starsi Kręgu. Czy skierują opracowanie do kopiami? Przednie lustro odbijało maskę wielookiej poczwary. Człowiek mający mikroskop na twarzy wygląda niesamowicie.

Na zewnątrz chaty przeraźliwie beczała koza. Naukowe badania i koza. Bogowie, cóż za zestawienie! Ale tak bywa, gdy człowiek jest magiem zaledwie w klasie Obserwatora. Magiem się nie zostaje, magiem się rodzisz i nigdy nie zdobędziesz niczego więcej niż to, co zostało ci przeznaczone. Chociaż, może właśnie Kamyk...

Nazywam się Płowy. Jestem magiem. Mieszkam w wiejskiej chacie, zarabiam na życie leczeniem nosacizny u koni i kołowacizny u owiec. Nastawiam złamane kości, szczepię przeciwko gruźlicy i sprzedaję „napoje miłości”, w które sam nie wierzę.

Wieśniacy okazują mi szacunek, chociaż nie silę się na tajemniczość jak wielu mego fachu. Żyję jak wszyscy mieszkańcy tej wioski. Zajmuję niewielką, drewnianą chatę, dzieląc ją z trzema kozami i... Kamykiem.

Właśnie wszedł. Od reszty pomieszczenia oddzielała mnie tylko cienka kotara i wyraźnie słyszałem loskot przewróconego stołka, tupanie, zgrzyt pokrywki o brzeg garnka. Niewiarygodne, ile hałasu potrafi zrobić ten chłopiec. Najsmutniejsze, że nie zdaje sobie z tego sprawy.

Szurnęła zasłona, zza mego ramienia wysunęła się ręka Kamyka trzymająca duże, rumiane jabłko. Usunąłem szkła sprzed oczu i wziąłem podarunek. Kamyk uśmiechał się szeroko, pokazując rzędy białych, równych zębów. Co on kombinuje? Jabłko miało właściwy ciężar i zapach. Skórka stawiała opór zębom, a na język spłynął słodko-kwaśny sok. Brakło tylko jednego.

„Dobrze” - kiwnąłem głową i odłożyłem jabłko na stół. Uśmiech Kamyka znikł jak zdmuchnięty. Nie tak łatwo było go oszukać.

„Dlaczego?” - dłonie chłopca zatańczyły, kreśląc w powietrzu ciąg znaków. - „Co było źle? Które elementy?”

Westchnąłem. Krąg dłonią na płask, dotknąć skroni, rozprostować palce.

„Wszystko dobrze. Brak jednego. Nic nie słyszałem.”

„Jabłka też... mówią?” - Twarz Kamyka wyrażała zniechęcenie.

„Tak.”

Owoc zniknął. Chłopiec odszedł zgarbiony. Jabłka nie mówiły, ale jak wytłumaczyć głuchoniememu dziecku, że przy ugryzieniu słyszeć chrupnięcie?

Dziesięć lat temu trafiłem do wsi Strzelce. Nazywała się tak dlatego, że mieszkańcy wyrabiali najlepsze łuki i strzały w całej północnej Lengorchii. Po co magowi łuk? Cóż, przed rozmaitymi obwiesiami chroni nas niewyobrażalny prestiż Kręgu, ale jak każdy śmiertelnik posiadamy ciała łaknące nieraz dziczyzny. W Strzelcach chętnie przyjęto moje usługi. Dach nad głową zapewnił mi Chmura, rymarz posiadający nieliczną rodzinę. Składała się z cichej, zatroskanej żony imieniem Stokrotka i równie cichego dziecka. Życie w Strzelcach toczyło się z niezmienną regularnością następujących po sobie siewów, zbiorów, narodzin, pogrzebów oraz przyjazdów kupców z towarem i po towar. Wieśniacy byli tak samo prości, jak ich imiona. Nic nie wskazywało na to, by którykolwiek osiągnął coś więcej niż jego rodzice i dziadowie.

Synek Chmury często bawił się samotnie na piaszczystym podwórzu. Z początku nie zwróciłem na niego uwagi. Po prostu mały chłopczyk, usypujący kopczyki z piasku. Przypadek sprawił, że pewnego ranka przypatrywałem się jego zabawie. Na pierwszy rzut oka malec męczył kilka żuków. Ale, o dziwo, żuków było to trzy, to siedem... Malowały, rosły... Bogowie piekiel! - zmieniały też kolory! Chłopczyk z zajęciem wrzucał je do dołków, podsuwał patyczki pod gmerające rozpaczliwie łapki, mrużąc przy tym monotonnie.

- Co ty robisz, mały!?” - zapytałem, może trochę zbyt gwałtownie.

Brzdąc, pochłonięty zabawą, nie drgnął nawet. Powtórzyłem pytanie głośniejszym głosem i stuknąłem go w ramię. Malec podskoczył i zamarł, wlepiając we mnie nieprzytomne, brązowe oczy.

- Kto cię tego nauczył?

Kolorowe cudeńka znikły. Dwa zmęczone owady umknęły w chwasty pod płótem. Za sobą usłyszałem głos

Chmury:

- To na nic, panie. Urodziło się toto nierozumne. Pocięchy z niego nijakiej.

Chmura westchnął ciężko i machnąwszy ręką, poszedł do warsztatu.

Uważnie obserwowałem Kamyka. Wypytywałem jego rodziców i odkryłem ponurą prawdę. Dziecko było normalne. Było tylko głuchonieme, ale to małe słówko „tylko” urastało do potwornych rozmiarów. Głuche dziecko z magicznym talentem - straszliwa drwina losu. Kamyk już w tej chwili, samodzielnie, w prosty, co prawda, sposób, potrafił wykorzystać swe

zdolności. Czym stałby się w przyszłości, gdyby nie jego kalectwo? Jak długo jeszcze będzie tolerowanym maluchem? Kiedy stanie się poszturchiwanym wyrostkiem, darmożjadem, popychadłem?

Niebawem opuściłem tę wieś, ale pamięć o cichym dziecku nie zbladła. Wspomnienie o Kamyku tkwiło w niej w postaci wyrzutu sumienia. Są różne kategorie magów. Ja sam wyczuwam myśli i uczucia ludzi. Są także Mówcy odbierający je i przekazujący Wędrowcy - ci znikają w jednym miejscu i pojawiają się w drugim. Długo trzeba by wymieniać. Kamyk przejawiał nieczęsto spotykany talent Tkacza Iluzji. Ale kto podjąłby się nauki głuchego dziecka?

Rok później dotarła do mnie wiadomość z Kręgu: na południu wyżyny Lenn szalała epidemia i każdy mag miał obowiązek pomóc w jej opanowaniu. W ten sposób los znów zaprowadził mnie do Strzelców. Zaraza wygasła, a ja odszedłem stamtąd, prowadząc za rękę chudego chłopczyka o poważnej buzi.

Od tamtej chwili minęło wiele lat. Kamyk zaczynał wyrastać już na młodzieńca. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nigdy nie żałowałem tamtej decyzji, że nie ogarniało mnie zmęczenie i zniechęcenie. Nie zawsze potrafiłem zrozumieć Kamyka, a on nie zawsze był wzorem posłuszeństwa. Nigdy nie zapomnę pierwszych koszmarnych tygodni, gdy porozumienie się w błahych nawet sprawach wydawało się niemożliwe. Jednak wśród wątplenia, łez Kamyka, moich i jego błędów wyrosła wreszcie więź nie do zerwania - on był mój, a ja jego.

Nigdy nie nauczył się mówić. Nie zdawał sobie sprawy z istnienia świata dźwięków. „Mowa”, „hałas” były dla niego pustymi pojęciami. Dlatego też nigdy nie starał się cicho zamykać drzwi, stawiać delikatnie miski, nie trzaskać przedmiotami w naszym gospodarstwie. Na próżno układałem mu usta, kazałem wydychać w określony sposób powietrze, kładłem jego rękę na mojej krtani. Mowa była dla niego drganiem gardła, równie niezrozumiałym jak dygotanie chustki suszącej się na silnym wietrze. „Czytałem” umysł Kamyka i widziałem świat takim, jakim poznawał go ten chłopiec. Świat, gdzie moneta była twarda i kanciasta, lecz nigdy brzęcząca, burza oznaczała błyskawice, a nie gromy.

Święcił za to Kamyk triumfy w tym, co przeniósł przez pierwszą z Bram Istnienia. Potrafił godzinami przesiadywać w pozycji medytacyjnej, nadając coraz bardziej fantastyczne kształty najmnijszemu źdźbłu trawy. W końcu zaczął kształtować nawet powietrze, poddawało się jego woli jak glina palcom garncarza. Marzyłem o tym, by Kamyk stanął do egzaminu w Kręgu. Śniłem o igłach Mistrza Tatuazu, które kreśliły symbol Kręgu i znak „Dłoń” nad lewą piersią Kamyka. Niestety, to były tylko sny. Do pełnego mistrzostwa brakło

mu jednej rzeczy. Jego drzewa poruszane wiatrem nie szumiały, ogniste ptaki były nieme, wielkie, groźne bestie bezgłośnie otwierały pyski. Potrafił stworzyć iluzje wszystkiego prócz dźwięku. Z wiekiem coraz pełniej zdawał sobie sprawę z przepaści, która dzieliła go od reszty ludzi. Czuł się coraz mocniej pokrzywdzony, coraz bardziej zbuntowany. Właśnie ten bunt miał go zaprowadzić dalej niż mógłbym przypuszczać.

Kilka dni po wydarzeniu z jabłkiem napinana latami struna wreszcie pękła. Siedzieliśmy przy stole. Kamyk bazgrał w skupieniu na łupkowej tabliczce, spisując osobiste obserwacje. Usiłowałem zredagować wpis do diariusza, w czym przeszkadzało mi potworne skrzywienie Kamykowego rysika. Już miałem zwrócić chłopcu uwagę, by go sprawdził, gdy Kamyk podniósł głowę znad tabliczki.

„Znacznie łatwiej byłoby narysować po prostu lisa zamiast tych wzorków” - i wskazał palcem na ciągi znaków. Odłożyłem pióro.

„Nie wszystko da się narysować. Sam o tym wiesz. Smutek, zimno, muzyka...” - W momencie, składania rąk do ostatniego znaku zrozumiałem popełniony błąd. „Muzyka” niezmiennie doprowadzała Kamyka do pasji, gdyż w żaden sposób nie potrafiłem mu wyjaśnić, na czym polega. Tak więc, gdy zrobiłem ten fatalny gest, Kamyk wybuchnął. Jego dłonie zaczęły się poruszać z wielką szybkością. Twarz chłopca zastygła w maskę złości.

„Muzyka, co to jest muzyka, znowu coś, gdzie trzeba mieć uszy, ja mam uszy i co z tego, mogą ich nie mieć i będzie to samo!” - szarpnął się za nie, jakby chciał je oderwać od głowy. - „Nigdy nie będę prawdziwym magiem, nie umiem dobrze układać iluzji, lepiej umrzeć i niech piekło...”

Przycisnąłem mu ręce do blatu. Trwaliśmy tak długą chwilę. Wreszcie twarz Kamyka straciła dziki wyraz. Puściłem go. Popatrzył na do połowy zapisaną tabliczkę, wziął rysik i powoli napisał znaki „Grom”, „Pieśń”. Równie powoli jego dłonie ułożyły pytanie:

„Czy naprawdę nigdy nie dowiem się, co one znaczą? Czy ktoś umiałby mnie wyleczyć?”

Co miałem mu odpowiedzieć? Kto potrafiłby odtworzyć zniszczone nerwy słuchowe? Może jeden Buron, legenda i bożyszcze wszystkich magów z kasty Stworzycieli, tyle że nie żył już od kilku wieków. Nikt w obecnych czasach nie ryzykował transformacji „żywego w żywe” na człowieku. A może jednak, choć częściowo? Czy miałem prawo odbierać Kamykowi tę szansę?

„Stworzyciel” - ułożyłem palce w kształty: „Kóło” i „Płomień”.

Wbrew moim obawom Kamyk nie indagował dalej. Wytarł porządnie tabliczkę, odłożył ją na półkę i usiadł przed chatą w pozycji medytacyjnej. Siedział tak przez wiele

godzin, ale nie dostrzegłem, by przed nim pojawiła się choć jedna zjawia. Myślał intensywnie. Budziło to we mnie niepokój i musiałem powstrzymać się przed wejściem w jego umysł.

Rankiem Kamyk stanął przede mną z torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Przeczuwałem to, ale przecież zakłuło mnie w sercu i ujrzałem Kamyka już nie jako chłopca, lecz młodego mężczyznę, wiedzącego, czego chce.

„Wybacz. Muszę odejść” - wytrzepotały dłonie Kamyka.

„Wrócisz?”

„Gdy tylko odnajdę Stworzyciela”.

„A jeśli nie znajdziesz?”

„Znajdę i wrócę” - Kamyk zmarszczył brwi.

No, tak. Jednym z najwyraźniejszych rysów jego charakteru był upór.

Dalem mu na drogę kilka sztuk srebra. Uściskaliśmy się krótko, po męsku. Poszedł. Wyglądało to na oschłe i niewdzięczne pożegnanie, lecz miałem przed sobą myśli Kamyka. Wyraźne jak znaki na karcie księgi. Wiedziałem, jak bardzo żał mu odchodzić, jak ciepłe uczucia żywi do mnie i miejsca, które przez większą część życia było mu domem.

Mijały dni, zmieniały się pory roku. Soczysta zieloność Pagórków odmieniła się z wolna w ugier wyschniętej trawy, gdy Księżniczka Wiosny ustąpiła miejsca Księżnej Lata. Przybywało zapisanych kart w księdze i coraz grubszy stawał się stosik pergaminów gromadzący wiedzę o preparatach biostymulacyjnych.

Brakowało mi Kamyka. Męczyła mnie samotność, przerywana tylko odwiedzinami potrzebujących porady. Codziennie wyglądałem na trakt prowadzący ku Pagórkom i co dzień przeżywałem rozczarowanie. Przypominałem sobie każdy szczegół twarzy Kamyka, gdyż któregoś razu spostrzegłem, że zacierają się w mej pamięci. Spuszczałem powieki i dopasowywałem, jak części mozaiki, wysokie czoło, brwi zarysowane mocną kreską, krótkie, ciemne włosy, które nie potrafiły się zdecydować, czy skrócić się w loki, czy rosnać prosto. Wspominałem szczupłą, kanciastą twarz i osadzone w niej wąskie, wciąż rozbiegane oczy, chcące jak najwięcej dostrzec i zapamiętać.

Odeszło lato, a z nim zbiory owoców i ciepłe dni. Przyszły deszcze. Poziom rzek rósł, a ciemne fale niosły ze sobą żyzny mul - błogosławieństwo lengorchiańskich rolników. Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek zobaczę mego chłopca.

Była już prawie noc, gdy rozległo się stukanie do drzwi. Natychmiast po nim, nie czekając na zaproszenie, wszedł gość. Ociekał deszczem. Mokre ubranie oblepiało go tak, że wydawał się bardzo wysoki i chudy. Przy jego nodze kulił się, równie przemoczony, biały pies.

- Bądź pozdrowiony, gościu - powiedziałem. Przybysz zdjął kaptur. W zwodniczym

światle źle wyregulowanej lampy zobaczyłem...

- Kamyk!!!

Teraz śpi, zmęczony długą podróżą i opowiadaniem o swoich przygodach. Coś mu się śni, bo po podglówku biegają złote jaszczurki, których nie ma w rzeczywistości. Biały pies (czy mogę go tak nazywać?) drzemie na koziej skórze przed paleniskiem. Co jakiś czas otwiera jedno oko i spogląda na mnie.

Spisuję historię podróży Kamyka. Tak, jak ją poznałem. Tak, jak spisałby ją on sam. Och, nie, przyznam się, że wygładzam trochę styl i dodaję własne określenia.

Moje najbardziej wyraźne wspomnienie z dzieciństwa dotyczy pewnego chłodnego dnia, gdy ponury i obrażony na cały świat, siedziałem pod płótem na skraju drogi. Wiejskie dzieci nie dopuściły mnie do jakiejś zabawy i życzyłem im szczerze, by zamieniły się w żaby. Rozpamiętywałem swą krzywdę i strasznie sam siebie żałowałem. Wtedy zobaczyłem tamtą dwójkę. Nadeszli od strony Pagórków. Wizerunek starca zatarł się w mej pamięci. Wiem tylko, że zdawał mi się szalenie wysoki. Podróżny płaszcz targany wiatrem unosił się na jego ramionach jak wielkie skrzydło. Starzec podpierał się długim kijem. Połowę twarzy od czoła do czubka nosa skrywała mu ciemna przepaska. Trzymał rękę na ramieniu dziecka, które go prowadziło. Trudno powiedzieć, czy był to chłopiec, czy dziewczynka. Ja jednak sądzę, że dziewczynka, choć przeczyły temu krótkie włosy. Mała ozdobiła wyszarzały płaszczyk skromną, zieloną tasiemką, a z jej kaptura wyglądała garść polnych kwiatów. Gdy mnie mijali, dziewczynka spojrzała ciekawie i uniosła ręce, by odgarnąć z oczu czarne kosmyki. Długie rękawy osunęły się i... zobaczyłem, że przedramiona tego dziecka kończą się gdzieś w połowie, a dłonie zostały zastąpione drewnianymi pazurkami. Para wędrowców minęła mnie. Dziewczynka podskoczyła jak wesoły królik. Jej ciężkie trepy uniosły kłęb kurzu, który, niesiony wiatrem, zasypał mi oczy. Kiedy je przetałem, starca i dziewczynki nie było już widać. Zniknęli między chatami. Pamiętałem o tamtym dziecku przez długie lata, gdyż było kimś, z kim los obszedł się równie bezwzględnie jak ze mną. Przestałem się nad sobą użalać, a jednocześnie poczułem ulgę. Może powinienem się jej wstydzić.

Po awanturze z tobą, kiedy godzinami siedziałem na podwórzu, prześladował mnie obraz tamtego dziecka. Ziarenka piasku jakby bez mego udziału ułożyły się w wizerunek małej buzi tak, jak ją zapamiętałem. Ciekawy rzut ciemnego oka i uśmiech odsłaniający drobne zęby. I włosy odgarniane ręką... której nie było. Burzyłem układ jednym ruchem, a on odtwarzał się znowu. I jeszcze raz, i na nowo. Oczy starca. Dziecko. Ręce zamienione na

rzeźbione drewno. Uśmiech kalekiej dziewczynki.

Co mogłoby zastąpić moje uszy? Właśnie - jeśli nie wyleczyć, to zastąpić? Czy Stworzyciel da mi odpowiedź?

Dziecięcą twarzyczkę na piasku zastąpił Krąg i Płomień - znak kasty Stworzycieli.

Zrozumiałeś mnie, Płowy, i dlatego pozwoliłeś mi odejść. Jeśli ma się niepełny talent, to jakby było się tylko kawałkiem maga. Na wieczny Krąg! Nie tego chciałem.

Odnalezienie Stworzyciela nie miało być rzeczą łatwą. Przede wszystkim nie wiedziałem, gdzie go szukać. Wiedziałem natomiast, gdzie znajdę wiadomość o nim. W każdym większym mieście stała kamienna wieża, w której żył Mówca - żywa skarbnica wiedzy o całej Lengorchii. Długo wędrowałem zapyłonymi gościńcami. Omijały mnie złe przygody. Chyba wyglądałem zbyt ubogo, by rzezimieszkom chciało się mnie rabować. Kilka srebrnych monet, które mi dałeś, chowałem na czarną godzinę. Wieśniacy nie żalowali jedzenia po obejrzeniu kilku magicznych sztuczek. Wyjmowałem wiewiórki z rękawów, rozmnażałem drobne przedmioty. Prościutkie ćwiczenia, które robiłem już jako kilkulatek. Nie chciałem odsłaniać swoich prawdziwych umiejętności. Wstydzilem się, że były niepełne. A jednak pewnego razu...

To był bogaty dom. Wielki, o wysokich białych ścianach, z rzeźbionymi kolumnami, tarasami i kolorowymi szybami w oknach. Równie bogato prezentowały się pomieszczenia dla służby, do których wszedłem. Ledwie jednak oczarowałem klucznicę bukietem kwiatów wyciągniętym spod jej fartucha, poczułem szarpnięcie za rękę. Dziewczynka, mniejsza i dużo młodsza ode mnie, pociągnęła mnie białymi korytarzami. Biegła, podskakując jak żreback i ledwo za nią nadążałem, objijając się o każdy węgiel. Co chwila odwracała do mnie twarz, a jej usta poruszały się bez przerwy. Wreszcie wciągnęła mnie do przestronnej komnaty, również białej. Rozglądałem się niezbyt przytomnie. Dokoła stały ozdobne, drogie sprzęty, podłogę zasłano kolorowymi dywanami. Do tej pory oglądałem je tylko w warsztatach tkackich - przeznaczone na sprzedaż. Po chwili dostrzegłem w tym natłoku czarnobrodego mężczyznę i kobietę w bardzo pięknej, ale chyba niewygodnej sukni. Dziewczynka pochyłona ku mężczyźnie szeptała, wskazując na mnie ręką. Kiwnął głową, mierzając mnie wzrokiem, jakby chciał zedrzeć nim ze mnie ubranie, skórę i obejrzeć kości. Za jego krzesłem wisiało duże lustro. Odbijał się w nim fragment oparcia i głowy siedzącego, a przede wszystkim bardzo szczupły, wysoki, strasznie zakurzony młodzieniec o nieco dzikim wyrazie twarzy. Zawstydzilem się, gdyż w tym otoczeniu wyglądałem jak drobny złodziejasek lub żebrak. Pan domu znowu skinął głową. Zaczerpnąłem powietrza i rozkazałem kwiatom wyobrażonym na kobiercu wzrosnąć i rozwinąć barwne płatki. Lustro spłynęło ze ściany, zmieniając się w

strumień, nad którym pochylały głowy spragnione sarny. Kobieta otworzyła szeroko usta, szarpnęła naszyjnik, którym dotąd bawiła się od niechcienia. Rzeczne perły posypały się gradem między wizerunki kwiatów, gdzie natychmiast zaczęły je dziobać najbarwniejsze ptaki, jakie tylko umiałem wymyślić. Dziewczynka z radosną miną wyciągnęła ręce ku najbliższej sarnie, więc czym prędzej nadałem obrazowi masę i szorstkość sierści. Czarnobrody z niedowierzaniem nabrał w dłoń wody, o którą zadbałem już wcześniej, by zdawała się mokra. Kolorowe motyle latały między ścianami, siadały na twarzach i rękach, łaskocząc lekko. Dodawałem coraz to nowe elementy do wizji sielskiej łąki. Królika, kiczającego przez trawę. Wiatr, który ochłodził twarze i rozwiął lekki szal pani domu. Zapach wilgotnych roślin. Na moment pojawił się błękitny jednorożec, zatańczył niespokojnie na tylnych kopytach i zniknął w chmurze kwiatnych płatków. Olśniona dziewczynka kręciła się po całej komnacie i ledwo nadażalem podsuwać wrażenie dotyku pod jej ciekawe dłonie. W końcu miałem dość. Czulem, że zaraz pęknie mi głowa. Wizerunki zniekształciły się i znikły. Szukałem ręką na oślep zbawczej ściany, wiedząc, że za chwilę przewrócę się na ten wspaniały dywan i zostawię na nim część podróżnego pyłu. Przytomność przywrócił mi twardy dotyk męskich dłoni. Czarnobrody posadził mnie we własnym krześle. Komnata wyglądała jak przedtem, tyle że wydała mi się mniej wspaniała. Dziewczynka kuciała na podłodze, zbierając w garstkę rozsypane perełki. Szło jej powoli, bo co rusz oglądała się na mnie. Jakby niktąd pojawili się służący. Stał przede mną stół z dziesiątką rozmaitych naczyń. Zapachniało tak smakowicie, że pusty żołądek, o którym usiłowałem zapomnieć od wczorajszego wieczora, zamienił się w oszalałe zwierzę. Przypomniałem sobie jednak, co przekazałeś mi, Płowy, o zachowaniu się przy stole. W pierwszej kolejności sięgnąłem po miskę z wodą do mycia rąk. Pan domu usiłował mówić do mnie, więc zdobyłem się na jeszcze jeden wysiłek i na tle białego obrusa przywołałem symbole: „Ja”, „Słyszeć”, znak przeczenia i jeszcze: „Pismo”. Przypuszczałem, że taki bogacz umie czytać. Umiał. Służąca przyniosła mu woskową tabliczkę i lampę olejową.

To był piękny pokaz, Tkaczu Iluzji - wyskrobał na białym wosku.

Patrzyłem, nie przerywając jedzenia. Mięso, ciasto, jakieś krajanki w kwaśnych i ostrych sosach. Niektóre potrawy jadłem pierwszy raz w życiu. Przyznaję, że były świetne.

Jak ci na imię, Tkaczu Iluzji?

Przywołałem obraz okrucza granitu. Byłem zmęczony, ale wciąż jeszcze zdolny do takich drobiazgów. Brodacz skrobał i skrobał. Wypytywał o mnóstwo rzeczy. Skąd jestem? Czy zdałem już egzamin w Kręgu? Dokąd wędruję? Gdy brakowało mu miejsca, ogrzewał tabliczkę nad lampą, czekał, aż wosk znów zastygnie i skrobał od nowa. Wyciągnął ze mnie

nawet to, że szukam Stworzyciela z powodu mego kalectwa.

Nie przyjąłem propozycji noclegu, chociaż nalegał. Nie chciałem też dłużej odpoczywać. Ten dom był dla mnie zbyt wspaniały. Córka brodacza poprowadziła mnie znowu białymi korytarzami, między drogimi meblami i zasłonami haftowanymi w gryfy. Przy bramie wcisnęła mi coś do ręki. Na pożegnanie przywołałem obraz puszystej wiewiórki, która usiadła małej na ramieniu i umyła sobie pyszczek. Dopiero po drodze obejrzałem podarunek. To była sześciokątna złota moneta. Ten drobiazg mógł mi starczyć na całą podróż. Czyżby ta łąkowa iluzja była aż tyle warta? Sądzę, że nie, ale nie potraktowałem tego jak jałmużny. Po prostu ci ludzie dali mi to, czego nie posiadałem.

Ja też podarowałem im coś, co było dla nich nieosiągalne. Dar, który otrzymałem, przechodząc przez Bramę Istnienia.

Podczas wędrówki, w niektórych osadach spotykałem magów. Wiodły mnie do nich niebieskie wstęgi, zawieszane na żerdziach. Przeważnie byli to Obserwatorzy. Raz napotkałem Strażnika Słów, ale jego kroniki nie przydały mi się na nic. Każdy wrzasał ramionami, czytając me pytanie o Stworzyciela. Wszyscy Stworzyciele to samotnicy z włóczęgowską żyłką we krwi. Czy to kto wie, gdzie się taki obraca?

Wreszcie dotarłem do stolicy. Okazała się miejscem nie dla mnie. Szybko poczułem się znużony ciągłym potrącaniem przez przechodniów. Komu przyszło do głowy zgromadzić w jednym miejscu tylu ludzi? Zaczepiali mnie przekupnie, to znowu obdarci żebracy, mielący bezsensownie ustami. Jaskrawe kolory ścian domów i ubrań męczyły wzrok. Zateśniłem do spokojnych trawiastych *wzgórz i gajów*, gdzie mogłem godzinami obserwować drobne zwierzątka, zaprzątnięte swoimi małymi sprawami. Miasto było za wielkie, za ruchliwe. Natłok wszystkiego, co usiłowałem zanalizować, przyprawiał o ból głowy. Poza tym miasto śmierdziało. Wstrętny odór rynsztoków walczył z mieszaniną zapachów tysiąca kuchni, a wszystko to zaprawione było wszechobecnym odorem niedomytych ciał i podłych pachnideł. Przedzierałem się przez tłok głównych ulic, kurczowo ściskając pod pachą podrózną torbę. Na wieczny Krąg! Trafiłem chyba na dzień targowy, bo niemożliwe, by szaleństwo trwało tu zawsze! W pewnej chwili zagapiłem się na grupkę wyjątkowo kolorowych kobiet. Ubrane były dziwnie. Wydekoltowane tak, że piersi nosiły praktycznie na wierzchu. Spódnice porozcinane z boków aż do bioder, odsłaniały długie nogi. Całości dopełniały niezwykle fryzury - włosy upięte w prawie półmetrowe wieże upstrzone świecidełkami. Dziewczyny uśmiechały się, kusząco uchylając wargi malowane na kształt kwiatów. Wdzięczyły się i

krygowały. Zagapiony, omal nie wpadłem pod lektykę. Od tej chwili bardziej uważałem.

Rażące fasady domów ustąpiły miejsca jasnym murom z piaskowca. Znad krawędzi szorstkich ścian wylaniały się tylko dachy i fragmenty tarasów obwieszonych pnączem o bladych kwiatach. Ta część miasta pachniała inaczej. Było tu też czystiej. A więc za tymi murami żyli zadowoleni ludzie ze swymi pięknymi, obwieszonymi perłami żonami, ładnymi, zdrowymi dziećmi i workami kanciastych, złotych monet. Ruch był coraz mniejszy. Słońce stało w zenicie, nastąpiła pora sjeisty i ulice wyludniły się. Szedłem wciąż dalej i dalej. Mury, ciągle mury. Skręcałem kilkakrotnie, a właściwie nic się nie zmieniało. Stolica była naprawdę ogromna. A może mi się zdawało? Może po prostu kręciłem się w kółko? W lesie z łatwością znajdowałem drogę, dobrze orientowałem się w stronach świata, ale tu kompletnie straciłem poczucie kierunku. Zgubiłem się. Zrozumiałem, że takie chodzenie na chybił trafił nie przyniesie mi nic, prócz zmęczenia. Jak dostrzec wieżę Mówcy w tym labiryncie wysokich ścian? Stałem pod bramą gęsto poprzecinaną żelaznymi listwami. Obojętnie patrzyłem na kołatkę wyobrażającą łeb psa szczerzącego zęby. To przygnębiało. Najwyraźniej goście nie byli mile widziani w tym domu. Południowe słońce błyszczało na wypukłościach kołatki, więc dopiero po chwili dostrzegłem swoją pomyłkę. To wcale nie był pies. Szerokie jak u konia chrapy, duże ślepia przekreślone pionowymi źrenicami, łyżkowate uszy... Do bramy przymocowano mosiężny wizerunek smoczej głowy.

Wziąłem to za dobrą wróżbę. Przecież smoki mają tyle wspólnego z nami, magami. Każdy smok jest jednocześnie Obserwatorem, Mówcą, Stworzycielem i Strażnikiem Słów - przechowującym wiedzę pokoleń. Wybrałem najprostszy sposób wydostania się z płataniny miejskich ulic. Używając żelastwa na bramie jako oparcia dla stóp i palców, zacząłem piąć się w górę. Chociaż jestem zwinny, w każdy ruch wkładałem sporo wysiłku. Omal nie trysnęła mi krew spod paznokci. Po co mieszkańcom była potrzebna tak wysoka brama? Nosili przez nią drabiny na sztorc? Zakończona była u góry kamiennym łukiem i to, że zdołałem go sforsować, uważam za cud. Wyprostowałem się na wąskim zwieńczeniu wrót i osłaniając oczy przed słońcem zacząłem się rozglądać. Widziałem podwórce, płaskie dachy zamienione w tarasy ocienione roślinami kipiącymi z kamiennych mis oraz płóciennymi baldachimami. Fontanny w kształcie smoków (ulubionego tu chyba motywu). Bez sensu zresztą, bo smoki nie cierpią wody. Na każdej ścianie widniały płaskorzeźby i kolorowe malowidła wyobrażające kwiaty, zwierzęta lub rozebrane dziewczyny. Jednego byłem pewien - w tym otoczeniu nie mógł mieszkać Mówca. Drugą stronę zasłaniał taras. Żeby cokolwiek więcej zobaczyć, musiałem wejść wyżej. Przeszedłem po szczycie muru i uważnie balansując ciałem, przelazłem na daszek zwieńczający alkierz. Lecz ledwie na nim się znalazłem, coś

złapało mnie za nogę i szarpnęło gwałtownie. Tylko refleks uratował mnie przed runięciem na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec. To „coś” ciągnęło powoli, lecz stanowczo, i miałem do wyboru spaść albo poddać się. Wybrałem to drugie. Tuż pod daszkiem znajdowało się małe okno. Akurat o rozmiarach, by zmieścić kogoś tak chudego jak ja. Przeciągnięto mnie przez nie jak nić przez igielne ucho. Z obu stron spadły na me ramiona i kark ciężkie ręce. Unieruchomiony przez dwóch wielkich muskularnych mężczyzn, mogłem najwyżej pokiwać palcami. Sądząc po rozwieszonych na ścianach broni, trafiłem do pomieszczenia dla strażników. Dwóch mnie trzymało, trzeci nogą wypchnął na środek izby ławę, podszedł do ściany i zdjął z kołka ciężki korbacz, zwinięty w kilka pętli. Skóra mi ścierpła. Tylko tego brakowało! Zostałem wzięty za złodzieja. Głupcy! Gdybym naprawdę chciał tu coś ukraść, nie zobaczyliby nawet mojego cienia! Ci dwaj już ciągnęli mnie na miejsce kąpieli. Mogłem zrobić tylko jedno, zanim strażnik zdąży uderzyć, i zrobiłem to. Strażnicy, którym więzień po prostu w rękach zmienił się w smoka, odskoczyli jak oparzeni. Ten z batem zresztą tak samo. Byłem tak zdenerwowany, że nie potrafiłem utrzymać iluzji dłużej niż przez chwilę. Już we własnej postaci skoczyłem do drzwi. Szczęśliwie otwierały się na zewnątrz. Kręte schody, następne drzwi, dziedziniec... brama! Zamknięta na ciężkie antaby. Szarpnąłem je, a potem obejrzałem się. Strażnicy byli tuż za mną. Cofnąłem się w narożnik dziedzińca, zdecydowany walczyć. Ku memu zdumieniu żaden z mężczyzn nie próbował już mnie schwytać. Strażnik z batem splunął na kamienne płyty. Zmarszczywszy brwi, mówił coś, wskazując mnie palcem. Podszedł do bramy, dwoma pociągnięciami odsunął zasuwę i uchylił ciężkie skrzydło. Machnął zwiniętym biczem, zachęcając do przejścia. Jeszcze mu nie ufałem. Cofnął się kilka kroków.

Opuściłem niegościnnie progi szybciej niż strzała wypuszczona z łuku i zatrzymałem się dopiero za zakrętem. Zebrałem rozproszone myśli i zrozumiałem, co właściwie uchroniło mnie przed ciężkim pobiciem. Nie smocza iluzja. Coś o wiele większego i prostszego zarazem - ogromny, niewyobrażalny wręcz prestiż Kręgu Magów, obejmujący swym wpływem nawet tak nedorobionego adepta jak ja. W momencie rozpoznania maga strażnicy nie mieli prawa tknąć go choćby palcem. Może, gdyby sprawdzili, że nie mam jeszcze tatuażu, wyszedłbym z tej sytuacji z paroma sińcami. Szczęśliwie obyło się i bez tego. To było gorzkie doświadczenie. Palił mnie wstyd, że tak bezmyślnie wplątałem się w kłopoty. Jednak włazenie na mur miało swoją dobrą stronę. Z dachu alkierza przez króciutką chwilę widziałem coś, co zaprowadziło mnie do Mówcy - niebieskie pasemko na tle rozpalonego nieba.

Człowiek, który bez mrugnięcia okiem przyjmuje pod swój dach brudnego, wymiętoszonego włóczęgę, musi być albo świętym, albo magiem. Mówca był krzepkim staruszkim o zupełnie białych włosach i brodzie. Zrazu myślałem, że pochodzi z północy, gdyż miał niebieskie oczy, ale przeczyły temu rysy przeciętnego Lengorchianina. Mimo pełni lata nosił wełnianą szatę, bo surowy bazalt, z którego zbudowano jego wieżę, zachował jeszcze chłód pory deszczów. Musiałem wyglądać kiepsko. Ledwo mag ujrzał mnie na progu, natychmiast wprowadził do środka, bez żadnego nagabywania.

Na wieczny Krąg! Jak rozkoszna jest ciepła woda, gorące jedzenie i miękkie łóżko, doceni tylko ten, kto był ich pozbawiony przez dłuższy czas.

Mówca „zajrzał” mi do głowy. Siedział naprzeciwko, uśmiechał się i mrużył niebieskie oczy, a ja wyczuwałem jego myśli jak swoje własne. Przekazywał mi zrozumiałe obrazy i uczucia. W zapisie symbolami wygląda to w ten sposób:

„Wiem już, po co przyszedłeś. Z początku miałem kłopoty ze znalezieniem twojego kodu. Myślisz trochę inaczej niż zwykli ludzie.”

„Czy Stworzyciel może sprawić, że będę słyszał i mówił?”

„Nie wiem. Może tak, może nie.”

„Przecież Stworzyciele są najwięksi z nas.”

„Nie są wszechmocni. Odtwarzanie zniszczonych nerwów to nie proste spajanie kości czy leczenie infekcji”.

„Stworzyciele są najpotężniejsi w Kręgu” - upierałem się.

„Są potężni, ale wobec siły natury tak skromni, jak twoje imię, Kamyku.”

„Kamyk pchnięty ze szczytu góry powoduje lawinę.”

Znów się uśmiechnął.

„Jak na głuchoniemego jesteś bardzo pyskawy.”

„Szukam Stworzyciela, a ty, Mówco, możesz mi powiedzieć, gdzie żyje najbliższy.”

„To się ciągle zmienia. Włóczą się po całym cesarstwie.”

Mówca wstał z wyściełanego karła i podszedł do wielkiej mapy Lengorchii, wiszącej na ścianie. Prawie cała pokryta była szpilkami o niebieskich główkach. W centrum poupinane były gęściej, ku brzegom coraz rzadziej, a na jednej z wysp Smoczego Archipelagu tkwiła samotnie tylko jedna.

„To wszystko moi bracia, Mówcy. Zbierają informacje ze swoich rewirów, przekazują najbliższemu sąsiadowi, a on podaje je dalej, dołączając własne. Wiadomości znad granic wędrują kilka godzin.”

„Krótko. A ten na wyspach?”

„To Słony. Zbiera materiały do pracy o smokach.”

„Nie boi się?”

„Smoki nie są złe.”

„Są dobre?”

„Neutralne, a to znaczy, że można się z nimi porozumieć.”

„Czy Stworzyciel...”

„Ty znów to samo. Będziesz miał swojego Stworzyciela za niecałą godzinę.” - tu Mówca wskazał zegar wodny, który spokojnie przeciekał na półce. - „Niedługo pora łączności. Najbliższy Stworzyciel mieszkał w osadzie Grobla, dzień drogi stąd. Będę wiedział już niedługo, czy nie wyniósł się stamtąd od ostatniej pełni”.

Gdy nadeszła pora łączenia umysłów, mag usadowił się na starym miejscu. Zamknął oczy, opuścił głowę na piersi i zdawało się, że śpi. Krople z wodnego zegara spadały jedna za drugą, a Mówca nie poruszał się. Oczywiście, nie przeszkadzałem mu. Czytałem ze smakiem opracowanie anatomii centaury. Studiowałem uważnie ryciny, a w głowie powstawał mi szkic następnej iluzji.

„Głód wiedzy, to jest dobre dla młodego maga.” Nie zauważyłem, kiedy Mówca skończył swój seans. Jedną ręką masował ścierpnięty kark, drugą przecierał oczy i przekazywał mi kolejną myśl:

„Ucz się, czytaj, obserwuj jak najwięcej. Ludzie chcą oglądać dobre, mądre i ciekawe wizerunki. Jesteś żywą księgą, a to duża odpowiedzialność”.

Zmieszałem się. Jakoś do tej pory nie spojrzałem na swój dar z tej strony. Traktowałem go jak, owszem, dobrą i pożyteczną i czasem opłacalną, ale... rozrywkę.

„Stworzyciel jeszcze się nigdzie nie wyniósł, ale może to zrobić w każdej chwili. Ich kasta to wędrownie ptaki. Chodź, pokażę ci na mapie, jak dojść do Grobli. Wyruszysz rano.”

Trafiłem do tej wsi z dziecinną łatwością. Gościńiec prowadził, jakby zrobiono go z myślą o mnie. Grobla rozłożyła się po obu stronach rzeki, na wzgórzach schodzących ku wodzie niby wielkie schody. Domy najbliższe rzece stały na palach, zabezpieczone przed jesiennymi i wiosennymi wylewami. To była duża, kwitnąca osada, z mnóstwem manufaktur i małą świątynią, poświęconą bogom urodzaju. Nic dziwnego, że Stworzyciel postanowił trochę tu pomieszkać. Grobla, z jej tarasowymi polami i sadami, wyglądała jak skrawek Kraju Szczęścia. Nauczony poprzednimi doświadczeniami, wypatrywałem niebieskiej wstęgi nad dachami. Kiedy więc wreszcie ujrzałem skrawek błękitu zwisający bezwładnie w nieruchomym powietrzu, ulga zalała mi duszę jak kojący balsam. Dom Stworzyciela na

pierwszy rzut oka wyglądał zwyczajnie. Na drugi, różnił się od reszty w sposób bardzo charakterystyczny. Drewno i kamienie budowli nie zostały spojone zaprawą, lecz stopiły się w jedno, zmuszone wolą właściciela. Na zagraconym podwórku nie było nikogo. Zajrzał do ogrodu. Chwasty pieniały się tam bujnie, za to r. grządkach pod ścianą chaty równiutkie i zadbane roś rządki ziół. Rozpoznałem kilka leczniczych gatunków i kilka śmiertelnie trujących. Stworzyciel musiał być interesującą postacią. To wrażenie potwierdziło kolejne odkrycie. Oto przy oknach przymocowano autentyczne ludzkie czaszki! Przyjrzałem się jednej z nich. Była pomalowana. Zeskrobałem paznokciami cienką warstewkę i zbliżyłem palec do nosa. Pachniały fosforem. Naprawdę bardzo, bardzo zabawne. Zwłaszcza w nocy. Nad drzwiami chaty w siały, przybite: trochę wyleniały nietoperz, ususzona żmija, naszyjnik z ludzkich żeber i jeszcze jedna czaszka. Stworzyciel bardzo chyba cenił samotność. Uderzyłem dwa razy w drzwi. Nikt się nie pojawił. Walnąłem jeszcze parokrotnie i miałem odejść, gdy drzwi otworzyły się nagle. Blade, rozczochrane widmo z oczami zaczerwienionymi jak u smoka podsunęło mi kułak pod nos, po czym drzwi znów się zamknęły. Może jednak źle trafiłem. W następnej chwili uświadomiłem sobie, że rozchełstana koszula zaniedbanego mężczyzny odsłaniała piersi. Nad lewą widniał wykluty znak Kręgu i Płomienia.

„Może i jesteś wielkim Stworzycielem, ale ja jestem Tkaczem Iluzji i nie pozwolę się traktować w ten sposób” - pomyślałem. Skierowałem się do najbliższego okna, przycisnąłem czoło do szyby i, osłaniając oczy dłońmi, zajrzałem do wnętrza. Stworzyciel siedział przodem do mnie, przy wielkim stole zavalonym księgami i stosami pergaminów. Trzymał w ręku pióro, podpierał policzek dłonią i dumał głęboko. Twarz pokrywał mu kilkuniedniowy zarost.

„Uważaj, nadchodzę” - pomyślałem. Przed Stworzycielem, na pokreślonej karcie pojawiła się wielka, rozdęta, bardzo pryszczata żaba. Brwi maga podjechały do połowy czoła. Dotknął żaby piórem, nie wierząc własnym oczom. Żaba podskoczyła. Nic więcej nie zdążyłem wymyślić. Zobaczyłem wpatrzone we mnie, przekrwione, wściekłe oczy Stworzyciela, a w następnej chwili kolana ugięły się przede mną. Walnąłem brodą w parapet, przeszorowałem twarzą po belkach ściany i skulony, usiłowałem dojść do siebie. Czułem się jakby ktoś potraktował mój umysł niczym worek napchany różnościami - najpierw potrząsnął nim, a potem przewrócił do góry nogami, wysypał wszystko na stos i zamasyście rozgrzebał. To było potworne.

Straszna siła uniosła mnie za włosy i stanąłem nos w nos ze Stworzycielem. Patrzył spode łba, wysunąwszy szczękę. Robił wszystko, by nie być miłym. Wytrzymałem jego zmęczone spojrzenie długą chwilę. Puścił mą czuprynę, w głowie na moment pojawiła mi się wizja uchylonych drzwi. Wszedłem więc do jego sanktuarium. W środku panował nieopisany

nieład. Pod ścianami ciągnęły się długie blaty zastawione setkami butelek, dziwnymi modelami z gliny i patyków, sprzętem do chemicznych doświadczeń, narzędziami, słojami z wypreparowanymi narzędziami i jeszcze tysiącem rzeczy; miałem mgliste pojęcie, do czego służą. Różniło się to bardzo od schludnego wnętrza naszej chaty, a przecież nagle poczułem się jak w domu. Stworzyciel usiadł za stołem, a mnie wskazał miejsce naprzeciwko. Przez chwilę grzebał w stosach notatek, szukając chyba czystej karty, ale żadnej nie znalazł. Wysypał więc piasek do suszenia atramentu na gładki blat i palcem wyrysował znaki. Widziałem je do góry nogami, ale mag, zamiast je *zmazać*, zrobił coś innego. Spłacheć piasku scalił na moment, przekręcił, cały i równy jak nakrochmalona chustka. Pod napisem: *Czego chcesz?* pojawiło się: *Zdziwiony?*

Wzruszyłem ramionami i przywołałem iluzję pisma.

Wiesz już, że jestem głuchy. Chcą, żebyś mnie wyleczył.

Symbole na piasku zmieniły się pod jego spojrzeniem.

Masz pieniądze?

Magowie nie placą magom - odpisałem.

Kąćki jego warg drgały, kiedy patrzył na mnie spod przymkniętych powiek, pocierając zarośniętą brodę. Poczułem nawiązującą się między nami cieniutką nitkę porozumienia. Spostrzegłem też, że Stworzyciel jest młody, nie ma nawet trzydziestu lat.

Czy warto marnować na ciebie energię? Żabę potrafi zrobić każdy.

Skupiłem się. Przed Stworzycielem pojawiła się pomarańcza. Miała odpowiedni kształt, kolor, zapach, fakturę i ciężar. Stworzyciel sprawdził to wszystko i kiwnął głową, ale minę miał pobłażliwą. Uniosłem pomarańczę w powietrze, obrałem ją ze skórki, która spłynęła na stół cieniutką spiralą. Owoc rozdzielił się na cząstki. Mag włożył jedną do ust. Zaczekałem na pierwszy ruch jego szczęk. Stworzyciel skrzywił się okropnie i czym prędzej wypluł na dłoń... kamyk. Zwykły kamyczek, trochę wygładzony. Taki, jaki można znaleźć na dnie każdej rzeczki. W następnej chwili kamień przekształcił się w dwa znaki odlane z ołowiu, pytające: *Zdziwiony?*

Stworzyciel zaczął się śmiać. Trząsł się, giął jak trzcina na wietrze, trzymając za brzuch. Wiedziałem, że wygrałem. Wciąż śmiejąc się, napisał na piasku: *Mały demon*, a potem: *Jestem zmęczony. Przyjdź jutro*. Skinąłem głową na znak zgody i odszedłem. Mniejsza z tym, jak spędziłem noc. W każdym razie niewiele spałem, podniecony bliskim rozwiązaniem swego problemu.

Rano drzwi domu maga zastałem zachęcająco uchylone. Wewnątrz panował mniejszy bałagan niż poprzednio. Stworzyciel miał na sobie czystą, starannie zasznurowaną koszulę i golił się, stojąc pod srebrnym lustrem w fantazyjnych ramach. Zauważyłem, że większość przedmiotów w tym domu, choć porzrzucanych niedbale, wykonano bardzo starannie z drogich materiałów. Czerpak zawieszony na brzegu cebrzyka zrobiono z jednej bryły bursztynu. Kotara zasłaniająca niszę z łóżkiem była przetkana złotą nitką. Naczynia, poustawiane tu i tam, wykonano kunsztownie z porcelany, srebra, a nawet ze złota.

„Zdziwiony?” - tym razem Stworzyciel nawiązał kontakt na sposób Mówców. - „Pomyśl sam, w co ja mam właściwie ładować pieniądze? Mogę mieć, co tylko zechcę, to mój talent, a klienci jeszcze płacą i to sporo. Nie uwierzyłybyś, ilu możnowładców przywozi swoje brzydkie córki, by poprawić im nos albo wyprostować plecy. Podoba ci się coś z tych rzeczy? Weź, co chcesz.”

Nie chciałem. Nie po to tu przyszedłem. W ogóle wolałbym, żeby przestał traktować mnie protekcjonalnie.

„Jadłeś?” - Stworzyciel kończył golenie krótkimi pociągnięciami ostrza. Widział mnie w lustrze, więc przecząco pokręciłem głową. Wytarł twarz ręcznikiem, nabrał wody z cebrzyka i patrzył w czerpak zmarszczywszy czoło. Podał mi go, wypełniony białym płynem. Zapachniało gorącym mlekiem. Trzymałem naczynie w obu rękach, nie mogąc zdecydować się na pierwszy łyk.

„Pij, jest prawdziwe. To jedna z praktycznych stron mojej profesji.”

Było nie tylko prawdziwe. Było bardzo smaczne. Spróbowawszy, nie mogłem się powstrzymać i wypilem wszystko duszkiem. Tymczasem skądś pojawiły się gotowane jajka i placki.

„Czym to przedtem było?” - pomyślałem. Stworzyciel wyszczerzył zęby w uśmiechu. „Lepiej nie wiedzieć. Teraz jest tym, czym jest. Jedz, czekają cię ciężkie godziny.”

Więc miało boleć? Trudno, spodziewałem się tego. Nie bolało, ale nie jestem pewien, czy nie wolałbym bolesnej operacji od psychicznego magla, przez który przepuścił mnie Stworzyciel. Egzamin w Kręgu to w porównaniu z tym błahostka. Pływak (w końcu raczył się przedstawić) kazał mi tworzyć iluzje. Zaczął od łatwych, ale następne były coraz trudniejsze. Przywoływałem przedmioty, rośliny i zwierzęta. Pływak dokładnie sprawdzał ich właściwości.

Kazał mi utrzymywać kilkanaście wizji w pełnym wymiarze. Animować wszystkie naraz i dodawać nowe. Tworzyłem symetryczne bliźniaki, pozorne przekroje, sztuczne źródła światła i fałszywe światłocienie. Stworzyciel gryźł przywołane przeze mnie owoce, każąc mi

zajmować się czterema pajakami plotącymi swe nieprawdziwe sieci, każdą o innym wzorze. Musiałem tkać iluzje za swymi plecami, patrząc w lustro i z zawiązanymi oczami, spoglądając przez płomień świecy...

Dał mi spokój, gdy dostałem gwałtownego krwotoku z nosa. Padłem bezwładnie na ławę, opierając czoło o blat i kryjąc twarz w mokrej chuście, którą podał mi Pływak. Skłamałbym, twierdząc, że pękła mi głowa. Ja już wcale nie miałem głowy. Stworzyciel położył mi chłodną rękę na karku. Krew przestała płynąć równie nagle, jak zaczęła. Poczulem się lepiej. Pływak wziął ćwiartkę pergaminu i napisał: *Zrobiliśmy dobry początek.*

To był dopiero początek? Wyjąłem mu pióro z ręki i nakreśliłem pod spodem: *Po co to wszystko? Znalazł drugie pióro.*

Musiałem znać pułap twoich możliwości. Przyznaję, że jest bardzo wysoki. Podejrzewam, że właśnie dlatego nie słyszysz.

Nie rozumiałem. Co ma talent maga do tego, czy słyszę, czy nie?

Stworzyciel znów umoczył pióro w atramencie. *Kto był największym Tkaczem Iluzji?* Biały Róg ze Wzgórz Iluzyjnych.

Miał bezwładne nogi. Za wielkie talenty płaci się wielkie ceny.

Coś zaczęło mi chodzić po głowie. Zastanawiałem się nad tą myślą, ledwie zauważając, że obgryzam paznokiec. Wreszcie odważyłem się napisać: *Czy myślisz, że mam zdolności zbliżone do tych Białego Rogą?*

Tym razem to Stworzyciel zastanawiał się długo. Wstał, przechadzał się. Zaplatał ręce na karku i pocierał brodę. Na koniec dopisał u dołu stronicy tylko jeden znak: *Większe.*

Opadła mi szczeka. Większe?! Przecież Biały Róg to legenda. Najwybitniejszy Tkacz Iluzji od czasów Rozproszenia. Kroniki Kręgu twierdziły podobno, że utrzymywał przez trzy dni iluzję miasta, które obiegli barbarzyńcy z Północy, gdy tymczasem nadeszły nasze siły i rozbiły wroga w puch. I ja miałbym większe zdolności? Nawet Wzgórz Iluzyjne mają taką, a nie inną nazwę dlatego, że Biały Róg tam się urodził. Przewróciłem kartę na drugą stronę i nabazgrałem, rozmazując atrament:

Jeśli nie nauczę się tworzyć dźwięku, cały mój wielki talent będzie tyle wart, co kurz na wietrze.

Stworzyciel stawiał równe zdania pod spodem.

Zobaczymy, co się da zrobić. Gdyby się udało, świat krzyknąłby z podziwu głośniejsze, niż mogłoby to wytrzymać jego gardło.

Chyba niezupełnie dobrze zrozumiałem ostatni zapis. Znak „Krzyżeć” znałem. Oznaczał szybkie wydychanie powietrza przy jednoczesnym drganiu gardła. Zestawienie go z

symbolem „Podziw” wyglądało głupio.

Stworzyciel przyniósł napełnione wodą pucharki, cały zestaw szklanych buteleczek i miseczkę miodu. Odmierzył po dwie, trzy krople każdej mikstury i wpuszczał je do wody. Na koniec dołał miodu.

„Jest wstrętne w smaku” - tym razem wszedł mi wprost do głowy. - „Wypijemy to obaj.”

„I co?”

„Zobaczysz”.

Upiłem drobną łyżeczkę i skrzywiłem się. Nie, miód niewiele pomógł.

„Do dna, mały” - przekazał Pływak, wytrząsając ostatnie krople na język. - „I najlepiej od razu się połóż. Nieprzywykłych ścina z nóg błyskawicznie.”

Miał rację. Reszta wydawała się snem. Czy sam doszedłem na wskazane posłanie, czy to Stworzyciel mnie tam zawlókł? Nie pamiętam. I może rzeczywiście snem był obnażony do pasa mag, z którego ciała sterczały długie, lśniące igły? Czy wydawało mi się tylko, że całe moje ciało pulsuje, jakby było ogromnym sercem? Miałem płuca wielkie jak jaskinie, a napełnianie ich powietrzem trwało całe godziny. Pływak pochylał się nade mną. Coraz niżej i niżej. Jego oczy ogromniały. Nie było już nic, tylko te oczy, w które wpadłem. Przestrzeń wypełniona światłami ciągnęła się we wszystkich kierunkach. Nie miałem ciała, ale zdawałem sobie sprawę z własnego istnienia i tożsamości. Pływak był ze mną i we mnie. Światła zwinęły się w jeden punkt, a potem rozwinęły w niesamowitą, lśniącą drogę prowadzącą z jednej nieskończoności w drugą. Nieznana siła pchnęła mnie tą drogą z oszałamiającą prędkością. Światła zlewały się w błyszczące smugi, wirowały wokół, aż nagle rozprysnęły się, uderzone potworną mocą. I jeszcze raz, i znowu... Jasność nikła, rozbijana wstrząsami, aż pozostały tylko dwie iskierki, lśniące w ciemnych oczach Pływaka, który klepał mnie po policzkach.

„Ocknij się, mały. Wracaj. Jesteś tu?”

„Jestem. Przestań.”

Podniosłem się. Na twarzy Stworzyciela widniały ślady nakłuć.

„Stymulacja nerwów” - wyjaśnił z roztargnieniem.

„Nie udało się?”

Potrząsnął głową.

„Zajrzałem do twojego organizmu. Obejrzałem sobie mózg. Interesujący. Ośrodek słuchu został całkowicie zajęty przez to, co nazywamy Magiczną Plamą.”

„Mój talent zjadł mi uszy?”

„Dokładnie.”

„Nie możesz nic zrobić?”

Ze złością kopnął stołek.

„Mogę. Mogę próbować grzebać ci w mózgu i przy okazji zmienić cię w roślinę. Wybacz, ale nie będę ryzykował.”

Wstałem i poszedłem do drzwi.

„Dokąd idziesz?”

„Muszę się przejść.”

Poszedłem za dom i waliłem głową o ścianę. W pewien przewrotny sposób przyniosło mi to ulgę.

Pływak był miłym gospodarzem, jeśli poznało się go bliżej, ale szybko go opuściłem. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Wracać do domu? I co dalej? Chciałem się uczyć, rozwijać zdolności tak wysoko ocenione przez Stworzyciela. Niemożność tworzenia iluzji dźwięku była jak mur przegradzający drogę do doskonałości. Przestało mi się spieszyć. Lato kończyło się i właściwie powinienem wracać, by zdążyć przed porą ulew i powodzi. Zamiast tego włóczyłem się to tu, to tam. Zatrzymywałem się po kilka dni w jednym miejscu. Duszę miałem chorą z rozczarowania.

Zachciało mi się powałęsać w okolicy opuszczonych kamieniołomów. Jasne, niebotycznie wysokie ściany, podziurawione starymi wyrobiskami miały w sobie coś tajemniczego i pełnego godności. W ich obliczu czułem się bardzo mały. Były tu, zanim się narodziłem i będą długo po mojej śmierci. Tu niewiele się zmieniało. Usiadłem na skraju gigantycznego kamiennego jaru i rzucałem kamyczkami w przeciwległą ścianę. Wiatr dmuchał mi w tył głowy. Wybierałem kamyki, rzucałem, dolatywały do jasnej ściany i odbijały się od niej. Zamyślony, dopiero po paru minutach zorientowałem się, że podmuchy zrobiły się ciepłe. Nie spodziewając się niczego szczególnego, obejrzałem się... i omal nie spadłem kilkanaście metrów w dół, na dno kamieniołomu. Ciepły wiatr był oddechem monstrualnego stworzenia, czającego się tuż za mną! Ogromny smok rozkładał skrzydła, wyciągał łeb ze ślepiami jak dwie krwawe plamy i potworną liczbą zębów. Instykt podsunął mi najkrótszą i najprostszą drogę ucieczki - w dół, strasznie stromą, wąską ścieżyną, dobrą może dla kóz, ale nie dla ludzi. Przewróciłem się. Strach przygłuszył ból porozbijanych kolan i łokci. Biegłem, ile sił, pewien, że bestia mnie goni. Czułem wciąż na plecach jej oddech. Kamieniołom kończył się ślepym zaułkiem. Wciśnięty weń spojrzałem w oczy śmierci. Smok

zbliżał się leniwym krokiem, wiedząc, że już nigdzie nie umknę. Mimo przerażenia spostrzegłem, że jest piękny. Bielutki niby cukier, z gładkim futrem i błoniastymi skrzydłami, lekko rozłożonymi jak u łabędzia. Był coraz bliżej. Stąpał z gracją kota. Zamknąłem oczy i modliłem się do bogów, by zabił mnie szybko, a nie bawił się właśnie tak, jak kot.

Wtedy stał się cud. Smocze, ja” bez żadnych ceregieli weszło w mój umysł.

„Nie jadam ludzi. Są niesmaczni.”

To był inny niż u Mówców rodzaj kontaktu. Prawie widziałem, jak nasze myśli idą ku sobie po niematerialnym moście i spotykają się pośrodku. Smok odsłonił przede mną swoje wnętrze tak, że i ja mogłem zorientować się w jego myślach i zamiarach. Ogarnęło mnie uczucie ulgi tak wielkie, że osłabłem i musiałem usiąść. Całe wydarzenie było żartem. Według mnie bardzo miernym. Żartem, który się nie udał. Młody, skłonny do psot smok miał zamiar podkraść się do zadumanego chłopca i przestraszyć go. Tymczasem zdzierał sobie gardło, a ofiara nawet nie drgnęła.

„Ale i tak cię nastraszyłem” - myśl białego smoka zabarwiona była satysfakcją.

„Niewielka sztuka” - wytknąłem mu. - „Jesteś dużo większy i silniejszy”.

Był naprawdę duży. Nie jestem pewien, czy dałbym radę osiągnąć jego barków, nawet gdybym stanął na palcach.

„Nadal rosnę” - pochwalił się.

Chciałem wiedzieć, ile ma lat, skoro nadal rósł. Ja też rosłem, a zacząłem piętnasty rok. Polizał łapę, machnął ogonem, zwlekając z odpowiedzią.

„Dopiero osiemdziesiąt” - przyznał się, zawstydzony.

Faktycznie, smarkacz. Skoro smoki żyją paręset lat, a może i dłużej...

„Trochę się włóczę. W domu jest nudno, a ja lubię podrażnić ludzi. Są tacy śmieszni, gdy uciekają na łeb, na szyję.”

Trochę się zezłościłem i postanowiłem dać mu małą lekcję. Tuż nad nim uformowałem wielką kulę lodowatej wody, która w następnej chwili efektownym wodospadem chlusnęła prosto na wymuskanego żartownisia. Wyprysnął w górę, jakby miał sprężyny we wszystkich czterech łapach. Zaczął miotać się na prawo i lewo, a po psychicznym „moście”, wciąż nas łączącym, pędziły wrażenia najwyższego zaskoczenia, obrzydzenia i odrazy. Smok otrząsał się raz po raz. Zdjąłem iluzję. Raptem stwierdził, że znów jest suchy. Obejrzał się podejrzliwie i jeszcze raz otrząsnął. Fala przeszła przez białe futro od głowy aż do koniuszka ogona jak tchnienie wiatru przez łąk zboża.

„To ty!” - jego myśl wybuchła mi w głowie. Sprężył się do skoku. Uniesiony w górę ogon kreślił spirale w powietrzu.

Nagle wyszło mi w gardle. Wargi smoka drżały, uszy przyległy płasko do łba, a źrenice zwężyły się w cienkie kreski. Myśleliśmy do siebie beztrosko i zupełnie zapomniałem, że to jest jednak smok. I że w każdej chwili może zrobić mi krzywdę, powodowany zwykłym kaprysem. Wtem smok podskoczył, przewrócił się na grzbiet i zaczął wymachiwać łapami, całkiem jak rozbawione szczenię.

„Świetny dowcip! Bardzo śmieszny żart! Jak to zrobiłeś?”

Odwrócił się na brzuch, nie wstając wlepił we mnie ślepią. Uszy znów sterczały mu do góry.

„Wiem. Jesteś magiem. Ale myślałem, że magowie są wielcy i groźni.”

Tak, on naprawdę był jeszcze dzieckiem.

„Co jeszcze umiesz zrobić?”

Stworzyłem obraz gołębia, a wtedy łeb smoka błyskawicznie wyprysnął do przodu, szczęki jednym, ledwo zauważalnym ruchem zwały się na iluzyjnym ptaku. Strasznie to mną wstrząsnęło. Nie zdawałem sobie sprawy, jak szybki może być smok. Atak trwał ułamek sekundy. Biały smok poruszył nosem i rozwarł paszczę.

„Nie ma go. Nie zjadłem, a zniknął.”

„Głuptas jesteś. To tylko obraz. Nie można go zjeść”.

Był naprawdę bardzo zainteresowany moim talentem. Dla zabawy przywołałem jego bliźniaka. Fałszywy smok powtarzał każdy ruch prawdziwego. Smoczy szczeniak bawił się znakomicie, pozując przed niby lustrem, toteż zdziwiłem się, gdy nagle porzucił te igraszki. Usiadł, prosto składając skrzydła i wysłał myśl bez żadnych ogródek:

„Ty nie słyszysz. Zauważyłem to od razu.”

Odwrociłem głowę, ale myśli smoka nadal do niej docierały.

„To dla ciebie duży kłopot, prawda?”

„Duży.”

„Jak duży?”

W ten sposób, krok po kroczeniu, wyciągnął ze mnie całą historię. Siedząc tak, spokojnie, z długą szyją wygiętą we wdzięczny łuk, z łapami owiniętymi ogonem, zadając inteligentne pytania, wydał mi się jednak starszy, poważniejszy, zupełnie dorosły. Gdy dowiedział się wszystkiego, zerwał kontakt. Poczuję się, jakby coś mi zabrano. Porozumienie przez psychiczny most było tak proste i przyjemne. Zastanowiłem się, czy po prostu nie odejść. Może znudził się mną. Co ja właściwie wiem o smokach? Wstałem, z przykrością stwierdzając, że ubranie przyszło do skaleczeń. Smok rozmyślał o czymś głęboko.

„Zaczekaj!” - polecenie było tak gwałtowne, że zatrzymało mnie lepiej niż arkan zarzucony na szyję. „Lubię cię. Chcę coś dla ciebie zrobić, coś ci dać.” Podarunek? Co prawda, istnieją plotki o smoczych skarbach, ale sam wiesz, Płowy, ile w nich jest prawdy.

Kiedyś, jako mały chłopczyk, zapadłem się w muł na brzegu rzeki prawie po pas. Kiedy wyciągano mnie z tej pułapki, miałem przez moment wrażenie, że rozciągam się jak mokry rzemień. Głowa i nogi tkwiące w zdradliwej mazi oddalały się od siebie w dziwny, niebezpieczny sposób. Teraz ogarnęło mnie to samo uczucie. Wrażenie, że część mego „ja” jest gdzieś niemilosiernie ciągnięta. Z umysłem napiętym jak struna między ciałem a jakimś nieokreślonym punktem, czułem, że jeśli potrwa to jeszcze chwilę, zwariuję na pewno. Uczucie „rozciągnięcia” ustąpiło wrażeniu „rozdwojenia”. Wpółleżałem, oparty o zimny kamień i czułem dokładnie wszystkie jego kanty, a jednocześnie byłem... Gdzie? Widziałem sam siebie, skądś z wysoka.

„Jesteś we mnie” - dotknęła mnie myśl smoka. - „Widzisz moimi oczami. A teraz uważaj.”

Nie potrafię dokładnie przekazać, co się zdarzyło. Powietrze... drżało... wibrowało i wpadało mi do wnętrza czaszki, gdzie...

Widziałem wciąż swoje ciało. Twarz bladą jak płótno, kurczowo splecione palce. I wciąż to niesamowite odczucie...

„Co to jest?”

„Słyszysz wiatr. Podmuchy obijają się o skalne nawisy.”

Słyszałem wiatr... Niespodziewanie inne drgnienie przeszło mi uszy jak cienka igła.

„Co to?!”

„Jastrząb. Jest gdzieś wysoko.”

Słyszałem uszami smoka! Zaprosił mnie, wciągnął do swego wnętrza, w jakiś niepojęty sposób, nieznanym nawet Stworzycielom. Słyszałem, po raz pierwszy w życiu słyszałem. To był wspaniały dar. Smocze uszy łowiły coraz to nowe odgłosy, a on objaśniał:

„Łopot skrzydeł skalnego gołębia.”

„To była mysz.”

„Tam kamień osunął się ze zbocza.”

„A teraz zaryczę” - uprzedził, choć ja nie miałem pojęcia, co to znaczy. Potężny, przeciągły dźwięk był jak uderzenie na odlew. Ledwo przeminął, w mych płucach, gardle powstał i wybuchł następny. Usłyszałem go, nie tak wspaniały, słaby, ale równie przejmujący. Zupełnie jakbym narodził się powtórnie.

Znowu miałem tylko jedno ciało. Leżałem zwinięty w kłębek, rozdygotany, kryjąc

głowę w ramionach. Otaczała mnie zwykła cisza.

„Musiałem przerwać. Za bardzo to przeżywałeś” - przekazał smok.

„To było wspaniałe. Ale... krótkie.”

„I nie rozwiązuje twego problemu?”

„Nie wiem.”

Wciąż miałem w głowie odgłos ptasich skrzydeł. Wstałem i uformowałem gołębia, każąc mu pofrunąć.

„Całkiem dobrze” - pochwalił smok.

„Udało się?”

„Nieźle, ale to był bardzo chory gołąb. A więc umiesz to robić na pamięć?”

„Najwyraźniej.”

Wtedy biały smok rzucił lekko, jakby mówił o aktualnej pogodzie:

„W takim razie zostanę z tobą jakiś czas, żebyś mógł nauczyć się wszystkiego, co ci jest potrzebne. Niedługo, parę lat, żeby moi rodzice się nie martwili.”

Sądzę, że powinienem zrobić kilka dziwnych rzeczy. Na przykład zemdleć. Zamiast tego zmartwiłem się, że dalsza podróż z takim ogromnym stworzeniem mogłaby być kłopotliwa. Smok przechwycił tę myśl i natychmiast znalazł radę.

„Mam parę wzorców genetycznych. Bawołu, orła... psa.

Nada się chyba? Tylko nie wolno ci patrzeć, jak będę transformował. To brudne zajęcie i trochę krępujące.”

Tak więc smok poszedł zamienić się w psa, a ja czekałem na niego, nie wierząc własnemu szczęściu. Parę lat to znaczyło co najmniej dwa! A przez dwa lata można zrobić naprawdę bardzo dużo!

W tym miejscu Kamyk przerwał, bo zemdlały mu ręce. Zresztą wszystko, co było najważniejsze, zostało przekazane.

Imię smoka-psa przełożone ze smoczej mowy na lengorchiański brzmiało mniej więcej: „Dobry Biały Fruwacz. Unoszący się Wysoko i Zjadający Obłoki Takiej Barwy Jak On Sam”. Kamyk więc skrócił to do Pożeracza Chmur. Wspomagany przez swego niezwyklego towarzysza, mój Tkacz Iluzji nauczył się wszystkiego, czego brakło mu do tej pory. Jestem o tym przekonany. Teraz odkładam już pióro. Mam czas na pisanie. Ta opowieść nie skończy się ani jutro, ani pojutrze. Będę pisał o Kręgu, w którym stanie Kamyk za kilka lat, by poddać się surowej ocenie Mistrzów. O Mistrzu Tatuazu i jego igłach... Czekam na to.

Czekam niecierpliwie, aż świat krzyknie z podziwu głośniej, niż będzie w stanie wytrzymać jego gardło.

Błękit maga

Kropla spadła do miseczki ustawionej na stole obok mego łokcia. Uniosłem głowę. Na suficie pośrodku mokrej plamy wybrzuszała się i rosła następna. Spadła, wzbudzając kręgi na powierzchni wody, w połowie wypełniającej naczynie. Gdy się przejaśni, trzeba wejść na dach i załatać dziurę. Świeca kładła żółtą plamę światła na blacie zarzuconym kartkami, zużytymi piórami, rysikami i miseczkami z tuszem. Odsunąłem pamiętnik od niebezpiecznych rejonów, gdzie groziło mu zachlapanie wodą lub farbą. Gruby tom oprawny w skórę zrobiony był z drogiego papieru, a dodatkowo każdą stronę sygnowano u góry ośmioma znakami: *Kamyk, syn Stokrotki, z ojca Chmury, z domu Obserwatora Płowego*.

To ja. Adept magii. Tkacz Iluzji. Przyjaciel smoka.

Płowy opisał w kronice historię mojej podróży w poszukiwaniu maga z kasty Stworzycieli i spotkania ze smokiem o imieniu Pożeracz Chmur. A ja spisywałem dalsze wydarzenia.

Przeciągnąłem się, splatając palce i wyrzucając ramiona przed siebie. Skóra na prawej dłoni, poznaczona bliznami, zamrowiła. Ślady ciągnęły się dwiema nierównymi krechami na wierzchniej stronie ręki, od nadgarstka aż do stawów serdecznego i małego palca. Podobne szramy, białawe, miałem we wnętrzu dłoni. Kiedy prawie rok temu otrzymałem tę swoistą pamiątkę i ostrzeżenie, był taki sam wieczór jak obecny - wilgotny, zadeszczony i nudny.

Przewróciłem kilkanaście kart pamiętnika i zacząłem odczytywać własne pismo.

Pożeracz Chmur szczerze starał się wywiązać z obietnicy. W drodze do domu niemal cały czas mieliśmy złączone umysły i słyszałem. Napawałem się nowymi doznaniem, zapamiętywałem, ile się dało. Głosy ptaków i zwierząt, szum traw, płynącej wody... Nawet piasek pod stopami gadał. Świat, który do tej pory był kolorem, dotykiem i zapachem, otworzył się szerzej i stał się bogatszy, jeszcze wspanialszy. Jedno mnie rozczarowało. Głuchy od urodzenia, uczyłem się tylko mowy rąk i oto (rzecz śmieszna) lengorchiański - mój ojczysty język - był dla mnie równie zrozumiały jak cmokanie wiewiórki.

Wszystko układało się dobrze, dopóki dopisywała pogoda. Gdy zaczęły się deszcze, a co za tym idzie przymusowe zamknięcie w czterech ścianach, Pożeracz Chmur z dnia na dzień robił się marudniejszy. Teraz w pełni rozumiem, jak nieprzyjemne musiało być dla niego pozostawanie w psiej postaci. Jak nudne „słuchowe” ćwiczenia, którym ja oddawałem

się z pasją. A deszcz, który padał ciągle, zmieniając tylko natężenie - od mżawki do ulewy i odwrotnie - musiał doprowadzać do szału wrażliwego na wilgoć smoka. Kaprysił, narzekał i dokuczał czasem w przykry sposób. Nie tylko ja, ale i cierpliwy Płowy miał go dosyć.

Katastrofa zdarzyła się w środku pory deszczowej. Pamiętam, że był wczesny zmierzch. Płowy ucierał maść na reumatyzm, był na nią wyjątkowy popyt. Ja studiowałem miskę. Nie, nie zwariowałem. Zwyczajne gliniane naczynie inaczej brzmi, gdy uderzyć je otwartą dłonią, inaczej, gdy drewnianą łyżką, bądź poskrobać paznokciami. Życie można by strawić na rozpracowywaniu stołowej zastawy. Pożeracz Chmur znowu użył mi swoich uszu. Straciło to już dla mnie smak niesamowitości. Trochę trudu kosztowało utrzymanie mentalnego kontaktu ze smoczym Ja na takim poziomie, by pozbyć się uczucia przebywania w dwóch miejscach jednocześnie. Pozostawał tylko efekt słyszenia z innego kierunku, na który musiałem brać poprawkę. Odtwarzałem tę piekielną miskę na wszystkie sposoby, a Pożeracz Chmur nudził się śmiertelnie. „Skończ już.”

„Zaraz.”

„Zrób coś ciekawszego...”

„Później.”

„Skończ już...”

„Zaraz.”

I to już było, niestety, za dużo dla Pożeracza Chmur. Zaczął wymyślać mi wściekle i niezwykle obrazowo. Nic dziwnego, że poniosły mnie nerwy. Sięgnąłem do smoczo-psiego ucha i wbilem w nie paznokcie! Wolałbym nie pamiętać, co stało się potem. Dość, że jednocześnie usiłowałem: trzymać grubo owiniętą rękę w górze (tak mniej bolało) i wkładać głowę między kolana (gdyż robiło mi się słabo). Nie bardzo dawało się to pogodzić. Płowy zmywał krew z podłogi, od czasu do czasu zaglądając do kociołka, gdzie gotowały się zagięte jak rybie ości igły chirurgiczne. Pożeracz Chmur rozpląszczył się pod stołem i udawał, że go nie ma.

Całą noc i następny dzień gorączkowałem. Płowy zmuszał mnie do picia okropności, po których większość czasu przespałem. A gdy wreszcie się pozbierałem, Pożeracza Chmur już nie było. Nawet się nie pożegnał. Z Płowego nic nie dało się wyciągnąć, miałem wrażenie, że ułatwił młodemu smokowi decyzję o odejściu. W ten sposób straciłem towarzysza. Przez własną porywczosć... i deszcz.

Aż do wiosny ćwiczyłem z uporem to, co zdołałem opanować z pomocą Pożeracza Chmur. Pierwszego dnia cofania się wylewów - gdy wszyscy mieszkańcy wioski wieszali na ścianach wianki uplecione ze świeżych gałązek, a na stół wjeżdżały ciastka z ostatnich

zapasów zimowej mąki - Płowy podjął decyzję o mej przyszłości. Wcale nie odbyło się to w uroczysty sposób. Pamiętam dokładnie, że Płowy siedział przy stole, tnąc nożykiem giętkie pędy, oblepione pąkami drobnych kwiatków. Splataliśmy z nich małe kółka, a ja wieszałem gotowe na świeżo wybielonych ścianach. Jeden z gwoździ wbity był krzywo i próbowałem wygiąć go do góry. Drgnięcie podłogi odwróciło mą uwagę od kawałka opornego *żelaza*. To Płowy tupnął - jak zawsze, chcąc mnie przywołać. Odłożył nóż i zaczął układać palce w mowie rąk:

„Wylewy kończą się. To już Święto Wiosny. Czas stanąć w Kręgu.”

Nie upuściłem wianka. Odwróciłem się i powiesiłem go na ścianie. Krzywo. Usiadłem naprzeciwko Płowego.

„Niewiele umiem.”

„Wystarczy” - odparł.

„Pożeracz Chmur odszedł za wcześnie!” - Gwałtowność przekazu podkreśliłem uderzeniem palców o przedramię.

Płowy poklepał mnie po ręce, gestem dodającym otuchy.

„W obrazach jesteś świetny, dźwięki to sprawa drugiego rzędu. Poza tym każdy z nas uczy się przez całe życie. Egzamin w Kręgu to tylko pewien etap, nic więcej. Chciałbyś od razu zostać Mistrzem? Nie za wiele sobie wyobrażasz?”

Roześmiał się i pogroził mi żartobliwie, a potem spokojnie zabrał się do zwijania ostatniego wianka.

Zamek Magów leży na południu Lengorchii, na jednej z wysepek rzeki Enite, która między Puszcą Oczu a Wzgórzami Kości tworzy rozgałęzioną i bardzo skomplikowaną deltę. Dlatego też dużą część drogi przebyliśmy z Płowym łodzią. Z daleka siedziba Kręgu nie wydawała się imponująca. Wyglądała jak płytka misa odwrócona do góry dnem, nad którą wystawały niewysokie klocki przykryte dzwonkami do gaszenia świec. Ale w miarę zmniejszania się odległości „miska” przybierała niepokojące rozmiary. Okazała się straszliwie wysokim murem otaczającym kompleks wież o spadzistych dachach. Ściana ciągnęła się w obie strony, zaginając łagodnie gdzieś w nieokreślonym punkcie perspektywy. Droga od przystani wiodła wzdłuż niej i nie mogłem powstrzymać się, by nie ciągnąć ręką po idealnie gładkiej powierzchni. Była pokryta czymś w rodzaju glazury i całkowicie pozbawiona spoin.

„To robota Iskier” - objaśnił Płowy, widząc moją fascynację. - „Po wzniesieniu

konstrukcji z granitu, wytworzyli tak wysoką temperaturę, że stopili powierzchnię skały.”

Otworzyłem usta z podziwu. Nieźle. Wulkan na życzenie. Słusznie magowie z kasty Iskier nosili na piersiach znak „Słońce”.

Wielka brama zamkowa była zamknięta na głucho, ale nieduże drzwi wykrojone w jej skrzydle - uchylone zachęcająco. W przejściu nie było strażnika, tylko na ławeczce pod ścianą siedział staruszek (zapewne odźwierny) i gryzł pestki. Wyglądał niepozornie, więc zdumiało mnie, że Płowy przywitał go, kłaniając się z widocznym szacunkiem. Starzec uśmiechnął się przyjaźnie. Stałem za plecami Płowego i tylko z kilku nieznacznych gestów ręki domyśliłem się, że coś mówi. Odźwierny uśmiechnął się szerzej, a potem przeniósł wzrok na mnie. Wyraz jego twarzy przeszedł płynnie z „Cieszę się, że cię widzę” na „Kogo my tu mamy?” Wykonał zapraszający gest i wrócił do plucia łupinami. Poszliśmy we wskazanym kierunku. Płowy założył ręce na plecy i ukradkiem pokazał mi dwa znaki: „Krağ” i „Żółwia.” Mag z kasty Strażników Słów?

Przekazywano nas sobie z rąk do rąk, łańcuszkową metodą. Od korytarza do korytarza, od schodów do schodów. Przechodziliśmy przez tyle dziedzińców, galerii i ogrodów, że zastanowiłem się, czy nie obchodzimy całego zamku wkoło. Wreszcie dopłynęliśmy do bezpiecznego portu - niewielkiej komnatki, bardzo czystej i bardzo ascetycznie urządzonej. Ledwo zdążyliśmy rozpakować swoje rzeczy, po Płowego przyszedł jego znajomy i zostałem sam. Próbowałem ćwiczyć, ale szybko straciłem do tego ochotę. Postanowiłem obejrzeć okolicę. Drzwi wychodziły na paropoziomą galerię, która otaczała sześciokątną studnię dziedzińczyk niemożliwie wręcz zapchany różami. Krzewy różane mimo dość wczesnej pory kipiały kwiatami. Pędy roślin nie mieszcząc się w wyznaczonym im miejscu, oplatały balustrady, wiły się dokoła kolumnienek, sięgając wyższych pięter zielenią, różem, karminem i ciężką, krwawą purpurą. Spotkania z mistrzami miały się rozpocząć dopiero jutro, ale pośród różanych krzewów kręciło się już kilkunastu chłopców. Z wysokości piętra patrzyłem, jak paru z nich bawiło się w chowanego. Młodziutki Obserwator odnajdywał ukrytych w różach towarzyszy nieomylnie, jak prowadzony niewidzialną nitką. W innym rozpoznałem Wędrowca, gdy zniknął niespodzianie tuż sprzed nosa tropiciela. Dziwna to była zbieranina - chłopak z wybrzeża, o włosach wypłowiałych od słońca i słonego wiatru, obok panicz w ciężkich brokatkach, którego poufale klepał po ramieniu młody łowca w skórzanej kurtce. Parę kroków dalej bawiło się dziecko pod opieką guwernera. Pызaty chłopczyk, na oko sześciolatek, turlał piłkę po ścieżce. Kolorowa kula toczyła się to tu, to tam, za każdym jednak razem wracając do nóg właściciela jak wierny pies. Dzieciak był znudzony. Szurał nogami, wzbijając kurz i brudząc jedwabne pończochy, wrzucał kamyczki do

fontanny, stojącej w centrum rozarium i tęsknie spoglądał na starszych chłopców. Czy i ten malec miał być poddany ocenie? Chodziło raczej o oficjalną kwalifikację do jednej z kast oraz ukierunkowanie zdolności rozpieszczonego dzieciaka.

Zszedłem na dół, pomiędzy rozbuchaną obfitością kwiatów. Od razu zrozumiałem, dlaczego adepci z taką swobodą poruszali się w różanej gęstwinie. Nigdzie nie było ani jednego kolca. Czułem się nieswojo w otoczeniu tylu rówieśników. W domu trzymałem się na uboczu, toteż i tutaj nie dołączyłem do roześmianej, dokazującej grupki. Przysiadłem na obrzeżu fontanny. Rozsiewała migotliwe krople. Czułem wilgoć osiadającą na twarzy. Pod wodnym baldachimem mokła figurka chłopczyka, otaczającego ramieniem długą szyję gęsi. Ptak rozpościerał skrzydła, pulchne dziecko zastygło w dziwnej pozie, odchylone w tył. Nie wiadomo, czy artysta się pomylił, czy też efekt był zamierzony, lecz cała scenka wydawała się raczej walką niż zabawą. Ruchliwy sześciolatek tymczasem usiłował złapać jedną z rybek, pływających w fontannie i już zdążył zamoczyć się powyżej łokci. Guwerner patrzył na to z melancholijną rezygnacją.

Zabawa w chowanego przeniosła się w odleglejsze rejony i koło fontanny zostało tylko czterech chłopaków. Jeden z nich, rostry i barczysty, nosił koszulę w kolorze błękitu magów, z wyszytymi na ramionach ornamentami cechu snycerzy przeplatany znakiem „Oka”. Wydało mi się to bardzo aroganckie. Czyżby był aż tak pewien, że zda? Dwóch następnych nie wyróżniało się niczym szczególnym, ale było w nich coś wielkowiejskiego. Kim byli?

Mówcami? Przewodnikami Snów zaglądającymi w przyszłość? Może któryś z nich był Tkaczem Iluzji jak ja? A może tylko zwykłym Obserwatorem? Czwarty - panicz o długich lokach związanych błękitną (znowu!) taśmą - popisywał się swoimi umiejętnościami. Żonglował kilkoma kulkami. Podrzucane zręcznie, płonęły w powietrzu, a gasły, gdy miały wpaść do oczekującej dłoni. Nie było żadnych wątpliwości - młody Iskra i to bardzo utalentowany. Z talentem czy bez, Iskra miał niedobry charakter. Znudzony żonglerką, zaczął rzucać we mnie, przy aprobacie kolegów. Wyraźnie mnie prowokował. Do czego? Miałem wstać i dać mu w nos? Odsunąłem się.

„Masz się za coś lepszego? Jesteś Stworzycielem, wieśniaku?” - dotarł do mnie przekaz młodego Mówcy.

Następny pocisk płonął i przypalił mi spodnie. Zerwałem się i przeszedłem na drugą stronę fontanny. Iskra nie rezygnował. Uderzenie w ramię, a potem w głowę. Tego było za dużo! Iskra właśnie unosił rękę, szykując się do następnego rzutu. Jednak drwiący uśmiech znikł jak zdmuchnięty, gdy kulka buchnęła niespodzianie płomieniem, który objął całą jego

dłoń. Próbował drugą ręką zdusić płomień, miotał się, przerażony. Trwało to tylko chwilę, potem cofnąłem iluzję. Iskra stał, rozczapierzając palce i trzymając się za przegub. Białe na twarzy jak wapno, patrzył na prawą dłoń, pokrywaną się paskudnie bąblami. Poczułem, że robi mi się to zimno, to znów gorąco. To było niemożliwe! Absolutnie niemożliwe! Miraż nie kaleczą!

Iskra zmiękł w kolanach, oczy uciekły mu w głąb czaszki i zemdłał. Mówca wraz z towarzyszem rzucili się go cucić. Masywny Obserwator w błękicie postąpił krok ku mnie, unosząc zaciśnięte pięści. Wtedy zrobiłem coś, czego będę się wstydził do końca życia. Zamiast próbować pomóc Iskrze lub podjąć walkę jak mężczyzna - stchórzyłem. Odwróciłem się na pięcie i uciekłem.

W pierwszej chwili nie w pełni zdałem sobie sprawę, co się stało. Iskra został poparzony ogniem, którego nie było. Nie mieściło się to w głowie. Czy mój talent krył w sobie pułapki? Jak to możliwe? Drugą myślą było: gdzie jest

Płowy? A natychmiast potem przyszło skojarzenie i aż zemdliło mnie z przerażenia. Kodeks Kręgu! Prawa, które Płowy wbijał mi do głowy, od kiedy nauczyłem się czytać. Od razu na pierwszej stronie, wielkimi literami widniało:

Nie użyjesz swego talentu na szkodę człowieka.

Nie odbierzesz życia ani nie zranisz nikogo.

*Nie udzielisz pomocy mordercy ani temu,
co gwałt zadaje.*

Inaczej talent będzie ci odjęty mocą praw Kręgu

Magów.

Dobrze też znałem historię pewnego Wędrowca, który złamał prawo. Biegły chirurg otworzył mu czaszkę i przeciął delikatne ścieżki rozumu. Pozostawiono biedaka przy życiu tylko po to, by sam je sobie odebrał.

I co ja, nieszczęsny, miałem robić? Przyczaiłem się w jakimś mrocznym kącie i trząsałem ze strachu. Groziło mi coś o wiele gorszego niż rozbicie nosa przez krewkiego Obserwatora. Dzisiaj wydaje mi się to dziecinne, aż wstyd. Powinienem być wtedy zaufać Płowemu. Powinienem jak najszybciej odszukać kogoś ze starszych i zdać się na jego rozsądek oraz łaskę. Czym właściwie różniło się zajście z Iskrą od zwykłej bójkę dwóch smarkaczy? Tylko użytymi środkami.

Ale wtedy tak nie myślałem. Podsmażenie złośliwego paniczyka zdawało mi się

zbrodnią, a przewidywana kara - torturami i śmiercią. Nie chodziło już o to, czy otrzymam certyfikat, w grę wchodził mój największy skarb - talent. Postanowiłem oddalić się z zamku jak najszybciej. Zanim któryś z Obserwatorów namierzy mój sposób myślenia obrazami i znakami i pośle za mną pogoń. Ruszyłem ku bramie drogą, którą niedawno przemierzyłem z Płowym. Szedłem szybko, ale nie biegłem, nie chcąc wydać się podejrzanym. Mijałem krzątającą się służbę. Spotkałem paru magów pogrążonych w rozmowie, a na jednego omal nie wpadłem, gdy wynurzył się, zaczytany w książce z bocznego korytarza. Spojrzał na mnie mało przytomnie, poświęcając tyle uwagi co domowemu psu. Odetchnąłem.

Strażnik Słów przy bramie nie robił mi żadnych trudności, choć zdziwił się, że już wychodzę. Pozdrowiłem go skinieniem głowy i krzywym uśmiechem - szczęki miałem tak zaciśnięte, że aż bolały. Przeszedłem parę kroków znajomym traktem pod murem Iskier, po czym puściłem się kłusem w stronę przystani, skąd właśnie odbijała długa barka.

W ten sposób Kamyk, syn Stokrotki z ojca Chmury, z domu Płowego, stał się Nikim Znikąd. Schowany między pakami na pokładzie, ruszyłem w nieznane, za cały majątek mając wełnianą bluzę i kilka drobiazgów w kieszeniach.

Na barce spędziłem szmat czasu, doprowadziwszy do perfekcji iluzję „niewidzialności”. Polega ona na nałożeniu na własną postać obrazu tła. Trzeba było tylko unikać rozdeptania przez załogę. Po dwóch dniach ćwiczeń byłem w tym tak dobry, że używałem „niewidzialności” nawet w ruchu, bezczelnie kradnąc jedzenie.

Podróż skończyła się w porcie niedaleko wybrzeża oceanu. Załoga barki przerzuciła kładki na brzeg. Na stały ląd zaczęto znosić ciężkie skrzynie, które liczył i opisywał urzędnik. Nie czekałem na koniec rozładunku. Wymknąłem się i ruszyłem w miasto. Widziałem już kiedyś stolicę i uznałem, że jest okropna. Brudna, zatłoczona i pstrokata. Tu było jeszcze gorzej. Port rzeczny jest miejscem szarym, ruchliwym i bardzo konkretnym. Tu się nie żyje dla idei, a po to, by pracować i ubijać interesy. Prym wiodą kupcy, rzemieślnicy, żebracy... i stada kotów, polujących na myszy w nadbrzeżnych składach. Nie spotyka się pachnących słonym wiatrem żeglarzy o muskularnych ramionach tatuowanych w smoki i symbole szczęścia ani długonogich dziewczyn obiecujących rozkosz za marne pieniądze. Nie znajdzie się kolorowych ptaków i mantikor w klatkach ani smukłych okrętów o czarnych burtach i purpurowych żaglach. Czyli nic takiego, co powinno znajdować się w porcie, według książek, które czytałem. Port w delcie śmierdzi rybą i rybakami (co jest niewielką różnicą). Składa się z dużej liczby krętych uliczek zapchanych sklepikami oferującymi głównie świeżą rybę (lub nieświeżą), rybę wędzoną, rybę suszoną, kiszoną i kto wie jeszcze jaką. Poza tym różne różności, od piwa liczonego na beczki do kocich skórek.

Krażyłem po tych zaułkach coraz bardziej rozdrażniony i zniesmaczony. Przypadkiem trafiłem na uliczkę opanowaną przez cech rzeźników i to mnie dobiło. Mięso, co dawało się wyczuć, też miało coś wspólnego z rybą. W dodatku wszyscy masarze patrzyli na mnie wrogo. Jeden pogroził mi toporkiem, drugi rzucił starym gnatem, a trzeci zakasał rękawy i ruszył z zamiarem wygarbowania mi skóry. Zniknąłem stamtąd czym prędzej, przestraszony, a przede wszystkim bezbrzeżnie zdumiony.

Opuściłem zapowietrzone miasteczko, nie pomyślawszy nawet o prowiancie. Nie przełknąłbym zresztą ani kęsa, zapach ryby odebrał mi apetyt. Wybrałem kierunek na chybił trafił, z grubsza na południe i w ten sposób trafiłem do miejsca, gdzie czekała mnie jedna z większych niespodzianek w życiu.

Za miastem ciągnęła się równina z rzadka urozmaicona łagodnymi pagórkami, porośnięta ostrą trawą, rozległymi kępami gęstych zarośli. Pocięta siecią głębszych i płytszych strumieni - krwiobiegiem tej krainy. Zatrzymałem się nad brzegiem jednego z nich. Woda płynęła wąskim korytem, wartka i mętna, gdyż pora deszczów skończyła się niedawno. Usiadłem w miejscu wyglądającym na najmniej wilgotne i zastanawiałem się, jak napić się wody, nie zamulając sobie żołądka.

Nie myślałem o niczym innym. Ani gdzie będę spał tej nocy, ani o długim cieniu Kręgu, sięgającym naprawdę bardzo daleko, ani tym bardziej o domu. Tak jak podczas długiej, żmudnej pracy nie myśli się o jej zakończeniu, tylko o następnym ruchu, a potem o następnym. Nie miałem żadnej przyszłości, tylko tę obecną chwilę, a świat zawęził się do odrobiny wody w zagłębieniu dłoni, słonecznych plam tańczących na powierzchni strumienia i krzewów poruszających się w podmuchach wiatru.

I wtedy, zupełnie nagle... do głowy wpakował mi się nieproszony gość.

„Kamyk! Co ty tu robisz?”

Przekaz mentalny był tak znajomy, że natychmiast odgadłem autora.

„Pożeracz Chmur??!”

Zarośla po przeciwnej stronie zatrzęsy się, ale zamiast znajomej białej psiej mordy spomiędzy zieleni wynurzyła się najpierw para rąk, a potem ciemna, rozczochrana głowa młodego chłopaka. Gapilem się na to zjawisko, mając dziwne uczucie, że rozum mi się miesza. Gdzie jest Pożeracz Chmur? Chłopak uśmiechnął się kpiarsko, jednym kącikiem ust. Miał oczy wąskie jak liście mimozy i szczupłą twarz o wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych. Całkiem po prostu miał moją twarz!!

Zrozumiałem. Pożeracz Chmur we własnej, smoczej postaci składał się z tony mięśni, kłów, pazurów i skrzydeł (oraz dużej ilości białego futra). Przy pierwszym spotkaniu pogonił

mnie jak szczura i omal nie umarłem ze strachu. Gdy transformował w psa (wciąż sporego), prawie odgryzł mi dwa palce. A teraz paradował po świecie w mojej skórze, zadowolony z życia! Nie wiedziałem jak, ale ukradł mi twarz! Krew mnie zalała. Jednym susem przeskoczyłem strumyk i na powitanie rąbnąłem Pożeracza Chmur w jego krzywy uśmiezek. Skotłowaliśmy się razem. Pożeracz Chmur bił się po babsku. Podczas gdy tłukłem go pięściami w twarz i brzuch (z niemalą satysfakcją), on drapał, darł mnie za włosy i usiłował ugryźć w nos. Zdążyłem mu sporo nakłaść, zanim zmienił taktykę. Złapał mnie za ramię i szarpnął tak mocno, że prawie pofrunąłem. Miał mój wzrost i wagę, ale był dużo silniejszy. W ostatniej chwili zdążyłem złapać przeciwnika za włosy i razem zwałiliśmy się do wody. Dla Pożeracza Chmur było to chyba gorsze od kąpieli we wrzącym oleju. Jak każdy smok uznawał, że woda służy do picia, a od mycia można umrzeć. Wyskoczył ze strumyka szybciej, niż tam się znalazł, wdrapując się po stromym brzegu. Chwyciłem go za nogę i z okrucieństwem pociągnąłem z powrotem.

„Jesteś podły. Podły!” - zawył mi gdzieś pod czaszką. - „Co ja ci zrobiłem?”

Siedział na dnie, zanurzony prawie po pierś, unosząc łokcie gestem pełnym obrzydzenia, jak człowiek pograżony w bagnie. Wyciągnąłem z wody prawą rękę i pokazałem blizny.

„Skąd masz moje ciało!?”

„Właśnie stąd” - pokazał nosem. - „Kiedy połknąłem trochę twojej krwi, rozpracowałem wzorzec. Na pamiątkę. I przydało się.”

Ciekawe. Kolekcjonował wzorce genetyczne jak inni muszle albo zasuszone rośliny?

„Wypuścisz mnie wreszcie, czy mam się rozpuścić?!” - przekazał z pretensją.

Wzruszyłem ramionami. Wstał i otrząsnął się jak mokry pies. Ledwo jednak wychyliliśmy głowy nad zarośniętą chwastem skarpe, dojrzałem nagły ruch kilkanaście kroków od nas, na wolnej od zarośli przestrzeni. Wprost znikąd pojawił się na niej mężczyzna w jasnym ubraniu. Rozglądał się, jakby czegoś szukając. Błyskawicznie pociągnąłem Pożeracza Chmur w dół, zamykając mu usta tak mocno, że wyczuwałem jego zęby.

„Wróg?” - pojawiło się w mej głowie krótkie pytanie.

„Nie wróg, ale i nie przyjaciel.”

Pożeracz Chmur rozszerzył kontakt i świat wypełnił mi uszy. Woda pluskała, a całkiem niedaleko chrzęściła sztywna trawa pod stopami. Coraz bliżej. Mężczyznę w jasnym, niezdatnym do podróży stroju mógł być Wędrowiec, dla którego wszystkie odległości na świecie były tylko krokiem przez niewidzialne drzwi. Więc jednak mnie poszukiwano. Dla Obserwatora z Kręgu Mistrzów wyłowić mnie z morza innych umysłów było prostą rzeczą, a

już zupełną zabawką posłać w określone miejsce Wędrowca. Tyle tylko, że mag po dotarciu na brzeg nie znalazł nikogo. Zesztywniały w niewygodnej pozycji, widziałem miękkie pantofle, drepczące niezdecydowanie tuż nad moją głową, ale Wędrowiec ujrzał tylko płynącą wodę i stertę starych gałęzi. Wreszcie nogi Wędrowca zniknęły z towarzyszeniem niezwyklego dźwięku.

„Co to było?” - zdziwiłem się, likwidując miraż i puszczając Pożeracza Chmur, który natychmiast zaczął rozcierać sobie wargi. Momentalnie wycofał się też ze ścisłego kontaktu i znów ogłuchłem.

„Widziałem, jak zniknął. Zostawił dziurę w powietrzu i wszystkie cząstki runęły w nią jak w przepaść.”

Spojrzałem na Pożeracza Chmur spode łba. Ależ z niego kłamczuch. Przecież nie można widzieć powietrza.

Wygrzebaliśmy się na suchy ląd. Ściągnąłem bluzę i starannie ją wyżąłem. Pożeracz Chmur otrzepywał się, jakby wciąż chodził w futrze. Co on właściwie miał na sobie? Wyłącznie koszulę i kuse spodnie do pół łydki, mimo chłodu. Obie rzeczy były imponująco brudne.

„Wróciłem do domu...” - opowiadał Pożeracz Chmur - „... a tam już mieli nowe jajko... i nie wytrzymałem, poleciałem z naszej wyspy z powrotem na kontynent. Mieć rodzeństwo, Kamyku, to fatalna sprawa.”

Zgodziłem się z nim. Zwłaszcza bliźniacze rodzeństwo.

„W psy rzucają tu kamieniami, więc pomyślałem o tej postaci” - ciągnął dalej. - „Okazała się całkiem wygodna. Co prawda, trudno polować z takimi małymi zębami, ale znalazłem miejsce, gdzie leży mnóstwo mięsa, tylko brać.”

Rzeźnicza ulica! Pożeracz Chmur musiał tam sobie całkiem śmiało poczynać. Czerń i plugastwo! Miałem ochotę znów go wykapać, za zrzucanie na cudzą głowę własnych grzechów.

„A ty? Zdaje się, że masz kłopoty. Ten człowiek... mag. Czy chciał cię skrzywdzić?”

Zwlekałem z wyjaśnieniami, udając, że bardzo mnie zajmuje wylewanie wody z butów, ale Pożeracz Chmur tak naciskał, że w końcu wywlókł ze mnie całą żalną historię. Kiedy skończyłem, objął mnie ramieniem, zupełnie ludzkim, współczującym gestem.

„Nie płacz.”

„Nie płaczę” - odparłem ponuro i otarłem nos wierzchem dłoni.

„Ale się narobiło. Przecież tyle razy rozpalaleś ten nieprawdziwy ogień i nic się nie działo.”

Pożeracz Chmur drapał się nerwowo za uchem, myśląc intensywnie.

„Podpal coś. Cokolwiek” - zażądał.

Oberwałem z krzaka suchą gałązkę i kazałem jej zapłonąć. Wszystko wyglądało normalnie. Płomień pożerał z apetytem drewno. Cienka kora zwijała się w żarze i czerniała, gorzki dym zadrapał w gardle, ale gdy znikł ogień, gałązka była nienaruszona.

„Nic.”

„A coś żywego?”

Coś żywego? Nie miałem zamiaru eksperymentować ani na sobie, ani na nim. Wypatrzyliśmy w kępie trawy ropuchę. Jedną z tych paskudniejszych, o rogatym nosie, plującą krwią, gdy ją podrażnić. Rozpaliłem na ropuszym łbie małeńki ogieniek. Poruszyła się nieznacznie, a potem siedziała całkiem spokojnie, ruszając gardłem. Pożeracz Chmur gapił się na nią w skupieniu. Wreszcie miała dość naszego towarzystwa i pokicała pod krzaki.

„Wcale się nie oparzyła. Skoczyła, bo chciała, a nie dlatego, że ją coś bolało. Nawet się nie przestraszyła. Może jest na to za głupia” - skomentował.

Młody smok upierał się, że będzie mi towarzyszył. Ja jednak nie chciałem przebywać z bliźniakiem, który miał typowo zwierzęce odruchy. Takie jak kłapanie zębami na motyle czy oblizywanie łap, to znaczy rąk. Pożeraczowi Chmur bardzo zależało, więc ugiął się w jednym - zmieni wygląd.

To naprawdę niezwykle. Najpierw poruszał wszystkimi mięśniami twarzy po kolei, jakby ich próbując. Potem w dziwny, nie do określenia sposób jego oczy zmieniły kształt, pookrąglały, stały się ciemniejsze, prawie czarne. Włosy rozprostowały się i opadły na czoło gęstą grzywą. Tak było znacznie lepiej. Nadal wyglądał, jak mój krewny, ale przynajmniej nie jak lustrzane odbicie.

Tak więc postanowiliśmy zostać razem. Układało nam się z Pożeraczem Chmur całkiem nieźle. Starłem się tolerować rozmaite jego przywary. Czegóż można wymagać od kogoś, kto większość życia spędził na czterech łapach? On za to pozwolił się umyć - tylko raz, wyjątkowo i ze strasznym poświęceniem. Poza tym starał się jadać osobno. Do końca życia nie zapomnę polowania, jakiego byłem świadkiem. Podkradliśmy się do stadka dzikiego drobiu.

Podczas gdy ja zastanawiałem się, jak złapać powolniejszą sztukę, Pożeracz Chmur rzucił się na największego ptaka i przegryzł mu kark. Rozszarpał nieszczęsne ptaszysko i pożarł na surowo, plując pierzem, umazany krwią jak wilkołak.

Był świetny w wywęszaniu i chwytaniu wszystkiego, co żyło, a nadawało się do zjedzenia. Zawsze znajdował dobre miejsca do spania, a w nocy grzał jak piec. Tak to wałęsając się z mym niezwykłym przyjacielem po lasach, polach i trzcinowiskach, po trochu dziczałem. Przełamawszy się raz, nie miałem już żadnych wyrzutów sumienia, kradnąc owoce i jarzyny z ogrodów. Nie uniosłem się też honorem, gdy Pożeracz Chmur zaproponował mi spożycie nielegalnie zdobytej kaczki. Wychowanek maga, uzdolniony Tkacz Iluzji z ogromnymi aspiracjami, staczał się na dno moralne. Może w końcu i ja, wzorem Pożeracza Chmur, zacząłbym zagryzać króliki, gdyby los nie zaniósł nas na sam brzeg morza, między diuny z ich niepowtarzalnym zapachem nadmorskiej trawy, piasku i soli. Tego dnia, kiedy nastąpił kolejny zwrot w moim życiu, robiliśmy z Pożeraczem Chmur to, co zwykle, czyli nic. Wygrzewaliśmy się w słońcu, leżąc na wydmie. Tej ostatniej, która łagodnym stokiem schodzi ku wodzie, po drodze zmieniając się w plażę. Fale Morza Smoków rozbijały się na niej, robiąc z dużych kanciastych kamieni małe i okrągłe. Uznałem to za rodzaj symbolu. Pożeracz Chmur był w dobrym humorze, więc razem słuchaliśmy, jak fale przyboju wypiętrzają się z hukiem, by potem oblizywać piasek z przeciągłym syczeniem. Nasze myśli i uczucia przeplatały się nawzajem. Krążyły, przeciągały leniwie jak koty. Moje doznania mógłbym opisać jako spokojny zachwyt nad wspaniałością natury. Pożeracz Chmur senny, najedzony i pogodzony ze światem, przesyłał osobisty komunikat, który można zawrzeć w jednym zdaniu: „Tak dużo wody i tak daleko ode mnie...!” Momentami jednak jego myśli odrywały się od przyziemnych spraw i wędrowały w nieznanne mi rejony, w których być może zorientowałby się Stworzyciel, kontrolujący samą materię, albo Wędrowiec zaginający przestrzeń. Wtedy na nowo uświadamiałem sobie, kogo mam u swojego boku - pokrętną smoczą osobowość obleczoną w piętnastoletnie ludzkie ciało. Cóż za tajemniczym stworzeniem był mój towarzysz. Kto i kiedy odkryje wszystkie sekrety jego rasy?

Między odgłos fal i krzyki spiczastodziobych rybołówów wdarły się inne dźwięki. Nie kojarzyły mi się z niczym szczególnym, ale wywoływały niepokój. Smok uniósł głowę, nagle rozbudzony i zirytowany. Ziewnął na całe gardło.

„Awantura. Ktoś kogoś bije.”

Rzucił jeszcze tylko: „Chodź. Na prawo” - i zerwał kontakt. Bardzo nie lubiłem, gdy robił to bez uprzedzenia. Pobiegłem za nim, wybierając drogę na granicy przyboju, tam, gdzie piasek był mokry i zbity. Pożeracz Chmur grzązał po kostki, więc prędko go dogoniłem. Już z daleka widać było grupkę ludzkich postaci szarpiących się ze sobą. Im bliżej, tym lepiej orientowałem się w sytuacji. Dwóch mężczyzn znęcało się nad trzecim, wyraźnie młodszym i zdaje się lepiej ubranym. Parę ciosów Pożeracza Chmur ostudziło ich zapał. Nie wiem, jaka

magia to powodowała, ale mój towarzysz i w ludzkiej postaci zachował część smoczej siły. Właściwie do niczego nie byłem mu potrzebny. Napastnicy oddalili się w pośpiechu, wyrażając tylko pięściami i miotając (niecelnie) garście żwiru. Pomogłem wstać ofierze. Młody człowiek przecierał oczy, plując krwią i piaskiem, spojrzął na mnie przelotnie, powiedział coś, dziękując chyba, a potem rzucił się chwytać papiery, które fruwały dookoła, gnane bryzą. Wraz z Pożeraczem Chmur wodziliśmy za nim zdumionymi oczyma. A było się czemu dziwić. Jego długie do ramion, potargane włosy płonęły jaskrawą barwą pomarańczy, jakby zamoczone w farbie. Jedna z kartek zawędrowała aż na wierzchołek wydmy i najwyraźniej wybierała się dalej. Wdrapałem się za nią i złapałem niesforny papier. To był rysunek. A właściwie malunek. Chociaż wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, co to było. Spory kawałek papieru pokrywały kolorowe plamy, jakby zostawiło je po sobie dziecko. Obróciłem to parę razy. Oddaliłem kartę na wyciągnięcie ramienia i wtedy stał się jeden z tych cudów, które wspomina się po latach ze ściśniętym wzruszeniem gardłem. Tak jakbym był ślepy, a potem przejrzał, kolorowe plamy ułożyły się w piękną całość. To był brzeg morza, malowany ugiem i zielenią, błękitną bielą grzywaczy. Siwy pasek horyzontu ledwie majaczył, zaznaczony muśnięciem. Szaroniebieski kształt mógł być karłowatym krzaczkiem. Parę smużek dziwnej, nieostrej zieleni symbolizowało trawę wydmową. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego obrazu. Ryciny w książkach były czarno-białymi układami kresek, a kontury kolorowych malunków wyznaczały wyraźne, ciemne linie. Tutaj barwa przechodziła w barwę bez określonej granicy. Swobodna i lekka. Było coś z magii w tym sposobie ukazywania świata.

Puknięcie w łokieć wyrwało mnie z zadumy. Tuż obok rozkwitła ruda głowa. Spod miedzianych brwi spoglądały okrągłe jak guziki oczy koloru stali. Przedzielał je śmieszny, spiczasty nos, a całości dopełniały szerokie usta. Twarz pod tytułem: Przybysz z Dalekiej, Zimnej Północy. Rudzielec uśmiechnął się niewyraźnie (warga mu puchła i wciąż jeszcze trochę krwawiła), a potem ułożył palce w znaki:

„Podoba ci się?”

Niezwykły malarz nazywał się Moneta. Nawet pasowało to do niego, gdyż błyszczał jak wypolerowany miedziak. Był sporo starszy. Wyglądał na osiemnaście, może nawet dziewiętnaście lat. Nie był głuchy, jak z początku myślałem, ale znał mowę rąk i dobrze nią władał. Tam, gdzie mieszkał z ojcem, żyło co najmniej kilku podobnych do ranie - odciętych od świata ścianą ciszy.

Stanowiliśmy z Pożeraczem Chmur dziwną parkę, ale dla Monety było rzeczą naturalną zaproszenie wybawców na ciepły posiłek i przyzwoity nocleg. Rozmawiał z Pożeraczem Chmur, a jednocześnie „palcował”, abym i ja mógł rozumieć, o co chodzi. Co chwila gubił kasetę z farbami, mylił krok, potrząsał miedzianą grzywą, szukając odpowiedniego określenia - znaku. Miał w sobie tyle wdzięku nerwowego kuca, bezpośredniości i zwyczajnego dobrego wychowania, że niemal zapominało się, że z urodzenia jest barbarzyńcą.

Do miejsca, zwanego przez Monetę (nie wiadomo czemu) Domem Innych Ludzi, było stosunkowo niedaleko. Godzina marszu plażą, a potem tyle samo pomiędzy pagórkami porośniętymi niskim lasem. Nie był to, wbrew oczekiwaniom, jeden dom, ale nie można też było nazwać wsią tych niewielu budynków rozrzuconych na ograniczonej przestrzeni, tonących w kwiatach i miłych dla oka ozdobach. Od razu stwierdziłem, że jest w nich coś dziwnego, choć nie umiałem określić co. Zbyt ubogie na letnią rezydencję dostojnika, nie wyglądały też na zabudowania gospodarskie. Zastanawiający był całkowity brak jakichkolwiek ogrodzeń, bo nie można było traktować poważnie darniowego wału, otaczającego posiadłość. Sięgał kolan i nie zatrzymałby nawet zdecydowanego królika, a co dopiero złoczyńcę?

Moneta poprowadził nas między zabudowaniami. Mijaliśmy bawiące się dzieci i dorosłych zajętych różnymi pracami. Po drodze musieliśmy przejść nad nisko rozciągniętym sznurem. Rozejrzałem się. Jeden koniec linki przywiązany był do słupka podpierającego szeroki okap dachu, drugi otaczał talię małego chłopca. Dziecko stało chwilę nieruchomo, trzymając sznur w ręku, a potem zaczęło zwijać go sprawnie, zbliżając się do domu. Zapatrzony, wpadłem Monecie na plecy. Wyczuł moje zdumienie, gdyż objaśnił:

- „On nie widzi. Jest tu nowy i potrzebuje...” - tu zawahał się.

„Zabezpieczenie?” - pokazałem pięść przykrytą dłonią i gest przygarnięcia.

Moneta powtórzył znak, jakby chciał go zapamiętać.

Przed ostatnim domem mył się mężczyzna. Pochylony nad miską, chlapał dokoła. Niewątpliwie był to ojciec Monety, identycznie rudy jak syn. Gdy się wyprostował, szeroko otworzyłem oczy ze zdumienia. To, co wziąłem w pierwszym momencie za wzorzystą część ubrania, było rozległym i niezwykle skomplikowanym tatuażem, pokrywającym cały tors oraz szerokie ramiona właściciela. Zafascynowany tym widokiem, ledwie zwróciłem uwagę, że mężczyzna ogląda pokiereszowaną twarz syna, a następnie rozmawia z Pożeraczem Chmur. Rysunki na skórze były wykłute z cudowną precyzją. Z lewego barku ku piersiom wyciągały się błękitno-czarne macki ośmiornicy. Na brzuchu igrały wieloryby i delfiny

dookoła czarnej galery z purpurowym żaglem. Rękę oplatały węże morskie, łapiące się za ogony. Oczywiście, były żeglarz, który osiadł na mieliźnie w tym przyjemnym miejscu. Dlaczego wybrał Lengorchię zamiast rodzinnych stron, Wysłannik Losu raczy wiedzieć. Może był kiedyś korsarzem, a może zatrzymała go tutaj miłość, której owocem jest Moneta?

Zadowolili mnie te proste przypuszczenia, tym większym wstrząsem było odkrycie, przed kim naprawdę stoję.

„Wybacz zwłokę. Ty jesteś Kamyk. Mnie nazywają Miedziany” - układał znaki wolniej niż Moneta, lecz nie mylił się i nie zaczynał na bardziej skomplikowanych.

„Straciłeś dom? Rodzinę?”

Potwierdziłem. Ostatecznie była to prawda. Zostałem sierotą w czasie wielkiej zarazy, która zabrała prawie piątą część mieszkańców cesarstwa.

„Nie masz pracy” - Miedziany obrzucił szybkim spojrzeniem moje ubranie, które ostatnio dużo przeszło. Pozostało tylko pokazać: „Nie!”

„Co umiesz?” - Miedziany był bardzo konkretny.

Obserwowałem jego ręce, ale wzrok sam uciekał do barwnych wizerunków na skórze. I właśnie w tym momencie dostrzegłem coś, co przedtem umknęło mej uwagi. Macki ośmiornicy były częściowo zatarte. Ktoś usunął barwnik i w dyskretny sposób włączył do kompozycji inny element - czarne kółko, nie większe niż odcisk małego kubka, z umieszczonym pośrodku znakiem „Okręt”. Zamknąłem oczy. Czy kiedykolwiek dopadło cię uczucie, że robisz się wąski, coraz cieńszy? Jak kołek do podpierania roślin lub ostrze, i że zanurzasz się w ziemi z głową? To właśnie czułem przez chwilę i pożałowałem, że nie okazało się prawdą, gdy znów podniosłem powieki i, niestety, nadal stałem pod baczным spojrzeniem niebieskich oczu maga. W dodatku nielengorchiańskiego maga!

Opanowałem się jakoś.

„Umiem czytać i pisać. Także różne prace w gospodarstwie. Wychowałem się na wsi.”

To na razie zadowolilo Miedzianego. Odesłał nas do kuchni w towarzystwie Monety. Gdy tylko zeszliśmy z oczu maga, natychmiast zasypałem rudego wymówkami, dlaczego nie uprzedził o profesji ojca!?

„Zapomniałem” - pokazał tylko, a minę miał tak niewinną, że nie wiedziałem, czy dać mu kuksańca, czy się śmiać.

Pożeracz Chmur bawił się znakomicie. Trafiliśmy w ciekawe miejsce, czekał nas posiłek, którego nie trzeba było gonić. Właściwie i ja nie miałem powodów do narzekania. Niepokoiła mnie tylko obecność Miedzianego. Na szczęście znak „Okręt” świadczył, że

należy do kasty Wiatromistrzów. Jego talent nie pozwalał na czytanie w myślach, więc byłem w miarę bezpieczny. Magia Wiatromistrzów sprawiała, że byli najczulszymi w świecie instrumentami do przepowiadania pogody. A ci najpotężniejsi ponoć nawet umieli ją do pewnego stopnia kształtować.

Nie był to jednak koniec dnia dziwów. Dawno minęło południe, a pora wieczery miała dopiero nadejść, więc w kuchni zastaliśmy tylko samotną dziewczynę, pracującą przy długim stole. Była odwrócona plecami, lecz gdy nas usłyszała, obróciła twarz. Dmuchiła w czarną grzywkę, która wchodziła jej do oczu, a gdy nie pomogło, odgarnęła włosy ramieniem... i wtedy jak błysk nadeszło wspomnienie podobnego wydarzenia, identycznego gestu, który widziałem sześć czy siedem lat temu. Tamto ramię należało do małej dziewczynki i kończyło się drewnianą „łapką” przywiązaną do kikuta. I ta ręka nie miała dłoni. Z szerokiej, metalowej obręczy obejmującej przedramię wystawał ostry haczyk. Moje oczy same powędrowały ku drugiej ręce dziewczyny. Identyczna bransoleta kończyła się ostrzem noża.

Prawdopodobnie dostałem coś do jedzenia. Prawdopodobnie to zjadłem. Nie pamiętam niczego prócz dziewczęcej postaci kręcącej się wśród kuchennych sprzętów i dokonującej rzeczy wręcz niezwykłych. Haczyk wyławiał jarzyny z koszyka, nóż skrobał, kroił i siekał w błyskawicznym tempie. Dziewczyna szybkimi ruchami zmieniała narzędzia, wtykając je między bransolety a ciało. To mieszała łyżką w garnku, to znów przewracała łopatką cienkie, twarde placki, prażące się na płycie kuchennej. Wszystko zręcznie, prędko, bez żadnego rozsypywania czy rozlewania; osoba z parą rąk nie umiałaby lepiej. A ja zachodziłem w głowę, czy rzeczywiście spotkałem tu kalekę dziewczynkę, którą widziałem dawno temu z zebrzącym ślepcem. Ale jak miałem ją o to zapytać?

Dopiero w jakiś czas potem dowiedziałem się od Miedzianego, że miała na imię Nocny Motyl i była córką zamożnego kupca. A do Domu Innych Ludzi trafiła wprost spod opiekuńczych skrzydeł rodziców.

Co mogło stać się z tamtym dzieckiem? Może już nie żyła, może nadal wędruje od wsi do wsi, wyprasząc datki. Wiele dzieci traci kończyny w rozmaitych wypadkach, ale bardzo niewiele otrzymuje szansę, jaką miała Nocny Motyl lub ja.

Wyszorowany, w świeżej tunice pożyczonej od Monety czułem się jak nowo narodzony, gotów do badania nietypowej osady. To było niezwykle miejsce. Być może jedyne w całym cesarstwie. Wkrótce dowiedziałem się, czemu brakowało tu płotów. Można

było na nie wpaść i skaleczyć się. Ściany domów pokrywały wypukłe wzory - inne dla każdego budynku. W ciemnościach łatwo je było rozpoznać dotykiem. Na całym terenie osiedla nie dostrzegłem ani jednego dołka, wystającej kępy trawy czy też porzuconego przedmiotu. Od domu do domu wiodły ścieżki ułożone z równych, płaskich kamiennych płyt. Wszystko zostało podporządkowane jednej zasadzie: bezpieczeństwo i wygoda dla ociemniałych. Ale nie tylko. Przebywało tu też kilku głuchoniemych. W wieku od kilku do kilkunastu lat. Najmłodszy mozolnie poznawali znaki mowy rąk i podstawy pisania, starsi uczyli się rzemiosła.

Tylko dlaczego to miejsce nazywano Domem Innych Ludzi, a nie na przykład Schronieniem Okaleczonych?

Dopiero przypadek pozwolił mi na odkrycie kolejnej warstwy sekretu - znaczenia nazwy i dlaczego to Krąg zajmował się tą gromadką, a nie kapłanki ze Świątyni Miłosierdzia.

Moneta pierwszego dnia pokazał nam swoją pracownię. Było to spore pomieszczenie na pięterku zagracone sztalugami, stołami, prasami, narzędziami, naczyniami wypełnionymi sproszkowanymi minerałami, olejem i bogowie wiedzą, czym jeszcze. Moneta sam robił farby, a także pędzle i rysiki. Potrafił nawet czerpać papier, co wprawilo mnie w podziw.

Całą powierzchnię ścian pokrywały obrazki, przedstawiające pejzaże, malowane w charakterystyczny dla Monety sposób. Portrety robione zwykłą metodą, na zamówienie, upychał do kąta. Najwyraźniej traktował je wyłącznie jak towar. Niewiele lepiej miały się księgi przeznaczone do iluminowania - porozkładane na pulpitach i półkach w niebezpiecznym towarzystwie palet oraz tuszu. Sam Moneta ledwo się mieścił w tej rupieciarni. Sypiał na żeglarskiej koi podwieszanej pod belkami stropu. Urzekła mnie zabawna uroda tego kąta i następnego dnia znów tam zajrzałem.

Moneta nie był sam. Razem z nim przy stole zawałonym setką niezbędnych drobiazgów ktoś siedział. Obaj unieśli głowy, gdy wszedłem. Moneta przykrył usta dłonią, prosząc o spokój. Natomiast siedzący przy nim człowiek chyba mnie nie zauważył. Miałem dziwne wrażenie, że jego wzrok mija mnie z obu stron. Zbliżyłem się ostrożnie. Ociemniały? Nie, przed mężczyzną leżała kartka papieru. Ręka trzymająca rysik chwiała się niezdecydowanie nad białą płaszczyzną. Stawiała kropki, kreski, splątane linie. Powoli z tej gmatwaniny zaczęło się coś wyłaniać. Rozpoznałem kształt ptasiej głowy, potem coś jakby łapę. Rysownik nabrał pewności. Kreski ułożyły się w rozpostarte skrzydła. Plamki z okruchów węgla, rozcierane palcami, nadały rysunkowi pozory wypukłości. Z obrazka spojrzęło lśniącym okiem ptaszysko z groźnie otwartym dziobem. Lecz czy to aby na pewno był ptak? Pierzasty tułów umieszczono na dwóch ciężkich, szerokich łapach pożyczonych od

psa, wilka czy może od wielkiego kota. Rozpoznałem też ogon - długi i cienki jak bicz. Ręka rysującego znieruchomiała. Skończył. Siedział jeszcze chwilę, wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem w przeciwległą ścianę, następnie wstał nagle, sztywno, jak marionetka podciągnięta na sznurku, i wyszedł. Poczułem, że mam zeszywniały kark i pieką mnie wysuszone oczy. Moneta podniósł delikatnie rysunek, umieścił go na ścianie wśród innych, podobnych.

„Kto to był?”

„Liść. Czasem przychodzi rysować.”

„Był dziwny. Ten rysunek też jest dziwny. Co to jest?”

Moneta długo szukał odpowiedniego znaku. Przerobiliśmy „Duże Groźne Zwierzę”, „Ptaka z Włosami”, „Kota z Piórami..”. Można było zgłupieć od tego. W końcu po prostu wcisnąłem mu do rąk pióro i kazałem napisać. Potrząsnął tylko głową, porażony prostotą rozwiązania i narysował zgrabny znak oznaczający „Gryfa”.

Gryf? Gotów byłem klócić się do omdlenia rąk, że gryfy tak nie wyglądają. Liść miał pomieszane w głowie. Niespodzianie Moneta rozzłościł się. Usiłował jednocześnie coś mi wytłumaczyć i obrazić. Wyszła z tego sieczka gestów, więc znów uciekł się do pomocy pióra. Patrzyłem mu przez ramię i w miarę jak pisał, odczytywałem historię Liścia.

Był zakwalifikowany jako Obserwator, choć nigdy nie stanął i nie stanie w Kręgu Mistrzów. Talent okazał się dla niego przekleństwem, a ceną, jaką zapłacił, było odcięcie od świata. Przytłoczony własną doskonałością, żył jak we śnie. Nie nakarmiony, umarłby z głodu. Trzeba było opiekować się nim jak dzieckiem. Przeciętny Obserwator śledził myśli ludzkie i zwierzęce instynkty na ograniczonym poziomie. Mistrz wychwytywał je na bardzo duże odległości, klarowne i obdarzone indywidualnymi „charakterami”. Natomiast Liść odbierał cudze doznania z niewyobrażalnych dali. A jedynym dla niego sposobem na kontakt z otoczeniem było przelewanie na papier swych wizji.

Moneta pokazał mi rysunki Liścia. Były na nich niezwykle zwierzęta, ludzkie twarze nieznanymi ras, budowle nie z tego świata. Przedmioty niewiadomego przeznaczenia lub fragmenty większych całości - dłoni, część głowy, niekompletny krajobraz, jakby źródło przekazu zniknęło nagle. Umarło?

Tak więc gryf z rysunku Liścia musiał być prawdziwy. Żył gdzieś, może na Zachodnich Kontynentach, a może na niezbadanym Wschodzie. Wyobrażenia tych mitycznych stworzeń, jakie widziałem w książkach i na dziesiątkach świątynnych malowideł, nadawały się na zelówki do sandałów.

Zrozumiałem dziwne zachowanie Liścia. On rzeczywiście nie dostrzegał ani mnie, ani Monety. Byliśmy dla niego tylko zjawami wśród innych zjaw.

Zadrzałem. Mój talent odebrał mi słuch. Jak blisko byłem tej granicy, którą przekroczył Liść?

Moneta zaniepokoił się. Opacznie zrozumiał mój lęk.

„Czy ty nie lubisz magów? Obawiasz się? Nie chcesz...?”

Przerwałem mu gestem.

„To nie to.”

Odprężył się i dalej składał znaki, starannie jak nigdy dotąd.

„Tutaj wszyscy są niedokończeni. Prawie magowie.”

Prawie magowie. Wiedziałem, że nadmiernie wybujały talent może stłamsić osobowość lub okaleczyć ciało. Ale były też inne sytuacje, gdy magiczne talenty ledwie kiełkowały. A nawet niewielka ich część zmieniała życie. Tak więc był to Dom Innych Ludzi, naprawdę innych niż pozostali. Znalazły tu opiekę niewidome dzieci, rozpoznające kolory palcami, Obserwatorzy, których zdolności zawodziły, przychodząc i odchodząc kapryśnie. Iskry nie panujące nad swymi groźnymi właściwościami albo ociemniali Przewodnicy Snów, oglądający świat tylko w swych wizjach. W ten sposób Krąg roztaczał patronat nad uboższymi krewnymi.

„Tylko ty i twój przyjaciel nie jesteście obdarzeni” - dokończył Moneta z zakłopotaniem. Z trudem opanowałem śmiech. Biedny Moneta! Gdyby wiedział, jak naprawdę mocno jesteśmy „obdarowani”!

Zostałem w nadmorskiej osadzie. Nie miałem się gdzie podziać, a zresztą czułem, że pasuję do tego miejsca. Życie potrafi sprawiać niespodzianki. Miedziany z przyjemnością przekazał mi część swoich obowiązków. Moje zadanie polegało na przepisywaniu notatek i rachunków gospodarskich, które prowadził na niechlujnych świstkach. Poza tym pomagałem tam, gdzie akurat byłem potrzebny.

Pożeracz Chmur znosił króliki i zające z poprzetrącanymi karkami, zaopatrując kuchnię w mięso. Wygadany, inteligentny i dowcipny, wkrótce stał się ulubieńcem mieszkańców. Co tu kryć, miał wdzięk, którego mnie brakowało. Oddalaliśmy się od siebie coraz bardziej. Wciąż jeszcze dzieliliśmy posłanie, ale coraz rzadziej prowadziliśmy nasze „rozmowy”. W końcu i to się urwało. On miał swoje sprawy, ja swoje. Zaczęliśmy mijać się jak obcy.

Dom Innych Ludzi i jego mieszkańcy mogliby dostarczyć tematów do zapelnienia obszernego tomu. O samym Monecie można pisać w nieskończoność, a Miedziany był chodzącą księgą o barwnym zyciorysie. Chciałbym napisać o Liściu lub o Nocnym Motylu, która potrafiła szyc, trzymając igłę palcami stóp. Albo o grupce głuchoniemych: małym Powoju - Iskrze, straszącym kota nieszkodliwymi ognikami, Wiernym - który może kiedyś doczeka się tatuażu z Kręgiem i Żółwiem, o Koralu - dziewczynce miewającej prorocze sny. Postanowiłem jednak, że więcej miejsca poświęcę Mgle, bo właśnie ją i jej okropne makatki chciałbym dobrze zapamiętać.

Ja i Mgła należeliśmy do odmiennych światów. Dla niej życie było stąpieniem w ciemnościach wypełnionych zapachem, dźwiękiem i dotykiem. Dla mnie przede wszystkim światłem, kolorem i kształtem. Ja nie czytałem z ust, ona nie widziała znaków. A jednak potrafiliśmy przetrwać przez tę przepaść wąły mostek porozumienia.

Pierwszy raz do pracowni Mgły zaprowadził mnie oczywiście Moneta. Większą część małej izdebki zajmował warsztat tkacki, z którego spływał pas szarego płótna, częściowo nawinięty na wałek. Inne, ukończone już tkaniny leżały pozwijane na półkach lub poskładane w kostkę, czekały na farbowanie. Wśród tego kramu Mgła poruszała się swobodnie, znając położenie każdego zwoju materii, każdego narzędzia.

Dziwaczne i niezręczne było nasze pierwsze spotkanie. Moneta tłumaczył. Dowiedziałem się zaledwie imienia dziewczyny, że ma siedemnaście lat i nie widzi od urodzenia. Tkała przez cały czas. Jej zręczne palce biegały wzdłuż osnowy, sprawdzając, czy któraś z nitek nie jest zerwana. Wprawiane w ruch szarpaniem za sznurek wrzeczono turlało się w jedną i w drugą stronę, ciągnąc za sobą nić i płótno pojawiało się jakby znikąd w zawrotnym tempie.

Nie wiem, dlaczego zwróciłem uwagę akurat na Mgłę. Z początku nie była dla mnie miła. Nie miała w sobie nic z posągowej piękności. Całkiem zwyczajna dziewczyna. Z trójkątną buzią i zabawnym, jakby kocim nosem. Ani wysoka, ani przesadnie zaokrąglona w interesujących miejscach. Ciemnobrązowych jak torfowa ziemia włosów nie upinała kunsztownie, tylko zwyczajnie związywała wstążką. Parokrotnie spotkałem ją później. U Miedzianego, przy studni, w graciarni Monety lub biegnącą po jednej ze ścieżek. Właśnie, biegnącą, gdyż poruszała się szybko i zgrabnie. Nie zauważyłem nigdy, by potknęła się lub wpadła na kogoś. Zupełnie jakby widziała. A jednak nie. Nauczyłem się rozpoznawać drobne oznaki ślepoty - ostrożne wysunięcie bosej stopy, wymacującej krawędź ganku lub próg,

ukradkowe dotykanie przedmiotów dokoła. Zacząłem zaglądać do warsztatu Mgły. Czasami spędzałem tam sporo czasu, z fascynacją przyglądając się, jak jej ręce wyczarowują wypukłe wzory na grubych tkaninach lub kierują cienkie nitki tak, by układały się w gładkie powierzchnie płócien bieliźnianych. Raz i drugi udało, że mnie nie zauważyła, choć byłem pewien, że słyszy, jak wchodzę.

Przychodząc do Mgły po raz trzeci, nie zastałem jej przy warsztacie, lecz skuloną w wykuszu okiennym, pośrodku ciepłej, słonecznej plamy. Zajętą wyplataniem w niewielkiej ramce. Podeszedłem bliżej, by przyjrzeć się robótce, a wtedy Mgła chwyciła mnie za włosy. Tak nagle i nieomylnie, że przestraszyłem się. Nie byłem pewien, czy wydrze mi garść uwłosienia, czy może zechce wytłuc po twarzy za nachodzenie bez zaproszenia. Tymczasem ona chciała mnie po prostu obejrzeć. Jej dłonie przesunęły się po mojej głowie, palce przeczesaly włosy. Dotykały brwi, policzków. Potem przyszła kolej na nos, usta, uszy... Czuję się nieswojo, obmacywany niczym rzecz. Mgła poklepała mnie po barkach, „obejrzała” dłonie, zastanawiając się nad bliznami po zębach Pożeracza Chmur. Uśmiechnęła się leciutko i napisała mi palcem we wnętrzu dłoni liczbę „siedemnaście”, a potem tym samym palcem puknęła w moją pierś. Dodała mi dwa lata, zapewne z powodu wysokiego wzrostu, ale wolałem nie prostować tej pomyłki. Potem miało się okazać, że dobrze zrobiłem.

Wspomniałem już o makatkach i muszę o nich napisać, bo nie sposób ich ominąć. Mgła i jej prace to jakby jedno. Pierwszą makatkę zobaczyłem nie dokończoną, rozpiętą na ramie. Co miała przedstawiać, nie mogłem zgadnąć. Zresztą to nie było ważne. Gdy Mgła nabrała do mnie zaufania, pokazała mi inne. Wszystkie były obrzydliwe. Rzadko która miała przepisowy kształt kwadratu lub rombu, a każda składała się z nieregularnych łat. Co do użytych materiałów, było tam wszystko. Od lnu, poprzez wełnę, nieczesane włókno wodorosli aż do rzemienia. Zdarzał się też jedwab pocięty w paski, patyczki, trzcina i powszywane w tę zwariowaną tkaninę gliniane paciorki. Nie miałem pojęcia, po co to robi. Dlaczego traci czas na wyplatanie tych bzdur.

Moneta nie umiał lub nie chciał mi tego wyjaśnić. Wzruszył tylko ramieniem i popatrzył po swoich obrazach. Mam jednak pewność, że rudowłosy artysta jest bardzo blisko tego poziomu wrażliwości, na jakim żyje Mgła.

Intrygowały mnie twory tej dziewczyny, mimo ich szpetoty. Ale nigdy bym nie wpadł, co w nich jest, gdyby nie sama autorka. Pewnego dnia odszukała mnie, prawie przemocą odciągnęła od przepisywania nieporządných bazgrołów Miedzianego i zaprowadziła do siebie.

Całą podłogę warsztatu pokrywały makatki. Nie przypuszczałem, że Mgła zrobiła ich

już tyle. Wyglądały jak wielki, pstrokaty dywan. Mgła wspięła się na palce, zawiązała mi oczy chustką i dotykiem sprawdziła, czy aby na pewno nie została szparka do podglądania.

Każdy czegoś się boi. Jedni pajaków, inni wody albo wchodzenia na wysokie drzewa. Dla mnie zmorą jest ciemność. Może dlatego, że pozbawiony również wzroku byłbym całkowicie bezradny. Wtedy, w izbie Mgły, momentalnie zeszywniałem, bojąc się zrobić choćby krok. Z jednej strony obawiałem się, że na coś wpadnę, z drugiej, że nie wpadnę na nic i będę tak szedł całą wieczność, a nie dotrę do żadnej ze ścian. Nie zdążyłem odsłonić oczu, gdyż Mgła pociągnęła mnie w dół, zmusiła do uklęknienia. Poczułem pod palcami fakturę porozkładanych fragmentów śmiesznej tkaniny i już wiedziałem, czego ode mnie oczekiwano.

Jedwab był śliski w dotyku. Rzemyk miał szorstkie kanciki, a włókienka wełny łaskotały i zaczepiały o paznokcie. Koralki były chłodne, ugniatały dłonie i kolana. Czasem w osnowie znajdowałem kostropate fragmenty... kory? suchych badyli?

Zatonąłem. Wzrok i słuch przestały się liczyć. Nie zgadywałem już, czego właśnie dotykam. Mogły to być nici chirurgiczne, mogła być przędza do wyszywania. Nieważne. Mgła tknęła samo życie. Dla mnie był tam smak łakoci i kwaśnych jabłek. Zimna woda, gorące letnie popołudnie i skaleczony nożem palec. Duma z pierwszego samodzielnie odczytanego zdania sąsiadowała z karą wymierzoną różgą. Skrawek futerka - Pożeracz Chmur w naturalnej postaci. Miękką łatka - dom i broda Płowego.

I nagle... zderzyliśmy się z Mgłą czołami! Poczułem jej policzek na swoim. Palce dziewczyny wsunęły się wolno w wycięcie mej koszuli, jakby pytając: czy można?

Dlaczego nie? Oczywiście, że można. I dziwna rzecz się stała, że nasze usta jakoś prędko się odszukały w mroku, a dłonie znalazły ciekawsze zajęcie niż oglądanie szmatek. Odwiązywanie tasiemek po omacku nie jest trudne. Krótko: uwiodła mnie. Prawie uwiodła. Zanęciła jak rybę

i zostałem złapany na najdziwniejszą przynętę świata. Na makatkę. Choć tak naprawdę do niczego nie doszło. Nie, sam sobie przeczę. Doszło do mnóstwa rzeczy, tam na twardej podłodze, zasłanej dywanikiem. Tyle że to zbyt osobiste.

Tylko jedno nurtuje mnie do tej pory. Czy to się liczy jako „pierwszy raz”? Czy może jestem tylko częściowo mężczyzną?

Czas mijał, wypełniony jednostajnymi zajęciami. Tęskniłem za domem. Brakowało mi zarzuconych ćwiczeń w tworzeniu miraży. Żałowałem swojej nieprzemysłanej ucieczki i

zaczęłam zastanawiać się, czy aby na pewno bałam się gniewu starszyny Kręgu, czy był to tylko pretekst do uniknięcia egzaminu?

Księżyc odmieniał się, dążąc ku pełni i co noc wisiał nad wierzchołkami drzew jak ogromny, nadgryziony owoc. Miedziany przepowiadał wielkie przyływy oceanu, które wpełzną do delty masę wody razem z rybami, bursztynem, gęstwą wodorostów i potworną ilością mułu. Odpływ za to wyrwie kawał lądu. Coś przybędzie, coś ubędzie. Nowa robota dla rysowników map. Księżyc, sprawca bałaganu, świecił jak oszalały, nie dając szans swojemu maleńkiemu bratu, który błyszczał blado niczym muszelka nisko nad widnokregiem.

Wdrapywałam się nocami na dach i czytałam, korzystając z darmowego światła lub po prostu rozmyślałam. I właśnie w takiej scenerii, pod gigantyczną, złotą tarczą księżycą zetknąłem się na nowo z Pożeraczem Chmur. Siedział na szczycie dachu, obłany poświatą, jak nagi posąg z metalu. Tylko oczy były żywe, świecące spod zmierzwionej grzywy. Było coś groźnego w zgarbieniu jego ramion, ugięciu łokci, gdy wspierał się na rękach. W nieruchomości i naprężeniu mięśni. Przypominał przyczajoną bestię. Już nie biały kundel i nie chłopak, z którym spędziłem tyle czasu, lecz odmieniec, obcy. Wahiałem się parę chwil, zostać czy odejść. Pożeracz Chmur zrobił pierwszy ruch. Niespodzianie, w brutalny sposób zostałem wywleczony z własnego ciała i wciągnięty w otchłanie smoczego umysłu. Uczucie istnienia jednocześnie w dwóch miejscach: ja-człowiek i ja-smok. Nie zdążyłem się z tym oswoić, a już zostałem wypchnięty z powrotem. Chwiałem się, zszokowany, wczepiony kurczowo w kalenicę, by nie spaść. Uporządkowałem chaos w głowie.

Pożeracz Chmur był rozczarowany, zły i smutny. Najbardziej chyba rozczarowany. Szukał w ludzkim ciele, wśród obcego dla siebie gatunku, nowego sposobu na życie. Jego zniechęcenie kładło się stęchłym smakiem w gardle. Po co żyję? Jaki sens ma istnienie przez siedemset lat, gdy pozostawi się po sobie tylko dwoje czy troje szczeniąt i garść kiepskich wierszy?

„Nie wiem, co dalej. Nie chcę wracać na Smoczy Archipelag. Tutaj też nie pasuję. A ty już nie tworzysz iluzji i nie potrzebujesz mnie” - dodał z goryczą.

Było mi przykro i wstyd, bo zrozumiałem, że krzywdziłem Pożeracza Chmur. Nie szanowałem go. Traktowałem jak narzędzie. Z pozoru lekkoduch, łakomczuch i wygodnicki, Pożeracz Chmur miał ambicje i uczucia tak bliskie ludzkim. A ja nawet nie wiedziałem, że lubi poezję. Skoncentrowany na sobie i własnych problemach, wykorzystywałem go. Brałem tylko i nie dawałem nic w zamian.

„Poszedłeś za mną, bo potrzebowałeś oparcia? Szukałeś czegoś?” - skonstruowałem ostrożnie myśl, niepewny, czy zechce ją przechwycić.

„Sensu życia. Ludzie są witalni” - przekazał.

Bogowie wszelkich narodów! Kryzys osobowości? U smoka? W dodatku był jeszcze taki młody. Jego osiemdziesiąt lat przeliczone na ludzki wiek nie dawało nawet moich piętnastu. Przysunąłem się do niego.

„Nikt nie wie, czy życie ma sens. Ale można go szukać.”

„Ty już nie szukasz.”

Trafił. W istocie, miałem to samo poczucie własnej zbędności. Jaki jest pożytek z Tkacza Iluzji, który nie tworzy iluzji? W tym momencie postanowiłem, że wrócę do Zamku Magów. Z pewnością czekały mnie tam same nieprzyjemności, ale wszystko było lepsze od tego beznadziejnego szarpania się na smyczy tchórzostwa. Pożeracz Chmur znów nawiązał kontakt.

„Zauważyłem, że ostatnio często tu wchodzisz. Ładny widok na księżyc.”

„Mocno świeci. Przychodzę tu z książką. Czytanie to też sposób na szukanie sensu” - dodałem w natchnieniu.

Pożeracz Chmur drgnął.

„Ja nie umiem czytać.”

Natchnienie kwitło we mnie nadal. Podałem mu tomik ze zbiorów Miedzianego, który przyniosłem ze sobą.

„Nie jest trudno nauczyć się, jeśli ma się dobrą pamięć. Ty masz świetną. Spróbujesz?”

Patrzył na mnie z posępną miną.

„Pożeracz Chmur? Przepraszam za wszystko. Nie traktowałem cię dobrze. Chciałbym coś dla ciebie zrobić.”

Nic.

„Nauczyć cię czytać” - ciągnąłem, speszony i nieszczęśliwy. - „Pisać, jeśli zechcesz. Łowić ryby na wędkę. Albo zbierać bursztyn na wydmach.”

„Razem z Mgłą?” - zapytał Pożeracz Chmur z drwiną.

Gorąco buchnęło mi na twarz.

„Bez Mgły” - odparłem stanowczo.

Wtedy młody smok rzucił się na mnie! Przeraziłem się śmiertelnie, bo wyglądało to na atak z przegryzaniem gardła włącznie. Sturlaliśmy się po trzciniowej strzesze, spleceni ramionami. Zlecieliśmy prosto na zagon z sałatą, rujnując go doszczętnie. Wiłem się pod ciężarem Pożeracza Chmur, usiłując zrzucić go z siebie, ale złapał mnie za nadgarstki i przycisnął do ziemi.

„Przysięgnij. Przysięgnij, że to wszystko prawda. Czytanie, pisanie i żadnych samic.”

Na wieczny Krąg! On był po prostu zazdrosny.

„Przysięgam” - wycisnąłem ze skołataney głowy i dopiero wtedy złapałem oddech.

Większą część nocy spędziliśmy na dachu, w powodzi księżycowych promieni. Wyszukiwałem w tekście i objaśniałem Pożeraczowi Chmur co łatwiejsze symbole. Rano zaspaliśmy i ominęła nas potężna awantura o zniszczoną grządkę. Winnego nie znaleziono, lecz my obaj przez cały dzień przezornie unikaliśmy ogrodnika.

Znowu zaczęliśmy spędzać ze sobą dużo czasu, Pożeracz Chmur i ja. Młody smok robił zdumiewające postępy. W ciągu kilkunastu dni opanował wystarczającą liczbę znaków, by czytać prostsze teksty. Jeszcze raz miałem okazję przekonać się o pojemności smoczej pamięci. Każda informacja odciskała się w niej dokładnie, wyraźnie i na wieczność. Po czytaniu przyszła kolej na pisanie. Trzeba było widzieć Pożeracza Chmur, skupionego nad woskową tabliczką jak rzeźbiarz tworzący arcydzieło. Lub umazanego atramentem (miał zwyczaj oblizywania pióra), bazgrzącego na kartce okropnymi wołami. Pozazdrościwszy Monecie talentu, próbował też nieśmiało rysować i muszę przyznać, że jego obrazeczki tworzone na marginesach były lepsze niż pismo.

Mijał czas wypełniony pracą, zabawą i nauką. Buszowaliśmy na wydmach. Mocowaliśmy się niegroźnie na ciepłym piachu, a Pożeracz Chmur czasem pozwalał mi wygrać. Podbieraliśmy puch z ptasich gniazd, ryliśmy jamy w poszukiwaniu bursztynu i zbieraliśmy obfite łupy.

Bezpieczny od niepożądanego towarzystwa, znów zacząłem tworzyć iluzje. Lecz nie były to już dawne nudziarstwa, doprowadzające do szału smoczego szczeniaka. Puszcząłem wodze wyobraźni, a jej wytwory Pożeracz Chmur nazwał „zdziwiaczkami”. Były tam fioletowe jeże, maleńkie łuskowate smoki ziejące ogniem, śmieszne borsuki w koronkowych sukienkach. Wymyślałem gadające ostrygi, gwizdzące mandarynki, a nawet całe krajobrazy, pełne drobnych szczegółów. Nie bałem się błędów, bo i kto miałby mnie wykpić lub źle ocenić? To były szczęśliwe dni i życzyłem sobie, by trwały jak najdłużej. Ale czas mijał i kolejne poranki przesuwwały się niczym gałki w kosmicznym liczydłe, aż do dnia, w którym Pożeracz Chmur umierał.

Było to jedno z owych przedpołudni, gdy usiłowałem zorientować się w niechlujnych,

pogniecionych papierkach - notatkach Miedzianego. Widniały tam na przykład takie znaki: „Marchew”, „Dwanaście”, „Kosz”, „Kup”, „Kasza”, „Race”, „Osium”. Zastanawiałem się, co miał znaczyć ów niewyraźny symbol, przypominający „Ręce”, „Ręczny”, a może „Ręcznik”. Osium ręczników? Kasza ręcznie mielona? Istny śmietnik.

I właśnie wtedy nadeszło to straszne uczucie. Oślepiło mnie na moment jak uderzenie w tył głowy. Strach i ból, lecz nie mój, czyjś, przekazany z oddali. Upadek w chłód i ciemność. Czyjaś świadomość, blednąca, gasnąca jak ostatnia iskra pozostała z ogniska. Pożeracz Chmur!

Zerwałem się, wylewając atrament na stół. Ułowiłem jeszcze przelotnie obraz zdumionej twarzy Miedzianego i dłoni uniesionej w nie dokończonym geście. Wypadłem za drzwi, biegnąc na oślep, prowadzony bladą gwiazdką, tkwiącą mi gdzieś za oczami. Nie wiem, w jaki sposób dotarłem do celu. Niejasno pamiętam, że wpadałem na ludzi, potykałem się o coś, gałęzie biły mnie po głowie.

Ciało smoka leżało wśród zieleni. Nieruchome, wielkie, pokryte zmierzwioną sierścią. Bezwładne i dziwnie płaskie, jak ścierwo zdechłego kota. Pożeracz Chmur nie oddychał. Usiłowałem podnieść jego głowę, niewiele mniejszą ode mnie samego. Szarpałem trójkątne uszy - zwykle czuły punkt - teraz zupełnie wiotkie i martwe. Nie rozumiałem, co się stało. Jeszcze przed paroma godzinami widziałem Pożeracza Chmur jako chłopca. Skąd ta nagła przemiana i tak żaloszny stan? Czy był chory? Czy ktoś go zranił?

Wtedy zostałem odgarnięty na bok ruchem, jakim usuwa się z drogi psa lub kota. To był Miedziany. Przekroczył sztywno wyciągniętą łapę, pochylił się i przyłożył ucho do smoczego boku. Potem znów do głowy, z wysiłkiem rozwarł potężne szczęki i włożył między nie rękę aż po łokieć. I jeszcze głębiej, po samo ramię. Patrzyłem na to z zapiętym tchem, w przeblysku zrozumienia, co robi ten odważny, szalony mag. Wyciągał Pożeraczowi Chmur język z gardła, całkiem jakby miał do czynienia z nieprzytomnym cielakiem, a nie największym drapieżnikiem na wszystkich kontynentach. Zaaferowany Miedziany krzątał się przy Pożeraczu Chmur. Podniósł mu powiekę - wąska źrenica poruszyła się w szkarłatnym jezioru smoczego oka.

Miedziany wczepił się obiema dłońmi w białą sierść i z całej siły uderzył Pożeracza Chmur kolaniem w pierś. Raz, a potem drugi. Smok zakrztusił się, zaczął kaszleć, zwymiotował śliną i żółcią, aż wreszcie złapał oddech. Omal nie rozplakałem się z ulgi.

Wyznaliśmy Miedzianemu wszystko. Kiwał głową i unosił brwi z politowaniem.

Część historii już znał (poczta Wędrowców działa bez zarzutu), części się domyślał. Trochę się gniewał, że go zwodziliśmy, ale zarazem był zachwycony możliwością oglądania z bliska smoka w naturalnej postaci.

Ciało Pożeracza Chmur pozostawiło w ziemi głęboki odcisk, na tyle dokładny, że gdyby zalać go gipsem, otrzymalibyśmy płaskorzeźbę w kształcie smoka. Wyjaśnił nam, że wykorzystał glebę z tego miejsca jako budulec do transformacji. Strapiony i zawstydzony, przyznał, iż przemiana „z mniejszego w większe” to trudna i subtelna rzecz. Robił to dopiero trzeci raz w życiu i właśnie niezbyt dobrze mu poszło. Tak bardzo zatęsknił za lataniem, aż rozpoczął przemianę, zaniedbawszy praktyki medytacyjne, a nawet to, by porządnie się najeść. Spieszył się i to omal go nie zabiło.

Naradzaliśmy się bardzo długo, co dalej robić w nowej sytuacji. Było pewne, że łapa Pożeracza Chmur nie może przestąpić darmowego ogrodzenia osady. Wzbudziłby panikę nie do opanowania. Niebezpieczne doświadczenie nie zachęcało go też do dalszych eksperymentów z własnym ciałem.

Jak dowiedziałem się od Miedzianego, czekano mnie w Kręgu, bardziej martwiąc się niż gniewając. Starszyzna wiązała duże nadzieje z pewnym narwanym adeptem i oczekiwała niecierpliwie, aż zmądrzeje i ujawni się. Skończyły się beztróskie czasy, to oczywiste. Było mi żal opuszczać miejsce, gdzie znalazłem tylu towarzyszy traktujących moją ułomność jak coś zwyczajnego. Ale największą przykrość sprawiała mi myśl o rozstaniu z okropnym, rozpuszczonym, kapryśnym, nieobliczalnym, nie znoszącym wody dziwakiem, który był moim najlepszym przyjacielem.

Pożeracz Chmur (niedyskretny, jak zawsze) musiał śledzić moje myśli, gdyż raptem uparł się, że absolutnie - absolutnie! - nie puści mnie nigdzie samego. Na pastwę złoczyńców, skorpionów, dzikich zwierząt, lamii, mantikor i innych niebezpieczeństw. Nie poradzę sobie sam, będę głodować, ktoś może mnie skrzywdzić, zranić lub zjeść. Całkiem jakby cesarstwo Lengorchii było jakąś dziczą. Kompletnie nas z Miedzianym skołował. Stało na tym, że odbędziemy najkrótszą i najbezpieczniejszą podróż do siedziby Kręgu - w powietrzu. Pożeracz Chmur zanieś mnie na grzbiecie.

Perspektywa takiego lotu wydawała się nadzwyczaj podniecająca. Byłem chyba jedynym człowiekiem w dziejach, który miał okazję dosiadać smoka. Jednocześnie na samą myśl o wysokości, na jakiej mieliśmy się znaleźć, miękkły mi kolana i włos się jeżył.

Musieliśmy sporządzić uprząż dla Pożeracza Chmur, by nie krępować mu ruchów, a

zarazem zabezpieczyła mnie przed upadkiem. Po kilku próbach i przymiarkach była gotowa.

Przez półtorej doby Pożeracz Chmur przychodził do siebie. Najadał się na zapas, pochłaniając foki, dzikie kozy oraz wieprze. Polował chyłkiem, starając się nie rzucać się w oczy rybakom i zbieraczom bursztynu. Wylizywał się, czesał i czyścił pazury, aż w końcu wymuskany, dziarski, z żywym błyskiem w oku, stwierdził, że jest w odpowiedniej formie. Gorzej było ze mną. Spakowałem się, co prawda, ale tak naprawdę gotów nie byłbym nawet po tygodniu.

Pomagałem Miedzianemu zapinać na smoczym torsie krzyżujące się, rzemienne pasy. Dociągnięte odpowiednio, kryły się głęboko w futrze. Pożeracz Chmur zbudowany jest z kocią ekonomią. Ogolony, stanowiłby szokujący widok. Chudy, kanciasty, złożony głównie z kości, żył i ścięgien. Tylko na grzbiecie, barkach i przednich łapach prężą się grube poduchy mięśni, tam, gdzie potrzebna jest siła do poruszania wielkimi skrzydłami.

Wdrapałem się między nie, zaciągnąłem pętle obejmujące nogi powyżej kolan. Miedziany podał mi gruby, wełniany szal. Tylko westchnąłem. Miałem już na sobie jego starą żeglarską kurtę podbitą nitrem, sporo za szeroką. Zmusił mnie do założenia pod spodnie długich, robionych na drutach pończoch i ciężkich jesiennych butów. Pożeracz Chmur ostrzegał, że na górze będzie zimno, ale uważałem to za przesadę. Pończochy drapały, kurtka grzała niczym łaźnia parowa. Prawie wrzałem. Zawinąłem sobie ten okropny szalik raz wokoło szyi, myśląc, że i tak zdejmę go, gdy zniknę magowi z oczu.

Pochyliłem się głęboko, uścisnęliśmy sobie z Miedzianym nadgarstki na szczęście. Poklepał mój but, bo niewiele więcej mógł dosięgnąć i pokazał w mowie znaków:

„Opiekuj się Pożeraczem Chmur.”

Rozbawił mnie. Zupełnie jakbym musiał przed czymkolwiek chronić takiego wielkiego bydlaka.

Znajdowaliśmy się na skraju lasu, który kończył się niebezpiecznym urwiskiem. Pionowa ściana, podmywana przez przyływy, oddzielona była od fal wąskim paskiem kamienistej plaży. Smok sam wybrał to miejsce. Po co była mu potrzebna ta przepaść, nie chciałem wiedzieć. Sam sobie zakazywałem o tym myśleć. Pożeracz Chmur ruszył ostrym klusem ku brzegowi klifu. Rozpostarł skrzydła i rzucił się w powietrze niczym pływak w wodę. Moje serce na moment zamieniło się miejscami z żołądkiem. Poczulem zawrót głowy jak na wysokiej huśtawce. Potem wszystko się wyrównało i wróciło do normy. Ostrożnie uchyliłem zaciśnięte powieki. Pod nami rozpościerał się ocean. Najogromniejsza, najbardziej

błękitna, migotliwa i cudowna rzecz na świecie. Pożeracz Chmur pochylił się na lewe skrzydło, zatoczył płaską pętlę i zanurkował ku wodzie, rycząc niby portowy róg przeciwmgielny. Najpierw poczułem ten ryk pod udami - silne drżenie. Usłyszałem go w chwilę potem, gdy Pożeracz Chmur zaprosił mnie do dzielenia swojej radości. Gigantyczna wodna przestrzeń waliła się na nas. Przepęłniały mnie: euforia i przerażenie jednocześnie. Czułem, że muszę dać im ujście, inaczej pękne. Wrzasnąłem ile sił w płucach.

„To jest to, Kamyk! To jest właśnie szczęście!” - przekazał smok.

Pęd powietrza zrywał włosy z głowy. Pożeracz Chmur w ostatniej chwili wzbił się w górę, gdy prawie dotykaliśmy wierzchołków fal. Płuca wypełniła nam słona wilgoć. Wzbijaliśmy się coraz wyżej. Słyszałem, jak smocze skrzydła kroją powietrze. Czułem napięcie mięśni pod białym futrem. Pożeracz Chmur zaczął mruzczyć. Najpierw jednostajnie, potem na coraz to inne sposoby. Odkrywałem jakieś systemy w tych mrużeniach, powtarzające się frazy i zawile ozdobniki, aż wreszcie zrozumiałem. Mój towarzysz śpiewał.

Lecieliśmy na wschód, mając wybrzeże po lewej stronie. Pod nami przesuwały się granatowe plamy wodnych głębi i jasne płachty mielizn. Na morskich falach uwijały się łodzie rybackie. Kilkakrotnie widziałem statki handlowe, spokojnie dążące do wyznaczonych celów, a raz wojenny czteromasztowiec o czerwonych żaglach. Z wysoka wydawał się maleńki jak zabawka puszczona przez dziecko na powierzchnię stawu. Żałowałem, że nie lecimy niżej i nie mogłem obejrzeć go dokładniej, lecz Pożeracz Chmur posłał mi sugestywny obraz człowieka celującego z paskudnie wyglądającej kuszy. Zmieniały się krajobrazy wybrzeża. Zbladła zieleń wydm ustępowała głębokiej ciemnej barwie sosnowych zarośli, by nagle znów odmienić się w jasne, prawie białe strzechy rybackiej osady. Gdzieś tam błyskały, niczym łaty na odzieniu włóczęgi, poletka jaskrawożółtego cukrowca.

Zwabiony słupem dymu Pożeracz Chmur zбочzył w stronę pełnego morza. Dopalał się stateczek, od którego ostrym kursem na zachód oddalał się cesarski „wojennik”. Smok zniżył lot i zatoczył krąg, by lepiej się przyjrzeć. Ohydna woń drapała w gardle, wywołując mdłości i zawrót głowy. Kojarzyła się przy tym z czymś dobrze mi znanym. Gdy zniesmaczony Pożeracz Chmur wrócił na poprzednią trasę, poszperałem w pamięci i wspomniałem identyczny zapach suchego zielska z zapasów Płowego.

Stosował je jako znieczulenie przy silnych bólach zębów, nastawianiu kości czy szyciu ran. W dużych dawkach było niebezpieczną trucizną, a rozpuszczone w alkoholu sprowadzało wizje i powolną śmierć. Jak widać po wypalanej skorupie kolebiącej się wolno na fali, cesarz surowo egzekwował prawo.

Niebawem ciekawe i piękne widoki wyparł z mej świadomości poważny problem.

Było zimno. Wiatr wciskał się pod ubranie, wykorzystując najmniejsze szczelinki. Kuliłem się, owinąwszy głowę i szyję szalem od Miedzianego. Żałowałem, że nie jest o kilkanaście łokci dłuższy. Nie wyobrażałem sobie, że można tak zziębnąć. Z wolna lodowaciałem. Teraz zrozumiałem, czemu Pożeracz Chmur miał grube, puchate futro i temperaturę pieca chlebowego. Bez tego po paru godzinach przebywania w powietrzu spadłby w postaci kawałka lodu. Spuściłem powieki i „hipnotyzowałem” ból zmarzniętych uszu. Pewnie dlatego przegapiłem deltę, portowe zabudowania i lot wzdłuż głównego koryta rzeki. Zorientowałem się dopiero, gdy Pożeracz Chmur zaczął schodzić w dół długim, łagodnym ślizgiem. Otworzyłem oczy i, ku swojemu przerażeniu, zobaczyłem rosnący przed nami szklisty mur Zamku Magów. Tego nie było w planach. Mieliśmy się na uboczu i skromnie zapukać do bramy, a nie rozbijać się o magiczne ściany. Czerń i plugastwo! Mój wierzchowiec pokonał szczyt muru z minimalnym zapasem. Przechylił się na prawe skrzydło i wykorzystując zabłąkany powietrzny strumień, okrążył jedną z wież nonszalanckim łukiem. Następne wieże potraktował jak w grze „kamyczki-strumyczki”. Przeskakiwał z dachu na dach, szybując lekko. Popisywał się po prostu. Prosiłem, żeby przestał. Ostrzegałem przed Starszą Kregu i nieprzyjemnościami, jakie mogą tu spotkać nachalne smoki. Groch o ścianę.

Smocze popisy skończyły się gwałtownie i nieprzyjemnie. Kreśląc w powietrzu pętle, wpadliśmy w ścianę gęstej ulewy. Nagle oślepliśmy. Pożeracz Chmur, zaskoczony i zszokowany, usiłował cofnąć się, tłukąc bezsensownie skrzydłami. Zaczepił jednym o fragment architektury i runęliśmy. Świat machnął kozła. Zacząłem żegnać się z zciem. Upadek skończył się okropnym wstrząsem, chyba na moment straciłem przytomność. Następne, co pamiętam, to ogród do góry nogami. Wisiałem głową w dół, zaczepiony stopą w asekuracyjnej pętli. Dokoła rosła marchewka. Mignęło mi, że coś musi w tym być - już drugi raz zlecieliśmy w jarzynki.

„Przepraszam” - dobiegło ze strony Pożeracza Chmur. Tylko tyle. Naprawdę. Markotny Pożeracz Chmur lizał zranione skrzydło, a ja usiłowałem się uwolnić. Nie zdążyłem. Zobaczyliśmy, jak szarżuje na nas zdumiewająca postać. Wojownik w efektownie rozwianej szacie, z włosami zjeżonymi w bitewnym szale i długim, błyszczącym ostrzem wzniesionym nad głowę. W mgnieniu oka wyobraziłem sobie rzeź, do jakiej mogło dojść już za moment. Rannego, rozszalałego Pożeracza Chmur, krew tryskającą strumieniami, oderwane ręce i nogi. I to właśnie teraz, gdy chciałem zdawać egzamin! Zrobiłem to, co pierwsze przyszło mi do głowy. Tuż przed nosem napastnika pojawiła się żelazna krata. Zaskoczony, potknął się, przeleciał przez nią jak przez powietrze (bo też tym była). Łapiąc równowagę, zrobił jeszcze ze trzy kroki, znów się potknął, upuścił miecz, który wbił się w

ziemię. Wojownik zrobił „tygrysa” przez głowę i leżał między smoczymi łapami. Widowisko trwało około pięciu sekund. Pożeracz Chmur przyglądał się temu ze zdumieniem i pewną dozą rozbawienia. Zupełnie inne odczucia musiał mieć ów mężczyzna, gdy zobaczył nad sobą rozwierający się z apetytem ogromny pysk pełen zębisk spiczastych jak sztylety. Wciąż widzę jego zbiegającą z przerażenia twarz, pokreśloną sinymi pasami i rozszerzone oczy, pełne grozy. Smocza paszcza otworzyła się, a długi, różowy jak płat szynki język... oblizał niespodziewanego gościa, soczyście i z rozmachem. Mężczyzna usiadł i zaczął wycierać się z nieopisanym obrzydzeniem. Dostałem okropnego ataku śmiechu.

Człowiek, który w pojedynkę rzucił się na lengorchiańskiego smoka, nazywa się Wiatr Na Szczycie i jest Hajgiem. A to oznacza, że pochodzi z najdzikszego, najdalej wysuniętego na północ zakątka cesarstwa, czyli Gór Zwierciadlanych. Jego czarne włosy, przystrzyżone nad czołem w sztywną szczotkę, a puszczone swobodnie na karku, nie ukrywały przyciętych w linii prostej wierzchołków uszu, od których biegły ku kątom ust szerokie linie mało wykwintnych tatuaży plemiennych. Hajg owinięty był jednym kawałem niebieskiej tkaniny spiętym szerokim pasem i nosił bardzo wysokie buty uszyte z plamistej skóry dzikiego kota. Był też magiem z Kręgu Mistrzów, w co naprawdę trudno było uwierzyć, biorąc pod uwagę jego wygląd.

Naburmuszony Wiatr Na Szczycie uwolnił mnie z pułapki, ale gadać musiał z Pożeraczem Chmur. Dokoła gromadzili się zdumieni i podekscytowani mieszkańcy zamku, depcząc grządki. Byłem nieswój pod ostrzałem tylu spojrzeń. Zdjąłem mokrą od deszczu kurtkę i przysiadłem, oparty ramieniem o smoczą łapę. Tu czułem się bezpieczniej. Miałem nadzieję, że zobaczę wśród gromady obcych znajomą postać Płowego, ale mego przybranego ojca nie było. Pewnie, minęło przecież tyle czasu. Zapewne obowiązki wezwały go do domu.

Opanowano jakoś bałagan, przy wydajnej pomocy Wiatru Na Szczycie, który, zblądniwszy się fatalnie, tym gorliwiej przepędzał służbę. Na koniec w warzywniku pozostali tylko: Pożeracz Chmur i ja, Hajg oraz dwóch zwyczajnie wyglądających magów w średnim wieku. Jeden z nich był Mówcą.

„Co cię tu przywiodło?”

„Sprawdzian.” - Niepewnie pokazałem miejsce nad lewą piersią, gdzie umieszczano znak kasty.

„Dość późno.”

Zwiesiłem głowę z pokorą, wpatrując się w czubki butów. Mieli wszelkie prawa, by

mnie odrzucić, ukarać lub nawet uwięzić. W tych murach nie obowiązywały cesarskie edykty. Ale miałem pewne szansę, chyba miałem. Mówca uniósł mi brodę i zobaczyłem, że się uśmiecha.

„Iskra czuje się dobrze. Przesunęliśmy mu termin ze względu na brak dojrzałości. Ale ty, mam wrażenie, dorosteś. Poza tym masz poręczyciela.”

Tu Mówca spojrzął na Pożeracza Chmur i znów się uśmiechnął. Uznałem, że mogę odwzajemnić ten uśmiech.

Umieszczono nas w wygodnym miejscu - obszernej stodole, wypełnionej częściowo sianem z pierwszego pokosu. Było tu miękko, przyjemnie i ładnie pachniało. Ktoś domyślił się, że nie zechcę zostawić Pożeracza Chmur. Znalazłem w środku zwinięty pled i swoją starą torbę podróżną, zawierającą zapasową bieliznę, koszulę, ręcznik i żywicę do czyszczenia zębów. Na wierzchu leżała kartka złożona we czworo, z jednym znakiem: „Kamyk”. Rozłożyłem papier drżącymi rękami. Płowy pisał, że długo czekał. Niepokoił się i wyrzucał mi brak jakichkolwiek wieści. Obiecywał, że mnie stłucze, jak tylko wrócę do domu, a jednocześnie życzył pomyślności. Miał nadzieję, że jestem zdrowy i nie stała mi się krzywda. Na koniec wspominał własne złe samopoczucie i plany powrotnej podróży.

Jeśli czytasz w tej chwili ten list, to znaczy, że wróciłeś do Kręgu. Pamiętaj, cokolwiek się zdarzy, czekam na ciebie, synu - przeczytałem na dole strony. Ukryte pod chaotyczną formą przebijało z listu głębokie uczucie Płowego do mnie. Napisał „synu”, chociaż nie byłem jego dzieckiem. Zastanowiłem się, czy kiedykolwiek zwróciłem się do Płowego inaczej niż znakiem imienia. Czy kiedykolwiek nazwałem go ojcem? Nie mogłem sobie przypomnieć. Zalała mnie ogromna fala wstydu. Tak może się czuć przestępca wystawiony w klatce na targu, w którego dzieciarnia rzuca kamieniami i oślim łajnem. Zasłoniłem twarz rękami i siedziałem, myśląc, jakim jestem okropnym, niewdzięcznym, samolubnym potworem.

Pożeracz Chmur trącił mnie nosem w plecy.

„Odczep się” - pomyślałem.

Dmuchnął mi w kark.

„Jak sądzisz?...” -jego przekaz był tak niewyraźny, że gdyby mówił, to pewnie by szeptał. - „Jak myślisz, z tego jaja wylęgnie się chłopak czy dziewczyna?”

On też myślał o domu.

„Chłopak pewnie byłby lepszy. Przyzwyczałeś się już do mnie” - odparłem.

Pożeracz Chmur rozmarzył się:

„Kiedy podrośnie, nauczę go łapać ryby. Na haczyk.”

„I zbierać bursztyn?”

„Jasne. I latać na powietrznych prądach.”

„I układać wiersze?”

„I odgadywać zagadki.”

„Kraść rzodkiewkę.”

„Łapać kury.”

Sporo jeszcze wymieniliśmy rzeczy, które powinien umieć i robić mały brat Pożeracza Chmur. Zasnęliśmy jednocześnie, pogodzeni z sobą i resztą tego pokręconego świata.

Wiatr Na Szczycie, który przyszedł obudzić nas rankiem, bardzo się chyba zdziwił, widząc gigantyczny biały kłęb sierści, a w zagłębieniu tej bieli śpiącego beztrusko adepta magii. Przyniósł dobre wieści. Po śniadaniu miałem stawić się w Okrągłej Sali, gdzie odbywały się egzaminy. Pożeracz Chmur lojalnie trwał przy mnie, choć oznaczało to dla niego przelatywanie nad dachami i międzylądowania w rozmaitych dziwnych miejscach. Zwykle zbyt wilgotnych na jego gust. Niechcący rozgonił gromadę praczek, drugim razem omal nie zrujnował wodotrysku. W jednym z ogrodów minęliśmy nisko zawieszoną chmurkę, z której padał drobny deszcz zraszający kępę krzaków różanych. Pilnował jej młody mag z kasty Wiatromistrzów. Olśniło mnie, skąd wziął się ów nagły i podejrzany deszcz, jaki strącił nas w zagon marchwi. Na Wieczny Krąg! Praktyczny sposób podlewania warzywników!

Okrągła Sala zajmowała całe piętro jednej z wież. Była wielka. Mogłaby pomieścić nieduży dom. Gładkie, białe ściany zaginały się od pewnej wysokości niczym płatki kwiatowego pąka i spotykały w górze, pośrodku sufitu. Pręcikiem kwiatu była kolumna z szarego marmuru. Takim samym marmurem wyłożono podłogę, lecz choćbym oczy wypatrzył, nie dojrzałbym śladu łączenia płyt. Jakby cała posadzka stanowiła monolit; zapewne następne dzieło „iskrowych” kamieniarzy. Całe umeblowanie stanowiło tylko pięć krzeseł z wysokimi, rzeźbionymi oparciami. Zasiadło na nich pięciu magów, nad głową każdego znalazł się symbol jego kasty. „Usta” nad Mówcą, „Żółw” nad Strażnikiem Słów, „Rozstajne Drogi” nad głową Przewodnika Snów. „Słońce” przeznaczono dla Iskry. Ostatnie miejsce zajął znajomy Wiatr Na Szczycie, a było ono oznaczone „Płomieniem” Stworzyciela - władcy materii, potęgi wśród magów. Jedno tylko zdumiało mnie i nawet trochę oburzyło. Nie zjawił się żaden Tkacz Iluzji. Nie było krzesła ze znakiem „Dłoń”. Kto więc miał oceniać

moje umiejętności?

Ze zrozumiałych względów porozumiewał się ze mną Mówca.

„Zacznij od czegoś prostego. Może od jabłka?” - i wyciągnął rękę.

Jabłko?! Bogowie światła i cieni! A ja spodziewałem się czegoś bardzo trudnego. Na dłoni Mówcy pojawiło się wielgachne jabłko, rozmiarów bez mała dyni. Zaskoczony mag upuścił je. Spadło na posadzkę. Pamiętałem o głuchym łomocie, jaki mogło wydać, a nawet uwzględniłem echo. Nie na darmo uczyłem się przez całą porę deszczów.

„Mniejsze!” - myśl Mówcy ukuła mnie przykro; więc nie ma poczucia humoru. Podąłem mu malutkie rajske jabłuszko, a wtedy zobaczyłem, że Wiatr Na Szczycie śmieje się szeroko i szczerze. Mrugnął do mnie, a ja od-mrugnąłem. On jeden z całej piątki siedział swobodnie. Widać, że miał dystans do sprawy. Przestałem się denerwować.

Stwarzałem miraż przedmiotów, ludzi i zwierząt. Kazałem im tupać, warczeć, ćwierkać, prychać. Przywoływałem stworzenia z baśni, a na wyraźne życzenie Wiatru Na Szczycie - „zdziwiaczki”.

Zamieniłem Okrągłą Salę w jezioro. Wokoło pływały ryby, kołysały się wodorosty. Bąbelki powietrza jak sznureczki drobnych pereł pędziły ku odległej powierzchni wody, kołyszącej się nad nami niczym wielkie lustro. Wąż wodny gonił drobną rybkę, unosząc kłębki mułu spomiędzy kamieni. Porwał ją i połykał wolno, wydymając pasiaste gardło. Bezcelny kolcogrzbiet podpłynął do najbardziej ponurego z magów i skubnął go w ucho. Mężczyzna opędził się niecierpliwie. W następnej chwili zdał sobie sprawę, że zwierzątko właściwie nie ma i udał, że się właśnie drapie. Pozwoliłem krabowi wspiąć się na sandał Iskry. Został strącony między listki strzałki wodnej. Trzeba przyznać, że publiczność miałem fatalną. Byli sztywni, spięci i jak gdyby zniecierpliwieni. Nudziłem ich czy jak? Całkiem jakby cierpieli na niestrawność i drżeli, czy zdążą do wychodka. Wyjątkiem był Wiatr Na Szczycie. Ten starczał za tamtych czterech. Bawił się całkiem dobrze. Próbował chwytac ryby niczym podrażniony kocur, wiercił się, a nawet (nie zmyślam) obgryzał wodną roślinność. Był kłopotliwy, ale wolałbym jego niż nawet dwudziestu biernych obserwatorów.

Zniechęcony zlikwidowałem wizję jeziora. Mówca spytał, czy przygotowałem coś według własnego pomysłu. Zachnąłem się. Coś własnego? A co właściwie robiłem do tej pory?

Krążyłem przez parę minut po sali, zastanawiając się i odpoczywając. Mimo długiego wysiłku nadal byłem w formie. Żadnych zawrotów głowy, krwotoków z nosa, do czego zapewne doszłoby jeszcze rok temu. Lekkie znużenie -to wszystko. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem Pożeracza Chmur leżącego na szerokim podeście schodów. Dojrzał mnie i

pomachał uchem w geście sympatii. Usiadłem na parapecie, z przyzwyczajenia krzyżując nogi jak przy medytacjach. Popatrzyłem na Mówcę. Zaciskał palce na poręczach krzesła, a w jego oczach... czyżbym ujrzał napięcie i coś w rodzaju głodu?

Skupiłem się. Rozwijałem pod opuszczonymi powiekami szczegółową wizję tak, by ukazać ją kompletną, bez poprawek. Bez błędów i rozpaczliwych improwizacji. Taką, która wreszcie trochę ożywi tę nieciekawą widownię. Otworzyłem szeroko oczy i rzuciłem iluzję w przestrzeń Okrągłej Sali. W jednej chwili zniknął sufit i ściany. Nad nami wisiało pochmurne jesienne niebo. Było chłodno. Wiatr zrywał pierwsze pożółkłe liście z wysokich żywopłotów, wyższych od dorosłego mężczyzny. Takie właśnie ogrody-labirynty zakładano w dalekim Northlandzie. Dla zabawy, a czasem jako azyle samotników, jak opowiadał Moneta.

Krajobraz trwał - statyczny i senny. Od czasu do czasu spadł liść z lekkim szelestem, który przechowywałem do tej pory w głębokim zakamarku pamięci. Gdzieś przenikliwie krzyknął ptak i zaraz zamilkł. Pierwszy ruszył się, jasna *rzecz*, Wiatr Na Szczycie. Wszedł w zieloną bramę labiryntu, podejmując moją grę i ciągnąc za sobą innych. Długi czas bawiłem ich ponurą scenerią otoczenia. Pajęczynami zwisającymi z gałęzi, opuszczonymi ptasimi gniazdami i mżawką, kępami bladych, śliskich grzybków oraz smętnymi krzykami niewidzialnych ptaków. Magowie krążyli po roślinnych korytarzach, nie orientując się, że już po raz kolejny okrążają salę. Zmieniałem układ labiryntu tak, że wydawał się nieskończenie wielki. Każda ścieżka różniła się od poprzedniej drobnymi szczegółami, choć naprawdę była tą odwiedzoną parę minut temu. Zaniepokojony Przewodnik Snów próbował zignorować miraż i wszedł prosto w żywopłot. Podrapał sobie twarz. Labirynt istniał na zewnątrz i jednocześnie w mej głowie. Kontrolowałem go w całości. Liściaste mury były dla mnie przezroczyście.

Z zawstydzeniem przyznaję, że wodzenie za nos grupy dorosłych, w dodatku Mistrzów Kręgu, daje satysfakcję. Ale nawet Wiatr Na Szczycie w pewnym momencie miał dość. Zmarszczył brwi i powoli pokręcił głową. Potraktowałem to jak sygnał, że lepiej nie przeciągać struny. Po kilku krokach wędrowcy trafili na okrągłą polankę, porośniętą równiutkim, zielonym dywanem mchu. Ze środka kręgu wystrzelił pęd. W oczach grubiał, rozwidlał się, pokrywał korą i liśćmi. Nim się kto obejrzał, polankę nakrył dach z liści i owoców. Owocami były szklane kule, a w każdej z nich tkwił inny symbol. Był tam „Okręt” Wiatromistrzów, „Gałązka” Szperaczy, „Węzeł” Wędrowców... także „Żółw”, „Płomień”, „Usta”, „Słońce” i wiele innych. Cały zbiór emblematów z książki mego ojca-maga. Iskra wyciągnęła rękę i ostrożnie zerwał jedną z kul. Oglądał przez chwilę miniaturkę strzały, zanim pękła i rozsypała się, siejąc chmurę srebrzystego pyłu. Niewielkie szklane bomby

ekspłodowały kolejno, przesłaniając wszystko tumanem migotliwego proszku. A gdy po chwili opadł i zniknął, pokaszująca piątka magów stała wokoło marmurowej kolumny pośrodku sali. Czasami sam siebie zadziwiani.

Raptem straszliwie zmęczony osunąłem się gdzieś w miękką, ciepłą norę i straciłem świat z oczu. Obudziłem się, leżąc na czymś twardym. Posadzka. Głowę miałem na czyichś kolanach. Zemdlałem? Okazało się, że nie. Po prostu zasnąłem. Skądinąd całkiem normalna reakcja przeciążonego organizmu. Podobno spałem około piętnastu minut, podczas gdy egzaminatorzy wpatrywali się we mnie jak konie w żłób.

„Zadziwiająca. Absolutnie zadziwiająca” - dotarło do mnie od strony Mówcy. To, zdaje się, oznaczało, że zwyciężyłem.

Wstałem i zobaczyłem, że sala się zmieniła. Posadzkę zaścielały okruchy szkła. Rama okienna - wypchnięta z osad i częściowo połamana, zwisała smętnie na jednym zawiasie. Zaś ściana pod oknem naznaczona była kilkoma długimi, głębokimi aż do czerwonej cegły śladami pazurów. Złapałem się za głowę. Cholerny Pożeracz Chmur!

Jednak, nie wiedzieć czemu, czwórka magów nie wyglądała na rozgniewaną.

„Troszczy się o ciebie ten twój smok.” - To Mówca. - „Okno naprawimy, a rysy zostawimy na pamiątkę.”

Najwyraźniej coś mi umknęło. Przewodnik Snów, Iskra i Strażnik Słów klepali Stworzyciela po ramionach, chwytali za przeguby w geście przyjaźni. Wszyscy rozradowani, jakby właśnie dziedziczyli fortunę. Nic nie rozumiałem. Zresztą mogli nawet rozbierać się do naga i chodzić na rękach. Mnie obchodziło tylko jedno.

„Czy zdałem? Czy ja zdałem?” - domagałem się natarczywie odpowiedzi, nie zważając ani na normy dobrego wychowania, ani na to, że ze zdenerwowania jednocześnie używałem mowy znaków. Dorośli i ich ważne sprawy! Byli niemożliwi. Zajęci sobą, machali rękami jak przekupki, ani myśląc o osobie najbardziej zainteresowanej. Kto wie, czy nie zrobiłbym czegoś nie do odpracowania (a ręce mnie swędziały, by dać w przycięte ucho Wiatrowi Na Szczycie), gdyby magowie nie doszli nagle do porozumienia.

Jak na rozkaz ustawili się rzędkiem, Stworzyciel pośrodku i nieco z przodu. Raptem zrobiło się uroczyście. Mrówki przeszły mi po plecach. Wiatr Na Szczycie, szczerząc zęby jak rozradowany wilkołak, położył mi ręce na ramionach. Znałem możliwości jego kasty i oczekiwałem mentalnego kontaktu. Zamiast tego między naszymi twarzami uformowały się zwiewne znaki, jakby splecione z dymu, lecz mimo to wyraźne.

Czy boisz się igiel, Tkaczu Iluzji? - przeczytałem.

Nie bałem się igieł.

Nie zapomnę Wiatrowi Na Szczycie tej historii. Stworzyciel? Umrzeć można ze śmiechu. Pomyśleć, że dałem się nabrać na krzesło z fałszywym znakiem. Hajg był po prostu Tkaczem Iluzji, tak jak i ja. Może nie po prostu. Mistrz Kręgu z pewnością nie jest kimś pospolitym.

Wiatr Na Szczycie towarzyszył mi jak cień. Od chwili jego ujawnienia porozumiewaliśmy się za pomocą napowietrznego pisma. Dowiedziałem się paru interesujących rzeczy. Magowie byli pod wrażeniem mojego pokazu. Gdyby nie świadectwo Mówcy, nie uwierzyliby, że nie słyszę. Umiejętnościami przerastałem zwykły poziom adepta. Jak bardzo - Mistrz nie chciał zdradzić, ale podejrzewam, że połowa tego, co prezentowałem, starczyłaby do zdobycia tatuażu. Rozpierała mnie radość. Jakże dumny będzie Płowy, gdy wróce do domu z certyfikatem i znakiem kasty. Tak wiele możliwości otwierało się przede mną. Wszelkie zbiory, księgi i pomoc Kręgu dla wiejskiego chłopca. Nowe obowiązki, wiele pracy, zapewne też nowe wybory do dokonania. A dlaczego taką przyjemność sprawiło moje zwycięstwo Wiatrowi Na Szczycie? Otóż było nas niewielu. Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że jest zaledwie czterech Tkaczy Iluzji w Zamku Magów i około dwóch setek rozrzuconych po cesarstwie. Liczby magów innych kast szły w tysiące. Byliśmy wygasającą grupą, czy dopiero czekał nas rozkwit?

Snułem te rozważania, leżąc na stole Mistrza Tatuazy. Jego pracownia była podobna do zakątka Monety, choć oczywiście dużo większa i jaśniejsza. Tutaj również na ścianach porozwieszano rysunki. Przedstawiały głównie barwne ornamenty, wzory kwiatowe lub stylizowane zwierzaki. Dopatrzyłem się też znaków bóstw, emblematów wyobrażających czaszki, splecione węże lub ryby - symbole płodności i urodzaju. Byłem tak zajęty rozglądaniem się dokoła, że pierwsze ukłucie zaskoczyło mnie całkowicie. Na dodatek trafiło w nerw. Podskoczyłem jak ryba rzucona żywcem na gorący olej. Mistrz Tatuazu poklepał mnie po brzuchu, gestem, jakim mógłby uspokoić nerwowego psa. Zawstydzilem się. W takich sytuacjach należy zachować hart ducha i prezentować twardy męski charakter. Wiatr Na Szczycie z pewnością pękał ze śmiechu. Popatrzyłem w stronę fotela, na którym rozsiadł się wygodnie. Nie, nie śmiał się. Oczy miał zmruczone, a na ustach błąkał mu się tylko łagodny uśmiech. Kciukiem pocierał niebieskawy pasek wiodący wzdłuż szczęki. Co wspominał? Tępe igły hajgońskiego szamana, czy swoją własną wizytę w tym miejscu przed laty?

Mistrz Tatuazu - krępy, siwawy mężczyzna - pracował bez żadnego szablonu.

Doświadczoną ręką wykłuwał wzór na skórze, posługując się igłą o grubej główce i małym zbiorniczku na farbę oraz miniaturą młotka kamieniarskiego. Obserwowałem to z uniesioną głową, dopóki nie znudziłem się i nie zabolą mnie szyja. Operacja nie była bolesna, raczej przykra. Mistrz miał ustalony rytm. Raz, dwa, trzy - szczypanie; cztery (!) - ostrze wchodzi głębiej, pięć - lekki nacisk gąbki wycierającej nadmiar barwnika. A potem od nowa. Od czasu do czasu czułem łaskotanie kropli krwi spływającej pod pachę.

Wróciliśmy z Wiatrem Na Szczycie do dyskusji o mirażach. Świetnie służyło nam w tym białe otynkowane sklepienie komnaty. W trakcie oczywiście wypłynął nieszczęsny wypadek z Iskrą, a pamiętałem też draśnięcie na twarzy Przewodnika Snów, pozostawione przez kolec mirażowego żywopłotu. Co więc w tych zjawach było prawdziwe, a co nie?

Wiatr Na Szczycie sięgnął za pas i rzucił czymś w moją stronę. Chwyciłem przedmiot odruchowo, zanim jeszcze zorientowałem się, co to jest. Zabolą aż po łokieć! To było stalowe słoneczko. Broń skrytobójców! Dwa z sześciu promieni wbiły mi się w dłoń. Osłupiałem ze zdumienia i poczucia krzywdy. W następnym momencie kawałek metalu rozpułynał się jak dym, ale krwawiące ranki pozostały.

Iluzje nie ranią. Rani wiara w nie - napisał w powietrzu Mistrz Iluzji. Skaleczyła mnie własna wyobraźnia? Dziękuję za naukę. Dowiedziałem się ważnej rzeczy, ale to nie załatało dziur w ręce. Płowy twierdził, że w każdym człowieku siedzi zwierzę. Moje zobaczyło ostrze, zanim ja sam je dostrzegłem, i teraz nadal upierało się przy swoim.

Oczywiście, znów gwałtownie się poruszyłem, wrywając Mistrza Tatuazu z ustalonego rytmu. Zbeształ mnie i Wiatr Na Szczycie. Zdaje się, że byliśmy „trudni”. Praca Mistrza Tatuazu trwała długo, choć znak miał być prosty i niezbyt duży. Przerwywaliśmy dwukrotnie, żeby odpocząć, zjeść cokolwiek i przyłożyć zimny okład.

Wreszcie postawili mnie przed lustrem. Za sobą widziałem kpiarsko uśmiechniętą gębę Wiatru Na Szczycie. To był dzień zaskoczeń. Nad lewą piersią, na zaczerwienionej skórze miałem świeży znak „Dłoń”, a pod nim, precyzyjnie odrobione pół kręgu! Co to miało znaczyć?! Byłem połową maga?! Już miałem wybuchnąć, gdy Wiatr Na Szczycie odsłonił własny znak. Jego krąg otaczający symbol kasty był złożony z dwóch połówek. Dolna była należycie czarna, ale górna błękitniała wspaniałym, jedynym w swoim rodzaju kolorem magów. Tkacz Iluzji potarł mocno emblemat. Na poróżwiałym ciele, po obu stronach znaku ukazały się podskórne blizny wieszczące: „Krąg Magów”. Z pewnością miałem takie same. Jedna z tajemnic kunsztu Mistrza Tatuazu.

Na lustrze ukazało się pismo Wiatru Na Szczycie:

Krąg pokłada w tobie wielkie nadzieje. Być może zastąpisz mnie. Teraz tylko od ciebie

zależy, czy dopełnimy twój znak czernią, czy błękitem.

Patrzyłem na swoje odbicie w lustrze, wzruszony i lekko przerażony. Ta nieszczęsna połowa kręgu była większym zaszczytem niż można by przypuszczać. Miałbym zostać następcą Wiatru Na Szczycie? Mistrzem Kręgu? Dotąd myślałem o zdobyciu certyfikatu jak o czymś ostatecznym. Tymczasem wszedłem na jedno wzgórze, a za nim ukazało się następne, wyższe. Ile musiałbym jeszcze pracować, by błękitny łuk zwieńczył czarną podstawę?

Nieświadomie uniosłem rękę, by dotknąć świeżego rysunku, na którym zasychała warstewka limfy. Mistrz Tatuazu złapał mój przegub, przyłożył tampon do rany i zaczął mnie bandażować, fachowo przeciągając długi pas płótna przez pierś i bark. Wiatr Na Szczycie przekładał na ciągi znaków długą mantrę ostrzeżeń - nie dotykać brudnymi rękami, nie drapać, nie zrywać strupa wraz z opatrunkiem, nie chlapać się w byle jakiej wodzie... Gdy ukazało się: *Przez jakiś czas unikać alkoholu*, zamknąłem oczy. Przypominam, że wychowałem się pod dachem medyka. Część życia zatrąły mi pytania w rodzaju: „Co ci zaszkodziło i dlaczego słodycze?”

Nie był to koniec zdarzeń w Zamku Magów. Z pracowni Mistrza Tatuazu Wiatr Na Szczycie zabrał mnie tak szybko, że ledwo zdążyłem się pożegnać. Trafiłem do obszernej, okrągłej sali, dookoła biegł korowód kolumn tworzących odrębny krużganek. Pośrodku stał pulpit, a na nim leżał spory przedmiot owinięty tkaniną. Kształt sugerował kasetę lub księgę. Pomędzy kolumnami zgromadziła się rzesza magów. Pamięć podsuwa mi teraz wiele tamtych twarzy. Młodych mężczyzn, którzy niedawno pożegnali wiek chłopięcy, i takich, którym lata przesiały srebrem ciemne włosy. Oblicza wyczekujące, wesołe lub zachowujące wyraz rezerwy. Zdumiałem się i speszyłem, widząc, jak wielu ich przyszło.

„Idź. Szukaj ścieżki” - podsunął mi któryś z Mówców. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, potem dostrzegłem, że wzór jasnyniebieskich linii na podłodze tworzy rodzaj labiryntu. To mi się nie spodobało. Płowy nigdy nie opowiadał o takim elemencie inicjacji. Czyżby była to subtelna pomsta za psotę w trakcie egzaminu?

Dłoń Wiatru Na Szczycie pchnęła mnie lekko i ruszyłem. Nie było łatwo. Ścieżki pętliły się, rozwidlały, kończyły ślepo... Namalował to chyba ktoś chory na umyśle. Gdy po raz kolejny stanąłem u końca dróżki-pomyłki, mając cel pozornie w zasięgu ręki, zatrzymałem się i zacząłem myśleć. Sięgnąłem do własnych zdolności. Wysłałem białą linię, by spenetrowała zakątki labiryntu, tworząc w miarę sensowną mapę. Szybko stwierdziłem, że to głupie. Operacja trwała zbyt długo. Spróbowałem zmienić system ścieżek, ale jeden rzut

oka na miny obecnych dał mi znać, że chyba łamię reguły. Wtedy dotarł do mnie Pożeracz Chmur, który gdzieś na zewnątrz walczył z otoczeniem nie dopasowanym do smoczych rozmiarów. Nie była to myśl ani obraz, tylko idea. Ciepłe dotknięcie przyjaznego uczucia, dodające otuchy. Już wiedziałem, co zrobię. Markotny chłopak, zaplątany w malowaną pułapkę, na oczach zgromadzenia zmienił się w niedużego, białego smoka. Nie dotykając posadzki „przeleciał” nad labiryntem i w elegancki sposób wylądował u celu. Przybrałem znów własną postać. Nikt nie protestował, gdy rozwijałem wzorzysty materiał pakunku. Wewnątrz znajdowała się księga. Oprawna w skórę, gruba na szerokość dłoni, z kantami zabezpieczonymi mosiężnymi blaszkami, spięta klamrą. Jak ta, która była w posiadaniu Płowego. Diariusz, gdzie mag spisuje najważniejsze fragmenty swego życia. Osiągnięcia i porażki.

Na księdze leżała złożona szarfa, jaką przewiązuje się tunikę.

„Błękit maga” - pomyślałem, biorąc ją do rąk. Owinąłem się w talii tym symbolicznym pasem. Sam - tak jak wielu przede mną. Sam dlatego, że zawsze sami odkrywamy swoje możliwości. Nikt nie uczy nas, magów, jak tworzyć miraże, przesyłać myśli czy wędrować w poza świecie. Uczą nas tylko, jak się uczyć. Podniosłem diariusz (był okropnie ciężki) i zobaczyłem, jak paru magów wyciąga w moją stronę dłonie z rozpostartymi szeroko palcami, a inni idą za ich przykładem. Zupełnie jakby chcieli przekazać w mowie rąk: symbol „Dłoń” - Tkacz Iluzji. Tkacz Iluzji - mag, jeden z nas. Nasz, włączony do Kręgu. Nasz na zawsze.

Trzymając księgę w objęciach, odwróciłem się, szukając oczyma Wiatru Na Szczycie. Roześmiany, jedną rękę uniosł nad głową, rozkładając palce. Drugą wyciągnął ku mnie. Poszedłem za tym wezwaniem.

Na tym kończył się zapis. Uniosłem głowę i spojrzałem prosto w ciemnobrunatne oczy Pożeracza Chmur. Oblizywał rysik - oczywiście język miał już zupełnie czarny. Przed nim leżała karta ze świeżym rysunkiem. Na białej płaszczyźnie rozpościerał skrzydła smok, przedstawiony w locie. Pęd powietrza przyciskał mu uszy do głowy i mierzwił futro. Na jego karku przycupnęła maleńka sylwetka człowieka.

„Wiosną. Razem” - przekazał Pożeracz Chmur.

„Razem” - potwierdziłem.

To było jak przysięga.

Wyspa Szaleńca

Niedobrze, jeśli nie pamiętasz o czyichś urodzinach.

Jeszcze gorzej, kiedy nikt nie pamięta o twoich. Nie dostaniesz śniadania do łóżka ani żadnego drobnego upominku.

Natomiast godne pozazdroszczenia jest, gdy nie znasz swojego własnego dnia urodzin. Wbrew pozorom jest to czysta przyjemność. Możesz wtedy wybrać sobie taki dzień, który będzie ci najbardziej odpowiadał.

Gdy Płowy zabrał mnie do swojego domu, byłem jeszcze bardzo mały. Moi rodzice już nie żyli. Zaraza zabrała wtedy prawie połowę mieszkańców Strzelców i nikt nie miał głowy do tego, by pamiętać, kiedy urodziła się jedna z wielu sierotek. Tylko wiejskiej akuszerce, którą choroba ominęła szczęśliwie, zdawało się, że przyszedłem na świat wiosną, gdy drzewa owocowe pokryły się kwiatami.

Przyjemnie jest otworzyć rankiem okno, zobaczyć gałęzie wiśni oblepione kwieciami. Początek dnia pachnie zroszoną trawą, kwiatami i mlekiem z porannego udoju. I już wiadomo, że to na pewno dziś, teraz, zaraz kończy się kolejny rok twojego życia.

W dniu, jaki sobie wybrałem, by skończyć szesnaście lat, siedliśmy we trójkę pod wiśniami - Płowy, Pożeracz Chmur i ja. Jedliśmy chleb z miodem. Białe płatki wpadały nam do miseczek z lepką słodyczą. Pszczoły siadały na kromkach. Dmuchałyśmy, by je odpędzić. Oblizywaliśmy umazane miodem palce i śmialiśmy się bez wyraźnego powodu. Tylko dlatego, że dzień był pogodny i kwitły wiśnie.

Dzień urodzin, nawet jeśli są to urodziny maga, nie jest aż tak ważnym wydarzeniem, by opisywać je dokładnie w kromce. Chyba jednak powinienem o nim choć wspomnieć, gdyż właśnie wtedy Pożeracz Chmur zadziwił mnie po raz kolejny.

Pozostając w ludzkiej postaci, był podobny do mnie. Ten sam wzrost, waga, kształt głowy, uszu, a nawet identyczne zęby. Dlatego zresztą pełnił w naszym domu rolę szczęśliwie odnalezionego po latach mego ciotecznego brata. Historia ta wycisnęła lży z oczu wszystkich mieszkańców osady. Ale nie w tym rzecz. Przyzwyczailem się, że po obejściu krąży moja kopia - długonogi, kanciasty dryblas, sprawiający wrażenie, że ma za dużo kolan i łokci. Aż tu nagle, właśnie podczas śniadania pod wiśniami, spostrzegłem wyraźną zmianę. Pożeracz Chmur raptem zrobił się dużo zgrabniejszy, szerszy w ramionach i ogólnie jakby doroślejszy. Kiedy go o to spytałem, odparł spokojnie:

„Dopasowałem się.”

„Do czego?”

„Do ciebie.”

Minę musiałem mieć nieszczególną, bo Pożeracz Chmur strasznie się uśmieł. Lecz czy to moja wina, że w domu nie było ani jednego dużego lustro? Jakoś nie dał mi do myślenia fakt, iż wszystkie koszule zrobiły się ostatnio dziwnie ciasne.

Okazało się, że Pożeracz Chmur nie rośnie normalnie, tylko „dopasowuje się”. Przynajmniej jako człowiek, a nie smok. Coś w tym było. Zauważyłem rozmaite drobne szczegóły, które różniły Pożeracza Chmur od zwyczajnego człowieka. Nie potrzebował się strzyc. Po prostu jego włosy nie wydłużały się. Podobnie było z paznokciami. Co jakiś czas widziałem, jak złuszczają się w postaci cieniutkich płatków, podobnych do rybich łusek. Nie spostrzegłem też, by się pocił. Możliwe, że było to zaletą. Ktoś, kto myje się równie rzadko jak Pożeracz Chmur, powinien cuchnąć niczym zaniedbana obora. Z czasem doszedłem do wniosku, że Pożeracz Chmur nie ma własnego zapachu. Przyjmował woń otoczenia, co specjalnie sprawdzałem. W zależności od tego, gdzie przebywał przez dłuższy czas, czuć go było sianem, wełną, roślinami, drewnem lub zwierzęcą sierścią.

O tym, jak znakomicie widział w ciemnościach, przekonał się nie raz Płowy, gdy Pożeracz Chmur budził go, urządzając nocą łowy na myszy. Chwytał je ręką. O tym, jaki był silny, chyba już wspominałem. Po prostu osobliwość.

Zgromadziliśmy wraz z Płowym ogromną liczbę notatek o Pożeraczu Chmur i jego obyczajach. Materiały rozrastały się jak gałęzie drzewa. Odpowiedź na jedno pytanie rodziła dwa następne. Wkrótce doszliśmy do wniosku, że pogubimy się w stosach papieru, jeśli nie zaczniemy prowadzić rejestru. Lecz to jeszcze mnie nie zadowalało. Im więcej Pożeracz Chmur opowiadał o swoim „domu”, tym bardziej pragnąłem znaleźć się tam razem z nim. Zobaczyć dalekie Południe. Wysokie drzewa o pierzastych koronach, węże, syreny i ogromne lewiatany. Poczuć pod stopami gorący jak lawa piach na plażach Smoczyc Wysp. Przekonać się, czy rzeczywiście leżą na nich muszle większe od ludzkiej głowy. Wręcz śniłem o tym po nocach. Marzenie zaczęło graniczyć z obsesją. Ojciec oczywiście nie pochwalał moich planów, choć przyznawał, że okazja do obserwacji rodziny smoków na ich własnym terytorium mogłaby już się nie powtórzyć. O dziwo, Pożeracz Chmur również był przeciw. Długo krążył wokół tematu, aż wreszcie niepewnie wysunął przypuszczenie, że mógłbym zostać niemiłe przyjęty. Więcej rozmawiał o tym z Płowym i dopiero on uświadomił mi brutalnie, co to może oznaczać. Mógłbym zostać zabity, pożarty lub okaleczony, zależnie od humoru rodziny mego przyjaciela. Pożeracz Chmur był bystry, miły, towarzyski i na swój sposób dobrze wychowany, ale nie powinno się jego cech przypisywać całej rasie. Jasna

rzecz, że Płowy miał rację, a Pożeracz Chmur był w tej sprawie dużo rozsądniejszy ode mnie. Ja właściwie nie przejawiałem żadnego rozsądku. Nie wierzyłem w niebezpieczeństwo. Pamiętałem dobrze wielką mapę, wiszącą na ścianie w domu pewnego Mówcy. Na jednej z wysp Smoczego Archipelagu tkwiła szpilka o niebieskiej główce, oznaczająca maga imieniem Słony. Zaryzykował i przeżył, a przecież nie miał ochrony, jaką mnie zapewniłby Pożeracz Chmur.

„Smoki są niebezpieczne” - powtarzał Płowy aż do bólu rąk.

„Smoki są neutralne” - odpierałem uparcie, ciesząc się w duchu, że jestem już za duży, aby posyłać mnie za karę do łóżka o suchym chlebie.

Wszystko to działo się jeszcze przed moimi szesnastymi urodzinami. Ogromnie dużo czasu zajęło mi „zmiękczenie” Pożeracza Chmur. Zniżyłem się nawet do błagań i przekupstwa (uwielbia surową szynkę z miodem).

Potem nadszedł dzień, w którym zdecydowałem się ukończyć kolejny rok życia. Pożeracz Chmur wraz z Płowym wręczyli mi podarunek. Był on dla nich jednocześnie przyznaniem się do porażki. Płonąc z ciekawości, rozwinąłem warstwę nasączonego olejem płótna. Okrywało długie, szerokie ostrze czegoś pośredniego między mieczem i nożem. Świetnie wyważone, z rękojeścią dobrze leżącą w dłoni. Niewiele miałem dotąd do czynienia z bronią, ale ten kawałek metalu od razu przypadł mi do serca.

„Płowy zamówił u kowala” - przekazał Pożeracz Chmur. - „Jest odpowiedni do obrony, ścinania gałęzi i patroszenia ryb. Rybacy z Morza Syren takich używają.”

W ten sposób dowiedziałem się, że jednak stanę na najdalszym krańcu Smoczego Archipelagu.

Nie warto rozwodzić się nad przygotowaniem do podróży. Pisać o tym, jak setki razy przepakowywaliśmy rzeczy, które miałem zabrać. Ciągłe zmniejszaliśmy ich liczbę. Wiedziałem dobrze - czego nie wezmę, tego nie będę miał. Smocze Wyspy nie obfitowały w sklepy. Z drugiej strony - Pożeracz Chmur był w stanie unieść tylko ograniczony ciężar.

Ojciec walczył o każdy drobiazg. W końcu musiałem mu wytłumaczyć, że nie jest ważne, czy będę miał co na siebie włożyć, tylko to, czy będę miał co jeść.

W ten sposób mój bagaż ograniczył się do starannie dobranego zbioru narzędzi, najniezbędniejszej odzieży, podstawowego zestawu leków i opatrunków oraz garnka i łyżki. Ciasno zwinięty rulon zawierał około pięćdziesięciu arkuszy papieru i paczuszkę z rysikami niezbędnymi do sporządzania notatek i rysunków.

Dorzuciłem do tego wszystkiego hamak, gdy Pożeracz Chmur mimochodem wspomniiał o skorpionach. Paskudztwo!

Studiowaliśmy wszystkie mapy dostępne w domu Płowego, ustalając trasę podróży i najdogodniejsze miejsca odpoczynku. Pożeracz Chmur przechwalał się, że mógłby lecieć nawet trzy dni bez zatrzymania, lecz ostudziłem jego zapał. Nie wybieraliśmy się na wyścigi.

Gdy wyruszaliśmy, słońce dopiero wspinało się ku horyzontowi. Wszystko było wilgotne od rosy. Grube krople wisały na źdźbłach trawy i na brzegach liści. Spadały zniecka na szyję z poruszonych gałęzi.

Płowy odprowadził nas do połowy drogi. Wciąż jeszcze zdawało mi się, że czuję jego uścisk na pożegnanie. Miałem lekkie wyrzuty sumienia, że znów zostawiam go samego, ale tak bardzo, bardzo ciągnęło mnie w świat.

Wybraliśmy zakątek odległy od wsi, by mieć pewność, że nie zaskoczy nas nikt niepożądany. Kępa zarośli zapewniała nam osłonę, a rozległy szmat łąki tuż obok - wystarczająco dużo miejsca do rozwinięcia skrzydeł. Pożeracz Chmur rozejrzał się powoli. „Nikogo” - zakomunikował. - „Odbieram tylko zwierzęta. Stado krów i psy, ale dość daleko.”

Rozpoczęliśmy przygotowania. Rozwijałem i układałem uprząż dla Pożeracza Chmur. Starłem się omijać go wzrokiem. Jadł łączywie, rozrywając zębami wielki kawał surowej wątroby. Krew spływała mu po brodzie i kreśliła czerwone linie na przedramionach. Wyglądało to obrzydliwie, lecz było usprawiedliwione. Pożeracz Chmur potrzebował energii do przemiany. Było to podobne do wrzucania drewna w palenisko. A że paliwem musiało być akurat świeże mięso? Ostatecznie był smokiem.

Tymczasem słońce podniosło się wyżej. W szybkim tempie spijało rosę. Pożeracz Chmur przełknął ostatni kęs i oblizał palce. Zaczął rozbierać się, rzucając niedbale części ubrania na trawę. Skupiony, ze zmarszczonymi brwiami, zatoczył niewielkie kółko, badając trawę bosą stopą. Kręcił się, wybierał miejsce niczym pies szykujący się do snu.

„Trochę mokro.”

„Poczekaj jeszcze chwilę” - poradziłem, składając jego tunikę.

Chciałem wycofać się dyskretnie. Zostawić go samego, wiedząc, że nie lubi świadków podczas transformacji.

„Zostań” - poprosił niespodziewanie. - „Denerwuję się. Wolałbym mieć kogoś przy sobie.”

Ja też byłem niespokojny. Pamiętałem zdarzenie sprzed niespełna roku, gdy omal nie

straciłem przyjaciela. Bałem się nieprzewidzianych komplikacji, a jednocześnie byłem ogromnie ciekaw, jak też wygląda smocza przemiana. Niewielu ludzi ją oglądało, a już na pewno nie z bliska.

Pożeracz Chmur wybrał wreszcie najsuchszy kawałek murawy. Położył się na wznak, zamknął oczy. Przekazał jeszcze:

„Trzymaj się na odległość przynajmniej czterech kroków.”

Po czym nagle zerwał kontakt. Odciął się tak gruntownie, jakby zamknął między nami grube drzwi. Pierś Pożeracza Chmur unosiła się i opadała w głębokim, regularnym oddechu. Za którymś razem opadła i nie wzniosła się już. Przycisnąłem pięść do ust tak mocno, że zaboląły mnie wargi rozgniatane na zębach. Bezwładne ciało, bezbronne w swej nagości, na moich oczach stało się rzeczą. Pożeracz Chmur był blady jak jesienny księżyc. Coraz bledszy. Zorientowałem się, że tak samo bledną jego włosy, brwi, rzęsy... Tracił barwę, niczym obrazek zbyt długo pozostawiony na słońcu. Jego rysy były coraz mniej wyraziste. Ciało leżące przede mną traciło kształt jak figura ulepiona z miękkiego ciasta. W końcu stało się tylko nieforemną bryłą.

Cofnąłem się. Ziemia leciutko drgała pod stopami. Powietrze pachniało jak po burzy. Pierwotna materia rosła, wysuwając niby-łapy. Zagarniała grunt dookoła, wchłaniała go niczym łakoma, ślepa bestia. Proces trwał. Materia formowała się. Wpierw nabrała ciężkich, niezgrabnych konturów niedźwiedziowatego zwierza, niczym zabawka wycięta nożem z drewna, powiększona do olbrzymich rozmiarów. Potem pojawiły się smukłe, eleganckie kształty, coraz bardziej przypominające smoka. Rozwijały się skrzydła, mięśnie układały na swoich miejscach, wyrastało futro. Wreszcie pojawił się przede mną Pożeracz Chmur w nowej (starej?) postaci, ukończony do ostatniego włosa. Długą chwilę czekałem, aż się poruszy. Otworzył oczy, powiódł dookoła wzrokiem, nieco oszołomiony. Potrząsnął głową, wstał i przeciągnął się.

„No i po bólu” - stwierdził, zadowolony, wyłaząc z głębokiej dziury i wytrząsając grudki ziemi z futra. Odetchnąłem i z rozmachem siadłem w trawę. „Więc to boli?” - spytałem.

„Tylko wtedy, gdy coś pomylisz” - Pożeracz Chmur węszył w powietrzu i nastawiał uszy, lekko roztargniony. -”Jestem głodny. W pobliżu są krowy...” „Tylko nie to!”

„Dlaczego nie?” - zapytał niedbale. „To stado należy do kogoś.”

Pożeracz Chmur zmarszczył nos i spojrzał zezem. „Ktoś je upolował?” „Nie, ale...”

Nie pozwolił mi dokończyć.

„Muszę się najść, więc nie marudź. Czyjeś może być zabite mięso albo miejsce do

spania. Czyjs może być ogon, ale nie zwierzak, który łązi luzem i czeka na zjedzenie. Chciałbym, żebyś wreszcie zaczął myśleć logicznie.”

Nie miałem sił, by się z nim kłócić. Smocza logika! Gdy Pożeracz Chmur był głodny, nie docierało do niego absolutnie nic. Wzbił się w powietrze, zostawiając mnie samego z ponurymi wizjami szkód, jakie wyrządzi. Poszukałem w pamięci, kto też może wypasać byłoby właśnie w tej okolicy. Ledwie uwierzyłem własnemu szczęściu. Zębaty! Najbogatszy gospodarz w okolicy. Wstrętny sknera i złośliwiec. Przed trzema laty ściągnął mnie z brzoskwini w swoim wielkim sadzie i złoił skórę laską. Zaśmiałem się w kułak.

„Smacznego, Pożeraczu Chmur” - pomyślałem, złośliwie rozbawiony. - „Jedz, ile się zmieści.”

Zemsta jest słodka jak wino, nawet ta niezamierzona.

Nic nie da porównać się z powietrzną podróżą. Przyjemność oglądania świata z góry wynagradza w pełni niewygody. Nie szkodzi, że paski uprząży wpijają się w ciało, a po kilku godzinach spędzonych bez ruchu człowiek czuje się jak kawał drewna.

Najpierw lecieliśmy wzdłuż rzeki, która zaprowadziłaby nas aż do siedziby Kręgu. Wiła się nisko w dole niczym długachny, błękitny wąż. Lasy wyglądały jak ogromne zielone dywany, gdzieniegdzie tylko podziurawione porębami. Przelatywaliśmy nad licznymi osadami, złożonymi z domków maleńkich jak pudełka. A pola wokół nich przypominały pokryty różnokolorowymi łatami płaszcz włóczęgi.

Pożeracz Chmur trzymał się wciąż wysoko, tam, gdzie błdziły powietrzne strumienie. Ślizgał się na nich, oszczędzając siły.

Niezauważalnie zboczyliśmy w stronę Wzgórz Iluzyjnych. Nie było pod nimi podpisu, jak na mapie, lecz byłem pewien, że to muszą być one. Pojawiły się przed nami niby ogromne, śpiące zwierzęta pokryte zielonym futrem. Pożeracz Chmur zniżył lot. Obserwowaliśmy, jak jego cień pełza po zboczach pagórków niczym żywe stworzenie. Niezamierzenie ploszyliśmy stada owiec. Zabawnie wyglądały - białe, ruchome kleksy, zaganiane przez czarne punkciki - pasterzy i psy. Z jeziora zamkniętego pośród wzgórz, przelewał się wodospad dając początek rzece o nazwie Siostra, która miała poprowadzić nas aż do Morza Syren. Zachwyceni tym widokiem, krążyliśmy przez kilka minut nad kotłującą się wodą, białą od piany. Wilgoć rozpylona w powietrzu osiadała na sierści i ubraniu, co nie było najprzyjemniejsze, lecz jednocześnie dzięki temu słońce mogło stworzyć przepiękną tęczę. Z żalem porzuciliśmy to cudowne miejsce.

„Szkoda, że nie można wziąć choć kawałka tęczy na pamiątkę” - pomyślałem, a Pożeracz Chmur natychmiast mnie poprawił.

„Możesz zabrać ją całą. W głowie, kwiatuśku!”

Nie lubiłem, gdy nazywał mnie kwiatuśkiem albo szczeniátkiem, ale miał rację. To, co zobaczyłem, pozostawało na zawsze moje. Zapamiętane i do odtworzenia w każdej chwili za pomocą talentu maga.

W ciągu tego dnia pokonaliśmy ogromny dystans. Pożeracz Chmur przeleciał nieporównywalnie większą odległość niż podczas naszej poprzedniej podróży, która teraz wydała mi się po prostu wycieczką. Spędziłem wiele godzin na smoczym karku. Wszystkie mięśnie gwałtownie protestowały przeciw takiemu traktowaniu. W końcu zacząłem prosić o lądowanie. W górze można jeść, na upartego nawet spać, lecz z pewnością nie da się zrobić rzeczy wymagających odosobnienia.

Wylądowaliśmy na brzegu Siostry. Rozpiąłem sprzączki, niezdarnie zsunąłem się po skrzydle i padłem jak podcięty kłos. Zdrętwiałem tak straszliwie, że nie byłem w stanie chodzić.

Pożeracz Chmur, nie bacząc na mój sprzeciw, zaczął tacać mnie łapą po murawie. Zupełnie jak kot bawiący się myszą.

„Przestań wyc” - zrzędził. - „Czy to aż tak boli?”

W chwilę potem wyczułem nagle jego ból i zdziwienie. Przestał mnie miętosić. Ujrzałem stojącego obok starego człowieka, wygrażającego Pożeraczowi Chmur długą laską. Smok tarł nos łapą. Najwyraźniej przed chwilą oberwał. Nie wierzyłem własnym oczom.

Staruszek wyglądał jak żywcem wyjęty z dziecięcej bajki. Długa, siwa broda, spiczasty kapelusz z rondem szerokim niby strzecha, no i ta laska.

Pożeracz Chmur, zły, już zaczynał pokazywać zęby.

Uspokoilem go.

„Zostaw. Lepiej spytaj, czy można tutaj kupić mleko.”

„Ja mam pytać?” - zdumiał się.

„Przecież nie ja” - odparłem, otrzepując się z suchej trawy. - „Tylko uprzejmie.”

Uprzejmość w wykonaniu Pożeracza Chmur wyglądała następująco: skrzyżował przednie łapy, zgiął szyję... i dygnął zupełnie jak mała dziewczynka! Rzecz trudna do opisanania. Omal nie posiusiałem się ze śmiechu. Staruszek aż usta rozdziawił i podgiął końcem laski rondo kapelusza, by lepiej widzieć. Pożeracz Chmur wpierw strasznie się zmieszał, a potem postanowił udąć, że nic go to nie obchodzi.

Okazało się, że dziadek wypasa bydło po drugiej stronie zagajnika, rosnącego tuż

obok. Dostaliśmy mleko. Ja w kubku, Pożeracz Chmur w wiadrze. Zapłaciłem za nie zupełnie śmieszną sumę. Pożeracz Chmur, tymczasowo uwolniony od bagaży, z rozkoszą tarzał się w trawie. Obserwowało go z filozoficznym spokojem stado tłustych, rdzawobrzązowych krów. Równie spokojny był pasterz. Żuł jakieś liście, ruszając powoli szczęką niczym któraś z jego podopiecznych. Spytałem go za pośrednictwem Pożeracza Chmur, dlaczego smok przebywający w pobliżu dorodnego stada, robi na nim tak niewielkie wrażenie. Starzec splunął różowym sokiem i wzruszył ramionami.

„Smoki?” - przekazywał Pożeracz Chmur jego słowa. - „Pełno tu tego lata. Jakbym nie gonił, to by na łeb wlażyły. Zawsze parę wiader mleka postawię, to wypiją i zwierzaki mi w spokoju zostawią. Po lasach sarny łapią, węże na bagnach. Da się żyć...”

Nawet nie bardzo mnie to zdziwiło. Te żyzne niziny i mokradła były już północną granicą występowania smoków, gdzie obie rasy, smocza i ludzka żyły tuż obok siebie i musiały jakoś się nawzajem tolerować.

Dwa dni później staliśmy wraz z Pożeraczem Chmur na samym końcu Półwyspu Wojennego. Przed nami były już tylko niebiesko-szmaragdowe wody oceanu. Gdzieś za tą masą falującego żywiołu leżał łańcuch wulkanicznych wysp. Kiedyś, dawno temu nazywanych przez lud/i Nową Ziemią, a teraz Smoczym Archipelagiem.

„Dlaczego Nową Ziemią?” - spytał Pożeracz Chmur.

„Przybyliśmy stamtąd” - pokazałem palcem na zachód. - „Tak w każdym razie stoi w kronikach. Zza oceanu przyplłynęły okręty, a na nich wojownicy i magowie. Najpierw zajęli wyspy, potem poszli dalej i to nazywamy Erą Rozproszenia.”

„I co dalej?”

„Dalej żyli długo i szczęśliwie. Nie licząc kilku wojen, pomorów, rewolucji i paru cesarzy idiotów.”

„Żartujesz.”

„A potem pojawiły się smoki. Najpierw kilka, potem więcej. Zanim się kto spostrzegł, rozmnożyły się jak karaluchy.”

„Odgryzę ci ucho, chcesz?” - zaproponował Pożeracz Chmur.

Takie rozmowy prowadziliśmy często. Wbrew pozorom, pozbawione były gniewu. Dogryzaliśmy sobie bez złości, bawiąc się tylko pojęciami i wynajdując coraz to nowe elementy do naszego prywatnego języka myśli. Zabawialiśmy się tak podczas przelotu nad

cieśniną łączącą Morze Smoków z Morzem Syren. Jaszczur - największa z wysp archipelagu, przypominała przyczajoną bestię. Wydawało się, iż oddycha. Z krateru wulkanu, który górował nad wierzchołkami drzew niczym wielka, stożkowa wieża, unosiło się pasemko siwego dymu.

„Miewaliśmy trzęsienia ziemi” - wspomniał mimochodem młody smok.

„Dobrze znasz te okolice?”

„Tutaj wyszedłem z jaja” - przekazał krótko i zmienił szybko temat, nie wiadomo czemu.

Nie zatrzymaliśmy się na Jaszczurze. Pożeracz Chmur zignorował też następne wyspy, przesuujące się pod nami jak duże, zielonkawe żółwie wodne. Kilkakrotnie widzieliśmy szybujące nad falami smoki. Odległość odbierała im konkretną barwę, zmieniała w ruchome kształty, nie groźniejsze niż gnane wiatrem liście.

Odpoczywaliśmy tylko raz. Na skrawku lądu tak małym, że był prawie rafą. Niewiarygodne, lecz było tam źródło słodkiej wody i mogłem uzupełnić zapas. Potem był już tylko długi, wyczerpujący lot. Piekły mnie oczy, chłostane wiatrem. Pękały wysuszone wargi. Współczułem Pożeraczowi Chmur. Jeśli mnie tak męczyła rola bagażu, jak znużony musiał być on? Widoki były monotonne - woda, woda, jeszcze więcej wody. Pojawiające się od czasu do czasu stada koni morskich stanowiły słabą rozrywkę. Pożeracz Chmur wyłączył się, pozostając sam na sam z własnymi myślami. Jakiś czas bawiłem się stwarzaniem miraży, potem zacząłem coraz częściej ziewać, a w końcu, nie wiadomo kiedy, zasnąłem, przytulony do ciepłej smoczej szyi.

Obudziłem się, gdy byliśmy już na miejscu. Pożeracz Chmur wylądował ciężko jak wór mąki zrzucony z dachu.

„Oto mój dom” - przekazał. Był zmęczony, ale szczęśliwy, a jednocześnie trochę zaniepokojony. W jego wnętrzu kłębiły się skomplikowane uczucia trudne do ogarnięcia i nazwania.

Wielki krąg słońca zniknął właśnie za horyzontem. Na naszych oczach złocista plaża szarzała. Zieleń przybrzeżnych zarośli stawała się jednolitym pasem czerni. Wysmukłe pnie drzew, pochylających się nad piaskiem, zmieniały się w płaską wycinankę na tle jaśniejszego nieba. Na morzu słał się pas złotych cętek, utkany przez ostatnie promienie zachodzącego słońca. Jego doskonałość psuła ciemna plama przybrzeżnej skały, sterczącej z wody niczym grzbiet olbrzymiej ryby.

Rozprostowałem ściernięte kończyny. Uwolniłem Pożeracza Chmur od ciężaru pakunków i rzemieni. Z nawyku nawiązał pełny kontakt. Razem słuchaliśmy szumu fal i tajemniczych szelestów dochodzących z lasu. Coś pohukiwało w ciemności, coś zaskrzeczało krótko i umilkło, zdławione.

„Rodzice są chyba po drugiej stronie wyspy.”

„Poczekajmy do rana” - zaproponowałem.

Odgłos przedzierania się przez gałęzie zwrócił naszą uwagę. Zobaczyłem dwie czerwone, świecące plamy zawieszona w mroku. Oczy smoka.

„Mama?!” - ucieszył się Pożeracz Chmur.

„Ojciec?...” - powtórzył, już mniej pewnie.

To, co nastąpiło chwilę później, w niczym nie przypominało czulego powitania. Z zarośli śmignął długi, ciemny kształt i rzucił się Pożeraczowi Chmur do gardła. Stałem jak wryty, zszokowany podwójnie - widokiem śmiertelnych zapasów i nagłym zerwaniem mentalnej więzi. Dwa ciała kotłowały się, sypiąc na wszystkie strony piachem. Wyglądało na to, że obaj przeciwnicy próbują rozerwać się nawzajem na strzępy. Trwało to pewnie parę chwil, ale dla mnie jakby upłynęły godziny. Pożeracz Chmur przegrywał. Obcy smok przycisnął go do ziemi i gryzł zapamiętałe.

Zacisnąłem pięści, całą siłą woli zmusiłem się do opanowania. Stworzyłem wodną bombę i cisnąłem nią w napastnika. Zaskoczenie było pełne. Pożeracz Chmur zdołał się uwolnić. Posłałem następną kulę wody, która rozbiła się dokładnie w miejscu, gdzie wściekle płonęły czerwone ślepia.

- Skala! Uciekaj! Skala! - stworzyłem dźwięk widmo, skierowany do Pożeracza Chmur.

Nie czekając na nic, rzuciłem się w wodę. Najpierw biegnąc po płyciźnie, poteni brnąc po pas i pierś, aż do rafy. Iluzja okrzyku była na tyle udana, że Pożeracz Chmur zrozumiał. A ciągi, jakie zebrał i strach przed następnymi zwyciężyły jego naturalny lęk przed wodą. Przycupnęliśmy na tym żalonym kawałku kamienia, mokrzy i przestraszeni.

„Wścieka się” - przekazał Pożeracz Chmur. - „Rozwłóczy twój dobytek.”

Posłałem na plażę następną bombę - tym razem uwił z jaskrawych płomieni. Nicelnie, gdyż smok uskoczył w ostatniej chwili. Z plaży popłynął ku nam strumień plugawych przekleństw, oraz przykre wizje naszego losu przekazywane wprost do mózgu - rozrywanie, topienie w odchodach, duszenie własnymi wnętrznościami wpychanymi do gardła...

W odpowiedzi wysłałem następny ognisty pocisk, a poprawiłem wodnym, znów

celując w oczy.

„Poszedł” - odetchnął Pożeracz Chmur.

„Kto to?”

„Szaleniec.”

„To od razu widać. A poza tym? Tutejszy?”

Pożeracz Chmur otrząsnął się wściekle, aż straciłem równowagę i uczepliłem się jego sierści.

„Szaleniec” - złościł się. - „Stuknięty. Chory na głowę. Żeby mu żaby w brzuchu się zalęgły! Żeby sobie własny ogon odgryzł! To nasze terytorium!”

„Coś musiało się zmienić.”

Pożeracz Chmur rozpacział.

„Gdzie moja rodzina?! Ten wstrętny staruch zawsze mieszkał na sąsiedniej wyspie!”

Tkwiliśmy uwięzieni na rafie. Mój towarzysz twierdził, że Szaleniec wycofał się wprawdzie z plaży, lecz czai się w krzakach, czekając tylko na okazję. Beznadziejna sytuacja. Obolały i przemoczony Pożeracz Chmur rozkleił się całkiem. Dygotał jak przerażony szczeniak. Musiałem go głaskać i uspokajać. Role odwróciły się. Nie on mnie ochraniał, lecz ja jego. Czuwałem, podczas gdy młody smok zwinął się w niewygodnej pozycji, ledwo mieszcząc się na skale i zasnął. Raz i drugi dotarł do mnie niewyraźny przekaz z wyspy, który można by zapisać znakiem: „Złodziej”. Wypatrywałem na brzegu czerwonych oczu, lecz nie pojawiły się. Noc była ciepła, nawet bardzo. Kurtki pozbyłem się już na brzegu. Teraz zdjąłem buty i schłem w podmuchach tropikalnej bryzy. Gwiazdozbiory świecące nad głową były znajome, choć ustawione nieco inaczej niż w domu. Wyławiałem z gwiazdnej kaszy Pętlę, Jednorożca, Gryfy ciągnące Rydwan, Byka pochylającego groźny łeb przed Centaurem.

Śpiący Pożeracz Chmur zerwał się nagle, omal nie zwałając mnie do wody.

„Ogon! Mój ogon!”

„Uspokój się! Do czarnej zarazy! Przywalę ci, przysięgam!”

Pożeracz Chmur przekręcił głowę do tyłu w karkołomny sposób, oglądając swój skarb.

„Coś mnie chwyciło za ogon!”

„Duża zębata ryba” - zasugerowałem.

„Albo syrena” - uzupełnił, wzdychając ciężko, już spokojniejszy. Podwinął ogon pod siebie i legł ostrożnie z powrotem.

„Szaleniec nazwał nas złodziejami.”

Pożeracz Chmur zmieszał się jakby i zaczął tłumaczyć:

„Szaleniec ma nie po kolei w głowie. Zbiera muszle, kamienie i różne blaszki. Wszystko to, co się błyszczy. Wariat, śpi na tych śmieciach. Kiedy byłem szczeniakiem, dla zabawy podbierałem mu to i owo. Chowalem, wyrzucałem, podrzucałem z powrotem... Szalał, ganiał mnie, skarżył rodzicom. Nieraz oberwałem, ale miałem rozrywkę. Teraz mu się wyraźnie pogorszyło.”

„Jak się czujesz?”

„Lepiej. Zagoiłbym się szybciej, gdybym nie był taki zmęczony.”

Jedną z przedziwnych właściwości Pożeracza Chmur było szybkie powracanie do zdrowia. Kilkakrotnie widziałem, jak zasklepiały się na nim w parę minut głębokie skaleczenia i to tak, że śladu po nich nie było. Tak samo i teraz. Obrażenia, które posłałyby człowieka do łóżka na parę tygodni, na nim goiły się w ciągu kilku godzin.

Szaleniec zrezygnował z pilnowania nas dopiero nad ranem. Przezornie odczekaliśmy jeszcze jakiś czas, zanim zdecydowaliśmy się powrócić na plażę. Moje rzeczy leżały porozrzucane w nieładzie. Ucierpiało kilka paczek, przebitych ostrymi kłami. Oglądałem je, próbując na oko ocenić szkody. Straciłem część soli i z pewnością czekało mnie trochę cerowania. Zastanawiałem się, jak załadować cały ten kram z powrotem w podarte torby, gdy Pożeracz Chmur wpadł w nagłe podniecenie.

„Ojciec! To mój ojciec! Tam, na Wyspie Szaleńca!”

Oślaniając ręką oczy od słońca, popatrzyłem w kierunku, w którym wyciągał szyję. Nad sąsiednią wyspą, oddaloną o parę strzałów z łuku, krążył skrzydlaty kształt.

„Jesteś pewien, że to nie ten wariat?” - spytałem.

Pożeracz Chmur prawie się obraził. Miałby nie rozpoznać własnego rodzica?

W pełni zrozumiałe, że tęsknił, że spieszyło mu się, ale naprawdę długo nie mogłem mu wybaczyć tego, co zrobił. Nie czekając, aż się pozbieram, ani nawet na to, że bym na niego wsiadł, złapał mnie zębami za kołnierz i zerwał się do lotu nagle, jak spłoszony ptak. Spróbujcie przebyć nawet niewielki dystans, zwisając jak łachman ze smoczej paszczy, z nogami dyndającymi nad przepaścią!

Pożeracz Chmur długo witał się z rodziną, a ja przez cały ten czas usiłowałem nakłonić własne serce, by zlazło mi z gardła w niższe rejony.

Ojciec Pożeracza Chmur nazywa się po prostu Pazur. Matka nosi skomplikowane imię

złożone z szeregu określeń z trudem przetłumaczalnych na ludzki język. „Dobra”, „Miła”, „Spokojna”, „Łagodna”, „Kochająca” - takimi znakami opisywał ją syn. Wybrałem jeden i tak stała się dla mnie Łagodną.

Lecz jak zwało się to stworzenie, które, korzystając z nieuwagi dorosłych, przydreptało, by zapoznać się z nieznanym? Nie oglądałem do tej pory żadnych smoczycych dzieci, ale byłem przekonany, że braciszek Pożeracza Chmur jest najładniejszym szczeniakiem pod słońcem. Ufny, jak zwykle dzieci, niemal natychmiast wpakował mi się na kolana. Ciągnął za tasiemki przy koszuli, wściubiał nos w rękawy, łapał pyszczkiem za palce. Nie miał jeszcze zębów, prócz małych kielków, ale te były ostre jak szpilki! Trzymałem tę małą, ruchliwą kulkę w objęciach, a mój zachwyty był tak szczery i bezkrytyczny, że z miejsca zaskarbiłem sobie przychylność Łagodnej. Która matka nie lubi, gdy chwali się jej dziecko? Szczenię było niewiele większe od dorosłego kota. Aż dziw, że z tego drobiazgu miało wyrosnąć po latach stworzenie o rozmiarach Pożeracza Chmur.

Łagodna podeszła blisko. Prawie dotykała mnie nosem. Nie przyszło mi do głowy, że powinienem się choćby zaniepokoić. Przyzwyczaiałem się do wyglądu Pożeracza Chmur i nie robiły już na mnie wrażenia ani ostre zęby, ani oczy w kolorze demonicznej czerwieni. Wyciągnąłem rękę, ufny jak dziecko i położyłem ją na białym pysku Łagodnej. Gdyby na miejscu Łagodnej stał Pazur, już nie miałbym czym pisać tych znaków. Lecz o tym dowiedziałem się nieco później.

Łagodna nawiązała kontakt myślowy. Przez chwilę orientowała się w zawartości mego umysłu. Rozpoznawała znaki i obrazy, które dla mnie i Pożeracza Chmur były całkiem łatwym, przyjemnym sposobem porozumiewania się. Takie moszczenie się cudzego „ja” zwykle z początku jest nieprzyjemne.

Łagodna oświeciła mnie:

„To jest ona.”

Zaskoczony, przekazałem, że nie rozumiem.

„Pożeracz Chmur ma siostrę.”

Świeżo upieczony starszy brat poruszył uszami w sposób będący odpowiednikiem ludzkiego wzruszenia ramionami. Zabawne. Był absolutnie przekonany, że w domu zostanie małego braciszka.

Odrężony, rozbawiony, poszukałem wzrokiem Pazura. Siedział oddalony o dobre dziesięć kroków. Przygarbiona sylwetka, stalowoszara, jak wycięta z cienia. Uszy położył po sobie. Szkarłatne oczy patrzyły nieźyczliwie. Mój dobry humor ulotnił się jak zdmuchnięty kurz.

Urządziłem się na Wyspie Szaleńca. W przyjemnym zakątku, gdzie pnie drzew wyrastały z piasku - jeszcze nie las, a już nie goła plaża. Śmieszne liście-pióropusze dawały cień chroniący przed morderczym słońcem. Rozwiesiłem hamak między drzewami. Znalazłem miejsce do rozpalenia ognia. Gdzieś w głębi wyspy było źródło i niewielki strumień wlewał swe wody do oceanu. Na plaży słodka woda mieszała się ze słoną, lecz wystarczyło wejść w zarośla, by zaczerpnąć kryształowo czystego nurtu. Wśród zieleni buszowały stada bajecznie kolorowych ptaków. W morzu śmigały ławice barwnych ryb. Wokoło fruwały, biegały, pęzały i skakały zwierzęta w większości nie znane mi z nazwy. Znalazłem na smoczej wyspie rośliny, których nie umiałem nazwać, ani nawet nie widziałem podobnych w zielnikach Płowego.

Wciąż było niesamowicie gorąco, więc za cały strój służyły mi tylko przepaska na biodrach i sandały, chroniące stopy przed rozpalonym piaskiem i ostrymi muszlami. Tunikę wkładałem tylko wtedy, gdy wybierałem się w głąb wyspy, między drapiące gałązki i liście, których brzegi potrafiły przeciąć skórę jak nóż.

To dziwne miejsce. Trochę nierealne, jakby wyjęte ze zdumiewającego snu. A więc idealne dla mnie, Tkacza Iluzji pracującego przede wszystkim wyobraźnią. Czas przestał dzielić się na godziny. Istniały tylko dzień i noc, świt i zmierzch. Gdy byłem głodny - łowiłem ryby lub zbierałem owoce. Pracowałem wtedy, gdy uznawałem to za stosowne. Oznaczało to całe dnie lenistwa, spędzane na niekończących się zabawach z Pożeraczem Chmur i jego siostrzyczką.

Jak już wspominałem, jest najbardziej uroczym stworzeniem, jakie spotkałem w życiu. Nie ma nic ładniejszego od malutkiego smoka, może z wyjątkiem puszystego kotka. Gdy przybyłem na wyspę, smoczątko miało dopiero parę miesięcy. Pazur i Łagodna nie wymyślili jeszcze dla niej żadnego imienia. Nie spieszyli się, jak to smoki. Nazywali ją po prostu „małą” lub „szczeniciem”.

Bezimienne dziecko było barwy rudo-brązowej, niczym wypalona w piecu cegła. Przy tym tak bardzo przypominało małego pieska lub grubiućkie lisiątko, że wkrótce zacząłem nazywać ją „Liska” i tak już zostało.

Liska była zachwycona swoim dużym bratem. Podziwiała go bezgranicznie i starała się naśladować. Śmiesznie to wyglądało, gdy obok dostojnie kroczącego olbrzyma toczyła się ruda kulka. Potykała się na dołkach w piasku i machała bezużytecznymi jeszcze skrzydełkami, sterczącymi na grzbiecie niczym dwa wachlarzyki.

Gdy Pożeracz Chmur kładł się, łąziła po nim, jak po pagórku. Łapki obsuwały się jej na śliskiej sierści. Spadała, koziołkując, na łeb, na szyję. Zsuwała się, szorując kosmatym zadkiem po skrzydłach brata, niczym po stromym stoku wzgórza. Turlała się w piasku, otrzepywała potem, skacząc jak sprężynka. Pożeracz Chmur pokazał jej, jak biegać w kółeczko, trzymając w zębach własny ogon. Odtąd była to jedna z najulubieńszych zabaw Liski. Doskonale wiedzieliśmy z Pożeraczem Chmur, że większość jej póz, podskoków i zaczepk jest po prostu na pokaz. Kokietowała nas obu, by zwrócić na siebie uwagę, zdobyć jeszcze trochę pieszczot i rozrywki. Zupełnie nam to nie przeszkadzało. Uwielbialiśmy Liskę i rozpieszczaliśmy ją, ile się dało. Pożeracz Chmur bawił się z nią po smoczemu, a ja po ludzku, co pewnie było dla niej miłą odmianą. Brat zabierał ją na polowania na nieruchawe kraby - zwierzynę w sam raz dla kilkumiesięcznego szkraba. Znosił jej kolorowe ptaki (oczywiście martwe). Bawiła się nimi, włoczyła po ziemi i oskubywała z piór. Ja zabawiałem smocze dziecko iluzjami. Wznosiłem też dla niej budowle z wilgotnego piasku, gdzie mogła chować się lub kopać nory, zmieniając dowolnie tę jednorazową architekturę.

Upał panujący w tych rejonach świata sprzyja nieróbstwu. Zwłaszcza, że jedzenie w większości wisi na drzewach. Mógłbym żywić się wyłącznie owocami, gdyby nie potrzeba odmiany. Do jednego jednak przymuszałem się bez względu na pogodę, stan ducha, czy atrakcyjność zajęć, jakie proponował Pożeracz Chmur. Systematycznie prowadziłem notatki. Sporządzałem rysunki i opisy, zapełniając ciągami drobnych znaków kolejne stronice. Koncentrowałem się głównie na Lisce, uważając ją za najwdzięczniejszy obiekt obserwacji. Który z moich „kolegów” z Kręgu mógłby pochwalić się, że nosił na rękach smocze szczenię? Kto widział, jak matka karmi je częściowo przeżutym i strawionym mięsem (skądinąd okropny widok)? Albo jak maluch ugania się za długonogą jaszczurką, dziarsko wznosząc do góry puchaty ogonek?

Przez środek czwartej strony biegnie krzywy zygzak - pamiątka pozostawiona przez rysik za sprawą Liski. Mała bestia uznała, że bosa nogi zwieszona z brzegu hamaka mogą być świetnym obiektem ataku. Skoczyła i wbiła mi swoje cztery ząbki w kostkę. Pożeracz Chmur uważał to za dobry żart. Ja byłem mniej zachwycony. Ojciec wbijał mi do głowy, że w gorącym klimacie nawet drobne skaleczenia mogą przysporzyć kłopotów.

Liska jest uroczym, ciekawskim, pełnym werwy dzieckiem. Lubi więc bawić się i psocić. Chłonie świat całą niewielką osobą. Jest też smokiem i mogłem spodziewać się po niej podobnych cech, jak u Pożeracza Chmur. Rzeczywiście - ma zadziwiającą pamięć. Łagodna i Pazur zapoznawali córeczkę z zawilościami smoczego języka. Pożeracz Chmur równolegle uczył ją lengorchiańskiego. Dołączałem do jego lekcji, wzbogacając je mirażami.

Liska uwielbia moje „obrazki”.

Nie zauważyłem, by Liska robiła się większa, czy cięższa, lecz zmieniała się w pewien sposób. Była coraz sprawniejsza, szybsza, zbierała doświadczenia. Coraz więcej rozumiała słów, próbowała mówić.

Na latanie miał przyjść czas dużo później, gdy małe skrzydła urosną i wzmocnią się, czyli za około dwadzieścia lat. To samo dotyczyło legendarnych zdolności regeneracji oraz przemian w dowolne stworzenie. Łagodna twierdziła z dumą, że Liska jest bardzo udanym dzieckiem, lecz jednocześnie przyznawała, iż mieści się w smoczych normach.

Tym bardziej zaskoczyło mnie wydarzenie, które przewróciło do góry nogami fundamentalną teorię smokologii i z pewnością da do myślenia wszystkim zajmującym się tą dziedziną.

Nocami fale przyływu wdzierają się na ląd. Pracują cierpliwie i z pośpiechem, wybierając ustępliwy piasek. Mają czas tylko do świtu. Pozostawiają po sobie pamiątki w postaci płytkich zatoczek i stawów wypełnionych nagrzaną od słońca wodą. Znajdowałem w nich wodorosty, drobne żyjątka morskie i odłamki korała. Przyjemnie było chlapać się w tych dołkach. Były bezpieczniejsze niż otwarte wody, gdzie łatwo stąpnąć na kolczastego jeżowca lub napotkać „pannę morską” - wydęty pęcherz zaopatrzony w ostre haczyki i jadowite macki.

Leżałem w jednej z takich sadzawek, wyciągnięty na całą długość, z głową na jednym brzegu, a piętami na drugim. Załatwiłem już wszystkie sprawy zaplanowane na ten dzień - nazbierałem drewna, oprawiłem ostronosa, którego złowił dla mnie Pozeracz Chmur, skończyłem kolejny wpis do notatnika i złapałem nowego motyla do kolekcji przeznaczonej dla ojca. Uznałem, że to wystarczy i leniłem się cudownie, marnotrawiąc czas, jak to potrafią tylko chłopcy w moim wieku.

Poprzez rzęsy dostrzegłem rozmazaną, rudą plamę. Coś trąciło mnie w brzuch. Gwałtownie uniosłem głowę, szeroko otwierając oczy. To była tylko Liska. Psotnica znów na mnie skoczyła, lecz źle obliczyła odległość. Impet przerzucił ją dalej i teraz siedziała zanurzona w słonej wodzie po samą szyję. Oczekiwałem strachu, szamotaniny, ucieczki z okropnego, mokrego miejsca. Liska rozglądała się, bardziej zdziwiona i zainteresowana nowością niż przestraszona. Strzygła uszami, szeroko otwierała ciemnoczerwone oczka, lśniące jak dwie wiśnie. Bezgranicznie zdumiony, zobaczyłem, jak zanurza głowę! Łyknęła wody, wynurzyła się czym prędzej i kichnęła parę razy. Uznałem, że czas zamknąć usta i

przebrać wyglądać głupio. Pokazałem Lisce, jak zaczerpnąć tchu, a potem zanurkować, powoli wypuszczając srebrne pęcherzyki powietrza pod powierzchnią wody. Naśladowała mnie z łatwością. Zabawialiśmy się tak już długą chwilę, gdy dotarł do mnie przekaz, który prawie rozwalił mi głowę:

„Wyciągnij ją!!!”

Pożeracz Chmur stał oddalony o krok. Nastroszony niczym szczotka, zszokowany, jakby zastał mnie co najmniej na dokonywaniu dzieciobójstwa. Wyglądał tak, że na wszelki wypadek natychmiast wyłowilem Liszę. Pożeracz Chmur, zdenerwowany, mógł zrobić coś nieprzyjemnego. Na przykład użyć pazurów. Później byłoby mu przykro i przepraszałby gorąco, lecz cóż to za różnica, gdy nie ma się ramienia lub głowy.

Liska wcale nie była zadowolona z nagłego końca zabawy. Gdy postawiłem ją na suchej ziemi, od razu wskoczyła na powrót do wody, z rozmachem, od którego bryzgi poleciały na wszystkie strony. Spojrzałem na Pożeracza Chmur i bezradnie rozłożyłem ręce. Liska chlapała w najlepsze, a jej brat obserwował to ze *zgrozą*, i osłupieniem wypisanym na pysku.

„Co ona wyprawia?” - spytał głupio.

„Kąpie się” - odparłem.

„Ależ... jest mokra!”

„Może lubi.”

Pożeracz Chmur otrząsnął się z obrzydzeniem i powoli legł na plaży, nie odrywając wzroku od siostry.

„Mamie to się nie spodoba” - przekazał ponuro.

Miał rację. Lecz jeśli stało się coś złego (a tego nie byłem pewien), już nie dawało się cofnąć.

Liska odkryła wodę, tak jak ludzkie dziecko odkrywa przyjemność wdrapywania się na wierzchołki drzew lub łapania węży na rozlewiskach. Te rzeczy były miłe, trochę niebezpieczne, a przede wszystkim zabronione przez dorosłych.

W książkach znajdowałem rozmaite historie o smokach. To i owo czasem nie zgadzało się z rzeczywistością, lecz jedno powtarzało się z podziwu godną regularnością: każdy smok - niczym kot - nienawidzi być mokry. Smoki nie umieją pływać i gardzą podobnymi umiejętnościami. Miałem liczne tego przykłady ze strony Pożeracza Chmur, który za skarby świata nie przeszedłby w bród strumienia. Nie stąpnałby nawet w kałużę, a każdy

deszcz był dla niego osobistą, cichą tragedią. Pazur, Łagodna i Szaleniec nie odbiegali od normy. Wyjątkiem była Liska. Mała kpiła sobie z naukowych teorii i pakowała się w każdą napotkaną kałużę, doprowadzając rodziców do rozpacz.

Pazur unikał mnie już przedtem, ostentacyjnie udając, że nie istnieję. Teraz przestałem widywać również Łagodną. Lubilem tę zrównoważoną smoczą damę. Tym większą przykrość sprawiło mi to, czego dowiedziałem się od Pożeracza Chmur. Łagodna winiła mnie za zachowanie Liski. Uważała, że dawałem zły przykład jej dziecku i postanowiła drastycznie ograniczyć kontakty. Tak więc do towarzystwa pozostał mi tylko Pożeracz Chmur. Próbował pogodzić związki z rodziną i naszą przyjaźń. A nie było to łatwe.

Możliwe, że nie byłem odpowiednim towarzystwem dla młodego smoka. A czy smok jest odpowiednim towarzyszem dla dorastającego chłopca? Każdy z nas trochę ustąpił, zmienił swe zwyczaje i spotkaliśmy się gdzieś w połowie drogi. Pożeracz Chmur nosił ubranie (w ludzkiej postaci), a ja przekonałem się, że surowa polędwica da się zjeść. Po posoleniu. Łagodna wolałaby, bym wrócił do domu i już nigdy nie spotkał się z jej synem. Pazur pewnie najchętniej wyprawiłby mnie na drugą stronę Bramy Istnień. Rzecz w tym, że nie potrafiłem już wyrzec się Pożeracza Chmur. Zbyt długo przebywaliśmy razem. Za bardzo się zżyliśmy. Zbyt wiele nas łączyło i chyba za dobrze się rozumieliśmy. Bardzo, naprawdę bardzo brakowałoby mi Pożeracza Chmur.

Byłem samotnym, unikany przez rówieśników dzieckiem, potem samotnym, chyba niezbyt sympatycznym chłopcem i miałem wszelkie szansę zostać ponurym, niemiłym, odciętym od innych ludzi mężczyzną. Nawet nie chodziło o to, że nie słyszę i trudno mi porozumieć się z innymi. Żmijowe Pagórki - miejsce, gdzie przeżyłem dwanaście lat, są dużą wsią, pretendującą do nazwy miasteczka. Jej mieszkańcy natomiast tkwią jeszcze obiema nogami w ciemnych wiekach, gdy wierzyło się w elfy i błotne demony, czyhające na bagnach. Gdy inne dzieci kończyły naukę (podstawowy zestaw znaków pisańskich, prymitywne rachunki oraz to i owo z historii cesarstwa), ja właściwie dopiero zaczynałem. W Żmijowych Pagórkach trzynastolatek powinien mieć opanowane podstawy jakiegoś rzemiosła, pracować na roli na równi z dorosłymi i ogólnie - mieć jakieś widoki na przyszłość. Co więc sądzić o kimś, kto nie bierze się solidnie do roboty, tylko ślęczy nad jakąś tam biologią, matematyką czy też żywotami ludzi, którzy dawno już piach gryzą? Albo siedzi godzinami bez ruchu, a wokół pojawiają się jakieś zwidy - przekleństwo i obraza.

Byłem po prostu inny. Obaj z Płowym żyliśmy nie wśród ludzi, ale obok nich. Mag jest osobą ogólnie szanowaną, lecz omija się go odruchowo niczym wilczy dół. Bo kto wie, czego spodziewać się po człowieku, który słyszy myśli, albo takim, co uczciwy świat w

kłamstwa ubiera. Łatwo zrozumieć, że Pożeracz Chmur stał się dla mnie nie tylko pomostem do świata dźwięków. Także przyjacielem, towarzyszem ostatnich zabaw dzieciństwa, powiernikiem tajemnic, najbliższą osobą zaraz po ojcu.

Pazur nie cierpiał mnie od pierwszej chwili. Oczywiście - mąciłem w głowie Pożeraczowi Chmur i demoralizowałem (tak przynajmniej uważał) Liskę. Nie rozumiałem tylko, czemu ta niechęć pojawiła się od razu. Jeszcze nie dałem mu żadnych powodów do niepokoju, a już zezował ponuro, marszczył pysk. Odchodził natychmiast, gdy tylko się zbliżyłem i w ogóle dawał mi do zrozumienia, że jestem niepożądanym gościem. Nie przejmowałem się tym, póki nie próbował zrobić mi fizycznej krzywdy. Powstrzymywał się dość długo, lecz pewnego dnia wybuchło w nim szaleństwo i omal nie doszło do krwawej rozprawy. Ciepłe wody Morza Syren kipią życiem. Na płyciznach można znaleźć spacerujące po dnie ogromne kraby, rybostwory zagrzebane w piasku tak, że widać im tylko słupkowate oczy. W przezroczystej wodzie unoszą się „wodne róże” - podobne kwiatom galaretki, pulsujące jak małe serca. Między pasmami wodorostów żerują drobne rybki, kolorowe jak szklane paciorki rzucone w fale. Ale zdarzali się i dziwniejsi mieszkańcy podwodnej krainy.

Stałem w morzu powyżej kolan, obserwując płynące pod powierzchnią stworzenie. Miało wręcz nieprawdopodobny wygląd. Trudno byłoby je nawet wyśnić. Nieco większe niż dłoń, nie miało widocznej głowy, ani żadnych kończyn. Przypominało trochę falujący kawałek grubego koca. O ile przyszłoby komuś do głowy utkać koc cytrynowo-żółty w kropki chabrowe i jadowicie zielone jak nalot na starej miedzi. Kolor sugerował, że zwierzę może być trujące, a kształt, iż prawdopodobnie należy do rodziny ślimaków, choć nie dałbym za to głowy. Pomyślałem, jak szczęśliwy byłby na tej wyspie Płowy, który z pasją kroił żaby i rozmaite paskudztwa. W tym momencie coś trąciło mnie w nogę. Złąkłem się, ale była to tylko Liska, a nie żaden drapieżnik. Była zanurzona tak głęboko, że ledwo jej nos wystawał. Czym prędzej wziąłem ją na ręce, ciężką od wody, którą nasiąkło jej futerko. Mokra, wyglądała przekomicznie. Można mieć o tym niejakie wyobrażenie, jeśli się widziało ociekającego wodą kota. Dawno już nie widzieliśmy się z małą, nic więc dziwnego, że zajęci sobą, nie zwróciliśmy uwagi, co dzieje się tuż obok. U mnie przyczyną była głuchota, a u Liski - nieposłuszeństwo. Pazur szalał na brzegu, pewnie już od dłuższej chwili. Prawie moczył już łapy, próbując do nas dotrzeć. Kiedy spojrzałem przypadkiem w stronę brzegu, ujrzałem potworną, rozwartą niczym otchłań paszczę, zbrojną w cały arsenał białych zębów, wielkich i ostrych jak miecze! Była niemal na wyciągnięcie ręki. Gdybym stał trochę bliżej

plaży, już bym pewnie nie żył. Pazur zupełnie stracił panowanie nad sobą. Nie będę ukrywał, że przeraziłem się okropnie. Cofnąłem się tam, gdzie głębiej. Byle dalej od oszalałej bestii. Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Dla własnego bezpieczeństwa byłem gotów zostać w wodzie cały dzień i to zanurzony po szyję. Lecz trzymałem na rękach Liskę i wiedziałem, że powinienem jak najszybciej odstawić ją na suchy ląd. A wtedy z pewnością dopadnie mnie Pazur! Kto wie, jak to by się skończyło, gdyby nie pojawił się Pożeracz Chmur. Odwrócił uwagę Pazura. Mogłem zaryzykować i podejść bliżej, by Liska w miarę bezpiecznie dotarła na plażę. Nie wiem, co powiedział Pożeracz Chmur ojcu, lecz było to coś, co tylko wzmogło jego wściekłość. A może zwyczajnie musiał się na kimś wyładować. Zobaczyłem jak zamierza się wielką łapą i uderza Pożeracza Chmur w bok głowy. Potem jeszcze raz, z drugiej strony. Walił tak mocno, że bolało od samego patrzenia. Pożeracz Chmur cofał się pod ciosami. Ojciec chwycił go kłami za kark i potrząsał jak szcurem. Pożeracz Chmur wyrwał się i uciekł z podwiniętym ogonem, sponiewierany. Czym prędzej pobiegłem za nim, przezornie brodząc w wodzie. Nie byłem pewien, czy Pazur nie zechce jednak policzyć się ze mną.

Odnalazłem Pożeracza Chmur zaszytego w zaroślach. Siedział skulony, przykryty namiotem skrzydeł, ponuro gapiąc się w ziemię. Z nosa kapłała mu krew. Uszy miał oklapłe jak zwiędłe liście. Przysiadłem obok. Czekałem. Przez jakiś czas Pożeracz Chmur jakby mnie nie zauważał. Oblizywał tylko krwawiący nos i wzdychał.

„Nie jest dobrze” - przekazał wreszcie.

„Przepraszam, że tak wyszło.”

Było mi naprawdę przykro. Zdawałem sobie sprawę, że Pożeracz Chmur oberwał za mnie.

„To nie twoja wina. Ojciec jest zły ogólnie, bo nie chcę tu żyć. Nie chcę siedzieć na tym końcu świata. Wścieka się, bo umiem czytać i pisać. Twierdzi, że to niepotrzebne smokom.”

Pożeracz Chmur odłączył się na moment, a potem dodał:

„Pobił mnie, bo wolałbym być człowiekiem, a nie smokiem.”

To mnie bardzo zdziwiło. Ze mną było akurat odwrotnie. Zawsze uważałem, że Pożeracz Chmur ma życie godne pozazdroszczenia.

„Lubię być chłopcem” - tłumaczył młody smok. - „Potrzebuję wtedy mniej miejsca, mniej żywności. Mam ręce - tyle można zrobić rękami. Ludzie mają mnóstwo ciekawych zajęć. Ty to masz dobrze” - znów westchnął głęboko. „Płowy bardzo cię kocha. I nigdy nie bije. A mój ojciec...”

Poczułem się w obowiązku wyjaśnić mu, że ojcowie niezbyt różnią się między sobą. Mniej więcej do trzynastego roku życia zebrałem więcej różeg, niż miałem włosów na głowie. Potem spoważniałem, przestałem broić i Płowy odetchnął. Stwierdził, że chyba jednak nie skończę na szafocie.

„Raz dostałem gorzej, niż ty teraz” - wspomniałem. „Płowy podrapał cię? Ugryzł w ucho?” - zainteresował się Pożeracz Chmur.

„Ludzie nie drapią” - poprawiłem. - „Ojciec obił mi tyłek wierzbowym prętem. Przez dwa dni nie mogłem usiąść!”

Pożeracz Chmur szeroko otworzył oczy ze zdumienia i zgrozy.

„Ale za co?”

„Wrzuciłem zapaloną petardę do wychodka przy karczmie, kiedy akurat macała się tam jakaś para. Długo nie można ich było doczyścić.”

Wyobraźnia zrobiła swoje. Obaj zaczęliśmy się strasz-

nie śmiać, a Pożeracz Chmur aż dostał czkawki. Jego zły humor ulotnił się zupełnie. Popłynęły opowieści z czasów dzieciństwa - wspomnienia przygód, psot i żartów. O dziwo, chociaż Pożeracz Chmur żył parokrotnie dłużej ode mnie, przegrywał w tej dziwnej licytacji. Zrzucanie przegniłych owoców na głowę nielubianej ciotki nie mogło równać się z napadem iluzyjnych myszy na zebranie towarzystwa hafciarek. A straszenie rybaków wydawało się kompletną nędzą, w porównaniu z niektórymi moimi wyczynami. Choćby omdleniem mleczarki, która ujrzała swego męża z dużym świńskim ryjem w miejscu twarzy. Okazało się, że byłem wcielonym demonem z samego dna piekielnej otchłani, a Pożeracz Chmur - bardzo grzecznym dzieckiem. Pewnie biedak nie miał zbyt wielu okazji ani możliwości, by się wykazać.

„Przez jakiś czas nie pokazuj się na oczy mojemu ojcu” - ostrzegł Pożeracz Chmur. Kiwnąłem głową.

„Dlaczego on mnie tak nienawidzi?” - spytałem z żalem.

Pożeracz Chmur zmieszał się lekko.

„On cię nie nienawidzi. To znaczy, nie tylko ciebie... On ma za złe ludziom. Wszystkim ludziom, nie tylko tobie.”

„Dlaczego?”

Pożeracz Chmur zamiast wyjaśnić coś więcej, podniósł się i skierował w głąb lasu.

„Chodź, coś ci pokażę.”

Smok torował drogę w splątanych chaszczach. Umykało przed nami wszystko, co żyło, prócz głupich, ociężałych żuków, wielkich jak pięści i wszędobylskich mrówek. Te

taszczyłyby swe brzemia, nawet gdyby pokazał się tutaj orszak cesarski. Nigdy nie zapuściłem się tak głęboko w duszną zieleń, gdzie wszystko rosło, rozpychając się, oplatając wzajemnie i szukając chciwymi pędami każdej kropli wilgoci, każdej plamki słońca. Pożeracza Chmur chroniła gruba sierść, ale ja nie miałem na sobie nic prócz cienkiego płótna kusej tuniki. Wkrótce ręce i nogi pozaczył mi dekoracyjny wzór cienkich zadrapań. Żałowałem, że nie zawróciłem po spodnie i bluzę, lecz z drugiej strony, w tej gęstwinie stał nieznośny duszny upał.

Inny niż gorąco plaży, gdzie powietrze mieszała rześki bryza znad oceanu.

Pożeracz Chmur zatrzymał się.

„To tutaj.”

Rozejrzałem się, zdumiony nieoczekiwanym widokiem. Wokoło wznosiły się ruiny budowli. Kilka budynków, wzniesionych z ciosanego kamienia, rozsypujących się powoli. Zarośnięte pnączami mury gdzieś były jeszcze całkiem wysokie, lecz kruszyły się od góry. W większości pozapadały się i utworzyły kupy gruzu, zagarnięte prawie bez reszty przez roślinność. Próbowałem wyobrazić sobie to miejsce przed kilkuset laty, gdy żyli tu jeszcze ludzie. Może pokrywali ściany kolorowym tynkiem i malowidłami, jak w dużych miastach? Tam, gdzie panoszyły się chwasty o grubych, palczastych liściach i kolczaste pnącza, kiedyś pewnie rosły kwiaty. Wytyczone ścieżki prowadziły między klombami i kamiennymi ławami. Pracowali tu ludzie, biegały dzieci i oswojone zwierzęta. A teraz zagarnęła to puszcza.

„Od bardzo dawna nie ma tu nikogo. Wszyscy z twojej rasy odeszli.”

„Musiało minąć co najmniej kilka stuleci.” „Tysiące lat” - przekazał Pożeracz Chmur. - „Nikt ze starszych nie pamięta ludzi na Smoczym Archipelagu. Zostały tylko te ruiny. Ale są wszędzie, na każdej wyspie. Na Jaszczurze również. Często się tam bawiłem.” Przerwał. Czuję, że coś w sobie tłamsi. „Bawiliśmy się w takim miejscu razem z bratem” - podjął po chwili. Jednocześnie w głowie przemknął mi wizerunek małego smoka - szarej miniaturowej ojca w białych pończochach.

„Miałem dopiero osiemnaście lat i jeszcze dziecięce imię. Szperacz był starszy.”

„Co się stało? Został na Jaszczurze?”

„Umarł. Wpadł do starej studni w ruinach. Nie było w niej wody, ale była bardzo głęboka, a otwór miała wąski.”

„Zabił się?”

„Uduślił. Świeże powietrze nie dochodziło do samego dna. Ojciec nie potrafił go wyciągnąć. Może, gdyby miał ludzki wzorzec... ale nie miał go. Czuwał tylko aż do samego

końca. Od tamtej pory zmienił się. Nienawidzi ludzi, bo wini ich za tamto nieszczęście. Zmienialiśmy terytoria, ciągle przenosiliśmy się z miejsca na miejsce. Były dalej od ludzkiej rasy. Jednak wszędzie natykaliśmy się na jakieś resztki. W końcu zamienił się z tym starym wariatem. Ale nawet tu, na Wyspie Szaleńca, stały wasze domy.”

„Czy Pazur wie o tym?” - spytałem. Pożeracz Chmur machnął uszami. „Nie mam pojęcia. Może wie, ale udaje, że nie wie. Wyspa Szaleńca to już ostatni skrawek lądu. Dalej jest tylko ocean. A gdzieś trzeba wychowywać Liskę.”

„Chodźmy już stąd” - poprosiłem. To miejsce i historia tragedii na Jaszczurze przygnębiły mnie. Zacząłem inaczej oceniać Pazura. Sam przecież straciłem rodziców. Zdarzyło się to bardzo dawno temu, gdy miałem dopiero parę lat, ale i tak wielokrotnie śniła mi się blada, nieruchoma twarz mamy, z ustami pokrytymi czarnym strupem. Budziłem się wtedy - mały chłopczyk - z rozpaczliwym płaczem i zasypiałem na powrót dopiero w bezpiecznych ramionach Płowego. Pamięć dziecka przechowuje niewiele, pamięć smoka - każdy szczegół. Mogłem zrozumieć, jak strasznie bolały Pazura jego wspomnienia.

Pływać umiem i lubię. Znam groźne właściwości rzecznych wirów. Wiem, czego można spodziewać się po gęsto zarośniętych wodorostami rejonach jezior i stawów. Podczas pobytu na Bursztynowym Wybrzeżu zapoznałem się z groźnym zjawiskiem wstecznego prądu w morzu. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mógłbym utopić się na głębokości niespełna trzech łokci.

Polowałem na ryby z ościeniem. To sprytne narzędzie zrobiłem sam i byłem z niego dumny. Oścień miał metalowy szpikulec, dwa „wąsy” z zadziorami po bokach, by zdobycz nie wymknęła się. Był lekki i poręczny, a co najważniejsze - działał.

Tkwiałem w morzu, zanurzony po biodra, nieruchomy jak bocian tuż przed uderzeniem dziobem w upatrzoną żabę. Dwa czy trzy kroki dalej dno schodziło gwałtownie w dół, tworząc strome urwisko. Z głębiny napływały tu czasem większe ryby, szukając żeru w cieplejszej wodzie. Miałem już trzy sztuki nawleczone na sznur i czekałem na czwartą. Wokoło moich nóg uwijało się, jak zwykle, sporo kolorowego drobiazgu, lecz tym razem nie zachwycałem się ich urodą. Raczej oceniałem przydatność do zjedzenia. Człowiek naprawdę jest drapieżnikiem. To polowanie sprawiało mi przyjemność.

Jasnoszary, podłużny kształt, który nadpłynął z boku, w pierwszej chwili zdał mi się podobny do rekina - rzadkiego gościa u wybrzeży Lengorchii, ale dość pospolitego w wodach Południa. Mocniej zacisnąłem palce na drzewcu. Zaczekać? Uderzyć jako pierwszy? Czy

ostrze przeznaczone na niewielkie ryby przebije tego stwora, czy tylko zrani i rozdrażni? Zanim podjąłem decyzję, przybysz podpłynął bliżej i zatrzymał się. Falująca powierzchnia wody lekko zniekształcała obraz. Z dołu patrzyły na mnie okrągłe oczy, szeroko rozstawione w płaskiej twarzy. Pojedyncze pasmo włosów na szczycie czaszki unosiło się w wodzie jak smuga dymu. Krótkie ręce wsparły się o dno. Krępy tułów zwężał się w ogon zakończony poziomą, szeroką płetwą. Tak, to była syrena.

Nie była duża i nie wyglądała groźnie. Nie przypominała też piersiastych ślicznotek z obrazków ilustrujących żeglarskie legendy. Była stworzeniem żyjącym w wodzie i dobrze do tego przystosowanym. Obserwowaliśmy się nawzajem. Nie miałem zamiaru zrobić jej krzywdy. Wolniutko opuściłem oścień. Nagle coś podcięło mi nogi od tyłu. Runąłem na twarz w wodę. Oczy zapiekły od soli, odruchowo zacisnąłem powieki. Syrenie ręce wczepiły się w me włosy, sięgały do oczu! Pociągnięty z wielką siłą, przeszorowałem boleśnie brzuchem po dnie. Usiłowałem uwolnić się od tych mocnych dłoni, lecz inna para rąk trzymała mnie za kostki u nóg i nie pomagało żadne kopanie. Zorientowałem się, że brzeg podwodnego klifu jest tuż i właśnie tam wloką mnie te półludzkie bestie. W głębinie, gdzie nie będę miał najmniejszej szansy. Już zaczynało brakować mi powietrza. Wbiłem palce w szczelinę koralowej skały, zdecydowany nie oderwać się od niej choćby i po śmierci. Dusłem się. Przed oczami pływały mi żółte plamki. Ugryzłem rękę, która zacisnęła się na mych ustach i nosie. Mocne uderzenie w brzuch wypchnęło mi z płuc resztkę powietrza. Żółte plamki szerniały i rozlały się w jedną wielką, ciemną plamę. Ostatkiem przytomności zaciskałem palce, walczyłem z chęcią nabrania oddechu, który napełniłby mi płuca słoną wodą.

Wtedy, gdy już osuwałem się w ciemność i bezwład, gdy serce powoli przestawało łomotać o żebra niczym osłabły ptak, potworna siła wyrwała mnie z oddechu.

Nie jestem w stanie określić, ile czasu przywracano mnie do życia. Ile trwały nieprzyjemne zabiegi - tarmoszenie, ugniatanie, turlanie po ziemi i lizanie. Wreszcie zaczerpnąłem tchu, kaszląc i zachłystując się. Pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy, było: Pożeracz Chmur. Jakież było moje zdumienie, gdy wzrok wrócił mi do normy, przestając pokazywać rozmazane plamy, i zobaczyłem nad sobą Łagodną.

Potrząsała głową, siejąc wkoło mokre bryzgi. Otrząsała każdą łapę osobno, jak zmoczony kot. Patrzyłem na to z niedowierzaniem. Łagodna? Weszła do wody? Z trudem mogłem sobie wyobrazić jej poświęcenie. Uratowała mi życie, a doskonale wiedziałem, jak bardzo musiała się przełamać.

„Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Gdyby nie ty, utopiłyby mnie.”

„To by rozwiązało parę problemów” - odparła Łagodna cierpko, zaciekle wylizując

mokre łapy.

Sprawiła mi ogromną przykrość. Odczułem to jak uderzenie. Łagodna przechwyciła mój żal, przerwała suszenie.

„Przepraszam. To nieprawda. Nie jestem na ciebie zła. Rozumiesz już, dlaczego chronimy dzieci przed morzem? Wystarczy silna fala, rekin, albo podstępna syrena - te są najgorsze. Nieobliczalne - całkiem jak ludzie. Jeśli strach przed wodą ma ocalić moje dziecko, nauczę je tego, wbrew wszelkim przeszkodom.”

Rozumiałem, że to ja byłem tą zawadą. A jednak ocaliła mnie.

„Całe szczęście, że byłem blisko. Miałam przyglądać się beczynnemu? Nie jestem morderczynią szczeniąt, nawet ludzkich.”

Potem dodała:

„Kiedyś obiecałam sobie, że nikt nie umrze w mojej obecności. Nikt nie będzie cierpiał.”

Doskonale wiedziałem, o co jej chodzi. O powolną, straszną, zupełnie niepotrzebną śmierć smoczego dziecka imieniem Szperacz.

Siedziałem wtedy z Łagodną dość długo. Wiele rzeczy sobie wyjaśniliśmy. Łagodna zwierzyła się ze swych zmartwień odnośnie Pożeracza Chmur. Bolało ją, że syn oddalił się od rodziny i chętniej spędza czas wśród ludzi. Z drugiej strony, rozumiała nasze wzajemne przywiązanie. Zgadzała się też, że nic już nie jest w stanie obrzydzić Lisce wodnego żywiołu.

„Właśnie dlatego cię szukałam. Orientujesz się chyba, że ta wyspa nie może wykarmić trzech dorosłych smoków?”

Podjeżdżałem to.

„Oszczędzaliśmy na jedzeniu. Staraliśmy się zużywać mało sił” - ciągnęła Łagodna. - „Ale to nie wystarcza. Musimy lecieć na kontynent. Na bardzo długie, obfite polowanie. Zgromadzimy zapasy i energię. Liskę musimy zostawić tutaj, pod opieką Pożeracza Chmur. Jeśli Liska znów wejdzie do wody, mój syn nie będzie w stanie jej wyciągnąć. A ocean nie jest bezpieczny. Czy zajmiesz się Liską pod naszą nieobecność. Pomożesz Pożeraczowi Chmur?”

Zapewniłem Łagodną, że zrobię wszystko, by chronić Liskę. Zaciągnąłem właśnie u smoczycy spory dług wdzięczności. Poza tym lubiłem małą, a nieobecność Pazura stwarzała okazję do długiego przebywania razem bez żadnych przeszkód. Pomyślałem jeszcze, że Pazur zrobił poważny błąd, sprowadzając rodzinę na Wyspę Szaleńca. Było to urokliwe miejsce dla ludzi. Zapewne też dość wygodny teren dla jednego starca z niewielkim apetytem, lecz kompletnie nie nadawało się dla smoczej rodziny. Ciekaw byłem, kiedy Pazur przyzna się do

porażki i zacznie słuchać żony, która wydawała się znacznie rozsądniejsza od niego.

Tego samego dnia znalazłem na granicy przyboju przewalającą się bezwładnie w falach martwą syrenę, którą dosięgły zęby Łagodnej. Wyciągnąłem ciało na brzeg. Właściwie nie miałem najmniejszej ochoty go oglądać. Robiłem to tylko dla Płowego, by sporządzić dla niego jak najdokładniejszy opis. Syrena była mała jak dziecko. Zdziwiłem się, jak ktoś, kogo przerastałem prawie o połowę długości, potrafił mnie skutecznie obezwładnić, nawet z pomocą innych. Te niewielkie istoty musiały być bardzo silne i sprawne.

Czaszka syreny była lekko spłaszczona. Domyślam się, że dzięki temu stworzenie lepiej pokonywało opór wody przy pływaniu. Tym również można było tłumaczyć maksymalne zwężenie ramion, krótką szyję i gładką, śliską skórę, nieprzyjemną w dotyku. To morskie stworzenie nie miało na ciele ani jednego włosa, prócz pojedynczego kosmyka na głowie. Twarz syreny pozbawiona była brwi, oczy - rzęs, a także powiek. Tylko od dołu nachodziła na źrenice cieniutka błona, jak trzecia powieka u gadów. Nozdrza były ukośnymi szczelinami nad linią bezwargich ust. Uszy praktycznie nie istniały. Odkryłem za to coś, co najbardziej przypominało wielowarstwowe skrzela. Zęby syren wyglądają paskudnie. Są drobne, gęsto ustawione i trójkątne. Bardzo przypominają piłę do cięcia drewna, albo pułapkę na drapieżniki. Z pewnością syreny są w stanie wyrwać kawałek ciała za jednym ugryzieniem. Okropność. Gdzieś na wysokości domniemanych bioder zaczynał się masywny ogon, pokryty szarą skórą, a kończył płetwą kubek w kubek podobną do płetwy delfina. Syreny są żyworodne - o tym świadczył pępek, ale nie mogłem dopatrzeć się sutków, ani żadnych widocznych narządów płciowych. Tak więc nie dowiedziałem się, czy Łagodna uśmierciła w mojej obronie Jego” czy „ją”. Smocze szczęki oderwały syrenie całe ramię i fragment barku. Nie potrafiłem zmusić się, by zrobić sekcję, mimo iż wiedziałem, że Płowy życzyłyby sobie tego. Sam przed sobą usprawiedliwiłem się brakiem umiejętności i z dużą ulgą poprosiłem Pożeracza Chmur, by wyrzucił zwłoki daleko od brzegu, w głębię. Tak, bym już się na nie nie natknął.

Jest takie przysłowie: „Myszy tańczą, gdy kot śpi”. Łagodna i Pazur odlecieli, a na wyspie została tylko młodzież. Nastają cudowne czasy. Będziemy urządzać wyścigi krabów, robiąc zakłady o różne fanty. Włóczyć się po lesie i uczyć Liskę polowania. Kąpać się (oczywiście tylko ja i Liska). Skorzystam z nieobecności dorosłych i nauczę Liskę pływać

„pieskiem”. Kto wie, czy to się jej kiedyś nie przyda. Muszę tylko trochę otrząsnąć się po przykrym zajściu z syrenami i znów zacząć traktować wodę przyjaźnie. Wiele sobie obiecuję po tym czasie swobody - zabawy, psoty i różne niewinne szaleństwa.

Kończę. Idę budować z Liska piaskową fortecę.

Taki byt ostatni zapis w pamiętniku Kamyka. Odtworzyłem go do tego miejsca, tak samo jak wszystkie inne notatki.

Mój przyjaciel cieszył się na wspólne zabawy, mile spędzony czas, a stało się zupełnie inaczej. Nie wiem, co robić. Rana jest głęboka. Nie chce się goić, nawet po wylizaniu. Kamyk nie je. Chłonie za to wodę jak wyschnięty piasek. Ma wysoką gorączkę i już mnie nawet nie poznaje. Jego talent, pozbawiony kontroli, szaleje, tworząc okropne, pomieszane koszmary. Liska boi się ich straszliwie.

Ja boję się jeszcze bardziej. Czuję się całkiem bezradny. Kamyk kaszle, wycieram mu krew z ust i to jest wszystko, co mogę zrobić. Kamyk jeszcze oddycha, jeszcze walczy, ale lękam się, że to już niedługo. Niecierpliwie czekam na powrót rodziców. Potem będę chyba musiał dostarczyć to wszystko Płowemu. Wiem, że Kamyk chciałby tego.

Nie sprawdziły się łzawe przepowiednie Pożeracza Chmur. Żyję, choć naprawdę niewiele brakowało. Stałem już przed Bramą Istnień, a Pani Strzał uchylała drzwi i kiwała zachęcająco.

Długo chorowałem. Po raz pierwszy od trzech tygodni jestem w stanie utrzymać pióro w rękę, lecz męczę się szybko i znaki zaczynają wpadać na siebie. Postaram się jednak po trochu spisać ostatnie zdarzenia. Z pewnością warto umieścić w dzienniku dramatyczne przygody, podczas których Krąg omal nie stracił dobrze zapowiadającego się Tkacza Iluzji. Naiwnością byłoby sądzić, że tatuaż Kręgu chroni od wszelkich niebezpieczeństw. Dalekie Południe to jednak nie Lengorchia, choć mapy twierdzą inaczej.

Od odlotu Pazura i Łagodnej minęło parę dni. Obawialiśmy się kłopotów ze strony Szaleńca, ale starego jakby nie było. Nawet nie widzieliśmy, by latał nad swoim terenem.

Zajmowaliśmy się na zmianę Liska. Była dość grzeczna. Zwłaszcza, gdy polecenia poparło się lekkim kłapsem.

Akurat nadeszła kolej Pożeracza Chmur, by opiekować się małą. Opowiadać jej bajeczki, pilnować, by nie próbowała zjeść śmierdzącego żuka lub nie wlaźła do otwartego morza. Opuściłem smocze rodzeństwo, by przez najbliższe parę godzin oddać się penetrowaniu lasu. Kolekcja owadów, przeznaczona dla ojca, wyglądała już całkiem okazale, ale miałem nadzieję jeszcze ją powiększyć. Marzyłem zwłaszcza o schwytaniu ogromnego, błękitnoczarnego motyla. Raz tylko widziałem go przelotnie - metalicznie lśniący, trzepocący kształt, unoszący się wysoko, poza zasięgiem rąk. Poszcęściło mi się tym razem. Wpierw znalazłem parę do chrząszcza-jednorożca. Potem uzupełniłem zbiór tutejszym gatunkiem modliszki. Wreszcie zobaczyłem z dawna pożądanego owada klejnot. Siedział wśród kolczastych pędów, pewny swego bezpieczeństwa, z wolna składając i rozkładając piękne skrzydła. Na szczęście zaopatrzyłem się w bluzę z długimi rękawami, wysokie buty i niewiele robiłem sobie z cierni. Wystarczyła niezawodna iluzja „niewidzialność”, a już po chwili mogłem nakryć zdobycz kawałkiem jedwabiu. Motyl był tak piękny, że żał go było zabijać. Ale czyż nie jest się twardym mężczyzną? Cieszyłem się przez kilka minut urodą motylego olbrzyma. Jego skrzydła odbijały światło, jak posypane sproszkowanym srebrem. Był tak wielki, że ledwo mieścił się w skórzanym pudełku na okazy.

Postanowiłem wrócić na plażę. Wybierałem drogę tak, by wyjść wprost na miejsce umówione z Pożeraczem Chmur. Cieszyłem się, że będę mógł pokazać trofeum przyjacielowi, który to doceni. Lub będzie bardzo dobrze udawał.

Gdyby nie moja ułomność, usłyszałbym obce głosy. Zostałbym ostrzeżony. A tak, kompletnym zaskoczeniem był dla mnie widok grupy nieznajomych. Wyszedłem z zarośli prawie prosto na nich. Przez chwilę trwającą nie dłużej niż dwa uderzenia serca, patrzyliśmy na siebie. Obie strony równie zdumione. Nie zdążyłem policzyć obcych ludzi, ani przyjrzeć się im dokładnie. Oko uchwyciło tylko ogólny obraz - więcej niż dziesięciu, niechlujni, niedbale ubrani, od pierwszego spojrzenia odstręczający nieuchwytnym wrażeniem wulgarności i barbarzyństwa. Lecz nie to było najgorsze. Jeden z nich miał Liskę. Trzymał ją za ogon, zupełnie jakby była upolowanym zwierzakiem. Przedmiotem, który nic nie czuje, nie cierpi. Mała wiła się w powietrzu, machając łapami i usiłując sięgnąć zębami dręczącej ją ręki. Miałem w ręku ciężki nóż, którym torowałem sobie drogę w puszczy. Gniew narodził się we mnie w ciągu sekundy, wzniósł się i wybuchnął, przesłaniając oczy krwawą mgiełką. Rzuciłem się naprzód, waląc ramieniem najbliższego przybysza. Następny był dręczyciel Liski. Uderzyłem go w twarz ręką, jednocześnie chwytając Liskę. Oszałała z przerażenia, drapała na oślep. Ktoś zagroził mi drogę, zamachnąłem się, czując, jak ostrze zagłębia się w ciele. Czyjaś ręka chwyciła mnie za koszulę. Uderzyłem z całej siły łokciem do

tyłu, nie patrząc, w co trafiam - twarz, gardło, czy pierś... Uwolniłem się. Dopadłem zbawczej ściany zieleni. W tym momencie poczułem uderzenie w plecy, które odebrało mi oddech. Zachwiałem się, potknąłem, ale pobiegłem dalej, wiedząc, że tylko schronienie w lesie może nas uratować. Liska wczepiła mi się pazurami w ramię. Czułem ból, lecz tak, jakby nie mnie dotyczył. Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Prawie upadłem. Upuściłem nóż, puściłem Liskę i osunąłem się na kolana. Brakowało mi tchu, dławilem się. Zacząłem kasłać i wtedy zobaczyłem, że na rękę zostają mi ślady krwi. Miałem zalany czerwienią przód koszuli. Z piersi po prawej stronie sterczał grot strzały. Dotknąłem go z niedowierzaniem. Takie rzeczy przecież się nie zdarzały. To z pewnością był sen. Zaraz obudzę się we własnym łóżku, a Płowy zagoni mnie do szorowania przypalonego garnka, który zaniedbałem poprzedniego wieczora. Niestety, nie śniłem. Strzała była jak najbardziej realna. Tak samo jak ból, który zjawił się, gdy opadło podniecenie walką i ucieczką. Skulona, drżąca ze strachu Liska patrzyła wielkimi oczami, jak zginam się wół, uderzając czołem o ziemię. Resztą przytomności zmusiłem się by włożyć do ust mały palec i zacisnąłem zęby. To mnie otrzeźwiło. Bardzo wygodnie byłoby zemdleć. Zostawić cały świat po drugiej stronie ciemności. Pozbyć się choć na chwilę cierpienia. Ale była przecież ze mną Liska. Nie mogłem zostawić jej samej. Z pewnością już nas ścigano. Trafia z łatwością po śladach krwi. Chwilową przewagę dało mi tylko zaskoczenie.

Kim byli przybysze? Wyrzutkami, piratami, handlarzami żywym towarem lub przemytnikami trucizn, i narkotyków. Wiadomo, kim nie byli - porządny ludźmi.

Zgarnąłem Liskę, wsunęliśmy się głębiej w zarośla. W napięciu wypatrywałem wrogów, którzy mogli się zjawić lada chwila. Machinalnie głaskałem Liskę i drapałem za uszami. Miałem nadzieję, że to ją trochę uspokoi i nie będzie piszczała. Zdawałem sobie też sprawę, że może nas zdradzić coś innego - mój własny, ciężki i pewnie głośny oddech. Oddychałem z trudem, płytko. Czułem ciężar krwi zbierającej się w zranionym płucu. Wiedziałem, że jeśli nie wyciągnę wkrótce strzały, jeśli nie opatrzę rany, zwyczajnie się utopię, zaduszony własną krwią. Na szczęście strzała przeszła czysto na wylot, a grot był niewielki i wąski. Nie było to bojowe ostrze z wielkimi zadziorami lub paskudztwo, pękające przy uderzeniu w ciało na kilka luźnych metalowych drzazg.

Pościg nadszedł, tak jak się spodziewałem. Skryły nas liście i iluzja niewidzialności. Nie byłem jednak pewien, jak długo zdołam ją utrzymać. Bolał mnie bok, bałem się o Liskę i siebie samego, a to nie ułatwiało koncentracji. Poza tym starałem się odepchnąć od siebie natrętne myśli. Co się stało z Pożeraczem Chmur? Gdzie podział się mój przyjaciel? Dlaczego zostawił siostrę samą? Piratów było tylko dwóch. Nadeszli, nie spiesząc się, chyba pewni

celności strzału. Przystanęli, zdezorientowani, że trop urwał się nagle, jakby ich ofiara uleciała w powietrze. Miałem okazję przyjrzeć się im dokładniej. Byli podobni do siebie jak bracia. Chudzi, żyłaści, wysmagani wiatrem na kolor mahoni. Ich twarze pokrywał wielodniowy zarost. Czoła przewiązali identycznymi, wypłowiałymi czerwonymi chustami. Na ciemnej skórze lśniły drobne kropelki potu. Obaj mieli noże bardzo podobne do mojego. Ale nie była to ich jedyna broń. Jeden niósł na ramieniu naciągniętą kuszę. Drugi dzierżył łuk. Rozglądali się czujnie, z jakiegoś powodu zaniepokojeni i jakby zirytowani. Łucznik rozgarnął gałęzie, raz i drugi. Potem zatoczył ramieniem półkole, wskazując coś nieokreślonego. Domyśliłem się, że nie widzą nas, lecz prawdopodobnie słyszą. Ciche skomlenie przestraszonego smoczego szczenięcia? Załamujące się dyszenie rannego człowieka, a może jego serce, które waliło jak szalone? Piraci przetrząsali zarośla, to tu, to tam. Starłem się jak najlżej oddychać. Coraz trudniej było utrzymać miraż. Rozpaczliwie pragnąłem, by wreszcie sobie poszli. Niestety, byli uparci, a co najgorsze, w swych niesystematycznych poszukiwaniach coraz bardziej zbliżali się do naszej kryjówki. Zostałem zmuszony do działań ostatecznych.

Gdy jeden z mężczyzn obrócił się w stronę towarzysza, nie zobaczył już znajomej postaci, lecz straszliwego wojownika wymachującego ogromnym mieczem. Kontratak pirata był szybki jak uderzenie węża. Lecz na udeptane leśne poszycie powalił strzałą nie hajgońskiego wojownika, lecz tropiciela. Trup zacisnął palce na drzewcu bełtu, sterczącego mu z piersi dokładnie w miejscu, gdzie znajduje się serce. Był tak blisko, że niemal mogłem go dotknąć. Umarł prawie natychmiast, z wypisanym na twarzy zdumieniem.

Drugiego pirata objęły płomienie. Wpierw ramiona, potem głowę i całe ciało. Dałem temu ogniowi siłę i żarłoczność żywiołu, na jaką było stać chyba tylko wulkan. Płonący człowiek rzucił się na ziemię i tarzał, próbując zdusić ogień. Niespodziewanie znieruchomiał. Gdy zdjąłem z niego iluzję, nie miał na ciele żadnych ran, lecz nadal nie poruszał się. Wyczołgałem się spod osłony młodych drzewek, drżąc z wyczerpania. Trąciłem pirata, podniosłem jego rękę - opadła luźno. Przycisnąłem palce do jego szyi, lecz nie wyczułem tętna. Nie żył, zabity przez własny strach. Czarne oczy patrzyły spod przymkniętych powiek, już obojętne. Tylko usta wciąż otwarte były do krzyku.

Liska wylazła za mną z kryjówki. Niepewnie obwąchiwała zwłoki, zdumiona pewnie tą niezwykłą zmianą. Przed chwilą jeszcze ruchliwi i niebezpieczni, a *teraz* bierni i niegroźni jak rośliny lub kamienie.

Patrzyłem na swoje dzieło i przepelniała mnie ulga. Żadnego obrzydzenia, żadnych wyrzutów sumienia. Satysfakcja zmieszana z poczuciem winy, owszem, lecz tylko dlatego, że

absolutnie nie żałowałem swego czynu. Zabiłem oto dwóch ludzi (może trzech, licząc tego na plaży) a nie znalazłem w sobie odrobiny żalu. Nie uroniłem ani jednej łzy. Zastanowiłem się tylko mimochodem, jaką potęgą może być mój talent, pozornie tworzący nic z niczego. To straszne - wiedzieć, że jest się potworem.

Odeszliśmy wraz z Liska z tamtego miejsca tak prędko, jak tylko mogliśmy. A to znaczy: niezbyt prędko. Liska miała krótkie łapki. Zaplątywała się w gęstym poszyciu, brnąc bohatercko wśród zieleni, która kryła ją z głową. Niestety, nie byłem w stanie jej nieść. Niezdarnie rozgarniałem lewą ręką gałęzie i pnącza. Nie używałem noża. Obawiałem się, że ślady cięć ułatwią komuś wytropienie nas.

Dążyliśmy ku ruinom. Plaże były terenem odkrytym i niebezpiecznym. Las oferował inne groźby: węże, skorpiony, jadowite pająki, stada żarłocznych mrówek lub inne, równie nieprzyjemne stworzenia. Dlaczego rozpadające się ruiny miałyby być miejscem bezpieczniejszym od innych, nie miałem pojęcia. Ciągnęło mnie po prostu do śladów ludzi. Mizernych pamiątek po tutejszych mieszkańcach, innych niż morscy włóczędzy.

Wszelkie historie o rannych bohaterach, wrywających sobie strzały z ciała jakby były to zwykłe drzazgi, należy włożyć między bajki. Nie potrafię wyobrazić sobie bardziej bolesnej i trudniejszej do wykonania operacji. Może z wyjątkiem usuwania własnych zębów trzonowych.

Próbowałem przypomnieć sobie wszystko, czego kiedykolwiek dowiedziałem się od Płowego o tego typu ranach. Potem usiłowałem odłamać grot strzały. Chyba za mało wystawał. Następnie próbowałem sięgnąć do tyłu i złamać drzewce. To był stanowczo jeszcze gorszy pomysł. Stąd moje gorzkie przemyślenia o fałszywych bohaterach i bajaniach nie mających nic wspólnego z rzeczywistością. Leżałem na boku, od czasu do czasu wykrztuszając nową porcję czerwieni. Wyglądało na to, że dokonam żywota, przekłuty na wylot patykiem, niczym porcja mięsa przeznaczona do upieczenia. Nie miałem nawet siły, by płakać, choć może powinienem - nad sobą, Pożeraczem Chmur, którego miałem już za martwego, nad Liska i naszymi rodzicami.

Wtedy znalazł nas Pożeracz Chmur. Nie wierzyłem własnym oczom. Był w okropnym stanie. Przypominał brudną, mokrą i zakrwawioną ścierkę. Z białego, starannie wyczesanego smoczego młodzieńca pozostało ledwie wspomnienie. Zgarnął Liskę między przednie łapy i starannie obejrzał.

„Jest cała” - odetchnął. - „Co za szczęście, że żyjecie.”

„Co się z tobą działo? Dlaczego zostawiłeś małą?”

Ciężko zwiesił łeb.

„Nadpłynęli od strony otwartego morza. Zdążyli rzucić kotwicę, zanim ich zauważyłem. Duży okręt. Na brzeg płynęli łodzią. Chciałem ich przepędzić, ale nabili mnie strzałami jak jeża. Gdybym nie spadł na płyciznę, utopiłbym się. Potrwało, zanim zregenerowałem się na tyle, by móc chodzić.”

Jakby dopiero teraz zobaczył, w jakim jestem stanie, pochylił się nade mną.

„Też jesteś ranny. Dopadli cię.”

„Broniłem Liski. Zabijałem.”

„Rozumiem” - przekazał Pożeracz Chmur i rzeczywiście rozumiał.

„Dlaczego nie wyjąłeś strzały? W ten sposób nigdy się nie zagoi.” - Niektórych rzeczy jednak nie rozumiał.

„Nie potrafię” - odparłem. - „Nawet gdybym potrafił... przyjacielu, to się chyba nie zagoi. Raczej tego nie przeżyję.”

Pożeracz Chmur aż się otrząsnął.

„Nie myśl o takich głupotach! Oczywiście, że przeżyjesz! Nawet nie próbuj się poddawać. Zabiję cię, jeśli umrzesz!”

Uśmiechnąłem się wtedy blado, doceniając niezamierzony dowcip.

To, co wyprawialiśmy potem wraz Pożeraczem Chmur, nie miało świadków prócz Liski, więc musi starczyć ten opis w pamiętniku.

Siedziałem tyłem do smoka, opierając się sprawną ręką o popękana ścianę. Moje myśli i uczucia stanowiły w tej chwili jeden wielki lament.

„Tylko spokojnie, tylko spokojnie...” - powtarzał Pożeracz Chmur, łącząc się ze mną w pełnym kontakcie. W ten sposób byłem sobą (bardzo przestraszonym sobą), oraz smokiem, którego monstrualne zęby miały przegryźć brzechwę strzały. Dobrym porównaniem może tu być złotnik wykonujący pierścionek z pomocą kowalskiego młota. Czułem jednocześnie miękkie wargi Pożeracza Chmur na plecach i przykry smak krwi oraz drewna w ustach. Usłyszałem chrzęst miazdzonego drzewca. Ciche piśnienie Liski i jakieś pytanie, zadane cienkim, dziecięcym głosem w smoczym dialekcie. Pożeracz Chmur wypluł drzazgi.

„Już dobrze. Odwróć się.”

Obróciłem się sztywno. Pożeracz Chmur ostrożnie, samymi końcami zębów ujął grot...

„Poczekaj. Policzę do... czterech” - poprosiłem, mobilizując się.

„Jeden... dwa...”

Oczywiście szarpnął na „trzy”, a ja jednak zemdlałem. I nabiłem sobie guza o ścianę.

Kiedy się ocknąłem, Liska lizała mnie po twarzy mokrym ozorkiem. Pożeracz Chmur rozdarł na mnie ubranie i z kolei wylizywał krwawiące rany.

„Przestraszyłeś nas. Ale jest nieźle. Chyba się zaciskają.” Pozbierałem myśli.

„Na razie oddycham jednym płucem. Potrzebne będzie coś do zasłonięcia wylotów. Płowy użyłby kawałków skóry.”

Tym razem musiały wystarczyć grube, mięsiste liście i bandaże z podartej koszuli. Niezdarne to było, aż strach, ale musiało starczyć. Przynajmniej do chwili, gdy dotrzemy do mojego obozowiska.

Podróżowaliśmy z Liska w dużo wygodniejszy sposób -na grzbiecie jej brata. W bezpiecznym zagłębieniu między złożonymi skrzydłami, które osłaniały nas przed uderzeniami gałęzi. Pożeracz Chmur sunął między drzewami ostrożnie i płynnie niczym widmo. Niespodzianie zatrzymał się.

„Są przed nami.” „Jak blisko? Słyszysz ich?”

Pożeracz Chmur wyginał długą szyję jak podrażniony wąż. Strzygł wrażliwymi uszami.

„Jeszcze nie. Tylko wyczuwam. Są podnieceni. Czegoś szukają. Znaleźli? Niewyraźne. Za dużo przekazów nakłada się na siebie.” „Odcedź coś.”

Rozkaszałem się i znowu pląłem krwią. Pożeracz Chmur trwał w skupieniu. Zniecierpliwiona Liska kręciła się na moich kolanach. Jedną ręką trzymałem ją za skrzydełko, drugą zasłaniałem usta, usiłując zdławić zdradliwy kaszel. Pożeracz Chmur zaczął wycofywać się powoli.

„Niedobrze, Kamyk. Są u ciebie. Grzebią w twoich rzeczach, ci... ci zjadacze zdechłych kretów!” - stworzył w myślach brzydki obrazek. Byłem strasznie rozczerowany. Miałem nadzieję, że zdążę dotrzeć do mego zakątka przed piratami. Zabrać lekarstwa oraz bandaże. Uratować notatki i choć część zbiorów. Pożeracz Chmur dotknął mnie przelotnie nosem, jakby chcąc pocieszyć.

„Wracamy do ruin. Ty musisz się położyć, a Liska jest głodna.”

Lecz i do ruin nie było nam dane powrócić. Zanim tam dotarliśmy, Pożeracz Chmur znów wyczuł obecność wrogów, buszujących przed nami.

„Wiedziałem, że tu jest ciasno, ale nie myślałem, że aż tak!” - złościł się. - „Więcej tu ich niż myszy w spizarce!” Obraliśmy trzeci kierunek i w końcu dotarliśmy do nadbrzeżnych

zarośli, w miejsce położone prawie na wprost siedziby Szaleńca. Z przyzwyczajenia wciąż jeszcze nazywaliśmy ją Wyspą Pazura. Wszystko na odwrót. Pożeracz Chmur schwytał i przeżuł dla Liski jakiegoś zwierzaka. Ja odmówiłem posiłku, choć obiecywał, że znajdzie dla mnie coś smacznego. Byłem wykończony i marzyłem tylko o tym, by spać. I zasnąłem głęboko, choć był jasny dzień. Pożeracz Chmur czuwał nade mną i Liska.

Obudziłem się osłabiony, lecz jakby mniej obolały i przytomniejszy. Pożeracz Chmur w tym czasie ozdrowiał całkowicie, czerpiąc energię z pokładów tłuszczu, a teraz był głodny jak... jak smok. Zostawił siostrę pod moją opieką i ruszył w las, by zdobyć cokolwiek nadającego się do zjedzenia.

„Uważaj na siebie” - pomyślałem, odprowadzając go wzrokiem.

Siedzieliśmy z Liska ukryci w zaroślach, a czas nam się dłużył. Mała próbowała się bawić, ale jakoś bez przekonania. Trochę grzebała w ziemi, przenosiła z miejsca na miejsce duże liście i patyki. Próbowała łapać własny ogon. Szybko jednak porzuciała każde zajęcie, w żadnym nie znajdując przyjemności. Skrobała mnie łapką, patrząc prosząco. Nic nie mogłem dla niej zrobić. Nie potrafiłem przecież ani sprowadzić jej rodziców do domu, ani przegnać wrogów. Mogłem tylko uśmiechnąć się, drapać ją za uchem i udawać silniejszego niż w rzeczywistości, tak, by mniej się bała.

Pożeracz Chmur wrócił bardzo podniecony. Jeszcze nie wynurzył się spod drzew, a już sięgnął ku mnie smoczym zmysłem.

„Nie uwierzysz, co tam się dzieje!” W chwilę później ukazał się. Był straszliwie brudny, jakby tarzał się *przez* całą drogę. Do reszty stracił biały kolor. Zwalił się na ziemię i dyszał, usiłując się ochłodzić. „Rozbierają ruiny!”

Byłem równie zdumiony jak Pożeracz Chmur. Rozbierają ruiny? Ależ po co?

„Nie wiem, po co” - przekazał smok. - „To twoja rasa. Ty się domyśl.”

Przedtem byłem przekonany, że załoga pirackiego okrętu długo tu nie zabawi. Rozprostują nogi, nabiorą słodkiej wody, uzupełnią prowiant i odpłyną. Teraz wyglądało na to, że im się zupełnie nie spieszy. Pożeracz Chmur twierdził, że prace w ruinach potrważą dłużej.

„Są bardzo dokładni. Wyrrywają kamień po kamieniu. Ryją w ziemi jak stado kretów. Dużo z tego miejsca nie zostanie.”

Zastanawiałem się, o co może chodzić piratom. Równanie z ziemią kamiennych ścian jest ciężką pracą i nikt nie robi tego dla przyjemności. Rozwiązanie zagadki nasuwało się samo. Skarby.

„Jakie skarby?” - zdziwił się Pożeracz Chmur. „Smocze skarby. To jest smocza

wyspa, tak? Szukają smoczego skarbcza, mogę się o to założyć.”

„Powariowali” - stwierdził Pożeracz Chmur z niesmakiem. - „A myślałem, że mamy tu tylko jednego szaleńca. Ryzykowali spotkanie z nami, smokami, dla garści jakichś blaszek?”

Wzruszyłem ramionami i zaraz tego pożałowałem, bo znów zabolalo.

„Nie bądź taki zarozumiały. Dużo tu widziałeś tych straszliwych smoków? A ciebie, bohaterze, zabili na samym początku.”

Posmutniał i zaczął lizać łapy. Zastanawiał się chwilę, a potem ożywił.

„Nic nie znajdą, to pewne. Za dwa dni odpłyną.”

Obawiałem się, że nie będzie to takie proste.

„Zaczęli od ruin, ale jeśli są uparci, przeryją całą wyspę. A przy okazji wytłuką wszystko, co tu żyje. Wiem, co potrafią tacy ludzie.”

Pożeracz Chmur spojrzał bezradnie. Polizał Liskę, która próbowała wspiąć się na jego łapę i ześlizgiwała się raz za razem.

„To co zrobimy?”

„Musimy stąd zniknąć.”

Postanowiliśmy przenieść się na wyspę Pazura. Szaleniec wydał nam się mniej groźny niż gromada bandytów uzbrojonych w kusze. Co prawda, istniała możliwość, że piraci trafią i tam, lecz ta przeprowadzka dawała nam przynajmniej trochę czasu. Czekaliśmy na zmierzch, gdy słońce szybko, jak to na południu, schowa się za horyzontem, a ciemność zapewni nam bezpieczeństwo. Gdy wreszcie zapadł zmrok, zaczęły się nowe kłopoty. Pożeracz Chmur doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zdołam utrzymać się na jego karku bez zabezpieczenia. Odsuwał jednak od siebie tę myśl jak najdalej. Proponował w zamian rozmaite nierealne pomysły. Miałbym trzymać się jego sierści lub podróżować w smoczym pysku. Mrówki przebiegły mi po plecach na samą myśl o tym. Wystarczyła chwila spędzona w paszczy Łagodnej, bym pokaleczył się (na szczęście nieznacznie) o spiczaste zęby. Poza tym, co z Liska? Pożeracz Chmur nie utrzymałby w zębach nas obojga jednocześnie.

Marnowaliśmy czas. Czuję się coraz gorzej. Nastroszony Pożeracz Chmur wyklócał się i szczyrzył zęby. Wreszcie uciałem te jałowe przepychanki.

„Albo przepłyniesz na tamtą wyspę z nami obojgiem na grzbiecie, albo przelecisz, ale tylko z Liska. Beze mnie! To jasne, ośli łbie?”

Położyłem się i zamknąłem oczy, na znak, że uważam sprawę za zakończoną ze swej strony. Teraz Pożeracz Chmur miał podjąć męską decyzję.

Długo ze sobą walczył. Zdążyłem prawie zasnąć, gdy znów nawiązał kontakt. Był

przeżony, a jednocześnie czuł się jak bohater. W tej chwili jestem w stanie bardziej docenić jego poświęcenie. Wtedy odczułem tylko ulgę.

„Właż na mnie, ty oprawco” - przekazał smok. - „Dasz sobie radę? Podam ci Liskę. Uważaj na nią.”

Rozpłaszczony na ziemi Pożeracz Chmur nie był dla mnie zbyt wysokim wierzchowcem. Trzymałem się go głównie kolanami, obie ręce mając zajęte smoczym szczenięciem. Pożeracz Chmur wstał ostrożnie, wysunął się z ukrycia, penetrując jednocześnie wzrokiem otoczenie. Wiedziałem, że to, co dla mnie było niemal całkowitą ciemnością, dla jego oczu to zaledwie szarówka.

„Nikogo nie ma. Kamyk, żebyś wyłyś!.. nienawidzę wody... Wyzdrowiej tylko, a zobaczysz, jak cię stłukę...!”

Pokiwałem tylko głową.

„Dobrze, dobrze. Tylko wejdź do morza, błagam.”

Cofnął się jak oparzony, gdy fala obmyła mu łapy.

Prosiłem go, groziłem i przeklinałem na przemian. Czuję jego mięśnie napięte pod skórą, twarde jak drewno.

„Pożeracz Chmur! Zaraza i śmierć! Niech cię otchłań pochłonie! To nie boli! Zmus się!”

Wszedł wreszcie do wody, na łapach sztywnych niczym słupy. Zanurzał się coraz głębiej. Woda podmyła mu brzuch...

„Nie umiem pływać!...” - to był ostatni wybuch paniki. Zdzieliłem go z całej siły piętami, jak narowistego konia. O mało co, a spadłbym.

„Rozpostrzyj skrzydła i ruszaj łapami. To łatwe.”

Był na tyle przytomny, że zrobił tak, jak kazałem. Jego skrzydła rozłożyły się na wodzie, utrzymując nas na powierzchni jak tratwa. Chwaliłem Pożeracza Chmur i podtrzymywałem na duchu. Byle tylko nie zawrócił do brzegu lub nie próbował wzbic się w powietrze.

„Świetnie ci idzie. Bardzo dobrze. Tylko tak dalej. To naprawdę proste.”

Pod koniec powtarzałem to całkiem mechanicznie. Wyspa Pazura rosła w oczach. Mały księżyc wtaczał się na niebo, świecąc nieśmiało blade zielonkawym światłem. Pożeracz Chmur przyspieszył. Niebawem za swym młodszym bratem miał pojawić się złoty gigant, a wtedy bylibyśmy widoczni jak na scenie. Zdażył wysunąć jasne czoło znad krawędzi horyzontu, gdy Pożeracz Chmur dotknął łapami dna. Dotarliśmy.

Zsunąłem się po skrzydło na ziemię. Postawiłem Liskę na piasku, który zachował

jeszcze resztki ciepła dnia. Pożeracz Chmur otrząsnął się ze słonej wody, a potem stał, zwiesiwszy nisko łeb - zmęczony i nieszczęśliwy. Zrobiłem wtedy coś, co jeszcze mi się nie zdarzyło: objąłem jego wielką głowę i ucałowałem, zanurzając twarz w miękkiej sierści. Zastrzygł uszami, zdziwiony.

„Zdaje się, że jesteś zadowolony” - przekazał.

„Jestem z ciebie dumny” - oświadczyłem gorąco.

„A czy jesteś pewien, że to pływanie było potrzebne?” -*• spytał, jeszcze nie do końca pocieszony.

„Absolutnie. Zleciałbym z ciebie już w momencie startu.”

Nie odważyliśmy się zapuścić w głąb Wyspy Pazura. Ryzyko spotkania z Szaleńcem nie uśmiechało nam się, zwłaszcza teraz. Byliśmy smętną gromadką: zszargany, zmęczony niedorosły smok, ranny chłopak, ledwo trzymający się na nogach i przestraszone dziecko. Poszliśmy spać pod nisko zwisające gałęzie, mając nadzieję, że tej nocy już nic się nie wydarzy.

Obudziłem się o świcie, jako pierwszy. Bolała mnie głowa, świat pływał przed oczami i straszliwie chciało mi się pić. Pożeracz Chmur spał jak zabity. Między jego łapami leżała Liska, jak w kołysce. Na grzbiecie, z łapkami w górze, rozkoszna niczym zabawka uszyta z wiewiórczych skórek. Wstałem ostrożnie, by nie obudzić tych dwojga. Marzyłem o wodzie. Czystej, zimnej, takiej prosto ze źródła. Napić się, aż do utraty tchu! Zmyć z siebie zaschniętą krew i piasek. Morskie fale kusiły tylko przez chwilę. Pomyślałem o cienkiej warstewce soli, jaką zostawia na skórze taka kąpiel i wszedłem do wnętrza wyspy. Noc pozawieszała na roślinach krople rosy, które nie zdążyły jeszcze zniknąć. Oblizywałem z liści te drobiny wilgoci. Dawało to tylko chwilową ulgę. Czułem się jak wyschnięta kość na pustyni.

Nie, nie znalazłem wtedy źródła, choć bardzo tego chciałem. Trafiłem na coś zupełnie innego. Szedłem prosto kierując się w stronę serca wyspy, z zamiarem powrotu tą samą drogą, gdy uznam, że oddaliłem się zbyt daleko. Wtem zielen skończyła się jak ucięta nożem. Wyszedłem na otwartą przestrzeń. Przedemną znajdowały się opuszczone zabudowania, a właściwie nędzne ich pozostałości. Nie zachował się żaden dach. Ściany były zwietrzałe i pokruszone. Na niektórych zachowały się resztki płaskorzeźb. Oglądałem fragmenty kół wozu czy może wojennego rydwanu uniesione kopyta, które nie niosły już rumaka. Stopy obute w sandały, nad którymi tkwiły sztywne ramy długiej szaty i dłoń zawieszona na płaszczyźnie ściany jak dziwny motyl. Szedłem, zaintrygowany, między tymi pamiątkami z

przeszłości. Zatrzymałem się przed zwałonym portalem. Kiedyś jego zwieńczenie podtrzymywały dwie postacie ludzkie. Z jednej pozostały tylko nogi. Druga - pokruszona i wymyta przez tysiące deszczów - wciąż była rozpoznawalna. Wyobrażała mężczyznę naturalnej wielkości. Miał na sobie kusy, jakby złożony z wielu części strój, sięgający do kolan. Przypominał zbroję. Jedna z dłoni wojownika leżała na piersiach. Palec wskazujący dotykał kciuka, tworząc kółko, a włosy miał zaczesane do tyłu. Może kiedyś były zaplecione w wiele warkoczy. Teraz me dawało się tego rozpoznać z całą pewnością. Od głowy rozchodziła się specyficzna aureola w kształcie promieni liści czy też piór. Lecz najbardziej w tej rzeźbie uderzył mnie wygląd twarzy. Dawno już straciła nos, a zacięte w stanowczym grymasie usta, uparty podbródek i śmiałe brwi wygładził czas, lecz oczy wciąż były wyraźne - wąskie i lekko skośne. Prawie identyczne z tymi jakie setki razy widziałem w lustrze.

„Zza zachodniego oceanu przyplłynęły okręty o czarnych burtach i czerwonych żaglach, a na nich przybyli wojownicy i magowie” - przypomniałem sobie początek zbioru starych przekazów. Jednej z moich ulubionych lektur.

Z żalem porzuciłem rzeźbę. Ciekawe, jaki człowiek do mej pozował? Czy był wojownikiem, czy magiem? A jeśli magiem, to jakiego rodzaju talent posiadał? Przesunąłem palcem wzdłuż dolnej powieki, śledząc jej kształt. Wyobraziłem sobie długi szereg prapraojców, przez setki lat. Czy nie byłoby zabawne, gdybym rzeczywiście miał coś wspólnego z tamtym człowiekiem?

Zaprzątnięty takimi myślami, przeszedłem przez następną wyrwę w murze. Żołądek skurczył mi się gwałtownie z zaskoczenia - przykre uczucie. Między rumami, na starannie oczyszczonej z chwastów przestrzeni, wznosił się malutki pagórek usypany z rozmaitych błyszczących przedmiotów. Na nim, jak na najwygodniejszym łóżku, leżał zwinięty w kłębek nagi człowiek. W pierwszym momencie byłem skłonny uznać to za zwid wywołany gorączką. Śpiący był chyba jeszcze brudniejszy niż ja w tamtej chwili, za to splątane włosy lśniły od powpinanych w nie klejnotów. Szyję oplatały masywne złote łańcuchy, biodra ozdobił drogocenny pas, a ramiona na całej długości obciążały bransolety, założone jedna nad drugą. Nawet kostki u nóg nie były wolne od ozdób.

Nie uważam się za najmądrzejszego człowieka na świecie, ale z pewnością nie jestem głupi. Od razu domyśliłem się, kogo mam przed sobą. Był to Szaleniec, który przybrał ludzką postać. Pewnie po to, by lepiej nacieszyć się swoją kolekcją. Przeklinając w duchu własną nieostrożność oraz głupie przypadki, powoli wycofywałem się. Szaleniec leżał twarzą do mnie. Wystarczyło, żeby otworzył oczy... Nawet jako człowiek, z pewnością był na tyle silny, by skrócić mi kark jednym ruchem. O mało nie dostałem zeza, usiłując patrzeć jednocześnie

na właściciela skarbcza i pod nogi, by nie kopnąć jakiegoś kawałka gruzu, nie narobić hałasu.

Zawsze szczyliłem się darem obserwacji a tym razem nie zauważyłem, że roślinność w ruinach jest przetrzebiona. Przygięta, zdeptana lub nawet starannie przycięta tuż przy ziemi, jakby ktoś specjalnie o to zadbał.

Wróciłem pod skrzydła Pożeracza Chmur, najszybciej, jak się dało. Spocony, podrapany, z nieprzyjemnym uczuciem, że czyjeś spojrzenie przylepia mi się do pleców. Na szczęście była to tylko wyobraźnia. Smok czekał już, zaniepokojony moim tajemniczym zniknięciem. Przekazałem mu wszystko, co widziałem w ruinach, a skończyłem natarczywym żądaniem: Pić!

Okazało się, że poszedłem w zupełnie fałszywym kierunku. Ujście jednego z trzech strumieni na Wyspie Pazura znajdowało się zupełnie niedaleko, oddalone może o trzy rzuty włócznią. Zaspokoilem dręczące pragnienie. Zostaliśmy nad strumieniem, uznając, że jest to miejsce równie dobre jak każde inne. Nawet lepsze, ze względu na bliskość słodkiej wody.

Zastanawiałem się, skąd Szaleniec miał aż tyle złota. Nawet biorąc pod uwagę, że mógł je zbierać już od wieku, była to ilość imponująca. Czyżby wyprawiał się po łupy na kontynent?

Pożeracz Chmur drapał się w zadumie za uchem.

„Zawsze coś kombinował. Trochę podbierał, trochę znalazł, część, zdaje się, wykopał...”

Gwałtownie uniosłem głowę.

„Wykopał?!”

Spojrzeliliśmy na siebie, a potem na Wyspę Szaleńca, nad którą unosiła się smuga dymu z ogniska. A więc to tak. Wszystko ułożyło się w zrozumiały wzór. Skarby z dawien dawna ukryte na ostatniej z wysp Smoczego Archipelagu, szalony kolekcjoner, który je znalazł i zagarnął dla siebie. Piraci skądś dowiedzieli się o tym potężnym majątku. Może z plotek, może ze starych przekazów lub tajemniczych map. A może te klejnoty nie były własnością wojowników i magów, lecz zgromadzonymi dobrami jednego z legendarnych „tygrysów morza”?

Przybysze będą szukać ich na próżno, rozczarowani i wściekli, rujnując nam życie. Krzywdząc wszystkich naokoło.

Dla Pożeracza Chmur skarb, tak pożądany przez piratów, był jedynie stertą niepotrzebnych przedmiotów. Twardych i niemiłych w dotyku, a także niejadalnych. A ja wyraźnie dużo cech przejąłem od mego przyjaciela, gdyż całe to bogactwo nie zrobiło na mnie szczególnego wrażenia. Czułem raczej zdziwienie i ubolewanie na myśl, jaki ciężar

dźwigał na sobie Szaleniec, i jakie niewygody znosił, powodowany chciwością.

Nie przyszło nam do głowy, by skrzywdzić starego smoka, choć byłoby to łatwe, póki nosił ludzką skórę. Nie myśleliśmy też o przywłaszczeniu sobie smoczego skarbcza. Nawet nie wiedzielibyśmy, jak go wykorzystać.

Plan, jaki zrodził się we łbie Pożeracza Chmur, był kompletnie zwariowany, chociaż muszę przyznać, że na swój sposób logiczny.

Dla mego przyjaciela kradzież znaczyła zupełnie coś innego niż dla mnie. Kradzieżą było zajęcie cudzego terytorium lub odebranie jedzenia. W czasie kontaktów z ludźmi pojęcie kradzieży rozszerzył na odzież i osobiste pamiątki. Tak więc zawłaszczenie przez piratów mojego pamiętnika było czynem wysoce nagannym, a podebranie czegokolwiek z kolekcji Szaleńca - ledwie drobnym wykroczeniem przeciw moralności. A właśnie to mieliśmy zrobić. Zabrać smokowi część jego ukochanego zbioru i zaspokoić nią pirackie apetyty.

Szaleniec wciąż jeszcze nie odkrył naszej obecności na wyspie, a może po prostu nas ignorował. Mieliśmy spore szansę na powodzenie planu. Zgodziłem się na to ryzyko tylko dlatego, że nie potrafiłem sam wymyślić niczego lepszego.

Gdyby podobny wypadek zdarzył mi się w domu, leżałbym już w łóżku jako ciężko chory. Obłożony kompresami. Musiałbym pić wstrętne ziołowe napary i rosół z gołębia, i nie mógłbym ruszyć choćby palcem. Tymczasem czaiłem się gdzieś w krzakach, polując na smoczy skarbiec. Szmaty, które wypłukałem w strumieniu, wyschły i skurczyły się, tworząc opatrunek sztywny niczym pancerz. Rany ściągnęły się i już nie krwawiły, lecz czułem jak oczy pieką mnie od rosnącej gorączki.

Człowiek bardzo przypomina zabawkę - wirującego bąka, puszczanego w ruch pociągnięciem sznurka. Kręci się i kręci, coraz wolniej i wolniej. Już ma upaść, lecz wciąż, jakby wbrew naturze, robi kolejne obroty. Tak było i ze mną. Nieoczekiwanie odnalazłem w sobie nie odkryte dotąd pokłady sił, które pozwalały mi poruszać się, myśleć i działać, na przekór postępującej chorobie.

Podkradliśmy się do legowiska Szaleńca, polegając wyłącznie na słuchu i węchu Pożeracza Chmur. Mój przyjaciel nie chciał penetrować okolicy sposobem Obserwatorów, twierdząc, że byłoby to równoznaczne z zaproszeniem: „Tu jesteśmy, możesz nas zjeść.”

Liska była podniecona do ostatecznych granic. Płatała mi się pod nogami, ryzykując,

że na nią nadepnę, to znowu przepadała w chaszczach i trzeba było jej szukać. Zachowywała się jak naprawdę niegrzeczny dzieciak. Wreszcie wpadłem na pomysł. Wyciąłem odpowiednio długi kawałek cienkiego pnącza, oczyściłem z liści i w parę minut sporządziłem dla niesfornego szczenięcia coś w rodzaju upręży ze smyczą. Liska złościła się, próbowała przegryźć pnącze, lecz igielkowate kły nie na wiele się przydawały, a porządnych zębów jeszcze nie miała.

Dotarliśmy do murów. Skróciłem Lisce smycz. Pożeracz Chmur, zgarbiony, krył się za kamienną ścianą, spoglądając tylko ostrożnie, jednym okiem, nad wyszczerbionym szczytem.

„Nie ma go. Idę dalej” - przekazał i prześlizgnął się sprawnie na drugą stronę. Obserwowałem przez wyrwę w murze, jak na ugiętych łapach podchodzi do lśniącego stosu. Nie przebierając, nabrał do pyska pokaźną porcję złotniczych wyrobów i nie zwlekając, zawrócił. Wszystko szło gładko, do momentu, gdy przelazł z powrotem. Właśnie tę chwilę wybrała Liska, by ugryźć mnie w palec. Znudzona lub po prostu z zemsty za uwięzienie, wbiła mi ząb akurat w nasadę paznokcia - szczególnie bolesne miejsce. Jak później twierdził Pożeracz Chmur, mój krzyk mógł poderwać umarłego z grobu. Puściłem smycz, a Liska natychmiast uciekła. Oczywiście w najbardziej nieodpowiednim kierunku - do skarbcza starego smoka. Przedostałem się przez dziurę w ślad za małą. Pożeracz Chmur usiłował zawrócić, zaplątał się skrzydłami w gałęziach i utknął w nich na dłuższą chwilę. Liska porwała kawałek złotego łańcucha i potrząsała nim, zadowolona z nowej zabawki. Droczyła się ze mną, wymykała z rąk, a ja nie miałem sił, ani czasu, by ją gonić. Na szczęście udało mi się nadepnąć koniec wlokącej się liany. Złowiłem nieposłuszne smoczątko...

„Wraca!!!” - to był przekaz od Pożeracza Chmur. Szaleniec wynurzył się spomiędzy ruin jak demon zemsty - z krwią na twarzy i rękach, śladami udanego polowania. Rzucił się ku mnie, wyciągając dłonie z palcami zagiętymi na kształt szponów. Wykrzywione w grymasie nieopisanej wściekłości, wargi odsłaniały długie, nie całkiem ludzkie zęby. Zamarłem ze zgrozy i odzyskałem zdolność ruchu dopiero, gdy potworne palce prawie już dotykały mego gardła.

To był odruch. Nic, co bym planował. Po prostu zadziałałem całkiem instynktownie. Ze wszystkich sił kopnąłem napastnika w krocze. Postawił oczy w ślup i zgiął się jak cyrkiel. Mentalne echo jego bólu rozprzestrzeniło się jak fala sztormowa. Porwałem Liszę, niczym owiązany sznurkiem pakunek i uciekłem, ile sił w nogach. Gnany strachem, wdrapałem się na kark Pożeracza Chmur, jakbym sam miał skrzydła. Przyłgnałem płasko do smoczego futra, by nie zgarnęły mnie gałęzie. Pod pachą trzymałem wierzące się szczenię. Wysiłek sprawił, że

rozkaszlałem się znowu, dodając do zacieków na Pożeraczowym futrze nowe, krwawoczerwone wzory. Pożeracz Chmur gnał jak szalony. Zatrzymał się dopiero w znajomym nam miejscu nad strumieniem. Wypluł klejnoty i zaczął sapać gwałtownie. Zsunęliśmy się z Liska na ziemię. Złapałem nieposłuszne szczenię za ucho, podsunąłem pod nos skaleczony palec, z którego jeszcze kapłała krew, a potem, po raz pierwszy całkiem poważnie, przetrzepałem rudy zadek. Liska, wcisnęła się między korzenie drzewa i tylko wyglądała stamtąd, rozżalona i zapłakana.

„Jest rozpuszczona jak warkocz taniej dziwki! Wytłumacz jej, za co oberwała.”

Położyłem się, ciężko oddychając. Miałem uczucie, jakby w mych płucach przesypywał się piasek. Pożeracz Chmur podrygiwał, wstrząsany potężną czkawką. Ani mu w głowie było besztanie siostry.

„Chyba coś połknąłem” - poskarżył się.

„Wypluj to!”

„Może przetrawię...” - przekazał niepewnie.

„Zwariowałeś? Nie jesteś piecem hutniczym. Wyrzuć to z siebie!”

To była bardzo nieelegancka czynność, ale przyniosła ulgę biednemu smokowi. Patykiem wyłowilem z kałuży parujących wymiocin obcy przedmiot. Kiedy oplukiwałem go w strumyku, okazał się wielkim, niezwykle ozdobnym wisiołem, przy którym zachował się jeszcze fragment łańcuszka.

„Według ciebie jest ładny?” - spytał Pożeracz Chmur z całkowitym brakiem entuzjazmu.

„Według ciebie: jadalny?” - odparłem, rzucając ozdobę na kupkę innych. Pożeracz Chmur tylko machnął uchem lekceważąco.

Przypuszczaliśmy, że niewiele już przed nami tego względnego spokoju. Poturbowany Szaleniec wkrótce dojdzie do siebie i z pewnością zjawi się tutaj, żądny zemsty, w znacznie groźniejszej postaci. Określiliśmy z grubsza czas potrzebny na przemianę, uwzględniając też stan, w jakim pozostawiliśmy Szaleńca i wynik nie był zadowalający. Krew mogła polać się już za niecałą godzinę. Uciec nie było dokąd. Tutaj zagrażał nam rozwścieczony smok, na drugiej wyspie - *zgraja* ludzi uzbrojonych w łuki i kusze.

Czekaliśmy i czekaliśmy. Pożeracz Chmur wysuwał i wsuwał na powrót pazury, niespokojnie lustrując otoczenie. Ja obgryzałem paznokcie prawie do żywego mięsa, co nigdy dotąd mi się nie zdarzało. Ale też nikt do tej pory nie usiłował mnie zabić. Czas mijał. Oczekiwanie na nieuchronne stawało się torturą nie do zniesienia. Pierwszy nie wytrzymał Pożeracz Chmur.

„Paznokcie u rąk już skończyłeś. Napoczniesz teraz nogi?”

Wyjąłem palec z ust.

„Ile czasu minęło?”

„Mój brzuch twierdzi, że dużo. Słońce przesunęło się spory kawał.”

Sprawdziłem. Rzeczywiście, upłynęła już ponad godzina. Chyba nawet dwie, a Szaleniec nie pojawiał się. Spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem.

„Zabiłeś go” - przekazał Pożeracz Chmur ze zgrozą.

„Nikt nie umiera od kopnięcia w jaja” - odparłem kwaśno.

„Czułem, co mu zrobiłeś. Ja bym umarł”- upierał się Pożeracz Chmur. Uszy mu obwisły. Zaczął trzeć nosem przednie łapy.

„Co rodzice powiedzą...?” - zaczął biadolić.

„Nie masz innych zmartwień?” - uciąłem krótko.

Pozbierał się bardzo szybko, to muszę przyznać. Wyprostował się, trzepnął uszami.

„Sprawdzę, co się stało.”

„Pójdiesz?”

„Sięgnę.”

Przez parę minut nic się nie działo. Pożeracz Chmur trwał nieruchomo, zapatrzony gdzieś w przestrzeń. Sprawdziłem, co porabia Liska. Spała twardo, zwinięta w kłębek. Zmęczyła się długim płaczem, a teraz przesyiała okres niełaski. Ostrożnie przykryłem ją wielkim, pierzastym liściem. Niewielka ochrona, lecz gdyby miał się tu zjawić Szaleniec, liczyłem, że może nie zauważy jej z początku, a potem oszczędzi, gdy już wyładuje złość na nas obu.

Od strony Pożeracza Chmur nadpłynęła fala ogromnego zdumienia, niedowierzania, a wreszcie ulgi, która przerodziła się z kolei w dziką uciechę. Młody smok zerwał się i zaczął podskakiwać jak wariat, nie zważając na to, że miejsca nie było zbyt wiele. Czym prędzej odsunąłem się na bezpieczną odległość, czekając, aż oprzytomnieje i będzie zdolny do konkretnych wyjaśnień. Usiadł wreszcie. Uszy sterczały mu dziarsko.

„Szaleniec nie przyjdzie. Ani teraz, ani nigdy. To znaczy, *przez* długi czas raczej nie” - poprawił się. Musiało zdarzyć się coś naprawdę niebywałego, bo wręcz promieniał.

„On nie może transformować” - rzucił triumfalnie.

„Zapomniał?” - spytałem z niedowierzaniem.

„Nie zapomniał, tylko nie może!”

Pożeracz Chmur przerwał i zaczął śmiać się jak głupi, otwierając szeroko pysk. Skąd ja brałem cierpliwość?

Pamiętasz, co ten wariat miał na sobie?” - podjął po chwili mój towarzysz.

Kupę złomu. Zastanawiające, jak mógł w tym polować. „COŚ zapętlilo mu się na szyi. Nie może tego zdjąć. Jest zły jak wściekły szczur. Ma do wyboru: albo transformuje tak jak jest i wchłonie metal w siebie, albo nie, a wtedy się udusi.”

Miałem wątpliwości.

Jest bardzo silny. Jeśli to łańcuch, może rozerwać ogniwa.”

Nie wiem, co to jest, ale jest wystarczająco mocne, by nie dał rady. Wychwyciłem, jak rezygnował. I na pewno nie zdecyduje się na przemianę w takim stanie, bo jest na to zbyt chciwy!”

Może zamienić się w coś niedużego. Na przykład w węża. Wyślizgnie się z tej obroży.”

Pożeracz Chmur spojrział zezem, drwiąco. Zmienić ciało to nie takie proste jak włożenie innego ubrania. Nawet jeśli przyjdzie mu to do głowy, nie wytrzyma dwóch transformacji w krótkim czasie. Pamiętaj, że on ma już sześćset lat. To daje nam dużo czasu. Co najmniej do jutra.

Więc byliśmy bezpieczni. Nic nam nie zagrażało, przynajmniej na razie. Z niemrawym zdziwieniem zauważyłem, jak kontakt z Pożeraczem Chmur zaczyna się rozmywać. Głowę miałem coraz cięższą, jakby wypełnioną mokrymi wiórami. Niczym przez grubą poduchę dotarł do mnie przekaz od Pożeracza Chmur:

„Kamyk? Co się z tobą dzieje?”

I nagle ziemia stanęła dęba, uderzając mnie w skroń. Cały świat wypełniły ogromne, zbrązowiałe liście, gigantyczne źdźbła traw i wielkie owady wędrujące w różne strony. Czerwone mrówki biegały, machając czułkami. Przenosiły ciężary o wiele większe niż one same. Dwa masywne błyszczące żuki walczyły między sobą. Każdy próbował przewrócić na grzbiet przeciwnika. Bezskutecznie. Zielona, włochata gąsienica wspinała się po patyczku w górę co chwila unosząc przód ciała, jakby węsząc.

Zamrugalem mocno. Wszystko wróciło do normalnych rozmiarów. Ulotnił się ciężar spod czaszki. Uniosłem się na łokciu, a nawet klepnąłem Pożeracza Chmur w nos.

„Przeastań mnie lizać! Okropność, cały będę się lepił.”

Dmuchnął gwałtownie.

„Mógłbyś mnie nie straszyć! Tyle czasu minęło, że już powinieneś się zregenerować.”

Skrzywiłem się. Byłem okropnie rozdrażniony.

„Nie jestem smokiem, tłumoku. Tyle chyba rozumiesz?”

Pożeracz Chmur obraził się, ale tylko na chwilę. Przeważała troska.

„Żle wyglądasz. Zbladłeś, masz plamy pod oczami.”

„Chciałbym być w domu” - pomyślałem tęsknie. Uroki Smoczych Wysp spowszedniały. Dom pozostawiony daleko na północy, zdawał się najpiękniejszym i najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Zatekniłem jak nigdy dotąd za ojcem, własnym kątem i książkami, a nawet za nudnymi obowiązkami w gospodarstwie.

„Ja też chciałbym wrócić do domu” - przekazał Pożeracz Chmur, a ja ze zdumieniem stwierdziłem, że nie ma na myśli Wyspy Szaleńca, tylko właśnie skromną siedzibę Płowego w Żmijowych Pagórkach.

Liska przebudziła się i wylazła spod liścia. Na przemian ziewała, kichała i tarła nos łapką. Pocieszny dzieciak. W tym wieku niewielkie ma się kłopoty, akurat na własną miarę.

Ograbienie skarbca Szaleńca było dopiero połową całego przedsięwzięcia. Oczywiście nie mogliśmy otwarcie układać się z piratami. Pozostawało podrzucić im klejnoty i oczekiwać, że nasyceni, sami odejdą. Przekonani, że osiągnęli to, czego chcieli.

Opakowałem złoto w szerokie, mocne liście. Owinąłem całość włóknem, tak, by Pożeracz Chmur niczego nie zgubił, nie rozsypał, lub przypadkiem znów nie połknął. Tym razem miał wyruszyć samotnie. Za moją radą wytarzał się w najbrudniejszym miejscu, jakie mógł znaleźć w okolicy. Jego sierść wyglądała tak, jakby nigdy nie był biały.

„Do końca życia się nie doczyszczę” - stwierdził ze smutkiem.

„Lepiej być brudnym niż martwym” - pocieszyłem go. - „W nocy byłoby cię widać jak latarnię. Tak jest dużo lepiej.”

Zmrok zapadł, jak zwykle, niespodzianie. Sylwetka Pożeracza Chmur zmieniła się w ciemnopopielaty cień, prawie nie odróżniający się od tła. Ostrożnie ujął w zęby pakunek. Wyszedł na otwartą przestrzeń plaży, wziął rozbieg i wzbił się w powietrze. Zostaliśmy z Liska sami. Siedzieliśmy obok siebie na piasku. Oczy małej odbijały światło gwiazd, lśniąc w ciemnościach jak dwa wielkie rubiny.

Niebawem sięgnął ku mnie Pożeracz Chmur. Nie wiedziałem, że potrafi zrobić to aż na tak dużą odległość. Pełny kontakt dawał trudne do zniesienia uczucie przebywania w dwóch ciałach jednocześnie. Walczyłem z zawrotami głowy i podchodzącym do gardła żołądkiem. Wbijałem palce w piasek - sypki, szorstki, przemieszany z okruchami muszli, a równocześnie czułem dotyk zwiędłych liści i wilgotnej ziemi. Wdychałem duszny zapach roślin, słuchałem dźwięków lasu i ludzkich głosów.

„Pomóż mi” - poprosił Pożeracz Chmur. - „Lepiej znasz się na ludziach.” Młody smok

znajdował się tuż przy ruinach, a raczej obok tego, co z nich zostało. Patrzyłem smoczymi oczami i widziałem, jak ogromne spustoszenia poczynili najeźdźcy.

Pośrodku płonęły dwa ogniska. Część ludzi szykowała się w ich świetle do snu, część marudziła jeszcze, rozmawiając cicho. Kilku piratów grało w kości. Słysząc było ich grzechot, gdy potrząsano kubkiem. Ktoś zagrał kawałek piskliwej melodii, lecz inni zakrzyczeli gniewnie flectę i musiał przerwać. Zmęczeni ciężką pracą ludzie chcieli przede wszystkim spać. Kilku chodziło wokół obozu z mieczami w dłoniach, trzymając wartę.

Kierowałem Pożeraczem Chmur, a on bez sprzeciwów wykonywał polecenia. Przemykał się między zaroślami i pniami drzew cicho, pewnie, zaledwie lekko szeleszcząc. Raz przeszedł obok niego wartownik, nie przypuszczając nawet, że prawie otarł się o smoka.

„Przymykaj oczy. Pamiętaj, że świecą w ciemnościach” - ostrzegałem. Obserwowaliśmy warty, penetrowaliśmy teren. Obeszliśmy wokoło niemal całe ruiny, gdy wreszcie znaleźliśmy to, o co nam chodziło. Jeden z ostatnich zakątków, nie ruszonych jeszcze przez poszukiwaczy skarbów. Pożeracz Chmur zacząłony za hałdą gruzu, nastawiał uszy, oczekując grzechotu kości do gry. Wówczas wyrwał kolejny kamień, powiększając dziurę, w której mieliśmy zamiar ukryć skarb.

„Skaleczyłem się. Połamie zęby” - warczał w myślach, zły. Miał ochotę zacisnąć kły na coś innym niż kamień, na piracie.

Byłem coraz bardziej znużony. Marzyłem, by Pożeracz Chmur wypuścił mnie już ze swego wnętrza i pozwolił odpocząć. Nie rozróżniałem już, czy było to moje, czy jego zmęczenie. Bolała mnie/nas głowa od ciągłego napięcia. Pożeracz Chmur rozerwał opakowanie z liści i napełnił wyrwę złotem. Następnie zaczął układać na powrót kamienie, starając się zostawić jak najmniej śladów. Trwało to w nieskończoność. Wreszcie wszystko było gotowe. Pożeracz Chmur zebrał pogniecione liście i wycofał się, nadal delikatny niczym lekki powiew wiatru. To było wręcz niesamowite przy jego rozmiarach. Byłem pełen podziwu.

Pożeracz Chmur obejrzał się jeszcze na oświetloną przestrzeń, próbując oszacować liczbę piratów.

„Niezły podarunek im zostawiamy” - pomyślał.

„Zasługują na to. W tej dziurze leży majątek, ale jeśli go podzielą, niewiele wypadnie na jednego” - wyjaśniłem. - „Zobaczysz, że padnie parę trupów. Chodź już, nie mamy tu nic do roboty.”

„Wracam.”

Raptem znów byłem sam. I bardzo, bardzo wyczerpany. Złożyłem skołataną głowę

wprost na piasku. Oczy same mi się zamykały. Błyszczące jak czerwone świetliki, ślepka Liski krążyły wokół, i mnożyły się w dziesiątki...

Tak skończyły się dla mnie wydarzenia na Wyspie Szaleńca. Wirujący bączek wykonał ostatni obrót i znieruchomiał. Nie wiedziałem, że piraci zachowali się dokładnie tak, jak przewidywałem. Odpłynęli, pozostawiając po sobie nieład, wypalone kręgi ognisk, kilka świeżych grobów oraz jednego trupa zakopanego po szyję w piachu na granicy przyboju. Miał okropną śmierć - topił się stopniowo podczas przyływu.

Wszystkie moje rzeczy ze starego zakątka przepadły lub zostały zniszczone. Nie ocalała ani jedna stronica spisywanych z takim trudem obserwacji i wniosków. Ale to też do mnie nie dotarło. Żyłem w dziwnym, zamglonym świecie, pełnym koszmarów. Znow walczyłem z syrenami, tonąłem w ciemnych głębinach. Nawiedzali mnie płonący ludzie. Szaleniec wpatrywał się we mnie czerwonymi jak krew oczami, pakując do ust klejnoty i pożerając je chciwie. Nie jestem pewien, czy był to tylko majak, wywołany gorączką, czy rzeczywiście stanąłem u progu Bramy Istnień. Niewyraźnie pamiętam kobiecą postać spowitą w powiewne szaty, unoszącą się w przestrzeni, jakby pozbawioną stóp. W jednej ręce trzymała długą strzałę, w drugiej - zegar wodny. Widziałem ją wielokrotnie. Zawsze patrzyła na mnie z powagą i powoli wylewała wodę z czasomierza, aż do ostatniej kropli.

Zrozpaczony Pożeracz Chmur, który próbował wyłowić coś sensownego z tych majaczeń, cokolwiek, co oznaczałoby choć cień poprawy, nie miał pojęcia, że spotykam się z Panią Strzał, wyobrażeniem samej śmierci.

Pożeracz Chmur transformował w człowieka, by lepiej się mną opiekować, lecz nie wiedział, jak ani czym mnie ratować. Nie pisałbym tego teraz, gdyby nie powrócili Pazur i Łagodna.

Wysłuchawszy nieco chaotycznej opowieści syna, Łagodna wpadła w szal. W ciągu dwóch minut przekonała męża, że nie jest nawet w połowie tak zmęczony, jak mu się zdaje; i że natychmiast ma sprowadzić pomoc. Nieważne skąd, byleby to był człowiek znający się na ranach. Po czym ruszyła do legowiska Szaleńca. Obrzuciła go słowami jak gradem kamieni, wyjaśniając co myśli o staruchach, pozostawiających dzieci bez pomocy, w obliczu niebezpieczeństwa.

Wszystko w jednej chwili zaczęło wracać do normy.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem po odzyskaniu przytomności, były zielone pióropusze na szczytach drzew, które omiały błękitną połąć nieba niby wielkie pędzle. Nie myślałem o

niczym konkretnym. Myśli pełzały ospale, dążąc od jednego wrażenia do drugiego. Jasno. Ciepło. Wygodnie. Nic mnie nie boli.

Obróciłem powoli głowę i mój wzrok padł na postać obcego mężczyzny odwróconego tyłem. Człowiek ten miał szerokie ramiona i plecy umięśnione jak zapaśnik. Skórę spaloną słońcem na kolor wypieczonego chleba. Niesforne czarne loki owiazał kolorową przepaską.

Zalała mnie mdląca fala przerażenia. Obcy... Pirat! Wróg!

Jakby czując, że na niego patrzę, odwrócił się. Pochylił się, spojrzał mi w oczy i pomachał ręką przed twarzą. Na jego piersi, przykuwając od razu spojrzenie, widniał czarny krążek ze znakiem: „Usta” pośrodku. I właściwie już niepotrzebnie przekazał mi w chwilę później, uśmiechając się przyjaźnie:

„Jestem Słony, Mówca. Miło, że wróciłeś.”

Nie, to wcale nie cud, ani zdumiewający przypadek. Po prostu Słony jest jedynym magiem, a właściwie nawet jedynym człowiekiem prócz mnie na całym Smoczym Archipelagu. Żył i prowadził badania na Jaszczurze, o czym wiedzą chyba wszystkie smoki na wyspach. Plotkarski naród.

W owej chwili, gdy stawiam te znaki, Słony rozmawia na plaży ze swym przyjacielem i partnerem, popielatym smokiem ze śmiesznymi kosmykami futra na uszach. Nosi on dość dziwne jak na smoka imię - Nurek. Oczywiście chodzi o nurkowanie w powietrzu, nie w wodzie.

Liska znów bawi się moimi nogami, zwisającymi z brzegu hamaka. Jak za starych, dobrych czasów. Dobrze, że nauczyła się chować pazury. Wiesza się całym ciężarem na mej stopie, a ja kołyszę ją lekko.

Przed chwilą był tu Pazur. Podniósł Liskę i włożył mi ją do hamaka. Coś niebywałego. Jeszcze trochę, a może zacznie ze mną rozmawiać. Nawet to, że Pożeracz Chmur nadal biega w postaci chłopca, jakoś przelknął.

Pocziwy Pożeracz Chmur przepisał cały mój notatnik, tak jak go zapamiętał. Ze wszystkimi szczegółami. Nie opuścił nawet tej krechy, którą zrobiłem z winy Liski. Nie miał papieru, więc użył wysuszonych liści. Mają trochę nierówną powierzchnię i czasami trudno odczytać jakiś symbol. Nieważne. Zachowam całość jako piękną pamiątkę przyjaźni.

Bogowie wszelkich narodów, miejcie mnie w opiece! Idzie Słony i niesie w kubku to obrzydliwe lekarstwo. Ratunku, to jest takie ohydne. Muszę przerwać, niestety. Stoi nade mną i wie, że piszę tylko po to, by odwlec nieprzyjemność. A ja wiem, że on wie, że ja wiem.

Jaszczur

Rozpaczam pisanie w nowym miejscu. Nie mam na myśli jedynie miejsca na stronicy pamiętnika, lecz także otoczenie, w jakim się znajduję.

Gdy tylko wydobrzałem na tyle po infekcji płuc, by znieść bez szkody powietrzną podróż, przenieśliśmy się wszyscy w znacznie dogodniejsze okolice. Bardzo odległe od Wyspy Szaleńca, bo położone aż na Jaszczurze, wyspie, gdzie Słony pozostawił dom, Łagodna i Pazur wspomnienia szczęśliwych dni, a Pożeracz Chmur dawne zakątki i uroki dzieciństwa.

Lot w stadzie (jedynie takie określenie przychodzi mi na myśl) różni się od podróży tylko we dwójkę. Jest wtedy znacznie weselej.

Prowadził Nurek, niosący na grzbiecie Mówcę Słonego. Tuż za nim leciała Łagodna, co chwilę sprawdzając troskliwie zawieszony na szyi koszyk, w którym podróżowała Liska. Ciekawy maluch co rusz wysuwał nos spod wieka, oglądając świat z góry i Łagodna miała mnóstwo kłopotu, by ustrzec małą przed wypadnięciem do oceanu. Po prawej na skos za Łagodną trzymaliśmy się my, to znaczy Pożeracz Chmur ze mną na grzbiecie. A właściwie powinniśmy się trzymać, gdyż tak naprawdę Pożeracz Chmur szalał, to unosząc się zbyt wysoko, to znów opuszczając nisko nad zielone fale. Pazur, który zamykał ten miniaturowy korowód, parę razy przywoływał syna do porządku, lecz bezskutecznie. Wreszcie dał spokój, a Pożeracz Chmur zwierzył się, że i Pazur naprawdę cieszy się z powrotu na Jaszczur, tylko nie daje po sobie tego poznać.

Tak więc wszyscy byli zadowoleni i w dobrych humorach. Między poszczególnymi członkami tej maleńkiej powietrznej karawany rozwinęła się siatka wzajemnych połączeń mentalnych. Uczestniczyłem w tym również, choć w sposób bierny, i miałem okazję obserwować rozmowy Słonego z Nurkiem, żarciki wymieniane między Łagodną a synem, historyjki opowiadane Lisce.

A gdy już pojawiło się przed nami wielkie zielone cielsko wyspy, znów nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to naprawdę ogromny gad wylegujący się na płyciźnie. Nadlecieliśmy od strony półwyspu wcinającego się niby ogon wąskim pasem w ocean. Półkolista zatoka tworzyła jakby zgięcie łapy, wzniesienia pośrodku wyspy - grzbiet. Nad stożkiem wulkanu jak zwykle unosiły się białe obłoki pary niczym oddech potwora.

Wyspa Szaleńca wydawała się maleńka przy rozmiarach Jaszczura. Bujna roślinność, która wyrosła na wulkanicznej glebie, pokrywała wyspę jak gęste futro. Ileż ciekawych

miejsc, niezwykłych roślin i zwierząt kryje się w tej zieleni.

Wylądowaliśmy w miejscu najbardziej odpowiadającym smokom - na rozległej piaszczystej plaży w zatoce. Ledwo zdążyliśmy rozpakować Liskę, zrzucić niewygodne ubrania przeznaczone do lotów (moje tym cięższe, że wykonane z pospiesznie wyprawionej skóry), a na plaży zaroilo się. Bliżej nie określona liczba straszliwie ruchliwych dzieci opadła Słonego. Wieszaly mu się na ramionach, obejmowały za szyję. Omal go nie przewróciły. Biegały pomiędzy smoczymi łapami, ciągnęły Nurka za futro i w ogóle robiły mnóstwo zamieszania.

Słony wspominał, że ma rodzinę, ale czyżby to wszystko były jego dzieci? Usiłowałem wodzić za nimi wzrokiem i policzyć. Nierealne - były szybkie jak iskry. Dzisiaj wiem, że było ich zaledwie pięcioro, w wieku od czterech do siedmiu lat. I rzeczywiście wszystkie są przychówkiem maga. Żywe i pełne energii noszą imiona zgodne ze swą naturą. Najstarszy jest Żywe Srebro, o rok młodszy Błyskawica, następnie Tygrysek i bliźnięta: Blask wraz ze Słoneczną.

Jeszcze nie ochłonęłem po tym napadzie, gdy nadeszła żona Słonego. Żona!

Magowie miewają dzieci. Oczywiście. I to chyba nawet częściej, niż zdaje się niewiniątkom. Lecz żony i pełne rodziny są naprawdę rzadkością. Jaka kobieta chciałaby związać się na całe życie z Obserwatorem, który znałby jej najskrytsze myśli, lub Iskrą podpalającym sprzęty w chwili gniewu?

Kobieta dzielnie trwająca u boku Słonego ma na imię Księżycowy Kwiat. To imię wiernie oddaje cały jej wdzięk. Szła ku nam po syrkim piasku nadmorskim jakby płynęła. Lecz, zamiast podziwiać jej zgrabną postać, nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy. Nie miała na sobie niczego, prócz kawałka powiewnej tkaniny, zawiązanego wokół bioder, oraz lśniącego naszyjnika ze szklanych kulek. Objęła męża, witając go czule po długiej rozłące, a on bez żadnego skrępowania całował ją w szyję. Absolutnie nie przejmowali się obecnością obcych.

Zapoznanie moje z Księżycowym Kwiatem wypadło nader niezręcznie. Wyciągnąłem rękę do powitania w sposób stosowny, gdy widzi się kogoś po raz pierwszy, jednocześnie usiłując omijać wzrokiem obnażony biust kobiety. Byłem straszliwie zmieszany i czułem, że się rumienię jak dziewczyna. Księżycowy Kwiat natomiast chwyciła mnie za przegub, całkiem jakbyśmy byli zażyłymi przyjaciółmi. Poklepała mnie poufale po ramieniu i złapała za brodę, zmuszając do spojrzenia jej prosto w oczy. Uśmiechnęła się, przekręcając głowę niczym ciekawy ptak. Jej wargi poruszyły się.

„Ona mówi: Jaki miły, skromny chłopiec” - podsunął mi Słony. Widziałem, że dusi się od tłumionego śmiechu.

Smocza rodzina łatwo znalazła dla siebie miejsce na wyspie. Wciąż przecież pamiętano tutaj Pazura, Łagodną i małego Pożeracza Chmur. Przyjęto ich życzliwie i ze zrozumieniem. A mała Liska od razu zawojowała paru starych kawalerów, którzy prawie bez namysłu zgodzili się wykroić coś ze swych terenów łowieckich na potrzeby nowo przybyłych. Pożeracz Chmur witał się i zaznajamiał na nowo z opuszczonymi przed laty towarzyszami zabaw, którzy wyrosli bardzo przez ten czas. Spoważnieli, a co starsi, ku oszołomieniu młodego smoka, szykowali się do założenia własnych rodzin.

„Drapacz! Skrzydlaty Śpiewak! Nawet Gruby!” - żalił się biedak, gdy spotkaliśmy się znowu, następnego dnia po przybyciu na Jaszczur. - „Pamiętam ich jako szczenięta! Strasznie się zmienili. Są... są...” - płatał się, nieszczęśliwy i rozgoryczony, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia na swe rozczarowanie. Wreszcie dokończył, jakby to była obelga:

„Są dorośli!”

Nie tylko on musiał stawić czoło nowościom. Dla Słonego całkiem naturalne było, że zamieszkał w jego domu. Nawet nie pomyślał, że mogłoby być inaczej. Tymczasem męczyłem się w nowym otoczeniu. Pięcioro dzieci w smarkatym wieku obdarzonych zadziwiającą zdolnością znajdowania się w paru miejscach jednocześnie może przyprawić o długotrwały ból głowy. Ich rodzicom nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu, ja jednak myślałem, że nigdy nie przyzwyczaję się do nagłych ruchów łowionych kątem oka ani do ciągłego drgania podłogi od bezustannego biegania małych stóp.

Księżycowy Kwiat udrapowała swój lekki strój na ramionach i tym samym skończyły się dla mnie męki zażenowania. Choć teraz za to odsłaniała nogi znacznie bardziej, niż było to przyjęte wśród kobiet na kontynencie.

Określić siedzibę Słonego jako dom, to może trochę za dużo. Były to po prostu pale wbite w grunt, przykryte strzechą z liści. Podłogę ułożono na konstrukcji z drągów w pewnej odległości od ziemi, by zabezpieczyć się przed wizytami rozmaitych nieprzyjemnych zwierzątek. Uginała się lekko pod ludzkim ciężarem i miałem przykre wrażenie, jakbym chodził po niepewnym podłożu zarośniętego torfowiska. Ściany w tym dziwnym domostwie nie istniały wcale. Zastępowały je uplecione z pręcików i włókien zasłony, które opuszczano lub zwijano w zależności od potrzeb. Mieszkańcy żyli, może nie pod gołym niebem, ale śmiało mogę napisać: „na wolnym powietrzu”. Sprzęty były równie skromne. Spało się w hamakach i na twardych matach. Jedyne stoły służyły Słonemu za miejsce pracy i zavalony był bez reszty stosami papierów, zwojami pergaminu, mapami, próbkami roślin i woskowymi

tabliczkami do notatek. I tylko to miejsce wyglądało dla mnie swojsko. Księżycowy Kwiat przyrządzała jedzenie, klęcząc na macie. Myślałem o niej z coraz większym szacunkiem, zaprawionym jednak pewną dozą niedowierzania. Dziesięć na dziesięć panien ze Żmijowych Pagórków zaprotestowałyby z oburzeniem, gdyby ktokolwiek zaproponował im takie warunki do gospodarowania i jeszcze tego samego dnia wróciłyby do matek. Byłem tego pewien jak swego imienia. Tymczasem Księżycowy Kwiat zdawała się zupełnie o to nie dbać. Ze spokojem usuwała poza krawędź domu ciekawskie jaszczurki o chwytnych łapkach lub kosmate wielkie pająki. Znajdowała miejsce dla kolejnych okazów przyrodniczych gromadzonych przez męża oraz najdziwniejszych skarbów znoszonych przez dzieci. I tak samo spokojnie przyjęła pod swój dach mnie - niespodziewanego i wciąż nie do końca ozdrowiałego gościa na czas nieokreślony. Podejrzewam, że od początku (może i niezamierzenie) traktowała mnie jak jeszcze jeden wybryk męża maga. Tyle, że nie próbowała położyć mnie na półce lub umieścić w jednym z kufrów, gdzie Słony przechowuje z wielkim staraniem książki, precyzyjne narzędzia i zestawy szkieł powiększających.

Choć czułem się z początku obco, stwierdziłem, że przecież do wszystkiego można przywyknąć. Słony jest przyjazny i szczerzy. Jego żona najwyraźniej nie miała nic przeciwko mojej obecności na swym terytorium (zaczynam chyba myśleć po smoczemu), a dzieci wydawały się miłe i dobrze wychowane, choć ponadprzeciętnie żywe. Miałem tu wszelkie szansę, by spokojnie wrócić do pełnego zdrowia, odtworzyć zniszczoną kolekcję roślin i owadów, z których ocalał jedynie ów piękny czarno-niebieski motyl, a także wiele się nauczyć. Tak myślałem aż do chwili, kiedy na scenę wkroczyła Jagoda.

Zjawiała się dla mnie dość niespodziewanie. Do tej pory mam cień żalu do Słonego, że mnie nie uprzedził w żaden

sposób. Kto wie, jak potoczyłyby się wydarzenia, gdybym wiedział cokolwiek o Jagodzie. Chociażby o jej istnieniu.

Było to drugiego dnia po przybyciu na Jaszczur. Pożeracz Chmur zdążył złożyć mi wizytę, wyzalić się a potem wrócić do rodziny. Słońce przebyło większą część swej drogi po niebie. Niebawem miało zmierzchać. Siedziałem na skraju podestu, obierałem jarzyny, chcąc być pożytecznym choćby w ten sposób. Jednocześnie podczytywałem po kawałku zapiski Słonego dotyczące budowy smoczych skrzydeł. Rozpiętość w zależności od wieku i płci, wytrzymałość błony, konstrukcja stawów. Wszystko okraszone przejrzystymi rysunkami oraz wykresami. Słony włożył w to naprawdę wiele pracy.

Akurat próbowałem odwinąć następny fragment zwoju, równocześnie trzymając w ręku nożyk i do połowy oskrobaną rzepę. Byłem tak zaczytany, że niezbyt do mnie docierało, iż zabieram się do tego całkiem nieodpowiednio. Wyraźnie brakowało mi trzeciej ręki. I wtedy pojawiła się. Jak na życzenie. Niewielka, bardzo jasna dłoń odebrała mi zwój. Wciąż błędząc umysłem w jakichś odległych rejonach, podniosłem wzrok... i upuściłem nóż z wrażenia. Patrzyłem na demona! Osadzone w drobnej twarzy oczy wydawały się ogromne. Niesamowita barwa jasnego różu z czerwonymi pasmami nadawała im wygląd świeżych ran. Białe brwi i rzęsy na tle białej skóry prawie nie istniały. Tak samo białe były potargane warkocze opadające po obu stronach tej niesamowitej fizjonomii.

Dziewczyna zmierzyła mnie niechętnym spojrzeniem, jej wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Odwróciła się gwałtownie i odeszła. Zamaszystymi ruchami rzuciła kolejno na maty pracę Słonego, wyplatany ze słomki kapelusz i torbę zerwaną z ramienia. Po drodze zgarnęła ręcznik, miseczkę z mydłem i zniknęła w przybudówce, gdzie wydzielone było miejsce do mycia.

W taki to sposób zdobyłem sobie nieprzejednanego wroga. Nie mam nawet na kogo złożyć winy, choćbym nawet chciał to zrobić. Zaskoczony, zupełnie nie kontrolowałem wtedy twarzy i mogę się domyślić, co wyczytała z niej ta biedna brzydula. Strach i odrazę. Trudno wyobrazić sobie bardziej pechowe przywitanie. Wstydzę się tego do tej pory.

Słony przysiadł koło mnie, z zakłopotania drapiąc się w głowę obiema rękami.

„Całkiem zapomniałem. Ona tak rzadko bywa w domu” - próbował się niezręcznie usprawiedliwić. - „To Jagoda, moja najstarsza córka.”

Natychmiast przeleciało mi przez głowę, że to absolutnie niemożliwe. Księżycowy Kwiat, choć niewątpliwie nie wiośnianej młodości, nie mogła być matką tak dużej dziewczyny.

„Z pierwszego małżeństwa” - skorygował natychmiast Słony, który przechwycił tę myśl. - „Ma czternaście lat. Straszny wiek. Całe dni spędza u smoków albo włóczy się po wyspie zupełnie sama. Łaska boska, że nic jej do tej pory nie zjadło.”

Zasepiony, gapiłem się w oskrobane do połowy warzywo. Spod ciemnej skóry wylaniał się biały miąższ. Blady jak skóra dziewczyny, która właśnie oblewała się wodą za zasłoną z trzciny.

„Nie jest urodziwa, to fakt” - przyznał Słony markotnie. - „To tylko pogarsza sytuację. Nie zgadza się z macochą. Ze mną też zresztą nie. Wyrasta na kompletną dzikuskę. Jest jeszcze coś...” - Tu klarowny przekaz Słonego, złożony z łatwych do odczytania znaków (nie używa kodu mojego i Pożeracza Chmur, nazywając go koszmarnym żargonem), rozpląnął się

w niewyraźne, poszarpane obrazy przedstawiające wizerunki bladego dziecka, magiczne emblematy i mgliste wieżyce siedziby Kręgu.

„Co jej się przydarzyło?” - spytałem, instynktownie przeczuwając, że chodzi tu o samą Jagodę. „To samo, co tobie. Obserwatorka.” Poderwałem głowę jak narowisty kuc, przygląnąłem wzrokiem do oczu Słonego, szukając w nich kpiny lub kłamstwa, choć doskonale wiedziałem, że nie można oszukać nikogo w mentalnym kontakcie. W tych kilku znakach przekazu Słony zawarł całą esencję historii Jagody. Nie ma kobiet magów. Nie ma na nie nawet nazwy. Bo jakie nadać miano takiej istotce? Maga? Magiczka? Maginia?

Matki przekazują swym synom zalążki talentów, tak jak to dzieje się z chorobą nie krzepnącej krwi, lecz rzadko, prawie nigdy, talent ujawnia się u dziewczynki. Jagoda jednak z powodu dziwnego kaprysu losu wzięła dziedzictwo po ojcu. A to, że talent odebrał jej włosom naturalną ciemną barwę i napiętnował oczy czerwienią, znaczyło, iż był wyjątkowo silny.

„Jak daleko potrafi sięgnąć?”

„Do wybrzeży kontynentu” - przekazał Słony nie bez dumy.

Pokręciłem głową z podziwem. To było naprawdę daleko. Nawet powyżej smoczych możliwości. To był zasięg mistrza. I jednocześnie tragedia. Byłem pewien, że Słony nie odważy się przedstawić córki w Kręgu i domagać się należnych jej praw. Nie dziwiłem się też nastrojom Jagody. To nie był jedynie zwyczajny bunt dorastającej, w dodatku nieatrakcyjnej dziewczyny. Miała już czternaście lat. Ile czasu minęło od chwili, gdy zdała sobie sprawę, że żyje w wieczystym zawieszeniu: ani przyszła żona i matka, ani kandydatka do tatuażu i błękitnej szarfy?

Starałem nie gapić się na Jagodę, choć przyciągała wzrok jak magnetyt opiłki żelaza. Przechodziliśmy obok siebie, jedliśmy razem. Wreszcie poszliśmy spać, oddzieleni jedynie cieniutką zaporą gazy chroniącej przed ukąszeniami moskitów. Ignorowała mnie, poświęcając mniej uwagi niż bezdomnemu kundlowi, a ja starałem się odpłacać tym samym. Wojna na razie jeszcze nie wybuchła, lecz jej zarzewie tliło się w ukryciu.

Następnego dnia nie zaprzątałem już sobie głowy białowłosą, tym bardziej, że Słony obiecał *zabrać* mnie z sobą do młodej smoczej pary, która oczekiwała właśnie swego pierwszego dziecka, a potem byłem umówiony z Pożeraczem Chmur. Chciał mi pokazać jedno z ustronnych miejsc, gdzie bawił się jako szczeniak.

Po drodze Słony zarzucił mnie objaśnieniami na temat dobrego wychowania w

smoczej wersji. Nie wchodzi się w obręb legowiska bez wyraźnej zachęty ze strony gospodarza. Nie wolno cofnąć się, jeśli zechce dotknąć nosem lub łapą. Powinno się zjeść choćby symboliczny kawałek surowego mięsa, jeśli smoki to zaproponują, i nie wymiotować, nawet jeśli jest skruszałe. Nie kręcić się bez potrzeby, nie wykonywać gwałtownych ruchów w pobliżu przyszłej matki i tak dalej. Nic, czego już bym nie wiedział przedtem od Pożeracza Chmur. A gdy Słony przykazał mi jeszcze: „Przede wszystkim być cicho”, zupełnie otwarcie postukałem się w czoło z całkowitym brakiem szacunku dla jego wieku. Nikt nigdy jeszcze nie zarzucił mi, że jestem głośny!

Słony zmarszczył brwi z gniewem.

„Co to ma być?”

„Od dwóch lat żyję ze smokiem pod jednym dachem. Przez parę miesięcy na Wyspie Szaleńca oglądałem wyłącznie smoki, więc nie traktuj mnie jak nowicjusza, co jeszcze przydeptuje sobie koszulę.”

Popatrzył, jakby widział mnie po raz pierwszy.

„Mam cię traktować jak równego sobie?”

„Owszem. To mi się chyba należy.”

„Jak dorosłego?” - upewnił się.

„Dlaczego nie?”

„Zacznę, jak będziesz duży” - przekazał pobłażliwie.

„Już jestem duży” - odparłem chłodno. Słony zmierzył mnie wzrokiem i wysunął szczękę. Dorównywałem mu wzrostem, choć on był szerszy o trzecią część i tak masywny, że z łatwością można było obrysować na nim prostokąt.

Mówca pokiwał głową, zatrzymał wzrok na mojej szarfie, która, choć lekko wystrzępiona na końcach po tym wszystkim, co przeszła, kłuła oczy błękitem magów. Odgiął palcem skraj mej tuniki, spojrział na tatuaż, który czekał na dopełnienie kolorem mistrza Kręgu, jakby chciał się upewnić, że on tam naprawdę jest. Widziałem, jak wzdycha głęboko, drapie się z zakłopotaniem w głowę, ściągając wargi. Wreszcie rozłożył bezradnie ręce i uśmiechnął się szeroko, choć nieco krzywo. Wyciągnął rękę, uścisnęliśmy sobie nadgarstki w geście pojednania i zażyłości. Nigdy więcej nie wróciliśmy do tej sprawy.

Rodzina, którą szliśmy odwiedzić, była jeszcze bardzo młoda według smoczych wyobrażeń. Niespełna stulatki, beznadziejnie w sobie zakochani i wręcz nieprzyzwoicie szczęśliwi. W miarę jak Mówca pakował mi do głowy ciągi znaków odczytywałem wieści o gospodarzach tego skrawka wyspy, po jakim właśnie stąpaliśmy.

„On się nazywa Deszczowy Przybysz. Wylał się akurat w trakcie najgorszej ulewy,

jaka kiedykolwiek nawiedziła ten rejon. Tak w każdym razie twierdzi Nurek. A jego żona to Skrzydlate Tchnienie Wiatru Kołyszące Liść. Po smoczemu strasznie długo się to wymawia. Nawet nie próbuję. Nazywam ją Skrzydlata a ona się nie gniewa.”

Stała siedziba Deszczowego Przybysza i Skrzydlatej bardzo przypominała wielkie gniazdo. Smoki co prawda potrafią spać byle gdzie, jeść byle co lub wcale, ale tak naprawdę lubią wygody. W obszernym skalnym zagłębieniu zgromadziły ogromną ilość gałązek, liści, trawy i pasm kory. Wszystko to było ugniecione i posplatane ze sobą tak, że tworzyło całkiem wygodny materac z bezpiecznym dołkiem pośrodku. Na brzegu legowiska siedział Deszczowy Przybysz, czujnie nastawiając uszy. Głowę i skrzydła miał czarne jak sadza, lecz im niżej, tym bardziej ta barwa jaśniała, by wreszcie na końcach łap stać się szarością. Skrzydlata w pierwszym momencie przedstawiała się jako niezgrabny kłęb biało-beżowego futra, zwinięty pośrodku gniazda. Potem uniosła głowę - wąską i zgrabną w zarysie. Dotknęła Słonego nosem w geście powitania, następnie utkwiała we mnie spojrzenie oczu jasno-czerwonych i przejrzystych jak porzeczkowe wino. Uśmiechnąłem się, pamiętając, by nie pokazać przy tym zębów, co mogłoby zostać źle zrozumiane. Deszczowy Przybysz rozdmuchał mi włosy. Powolnym ruchem położyłem mu rękę na nosie. Nie cofnął się. Poruszył tylko uchem w geście umiarkowanej sympatii. Skrzydlata podniosła się i dopiero teraz można było zobaczyć, jak bardzo jest ładna. Długołapa, puszysta, o szyi wygiętej we wdzięczny łuk. Pod jej brzuchem, na grubej warstwie kłaczek wydartych z ciał rodziców, leżała najważniejsza obecnie rzecz w ich życiu - jajo. Wbrew moim wcześniejszym wyobrażeniom nie było wcale duże. Miało wielkość i kształt melona. Pokryte jednolicie zabarwioną żółtawą skorupą, która wyglądała przy tym na lekko chropawą, przypominało dziwny owoc. Wyciągnąłem szyję, przypatrując mu się oczami rozszerzonymi z emocji. Więc tak wyglądała kolebka Liski? Z takiego łona wyszedł Pożeracz Chmur? Jakże maleńkie musi być smocze dziecko upakowane w tę skorupę. I jakie to dziwne, że wyrośnie po latach na tak ogromne stworzenie, jak jego ojciec i matka.

Tymczasem Słony zadzierał głowę, rozmawiając z Deszczowym Przybyszem. Gestykulował łagodnie, w pełni kontrolując każdy ruch. Uśmiechnął się raz, tylko na mgnienie oka odsłaniając zęby i natychmiast ściągnął wargi. Profesjonalista. Przestałem zwracać na niego uwagę. Krągły kształt leżący w smoczym gnieździe, nakryty cieniem Skrzydlatej, przyciągał oko. Byłem ciekaw, jakiego koloru futerko będzie miał ten dzieciak, gdy wreszcie zdecyduje się wyjść na świat. Pomyślałem o Lisce, i o tym, jakie śliczne i miłe są smocze szczeniaki. Dzieci Łagodnej i Skrzydlatej będą niemal idealnymi rówieśnikami. Lisce przybędzie nowa przyjaciółka do zabawy. A może to będzie kolega?

Smoczyca, która do tej pory obserwowała mnie czujnie, niespodzianie schyliła głowę. Wielkie, jasnoczerwone oko znalazło się tuż-tuż. Mogłem przejrzeć się w nim jak w lusterku. Czarna, podłużna źrenica rozszerzyła się. Poczulem, jak smocze „Ja” toruje sobie drogę gdzieś we wnętrzu mego umysłu. Była delikatna.

„Kto jesteś?”

„Kamyk.”

„Rzecz?” - zdziwiła się, nie rozumiawszy.

„To imię.”

„Jesteś magiem, jak Słony?” - spytała ciekawie. Wolno formowała pojęcia, wyraźnie trudno jej było dostosować się do mego sposobu myślenia, gdzie pojawiały się przede wszystkim kolory, kształty, smaki i zapachy, a nie było prawie żadnych słów.

Starłem się myśleć tylko na jednym poziomie, nie robić żadnych nagłych skoków w stronę innych skojarzeń.

Nie było to łatwe. Doceniłem lotność i giętkość umysłu Pożeracza Chmur. Ale Skrzydlata starała się.

„Tak, jestem magiem.” - Odsloniłem tatuaż. - „Tworzę obrazy w powietrzu.”

Pochyliła uszy do przodu, dając znak „interesujące”. Tylko po to, by ją zabawić, stworzyłem wizerunek Liski. Iluzyjne smoczątko robiło najwspanialsze minki, jakie podpatrzyłem u pierwowzoru. Gonilo własny ogon, drapało się za uchem, albo zakrywało ślepkę łapami, w żartobliwym udawaniu: „nie ma mnie!”

Skrzydłata była rozczulona. Zorientowałem się, że nie tylko ona obserwuje stworzone przeze mnie szczenię. Deszczowy Przybysz wpatrywał się w nie jak zaczarowany. Słony patrzył także i miał dziwną minę. Zmieszałem się i zlikwidowałem miraż. Zdaje się, że czekało mnie długie gderanie.

Mrużąc oczy niczym zadowolony kot, Skrzydlata zaproponowała mi coś, o czym nie śmiałem nawet marzyć. Zapytała z leciutkim tylko wahaniem:

„Czy chciałbyś dotknąć mego synka?”

Czy chciałem? Śmieszne pytanie. Oczywiście, że tak!

Ukląknęłam pomiędzy smoczymi łapami i ostrożnie, jakbym miał do czynienia z mydlaną bańką, położyłem palce na jaju. Nie przypominało jaj ptasich. W dotyku było jak papier. Trochę szorstkie, skórzaste. Leciutko nacisnąłem jego powierzchnię. Nie było twarde, poddało się lekko pod naciskiem. Nagle wyczułem poruszenie pod powierzchnią skorupy. Coś przesunęło się pod moimi palcami, jakby malutki smok przeciągnął się we śnie. Westchnąłem gwałtownie i nie myśląc, co właściwie robię, przyłgnąłem ustami do smoczego

jaja. Wyczuwałem wargami leciuteńkie uderzenia, jakby ktoś pukał palcem od wewnątrz. Z ogromnym wzruszeniem zdałem sobie sprawę, że to bije serce smoczątką.

„Jest tam! Naprawdę jest.”

Skrzydłata podzieliła się ze mną swoim szczęściem. Jeśli oczekiwała z mej strony zrozumienia cudu pojawienia się nowego życia, nie zawiodła się. Jej zaufanie, małństwo dające znaki życia z wnętrza jajka - to było takie cudowne i wzruszające.

Pogłaskałem ją we wrażliwym miejscu pod szczęką, dotknąłem nosem jej nozdrzy, dziękując za ten nieoczekiwany podarunek. Pachniała przesuszonym drewnem i nadmorskim piaskiem.

Pozegnaliśmy się niebawem. Szedłem ramię w ramię ze Słonym, zamyślony. Patrzyłem pod stopy, nie widząc niczego dokoła. Odruchowo odsuwałem gałęzie przed twarzy. W połowie drogi Słony szturchnął mnie. Spojrzałem na niego średnio przytomnie. Myślami wciąż jeszcze byłem w smoczym legowisku.

„Mam ochotę przelożyć cię przez kolano, przysięgam. Coś ty wyrabiał?”

Wzruszyłem ramionami.

„Rozmawiałem ze Skrzydłatą. Jest bardzo miła. I nie groź mi laniem, bo to śmieszne.”

Przeszliśmy jeszcze parę kroków, zanim Mówca znowu nawiązał kontakt.

„Nie wierzę w cuda, ale muszę przyznać, że się zdarzają. Masz jeszcze głowę na miejscu i nie zostałeś zeżarty. A powinienes.”

Rozgniewałem się.

„Nie zrobiłem niczego złego! Sama mnie zaczepiła. I sam nie dotykałem jaja. Pozwoliła mi!” Słony zachnął się.

„Mnie jakoś na to nie pozwalała.” - Miało to być gniewne. Zmarszczył brwi, ale pod tą maską zobaczyłem żal. Zrobiło mi się trochę przykro. Rzeczywiście, mógł mieć powód do zazdrości. Mieszkał na Jaszczurze już dobrych parę lat. Włożył wiele pracy w swoje badania. Ryzykował życiem i zdrowiem. A tu pojawia się bezczelny smarkacz, który bez trudu osiąga to, co jemu nigdy się nie udało. Położyłem mu rękę na ramieniu, dałem znak, że chcę dać jej rozmawiać. Przeprosiłem.

„Nie gniewaj się. Nie mam takiego wykształcenia, jak ty, ale nie jestem głupi. Wiedziałem, na ile mogę sobie pozwolić. A poza tym... nie bądź zły... byłeś strasznie spięty, jakbyś się bał. Taki sztywny i nienaturalny. Czy tak jest zawsze, czy tylko dziś?”

Słony rzucił mi spojrzenie spode łba.

„Ze smokami należy bardzo uważać. Są kapryśne.”

„Ale to znaczy, że zawsze się ściśle kontrolujesz. One mogą myśleć, że jesteś

nieszczery. I nie ufają ci tak zupełnie do końca.”

„Pleciesz.”

„Tak? A dlaczego nie nauczyłeś tej pary, jak śmieją się ludzie? Że odsłonięcie zębów to niekoniecznie groźba? A czy pozwoliłeś Nurkowi chociaż raz wejść do swojego «ja»,, (Już przedtem dowiedziałem się od starszego smoka, że nie.)

Słony potrząsnął głową. Brnąłem dalej, choć marszczył się coraz bardziej.

„My z Pożeraczem Chmur kontaktujemy się bardzo często. To właściwie już nawyk. Ja wiem, czego on chce; on wie, o czym ja myślę. Czasem się kłócimy, czasami nawet bijemy, ale ufamy sobie bezwzględnie. W pełnym kontakcie jesteśmy tym samym.”

„Jaka jest różnica między kontaktem na mój sposób a waszym, to znaczy smoczym?” - spytał Mówca. Niewiarygodne, ale naprawdę nie wiedział.

„Taka, jak między oglądaniem pomarańczy a jedzeniem jej.”

Wyglądało na to, że Słony będzie miał parę rzeczy do przemyślenia.

Wyszliśmy na plażę nad zatoką. Widać już było dach domu Mówcy. Zgodnie przeszliśmy tam, gdzie omywany falami piach był twardy i łatwo było po nim iść. Słony zbierał płaskie kamienie i puszczał kaczki na powierzchni wody, jak chłopiec. Naśladowałem go, ale jego kamyki zawsze podskakiwały więcej razy. Nagle obrócił twarz w moją stronę.

„Wyjaśnij mi tylko jedną *rzecz*. Dlaczego, do czarnej zarazy, całowałeś to jajko??”

Popatrzyłem na niego z osłupieniem, a potem wybuchnąłem wariackim śmiechem. Przez długą chwilę nie byłem w stanie objaśnić mu niczego. Czekał jednak cierpliwie.

„Zapomniałeś, że nie słyszę? Wargi są wrażliwsze niż palce. Można ustami wyczuć gorączkę, można poczuć lekkie drgania. On się tam ruszał, ten mały. Czulem go. Biło mu serce.”

Na samo wspomnienie tamtej chwili ogarnęło mnie uczucie nie do opisania, podobne do tego, co przeżywałem, pierwszy raz dosiadając Pożeracza Chmur. Słony patrzył na mnie i widziałem, jak jego twarz rozjaśnia się w uśmiechu. Miłym i całkowicie szczerym. Nie, Słony nie potrafił długo zachowywać urazy. Teraz po prostu cieszył się tym, że ja się cieszyłem.

Przed domem zastaliśmy Pożeracza Chmur. Ku naszemu zaskoczeniu, pojawił się w ludzkiej postaci. Najwyraźniej bardziej ją lubił niż własną i wykorzystał nadarzącą się okazję, by do niej powrócić. Oczywiście był goły, jakby przed chwilą się narodził. Dokazywał z dziećmi. Tarzał się w piasku, udawał dzikie zwierzę, stroił miny ku uciesze zachwyconej dzieciarni i ogólnie robił z siebie głupka. Obok stała Księżycowy Kwiat z

kawałkiem wzorzystej tkaniny w rękach. Na pół rozbawiona, na poły zła, usiłowała nakłonić Pożeracza Chmur, by włożył na siebie cokolwiek. Śmiał jej się w oczy, potrząsając głową przekornie. Dopiero pojawienie się pana domu i jego groźne spojrzenie spowodowało, że ugiął się. Owinął biodra zaferowanym materiałem i przestał siać zgorzenie. Wyglądał może nieco zdumiewająco (wzór tkaniny wyobrażał żółte kwiaty i czerwone księżycy, odpowiednie dla kobiety), ale całkiem niezłe.

Wypuściliśmy się we dwóch wprost w dziką zieleń. Kipiała wokół nas. Szalała obfitością kształtów roślin, wabiła kiściami kolorowych kwiatów i jaskrawą barwą krągłych owoców przytulonych skromnie między pękami soczyście zielonych liści. Pnącza grubości palca i cienkie jak nici razem owijały się wokół konarów oraz lian grubych niczym męskie ramię, tworząc zawile wzory i piękne girlandy. Żaden podmuch nie mącił ciepłego, wilgotnego powietrza. Wślizgiwało się podstępnie do płuc, wypełniało żyły dzikim gorącem. Wszystko tu żyło intensywnie, wściekle, szybko i drapieźnie, połykając przeznaczony sobie czas chciwymi haustami. Coś nam się z tego udzieliło. Pognaliśmy prawie na oślep przez puszcę. Pożeracz Chmur prowadził. Goniłem go, zziębnięty i zawzięty niczym pies myśliwski. Biegł, obracając co chwila głowę do tyłu, śmiejąc się i drażniąc ze mną. Zmęczyłem się już, czułem ostrzegawcze klucie w prawym boku. Coraz silniejsze. Nogi jednak niosły mnie dalej, jakby zbuntowały się przeciw swemu właścicielowi i chciały go zagonić na śmierć. Pożeracz Chmur zatrzymał się nagle, aż wpadłem mu na plecy. Spleceni ramionami, czoło w czoło, mocowaliśmy się przez chwilę. Po to, by rozładować jakoś to dziwne, dzikie podniecenie, jakie nas ogarnęło. To była czysta radość wysiłku. Przyjemność napinania mięśni. Pożeracz Chmur śmiał się, potargane włosy sterczały mu nad czołem jak pióropusz.

„Słabiutki jesteś. Można cię w kulkę zwinąć, Kamyk.”

„Zobaczysz, za jakiś czas się poprawię.”

„Wiesz, że Słony ma jeszcze jedną córkę?” - przypomniałem sobie. - „Młodsza od nas. Czternastka.”

Pożeracz Chmur uniósł brwi i zrobił zabawną minę.

„Wpadła ci w oko? Dobra jest w tym, jak Mgła?”

Chyba się wtedy zaczerwieniłem.

„Bez obaw. Jest brzydka jak deszczowa noc. Nie dotknąłbym jej długim kijem.”

Jakby w nagrodę Pożeracz Chmur użył mi swych uszu. Mój świat rozszerzył się o jeszcze jeden zmysł. Dokoła szeleściła dżungla, pogadywały ptaki w gęstwinie, a na wszystko nakładał się przytłumiony huk. Trwał ciągle. Nie słyszałem jeszcze czegoś takiego. Mimo wysiłków, szperania w pamięci, nie mogłem odgadnąć, co wydawało ten dźwięk.

„Niespodzianka” - mój przyjaciel przymrużył oko. -”Na pewno ci się spodoba. To już blisko. Idź w tamtą stronę, a trafisz. Ja tu muszę jeszcze coś zrobić.”

Wycofał się z kontaktu. Wskazał kierunek i klepnął mnie między łopatki na zachętę. Poszedłem, zostawiając go samego. Są rzeczy, których krępują się nawet smoki. Nikły prześwit między drzewami zmienił się w całkiem solidną dziurę wyrwaną w płataninie lian. Za nią rozciągała się lśniąca, migotliwa powierzchnia jeziora, burzona spadającą ze skały wodą. Pożeracz Chmur miał rację. To było bardzo ładne. Trochę zdumiało mnie, że jego ulubione miejsce jest aż tak mokre. Ale z pewnością nie przychodził tu do kąpieli, ale po to, by pozachwycać się pięknem wodospadu. Wyobraziłem sobie Pożeracza Chmur przed wielo laty. Małego białego futrzaka, jak przysiadł na brzegu, owinąwszy łapki ogonem, i wpatrywał się w spadającą wodną zasłonę... Gdzie właśnie teraz stała ludzka postać!

Wyteżyłem wzrok. Faktycznie. Pod tą lodowatą ulewą, zanurzona w wodzie do połowy uda, mokła Jagoda. Jasna wśród jasnej, spienionej wody, niezauważalna w pierwszej chwili. Doskonale wiedziałem, że źle robię. Powinienem wycofać się dyskretnie. Lecz oczy same, jak para chytrych szpiegów obiegały nagie ciało dziewczyny, wyluskując wszystkie jego wady z niezdrowym zainteresowaniem. Patrzyłem na te biedne, chude ramionka, uniesione w górę. Na kanciaste biodra, wąskie jak u chłopca, płaskie piersi i żebra rysujące się pod napiętą skórą, gdy Jagoda wyciągała się na całą swą niewielką wysokość. Brzydka jak deszczowa noc - czy nie tak określiłem ją przed chwilą? Dziewczyna wyszła spod wodospadu. Wyzymała włosy, brodząc ku brzegowi. Cofnąłem się mały kroczek między pnącza, tak, by mnie nie dostrzegła. Białe włosy, szare teraz od wilgoci. Zaczątki jasnych kędziorków w zagłębieniu między udami... Nie spuściłem oczu. Sam nie wiem, co mnie wtedy opętało. Może to dżungla we mnie weszła. Jagoda pospiesznie narzuciła ubranie, nawet się nie wycierając. Wbiła nogi w buty, zawiązała sznurówki szybkimi, lecz pewnymi ruchami... I raptem zerwała się do biegu. Prosto na mnie. Nie zdążyłem zrobić absolutnie nic. Rąbnęła mnie pochyloną głową w splot słoneczny, obaliła na ziemię i przygniotła do niej całym ciężarem. Waliła po twarzy na odlew, aż w głowie mi trzaskało! Jej czerwone oczy płonęły z wściekłości. Byłem naiwny, myśląc, że skryję się w krzakach przed Obserwatorką tej klasy. A teraz odbierałem zasłużoną karę. Drzemały we mnie resztki przyzwoitości. Nie podniosłem ręki na Jagodę. Odpychałem ją tylko, chroniłem oczy, zwiјаłem się, gdy próbowała uderzyć w brzuch. Równie dobrze mogłem zatrzymać huragan. Nie spodziewałem się takiej zaciętości w tym drobiazgu sięgającym mi zaledwie do brody. A jednak... Miała strasznie twarde pięści, ciężkie obuwie i doskonale знаła wszystkie czułe punkty. Zginałbym chyba hańbiącą śmiercią, zatłuczony przez dziewczynę, gdyby nie pojawił się Pożeracz

Chmur. Odciągnął tę rozwścieczoną bestię. Kopnęła mnie po raz ostatni, wyrwała ramię z dłoni Pożeracza Chmur i zniknęła w lesie.

Podniosłem się ostrożnie, obmacując obolałe ciało. Co najmniej dwa razy kopnęła mnie w nerki. Krwawiłem z nosa. Przez parę minut nie byłem pewien, czy wszystkie kości mam całe. Pożeracz Chmur oglądał mnie z wyrazem niebotycznego zdumienia malującym się na twarzy.

„Co ona ci zrobiła? Dlaczego? I w ogóle kto to był?”

„Ta wariatka to właśnie córka Słonego.”

Pożeracz Chmur zdziwił się jeszcze bardziej, o ile to możliwe. Obejrzał się w stronę, gdzie pobiegła Jagoda. Oczy miał rozbiegane, wzrok niepewny.

„Ale... Przecież miała być brzydka...?”

„A nie jest?!”

„Nie!” - stwierdził Pożeracz Chmur stanowczo i zupełnie szczerze. Rozgniewałem się, tym łatwiej, że wciąż jeszcze bolały mnie cięgi zebrane przed momentem.

„A więc ta krwawooka, wymokła wampirzyca jest według ciebie ładna?!”

I wtedy, po raz pierwszy od chwili naszego pierwszego spotkania w kamieniołomach, młody smok spojrział na mnie z wyższością i autentyczną pogardą.

„Ona jest ładna. A ty jesteś głupi i tyle.”

Nie można kłamać w kontakcie mentalnym, o tym już na pewno wspominałem. On naprawdę tak myślał. Niechcący odsłonił też coś jeszcze, co przechwyciłem i co bardzo zabolalo. Byłem słabszy, powolniejszy, gorzej widziałem, a o węchu nie ma co wspominać. W dodatku stchórzyłem, dając pobić się dziewczynie i to mniejszej od siebie. Jakoś przestały się liczyć dla Pożeracza Chmur zdarzenia na Wyspie Szaleńca, gdzie byliśmy równorzędnymi partnerami, uzupełniając się wzajemnie.

Zrzuciłem sandały i zdjąłem tunikę. Wszedłem do chłodnej wody. Powinna przynieść ulgę siniakom. Usiadłem tam, gdzie głębiej i zanurzyłem się na chwilę z głową, żeby Pożeracz Chmur nie zobaczył, że mam łzy w oczach. Tkwiłem w tej zimnej wodzie tak długo, aż w końcu zacząłem dygotać. Ale i wtedy nie wylazłem. Czasem jestem bardziej uparty od osła. Gapilem się w powierzchnię falującej wody i obracałem w ręku kamyczki podniesione z dna. Pożeracz Chmur krążył niespokojnie na brzegu. Próbował mnie przywołać, śląc mi stary sygnał w postaci wizerunku odłamka granitu. Za każdym razem blokowałem go, wyobrażając sobie wielką, czarną ścianę. Niech stąd wreszcie idzie, dopiero wtedy wyjdę z tej lodowni. Nie odszedł. Wprost przeciwnie. Zobaczyłem, jak fale, dotąd wciąż takie same, załamują się, spotykając inne. Podniosłem głowę. Pożeracz Chmur szedł, zamoczony już do kolan (!).

Stanął nade mną z rozpaczą w oczach, z zębami zaciśniętymi tak, że odznaczały mu się mięśnie na policzkach i wyciągnął rękę.

„Chodź już. Proszę cię.”

Tym razem nie mogłem odmówić.

Odtąd właściwie wszystko zaczęło się psuć. Zaraz po moim powrocie Słony zaczął wypytywać, dlaczego jestem w takim fatalnym humorze, skąd mam siniaka na twarzy, a przede wszystkim, czemu jego córka wróciła do domu w środku dnia wbrew swym zwyczajom, wściekła jak chyba nigdy dotąd, i z jakiego powodu zrobiła potworną awanturę pod tytułem: „Albo ja, albo ten przybłęda!”

Było to ogromnie nieprzyjemne. Wykręciłem się jakimiś mętnymi pół- i ćwierć prawdami, pozostawiając Słonego pełnego podejrzeń. Jeśli chciał dowiedzieć się czegoś więcej, powinien spytać Jagodę. Lecz i ona raczej nie była skłonna do zwierzeń.

Następnym polanem dołożonym do stosu pogrzebowego przyjaźni, było zachowanie Pożeracza Chmur. Prawie zamieszkał nad zatoką Słonego. Kręcił się koło Jagody i robił słodkie oczy. Nie mogłem na to patrzeć. Chodził dumnie wyprostowany, prężył mięśnie i lśnił jak wysmarowany oliwą gladiator. Nieodparcie kojarzył się z gołębiem zabiegającym o względy wybranki. Do czarnej zarazy, był naprawdę przystojny! Miał proste plecy, silne nogi, mocne ramiona. Gęste włosy i ładne zęby. Opalony na brąz, prezentował się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Widziałem to i kielkowało we mnie brzydkie uczucie zazdrości. Przecież z nikogo innego, tylko ze mnie wziął wzorzec. Tymczasem wyglądałem jak jego kiepska kopia. Na próżno sam sobie tłumaczyłem, że trudno wyglądać dobrze po wielotygodniowej ciężkiej chorobie, że po prostu powinienem czekać. Czułem się w pewien sposób okradziony.

Jagodzie wyraźnie schlebiały względy okazywane przez młodego smoka. Chętnie przebywała w jego towarzystwie. Łaskawie przyjmowała drobne upominki w postaci owoców, kwiatów i bajecznie kolorowych piór papuzich. A dla Pożeracza Chmur nie istniało już prawie nic, prócz tej okropnej baby. Był tak rozkojarzony, że nie potrafił skupić się na najprostszyc sprawach. Przestaliśmy się „kontaktować”, a nasze wspólne wyprawy badawcze odeszły w niebyt. Po prostu zakochał się bez pamięci, kompletnie stracił rozum i nie nadawał się do niczego sensownego. To było wręcz żałosne. Patrząc na niego, jak snuje się rozmarzony i nieprzytomny, można było stracić apetyt na miłość, jakkolwiek i kiedykolwiek.

Z Jagodą układało mi się jeszcze gorzej niż poprzednio. W myśl nie spisanej umowy, nie porozumiewając się w żaden sposób, dokonaliśmy podziału terytorium. Niewidzialna linia graniczna przebiegała przez środek domu i poprzez stół do pracy Słonego. Za skarby nie sięgnąłbym na jej stronę po książkę czy pióro, choćby były mi niezbędne. Ona również trzymała się swojego obszaru. Czasem tylko kopałem ukradkiem jej rzeczy przez „granicę”, jeśli zostały przypadkiem przełożone przez domowników. Jagoda nie miała okazji rewanzu. Dbałem, by nic mojego nie zawędrowało na jej połowę. Pewnie byłyby bezpowrotnie stracone.

Księżycowego Kwiatu nie zachwycał ten stan cichej wojny. Poświęcała jednak tyle czasu dzieciom i pracom domowym, że nie miała już ochoty robić sobie dodatkowych kłopotów. Słony za to rwał włosy z głowy, miotając się między humorzastą córką a kłopotliwym gościem. W dodatku atmosfera udzieliła się młodszym dzieciom i zaczęły kłócić się między sobą o byle co. Trwało to cztery dni i przyznaję, że były to najdłuższe dni w moim życiu. Straciłem apetyt i źle sypiałem. Na skraj szaleństwa doprowadzała mnie świadomość, że Jagoda może bezkarnie „sięgnąć” do mego umysłu bez mojej wiedzy. Odległość nie stanowiła dla niej problemu. Ile razy dostrzegałem, że na mnie patrzy, miałem wrażenie, jakby grzebała mi w mózgu. Dwanaście lat przeżyłem pod jednym dachem z Obserwatorem, ale miałem do niego bezwzględne zaufanie. Płowy nigdy nie odważyłby się na podobną bezczelność. Słony był wzorem dyskrecji, ale Jagoda robiła, co chciała.

Rankiem piątego dnia stwierdziłem, że nie mam po co wstawać. Nic nie zapowiadało, że dzisiaj będzie choć w części przyjemniejsze od wczoraj. Znowu Jagoda będzie rzucała mi złośliwe spojrzenia i robiła pogardliwe miny a Pożeracz Chmur będzie się do niej łąsił. Przeczekałem poranną krzątanicę. Zwijanie zasłon, bieganie dzieci wymachujących rącznikami i szukających sandałków. Tygrysek wpakował mi się na matę, pokazując figurkę kozy własnoręcznie ulepioną z gliny. Okazałem umiarkowane zainteresowanie, by się nie obraził. Nie miałem też ochoty dołączyć do jedzących śniadanie. Zwłaszcza, że znów musiałbym zbliżyć się do Jagody. W końcu Mówca przyszedł sprawdzić, co się ze mną dzieje.

„Kamyk, źle się czujesz?”

„Nic mi nie jest” - zapewniłem go.

„Nie sędzę. Pokaż oczy. Masz gorączkę? Coś cię boli?”

Odpychałem jego ręce. Nic mi nie dolegało. Po prostu nie chciało mi się nic robić.

„Proszę cię, daj mi spokój. Nic mnie nie boli. Naprawdę.”

„W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego od paru dni wyglądasz jak świeży nieboszczyk. Sforsowałeś się pewno. Ostrzegałem przecież, że z tym płucem nie jest dobrze.”

W tym momencie nad jego ramieniem zobaczyłem Jagodę. Przekroczyła linię graniczną! Nie wytrzymałem. Bez namysłu rzuciłem w powietrze między nami wielkie, jaskrawe symbole, układające się w żądanie: „WYNOŚ SIĘ! PRECZ Z MOJEJ GŁOWY!” Odskokzyła jak oparzona. Słony dał jej znak, by odeszła.

Zaciskałem pięści, usiłując się uspokoić. Mówca patrzył na mnie z melancholijnym uśmiechem.

„Więc o to chodzi? Weź się w garść i przestań być zazdrosny.”

„O co?”

„O Pożeracza Chmur oczywiście. Nie możesz go mieć tylko dla siebie.”

Czy ja byłem zazdrosny o Pożeracza Chmur? Zastanowiłem się i uczciwie musiałem przyznać, że tak. Odebrano mi najbliższego przyjaciela i miałbym być obojętny? To było po prostu niesprawiedliwe. I gdybyż dokonała tego jakaś piękność, mógłbym zrozumieć, ale takie mizeractwo...

A Słony miał chyba jakąś własną teorię, gdyż spytał, ostrożnie składając przekaz i mącąc, jak się dało:

„Są pewne sytuacje, nieczęste, oczywiście... Mam wrażenie, że jesteś dość dorosły, by zrozumieć, co mam na myśli. To nieco krępujące...”

Patrzyłem na niego wzrokiem doskonale bezmyślnym. Wyraźnie się męczył.

„Czy ty i on... coś razem? Bardzo blisko?”

Nareszcie chwyciłem, o co mu chodziło. W pierwszej chwili osłupiałem. Potem pokręciłem powoli głową, a minę musiałem mieć pełną niesmaku. Słony spąsował i aż zakrył oczy dłonią.

„Zapomnij” - przekazał. - „Przepraszam, pomyłka.”

Byłem skłonny mu wybaczyć. Zrobienie z siebie takiego durnia musi być przykre.

Słony miał rację. Nie można w końcu spędzić reszty życia w łóżku. Zacząłem zbierać się niemrawo... a wtem zobaczyłem Pożeracza Chmur, wynurzającego się z zarośli. Piastował w objęciach ogromne naręcze storczyków i miał twarz szczęśliwego idioty. Nie wytrzymałem. Zlekceważyłem jedzenie, ubranie i tym podobne głupoty. Porwałem tylko sandały i zwyczajnie uciekłem. Czułem, że jeszcze chwila, a komuś zrobię krzywdę. Dawałem upust złości, waląc po drodze pięściami w pnie drzew. Potem biegłem wzdłuż plaży, boso, nie zważając na to, że kaleczę stopy na odłamkach muszli. Zatrzymałem się

dopiero tam, gdzie zatokę obejmowało ramię stromego klifu. Bazaltowa ściana podmywana falami kruszyła się z wolna przez wieki. Czarne głązy leżały tu na dnie, polerowane przez wodę. Ziemię zaścielały kamienie kanciaste i takie, które przyływy zaokrągliły lub wręcz zeszlifowały na płasko, zamieniając je w idealne pociski do puszczenia kaczek. Tym razem nawet o tym nie pomyślałem. Stworzyłem wizerunek Jagody i rzucałem w niego kamieniami, aż do zmęczenia. Dopiero wtedy opamiętałem się i poczułem ukłucie wstydu. Płowy z pewnością by mnie nie pochwalił. Obejrzałem posiekane podeszwy i włożyłem nareszcie sandały. Usiadłem w cieniu skał. Uśpiony od paru dni rozsądek przebudził się i podsuwał mi, że całą sprawę należy porządnie przemyśleć. Pożeracz Chmur i ten jego uczuciowy obłęd. Czyżby właśnie tak objawiała się prawdziwa miłość? Wysłanniku Losu, chroń mnie przed czymś takim. Przypomniałem sobie swoje własne zauroczenie Mgłą i skwitowałem to wzruszeniem ramion. To nie było to. Mgła była już tylko miłym wspomnieniem. Nie łączyło nas nic, prócz dotyku, pieśczoł, przyjemności dawanej sobie nawzajem. Uczciwie przyznałem, że Jagoda i Pożeracz Chmur mieli więcej możliwości. Ale, na miłosierdzie Losu, należeli przecież do różnych gatunków! Czy nie obchodziło to nikogo, prócz mnie? Choćby Słonego. Jego córka miała wszelkie szansę zostać kochanką smoka, a jego to wydawało się zupełnie nie poruszać.

A sama Jagoda? Co takiego widział w niej Pożeracz Chmur? Miłość jest ponoć ślepa, ale czy aż do tego stopnia? Na powrót przywołałem iluzję Jagody. Przyjrzałem się krytycznie swemu dziełu. Wizerunek nie był dobry. Miraż rozmywał się, nie chwytalem szczegółów. Skupiłem się. Kształt twarzy: owalna, a co z zarysem czoła? Brwi? Jakże ona ma brwi? Są tak jasne, że prawie ich nie widać.

Gubiłem się, poprawiałem tę dziewczęcą głowę, jakbym ją rzeźbił. Dopasowywałem kształt oczu, próbowałem rozmaite wykroje ust. Złapałem się na tym, że nawet sprawia mi to przyjemność. Bawiłem się. Jagoda była trudnym modelem, lecz tym bardziej sprawiało mi satysfakcję takie wyzwanie. Nareszcie siedziała przede mną dokładnie taka, jaka była w rzeczywistości. Bledziutka, wielkooka i szczupła aż do przesady. Czułem pewien niedosyt, zabawa skończyła się zbyt szybko. Zmieniłem Jagodzie barwę oczu najpierw na jaskrawo zielony, a potem na ciemnobrązowy. Wyglądały tak obco w tej twarzy, że przywróciłem im pierwotny kolor. Wstrzymując oddech, wiedząc, że mam rozwiązanie zagadki w zasięgu ręki, powiększyłem Jagodowe tęczęwki. Zakryły prawie całe oko, wypełniając je szkarłatem. Źrenice wydłużyły się w czarne, pionowe wrzeciona. Oto smocze oczy osadzone w ludzkiej twarzy. Roześmiałem się, odrzucając głowę do tyłu. Złość opadła ze mnie już dawno. Sam o tym nie wiedząc, dawałem sobie lekcję tolerancji. Ten Pożeracz Chmur! Doprawdy, miałem

ostatnio zaćmienie umysłu. Jagoda miała czerwone oczy! Była chuda, ale czy kto widział tłustego smoka? Jej szyja wydawała się zbyt długa a twarz za wąska, lecz czy pierwsza z brzegu smoczyca nie posiada właśnie takich cech? W dodatku ta biała sierść, to znaczy włosy...!

Myśli w mej głowie goniły jedna drugą a umysł działał jak dobrze naoliwiona maszyna. Ileż to lat ma ten smoczy ideał urody? Czternaście? Czy nie jest to przypadkiem ten najgorszy okres, gdy je się za dwóch, a rośnie za trzech? Istniała całkiem poważna możliwość, że Jagoda za mniej więcej rok zbrzydni w oczach młodego smoka, to znaczy: wyładnieje w ludzkich. Chociaż, oczywiście nie nabierze kolorów.

Na próbę dodałem mirażowi Jagody trochę ciała, zaokrągliłem ją tu i ówdzie. Zachęcony rezultatem, działałem dalej. Czy ona musi ciągle nosić męskie lachy, w których jej wyjątkowo nie do twarzy? Zrozumiałe, że na włóczkę po dżungli najlepsze są spodnie, ale czy nie ma ani jednej sukienki? Ubrałem dziewczynę w lekki jedwab barwy moreli. Przez minutę czy dwie próbowałem udrapować go na niej i spać, biorąc za wzór stroje Księżycowego Kwiatu. Owinąłem Jagodzie wokół głowy warkocze, dotąd smętnie dyndające po obu stronach twarzy i wpiąłem w nie kwiatek pod kolor sukienki. Wyglądało to coraz lepiej.

Dziewczęta za moich szczenięcych lat w Żmijowych Pagórkach, były dla mnie ruchomymi elementami tła w kolorowych sukienkach, lecz przypominałem sobie, że od święta malowały brwi i robiły kreski koło oczu. Niepewny efektów, ostrożnie podkreśliłem oczy na wizerunku i pociągnąłem rzęsy na czarno.

Gapilem się potem na skończoną już całość i nie wierzyłem własnym oczom. Czy ja byłem ślepy? Przecież to stworzenie będzie naprawdę bardzo atrakcyjne!

Tymczasem słońce przesunęło się na niebie i zagarniało coraz to nowe połacie cienia pod skałami. W końcu siedziałem już w pełnym jego blasku, pod ulewą promieni gorących jak ukrop. Ułowiłem jakiś ruch samym kątem oka. Obróciłem głowę, część uwagi poświęcając podtrzymaniu mirażu, bo żal mi było wykonanej pracy. Tuż obok stał Żywe Srebro, przyglądając się z aprobatą portretowi siostry. Wyszczrzył zęby w uśmiechu, potem napisał palcem na piasku, niezręcznymi, dziecięcymi znakami: *Bardzo ładnie. Tak jak mama.*

Podjąłem „rozmowę”, pisząc również na piasku: *Jagoda jest...* - i zrobiłem zachęcający gest, by dokończył. Interesowała mnie jego opinia, choć różnica wieku między nami wynosiła dziewięć lat. Wyglądał na bystrego. Zastanawiał się przez chwilę, pocierając wargi wierzchem dłoni. Buzia rozjaśniła mu się, gdy dopisywał: *...duża i mądra.* Przewróciłem go na piasek i polaskotałem. Cwane i lojalne rodzeństwo ma Jagoda. Iluzja

rozwiała się, a na mnie zwałił się raptownie ciężar wielu ciepłych ciałek, twardych kolanek i spiczastych łokci. Jak tu się dłużej boczyć? Podczas tej walki na niby, zorientowałem się, że pośród dzieciarni dokazuje rude szczenię. Liska! Pożeracz Chmur przyprowadził ją ze sobą.

Miętosilem serdecznie tę puchatą kulkę, a Liska z zachwytem podkładała się pod chętne do pieszczot dłonie.

Łasiła się i przewracała na grzbiet, by podrapać ją po brzuszku.

Wkrótce dzieci rozproszyły się na plaży. Żywe Srebro i Tygrysek weszli do wody, Liska droczyła się z falami, Błyskawica szukał muszli a bliźnięta rozpoczęły budowę piaskowej fortecy. Czteroletnie maluchy były tak podobne do siebie, że odróżniałem Blaska tylko po kolorze kusių spodenek. Pewnie za jakiś czas pojawią się przynajmniej drobne różnice, lecz na razie wyglądały dla mnie zupełnie jednakowo. Nie miałem żadnego zajęcia. Gdybym wrócił w tej chwili do domu maga, musiałbym pomagać Księżycowemu Kwiatowi w jakiejś babskiej robocie, po prostu z przyzwoitości. Na samą myśl o tym znów zaczynałem się burzyć. Ostatecznie powinno to należeć do obowiązków Jagody. Słony być może zacząłby na nowo poruszać niezręczne tematy lub troszczyć się o moje nadwreżone zdrowie. Losie, ochraniaj niewinnych! Przy wodospadzie natknąłbym się pewnie na tamtą mieszaną gatunkowo parkę, jak patrzą sobie czule w oczy. A samotna wyprawa gdzieś w dalsze rejony wyspy mogła skończyć się spotkaniem z obcym smokiem, niekoniecznie przyjaźnie nastawionym do nieproszonego gościa. Postanowiłem zostać tu, gdzie byłem. Dlaczego by nie cofnąć się nieco do czasów dzieciństwa? Pomóc Słonecznej i Blaskowi usypać kopiec z piasku, wykąpać się i przy okazji wynurkować dla Błyskawicy większą muszlę niż te na brzegu. Lub połączyć po skałach zanurzonych w morzu, tak jak właśnie robili to Tygrysek z bratem. Liska odważnie poszła w ich ślady, przeskakując z kamienia na kamień. Z początku bez niepokoju obserwowałem tę zabawę, ale dzieciaki gramoliły się coraz dalej i dalej, aż zastanowiłem się, czy nie jest to jednak trochę niebezpieczne. (Wyraźna oznaka, że robiłem się beznadziejnie dorosły.) Nie chodziło tu o upadek do wody, bo dzieci wychowane nad oceanem pływały jak ryby. Groźne mogło być uwięźnięcie między głazami lub złamanie nogi w kostce. Była też tam Liska, której, niestety, nie zdążyłem nauczyć pływać.

Chłopcy położyli się na brzuchach na ostatnim kamieniu i patrzyli w głębię. Osłoniłem oczy dłonią. Słońce odbijało się od fal, migocąc oślepiająco, lecz zdawało mi się, że widzę w wodzie jakieś poruszenie. Zamrugalem. Nie, to nie było złudzenie! Powtórnie zobaczyłem, jak na moment wynurza się ponad fale krągła głowa i para rąk, sięgając ku wyciągniętym beztrusko dziecięcym dłoniom (!). Zerwałem się na równe nogi. Mimo upału poczułem zimny dreszcz. Syreny! Rzuciłem się czym prędzej, by zabrać dzieci z

niebezpiecznego miejsca. Choć spieszyłem się jak mogłem, jednak nie zdążyłem. Ciekawska Liska dotarła do chłopców przede mną. Wyciągnęła szyję, by zobaczyć, co też ciekawego dzieje się w wodzie. Wychyliła się, poślizgnęły się jej łapy i spadła. Nie było chwili do namysłu. Rzuciłem się do wody głową naprzód. Przerażony tym, co się stało, nie pamiętałem, że cokolwiek może grozić mnie. A przecież nie miałem nawet noża.

Oślepiły mnie na chwilę pęcherzyki powietrza we wzburzonej wodzie. Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

O coś się otarłem. Sięgnąłem na oślep i poczułem pod ręką futerko. Zacisnąłem palce, poderwałem się wraz ze zdobyczą ku powierzchni. Smoczątko było dziwnie ciężkie. W przezroczystej wodzie zobaczyłem niewyraźny, ciemny kształt. Twarde pazury wpiły się w me przedramię. Szarpnąłem się, uderzyłem wyprostowanymi palcami, celując w oczy. Stwór uchylił się i ugryzł mnie w rękę. Szamotaliśmy się przez sekundę. Poczułem obce palce wczepiające się we włosy. W tym momencie skończyło mi się powietrze i łyknąłem słonej wody. Szarpnięcie, które prawie oderwało mi skórę od czaszki, jednocześnie wyrwało głowę nad powierzchnię morza. Złapałem haust powietrza, które wydało się ostre niczym garść zmielonego szkła. Wkoło roilo się od wąsatych pysków, ale byłem w stanie myśleć tylko o jednym. Gdzie Liska?! Dostrzegłem ją prawie na wyciągnięcie ręki. Kasłała właśnie, utrzymywana na powierzchni przez jedną z tych kosmatych istot. Inna trzymała mnie za rękę, blokując skutecznie, a jednocześnie nie pozwalając iść na dno. Niespokojnie spojrzałem w górę i napotkałem wzrokiem rozbawione buzie synków maga. Zupełnie, jakby całe to zamieszanie było dobrym żartem. Nie wyglądali ani na zaskoczonych, ani tym bardziej na przestraszonych.

Wąsatych przybyszów było spore stadko. Po doholowaniu na plażę obiegli nas ze wszystkich stron. Kulilem się odruchowo pod dotykiem mokrych, chłodnych łap. Trzymałem w objęciach Liskę, która kulila się tak samo, łypiąc niepewnie jednym okiem na obcych. A było na co popatrzeć. Był to ten sam rodzaj zagadkowej mieszanki człowieka i zwierzęcia, jakim są na przykład centaury, mantikory, lamie czy syreny, z którymi pomyliłem te wodne stworzenia. Ale tak jak syreny z Wyspy Szaleńca zdawały się mieć wiele wspólnego z rekinem, te istoty ogromnie przypominały wielkie wydry. Prawie tak duże jak człowiek, całe pokryte były lśniąca sierścią, prócz niewielkich przestrzeni wokół oczu, nosa i warg. Przypatrywały mi się z bliska. Widziałem wyraźnie ich okrągłe brunatne oczy, ruchliwe nozdrza, rozszczepione górne wargi, po obu stronach których wibrowały wąsy cienkie i sztywne jak druciki. „Wydrzaki”, gdy klęczałem, były wyższe ode mnie. Tłoczyły się wokół, zamiatając piasek płaskimi ogonami. Łaskotały mnie wąsami. Zastanawiałem się niepewnie,

czy nie wstać, zyskując przewagę choćby paru dłoni wysokości. Zrezygnowałem. Wszystkie dzieci Mówcy czuły się nadzwyczaj pewnie w tym towarzystwie. Przemykały pomiędzy kosmatymi ciałami, rozdzielając przyjacielskie poklepywania, głaszcząc i ocierając się jak małe koty, wymieniając trącenia nosami. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że zrobiłem z siebie głupca. Całe moje bohaterstwo zdało się na zelówki do sandałów. Wydrzaki były tu pewnie dobrze znane i to jako istoty do tego stopnia łagodne, by bez obaw pozwalać zbliżać się do nich dzieciom. Tymczasem zainteresowanie mną i Liska osłabło. Tylko najwytrwalszy futrzak pozostał, oglądając uważnie mój tatuaż. Zaciekawiała go blizna po strzale. Polizał ją nawet. Podniecony, nastroszył wąsy, kołysał długim tułowiem niczym gruby, kosmaty wąż. Rozgarnął pletwiasty-mi rękami sierść w okolicy obojczyka, ukazując białą podłużną łysinę - przypuszczalnie ślad po grocie harpuna. Pokazałem mu, że strzała przeszła mnie na wylot. Nie chciał okazać się gorszym. Na boku miał wyrwany strzęp skóry. Sugestywnymi gestami przekazywał opowieść o walce z jakimś wielkim drapieżnikiem. Nie miałem za bardzo czym się chwalić. Ani ślady po zębach Pożeracza Chmur, które nosiłem na rękę, ani tym bardziej szrama na głowie - pamiątka po upadku z drzewa w wieku lat sześciu, nie miały chwalebnych historii. Wywołałem za to mały wizerunek samego siebie, jak zamierzam się harpunem na syrenę. Wydrzak nastroszył się jak szczotka, w pierwszej chwili zaskoczony. Zastanowił się, po czym uniósł głowę, prezentując obrózkę wykonaną starannie ze skóry i drobnych, spiczastych zębów. Więc syreny występowały i tu, u wybrzeży Jaszczura. Obaj z wydrzakiem przypominaliśmy dwóch myśliwych, przechwalających się osiągnięciami oraz pamiątkami po walkach. On podskakiwał, pokazywał mocne zęby i ruchami dawał do zrozumienia, jaki to z niego szybki pływak, wspaniały łowca i gigant w międzywydrzakowej miłości. Odwzajemniałem się bohaterskimi scenami walk z piratami i stawiania czoła rozgniewanym smokom. Jestem pewien, że obaj trochę łągaliśmy.

Wśliznął się na parę chwil do wody, po czym wrócił z rybą. Wypatroszył ją wyciągniętym skądś narzędziem, ugryzł kawałek i zaoferował mi resztę. Wziąłem głęboki oddech przed tym nowym wyzwaniem. Odgryzłem kęs surowej ryby, a w oczach musiałem mieć śmierć. Nie byłem jednak w stanie przełknąć. Udając obojętność, przeżułem mięso i nakarmiłem nim Liskę, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. I rzeczywiście, ofiarodawca nie wydawał się urażony. Zajadał swoją zdobycz, ruszając wąsami i oblizując się ze smakiem.

Po powrocie do domu wypłukałem Liskę w słodkiej wodzie, bo schnąc, pokryła się

solnym nalotem. Pożeracza Chmur oczywiście nie było nigdzie widać. Zaciskając zęby, obiecałem sobie, że jego uszy mocno tym razem ucierpią, wyszarpane za zaniedbanie opieki nad siostrą. Przypadek tylko sprawił, że mała nie utopiła się.

Jednak gdy lekkomyślny brat raczył wreszcie się zjawić po kilku godzinach, umknął tak szybko, że nie zdążyłem go nawet zbesztać. Zdawało mi się, że nikt nie wie o wydarzeniach dzisiejszego przedpołudnia na plaży, lecz tuż przed wieczornym posiłkiem zaczepił mnie Słony.

„Dowiedziałem się, że miałaś dziś ciekawą przygodę. Jak ci się podobają nasi sąsiedzi?”

Któreś z dzieci musiało wypaplać.

„Wydrzaki? Interesujący gatunek. I chyba nigdzie nie opisany.”

„Opisany, ale niezbyt obszernie. Niewielu go zna i nie wszyscy wiedzą, że są łagodne... i nie trzeba ich atakować” - Słony mrugnął porozumiewawczo, z lekko kpiącym uśmiechem. Nachmurzyłem się.

„Liska tonęła! Miałem się przyglądać? Poza tym myślałem, że to syreny.”

Przestał się uśmiechać.

„Myślałem, że boisz się syren.”

„Owszem, ale co to ma do rzeczy? Być może Pożeracz Chmur ma w nosie, co się dzieje z Liską, ale mnie nie jest wszystko jedno.”

Pokręcił głową i odszedł, zamyślony.

Jeszcze tego samego dnia podarował mi nożyk do golenia. Zdziwiłem się nieco, bo tego, co zaczynało mi straszliwie nieśmiało kielkować na brodzie, w żaden sposób nie można traktować poważnie. Słony jednak wręczył mi ostrze bez zwykłych kpinek, z pozornie szorstkim komentarzem:

„Przyda ci się już niebawem.”

To „niebawem” oznaczało minimum pół roku, ale wiedziałem, co Słony ma na myśli. W domu nad zatoką przebywało dwóch mężczyzn.

Przez pewien czas nie działo się nic szczególnego. Słony suszył rośliny i składał zielniki, uczył najstarszych synów czytania i pisanie, a czas wolny od tych zajęć dzielił między maluchy, Nurka, mnie i żonę, przy czym Księżycowy Kwiat wygrywała zdecydowanie. Słony po latach małżeństwa był tak samo zakochany, jak na jego początku.

Jagoda zniknęła na długie godziny. Byłem pewien, że nadal flirtuje z Pożeraczem

Chmur, choć jego samego prawie nie widywałem.

Księżycowy Kwiat ze zwykłą pogodą ducha prowadziła dom, nie oglądając się na leniwą pasierbicę, ani na męża. Do Słonego z trudem docierało, że od czasu do czasu trzeba narąbać drewna, wykapać dziecko lub zarznąć kurę na rosół. Żona Mówcy wciąż miała zajęte czymś ręce. Nawet gdy widziałem ją, kołyszącą się łagodnie w hamaku, zwykle pokrywała misternymi haftami dziecięce ubranka lub męskie koszule.

Co do mnie, niewiele czasu spędzałem pod dachem. Słony, samozwańczy medyk (tak naprawdę był specjalistą od biologii regionów tropikalnych), zabronił mi biegać. Biegałem więc tym bardziej, przemierzając codziennie plaże Jaszczura. Walczyłem z krótkim oddechem i własną słabością. Nie miałem zamiaru pozwalać, by ciało dyktowało mi warunki. Wspinałem się na drzewa, pływałem z wydrzakami. Zaprzyjaźniłem się zwłaszcza z tym, którego nazwałem Obrożą. Razem łowiliśmy ryby i zbieraliśmy małże. Całe godziny poświęcałem na naukę rzucania nożem, siekając powalony pień na wióry. Stopniowo powracałem do dawnej formy, a może nawet lepszej. Nabierałem mięśni i czułem, że rosnę, może nie tyle wzwyż, co wszcz oraz jak gdyby wewnątrz.

Coraz częściej też zamieniałem codzienną tunikę na „leśną” odzież i wyprawiałem się samotnie na długie włóczęgi po wnętrzu wyspy, zaopatrzonej w nieodłączny nóż i kawałek jedwabiu do chwytania owadów. Zdarzało się, że przynosiłem z tych wypraw okazy, na widok których nawet Słony otwierał szeroko oczy, tak były rzadkie. „Skąd ty je bierzesz? Sam wytwarzasz czy jak?” - pytał nieraz, zdumiony. Wzruszyłem tylko ramionami, ubawiony. Po prostu umiałem patrzeć. A i mój talent bardzo się przydawał. Zauważyłem, że niektóre zwierzęta przywabiały określone barwy, inne reagowały na zapach. Niektóre po prostu wchodziły na mnie, myśląc, że jestem drzewem.

Spotykałem w puszczy rozmaite stworzenia. Smukłonogie koziołki, małpy o czarnym, połyskliwym futrze, łuskowce pokryte rogowym pancerzem, wielkie węże udające grube liany na czatach ponad zwierzęcymi ścieżkami, i te małe, jaskrawo ubarwione, dysponujące trucizną. Czasem trafiałem na nadrzewne niedźwiadki, tak leniwe, że nie budziły się z drzemki, nawet gdy trafiały do czyjegoś brzucha. Jednego było brak: większych drapieżników, takich jak tygrysy czy choćby wilki. Najwyraźniej smoki wyparły wszelką konkurencję. Tak myślałem przez dłuższy czas.

Z początku trzymałem się tylko terytorium Deszczowego Przybysza. Potem zacząłem wypuszczać się coraz dalej, wzorem Jagody, która wędrowała po całej wyspie. Czasami przez

kilka dni nie pojawiała się nad zatoką, pędząc tajemnicze życie gdzieś w głębi puszczy, w smoczych legowiskach lub na kamienistych zboczach wulkanu. Rozumiałem, co dawała jej tak zazdrośnie strzeżona samotność. To samo, co dawała mnie - wolność, swobodę wyboru i czas, niezmierny ocean czasu. Życie, które nie było odmierzane sztywnymi porami posiłków, snu i czuwania, obowiązkami wykonywanymi bez ochoty, zabawami dla zabicia nudy. Wolność. Tak, to było właśnie to. Czasami zastanawiałem się, jak mogłem żyć w Pagórkach. Wśród tylu ludzi tak różnych ode mnie. Przypominałem sobie ich spojrzenia - zwykle obojętne, czasami tylko niezyczliwe, a często taksujące, jakby oceniali obcą, dziką istotę. Jakbym był wilkiem wychowanym wśród ludzi, którzy zastanawiają się właśnie, czy zostanie on użytecznym psem podwórzowym, czy też może odezwie się jego prawdziwa natura i zacznie rozszarpać gardła. Czy to samo przeżywała Jagoda, zanim ojciec zabrał ją tutaj, w miejsce, którym władały czerwonoookie olbrzymy? Tego nie mogłem wiedzieć, domyślałem się tylko, że Jagodzie było jeszcze ciężiej niż mnie. Nie ominęły jej zapewne ani przykre słowa, ani złe myśli niezyczliwych ludzi.

Oboje znaleźliśmy spokój wśród zieleni dżungli. Chociaż bardzo Kocham Płowego, coraz częściej łapałem się na tym, że odsuwam od siebie myśl o powrocie do domu. Do czego miałbym wracać? Wyrosłem ze Żmijowych Pagórków, jak wyrasta się z dziecięcych butów. Ta wioska potrzebowała rolnika, kowala, medyka znającego się na chorobach zwierząt i ludzi, tak jak Płowy, a nie Tkacza Iluzji. Tak więc na razie las dawał Jagodzie i mnie schronienie, a smoki, wydrzaki i rodzina Słonego - ciepło i opiekę.

Istniała niewielka szansa, że spotkam Jagodę podczas włóczęgi. Jaszczur był naprawdę sporą wyspą. Możliwe, że dziewczyna widywała mnie od czasu do czasu, jak krążyć pośród drzew niby zagubiony duch, jej samej jednak nie dostrzegłem ani razu. Aż do dnia, w którym nogi zaniósły mnie ku wulkanicznym stokom, daleko od terenów łowieckich Deszczowego Przybysza. Zobaczyłem wśród wielkich liści jasną wstęgę jej warkocza - obcy kolor wśród setek odcieni barw puszczy. Odwrócona plecami, nie widziała mnie. A poruszałem się na tyle ostrożnie, że moje lekkie kroki pewnie gubiły się pomiędzy zwykłymi głosami dżungli. Obudził się we mnie psotny chłopiec. Co będzie, jeśli podejść bliżej i rzucę orzeszkiem w pannę Odczepcie-Się-Ode-Mnie? Może też czymś rzuci. Może będzie chciała dać mi w ucho, lecz tym razem nie miałem zamiaru na to pozwolić. Byłem silniejszy od niej. Nic prostszego: wytarzać ją w opadłych liściach lub wrzucić gąsienicę za koszulę. A może uda mi się podejść tak blisko, by szarpnąć za ten śmieszny, biały ogonek? Posuwałem się, kroczył za kroczkiem, ostrożnie odsuwając gałązki, dbając, by nie stąpnąć na chrust. Jagoda marudziła, co rusz przykucając. Grzebała w ziemi, jakby coś wykopywała. Zbliżałem się

coraz bardziej do jej pleców. Uśmiechałem się szeroko, sam do siebie, wyobrażając sobie, jak podskoczy to biedne dziewczę, gdy niespodzianie czyjaś dłoń klepnie jaw kark! Byłem już całkiem blisko, gdy Jagoda raptownie poderwała się na nogi. Usłyszała mnie? Dziewczyna zamarała bez ruchu, lekko pochylona ku przodowi. W uniesionej ręce kurczowo ścisnęła niewielki nóż. Lecz nie odwracała się. Zarośla o wielkich talerzowatych liściach częściowo zasłaniały mi widok. Co takiego widziała Jagoda, że przeraziła się tak bardzo? Bezwiednie przyjąłem podobną postawę - pochylony, jak przed atakiem lub ucieczką. Zrobiłem jeszcze kilka kroków w bok, zmieniając kąt widzenia i zobaczyłem to, co pojawiło się przed dziewczyną. W pierwszej chwili nie byłem w stanie określić nawet rozmiarów tej istoty. Oliwkowo zielona barwa jej ciała prawie idealnie wtapiała się w tło. Tylko na piersiach wykwitwała szarosrebrzysta łata, przyciągając wzrok z hipnotyczną siłą. Oto mieliśmy przed sobą jednego z drapieżników, których brakło mi w delikatnych mechanizmach przyrody na Jaszczurze. Głowę o półludzkiej twarzy przedzielała szeroka wyrwa uchylonej paszczy, grożącej hakowatymi kłami. Bursztynowe ślepie wpatrywały się w Jagodę bez mrugnięcia. Na krótkiej, silnej szyi prężyły się mięśnie i fałdy skóry, tworząc coś na kształt kaptura kobry. Łapy, szokująco podobne do ludzkich rąk opatrzonych w szpony, otwierały się i zaciskały złowróźnie. Potwór był wyższy od człowieka, a przecież nie były to jego pełne rozmiary. Pozbawiony nóg, wspierał się wyłącznie na silnym ogonie, który nikał gdzieś w chaszczach.

Tyle miejsca na karcie potrzeba, by opisać to, co dostrzegłem i zapamiętałem w jednej chwili. Nie trzeba geniusza ani naukowca, by rozpoznać samca lamii - ohydne, obrażające rodzaj ludzki połączenie człowieka z jadowitym gadem.

Łamią wychylił się nagle ku przodowi i w bok, a Jagoda powtórzyła ten ruch ułamek sekundy później. Był to tylko udawany atak. Znieruchomieli na nowo. Zacisnąłem palce na rękojeści noża, zbliżając się powoli. Istniał cień nadziei, że łamią zignoruje mnie lub uzna za niezbyt groźnego i podaruje choć jedną ceną minutę.

Następny markowany atak, jakby bestia bawiła się swoją ofiarą. Jagoda, stojąca na ugiętych nogach, znów zrobiła taki sam unik, jakby była to figura niesamowitego tańca śmierci. „Nie uciekaj. Błagam, tylko nie uciekaj” - powtarzałem w myślach, unosząc ostrze nad głowę. Gdyby Jagoda załamała się w tej chwili i rzuciła do ucieczki na oślep między drzewami, nie miałaby żadnej szansy. Łamią dostałby ją jednym ruchem, jak rozprężająca się sprężyna. Cisnąłem nożem, celując w rozwartą paszczę.

Nie liczyłem, że zabiję napastnika, ale miałem nadzieję, że przynajmniej ranie go dotkliwie. Ciężkie ostrze przeleciało Jagodzie nad ramieniem. W tej samej chwili rzuciłem się do przodu, przewracając ją na ziemię i nakrywając własnym ciałem. Zdążyłem jeszcze

zobaczyć, jak łamią uchyla się przed ciosem, a klinga trafia go w szyję, rozcinając kaptur. Trysnęła krew. Potworny pysk rozwarł się na całą szerokość w wyrazie bólu i zaskoczenia. Przeżyłem chwilę panicznego strachu, oczekując uderzenia kłów lub rozdzierania ciała szponami. Nic takiego nie nastąpiło. Potwór zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Jagoda szamotała się pode mną. Przekręciła głowę, ukazując rozszerzone strachem oczy, pod którymi rozlewały się sinawe plamy. Otwarte w krzyku usta, ścięgnię na szyi napięte z wysiłku jak sznurki. Rozejrzała się dziko, potem dotknęła mej twarzy, jakby z niedowierzaniem. Zobaczyłem, jak wargi wyginają się jej w podkowę, broda trzęsie się, a oczy wypełniają łzami. Przywarła do mnie, dygocąc i wypłakując mi w kołnierz całe swe ogromne przerażenie. Czuję się nieco głupio. Pozycja nastrojała do czułości i pocałunków. Tymczasem trzymałem w objęciach tego biednego dzieciaka, trzęsącego się niczym chudy królik. Pozwalałem moczyć sobie koszulę łzami, poklepywałem Jagodę lekko po plecach jak szczeniaka. Jednocześnie czujnie przepatrywałem zarośla. Nie chciało mi się wierzyć, że w tak prosty sposób zdołałem przepędzić groźną bestię.

Posadziłem Jagodę. Chustka zamotana na jasnych włosach zsunęła się. Użyłem jej do otarcia zapłakanej twarzy dziewczyny. Pozwoliła wyjąć sobie z ręki nóż, który ścisnęła do tej pory. Troskliwie roztarłem jej palce. Chlipała jeszcze trochę, przyciskając pięść do ust. Jeśli płakało się tak okropnie, jak ona, nie można od razu przestać.

Przywołałem na użytek Jagody powietrzne pismo.

„Już go nie ma. Uciekł. Rozumiesz?”

Pokiwała głową twierdząco.

„Idę szukać noża. Zostawię cię tylko na chwilę, dobrze?”

Ten sam gest.

Była twardsza niż myślałem. Wielkie burze i ulewy zwykle trwają krótko. Bez trudu odnalazłem swoje ostrze, wbite w pień drzewa. Gdy wróciłem, Jagoda zbierała dc woreczka rozsypane korzonki. Podniosłem jeden. Miał postać małej, podłużnej brązowo-białej bulwy. Wytarłem ją z grubsza w rękaw i ugryzłem. Była słodka i lekko wodnista w smaku. Jagoda patrzyła, jak jem. Zrobiłem „królika”, odsłaniając przednie zęby i ruszając nosem. Uśmiechnęła się niepewnie, a trwało to tak krótko, że właściwie był to cień uśmiechu. „Wracamy do domu?”

Znów potwierdziła ruchem głowy, znacznie skwapliwiej niż przedtem.

Szliśmy ku zatoce Słonego, obierając kierunek na wycucie. Jagoda wkrótce odzyskała resztę równowagi i zaczęła prowadzić. Podałem się temu bez protestów. Wybierała drogę czasem pozornie dłuższą, lecz wygodniejszą. Omijała trudne do przebycia

wąwozy, splątane gęstsze kolczastych lian, przez które trzeba by wycinać przejście. Znała miejsca na brzegach potoków, gdzie zwały się pnie drzew, tworząc naturalne mostki.

„Nie wiedziałem, że tu są lamie” - zagailem po drodze. Jagoda tylko wzruszyła ramionami.

„Powiesz ojcu?” - spytałem, nie zrażony. Zmarszczyła się i potrząsnęła energicznie głową.

„Już by cię nigdzie nie puścił” - stwierdziłem domyślnie. Jagoda spojrzała nawet z pewną dozą uznania. Wskazała na mnie palcem, po czym uderzyła kantem dłoni w drugą dłoń, jakby coś uciwała.

„Mnie też by nie puścił?” - upewniłem się. Potwierdziła. To było całkiem logiczne. Powiadomić o dzisiejszym zdarzeniu Słonego, oznaczało wypuścić demona z pudełka. Usiłowałyby zatrzymać nas w domu, nawet gdyby miał to osiągnąć przez uwiązanie na smyczach. To było wręcz przerażające. Otrząsnąłem się bezwiednie. Jagoda obserwowała mnie ukradkiem. Byłem pewien, że znów niedyskretnie sięga mi do głowy, ale jakoś tym razem nie miałem nic przeciwko temu. Zastanawiałem się, jak rozwiązać tę sprawę. Lamie, choć zapewne bardzo nieliczne, skoro dotąd nikt z otoczenia maga na żadną nie natrafił, były bardzo niebezpieczne. Kto zaręczy, że zatrzymując wiadomość dla siebie, nie skazemy kogoś na śmierć? Z drugiej strony, nie chcieliśmy tracić swobody. Zatrzymałem Jagodę, łapiąc ją za rękaw.

„Nie mów nic Słonemu. Porozmawiaj z Deszczowym Przybyszem, a on niech pójdzie do tego, czyj jest ten teren.”

Oczy Jagody rozbłysły. Skrzyżowała palce na wargach, jakby obiecując wieczyste milczenie. Zrobiłem to samo. Ale jej jeszcze było mało. Wycięła cienkie pnącze z fantazyjnej girlandy oplatającej pobliskie drzewo. Potem chwyciła mnie za przegub, a ja robiłem to samo, tak że nasze ręce utworzyły połączenie trudne do rozerwania. To był gest przyjaźni. Nie spodziewałem się czegoś takiego. Jagoda oplotła nasze dłonie pnączem i posypała garścią ziemi. Nigdy nie uczestniczyłem w czymś takim, lecz wiedziałem, że był to prosty rytuał przysięgi wzajemnego wsparcia. Uratowałem Jagodzie życie, mogłem więc liczyć przynajmniej na zawieszenie broni, ale otrzymałem więcej: to było zawarcie prawdziwego pokoju. Połączyła nas wspólna tajemnica.

Wróciliśmy nad zatokę, tak jakby nic się nie zdarzyło. Z tą różnicą, że wkroczyliśmy na podwórko Słonego razem, a nie jak zwykle, bocząc się i nie uznając wzajemnego istnienia.

Księżycowy Kwiat przywitała nas zdziwionym spojrzeniem, lecz chyba postanowiła ostrożnie nie poruszać tej sprawy. Nie spytała Jagody o tę nagłą odmianę. Skorzystała natomiast z okazji, że wróciliśmy wcześniej, by zostawić pod naszą opieką Tygryska. Chłopczyk poprzedniego dnia wbiegł w płytkiej wodzie na jeżowca. Musiał zostać w domu z zabandażowaną nogą i lekką gorączką. Biedak nudził się niemiłosiernie. Kolekcja glinianych zwierzątek nie bawiła go jakoś. Co komu po figurkach smoków, jeleni czy lwów o grzywach ze skrawków futerka, gdy nie ma z kim dzielić zabawy? Księżycowy Kwiat poszła gdzieś w swoich sprawach. Oglądałem Tygryskowe zabawki z rosnącym zainteresowaniem. Niektóre uderzająco przypominały moje własne, spoczywające obecnie gdzieś na stryszku, o pół świata drogi stąd. Były tam gniade konie z obtłuczonymi nogami, które wielokrotnie z troską naprawiano, pociągnięte siwą farbą osiołki, długouche króliki o wąsach zrobionych ze słomki, a także maleńkie rzeźby z mydlanego kamienia i kości, przedstawiające gryfy, groźne mantikory, konie morskie lub łuskowate jaszczury. To już nie były dziecięce zabawki, lecz miniaturowe dzieła sztuki. Aż dziwne, że ktoś dał je po prostu małemu chłopcu, zamiast postawić na półeczce i cieszyć się samym posiadaniem. Jednak przeważającą część zbiorów Tygryska stanowiły jego własne wytwory. Całkiem zgrabne, jeśli brać pod uwagę, że wyszły spod ręki pięciolatka. Lepił głównie smoki. Były różnych wielkości, uchwycone w rozmaitych pozycjach. Miały uszy z małych muszelek, oczy z czerwonych, szklanych paciorków, a skrzydła wycięte ze sztywnych kawałków skóry.

Ku radości Tygryska najpierw jeden gliniany smoczek, a potem następne, zaczęły się poruszać. Machały skrzydełkami, trącały się nosami, podfruwały do twarzy, mrugając szklanymi ślepkami. Wdrapywały się na podsuwane dłonie. Ożywiałem podsuwane mi przez Tygryska figurki - po pięć i dziesięć naraz. Wysilałem fantazję, co też jeszcze mogłyby wyczyniać psotne zwierzaczki. Tygrysek śmiał się, szeroko otwierając buzię. Zachwycony, cały w rumieńcach, aż zacząłem się obawiać, że gorączka mu podskoczy. Nawet Jagoda dołączyła do tych igraszek i wyraźnie bardzo jej się podobało. Nigdy przedtem nie widziałem jej tak swobodnej. Gotów byłem ciągnąć te drobne iluzje całymi godzinami. Wysiłek był niewielki, a tych dwoje tak dobrze się bawiło. Kolejno jednak układałem stworzonka do snu, niepostrzeżenie kończąc zabawę. Dla malca, który dopiero co zetknął się z trucizną jeżowca, zbyt duże podniecenie mogło być szkodliwe. Zostawiliśmy Tygryska na jego macie. Podparty na łokciach, przestawiał swoje figurki. Opowiadał coś sam sobie, to otwierając szeroko ciemne oczy, jakby w zdumieniu czy przestraszach, to znów marszcząc groźnie cienkie brewki.

Jagoda szukała czegoś, przetrząsając kolejno kufry ojca. Czasem wyciągała jakiś przedmiot, oglądała go i chowała z powrotem, potrząsając głową w geście: „Nie, to nie to”.

Zająłem się swoją ostatnią zdobyczą - motylem podobnym do czterech złożonych razem liści. Ostrożnie rozprostowałem mu skrzydła i schowałem do skrzyneczki, obkładając go kawałkami płótna, by się nie zniszczył. Przy tym znowu włosy wpadły mi do oczu. Mnóstwo razy już przedtem obiecywałem sobie, że poproszę Księżycowy Kwiat, by mnie ostrzygła. Zawsze jednak albo o tym zapomniałem, albo ona była zbyt zajęta. W rezultacie coraz bardziej upodabniałem się do zarośniętego barana, albo do owczarka, który takie barany zagania. Zirytowany ostatecznie, postanowiłem załatwić to sam, teraz i zaraz. Słony posiadał tylko jedno lustro. Nie większe niż książka, za to nie metalowe, lecz szklane, pokryte z tyłu warstewką srebra. Droga rzecz. Słony nie wyglądał na kogoś, kto mógłby sobie na to pozwolić. Ale nie było to moją sprawą. Oparłem szklaną płytkę o stos książek na stole Mówcy. Nie mogłem znaleźć nożyc, wyszukałem więc nóż, którego Słony używał do sekcji. Brzeczot był ostry, lecz nie aż tak bardzo. Szarpał za kosmyki i to po prostu bolało. Zastanawiałem się, czy zmienić narzędzie, czy sposób cięcia, gdy Jagoda odebrała mi nóż. Chuchnęła na lustro i napisała na nim: *Obetniesz sobie ucho.*

I jeszcze: *Ojciec cię zabije, to jest ostrze chirurgiczne.*

Rozłożyłem ręce.

„A gdzie w tym domu leżą nożyczki?”

W tej chwili podłoga zatrzęsała się jak wóz, podskakujący na kamienistej drodze. Lustro na stole pochyliło się do przodu i poleciało w dół. Chwyciłem je odruchowo, ratując przed rozbiciem na kawałki. Zamarłem, zupełnie nie wiedząc, co robić. Okropne wibracje przeszły przeze mnie. Miałem wrażenie, że każda moja cząstka drga osobno - kości, wnętrzności, nawet zęby. Trwało to chyba tylko minutę. Jagoda cisnęła nóż, nie patrząc gdzie. Jednym susem dopadła Tygryska, porwała go na ręce i... w tym momencie wszystko ustało. Jeszcze przez chwilę trwaliśmy nieruchomo. Potem Jagoda powoli opuściła braciszka z powrotem na posłanie. Odetchnąłem. Położyłem na stole ściskane dotąd w rękach lustro.

„Co to było?!”

Jagoda podniosła z podłogi woskową tabliczkę. Przez chwilę rozglądała się za rylcem. Znalazła go, po czym wyskrobała: *Trzęsienie ziemi. Wulkan oddycha.*

Więc to było trzęsienie ziemi? Owszem, robiło wrażenie, ale gdy pomyśleć, że powinna być to katastrofa, prezentowało się dość nędznie. Trzęsienia ziemi oznaczały dla mnie walące się domy i drzewa. Przepaście otwierające się nagle pod stopami. Kamienne lawiny i tego rodzaju rzeczy.

Mało ci? - napisała Jagoda. - Ciesz się, że to tylko jeden wstrząs. Przy trzecim padają drzewa.

Zbieraliśmy rozsypane książki i notatki Słonego. Spomiędzy kart potężnego tomu oprawnego w skórę wysunął się obrazek - owalny kawałek deseczki, na którym ktoś namalował portrecik kobiety. Podniosłem go i obejrzałem ciekawie. Było coś znajomego w tej twarzy. Kształt oczu i zarys trójkątnego podbródka. Sposób trzymania głowy i dumne spojrzenie. Choć włosy kobiety miały kolor ciepłego ciemnego brązu, a oczy były czarne jak noc, nie miałem wątpliwości, na kogo patrzę. Podałem znalezisko Jagodzie. Prawie mi je wyrwała. Patrzyła długo na wizerunek.

„To twoja matka?”

Oczywiście w tej chwili ryzykowałem, że znów się obrazi, zarzuci mi wścibstwo i każe pilnować swoich spraw. Kiwnęła tylko głową, potwierdzając moje przypuszczenie. Pomyślałem, że Jagoda ma szczęście, skoro został jej po matce chociaż ten mały portrecik. Moje wspomnienie o mamie, chociaż troskliwie pielęgnowane, przez lata zacierało się coraz bardziej i teraz już prawie nie pamiętałem, jak wyglądała. Zaglądałem Jagodzie przez ramię. Obrazek miał dookoła jaśniejszą obwódkę. Widocznie kiedyś oprawiony był w ramkę. Zastanowiło mnie coś. Uwieczniona kobieta miała na sobie bardzo bogatą suknię i całe mnóstwo klejnotów. Przymarszczany gors wyszywany był gęsto perełkami, tak samo jak siatka przytrzymująca włosy. Na palcach lśniło kilka pierścieni, szyję otaczał misterny łańcuszek ozdobiony drogimi kamieniami. Ta dama nie wyglądała na kogoś, kto chodził piechotą. I nie wyglądała też na żonę kogoś takiego, jak Słony.

Piaskowniczką stojącą na stole przewróciła się od wstrząsu i piasek do suszenia atramentu wysypał się na blat szerokim wachlarzem. Jagoda palcem nakreśliła na nim kilka znaków.

Nie wiedziałam, że on to jeszcze ma. „Dawno umarła?” - to wyrwało mi się zupełnie spontanicznie.

Jagoda rzuciła mi zdumione spojrzenie. *Nie umarła.*

Ujrzałem, jak twarz dziewczyny kurczy się, jakby na wspomnienie doznanej krzywdy, ale w oczach miała bunt. Zaczęła na nowo pisać, bazgrząc z pasją kolejne znaki. Coś się w niej rozsypało. Za dużo się wydarzyło tego dnia. Łamią, gniew ziemi i ta podobizna matki...

Naiwny jesteś. Wcale nie umarła. Odeszła, bo nie mogła wytrzymać z ojcem.

W miarę jak Jagoda pisała, odczytywałem historię nieudanego związku Mówcy z panną wysokiego rodu. Jagoda stawiała znak za znakiem. Miejsce na piasku skończyło się bardzo szybko i dziewczyna sięgnęła na powrót po tabliczkę. A potem po następne. Gdy i te pokryły się w całości zamasztyłym pismem Jagody, przenieśliśmy się wreszcie na piasek przed domem. Od czasu do czasu zadawałem jakieś pytanie, a Jagoda odpowiadała na

wszystkie. Nadrabialiśmy cały stracony czas, gdy dzielił nas mur wzajemnej niechęci.

Dopiero teraz zobaczyłem, jak niewiele wiedziałem o Słonym i jego bliskich. Słony nawet nie był właściwie Słonym, a panem na Solnych Polanach. Synem księcia i dziedzicem fortuny. Kto by mógł przypuszczać? Nie cierpieli się z żoną serdecznie, połączeni węzłem dla zysków i prestiżu. Gdy urodziła się Jagoda, związek rozpadł się ostatecznie. Mogłem się domyślać, że Jagoda nie miała łatwego życia w zamku dziadka. Nie była chłopcem ani ładną dziewczynką zdatną do korzystnego mariażu z innym wysokim rodem. Słony wyslizgiwał się jak mógł, z twardej garści ojca, korzystając z ochrony Kręgu. Ciągnęło się to latami. Prawdziwy skandal wybuchnął, gdy podczas jednej z podróży na wybrzeże Morza Syren spotkał Księżycowy Kwiat. Słony zrzekł się tytułu i praw do majątku na rzecz młodszego brata, by pojąć za żonę zwykłą, niepiśmienną rybaczkę.

Między nimi jest różnica dziesięciu lat - pisała Jagoda z oburzeniem malującym się na twarzy. - Dał się złapać na przynętę zrobioną z cycków. A ona rodzi mu bachory, jednego za drugim i jest zadowolona, bo ma męża maga.

Może Jagoda wyłowiła moją opinię wprost z głowy, a może miałem ją wypisaną na twarzy. Dość, że zaczerwieniła się okropnie. Rzuciła spłoszone spojrzenie w stronę maty, gdzie zmęczony zabawą Tygrysek spał w najlepsze. Starła szybko bachory, a potem całą resztę.

„Mój ojciec robił uprzęże dla koni, cięciwy i siodła. Matka zajmowała się domem. Nie jestem pewien, czy oboje umieli czytać” - wypisałem to starannie w powietrzu. - ”Nie jestem szlachetnie urodzony i wcale mi tego nie brak”.

Jagoda zastanawiała się chwilę.

Nie wyglądasz na wieśniaka.

„Ani ty na księżniczkę.”

Nie chciałem być złośliwy, a Jagoda chyba to wyczuła. Wyrównała dłonią piasek i napisała:

Księżniczka wie, gdzie leżą nożyczki. Może złamać zasady i obciąć włosy synowi chłopca.

Założyłem ręce za plecy i ukloniłem się bardzo nisko.

„To będzie prawdziwy zaszczyt, pani.”

Naprawdę całkiem dobrze strzygła. Poza tym zupełnie nieźle grała w „kamyczki”. I potrafiła robić zwierzątka, łącząc rozmaite owoce za pomocą patyczków. Nie dość, że ładne,

to jeszcze jadalne.

Po pewnym czasie poukładaliśmy wszystkie rzeczy, które rozsypały się, pospadały z półek lub przewracały. Zabawialiśmy Tygryśka, graliśmy w różne gry i pisaliśmy do siebie, zupełnie jak normalni ludzie. Woskowe tabliczki okazały się mało praktyczne. Nasypałem piasku na płaską miskę, by Jagoda mogła na nim stawiać znaki. Chętnie korzystała z ułatwienia. W pewnej chwili napisała:

Myślałam właśnie, jaki jesteś podobny do Pożeracza Chmur, a jednocześnie inny.

Zabawne.

„To on jest podobny do mnie” - sprostowałem.

Raptem Jagoda drgnęła, jakby ktoś ją ukłuł szpilką. Uderzyła się dłonią w usta, robiąc przestraszone oczy.

„Co się stało?”

Potrząsnęła miską, zacierając poprzedni napis. Szybko nakreśliła następny:

Na otchłań i demony! Pożeracz Chmur. Miałam się z nim spotkać dzisiaj na klifie. Już dawno powinnam tam być.

„To już pewnie nie czeka.”

Tak jak przypuszczałem, pocieszyła się błyskawicznie. Zwłaszcza, że Tygrysek domagał się jedzenia i trzeba było się nim zająć. Potem wymyślił zabawę polegającą na wzajemnym karmieniu się z zamkniętymi oczami. Pękaliśmy ze śmiechu, bawiąc się jak małe dzieci. Ku ucieście Tygryśka, oboje z Jagodą usiłowaliśmy po omacku podać sobie do ust po kawałku melona, niesamowicie upaprani sokiem. I właśnie tę chwilę musiał wybrać zlekceważony adorator, by zjawić się na progu.

Jeśli napiszę, że Pożeracz Chmur był wściekły, to jeszcze będzie za mało. Stał przed nami na rozsuniętych i ugiętych nogach, jak zapaśnik gotujący się do zwarcia. Palce zagiął niczym szpony, aż na dłoniach wystąpiły wyraźnie ścięgna. Poszarzał pod opalenizną. Jego napięte mięśnie rysowały się pod skórą jak grube węzły. Ściągał wargi, obnażając zęby w złowróbnym grymasie. W oczach miał czerwone iskry szaleństwa. Przypominał dzikie zwierzę, które za chwilę zaatakuje. Patrzył mi prosto w twarz, potem jego oczy wolno skierowały się na Jagodę, następnie powróciły do mnie. To, co przyszło ku mnie w mentalnym kontakcie, nie przypominało niczego, czego doświadczyłem wcześniej. Żadnych wyraźnych znaków, żadnych reguł, tylko czysty gniew, wściekłość, żądza krwi, obietnica strasznych cierpień. Nie poznawałem go. Kogo... Co miałem przed sobą?

Rzuciłem szybkie spojrzenie na Jagodę. Była jeszcze bledsza niż zwykle. Wpatrywała się w Pożeracza Chmur z przerażeniem, które świadczyło, że i ona wychwyciła jego

przesłanie. A było ono niczym innym, jak wyzwaniem na pojedynek. Nie miałem żadnego wyboru. To nie były zawody zapaśnicze, ani zwykła zaczepka, którą można by zlekceważyć. Zdawałem sobie sprawę, że Pożeracz Chmur nie kontroluje się zupełnie. Gdybym nawet próbował wycofać się, robić jakieś gesty poddania, krew poleje się i tak.

Nie spuszczać z oczu Pożeracza Chmur, powoli zdjąłem koszulę. Upuściłem ją na maty i zstąpiłem na gorący piasek podwórza, które nagle stało się areną, gdzie człowiek miał stawić czoła smokowi.

Rzucił się na mnie bez ostrzeżenia. Ledwo zdążyłem zrobić unik. Padł na ziemię, przetoczył się i znów zerwał na nogi, giętki i szybki jak kot. I natychmiast znów zaatakował. Tym razem uderzyłem go głową w pierś, przewróciłem, oplatając w pasie ramionami. Przeorał mi plecy paznokciami. Potwornie zapiekło. W nagłym olśnieniu zrozumiałem, że Pożeracz Chmur instynktownie walczy jak smok - chcąc używać pazurów i kłów. Nie pamiętał o tym, że ludzie uderzają pięściami i kantem dłoni, łamią kończyny, druzgocą zębra.

Wbił mi zęby w bark. Wyrwałem się z trudem, tracąc skrawek skóry. Uderzyłem z rozmachem łokciem w jego krtań. Gdyby był człowiekiem, w tym momencie walka miałaby się ku końcowi. Ale nie był. Złapał tylko konwulsyjnie powietrze, kłapnął zębami i złapał mnie nimi za kciuk, miażdżąc mięśnie i ścięgna jak żelaznymi cęgami. Jednocześnie próbował rozerwać mi gardło. Na szczęście nie miał swych smoczycich pazurów. Podrapał mnie tylko dotkliwie. Złapałem Pożeracza Chmur za przegub wolną ręką, z rozpaczliwą siłą wyprostowałem łokieć. Czuję, że jeszcze chwila, a stracę palec. Rzutem ciała wzięłem przeciwnika pod siebie. Wypuścił moją dłoń, zagroził zębami twarzy. Walnąłem go z całej siły czołem w nos i wpakowałem palce do oczu. Szarpnął się, zmieniając nieznacznie pozycję. Skorzystałem z okazji, by walnąć go w żołądek. To był błąd. Wywinął się i uwolnił rękę. Tarzaliśmy się po ziemi, raz jeden, raz drugi na górze. Jakaś częśćka mej duszy dziękowała Losowi, że Pożeracz Chmur nie próbował zapaśniczych sztuczek, których kiedyś go uczyłem. Dysponował taką siłą, że zwykły blok mógł być równoznaczny z wyciągnięciem ramienia ze stawu. Jednak zdołał przewrócić mnie na brzuch. Wystarczyłby chwyt za szczękę i odpowiednio silne szarpnięcie, by świat opuścił jeden Tkacz Iluzji ze skręconym karkiem. Zamiast tego smok usiłował mnie zagryźć. Ludzkie zęby są zbyt tępe i za krótkie, lecz sama siła szczęk Pożeracza Chmur wystarczyła, by przed oczami zaczęły mi latać kolorowe płatki. Prawie już czułem, jak pękają mi kręgi. Szamotałem się słabo, odruchowo szukając wokół jakiejś broni. Zamiast tego ręka wyciągnięta do tyłu natrafiła na kolano Pożeracza Chmur, który mnie przygniatał. Na oślep przesunąłem dłonią wzdłuż jego uda, sięgnąłem najdalej jak mogłem i z piekielną satysfakcją zacisnąłem palce. To nie było honorowe, o nie. To było

wręcz ohydne. Ale cóż z tego, skoro ocaliło mi życie? Smocze zęby puściły. Nie czekając na nic, zrzuciłem z siebie Pożeracza Chmur. Zgięty wół, borykał się ze strasznym bólem. Nie miałem dla niego litości. Chwyciłem go za włosy i wpiłem się zębami w jego szyję, tam, gdzie pod skórą biegnie czerwona ścieżka życia. Zaciskałem szczęki, jakbym sam zamienił się w smoka. A wtedy burzący się ocean Pożeraczowej nienawiści skurczył się do rozmiarów nędznego bajorka, a z groźnej bestii wylazł przestraszony szczeniak, korzący się przed zwycięzcą.

„Oddaję! Oddaję! Oddaję!” - przekazywał raz po raz, żałośnie.

Nie miałem pojęcia, co może oznaczać to „oddaję”. Co mi oddawał? Zwycięstwo? Swoją honor? A może Jagodę?

Puściłem go. Przygarbiony, smętny, trzymał się za pogryzioną szyję. Poszedł, nie oglądając się za siebie.

Dopiero wtedy popatrzyłem w stronę domu. Stał tam Słony. Był bardzo blady. Jedną ręką przyciskał do siebie płaczącego Tygrysa, drugą obejmował Jagodę. Klęczałem na ziemi i zastanawiałem się, czy zdołam wstać, by podejść do tej trójki. Wyręczył mnie Mówca, prawie zanosząc na maty.

„Przyszedłem za późno, inaczej przerwałbym to szaleństwo. Na miłosierdzie Losu! Niemal obdarł cię ze skóry.”

Wpadło mi do głowy, że to zdarzenie może wydać się niewiarygodne. Ktoś, kto być może po latach weźmie do ręki ten pamiętnik, nazwie mnie kłamcą i pyszałkiem. Zapewniam, że wszystko jest prawdą.

Żeby dokładnie to wyjaśnić, powinienem cofnąć się do czasów dzieciństwa. Nie byłem lubiany. Płowy żył skromnie, jak na maga, lecz i tak zawsze byłem nieco lepiej ubrany niż reszta wiejskiej dzieciarni. Nie byłem tak obciążony pracą. Zazdroszczono mi swobody, zabawek i książek, nie mając pojęcia, że czasem pracuję ciężiej niż inni - głową. Wystarczył jeden złośliwy i silny chłopiec, by pociągnąć za sobą resztę i zatruć mi skutecznie życie. Bardzo szybko zdobyłem doświadczenie, że walka według jakichkolwiek zasad nie popłaca. Nauczyłem się gryźć, wkładać palce do oczu, walić poniżej pasa, kopać leżącego... wszystkiego, co było niehonorowe, a pozwalało zdobyć przewagę nad masywniejszym przeciwnikiem. Wyrobiłem sobie opinię małego, wrednego szczura. Rzadko zwyciężałem, lecz jeszcze rzadziej mój przeciwnik wracał do domu w lepszym stanie ode mnie. Płowy opatrywał moje bitewne rany, biadając, że zaprzepaszczam możliwość zaprzyjaźnienia się z

kimkolwiek. Cóż, za wszystko czymś się płaci. Ja chciałem mieć spokój. Pewność, że mogę iść z książką na pastwisko i nikt nie wytlucze mnie nią po głowie ani nie powyrywa kartek.

Krótko: doświadczenia z lat chłopięcych sprawiły, że umiałem się bić i to naprawdę skutecznie.

Skaleczenia okazały się tak samo powierzchowne, jak bolesne. Pożeracz Chmur miał paznokcie jak, nie przymierzając, kawałki szkła. To, co w pierwszej chwili wyglądało na okropne rany, okazało się po prostu rozległymi zadrapaniami. Gorzej rzecz się miała z ugryzieniami, ale i one nie były aż tak bardzo poważne. Wyglądało na to, że to straszliwe starcie ze smokiem stosunkowo niewiele mnie kosztowało.

Bardzo dokładnie musiałem opisać Słonemu całe zajście. Nie winił mnie za nic, a wprost przeciwnie.

„Byłem głupcem” - stwierdził ze smutkiem. - „Nie powinienem pozwalać Jagodzie na te spotkania. Myślałem, że to jest niewinne. Nie miała tu żadnych przyjaciół... nikogo w swoim wieku... Kocham ją, chciałem dobrze. Tymczasem ucierpiałeś ty i Pożeracz Chmur, i ona też.”

Cały kłopot był w tym, że Pożeracz Chmur dorastał. Nie da się oszukać natury. Smok pozostanie smokiem, choćby nie wiem jak bardzo przypominał chłopca - miłego, wygadane go i bardzo inteligentnego. Oto nadszedł czas, by młody smok poszukał sobie partnerki i własnego miejsca. Zupełnie przypadkowo stałem się jego rywalem. Stanąłem do walki, nie wiedząc właściwie, o co się toczy, i niestety wyszło na to, że wygrałem samicę oraz smocze terytorium. Losie, chroń niewinnych. Może i dobrze się stało. Kto wie, do czego doszłoby, gdyby ten romans rozwijał się dalej.

Ze swego miejsca na macie patrzyłem później, jak Słony i Jagoda chodzą powoli między drzewami rosnącymi od strony morza. Rozmawiali długo. Widziałem, jak obejmują się. Jagoda nikła w potężnych ramionach ojca, mała i krucha niczym cukrowa lalka. Dużo pewnie sobie powiedzieli. Wiele się między nimi wyjaśniło. Jagoda na pewno nie stanie się od razu słodką dziewczeczką i wzorem kochającej córki, a Słony popełni jeszcze niejeden błąd, bo wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Niemniej szło ku poprawie.

To był trudny dzień. Przełomowy. Przemyślałem go jeszcze raz od początku do końca. Zastanowiłem się, czy jeszcze raz dokonałbym podobnych wyborów i stwierdziłem, że tak. Nawet podjęcie walki z Pożeraczem Chmur było słuszne, skoro ostatecznie przywróciło mi szacunek młodego smoka, a pośrednio przyniosło korzyść Jagodzie.

Świadomość tego krzepiła i nawet jakby łagodziła ból w karku. Ale tylko trochę.

Od tamtego czasu nie widziałem Pożeracza Chmur ani razu. Co prawda, Jagoda była znacznie przyjemniejszym towarzystwem niż przedtem, a Słony chętnie poświęcał mi czas. „Rozmawialiśmy” o różnych sprawach i coraz bardziej zżywaliśmy się ze sobą. Poza tym dodatkowych zajęć dostarczył mi Żywe Srebro wraz z młodszym bratem. Dzieciaki paplały swobodnie w trzech językach (tak twierdził ich ojciec): po lengorchiańsku, w smoczym dialekcie i prymitywnej gwarze wydrzaków. Teraz zaczęły domagać się, bym pokazywał im gesty mowy rąk. Bawiłem się równie dobrze jak oni, obserwując, jak z powagą należną czarodziejskim rytuałom powtarzali proste znaki. Takie jak „Ojciec”, „Matka”, „Iść”, „Jeść”, „Pływać”.

A mimo to, nieobecność Pożeracza Chmur stworzyła pustkę koło mnie. Coś w rodzaju dziury po wyrwanym zębie, którą maca się językiem w poczuciu straty integralnej części ciała. Trudno to wyjaśnić. Były chwile, że uświadamiałem sobie ten brak tak silnie, że odczuwałem wewnętrzny ból - cierpienie ducha.

Czasami zastanawiałem się, co porabia Pożeracz Chmur. Czy nadal przebywa z rodziną, bawi się z Liska, poluje z Pazurem, a może krąży po wyspie, poszukując smoczej panny do wzięcia? Nie docierały do mnie żadne wieści o nim.

Dni mijały. Poschodziły mi już nawet strupy, zostawiając tylko jasne kreski nie opalonej skóry, które i tak niebawem miały zniknąć. Po staremu włóczyłem się tu i tam. Czasem w towarzystwie Jagody, a częściej samotnie. I właśnie podczas takiej wędrowki bez celu, trafiłem do ruin starego miasta na Jaszczurze. Wiedziałem o nim już przedtem i nawet z grubsza znałem położenie, ale dopiero teraz nogi przyniosły mnie w ten odległy rejon.

To miejsce bardzo przypominało terytorium Szaleńca. Podobne, kruszejące powoli ściany z dopasowanych do siebie niewielkich bloków kamiennych. Resztki tarasów, popękane misy, w których kiedyś zapewne hodowano kwiaty lub używano jako wodotrysków. Częściowo pozapadane portale, uszkodzone rzeźby przedstawiające skośnookich wojowników i kobiety o obnażonych piersiach, półludzkie bestie różnych rodzajów (także lamie), zatarte przez pogodę motywy kwiatowe wijące się wokół kolumn i nad zwieńczeniami ślepych okien. Zauważyłem, że dość często pojawiały się statuetki węży. Obłe cielska oplatały podstawy podpór, zdobiły wydeptane progi. Rozwarte paszcze stanowiły wyloty rynien lub zakończenia wytartych balustrad.

Miasto z wolna pochłaniała dżungla. Płyty niskich tarasów oraz chodników

rozepchnęły korzenie drzew. W spoinach i pęknięciach murów wyrosła trawa i chwasty. Ktoś jednak dbał trochę o to miejsce. Znać było ślady wycinania wszędobylskich lian. Tajemnicza ręka nie pozwoliła zakorzenić się młodym drzewkom. Usunęła też zwalone konary, których pełno było tuż za granicami zabudowy.

Zanurzyłem się w tym królestwie zapomnianej świetności. Z murów emanowała melancholia. Wśród gruzów znalazły schronienie jaszczurki, zwinnie umykające spod stóp, długonogie pająki i skorpiony. Te ostatnie, wbrew utartym opiniom, na szczęście nie szukały zwady i wycofywały się szybko, gdy padł na nie choćby mój cień.

Wszystko to było niezwykle interesujące i obiecywałem sobie, że wrócę tu z przyborami do rysowania, by zrobić podobizny co ciekawszych rzeźb. Na nowo ukłuło mnie wspomnienie Pożeracza Chmur. Bardzo lubił rysować i robił to dużo lepiej ode mnie. A wtedy, jakby jakiś bóg postanowił zakpić sobie ze mnie, zobaczyłem bose nogi wyłaniające się z jakiegoś fragmentu wiekowej architektury. Zrobiłem parę kroków. Nogi należały do znajomej postaci. Pożeracz Chmur leżał na spłachetku piasku nawianego na zrujnowany taras. W swobodnej pozycji na boku, z ramieniem pod głową, jakby spał. Na jego udzie przycupnęła zielona jaszczurka, chłonąc równocześnie ciepło słońca i cudzej skóry. Leżał zupełnie nieruchomo, ale oczy miał otwarte. Palce wolniutko, leniwie przesypywały piasek. Przypominał jeszcze jedną statwę - ze starego, pociemniałego brązu, na którym ktoś położył figurynkę zwierzątka z trawiastego nefrytu. Czyżby właśnie tutaj postanowił osiąść?

Nie kryłem się. Zobaczył mnie, podciągnął wargę do góry, pokazując zęby. Zachowałem spokój i usiadłem, krzyżując nogi. Spłoszona jaszczurka umknęła między kamienie. Pożeracz Chmur przestał grozić zębami, spuścił wzrok. Nabrał garść piachu i sypał go powoli, wąską stróżką. Obaj czuliśmy się niezręcznie.

Nie spodziewałem się tego spotkania, ani tego, że Pożeracz Chmur po tak długim czasie nadal pozostaje w ludzkiej skórze. Oczekiwanie nie wiadomo na co przedłużało się.

Miałem powody by przypuszczać, że Pożeracz Chmur nie życzy sobie mojej obecności tutaj. A jednak, gdybym wtedy odszedł, straciłbym ostatnią możliwość pojednania. Rozstalibyśmy się pewnie na zawsze, podzieleni nieporozumieniem, tracąc cały ten czas, gdy byliśmy razem. I to wszystko z powodu dziewczyny, na której mi nawet nie zależało. Nie warto było z takiej przyczyny marnować przyjaźni. Miałem nadzieję, że Pożeracz Chmur zdążył ochłonąć i też tak myśli.

Wreszcie poczułem, jak ciepła łapa mentalnego kontaktu dotyka mego umysłu. Nieśmiało było to połączenie i pełne rezerwy.

„Co u ciebie?” - spytał Pożeracz Chmur. „Wszystko w porządku.” „Co robi Słony?”

„To, co zwykle. Ostatnio wrócił do spisywania słownika lengorchiańsko-smoczego. Jak tam Liska?” „Rośnie. A dzieciaki Słonego?” „W porządku.”

Cała ta „rozmowa” przypominała pianę na piwie. Dużo niczego. Gdzieś pod wszystkimi warstwami smoczych myśli czaiło się pytanie o Jagodę i obaj doskonale o tym wiedzieliśmy. Rozejrzałem się dokoła. „To twój obszar?”

„Skaczącej Gwiazdy. Ale mogę tu być, póki mało jem.” Drażniła mnie ta bierna poza Pożeracza Chmur. Nie raczył nawet unieść się na łokciu. Nabrałem ochoty, by trochę go sprowokować.

„Co tu robisz, oprócz tego, że wylegujesz się na słońcu, objadasz i tyjesz, jak wół naznaczony do zarżnięcia?”

„Nic.”

Rzucił mi nachmurzone spojrzenie. Udałem, że tego nie zauważam. Ciągnąłem dalej.

„Jasne. Świetny sposób spędzania czasu. Nie trzeba się myć, czyścić zębów, czytać książek, układać wierszy ani łązić po drzewach. Nie warto też odwiedzać znajomych, skoro wszyscy są głupszy od ciebie.”

Tak jak przypuszczałem, to go ruszyło. Podniósł się, minę miał zagniewaną.

„Nie warto też wkładać na siebie czegokolwiek, bo i po co?” - dodałem złośliwie, mając na myśli strój Pożeracza Chmur, a właściwie całkowity jego brak.

Przewróciłem się na wznak, luźno rozrzucając ręce i przymykając oczy.

„Zasadniczo, to nie warto też oddychać.”

Pożeracz Chmur nachylił się nade mną. Był zły, ale nie pokazywał zębów. Marszczył brwi i wysuwał szczękę.

„A ty, jak zwykle, jesteś uroczy” - przekazał.

„Jak zwykle” - zgodziłem się. - „Za to ty nie jak zwykle. Co się z tobą dzieje? Od tygodni zachowujesz się, jakbyś na głowę upadł. Jeśli to ma ci poprawić nastrój, to proszę bardzo, możesz mnie sprać.”

Podniosłem brodę, odsłaniając szyję, na której jeszcze widniały ślady paznokci Pożeracza Chmur.

„Co wybierasz? Kły, pazury, pięści...?”

Zmieszał się, biedak, okropnie.

„Daj spokój. Minęło. Teraz ty ją masz. Pogodziłem się z tym.”

Wstałem, potrząsając głową.

„Nie rozumiesz. Nie mam Jagody. Nikt jej nie ma i nie powinien mieć. To przecież nie jest smoczyca. Sama wybierze, z kim chce być. A w ogóle na razie sama nie wie, czego

chce. Zastanów się, ile ona ma lat. To przecież jeszcze prawie dziecko. Bawiła się z tobą, a teraz się boi.”

Pożeracz Chmur patrzył posepnie w ziemię.

„To co mam robić?” - zapytał nieco bezradnie. - „Nadal ją...” - jego uwaga odpłynęła, gdy usiłował zorientować się we własnych, pomieszanych uczuciach. „Nadal ją lubię” - dokończył.

„Wykąp się” - poradziłem. Wzdrygnął się, jak ukąszony. - „Albo chociaż wyszczotkuj. Pożyczę ci jakieś portki. Idź i przeproś Słonego. Spróbuj pogadać z Jagodą, pewnie ci przebaczy. Lepsza będzie z niej przyjaciółka niż żona, zapewniam cię.”

Pożeracz Chmur ożywił się.

„Masz rację. Wszystko się jakoś ułoży. Ale nie myśl, że ja tu tylko łapałem jaszczurki. Szperałem tu i ówdzie. Chodź, pokażę ci coś ciekawego.”

Pociągnął mnie za sobą. Oczy błyszczały mu podnieceniem. Znowu miałem przed sobą starego Pożeracza Chmur - energicznego, sprytnego, z psotnym błyskiem w oku, a nie niedawnego zamglonego kochanka.

Zaprowadził mnie na sam skraj opuszczonego miasta, gdzie ostatnie budynki stały przytulone do stromego stoku. Całkiem niedawno obsunęła się tu niewielka lawina, tworząc rumowisko kamieni, ziemi i połamanych gałęzi. Przedarliśmy się przez to wszystko, a Pożeracz Chmur pokazał mi otwór ziejący w załomie skalnym. Częściowo zasłaniały go spiętrzone kamienie.

„Odsłoniło się to po ostatnim wstrząsie. Przedtem była tu taka zwyczajna stromizna. Nigdy mi do głowy nie przyszło, że pod tym może być jaskinia. Masz ochotę wejść?”

Zajrzałem w szczelinę. Była wystarczająco szeroka, by przecisnąć się przez nią człowiek. Z wnętrza grotty czuć było stęchlizną. W głębi mrok zamieniał się w atramentową czerń. Cofnąłem się. Pożeracz Chmur zmrużył kpiąco oczy.

„Biedny Kamyk, boi się ciemności” - zadrwił. To był chwyt poniżej pasa.

„Nie boję się, tylko jestem rozsądny” - zaprzeczyłem, wiedząc, że i tak go nie oszukam. - „Dlaczego miałbym brodzić w nietoperzym łąjnie i rozbijać sobie głowę po ciemku? Wrócę tu z latarnią, a przy okazji zostawię Słonemu wiadomość, gdzie jestem.”

„Daj spokój Słonemu, pewno jest zajęty robieniem następnego dziecka” - drażnił Pożeracz Chmur. - „Nietoperzy tam nigdy nie było, sprawdzałem. Wielki mag, pogromca smoków, a tchórzy, bo nie ma światła. Biedactwo, wracaj do domu.”

Rozumiałem, że chce się choć trochę na mnie odegrać za tamtą porażkę. Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru dać się sprowokować. Dlaczego miałbym się z nim szarpać o

jakąś błahostkę? Już miałem odejść, gdy Pożeracz Chmur zaczął z innej strony.

„Nie musisz iść aż nad zatokę. To kawał drogi, a lampa znajdzie się i tutaj.”

Zaśmiał się, widząc moje zaskoczenie. „Nie wiedziałeś, że Słony ma tu drugi dom, na porę deszczową?”

Nie wiedziałem, ostatecznie nie każdy musi wszystko wiedzieć. Okazało się, że Słony doprowadził do porządku jeden z domów na peryferiach i nawet planował jego rozbudowę. Z pomocą zaprzyjaźnionych smoków, które pomagały dźwigać największe ciężary, ułożył na nowo belki stropowe i pokrył budynek dachem. Połatał dziury w ścianach, wstawił drzwi i okiennice. Wykonał naprawę potężną pracę. Nic dziwnego, że wyrobił sobie takie mięśnie.

Dostać się do środka było niezwykle łatwo. Wystarczyło przesunąć drewniany rygiel. Było pewne, że nie ma on chronić przed złodziejami, a tylko stanowić przeszkodę dla wścibskich zwierząt. Wnętrze tak bardzo różniło się od skromnej siedziby Mówcy nad brzegiem oceanu, że trudno było uwierzyć własnym oczom. W kilku pomieszczeniach rozstawiono ozdobnie rzeźbione sprzęty. Były tu stoły, a jakże, i miękko wyściełane krzesła. Łóżka ze słupkami do rozwieszania zasłon. Inkrustowane metalem skrzynie na odzież i regały zastawione dziesiątkami cennych przedmiotów. Zajrzałem ostrożnie do pomieszczenia, służącego za kuchnię. Dość będzie, jeśli napiszę, że Księżycowy Kwiat miała tam stół z marmurowym blatem. W kącie dojrzałem porzuconą niedbale lalkę o główce z malowanej porcelany, ubraną w sztywną sukienkę, gęsto wyszywaną złotą nitką. Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Ukochaną zabawką małej Słonecznej był kot uszyty domowym sposobem z owczej skóry. Miał oczy z guzików, wąsy z końskiego włosia i był wytarty od ciągłych czułości.

Słony wpakował w wyposażenie tego domu sporą część zasobów, jakie pozostały mu z przeszłości. Być może nawet wszystkie. Rodzina maga zupełnie nie pasowała do tego wnętrza. Poznałem ich wszystkich wystarczająco, by wiedzieć, że nie cenią sobie powierzchownego bogactwa. Nie wyobrażałem sobie Słonego w tunice ze złotą lamówką, w jedwabnych pończochach, ani Księżycowego Kwiatu ubranej w atlasową suknię, obwieszoną klejnotami, jak wydaje polecenia służbie. Ale Jagoda... tak, ją mogłem sobie wyobrazić w roli księżniczki.

Lampa wraz z zapasem oleju znalazła się w spiżarni, świecącej na razie pustkami, prócz koszy z ziarnem i paru beczek, których zawartości nie sprawdziłem. Nie miałem już wykrętu, by odłożyć wyprawę do wnętrza ziemi. Gdybym zrezygnował, Pożeracz Chmur wyśmiewałby mnie do końca mego życia. Zresztą nie będę krył, że zaczęło pociągać mnie to przedsięwzięcie. Czym ostatecznie mogła grozić taka przechadzka, przy dobrym oświetleniu?

Przy tym w każdej chwili mogliśmy zawrócić. A może odkryjemy coś niezwykłego?

Ledwo zrobiłem parę kroków w jaskini Pożeracza Chmur, stwierdziłem, że coś jest nie tak. Geologia nie była moją mocną stroną, ale w głowie snuły mi się jakieś strzępy wiadomości. Po pierwsze - tej groty w ogóle nie powinno tu być, nie pasowała mi do skał magmowych. Po drugie - od kiedy to jaskinie mają równiutkie dno i gładkie ściany, bez żadnych pęknięć, załamów, nacieków i temu podobnych ozdób? Można by się spodziewać, że skalny korytarz rozszerzy się niebawem w podziemną salę, gdzie ujrzemy cuda podziemnego świata. Skalne nawisy, pasma błyszczących minerałów a może nawet rudy srebra. Nie byłem aż tak naiwny i słusznie. Tunel ciągnął się, jednostajny jak ślad po przejściu w ziemi gigantycznego robaka.

„Jak daleko zaszedłeś?” - spytałem Pożeracza Chmur, który wciąż podtrzymywał kontakt. „Dziesięć, jedenaście swoich długości.” „Czemu tak mało?”

„Bo dalej przestałem cokolwiek widzieć” - odparł bez cienia wstydu.

Oświetlałem ściany korytarza, a wrażenie jego nie-naturalności potęgowało się. Szliśmy wraz z Pożeraczem Chmur coraz dalej. Plama jasnego światła dziennego za naszymi plecami stawała się coraz mniejsza. Podzieliłem się z towarzyszem swoimi podejrzeniami.

„Dzieło ludzi?” - zdziwił się. - „Nie przesadzasz?” „Lepiej. To może być robota dawnych magów. Podobne rzeczy widziałem w Kręgu. Zauważ, że tu nie ma śladów narzędzi.”

„Właśnie!” - upierał się. - „Myślisz, że wszystko, co niezwykle, od razu musi być stworzone przez was. Mania wielkości. Dlaczego nie miałyby tego zrobić natura?”

„Bo lava raczej nie rzeźbi korytarzy a wody tu nie ma i nie było. Jest całkiem sucho. Poza tym przekrój tunelu jest bardzo regularny. Jakby przetoczyła się tędy kula.”

Pożeracz Chmur dąsał się jeszcze, ale uznał moje argumenty. Zastanawiało mnie, jak to zostało zrobione i gdzie się kończy ten dziwaczny podziemny trakt. A także: czemu służył? Monotonia otoczenia zaczęła nas denerwować. Spodziewaliśmy się czegoś ciekawszego. Pożeracz Chmur, który na ogół i tak był mniej cierpliwy ode mnie, nudził się i żałował, że zaproponował tę wyprawę. W końcu stanął, opierając się o ścianę plecami. „Mam dość. Wracajmy.”

Obejrzałem się za siebie. Zaszliśmy dość daleko. Wejścia nie było już widać. Przykucnąłem, stawiając latarnię na ziemi. Przesunąłem ręką po kamieniu. Był lekko chropowaty. Potarłem palce o siebie, czując, że pozostało na nich trochę ziaren piasku.

Wychwyciłem jeszcze jeden nie pasujący element. Było za czysto. Powinienem znaleźć tu kurz i proch, który osypał się ze stropu. Tymczasem niemalże można tu było jeść.

Nadal wspierałem się dłonią o ziemię, gdy palce i podeszwy stóp przeszły mi leciutkie drzenie. Pożeracz Chmur też tego doświadczył. „Kamyk?...”

Ledwo wyczuwalne drgania przemieniły się w wyraźne wibracje. Wymieniliśmy z Pożeraczem Chmur zaniepokojone spojrzenia. Porwałem lampę i nie czekając na nic, pobiegliśmy ku wyjściu. Skała trzęsła się pod naszymi stopami. Chwila przerwy i nadszedł kolejny paroksyzm, silniejszy niż poprzedni. „Przy trzecim padają drzewa” - przypomniałem sobie znaki kreślone przez Jagodę. Przyspieszyłem. Kołysząca się latarnia rzucała fantastyczne cienie na ściany tunelu. Spodziewałem się ujrzeć zbawczą łatę światła dnia i powiew świeżego powietrza. Zamiast tego uderzył nas w twarz duszący obłok pyłu. Potknąłem się na rumowisku, zaścielającym podłogę i padłem na kolana. Odruchowo poderwałem lampę do góry, chroniąc ją przed rozbiciem. Wstrząsy ustały. Z zapartym tchem oczekiwałem następnego ataku rozgniewanej ziemi, który zwali nam strop na głowy, lecz na szczęście nie nadszedł. Za to żółte światło lampy wydobyło z mroku straszny obraz. Tam, gdzie niedawno istniało wejście do tunelu, piętrzył się stos kamieni wymieszanych z ziemią. Następny fragment zbocza osunął się, grzebiąc nas żywcem. Trwałem w niewygodnej pozycji, gapiąc się tępo przed siebie, póki Pożeracz Chmur nie wyjął mi z odrętwiałych palców uchwytu latarni. Potrząsnął moim ramieniem. „Kamyk?... Nic ci nie jest?” Wstałem, odruchowo otrzepując spodnie. „Nic. Wszystko w porządku. Świetnie.” Wszystko było w porządku, prócz tego, że zostaliśmy zasypani w podziemnym tunelu, pod nie wiadomo jak grubą warstwą gładów. Absolutnie nikt nie wiedział, gdzie jesteśmy. Nie mieliśmy wody ani nic do jedzenia, a od gęstej czerni oddzielał nas tylko krąg światła latarni, która zgaśnie, gdy skończy się zapas oleju w zbiorniku. Podniosłem kamień i rzuciłem nim w zaporę w bezsilnej złości.

„Uważasz, że to moja wina” - przekazał posepnie Pożeracz Chmur.

„Nie. Może trochę. Nie zwracaj uwagi, jestem nieco zdenerwowany.”

Tak naprawdę byłem bardzo zdenerwowany. Próbowaliśmy z Pożeraczem Chmur odwalać kamienie. Prędko doszliśmy do wniosku, że ta praca mogłaby zająć nawet tydzień, a tyle czasu przecież nie mieliśmy. Zaprzestaliśmy tych jałowych wysiłków, gdy spod rumowiska ukazała się potężna kłoda, która skutecznie zaklinowała wylot. Nawet Pożeracz Chmur nie dał rady jej ruszyć.

Zadziwiająco było, że trzęsienie ziemi nie naruszyło samego korytarza. Unosiłem światło jak najwyżej, oglądając sklepienie. Nie było na nim widać żadnych pęknięć, nawet

zarysowań. Solidna robota. Przykręciłem lampę, by starczyła na dłużej. Odpoczywaliśmy. Powtarzałem sobie: „Tylko spokojnie... Tylko nie wpadać w panikę...”, a chwiałem się właśnie na cienkiej krawędzi, za którą czyhało bagno obłądu. Pożeracz Chmur, oparty o ścianę, wodził po niej palcami w roztargnieniu. Ocknął się nagle.

„To jest gęste” - przekazał ze zdumieniem.

Nie rozumiałem. Ściana? Dlaczego „gęste”? Pożeracz Chmur przywarł do skały całym ciałem, jakby chciał się z nią stopić w jedno. Trwał tak przez moment, po czym odstąpił o krok, oglądając ścianę, jakby była czymś godnym podziwu.

„Miałeś rację. Jeśli nie maczał w tym palców ktoś z twego bractwa, to ja jestem tchórzofretką. Ten kamień jest tak ściśnięty, że jego cząstki aż jęczą. Coś niesamowitego.”

Zagęszczona struktura skały. Znałem tylko jeden rodzaj ludzi zdolny do czegoś takiego - Stworzycieli. Któryś z nich (a może było ich wielu) przeszedł tędy tysiąc lat temu, rozpychając swym talentem kamień na boki, jakby to była woda. Pożeracz Chmur miał podobne zdolności, lecz nie chciał podjąć próby utorowania drogi przez zawał tym sposobem.

„To za trudne. Zbyt duża masa do przetworzenia, a ja nie jadłem od wczorajszego ranka. Umarłbym z wysiłku. Wypaliłbym się w parę chwil.”

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem. Pożeracz Chmur zużywał sporo energii na każdą przemianę. Dlatego też jego transformacje były nieczęste. Nawet objedzony po same uszy, już po chwili znów był głodny, zużywając zasoby pręcej, niż ogień spala garść słomy. Absolutnie nie powinien rozpoczynać z pustym żołądkiem. Ale czasem sytuacja wymaga ofiar.

Orientowałem się, że początkowy odcinek tunelu biegnie wzdłuż powierzchni stoku. Prawdopodobnie od wolności dzieliła nas tylko skalna ściana nie grubsza niż długość ciała, a może nawet cieńsza. Lecz Pożeracz Chmur oburzył się na moją głupotę jeszcze bardziej, niż przedtem.

„Oszalałeś!? Życie ci się znudziło!? Tego nie rusza nawet trzęsienie ziemi. Czy wiesz, co może się stać, jeśli jeszcze bardziej sprasuję ten nieszczęsny kamień?!”

Nie wiedziałem, ale Pożeracz Chmur też zapewne nie wiedział. Mogło nie stać się zupełnie nic, a mogła wydarzyć się katastrofa, która zmiotłaby pół tej wyspy. Nie byłem pewien, czy Pożeracz Chmur ma rację tak do końca, ale skoro nie chciał próbować, nie mogłem go zmusić. Ostatecznie znałem się głównie na tworzeniu iluzji. Poprosiłem za to, by „sięgnął” na zewnątrz i spróbował zawiadomić kogokolwiek, w jakie popadliśmy tarapaty. Przez dłuższy czas wylapywał emanacje ptaków, małp i jakichś innych, nieokreślonych stworzeń. Zagryzał wargi, desperacko brodząc w setkach niewyraźnych, zwierzęcych

instynktów, poszukując jasnych umysłów smoczych. Wreszcie zrezygnował.

„Nikogo w pobliżu. Skacząca Gwiazda wypuścił się gdzieś dalej. Inni drzemią albo polują i nie pozwalają sobie przeszkadzać, od razu zasłaniają się.”

Byliśmy rozczarowani. Pozostawało liczyć wyłącznie na siebie. Mogliśmy zrobić już tylko jedno. Wstałem i podniosłem latarnię.

„Idziemy szukać wyjścia.”

Korytarz Stworzycieli ciągnął się w nieskończoność. Straciłem zupełnie poczucie czasu. Zdawało mi się, że idziemy już parę dni. Tak dawały do zrozumienia obolałe stopy. Jednak lampa wciąż się paliła wątlym płomyczkiem, podtrzymującym na duchu. Musiały więc minąć godziny a nie dni. Pożeracz Chmur włókł się koło mnie, noga za nogą, ponuro wlepiając oczy w ziemię. „Pogadywaliśmy” to o tym, to o tamtym, aby tylko czymś zająć myśli.

W pewnej chwili krążek blasku wyłowił z mroku rozwidlenie tunelu. Stanęliśmy, niezdecydowani dokąd iść.

„Którędy teraz?” - spytałem, nie spodziewając się konkretnej rady. Pożeracz Chmur bezradnie pokręcił głową. Oba korytarze rozchodziły się pod łagodnym kątem. Wyglądały tak samo. Nie istniała żadna wskazówka, która pomogłaby dokonać wyboru. Instynkt podsuwał, by iść w prawo, lecz kto zaręczy, że ta właśnie droga jest właściwa? Może to lewy tunel poprowadziłby nas na powierzchnię, a prawy skończyłby się ślepo lub następnym rozwidleniem, a potem następnym... aż zagubilibyśmy się w podziemnym labiryncie. A nasze kości byłyby jedynym urozmaiceniem tych jednostajnych wnętrzości wulkanicznej góry. Wszedłem do lewej odnogi, postawiłem lampę i ostrożnie zdjąłem z niej szkło. W ciężkim, dusznym powietrzu podziemia płomyk ledwo się poruszał. Obserwowałem go przez parę chwil, starając się nie dmuchać w jego stronę. Następnie przenieśliśmy latarnię do prawego odgałęzienia. Miałem nadzieję, że ruch płomyka wskaże choćby nieznacznym przepływem świeżego powietrza, a tym samym wyznaczy właściwą drogę. I rzeczywiście, w prawym korytarzu płomień przechylił się lekko w moją stronę. Mój towarzysz obserwował podejrzliwie te manipulacje, ale nie protestował, gdy stanowczo skierowałem go we właściwym kierunku.

„Nie wpadłbym na to” - przyznał. „Cieszę się, że tu jesteś.”

„A ja nie” - odparłem sucho.

Poszliśmy dalej, nie mając żadnego innego wyboru, jak dążyć do przodu i mieć

nadzieję. Niepokojem nappełniała mnie myśl, że latarnia robi się coraz lżejsza. Zbiornik wyczerpywał się. Co zrobimy bez światła w absolutnych ciemnościach, których nie przenikał nawet koci wzrok Pożeracza Chmur? Płomyczek pełgał coraz niżej i niżej, a później z wolna zapadł się w sobie i zgasł. Jeszcze przez moment widzieliśmy czerwoną iskierkę na końcu knota. Potem i ona zginęła.

Poczułem się tak, jakbym stracił wzrok. Ciemność otoczyła mnie zewsząd. Zdawała się gęsta i lepka jak smoła. Czaiła się podstępnie, niczym coś żywego. Wślizgiwała pod ubranie, powodując zimne dreszcze, wtłaczała do gardła, tamując oddech. Zacząłem się dusić, zadławiony ciemnością. Otchłań otworzyła się pod moimi stopami i spadałem w nią bez końca. Bez końca.

Winien jestem podziękowanie Pożeraczowi Chmur, który wyciągnął mnie z tego stanu. Zanurkował za mną w przepaść szaleństwa, złapał w sieć pełnego kontaktu. Doprowadziło mnie do przytomności soczyste policzkowanie. Usłyszałem głos Pożeracza Chmur, wypowiadający słowa, z których większość nie nadawała się do powtórzenia. A prócz tego mój własny, pełen protestu krzyk:

- Aaaaauł.

- (niezrozumiałe) gównu! Powinieneś bardziej (niezrozumiałe) nad sobą (niezrozumiałe) - powiedział Pożeracz Chmur, a ja pomyślałem, że mocno zaniedbałem naukę języka, przedkładając nad to studiowanie niewiele znaczących dźwięków. I jeszcze, że powinienem bardziej się do tego przyłożyć, póki mogę.

To była niezbyt sensowna myśl, biorąc pod uwagę naszą sytuację, lecz świadczyła przynajmniej, że wracam do siebie.

- Oddychaj normalnie! - rozkazał Pożeracz Chmur surowym tonem.

Tyle rozumiałem. Kiwnąłem głową, nie zastanawiając się nad tym, że mnie przecież nie widzi. Byłem mu wdzięczny, że mówi do mnie. Wyrównywałem oddech, zmuszając się, by nie myśleć o tych dziesiątkach ton skał nad naszymi głowami.

„Jedna mała owieczka na łące... dwie małe owieczki na łące... trzy małe owieczki...”

Dziesiątej owieczce Pożeracz Chmur sprzeciwił się bardzo stanowczo.

„Zmień tę wyliczankę. Robię się przez nią głodny. I przestań miażdżyć mi ramię, to boli. Może nareszcie wiesz, co ja przeżywałem, gdy kazałeś mi pływać.”

Myślał do mnie i mówił jednocześnie, rozumiejąc, że to pomaga. Rozgiąłem zdrętwiałe palce. Trzymałem się dotąd Pożeracza Chmur, jak tonący w trzęsawisku czepia się litościwej gałęzi.

- Możesz iść? - zapytał. Spróbowałem odpowiedzieć dźwiękiem.

- Mogę.

„Powiedziałeś to ustami czy talentem?” - zainteresował się smok.

„Talentem. Usta służą mi do jedzenia.”

- Dlaczego tak? „Przyzwyczajenie.”

Wstałem ostrożnie i ruszyliśmy w nieznaną. Znacznie wolniej niż dotąd. Wyczuwając podłogę stopami i wyciągając ramiona przed siebie niczym ślepcy. Trzymaliśmy się za ręce jak dzieci zagubione wśród wieczystej nocy.

Pożeracz Chmur spytał: „Wiesz, co to znaczy?” i powiedział coś kompletnie niezrozumiałego.

- Nie - przyznałem.

Zachichotał i wyjaśnił. Krew uderzyła mi do głowy. Nie mam odwagi tego napisać. W każdym razie znaczenie słów przyprawiłoby o rumieńce najstarszą ladacznicę w stolicy cesarstwa. Skąd ten smoczy smarkacz znał takie określenia?

Przemierzaliśmy podziemia, krok za krokiem. Mój przyjaciel uczył mnie słów i całych zwrotów, gęsto okraszając je nieprzyzwoitymi wyrażeniami. A robił to całkowicie świadomie, wiedząc, że póki oburzam się, wstydzę za niego i kłócę, tak długo będzie mnie to bronić przed następnym atakiem bezdennej lęku przed ciemnością.

Kolejne rozgałęzienie korytarza było nieco inne. Jedna z odnóg biegła ku górze, druga nachylała się wyraźnie w dół. Tyle zdołaliśmy wymacać. Stanęliśmy w obliczu następnego wyboru.

„Powietrze jest mokre” - zawiadomił mnie Pożeracz Chmur, czuły na wilgoć jak żaba. Rzeczywiście, ja też odczuwałem zmianę.

- Dokąd bardziej? - spytałem.

- Gdzie bardziej - poprawił. Puścił moją rękę, ale nie zerwał kontaktu i słyszałem go, jak nuci niedbale jakąś melodyjkę. Błogosławione przez bogów zdolności, które nie pozwalały nam zgubić się nawzajem. Pożeracz Chmur wrócił po chwili.

- Bardziej na dole.

To mogło oznaczać, że ten korytarz kończy się jakimś zbiornikiem wodnym. Na przykład podziemnym jeziorem. Albo schodząc coraz niżej, ma kres na poziomie morza (co było bardziej prawdopodobne), tam gdzie fale zlobią podwodne groty. To mogła być nasza droga na powierzchnię. Istniał tylko jeden problem.

„Czy potrafiłbyś zanurkować?” - spytałem Pożeracza Chmur, niepewnie.

„Dobry żart” - przekazał tylko.

Zgodnie skierowaliśmy się pod górę. Tunel biegł stromo. Zastanowiłem się, czy

zdołamy wrócić, gdyby obrona droga okazała się fałszywa. Byłem już bardzo zmęczony. Pożeracz Chmur trzymał się twardo, jak to smok, ale nie miałem złudzeń, że jego siły są niewyczerpane. Tymczasem jednak szedł nagi i bosy, nie skarżąc się na obite pięty, a jego dłoń była cieplejsza od mojej. Straciłem poczucie czasu w tych ciemnych lochach. Równie dobrze na zewnątrz mogła być już noc, jak i następny dzień. Z wolna zacząłem obojętnieć. Nawet mój brzuch zaprzestał głodowych awantur, wyczerpawszy cały zapas sztuk, jakimi zwracał na siebie uwagę. Na nagabywania Pożeracza Chmur odpowiadałem: „Tak” lub „Nie”. Szedłem z zamkniętymi oczami. W końcu nie robiło to żadnej różnicy. Popadłem w dziwny stan, graniczący ze snem.

O tym większy wstrząs przyprawiło mnie nagle, silne uderzenie w czoło!

„Korytarz się skończył” - stwierdził Pożeracz Chmur niepotrzebnie.

Przeszkoda, na którą wpadłem, nie była zimnym kamieniem! Dotykłem rozpoznawałem znajome powierzchnie wypaczonych starych desek. Szorstkie, rozsypujące się elementy były zapewne resztkami okuć. Na wieczny

Krąg! To były po prostu drzwi. Zamknięte drzwi, co prawda, ale to nie było żadną przeszkodą. Wystarczyły dwa uderzenia ramieniem, by wypadły z zawiasów. Obietnica wyjścia z tych obrzydłych kazamatów dodała nam sił. Niestety, wewnątrz, do którego się dostaliśmy, było tak samo ciemne. Weszliśmy, stąpając ostrożnie, jakby kamienna podłoga usłana była tłuczonym szkłem. Trzymałem ręce na ramionach Pożeracza Chmur. Klasnął w dłonie. Echo, które do nas wróciło, było inne niż w tunelu.

„To duża sala” - ocenił smok. - „Z wysokim sklepieniem.”

„Uważajmy. Tu może być wszystko. Jakies dziury, pułapki, zapadnie... albo wyrzutnie strzał...”

„Twoi przodkowie musieli być dość osobliwi.”

Nie spenetrowaliśmy całego pomieszczenia. Natrafiliśmy na dziwaczny wytwór z wypolerowanej płyty kamiennej położonej na dwóch skalnych blokach. Nasze ręce, błądzące chaotycznie po jej powierzchni, natrafiały na jakies nieokreślone drobne przedmioty. Pożeracz Chmur stracił naczynie, które rozbiło się z klekotem glinianych skorup. Rowki po bokach płyty, w które wpadały palce, kojarzyły mi się z czymś niejasno, lecz nie potrafiłem określić, z czym. Do momentu, gdy znalazłem rzecz, która mogła być tylko jednym: dużym, lekko zagiętym nożem, który nie stępił się mimo upływu czasu. W mgnieniu oka wyobraźnia podsunęła mi obraz świątyni, ukrytej we wnętrzu góry, gdzie na kamiennym ołtarzu kapłan składał ludzkie daniny swym bóstwom. Byłem pewien, że rozlewano tutaj krew, wrywano języki i bijące jeszcze serca z piersi wijących się w strasznym bólu ofiar. Obcinano palce

małym dziewczynkom i rytualnie podrzynano gardła dziewicom. Rzuciłem nóż, jakby był rozpalony do czerwoności.

„Osobliwi... to za słabe określenie” - skomentował Pożeracz Chmur ze wstrętem.

To mnie dobiło. Wszystko przez Płowego. Zabraniał mi czytania zmyślonych bajek o potworach, a do głowy mu nie przyszło, że niektóre traktaty historyczne są znacznie gorsze. Osunąłem się tam, gdzie stałem i zwinąłem się w kłębek na zimnym kamieniu. Zmaltretowane nogi wyły o odpoczynek.

- Dość!... - jęknąłem. - Chcę spać.

Wyczułem, że Pożeracz Chmur kładzie się tuż obok. Dotykał mych pleców. Był gorący.

„Nie szalej. Wypalisz się do reszty, a potem zaczniesz wariować z głodu” - skarciłem go w myślach.

„Mam jeszcze zapasy” - odparł, lecz powrócił do poprzedniej, rozsądniejszej temperatury. Wycofał się z kontaktu.

Zasnąłem w mgnieniu oka. Nie dlatego, że było mi wygodnie, tylko po prostu z wyczerpania. Nie przeszkadzało mi już ani zimno i twardość posłania, ani makabryczne sąsiedztwo.

Zbudziłem się z poczuciem odmiany. Na pół przytomny, sortowałem doznania. Twarda posadzka, zeszywniałe mięśnie, ciężar ramienia Pożeracza Chmur na piersiach i jego oddech, który czułem na uchu. To nie to. Otworzyłem oczy. Smolista czerń zszarzała, stając się półmrokiem. Źródłem światła była wąziutka, pionowa szczelina, śląca cienki wachlarzyk słonecznych promieni do wnętrza wielkiej sali. Poderwałem się i potrząsnąłem Pożeraczem Chmur jak workiem. Nasze nadzieje spełniły się. Dotarliśmy do tego miejsca w nocy, nic więc dziwnego, że nie zauważyliśmy żadnej różnicy. Podążyliśmy do światła, przyciągani do niego jak ćmy. Pożeracz Chmur zapuścił palce w szczelinę i silnie szarpnął. Szpara rozszerzyła się, na nogi poleciały nam kawałki gruzu i drewna. W oczy uderzył blask słoneczny, oślepiając nas na dobre parę minut. Z rozkoszą wciągnąłem w nozdrza świeży zapach zieleni. Mrużyłem oczy, oswajając się z jaskrawym światłem. Pożeracz Chmur z pasją rujnował przeszkodę, dzielącą nas od reszty świata. Z moją niewielką pomocą wyrwał sporą dziurę, lecz rozczarowaliśmy się srodze, gdy już się przez nią wychyliliśmy. Przed nami rozciągał się wspaniały pejzaż: błękitne niebo i falujące lekko korony drzew, widziane z góry. Pod nami schodziła pionowo w dół skalna ściana. By ją pokonać, musielibyśmy mieć

skrzydła lub bardzo, bardzo długą linę. Zwróciliśmy się więc w stronę wnętrza.

Rozglądaliśmy się z rosnącą ciekawością. Pomieszczenie okazało się mniejsze, niż przypuszczaliśmy, zwiedzeni echem. Co jednak nie znaczyło, że było przytulne. Domniemany ołtarz ofiarny okazał się po prostu brzydkim, topornym stołem. Stały obok niego zakurzone krzesła, rozpadające się ze starości. Było tu parę skrzyń, leżało trochę desek, będących pewnie przed laty blatami drewnianych stołów, bo wśród szczątków stoczonych przez robactwo poniewierały się naczynia. A prócz nich fragmenty mechanizmów, narzędzia i przybory, które, choć pokryte grubą warstwą brudu, po przetarciu wyglądały jak nowe. Pod ścianami stały rzędy regałów w zadziwiająco dobrym stanie, a na nich piętrzyły się stosy ksiąg i walcowatych pudełek na zwoje. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Czułem niezwykle wzruszenie i niemal nabożny lęk. Minęły wieki, odkąd ostatni raz stanęła tu stopa ludzka, lecz potrafiłem bezbłędnie odgadnąć przeznaczenie tego miejsca. Znajdowaliśmy się w starej pracowni maga. Jednego z tych, którzy przybyli na te ziemie pod czerwonymi żaglami legendarnych okrętów.

Tylko jedna ze ścian była wolna od półek. Kiedyś wybito w niej szereg dużych okien. Teraz zasłonięte były mocnymi okiennicami oraz obmurowane wapnem i odławkami kamieni. Tylko jedno z tych zabezpieczeń puściło, tworząc ową zbawienną szczelinę. Błądziłem wzrokiem po otoczeniu, a dobry humor warzył mi się coraz bardziej. Nie widziałem żadnych innych drzwi, prócz tych, którymi tu weszliśmy.

„Może dałbym radę wleźć z powrotem w stare ciało?...” - Pożeracz Chmur wyraził nieśmiało przypuszczenie.

„Na głodno? Starczy mi tego, co przez ciebie przeżyłem u Miedzianego. Jak chcesz się zabić, to nie rób tego przy mnie. Poza tym nie zmieściłbyś się w oknie.”

Posłałem Pożeracza Chmur do okna i poleciłem „sięgać” w dżungłę, w poszukiwaniu kogokolwiek, kto mógłby nam pomóc lub chociaż zawiadomić Słonego. Nie wiedzieliśmy nawet dokładnie, gdzie się znajdujemy. Pożeracz Chmur spędził na Jaszczurze pierwsze dwadzieścia pięć lat życia, czyli akurat ten okres, gdy szczeniaki dopiero uczą się latać i raczej trzymają się matek. Nigdy nie widział tego obszaru z góry i pod takim kątem. Tak więc penetrował przestrzeń zewnętrzną, a ja wnętrze. Niemożliwe, by jedyną drogą tutaj był ten cholerny tunel. Nikomu nie chciałoby się pokonywać takiej odległości po to, żeby wyjść choćby na przechadzkę. Szedłem wzdłuż półek z książkami, zastanawiając się, czy za którąś z nich nie kryje się upragniona droga na wolność. Bałem się jednak odsuwać je od ścian. Książki, zgromadzone tutaj musiały być bardzo kruche ze starości. A kto wie, jakie cudowne rzeczy w nich się kryły? Dotknąłem jednej na próbę. Nie rozleciała się od razu. Palce

zostawiły na okładce długie ślady, a spod nawarstwionego kurzu ukazała się gładka skóra okładki. Podniosłem tom ostrożnie, jakby ulepiono go z piasku. W dotyku był całkiem zwyczajny. Nie rozpadał się, okładka była sztywna, a karty dawały się łatwo odwracać. Zachęcony tym, podnosiłem coraz to nowe książki z innych półek. Wszystkie były w takim stanie, jakby położono je tam wczoraj, choć warstwa kurzu gruba na palec świadczyła inaczej. Nie patrzyłem pod nogi i w pewnej chwili potknąłem się o coś. Stopy zaplątały mi się w kupie zetłanych szmat. Cofnąłem się z obrzydzeniem, po czym trąciłem lekko nogą te śmieci. Spomiędzy łachmanów ukazała się ręka szkieletu. Serce wskoczyło mi do gardła. Trzymana właśnie księga wysunęła się z rąk. Upadła na ziemię, wzbijając tuman pyłu. Pożeracz Chmur zeskoczył z parapetu i podszedł do mnie.

„Daj spokój, przecież to tylko kości” - rzucił lekceważąco, spojrzawszy.

Podniósł resztki tkaniny, odsłaniając wyszczerzoną czaszkę i zapadniętą klatkę żeber. Trącił palcem kość, która rozsypała się na kawałki. Szarpnąłem go za ramię ze złością.

„Zostaw!”

Spojrzał na mnie z dołu wzrokiem obrażonej niewinności. Wzruszył ramieniem.

„To tylko kości” - powtórzył.

„To był kiedyś człowiek. Umarł tu, zupełnie samotny. Nikt nie ułożył mu stosu i nie złożył ofiar żałobnych, a ty jeszcze usiłujesz go roztluc na drobno.”

To do niego dotarło. Wbrew pozorom nie był pozbawiony wyobraźni.

„Mało brakło, byśmy leżeli tutaj tak samo, jemu do towarzystwa. A właściwie, o co chodzi z tymi ofiarami? I ze stosami pogrzebowymi? Na co to komu potrzebne?”

„W ten sposób wyrażamy szacunek dla zmarłego. A wy nie?”

„My zjadamy po kawałku.”

„Kawałku czego?” - spytałem, bo przekaz był nieklarowny.

„Kawałku ciała, oczywiście.”

Matko Świata!! Oslupiałem. On myślał o tym zupełnie poważnie! Akurat ten temat jakoś nam zawsze umykał i nic nie wiedziałem o smoczych zwyczajach pogrzebowych. Czy gdybym umarł na Wyspie Szaleńca, skończyłbym jako obiad?

Pożeracz Chmur oburzył się śmiertelnie.

„Masz nas za zwierzęta?! Zjedlibyśmy cię z szacunkiem i miłością. To zupełnie co innego!”

Z dumnie uniesionym nosem powrócił na posterunek przy oknie.

Przyklękąłem przy szczątkach. Już miałem przykryć je z powrotem, gdy zauważyłem pierścien. Zdjąłem go delikatnie, lecz i tak kości palców rozkruszyły się. Ozdobę wykonano z

zielonego kamienia, a nieznanemu artyście nadał mu kształt węża trzymającego ogon w zębach. Wierzch głowy gada był płaski i służył jako pieczęć. Nie było na niej znaków pisma, lecz pojedynczy, płytko wryty rysunek. Przycisnąłem pieczęć do wewnętrznej strony ramienia, odciskając na skórze uproszczony wizerunek żółwia. Powoli opuściłem strzępy materii na poprzednie miejsce.

„Śpij dalej, Strażniku Słów” - pomyślałem. - „Jeśli stąd się wydostaniemy, wrócę na pewno i nie będziesz już musiał tu leżeć.”

Po namyśle stwierdziłem, że bezimienny mag nie umarł samotnie. A pozostanie tutaj było jego wyborem. Zapewne ostatnim życzeniem przed śmiercią. Ktoś przecież musiał ułożyć go na posłaniu (teraz już prawie nie-rozpoznawalnym) i przykryć mu twarz, a potem zamurować okna, zamieniając bibliotekę w grobowiec.

Pożeracz Chmur uparcie prowadził swoje poszukiwania. Od czasu do czasu przerywał, by ponarzekać.

„Jak mam zamiar złapać coś do zarcia, to zawsze znajdzie się ktoś do podziału. A jak potrzeba, to nikogo nie ma.”

Wreszcie jednak jego wysiłki zostały nagrodzone. Nad zieloną połącią puszczy pojawił się szybujący smok. Zatoczył jedno i drugie koło, zbliżając się chwilami tak bardzo, że widziałem wyraźnie jego czerwone ślepia. Potem odleciał. Przewieszony przez okno Pożeracz Chmur wycofał się w bezpieczniejsze miejsce.

„Jesteśmy bardzo daleko od starego miasta. To był Zbieracz Kolców. Żyje tu sam i właśnie spał, dlatego tak długo się nie zjawiał. Zawiadomi Słonego i moich rodziców. Sprowadzi pomoc. Pozostaje czekać.”

Nie chciałem czekać. Kto wie, jak długo potrwałoby ściąganie nas ze skalnej ściany. Na zewnątrz była żywność i woda. Przede wszystkim woda. Zwykle pragnienie przeradzało się już w mękę. Pożeraczowi Chmur także chciało się pić. Wspólnie powróciliśmy do szperania za półkami. Wsuwaliśmy ręce między zakurzone tomy, starając się wymacać, co znajduje się za regałami. Palce wciąż natrafiały jedynie na chropowaty kamień, aż do momentu, gdy Pożeracz Chmur, który zaczął od przeciwnego końca, dokonał odkrycia.

„Drzwi!” - ucieszył się i, zanim zdążyłem go powstrzymać, pociągnął stary mebel z rozmachem, od którego ten zwałił się, rozsypując na posadzce bezcenne woluminy. Zamknąłem oczy, nie mogąc na to patrzeć.

Pożeracz Chmur nie przejął się zupełnie.

„Nic się nie stało, popatrz.”

Podniósł jedną z ksiąg, a na dowód uderzył w nią kilkakrotnie zwiniętą dłonią, unosząc tuman pyłu. Zastanowił się, po czym dokładniej przyjrzał się foliałowi. Ujął go między płasko ułożone dłonie, a jego twarz przybrała wyraz roztargnienia, jakby odpłynął myślami gdzieś daleko. „Zagęszczona, tak samo jak ściany tunelu” - przekazał po chwili z lekkim zdumieniem.

Jeszcze jedna zagadka została rozwiązana. Najwyraźniej Strażnik Słów najbardziej na świecie kochał swoją bibliotekę. Tak bardzo, że chciał pozostać tu na zawsze. I właściwie nic dziwnego, że zadbał, by jego ukochane książki nie rozsypały się w proch, a pozostały na wieczność.

Drzwi odkryte za półkami zamknięte były na prostą zasuwę. Stal pokryła się łatkami rudej rdzy, lecz całość nadal wyglądała nieźle. Pożeracz Chmur pociągnął za uchwyt, bez rezultatu. Szarpnął mocniej, a potem wparł ‘ się kolaniem w futrynę. Zasuwa drwiła sobie z wysiłków młodego smoka, aż zniecierpliwiony przymierzył się do rozwalenia opornych wierzei. Przyjrzałem się bliżej zasuwie i wyciągnąłem trzpień blokujący mechanizm. Proste. „Skąd wiesz, że ta droga prowadzi na zewnątrz?” - spytał Pożeracz Chmur, po to tylko, by zetrzeć mi uśmiech z twarzy.

„Nie wiem, ale chyba warto sprawdzić. Nie jesteś ciekawy?”

Pytać Pożeracza Chmur, czy nie jest ciekawy, to tak, jak spytać kota, czy nie jada myszy. Za drzwiami znajdował się nowy korytarz, węższy niż poprzedni. Zakręcał, schodząc gdzieś w dół po łagodnej spirali. Zapusciliśmy się weń, wiodąc rozpostartymi rękami po przeciwległych ścianach. Nie natrafiliśmy po drodze na żadne nowe drzwi, ani boczny tunel. Wszystko zdawało się czysto wytrawione w litej skale. Podłoże nachylone było równomiernie, bez jakichkolwiek stopni. Nasza droga w dół nie trwała zbyt długo. Wkrótce mrok rozjaśnił się niby obietnica wolności.

„Woda! Jeść!!” - rzucił Pożeracz Chmur radośnie i pognął do przodu. W chwilę potem dogoniłem go i z impetem wpadłem mu na plecy, gdyż zatrzymał się jak wryty. Wyjrzałem zza jego ramienia. Widok, jaki ujrzałem, sprawił, że oczy rozszerzyły mi się ze zdumienia i podziwu. Nie mogłem jednak darować sobie lekkiego przycinka.

„Przecież to tylko kości” - przedrzeźniałem Pożeracza Chmur.

Przed nami leżała ażurowa konstrukcja wielkiego szkieletu. Smocza czaszka łypała pustym oczodołem, a ogromne zęby zdawały się grozić nieproszonym gościom, którzy mieli odwagę pogwałcić spokój wieczystego legowiska.

Światło padało od szerokiego, niskiego wejścia. Stos kości leżał w sporej grocie. Patrzyliśmy jak urzeczeni na długie kości skrzydeł, które oparły się końcami o ziemię, tworząc niesamowitą strukturę wraz z lukami żeber i łańcuchem kręgów.

W pewnej chwili wydało nam się, że szkielet smoka poruszył się i pierwotny lęk z łatwością znalazł do mnie drogę. Lecz wzrok oszukiwał. To nie kości, lecz gibkie cielsko rozwinęło się wśród szczątków. Z bezkształtnego kłębu, na który nie zwróciliśmy w pierwszej chwili uwagi, wyrósł złowrogi kształt - człowiecza sylwetka, lecz o głowie zniekształconej, jakby przykrytej kapturem płaszcza. Kołysała się lekko na masywnym ogonie, prężąc do skoku jak napięta stalowa sprężyna. Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Pożeracz Chmur odruchowo pochylił się do przodu. Zdążyłem sięgnąć do rękojeści noża, który miałem dla wygody zatknięty za pas z tyłu.

W tej chwili stwór zaatakował.

Odepchnięty przez Pożeracza Chmur, unikałem zderzenia z łamią. Mój przyjaciel przyjął na siebie cały impet tego ataku, tym samym zapewne ratując mi życie. Dwa ciała splotły się w jeden kłęb, przetaczający się po ziemi. Dostrzegłem, jak Pożeracz Chmur wbija łokieć w gardło bestii, usiłując utrzymać z dala od siebie jadowite zęby. Miałem nóż, ale bałem się zranić towarzysza. Ogon potwora smagnął mnie po nogach jak bicz. Z rozmachem opuściłem ostrze na miotający się węzowy kształt. Cielsko lamii poderwało się konwulsyjnie. Rąbałem bezładnie raz za razem, ogarnięty trudną do opisanego grozą i wstrętem. Otrzymywałem uderzenia o sile, która mogłaby połamać kości. Teraz wydaje się to idiotyczne, lecz walczyłem z tym ogonem, jakby był osobnym, straszliwym stworzeniem. Ślepym, okrutnym i bezwzględny. Aż jeden z ciosów ciężką klingą trafił między kręgi, przecinając rdzeń nerwowy. Częściowo sparaliżowana bestia nadal była śmiertelnie niebezpieczna, lecz to dawało choć cień nadziei Pożeraczowi Chmur, który zmagał się z przednią częścią potwora. W mdłym świetle, padającym od wejścia, widziałem tylko płataninę kończyn, napiętych mięśni i dwie pary oczu, jarzące się wściekle. Zaryzykowałem. Uderzyłem oburącz tam, gdzie zabłysły na chwilę dwie seledynowe plamki. Coś podcięło mi nogi, upadłem na wznak, czując pod sobą czyjeś ciało. Ból rozdzieranej skóry na brzuchu, jakby szpony gadziego stwora dobierały się do mych trzewi. Uchyliłem się rozpaczliwym ruchem. W mgnieniu oka zorientowałem się, że leżę na szorstkim, łuskowatym kształcie i niewiele myśląc, wbiłem w niego ostrze, najgłębiej jak potrafiłem.

I to był koniec walki. Jeszcze nie wierzyłem. Jeszcze mięśnie same napinały się, oczekując nowych wysiłków. Mieszkaniec jaskini nie żył, ale uzmysłowił mi to dopiero

zabarwiony cierpieniem, niewyraźny przekaz od Pożeracza Chmur:

„Zdejmij ze mnie... to ścierwo...”

Z trudem spełniłem tę prośbę. Ten samiec lamii był naprawdę wyjątkowym okazem. Pożeracz Chmur przetoczył się powoli na brzuch i usiłował wstać. Pomogłem mu usiąść. Sięgnął do lewego ramienia, rozmazując krew, która w tym oświetleniu zdawała się czarna.

„Ukąsił mnie...”

Kontakt urwał się, jak ucięty nożem. Głowa Pożeracza Chmur opadła do tyłu. Zalało mnie lodowate przerażenie, wymiatające z głowy wszelkie myśli prócz tej jednej, że oto trzymam w ramionach martwe ciało. A potem zrodził się bunt i zaprzeczenie. Nie, nieprawda, to niemożliwe. Nie Pożeracz Chmur! Na pewno nie ten radosny, uparty, niezniszczalny dzieciak! Takie rzeczy się nie zdarzają. Po prostu nie mogą się zdarzać, bo to niesprawiedliwe. Zwyczajnie niesprawiedliwe! Gdzieś na dnie kołatała się we mnie jeszcze iskierka absurdalnej nadziei, że Pożeracz Chmur za chwilę otworzy oczy i wyśmieje mój strach: „Nic mi nie jest. Dałeś się nabrać! Kto by tam bał się takiej lamii. To tylko większa jaszczurka!” Lecz nic takiego się nie wydarzyło.

Wywlokłem bezwładne ciało młodego smoka na zewnątrz. Pod tarczę słońca. Nie potrafiłem uwierzyć w jego śmierć. I rzeczywiście. Przekonałem się, że Pożeracz Chmur nie opuścił jeszcze tego biednego, poranionego ciała. Jeszcze oddychał, ale coraz słabiej. Jego dusza zbliżała się ku Bramie Istnień.

Nie mogłem pozwolić, by ją przekroczył. Nie teraz. Nie w tym wieku, który dla smoka był zaledwie początkiem życia. A co ze mną? Jak ja mógłbym żyć bez Pożeracza Chmur?

Ślady po zębach lamii były dwoma okrągłymi otworami, wysoko na barku, prawie u nasady szyi. Okolica już napuchła. Paskudne miejsce, gdzie nie da się zastosować żadnego ucisku. Nóż do wycinania dżungli też niezbyt nadaje się na narzędzie chirurga, lecz nie miałem nic innego. Naciąłem głęboko rany, pozwalając spływać krwi swobodnie. Wysłałem nacięcia, tak, jak uczono mnie w domu. Łamią to nie wąż piaskowy, ale zasady ratunku zawsze są te same.

Człowiek już by nie żył, lecz Pożeracz Chmur na szczęście nie jest człowiekiem. Smoki twardo trzymają się życia. Ratowałem go, jak mogłem. Dawałem mu własny oddech, rozcierałem zimną skórę, podtrzymując krążenie krwi.

Ciągnąłem go za jedną rękę do świata żywych, a Pani Strzał za drugą, ku sobie. Trwałem w zapiekłym uporze, nie licząc czasu i nie dbając o to, że może narażam się tej groźnej bogini. Pożeracz Chmur, choć nieprzytomny, również walczył z własnym, opornym

ciałem, nakazując mu następny oddech, następne uderzenie serca. Po raz pierwszy i ostatni w życiu zobaczyłem, jak Pożeracz Chmur się poci. Grube krople wystąpiły na jego skórze, łącząc się w strumyczki, ściekając, jakby ktoś oblał go wodą. Potem doszły przerażająco gwałtowne skurcze. Wyglądało to tak, jakby miał się wywrócić na lewą stronę. Trzymałem mu głowę, gdy wymiotował, wyrzucając z prawie pustego żołądka jego mizerną zawartość - mętny, wodnisty płyn. Mój niepokój wzrósł, gdy torsje przedłużały się nadmiernie. Ileż w końcu można z siebie wyrzucić? Pożeracz Chmur wydawał się nie mieć dna. Wreszcie zrozumiałem, że bronił się w ten sposób przed trucizną, zdradliwie biorącą w posiadanie jego organizm. Wypacał ją, wypłukiwał z siebie, ale jednocześnie w zastraszającym tempie tracił wodę. Z lękiem myślałem, jak długo jeszcze wytrzyma, goniąc resztkami sił.

Nie jestem w stanie określić, ile to trwało. Dla mnie - całe stulecia, wypełnione męką Pożeracza Chmur i moim lękiem o niego. Potrzebowaliśmy pomocy, lecz jak miałem ją sprowadzić, nie pozostawiając Pożeracza Chmur samego?

„Matko Świata, ratuj go” - modliłem się bezładnie. - ”O, Pani Strzał, oszczędź go. Złożę dla ciebie ofiarę z krwi... Władco Przewodzis, który przewodzisz skrzydlatym...”

Któreś z nich musiało się zlitować i zesłało ratunek. Nagle splątane zarośla przy jaskini zatrzęsły się, roztrącone gwałtownie i przedarła się przez nie... Jagoda. (Potem miałem się dowiedzieć, że spotkał ją Zbieracz Kolców.) Była spocona, zziębnięta, policzek przecinały jej czerwone krechy świeżych zadrapań. Ubranie miała w nieładzie, podarte na ramieniu. Wyglądała, jakby biegła bardzo długo, nie dbając o to, przez jak trudny teren się przedziera. Padła na kolana przy wijącym się w drgawkach Pożeracz Chmur i zerwała z ramienia bukłak, gruby od wypełniającej go wody. Co za ulga. Niczego nie musiałem tłumaczyć Obserwatorce. Zanim jeszcze tu dotarła, „sięgnęła” ku nam swym talentem i zorientowała się, czego najbardziej potrzebujemy. Błogosławieństwo bogów, nic innego.

Pożeracz Chmur był już bardzo odwodniony, aż skóra napięła się na nim tak ciasno, że można by na nim uczyć się anatomii. Poiliśmy go na zmianę z Jagodą. Powolutku, używając złożonych dłoni jak miseczek. Przelykał, zwracał, znów przelykał i tak to trwało... i trwało. W końcu jego wymęczony żołądek zaczął przyjmować wodę. I dopiero wtedy Jagoda zdołała nakłonić mnie, bym także się napił.

Najgorsze minęło. Pożeracz Chmur przeżył i to było najważniejsze, ale zapłacił ogromną cenę. Jagoda myła go jak dziecko, ścierając krew i brud z pokaleczonej skóry, a on nawet się nie poruszył. On, który uważał mycie za wyszukaną torturę! Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Pomogłem Jagodzie odwrócić Pożeracza Chmur, tak, by mogła zająć się jego grzbietem, który chyba najbardziej ucierpiał od szponów lamii. Mimochodem zastanowiłem

się, czy tyle męskiej nagości nie krępuje młodziutkiej dziewczyny. Jagoda rzuciła mi tylko pogardliwe spojrzenie, nie przerywając oczyszczania długich, poszarpanych szram.

Chyba ten nowy ból sprawił, że Pożeracz Chmur ocknął się na chwilę. „Kamyk...”

Pochyliłem się nad nim. Powieki mu drgały, jak w niespokojnym śnie.

„Zapalisz dla mnie stos?”

Wielka kula stanęła mi w gardle.

„Nie. W żadnym razie. Wyzdrowiejesz.”

Odpływał z powrotem w nieświadomość, lecz jeszcze rozpaczliwie czepiał się jawy.

„Stos pogrzebowy... Ja wiem... Pieczony będę smaczniejszy...”

I zasnął, z głową na mych kolanach. Jagoda, nieświadoma naszej wymiany myśli, patrzyła oczami okrągłymi ze zdumienia, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego płacę i śmieję się jednocześnie, jakbym postradał rozum.

Drugi Krąg

Oslabiony jadem lamii organizm Pożeracza Chmur nie był w stanie zregenerować się tak szybko, jak zwykle. Oznaczało to długotrwałą chorobę, powolne gojenie obrażeń, zupełnie jakby Pożeracz Chmur był zwyczajnym Chłopcem. Przyglądałem się, jak Słony nakłada maść leczniczą na jego rany. Podawałem bandaże i nożyczki. Ze zgrozą obserwowałem, jak mag po barbarzyńsku zalewa spirytusem skaleczenia we włosach młodego smoka. Pożeracz Chmur jednak ani drgnął. Spał głębokim snem wyczerpania. Tego domagało się jego ciało i wiedzieliśmy, że najmądrzej zrobimy, jeśli nie będziemy mu przeszkadzać.

„Mam dziwne wrażenie, że czas się zapętlił. Przecież ja już to kiedyś robiłem” - przekazał mi Mówca, oglądając śpiącego pacjenta i marszcząc czoło w zamyśleniu. Żartował oczywiście. Wiedziałem, o co mu chodzi. Nie tak dawno odciągał od progu Bramy Istnień bardzo podobnego chłopaka.

Pożeracz Chmur spał przez dwa dni bez przerwy. Łagodna i Pazur przynosili codziennie mięso, mając nadzieję, że ich syn nareszcie ocknie się i zje cokolwiek. Ale ich łupy trafiły do garnka Księżycowego Kwiatu. Poiliśmy rannego krwią rozbełtaną z wodą oraz roztworem miodu, tak słodkim, że wykręcał twarz. Przełykał odruchowo, nie otwierając oczu i nie budząc się ani na chwilę. Nie mieliśmy ze Słonym żadnego doświadczenia w leczeniu smoków, lecz Mówca całkiem rozsądnie zaproponował:

„Dostarczmy mu tylko paliwa, a on sam zadba o resztę.”

Zgadzałem się z tym w pełni.

I stało się tak, jak przewidywaliśmy. Zatrokana Jagoda akurat wlewała Pożeraczowi Chmur do ust kolejną łyżkę tej mikstury kombinowanej z krwi i miodu, gdy nagle szeroko otworzył oczy. Zakrztusił się, rozpryskując wszędzie ciemnoróżowe krople. Natychmiast zaczął narzekać, co też za świństwem się go karmi i zażądał mięsa. Krwistego i w dużych ilościach, a do tego natychmiast.

Przez następne dwa dni pozwalaliśmy się tyranizować temu potworowi w ludzkiej skórze. Rodzice znosili mu różne smocze przysmaki, gotowi rozpieszcząć swe cudem ocalone dziecko do ostatecznych granic. Pożeracz Chmur grał rolę obłożnie chorego, pozwalał się łaskawie obsługiwać i spełniać różne zachcianki. Był wyraźnie zachwycony tym, że poświęca mu się tyle uwagi. W końcu miałem tego powyżej uszu. Gdy wysłał mnie nad morze po małe, „koniecznie świeże, nie za duże i nie za małe”, przydźwi-gałem wiadro wody i

wylałem mu na głowę. W jednej chwili z ledwo żywego biedactwa stał się tryskającym energią mścicielem. Rzucił we mnie wiadrem, wytarzał w piachu i usiłował odgryźć ucho. Nie miałem sił, by z nim walczyć. Ze śmiechu. Pożeracz Chmur zorientował się, że dał się okpić. Wpierw był nadąsany i niezadowolony, że tak szybko skończyły się czasy lenistwa, potem doszedł do wniosku, że są lepsze zajęcia niż wylegiwanie się całymi godzinami na stercie miękkich koców. Tym bardziej, iż siedziba starożytnego Strażnika Słów wciąż jeszcze czekała na dokładniejsze zbadanie, a od Deszczowego Przybysza dostaliśmy miłą wiadomość: ich bezcenne jajko poruszało się coraz energiczniej i smok z wyprzedzeniem zapraszał sąsiadów, by dzielili z nim radość narodzin syna.

Dzień, w którym przyszło na świat dziecko Skrzydlatej, był chłodniejszy od poprzednich. Kończyło się tropikalne lato i w każdej chwili oczekiwaliśmy pierwszej ulewy. To uświadomiło mi, jak długo już pozostaję poza domem. Biedny ojciec pewnie odprawił rytuał żałobny, sądząc, że zostałem zjedzony.

Wiatr targał pierzaste korony drzew, dmuchał we włosy i smocze futra. Siedzieliśmy kręgiem na brzegu gniazda - Słony, Jagoda, ja, przyszli rodzice i dwójka ich najbliższych sąsiadów terytorialnych. Czekaliśmy. Skrzydlata co chwilę nachylała głowę, by oblizać jajko. Deszczowy Przybysz wysuwał pazury, szarpiąc nerwowo wyściółkę. Uszy położył płasko po sobie. Dwa pozostałe smoki wyginały długie szyje, to chyląc je w stronę Skrzydlatej, to znowu zbliżając do siebie nawzajem. Skorupa jaja falowała wyraźnie. Smoczątko walczyło z mocną powłoką, w której uwięzione było przez długi czas.

Jagoda wyszeptala coś do ucha ojca. Oboje byli zaniepokojeni. Puknąłem Słonego w łokieć, zwracając na siebie uwagę.

„To za długo trwa” - wyjaśnił. - „Szczenię jest zmęczone. Zaczyna się dusić.”

„Dlaczego nie wyciągną go z jaja? Wystarczy rozerwać skorupę.”

Słony pokręcił głową.

„To nie takie proste. Skrzydlata z pewnością by to zrobiła, ale te dwa pilnują. Nie wolno pomagać szczeniakowi. Przeżywają najsilniejsze i najbardziej wartościowe.”

„Co będzie, jeśli mu się nie uda? To przecież ich pierwsze. Tak się cieszyli. Przecież nawet cielętom pomaga się przyjść na świat, a to coś ważniejszego, to przecież smok!”

Słony przygarbił się. Wyraźnie nie zachwycała go surowość smoczego obyczaju. Ale nie mogliśmy się wtrącać. Byliśmy jedynie obserwatorami, zaproszonymi z grzeczności i szacunku, jaki smocza rasa żywi dla przedstawicieli Kręgu Magów. Popatrzyłem na Jagodę.

Wpatrywała się bez mrugnięcia w smocze jajo, jakby nic innego nie istniało. „Sięgała” ku niemu, tego byłem pewien.

Skrzydłata lizała chropowatą skorupę bez przerwy, jakby chciała zmiękczyć ją własną śliną. Może to, a może myśli pełne otuchy i zachęty, które kierowała do swego dziecka, sprawiły, że malec wyteżył jeszcze raz siły. Jajo wybrzuszyło się z jednej strony i pojawiła się na nim rysa. Najpierw cienka jak nić, prawie niezauważalna, potem szersza. Zmieniła się w szczelinę, której brzegi łączyły jeszcze cienkie włókna. Z zapartym tchem patrzyłem, jak wysuwa się z niej jedna chuda i mokra łapka z rozpaczliwie rozłożonymi pazurkami, a potem malutki pyszczek. Małe nozdrza falowały gwałtownie, łapiąc pierwszy w życiu oddech.

Złapałem powietrze jednocześnie z nim, czując, że tak samo jak smoczątko, bliski byłem uduszenia.

Potrząsnąłem ramieniem Mówcy, pospiesznie składając znaki w powietrzu:

„Spytaj ich, czy możemy już pomóc szczeniakowi. Najważniejsze zrobił sam!”

To musiało być czymś nowym dla pary urodzinowych strażników. Zwyczaj nie przewidywał udziału ludzi. Spierali się niezdecydowanie ze sobą, gdy tymczasem zacząłem rozrywać powłokę jaja, grubą i mocną jak karton. Jagoda pospieszyła mi z pomocą, tnąc pasma włókien malutkim nożem do obcinania paznokci, który wyciągnęła z kieszeni. W parę chwil wydobyliśmy na świat wymęczony wilgotny kłębuszek z ciężkim łebkiem, niepewnie trzymającym się na chudej szyjce i ogonkiem cienkim jak u szczura. Złożyliśmy go na łapach matki, gdzie dochodził do siebie, zaś Skrzydłata oblizywała go troskliwie. Szczeniak mrugał oczkami jak dwa czerwone szkiełka, sechł, nabierając puszystości i barwy starego srebra. Na nosie miał czarną łatkę - podarek od ojca, zupełnie jakby ktoś chlapnął na niego atramentem.

Ciężka ręka Słonego spadła mi na ramię. Łagodnie, lecz stanowczo odciągnął mnie i Jagodę od szczeniaka, a potem wyprowadził z legowiska, cały czas trzymając nam ręce na ramionach, jakby bał się, że uciekniemy. Sąsiedzi Deszczowego Przybysza odprowadzali nas wzrokiem; uszy opadły im w pozycji zakłopotania.

„Zwariuję przez was” - Słony przekazywał i mówił jednocześnie. - „Jagoda, ciągle myślałaś o tym, że masz nóż w kieszeni i jak go użyć! A ty, Kamyk, jesteś jeszcze gorszy, bo ona tylko myślała, a ty zrobiłaś. To się mogło skończyć jatką. Oberwiecie oboje, przysięgam na głowę mego ojca...”

Zaśmialiśmy się tylko. Przysunąłem się bliżej i objąłem ramieniem plecy Słonego, a Jagoda zrobiła to samo. Karcący gest zamienił się w przyjazny uścisk.

„Chyba nie ukarzesz nas w tak szczęśliwym dniu?”

„Wiesz, co powiedziała ta bezczelna dziewczyna? Że mam zbić samego siebie, bo

myślałem dokładnie o tym samym, co wy oboje! O tym, żeby się wtrącić!”

Zatrząsałem się od śmiechu, a Słony oburzał się dalej.

„Spłodziłem potwora! Zamknę cię w lochu o chlebie i wodzie, wyrodna dziewucho! Pyskujesz ojcu, co cię na ten piękny świat sprowadził, niewdzięczne stworzenie.”

Cud, że nie popękaliśmy. Był to śmiech ulgi, oczyszczający dusze i umysły z nieznośnego napięcia. Cieszyliśmy się szczęściem Skrzydlatej i Deszczowego Przybysza oraz wyśmiewaliśmy głupie miny strażników, którym nie starczyło refleksu, by dostosować się do nowej sytuacji. Stworzyliśmy precedens. Dałbym sobie rękę uciąć, że odtąd Słony będzie wzywany do trudnych „porodów”, nie tylko na Jaszczurze, ale i na sąsiednich wyspach. Surowe prawa surowymi prawami, ale rodzice kochają swoje dzieci, a czego nie wolno smokowi, wolno człowiekowi.

Niebawem wybraliśmy się znowu do jaskini Strażnika Słów. Pozbyliśmy się z przedsonka cuchnącego ścierwa lamii. Ukradkiem obejrzałem padlinę, lecz na kapturze bestii nie było śladu cięcia, nie był więc to mój pierwszy przeciwnik, ten, w którego rzuciłem nożem, broniąc Jagody. Z uszanowaniem złożyliśmy w dużym glinianym dzbanie szczątki maga. Było ich tak niewiele, że wypełniły naczynie zaledwie w połowie.

Tam też, przed wejściem do grotty, spełniłem przysięgę daną Pani Strzał, gdy obiecywałem jej ofiarę w zamian za życie Pożeracza Chmur. O strzały wystarałem się już przedtem i przyniosłem je w tulei na zwoje. Od Słonego pożyczyłem lancet. Dał go chętnie, nieświadomy, do czego ma posłużyć.

Nie miałem możliwości odprawienia pełnego rytuału. Po prostu spaliłem strzały wraz z kawałkami płótna splamionymi krwią i zaimprovizowałem dziękczynną modlitwę.

Oczywiście Słony rozzłościł się, gdy zobaczył bandaże na moich rękach.

„Od kiedy to jesteś taki religijny??! Upadłeś na głowę? Jaka Pani Strzał? Z powodu legendy pokroiłeś się w paski??!”

Uznałem, że jakiegokolwiek dalsze wyjaśnienia są poniżej mojej godności. Słony należy do ludzi niewierzących, tak bardzo, że gotów jest wejść w zabłoconych butach do świątyni Matki Świata, tylko po to, by zrobić jej na złość. Co prawda, ja też nie jestem z tych, co kłaniają się przed każdym świątynnym progiem, ale czułem, że nie miałbym czystego sumienia, gdybym nie spełnił danego słowa. Nawet jeśli bogini, którą widziałem na Wyspie Pazura, była jedynie wytworem gorączki.

Pora deszczowa nadeszła i cała rodzina maga przeniosła się do eleganckiej siedziby w

starym mieście. My ze Słonym jednak przeważającą część czasu spędzaliśmy w bibliotece Strażnika Słów, usiłując choć z grubsza skatalogować zbiór, zorientować się w jego wartości i zawartości. Szło opornie. Stronice wypełnione równiutkim, schludnym pismem niechętnie odkrywały swe tajemnice. Znaki przez wieki zmieniły się tak bardzo, że najpierw musieliśmy na nowo nauczyć się je odczytywać, zupełnie jakbyśmy po raz wtóry trafili do szkoły i to bez nauczyciela. Praca ta, choć straszliwie żmudna, wymagająca cierpliwości nadludzkiej, wciągała nas coraz bardziej. W ciągu kilku dni stara pracownia odżyła, przypominając sobie czasy dawnej świetności. Zajęci księgozbiorem, pracowaliśmy tam, jedliśmy, a wreszcie zaczęliśmy nocować. Na kamiennej podłodze stanęły zbudowane naprędce prycze, w kątach, z dala od cennych papierów ustawiliśmy misy z tłącymi się grubymi kawałkami drewna. Otaczała nas lita skała, od której bił porządny chłód, zwłaszcza że słońce rzadko przedzierało się przez deszczowe chmury, by zajrzeć do nas.

Z początku pomagała nam Jagoda, która z grubsza orientowała się w zawartości poszczególnych tomów na podstawie rycin. W ten sposób pod półkami pojawiły się osobne stosy równo ułożonych ksiąg z kartkami na wierzchu, na których widniały napisy: „Anatomia i zabiegi chirurgiczne”, „Botanika wysp”, „Mapy”, „Broń i zbroje”, „Ryby morskie”, „Robale i inne obrzydlistwa”, „Krzyżowanie różnych gatunków”, „Wiersze?”, „Inne”. Stos „Innych” był trzy razy większy od pozostałych i naprawdę nie wiadomo było, co na nim ułożyliśmy.

Dwie kędzierzawe głowy pochylały się do późnych nocnych godzin nad starymi rękopisami. W ciepłym, żółtym świetle lamp dwie pary oczu wyłapywały z książkowej kaszy co prostsze znaki, kojarzące się z czymkolwiek znajomym.

„Co to może być, ten zygzak?”

„Błyskawica, wąż, góry...”

„Położony na skos z tym tutaj... Co to było? Zajrzyj do notatek.”

„Nie muszę, Słony. Przecież ustaliliśmy to wczoraj jako umiejętność.”

„Umiejętność łapania węży?? To raczej nie to.”

Przez jakiś czas wertowaliśmy stos zapisków. Zestaw znaków kojarzył mi się z czymś, co już na pewno gdzieś widziałem. Przerzuciłem parę tomów odłożonych na bok i znalazłem odpowiedni obrazek. Przedstawiono na nim młodego mężczyznę w opłotach ogromnego węża dusiciela. Dokoła stały postacie w czarnych szatach. Scena była statyczna, bez widocznego dramatyizmu w pozach czy wyrazie twarzy. Uznaliśmy, że przedstawia jakiś rytuał religijny. Niekoniecznie ludzką ofiarę. Przy każdym wizerunku umieszczono napis. Na początku była to zawsze „umiejętność”, potem następował ów tajemniczy, zygzakowaty znak,, a potem kilka przypadkowych, zapewne oznaczających imiona.

„Słony, mamy tu najwyraźniej następny traktat religijny. Dam sobie głowę uciąć, że to jest kapłan, a konkretnie kapłan świątyni węży.”

„Oszczędzaj swoją głowę, przyda ci się do innych rzeczy. Kapłan? To by pasowało...”

Tak to mniej więcej wyglądało. Słony narzekał, że praca posuwałaby się do przodu o wiele szybciej, gdybyśmy mieli do dyspozycji księgozbiór Kręgu. Z pewnością znajdowały się tam materiały o zmianach w pisowni, sięgające wstecz przynajmniej do czasów Rozproszenia.

Słony, oczywiście, utrzymywał kontakty z siedzibą Kręgu, lecz ze zrozumiałych względów były one rzadkie i niezbyt regularne. Od czasu do czasu zjawiał się na Jaszczurze kurier - Wędrowiec, by dostarczyć rodzinie maga rzeczy nieosiągalne na smoczych wyspach. Takie jak tkaniny, narzędzia czy papier, sól albo wino i tym podobne. W zamian zabierał kopie prac Słonego, uzupełniane stopniowo mapy, skóry zwierząt przeznaczonych do wypchania i... słoje przypraw zbieranych przez Księżycowy Kwiat. Oczekiwaliśmy wizyty Wędrowca w każdej chwili, gdyż minęło już prawie pół roku, od kiedy zjawił się po raz ostatni. Oznaczało to dla mnie możliwość powrotu do domu. Tęskniłem do niego rozpaczliwie, choć nie czekało mnie tam nic, prócz nudnego prowincjonalnego życia. Nie zależało mi tak naprawdę na Żmijowych Pagórkach, a na Płowym. To do niego wrywało się moje serce i to z jego powodu miałem wyrzuty sumienia. Nie był już najmłodszy. Potrzebował mojej pomocy i towarzystwa. Zwłaszcza podczas pory deszczowej, gdy szare godziny wlokły się, jakby ktoś je specjalnie rozciągał, a dach prowadził ze swym właścicielem spokojną wojnę, przeciekając co rusz. Każdego roku w innym miejscu.

Z drugiej strony okropnie nie chciało mi się opuszczać Jaszczura, który stał się dla mnie drugim domem. Lubiłem tu wszystkich i czułem, że jestem lubiany, a to, wierzcie mi, nie mało. Idealnie byłoby, gdyby to Płowy przeniósł się na Smoczy Archipelag.

Spodziewane przybycie kuriera dawało też do myślenia Słonemu. Wydawało mi się, że nie bardzo się z tego cieszy. Okazało się że mam rację. Pewnego razu, gdy byliśmy sami, zaproponował mi coś niesamowitego. Miał zamiar oszukać Krąg.

Wstrząsnęło to mną do głębi. Mówca Słony był odstępcą i na Jaszczurze znalazł się nie tylko z powodów rodzinnych. Nie darzył starszyny Kręgu szczególnie ciepłymi uczuciami, a tamci odpłacali mu tym samym.

„Popatrz na to wszystko” - Słony zrobił zamaszysty gest, wskazując na stosy książek Strażnika Słów. - „Jeśli Krąg położy na tym rękę, nigdy nie dowiem się, co zawierają. Całe to bogactwo zniknie w czeluściach biblioteki Zamku, a dostęp do niego będą miały jedynie gryzpiórki spod znaku żółwia.”

„Nie wierzę. Mylisz się, Słony. To przecież jest wspólne. Dziedzictwo. Na pewno każdy będzie mógł to przejrzeć, jeśli tylko zechce.”

Słony skrzywił się w uśmiechu na poły smutnym, na poły pogardliwym.

„Naiwny dzieciak z ciebie. Pewnie wierzysz jeszcze, że Krąg Magów to stowarzyszenie samych szlachetnych, bezinteresownych i wybitnych osobistości. Ja też kiedyś tak myślałem. Rozczarowanie boli tym bardziej, im mocniej się wierzyło. Niestety.”

Miałem ochotę spytać, czym zraził Słonego do siebie Krąg. Nie było to jednak moją sprawą. A Słony nie dał mi dotąd powodów, bym mu nie miał ufać.

Wahałem się. Zachować dla siebie tajemnicę? Ukryć istnienie jaskiń? Co w takim razie stanie się z ocalonym skarbem Strażnika Słów? To, że będzie z niego korzystać tylko jeden człowiek, miało być uczciwsze od wydania go bibliotekarzom Kręgu?

„To odkrycie oznacza dla mnie wejście między mistrzów” - zaoponowałem nieśmiało.

Słony wzruszył ramionami.

„Oczywiście, błękit mistrza. To bardzo ważne. Bycie «błękitnym» to władza, bogactwo, piękne kobiety... Co tylko sobie zamarzysz. Zastanów się, bardzo cię proszę, czy na pewno to jest to, czego chcesz.”

Dlaczego nie miałbym pragnąć bogactwa? Z pewnością brak zmartwień o codzienny kawałek chleba był czymś pożądanym. Władza? Lepiej rządzić, niż być rządzonym, to oczywiste.

„Nie masz prawa, Słony, decydować o czymś, czego sam nie odkryłeś” - stwierdziłem stanowczo, marszcząc brwi.

Wycelował we mnie palec jak grot włóczni.

„Rzeczywiście. I ciekawe, co na to powie Pożeracz Chmur. Jest przecież współodkrywcą, prawda?”

Tego nie przewidziałem.

Pożeraczowi Chmur nie starczało cierpliwości, by razem z nami ślęczyć nad odkrywaniem treści zawartej między skórzanymi okładkami i w sztywnych rolkach zwojów. Wolał wraz z Jagodą, drugim niespokojnym duchem, penetrować wnętrza góry. Razem odkrywali kolejne pomieszczenia, mierzyli korytarze, sporządzając pobieżne plany przejść. Odnajdywali naruszone zębem czasu malowidła na ścianach, które Pożeracz Chmur przerysowywał starannie, z przyjemnością oddając się ulubionemu zajęciu. Rysunki te uzupełniały naszą wiedzę, jaką zaczerpnęliśmy z ksiąg, a jednocześnie sprawiały, że przychodziły nam do głów nowe pytania. Wyszarzały fresk przedstawiający grupę biesiadników obsługiwanych przez piękności o wężowych ogonach zamiast stóp, a także

gadziego stwora trzymającego dzidę i niewielką tarczę, wiele wyjaśniał, jeśli chodzi o lamie.

Co jednak mieliśmy myśleć o wężu, trzymającym w pysku własny ogon? W kole utworzonym przez jego cielsko widniało wiele odcisków dłoni zrobionych farbą, która kiedyś była pewnie jaskrawoniebieska, a teraz wyblakła i ledwie odcinała się od tła.

Szperacze przynosili ze swych wypraw także drobne przedmioty, które dawni mieszkańcy zgubili lub pozostawili z rozmaitych powodów. Były to guziki lub spinki do ubiorów, popękane naczynia, metalowy grzebień bez kilku zębów, sandał bez pary, srebrne lusterko, tak zmatowiałe, że w pierwszej chwili można było je pomylić ze zwyczajnym talerzykiem. W pomieszczeniu, służącym kiedyś za zbrojownię znaleźli ostrze noża bez rękojeści, trochę grotów i jeden złamany miecz, o prostej, obusiecznej głowni. Niepodobnej do obecnie używanych - jednostronnych, lekko zagiętych i tak ostrych, że przecinały źdźbło słomy rzucone w powietrze.

Mimo tak interesujących odkryć, Pożeracz Chmur nadal był ciekawy, jak postępują nasze prace i za każdym razem, gdy wraz z Jagodą przynosili swe łupy, dopytywał się, ile znaków zdołaliśmy ze Słonym przetłumaczyć. Często przeglądał stosy ksiąg, oglądając kolorowe obrazki.

Korciło go zwłaszcza, by dowiedzieć się, co opisuje tekst umieszczony obok jednego, jedyne wizerunku smoka, jaki udało się nam znaleźć. Tak, Pożeracz Chmur poprzez Słonego - tego byłem pewien.

I faktycznie tak się stało. Niewiele mogłem zdziałać, mając przeciwko sobie tych dwóch. Dyskutowaliśmy bardzo długo, a właściwie kłóciliśmy się po prostu zażarcie, zarzucając sobie nawzajem egoizm i wytykając rozmaite braki charakterów. W końcu poszliśmy na ugodę. Posłaniec Kręgu miał otrzymać pierścień Strażnika Słów i trzy lub cztery rękopisy, jako jedyne znalezione przy szczątkach. To powinno wystarczyć, by podnieść moją rangę w oczach starszyny. Słony z Pożeraczem Chmur dostali rok na badanie biblioteki i sporządzanie kopii. Nie było to wiele czasu, jako że w grę wchodziło przepisanie (i przerysowanie) około trzystu tomów. Oznaczało to, że leniwy smok także powinien chwycić za pióro. Po upływie roku wszystkie foliały miały trafić na kontynent. Takie odkrycie z opóźnieniem.

Wędrowiec zjawił się niedługo potem.

Spodziewałem się, że ujrzę, jak poprzednio, wymuskanego „podróżnika” w domowych pantoflach. Tak, jakby przed chwilą wyszedł z własnej sypialni i bez żadnej fatygi

przeskoczył wprost na Jaszczur. Myliłem się. Wędrowiec wyglądał na zmęczonego podróżą i był spragniony domowego jedzenia. Okazało się, że faktycznie przybył na statku, który, według nie pisanej umowy ze smoczym plemieniem, pozostał w pewnej odległości od brzegu wyspy. Wędrowiec skorzystał ze swego talentu, by wylądować się na brzeg wraz z całym kramem przeznaczonym dla Słonego. Niewiele miał czasu na załatwienie wszystkich spraw, nie chcąc nadużywać cierpliwości kapitana, ani smoków, które przelatywały nad masztami, nieufnie przyglądając się załodze.

Tak więc miałem zaledwie jeden dzień na pożegnania i spakowanie.

Odwiedziłem Pazura i Łagodną. Liska nie rozumiała, że odchodzę i chciała się bawić. Łagodna smutno opuściła uszy, przekazując mi uczucia ciepłej czułości i żalu. Przytuliłem się na moment do jej wielkiej głowy, zanurzając twarz w puszystej sierści. Niedawno nad wyspą przetoczyła się kolejna fala ulewy i futro Łagodnej zachowało ślad wilgoci. Pazur trwał sztywno niczym posąg, udając, że mnie nie zauważa, jak zwykle. Stałem przed nim, zadzierając głowę, wpatrując się w niego uparcie. Po kilku minutach złamał się. Po raz pierwszy nawiązał ze mną kontakt.

„Co...?” - Było to szorstkie jak pilnik. „Byłem twoim gościem. Traktowałeś mnie przyzwoicie... w miarę. Dziękuję za sprowadzenie Słonego.” „Łagodna mnie zmusiła.” Ziewnął. Jego uszy wyrażały zakłopotanie. „Idź już, ludzki szczeniaku. Zmykaj, zanim zapomnę, że jesteś jeszcze dzieckiem.”

Ostatni raz podrapałem Liskę za uchem i odszedłem. Ale jeszcze dogoniła mnie myśl Pazura: „Dzięki za Liskę.”

Odwróciłem się szybko, lecz Pazur siedział tyłem do mnie, bez ruchu i tylko koniec jego ogona miarowo uderzał o ziemię.

Po raz ostatni widziałem się z Deszczowym Przybyszem, Skrzydlatą i ich synkiem, którego tymczasowo nazywali Łatką. Ostatni raz wykąpałem się pod lodowatym wodospadem. Pożegnałem się ze znajomymi ścieżkami, ulubionymi figurami w zrujnowanym mieście, drzewami, na które lubiłem się wspinać. Po raz ostatni zszedłem na brzeg morza, by puszczać nieudane kaczki na wzburzonych falach. Wszystko robiłem po raz ostatni.

Gdy postawiłem stopę na Jaszczurze, nie posiadałem prawie nic. Ze zdumieniem stwierdziłem, że przez tygodnie spędzone pod dachem Słonego mój majątek wzrósł niepomrotnie. Mniejsza o te wszystkie koszule i spodnie, które Księżycowy Kwiat poprzeraiała ze swego męża na mnie. Drobiazgi codziennego użytku, jakimi mnie obdarowano aż nazbyt hojnie. Same owady i próbki roślin przeznaczone dla Płowego zajmowały parę skrzynek. Nie wspomnę o grubym pakiecie z notatkami i rysunkami

Pożeracza Chmur, który ledwo dawał się unieść. A tu jeszcze w ostatniej chwili wręczano mi różne pamiątki. Najładniejszego smoka z kolekcji (Tygrysek), tęcza w środku muszle (Błyskawica i Żywe Srebro), nóż z podziemnej zbrojowni, oszlifowany, naostrzony i oprawiony na nowo w rękojeść (Jagoda).

Pożegnanie z Pożeraczem Chmur było jak rwanie zęba: krótkie i bolesne. Przyszedł dopiero wtedy, gdy już staliśmy nad morzem, gotowi do drogi. Słony w ostatniej chwili dawał jeszcze jakieś wskazówki Wędrowcowi, który kiwał głową twierdząco. Ścisnął pod pachą rękopisy Strażnika Słów, starannie zapakowane wraz z raportem napisanym przez Mówcę. Palec przybysza zdobił pierścień z żółciem. Pożeracz Chmur przywłókł się, kopiąc wilgotny piach. Był zgarbiony, głowę zwiesił, jakby była za ciężka. Podaliśmy sobie jedynie ręce, jakbyśmy byli tylko znajomymi. Żadnych uścisków i obejmowania za szyję. Płacz surowo wzbroniony. Ostatecznie nie byliśmy przecież parą małych dziewczynek.

„Za rok w Kręgu?”

„Za rok” - potwierdził Pożeracz Chmur i wycofał się.

Wydawało mi się wtedy, że rok to niewyobrażalny szmat czasu, który skończy się w jakiejś bliżej nie określonej przyszłości.

Wędrowiec chwycił mnie pod ramię, mocno zaciskając palce. Przez chwilę jeszcze widziałem Słonego i Pożeracza Chmur, stojących poza kręgiem ułożonym z bagaży, a potem świat przewrócił się nagle do góry nogami. Na moment zrobiło się ciemno. Ogarnęła nas nicość. Raptem utraciłem wzrok, gardło zacisnęło się, nie mogąc chwycić powietrza. Grunt umknął spod stóp, a gdzieś w brzuchu zatrzepotało dziwaczne uczucie, jak na huśtawce, gdy opada się w dół z wysoka. Nie istniało nic prócz dłoni Wędrowca, która trzymała mnie mocno, niczym kotwica. Nie trwało to dłużej niż sekundę lub dwie. Wędrowiec puścił mnie. Staliśmy na kołyszącym się pokładzie statku, w wielkim kole ułożonym ze sznura. Była to zaimprovizowana rampa do przeskoku poza przestrzeń. Przez cały czas pobytu Wędrowca na wyspie, załoga omijała starannie tę zakazaną strefę. Nikt nie miał zamiaru ryzykować połamania nóg przez pojawiający się „znikąd” przedmiot. Teraz zaczęli pospiesznie znosić pakunki pod pokład. Część żeglarzy rozwijała żagle, inni obracali kołowrót, podnosząc kotwicę. Jak najszybciej chcieli wynieść się ze smoczyczych terytoriów. Stałem na pokładzie otoczony mnóstwem uwijających się ludzi, a czułem się zupełnie samotny.

Nienawidzę morskich podróży.

Nie cierpię statków.

Jedzenie jest okropne.

To kołysanie mnie zabije.

Takie są moje jedyne zapiski z tamtej podróży i nie mam ochoty pisać niczego więcej. Jeśli ktoś uważa, że to za mało, niech sam spędzi dwa tygodnie na wzburzonym morzu, obijając się o ściany ciasnej kajuty jak ziarno grochu w garnczku.

Porządkuję luźne kartki. Przepisuję na czysto do mej grubej książki treść pokreślonych, wymiętych świstków. Niemały to kłopot. Co jest ważne, a co ominąć? Jak ustawić w porządnym szeregu wszystkie te wydarzenia, które splotły się w zdumiewający warkocz, sięgający od momentu, gdy, posępny i zagubiony, stałem na dziedzińcu Zamku Magów, aż do chwili obecnej, gdy piszę te słowa? Tak wiele się zmieniło.

Nie wiem, co jest gorsze: ciągle kołysanie statku na falach, czy sposób podróżowania Wędrowców, kiedy człowiek staje się ogłupiałym, pozbawionym wszystkich zmysłów kawałkiem materii. Ani jedno, ani drugie zupełnie mnie nie pociąga. Gdy tylko zbliżyliśmy się do wybrzeża kontynentu na tyle, ile wynosiła granica zasięgu Wędrowca, mag zrezygnował z usług kapitana i znów przeskoczyliśmy, tym razem wprost na oczekującą nas rampę w siedzibie Kręgu. Wędrowiec traktował mnie jak jeszcze jedną paczkę, którą należy dostarczyć w określone miejsce. Niektórzy uważają, że jeśli ktoś nie mówi, to również nie myśli.

Tak więc, znów znajdowałem się w obcym miejscu, wśród nieznanym i zupełnie nie wiedziałem, co ze sobą począć. Myślałem o tym, że dżungla jest znacznie przyjemniejszym miejscem. Dookoła kręcili się różni ludzie, zajęci swoimi sprawami, i nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wędrowiec zdjął sobie kłopot z głowy w dość prosty sposób. Przytrzymał po prostu kogoś, kto akurat przebiegał obok i kazał mu się mną zająć. Zaskoczony tym niespodziewanym obowiązkiem chłopak protestował gwałtownie, lecz Wędrowiec nie puszczał jego rękawa. Gapiłem się na niego w sposób wręcz nieprzyzwoity. Błękitna szarfa, ściągająca jego bluzę w luźne fałdy, oznaczała, że on także jest magiem, ale na tym kończyły się podobieństwa. Całą jego głowę, łącznie z twarzą, pokrywały gęste brązowe włosy! Z tej gęstwiny błyskały tylko zęby i białka oczu. Kosmate miał także grzbiety dłoni. Nie ulegało wątpliwości, że sierść pokrywa całe jego ciało. Pierwszy raz w życiu

widziałem coś podobnego.

Wędrowiec wygrał. Rozgniewany kudłacz wziął część moich *rzeczy i* skinął, bym poszedł za nim. Dreptałem pół kroku za nim po dziedzińcach, krużgankach i korytarzach. Zastanawiałem się przy tym, kogo bardziej przypomina mój przewodnik. Małą przebraną za człowieka, psa chodzącego na tylnych łapach czy może dużego wydrzaka. Nie powinienem był tego robić. Zatrzymał się nagle, cisnął mój tobolek na posadzkę, obrócił się i uniósł zaciśnięte pięści. Jego niewielkie, złe, skośne jak u wilka oczy błyskały wściekle.

„Dobrze się bawisz?!”

A to pech. Trafiłem na Mówcę.

„Jestem Stworzycielem, kmiotku z buraczanego zagonka. Jak jeszcze coś wymyślisz, to ręczę, że dalej zęby poniesiesz w garści, gnojku!”

Miałem ręce zajęte pudłami z okazami. Piętrzyły się wysoko, tak że przytrzymałem je brodą. Rzuciłem oczami na boki, gdzie by je postawić i natychmiast zrezygnowałem. Obie moje wizyty w Zamku za każdym razem zaczynały się zamieszaniem. Nie powinienem rozpoczynać trzeciej równie fatalnie. Zrobiłem skruszoną minę.

„Przepraszam.”

Kudłaty wzruszył ramionami ze wzgardą. Podniósł bagaż i poszliśmy dalej. Skoro jednak nawiązał kontakt, nie zerwał go tak od razu.

„Ty tutaj na długo?”

„Nie wiem.”

„Jesteś oglądacz, pchacz, śpioch czy może włóczykij?”

„...?”

„Co za tępy dekiel wsiowy... Jesteś Obserwatorem, Wędrowcem, Przewodnikiem Snów...?”

„Tkaczem Iluzji.”

Przeszliśmy jeszcze parę kroków. I wtedy włochaty jakby sobie coś skojarzył. Znowu zatrzymał się jak wryty. Tym razem jego szeroko otwarte oczy pełne były niedowierzania.

„Ty jesteś Kamyk!??”

„Owszem.”

Kudłaty wyglądał, jakby się dusił.

„Jeździec smoka!??”

„Czasami” - potwierdziłem ostrożnie.

Wyraźny dotąd przekaz kudłatego rozpląnął się w mieszaninie zaskoczenia, zdumienia i podziwu podszytego jednakże nieznacznym uczuciem rozczarowania. Szybko

jednak doszedł do siebie.

„Wszyscy tu na ciebie czekamy. Miałeś dołączyć do grupy z początkiem lata. Są tu wszystkie «połówki» z ostatnich trzech naborów. Tylko ciebie brakowało.”

W ten sposób dowiedziałem się, że szczęśliwie ominęła mnie wątpliwa przyjemność ślęczenia nad książkami w gorące letnie miesiące. Krąg dawał możliwość zdobycia lepszego wykształcenia u samego źródła wszystkim oczekującym na błękit mistrzów. Tyle że gdy wiadomość dotarła do Płowego, ja już dawno bawiłem się z Liska na Wyspie Szaleńca.

Pokryty sierścią chłopak nosił pasujące do niego imię: Nocny Śpiewak. Mimo wszystko najbardziej jednak przypominał wilka. Jego początkowa niechęć w jednej chwili przerodziła się w pełną entuzjazmu sympatię. Wyglądało na to, że urosłem tu do rangi postaci legendarnej - podróżnik posiadający smoczego karku; ktoś, kto owinął sobie starszyznę wokół palca, a przede wszystkim człowiek wolny od obowiązku odrabiania lekcji. Pięknie.

„Jest nas tu dwudziestu sześciu... teraz dwudziestu siedmiu. Miejsca jest dość. Możesz mieć osobną stajnię... to znaczy komnatę. Chłopaki podobierali się w pary, bo tak weselej” - objaśniał Nocny Śpiewak.

„Jest ktoś wolny?” - zaciekałem się.

„Zwycięski Promień Świtu” - Nocny Śpiewak skrzywił się, aż oczy schowały mu się w sierści. - „Cholerny książęcy syneczek. Nie radzę próbować, zwłaszcza tobie.”

Spojrzał z nadzieją.

„Masz coś przeciwko włosom w umywalce?”

„Niespecjalnie.”

„Chrapiesz w nocy?”

„Nie zauważyłem.”

„Jesteś mocny z historii?”

„Raczej tak.”

„A pijesz piwo?”

„A powinienem?” - zdziwiłem się.

„Nie pijesz. Ale nikt nie jest doskonały” - skomentował Nocny Śpiewak. - „Mam wolne wyrko. Jeśli chcesz, korzystaj.”

W ten oto sposób poznałem Nocnego Śpiewaka, o którym, bez szkody dla dalszej części tej historii mogę już teraz napisać, że stał się moim najbliższym przyjacielem zaraz po Pożeraczu Chmur. I tak samo, jak u Pożeracza Chmur, wszystkie jego wady i zalety charakteru (wady bardziej) czyniły zeń postać barwną i ze wszech miar niepospolitą. Mam chyba jakąś ukrytą zdolność do przyciągania dziwadeł.

Nie miałem innego wyboru, jak zostać w Zamku. Rezygnacja z gościnności Kręgu oznaczała zrażenie do siebie starszyny i może jakieś niemiłe konsekwencje, nie tylko dla mnie, ale i dla ojca. Najbliższą okazją posłałem do domu bardzo długi list i podarunek dla Płowego. Żałowałem, że nie zobaczę, jak będzie otwierał pudła z motylami. Mogłem tylko wyobrażać sobie jego zadowolenie.

Odwiedził mnie ten sam Mówca, z którym zetknąłem się kiedyś na egzaminie. Prosił o potwierdzenie raportu Słonego, wypytał o parę nieważnych szczegółów i dość sucho podziękował za dostarczenie ksiąg Strażnika Słów. Poczuliśmy się dotknięci. Wyobrażałem sobie, że rękopisy liczące średnio ponad pół tysiąca lat zrobią tu większe wrażenie. Gdy Mówca poszedł sobie wreszcie, zastanowiłem się, czy Słony nie miał racji, nalegając na pozostawienie księgozbioru na Jaszczurze.

Szybko jednak uleciały mi z głowy te myśli, wypchnięte przez całkiem inne problemy. Oto po raz pierwszy miałem znaleźć się w grupie chłopców zbliżonych do mnie zarówno wiekiem, jak i pozycją. Wszyscy oni zdążyli już żyć ze sobą, nawiązać kontakty rozmaitej natury - od przyjaźni do otwartej wrogości - i obawiałem się, czy zdołam wrosnąć w ten nowy dla mnie grunt. W dodatku prawdopodobnie byłem sporo opóźniony pod względem nauki. Nic więc dziwnego, że idąc wraz z Nocnym Śpiewakiem na pierwszą lekcję, czułem się chory ze zdenerwowania.

Na dodatek Nocny Śpiewak zrobił mi „wejście”, chwając się na prawo i lewo, co też za osobistość przyprowadził ze sobą. Doprawdy, większe wrażenie zrobiłbym tylko wjeżdżając na koniu, w pełnej zbroi. A przecież ani nie wyglądałem, ani tym bardziej nie czułem się jak bohater. Ćwierć setki zaciekawionych twarzy obróciło się w moją stronę. Posypały się pytania. Niektóre przekazywane wprost do mej głowy, inne za pośrednictwem Nocnego Śpiewaka. Czy naprawdę latałem na smoku? Dlaczego jestem taki opalony? Jak duży jest Pożeracz Chmur i czy zmieściłby się w tej komnacie? Ile dokładnie mam lat? Dlaczego dopiero teraz się zjawilem? Mam kwaterę razem z Nocnym Śpiewakiem... czy dobrze to przemyślałem?

Tak to, mniej więcej, wyglądało. Całkiem jak kury, które zleciały się do ziarna. I tak jak spłoszone ptactwo, gromada chłopców raptem rozbiegła się, gdy nadszedł nauczyciel. Stałem twarzą w twarz z Gladiatorem.

W tamtym momencie niewiele o nim wiedziałem. Tylko tyle, ile opowiedział mi mój włochaty przewodnik. Obserwator. Nazywano go Gladiatorem, ale nikt właściwie nie

wiedział, jak ma naprawdę na imię. Wszyscy uczniowie zwracali się do niego: „Panie” i nikt nie miałby odwagi nazwać go inaczej. Miał przykry zwyczaj zaglądania do cudzych myśli, był uczulony na spóznialskich, nie cierpiał hałasu i czepiał się o wszystko. W ciągu niewiarygodnie krótkiego czasu awansował na wroga numer jeden uciemiężonej młodzieży.

Nie zwykłem uprzedzać się od pierwszego spojrzenia, lecz wtedy zrobiłem wyjątek. Gladiator był brzydkim człowiekiem. Łysiejącym, o nabrzmałej niezdrowo twarzy z obwisłymi policzkami. Głębokie bruzdy ciągnęły się w dół od kątów jego ust nadając jego rysom wyraz wieczystego niezadowolenia. Ale nie na tym polegała jego szpetota. Taki wygląd może się zdarzyć każdemu. Coś niedobrego kryło się w jego oczach. Nieprzychylność, podejrzliwość, złość... Nietrudno było pojąć, że nie lubi tu nikogo i sam nie jest lubiany.

Ukloniłem się zdawkowo i przedstawiłem, sięgając po iluzję dźwięku. Gladiator skinął tylko głową, zaciskając wargi w wąską kreskę, i wskazał mi miejsce, gdzie miałem usiąść.

W komnacie stały, w równych rzędach, pulpity do czytania i twarde krzesła. Trafiło mi się miejsce w drugim rzędzie, prawie pośrodku pomieszczenia. Przedemną siedział jakiś nieduży chłopaczek. Zerkał na mnie przez ramię, mrugając gęsto. Wyglądał na kogoś, kto co chwila przeprosza, że żyje. Po prawej miałem Nocnego Śpiewaka, natomiast po lewej znalazł się ktoś, kto natychmiast przyciągnął całą moją uwagę. Zmierzyłem go wzrokiem od góry do dołu, zadziwiony niespotykanym widokiem. Długie włosy mego sąsiada spływały aż do połowy pleców, skręcone starannie w doskonale symetryczne loki, sztywne jak wyrzeźbione. Chłopak ubrany był w kaftan z miodowego aksamitu, pełen zakładek, z dowiązywanymi rękawami, które przecięto w paru miejscach, tak by pokazać kremowy jedwab spodniej koszuli. Szerokie, luźne spodnie sięgały mu zaledwie kolan, jakby był małym chłopczykiem. Całości dopełniały bielutkie rajtuzy i wykwentne trzewiki z zielonej, lakierowanej skóry, w miejsce zwyczajnych, mocnych butów, które włożyłby każdy normalny człowiek na obecną niepogodę. Wyglądał jak dziewczyna! Patrzyłem na niego pełen zdumienia i obrzydzenia, zastanawiając się jednocześnie, czy to może jakaś wymyślna kara i co by mogło zmusić mnie do włożenia czegoś takiego. Chyba tylko groźba utraty życia.

Przypomniałem sobie, że Nocny Śpiewak określił kogoś mianem „cholernego, książęcego syneczka”. Nie mogło chodzić o nikogo innego. Zapamiętałem też imię: Zwycięski Promień Świtu. Pasowało idealnie do tego cudaczego ptaszka. Jego rodzice mieli dość osobliwy gust. Chłopiec odwrócił się nagle i rzucił mi spojrzenie pełne zimnej niechęci. I wtedy dopiero go rozpoznałem. Wyrósł i zmienił się od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnio,

lecz nie było wątpliwości - miałem przed sobą Iskrę, znajomego żonglera z różanego ogrodu.

Tymczasem na moim pulpicie wylądowała gruba książka z kartką na wierzchu, gdzie niedbałymi znakami Gladiator nabazgrał zwięzłe polecenie: „Przeczytać od strony trzeciej do szesnastej, sporządzić streszczenie, opanować pamięciowo.”

Spojrzałem na tytuł dzieła i osłupiałem. *Polityka społeczno-gospodarcza Cesarstwa w regionach północno-zachodnich*. Przeczytałem to jeszcze raz. Może źle widzę, może nieodpowiednio rozpoznałem jakiś znak, może to wina klucza do interpretacji... Niestety. Musiałem się z tym pogodzić. Nadeszły ciężkie czasy.

Ktoś zarzucił mi do głowy wędkę mentalnego kontaktu.

„Widzę, że nie podoba ci się ten temat.”

„Nocny Śpiewak?..”

„Nie. Popatrz do tyłu, za tego aksamitnego eleganta.”

Obejrzałem się. Powitał mnie uśmiech. Chłopiec miał miłą okrągłą twarz, kilka pryszczu i widać było, że kocha jeść.

„Jestem Mówca. Koniec.”

„To wszystko?” - zdziwiłem się.

Pokazał zęby, znów się śmiejąc.

„Mam na imię Koniec. Najmłodszy z siedmiorga i mama miała już stanowczo dość. Ten obok to Winograd. Jest Bestiarem.”

Spojrzałem z zainteresowaniem. Bestiarowie zwani byli także Mówcami Zwierząt. Ciekawe, czy taki umiałby porozumieć się z łamią. Winograd z wyglądu był całkowitym przeciwieństwem Końca. Długi i szczupły jak drąg, włosy miał przystrzyżone w taki sposób, że sterczały sztywno, jak kolce poirytowanego jeża. Jego wąska, lisia twarz w pierwszej chwili robiła niesympatyczne wrażenie, ale w bystrych oczach lśniły iskierki humoru. Z wycięcia jego kurtki na moment wyjrzał klinowaty łebek szczura. Młody Bestiar pogłaskał go palcem po uchu i zwierzak schował się z powrotem.

Niewiele zrobiłem podczas tamtej lekcji. Korzystając z nieuwagi Gladiatora, wolałem pod przewodnictwem Końca i Nocnego Śpiewaka zapoznawać się z nowymi towarzyszami. Nieśmiały dzieciak przede mną nosił imię Jodłowy, ale wszyscy nazywali go Myszka, bo taki był mały i bojaźliwy. Należał do kasty Wędrowców, chyba po to, by łatwiej mu było uciekać - twierdził żartobliwie Nocny Śpiewak. Przy okazji dowiedziałem się od Mówcy, że mój towarzysz ma opinię łazika, kombinatora, hulaki i niepoprawnego kobieciarza. Niezły rejestr, jak na niespełna osiemnastolatka.

Nazywano nas „połówkami” z powodu połowy emblematu, jaką wszyscy

otrzymaliśmy. Byliśmy zbieraniną ze wszystkich stron Lengorchii i z najrozmaitszych domów. Synowie rzemieślników, rybaków i kupców, mieszczenie i ci, których członkowie Kręgu wyłowili spośród chłopów. Byli tu także wychowankowie - sieroty, jak ja, lub po prostu potomkowie magów, z nieprawego łoża. Większość nosiła zwyczajne, pospolite imiona. Prócz Zwycięskiego Promienia Świtu, który był prawdziwym „urodzonym”, mieliśmy tylko jednego Łowcę Jednorożców, jednego Gryfa i dwóch Diamentów. Nikt nie widział niczego nadzwyczajnego w tym, że trafiło tu po kilku młodych magów z jednej kasty. Aż trzech Obserwatorów, czterech Mówców i dwóch Bestiarów, dwóch Stworzycieli i parę Iskier. Kilku Strażników Słów i Wędrowców. Przewodnicy Snów też nie występowali pojedynczo... ale Tkacz Iluzji był tylko jeden. Czyli ja.

Zamek Magów jest niesamowitym miejscem, a może nawet Miejscem. Pięć wieżyc otoczonych kolistym murem - jedna pośrodku, a cztery pozostałe ustawione dookoła - stanowią rdzeń całej zabudowy. Są kolosalne. Górują nad wszystkimi innymi budynkami (a większość z nich nie jest wcale mała) jak kilka olbrzymów pośród gromady karłów lub dzieci. Gdy spojrzeć na dół z wysokiego okna wieży, okazuje się, że architekt (architekci?) zaprojektował całość w formie jak gdyby kwiatu czy też czteroramiennej gwiazdy. Dachy niższych budowli układają się według określonego wzoru, lecz widać to naprawdę tylko z góry. Na dole ma się wrażenie przyjemnego nieładu. Falista dachówka i łupkowe gonty lśnią od deszczu czerwono i srebrno. Wykończenia rynien w kształcie pysków strasznych jaszczurów oraz łbów delfinich pluja deszczówką. Kotary ciemnozielonej i rdzawej winorośli pokrywają ściany, a ich pędy ciekawie zaglądają do okien z witrażowych szybek. Lekkie, misterne balustradki ograniczają wielopoziomowe galerie, które latem dają schronienie przed upałem, a chłodną porą - przed ulewami. Gdzie tylko się dało, urządzono ogrody albo klomby z kwiatami. Róże dawno już przekwitły, lecz wciąż jeszcze trwały na posterunkach jaskrawożółte, rozczochrane chmurniki, drobne, fioletowo-czerwone „pantofelki księżniczek”, ostatnie „kocie pyszczki”, a na krzewach o przeredzonych od chłodu liściach pyszniły się garście karminowych jagód. Magazyny, stajnie, warsztaty, pomieszczenia dla służby oraz strażnice wzniesiono bliżej murów. Serce Zamku pozostało uroczym ogrodem. Poza obręb murów prowadziły dwie bramy: jedna ku przystani, druga ku mostom łączącym wyspę z lądem, na którym z czasem rozrosło się miasto kwitnące w cieniu Kręgu. Jednak jeśli ktoś nie odczuwałby takiej potrzeby, mógłby nigdy nie postawić stopy poza wyspą. Zamek Magów sam w sobie był miastem-państwem w miniaturze, a także twierdzą, która mogłaby w

razie potrzeby bronić się przez całe dziesięciolecie (choć do tej pory nikt nawet nie próbował jej oblegać).

Zanim jednak sam, na własne oczy zobaczyłem Zamek z lotu ptaka i zapoznałem się z różnymi jego osobliwościami, musiałem polegać na przewodnictwie Nocnego Śpiewaka. Wiodąc mnie dziwnymi trasami, przez dziesiątki schodów, dziedzińców, tarasów i korytarzy, z pasją i dumą objaśniał mi konstrukcję siedziby Kręgu, jakby sam był jej autorem. Zwracał moją uwagę na takie rzeczy, jak sadzawki zaprojektowane na płaskich dachach, mogące służyć jednocześnie za zbiorniki przeciwpożarowe, estakady skracające drogi między odległymi rejonami, jakieś wyjątkowo udane więźby dachowe i nietypowe rozwiązania, gdy chodziło o rozmieszczenie ramp dla Wędrowców. „Chcę zostać budowniczym” - zwierzył się, a oczy lśniły mu jak dwie gwiazdy.

„To nie będziesz Stworzycielem?” - spytałem bardzo głupio, bo skołował mnie całkiem tym natłokiem wiadomości. Spojrzał na mnie z pobłażliwym rozbawieniem.

„Ależ Stworzyciel to nie jest żaden zawód. Tak samo jak Tkacz Iluzji. Nie chciałbym objąć się przez całe życie, korzystając tylko z talentu. A ty kim zostaniesz?”

Nikt jeszcze nie zapytał mnie o coś takiego, ale na szczęście zastanawiałem się już kiedyś nad tą sprawą.

„Biologiem, specjalistą od smoków” - odparłem zdecydowanie. Nie było to żadne konkretne rzemiosło, ale najbardziej mnie pociągało.

Akurat przechodziliśmy obok jakiegoś ładnego domku, którego łukowate okna otoczone były freskami stylizowanych kwiatów. Uwaga Nocnego Śpiewaka odplynęła. Zza nie domkniętych okiennic wyglądały kobiece twarze. Na uróżowanych policzkach namalowane miały nieduże, kolorowe kwiatki; oczy grubo podkreśliły czarnym tuszem. Nie padało, ale w powietrzu unosiła się wilgoć, więc niektóre osłaniały włosy leciutkimi szalami, chroniąc kunsztowne fryzury. Nietrudno było domyślić się przeznaczenia tego miejsca. Nocny Śpiewak rozdawał uśmiechy i pocałunki, przekomarzał się z dziewczętami. Najwyraźniej dobrze znał je wszystkie. Przypominały stadko barwnych motyli i przyjemnie było na nie popatrzeć. Przez moment jednak mignął w jednym z okien ktoś jeszcze. Jasna twarz, jakby nigdy nie wystawiana na słońce, delikatne rysy i oczy podmalowane na niebiesko, obowiązkowy kwiatek na policzku, tuż pod okiem, ale nie miałem wątpliwości: chłopiec. Humor skwaśniał mi błyskawicznie.

„Nazywamy to Ogródkiem” - wyjaśnił Nocny Śpiewak, gdy poszliśmy dalej. - „Pytały, kim jest ten ładny chłopak, którego przyprowadziłem, i czy je niedługo odwiedzisz.”

Speszyłem się.

„Raczej nie. Nie podobały mi się. Uśmiech im nie sięgał oczu. Tylko jedna ucieszyła się tak naprawdę.”

„Która?” - zainteresował się Nocny Śpiewak.

„Ta z warkoczem i żółtą wstążką na czole.”

„Jesteś cholernie spostrzegawczy” - przekazał z szacunkiem, a jednocześnie z jakby lekkim niepokojem, którego wtedy nie mogłem zrozumieć.

„To część talentu. Tam są...” - zawahałem się - „nie tylko dziewczęta.”

Nocny Śpiewak wzruszył ramionami i otworzył przede mną drzwi naszej komnatki, gdyż właśnie doszliśmy na miejsce.

„Takie jest życie, bracie. Przywykniesz.”

Wszystkie „połówki” mieszkały na najniższym poziomie tej samej galerii, identycznej z tą, którą zwiedziłem podczas pierwszej bytności w Zamku. Takie same zarośla różane, podobny układ ścieżek i tylko fontanna była inna -zamiast figurki chłopczyka z gęsią, na cokole stała postać kobieca trzymająca na ramieniu przechylony dzban.

Drzwi do poszczególnych kwater zaopatrzone w tabliczki z imionami mieszkańców, ale często prócz tego znajdowały się na nich emblematy kast, zabawne rysunki i napisy. Ktoś wywiesił karteczkę: „Geometria dla karaluchów. Tanio.” Gdzie indziej przeczytałem: „Wino wrogiem twego umysłu. Likwiduję wrogów w dni nieparzyste.” Na drzwiach należących do Końca wisiał całkiem udany portrecik krągłego Mówcy, unoszącego się w obłokach jak wypełniony gorącym powietrzem balon. Natomiast wierzeje Nocnego Śpiewaka (teraz także moje) zdobiła wytłoczona z mosiężnej blachy głowa psotnie uśmiechniętego kota.

Wnętrze było jasne i obszerne na tyle, by dwóch ludzi mogło mieszkać razem, nie wadząc sobie nawzajem. Do tego bardzo przytulne. Na ścianach porozwieszane były drzeworyty, szkice tuszem i obrazki wykonane farbami wodnymi. Odzwierciedlały dwa kierunki zainteresowań Nocnego Śpiewaka - rozmaite detale architektury na przemian z nagimi kobietami. Poza tym wszędzie, niemal na każdym wolnym miejscu stały jakieś ładne drobiazgi, jakby ta komnata była miniaturowym bazarem. Srebrne naczynia, figurki z porcelany, szklane kulki przemieszane z biżuterią, szczegółowe modele różnych budowli w sąsiedztwie pogniecionych papierów i kawałków kartonu, książki porozkładane niedbale grzbietami do góry, wstydliwie upchnięta do kąta włóczkowa wiewiórka obok potwornej wielkości wazonu z rżniętego kryształu. A prócz tego skłębione części ubrań porzucane byle jak i byle gdzie. Nie da się ukryć, że Nocny Śpiewak był okropnym bałaganiarzem. Ale to

może cecha Stworzycieli. Co najdziwniejsze, zawsze wszystko potrafił znaleźć w tym mętliku.

Na wewnętrznej stronie drzwi przyczepiony był spory kawałek pergaminu. Kanciastym pismem, niepodobnym do znaków Nocnego Śpiewaka, ktoś wypisał na nim następujące wersy:

Młody człowiek aspirujący do godności członka Kręgu, winien:

- *okazywać szacunek starszym wiekiem z racji ich godności i doświadczenia,*
- *nie pospolitować się ze służbą oraz ludźmi najniższego stanu, a tym bardziej przejmować ich nieodpowiednie obyczaje,*
- *w obejściu być skromnym, w wyglądzie schludnym,*
- *pamiętać o każdym czasie, iż fundamentalnym jego obowiązkiem jest zdobywanie umiejętności oraz rozwijanie przyrodzonych zdolności. Walczyć winien z nieprzystojnymi przywarami charakteru, takimi jak lenistwo, pustota, łakomstwo i niecierpliwość oraz gniew. Nieumiarkowane pożądanie właściwe jest zwierzętom, a kłamstwo i pycha niegodne są maga.*

I tak dalej, aż do samego dołu.

Brnąłem przez to z rosnącym zdumieniem i rozbawieniem. Zwłaszcza, że Nocny Śpiewak soczyście komentował niektóre fragmenty. Przy niektórych akapitach narysowane były czerwonym atramentem tajemnicze znaczki.

„Te rzeczy już zaliczyłem” - objaśnił Nocny Śpiewak.

„Nieumiarkowanie i tak dalej?”

„Większość kończy się na gadaniu. Ale spróbuj podebrać medykom trochę spirytusu... Złapią cię na picciu i ściana pewna.”

„Jaka «ściana»?”

Wtedy Nocny Śpiewak przekazał mi klarowny obraz chłopca bez koszuli, jak wyprostowanymi rękami wspiera się o ścianę, a starszy mag zamierza się złożonym w kilkoro rzemieniem na jego plecy. Wzdrygnąłem się.

„Żartujesz? To jest kara jak dla niewolnika.”

„Tym większa hańba. W każdym razie oni tak myślą.”

„A tobie ile razy to się zdarzyło?”

Nocny Śpiewak machnął lekceważąco ręką.

„Kto by to liczył... Raz wypuściłem w świat chyba z tysiąc złotych «paetek» cesarskich. Rynek w okolicy kompletnie się załamał. Połapali się, bo kruszec był zbyt czysty.”

Postanowiłem w duchu, że nigdy, przenigdy nie zasłużę na „ścianę”. Umarłbym chyba ze wstydu.

Nieźle układało mi się z Nocnym Śpiewakiem. Zupełnie nie przeszkadzało mi na przykład, że włóczy się gdzieś po nocach jak nawiedzony kocur, a czasami przychodzi niezupełnie trzeźwy. Mógł wracać o dowolnych porach, kopać drzwi i przewracać meble, mnie nic nie ruszało, jeśli tylko nie świecił mi w oczy lampą.

Odrabiał za mnie matematykę, która zawsze była moją słabą stroną. Za to ja poprawiałem mu wypracowania, usuwając z nich rewelacje w rodzaju: „Bakterie to są małe stworzonka z ogonkami, których dostaje się od niemycia rąk.”

Pod pewnymi względami przypominał Pożeracza Chmur. Był tak samo ruchliwy, pyskaty i bezczelny, a do tego mył się prawie równie rzadko jak smok. Zamiast tego szcztokował się regularnie, co było zupełnie zrozumiałe przy tak gęstych włosach, jakie go porastały. Uplłynął jednak długi czas, zanim wyklarował mi się prawdziwy obraz Nocnego Śpiewaka. Pod maską zuchwałego nicponia i szydery krył się wrażliwy, czuły na piękno człowiek, który cierpiał z powodu swego wyglądu i rozpaczliwie pragnął akceptacji. Stąd jego popisy, pozorne lekceważenie wszystkiego, podarunki rozdawane lekką ręką przy różnych okazjach oraz bez okazji. Przez dłuższy czas zbierałem fragmenty wiadomości na jego temat. Czegoś dowiedziałem się od chłopców, czegoś innego od starszych magów, trochę opowiedział mi sam Nocny Śpiewak i tak złożyłem w całość jego historię.

Siedemnaście lat temu, podczas jarmarku w pewnym mieście nad Zatoką Cesarską, do namiotu właściciela cyrku-zwierzynca weszła młoda kobieta z drącym się na potęgę zawiniątkiem. Wyszła bez tobołka, za to z wyrazem ulgi na twarzy. Niedługi czas potem w zwierzyncu pojawiło się dziecko wilk karmione podczas występów surowym mięsem. I to chyba tylko podczas występów. Przez sześć lat właściciel zwierzynca dorabiał się na małym „wilkołaku”. Coraz częściej jednak zaglądał do dzbana z winem, coraz mniej za to dbał o chłopca. Co tu ukrywać, znęcał się nad nim w sposób, przy którym „ściana” wydaje się pieszczotą. Talent magiczny objawił się u chłopca stosunkowo późno, lecz za to niezwykle gwałtownie. Właściciela cyrku pochowano pospiesznie, bez zwyczajowego stosu i kapłana. Podobno w bardzo małych kawałkach. Sprawy nie dało się ukryć. Plotki dotarły do

najbliższego Mówcy na posterunku w wieży przekaźnikowej. Zajął się posiniaczonym, na pół zagłodzonym i zdziczałym dzieciakiem. Nauczył go jakich-takich manier, nadał imię, a potem posłał wprost do siedziby Kręgu. Nocny Śpiewak wyrósł w Zamku i znał go jak własną kieszeń. Włochatego podrzutka wychowywali wszyscy po trochu i nikt w szczególności. Większość uważała, że Nocny Śpiewak to kara Losu, a niektórzy myśleli, czy zawczasu nie rzucić się na miecz, zanim zostanie Mistrzem. Jego przeznaczenie do „błękitnych” nie ulegało wątpliwości. Niewiele było rzeczy, których by nie potrafił zrobić. Sprawa rozchwiania handlu za pomocą sfałszowanych monet to był zaledwie koniuszek ogona; gdyby dogrzebać się reszty, na młodym Stworzycielu nie zostałyby skrawek całej skóry.

Z początku bałem się, jak przyjmie mnie reszta „połówek”. Niesłyszący kolega mógłby stać się znakomitym celem niewybrednych żartów. Na szczęście były to płonne obawy. Dano mi przyjaźń i szacunek na kredyt, a ja starałem się nie zawieść niczyjego zaufania. Utarło się, że talenty są wspólnym dobrem i nikomu nie wolno odmówić przysługi, jeśli jej potrzebuje. Tak więc, jeśli byłeś sąsiadem Iskry, miałeś zawsze zapewnioną ciepłą wodę do porannego mycia. Zapominalski, który nie wziął na lekcje notatnika, mógł liczyć na Wędrowca. Stworzyciele zajmowali się stępionymi nożami do przycinania piór i rozdzielali sprawiedliwie cukierki, bo tych autentycznych zawsze było za mało. Nieraz otrzymałem ostrzeżenie od jednego z Mówców: „Uwaga, Gladiator cię «czyta».” Ja zaś oferowałem moim nowym towarzyszom miłe wieczory spędzane wspólnie w iluzyjnych światach. Na życzenie widzów zabierałem ich na smocze wyspy, gdzie do woli mogli obserwować skrzydlate olbrzymy. Wędrowali po dżungli, mając za przewodniczkę miraż Jagody. Oglądali podwodne krajobrazy u wybrzeży Jaszczura. Jeszcze raz przeżywali wraz ze mną atak syren. Podpatrywali piratów i głaskali Liskę.

Nocny Śpiewak nie mógł natomiast oderwać się od mirażu starożytnych ruin na Archipelagu.

„Gdyby można było podnieść to z upadku... zasiedlić na nowo... Tyle możliwości” - wzdychał tęsknie.

Zaprzyjaźniłem się nie tylko z Nocnym Śpiewakiem. Stworzyliśmy zwartą gromadkę wraz z Końcem i Winogradem, a w krótkim czasie dołączył do nas Wędrowiec Myszka, który dzielił komnatę z Bestiarem. Wszyscy byli zgodni, że jeśli ktokolwiek nadaje się do oswojenia Myszkę, to tylko łagodny i cierpliwy Winograd, którego kochały szczury oraz wszystkie psy, koty i gołębie w okolicy. Włóczyliśmy się razem po całym Zamku, docierając

aż na mur Iskier, gdzie ścigaliśmy się na jego zwieńczeniu, szerokim jak aleja. Łaziliśmy po armatach, śniedziejących spokojnie na swych łożach i huśtaliśmy się na ramionach katapult. Siadywaliśmy na koronie muru, zwieszając nogi nad przepaścią. Jedliśmy chleb z twardym serem i ciastka, w które zawsze zaopatrzone był Koniec.

Ponownie zetknąłem się z Wiatrem Na Szczycie. Cieszył się, że zostaję na dłużej. Docenił moją umiejętność rzucania nożem i zaproponował naukę walki na miecze. Walki, a nie eleganckiego machania klingą, modnego na dworach.

„W bitwie liczy się ten, kto ma większy miecz i jest szybszy. Reszta to zawracanie głowy” - twierdził wojowniczy mag, ćwicząc mnie do upadłego.

Zupełnie szczerze mógłbym przyznać, że jestem zadowolony i dość szczęśliwy w nowym „domu”, gdyby nie... No tak, gdyby nie Zwycięski Promień Świtu i Gladiator.

„Jak silny talent ma to książątko?” - spytałem pewnego razu Nocnego Śpiewaka.

„Cholerycznie silny” - odparł Stworzyciel. - „Mógłby zagotować staw w minutę i nawet się nie spocić.”

„Ale nie ma z tego powodu żadnych defektów, jak ja albo ty” - zastanowiłem się.

„Jego defektem jest charakter” - podsumował Nocny Śpiewak i zasłonił się skrytem do geometrii na znak, że nie ma ochoty nawet myśleć o Iskrze.

Prawda. Jak długo żyję, nie zdarzyło mi się spotkać równie rozpuszczonego, złośliwego, aroganckiego, nieużytego i pyszałkowatego gówniarza. Oczywiście jest, że należał do naszego grona tylko formalnie. Mieszkał sam, jedynie z osobistym służącym, a cała reszta chłopców omijała go jak trędowatego. Jeśli ktoś oparzył się o gałkę przy drzwiach, jeśli komuś zupa na łyżce w jednej chwili zmieniła się we wrzątek, albo zagotował się atrament w kałamarzu (chlapiąc efektownie na wszystkie strony), jeżeli osłupiały ze zgrozy znalazłeś wypaloną dziurę w samym środku wypracowania, przyczyna wszystkich tych nieszczęść była zawsze jedna - Zwycięski Promień Świtu. Nie było na niego siły. Jego talent należał do tych niszczycielskich, więc czuł się całkowicie bezkarny. Niejednokrotnie młodzi Stworzyciele zastanawiali się, czy nie zamienić go w jakiś użyteczny przedmiot (na przykład nocnik), a Wędrowcy chętnie wysłaliby go gdzieś, skąd nie ma powrotu. Byłoby to jednak przekroczeniem prawa Kręgu i pociągnęłoby za sobą najsurowsze kary.

Gladiator pozornie miał mniejsze możliwości, by nam dokuczyć. Tylko pozornie.

Nie rozstawał się, na przykład, z grubą trzcina. Nie, nigdy nie próbował żadnego z nas uderzyć. Pewnie zdawał sobie sprawę, że to doprowadziłoby do otwartego buntu. Uwielbiał

za to czatować na tych, którzy zamyślali się podczas lekcji i walił z nienacka trzcina w ich pulpity. Ze mną mógł próbować tej sztuczki dowolnie długo; najwyżej zainteresowałbym się, co też pojawiło się nagle w moim polu widzenia. Lecz moi biedni koledzy nieraz podskakiwali pod sam sufit, przestraszeni nagłym hukiem.

Bezbłędnie wyczuł moje słabe punkty i regularnie torturował arytmetyką oraz wzorami geometrycznymi. Dla urozmaicenia przeplatał to nudnymi aż do mdłości rozprawami o filozofii oraz życiorysami kolejnych cesarzy, a wybierał niemal wyłącznie takich, którym nie przydarzyło się nic szczególnie ciekawego. Powyżej uszu miałem pisanie rozprawek z literatury na temat: „Co autor miał na myśli” i mechanicznego wkuwania na pamięć reguł. Inni cierpieli tak samo. Nazywało się to „wyrównywaniem braków”, a było po prostu skutecznym zabijaniem w nas zainteresowania nauką. Płowy, choć jest tylko wiejskim lekarzem, potrafiłby nauczyć nas nieporównywalnie więcej w znacznie krótszym czasie i bez oporu ze strony nauczanych. Wiem to z własnego doświadczenia.

Na domiar złego nie dano nam swobodnego dostępu do zamkowej biblioteki. Cenne rozprawy, traktaty, pamiętniki - spuścizna po nie żyjących już magach, zarówno „błękitnych”, jak i „czarnych”, nie były przeznaczone dla rozhukanej młodzieży. A właśnie takie materiały nas najbardziej pociągały. Moje zainteresowania na przykład już dawno ustabilizowały się w okolicach zoologii. A lata przebywania w domu Płowego dały mi całkiem solidne podstawy w medycynie. Nasz nauczyciel jednak jakoś zdawał się tego nie zauważać.

Doszło w końcu do tego, że Wędrowcy nielegalnie przenikali do zakazanych pomieszczeń i wynosili książki dla wszystkich żądnych wiedzy. Czytaliśmy te woluminy ukradkiem po nocach, jak kiedyś w dzieciństwie opowieści o piratach, skarbach, potworach i okrutnych wojnach z barbarzyńcami.

Jak już wspomniałem, Gladiator nie używał swojej trzciny, za to chłostał słowem. Nocny Śpiewak, jeśli zostałby w końcu wyrzucony z Zamku Magów za skandaliczne prowadzenie się, zawsze mógłby zrobić karierę jako „pies łańcuchowy”. Diament Przewodnik Snów był „odporny na wiedzę”, a Diament Wiatromistrz powinien „poważnie zastanowić się nad tym, czy potrafiłby szyć buty”. Koniec byłby „geniuszem, gdyby to zależało tylko i wyłącznie od jedzenia”. Myszka był „płaksą”, a Obserwator Klinga „tak tępy, że przynosił wstyd swemu imieniu”. Mnie, jako że byłem najwyższy w grupie, „wszystko poszło we wzrost, a nic nie zostało na rozum”. Przez Mówców i Stworzycieli docierała do mnie tylko część tych określeń i po raz pierwszy w życiu czułem ulgę, że jestem głuchy.

Po jednym z zajęć, gdy Gladiator urządził prawdziwy pogrom, zadałem pytanie Końcowi:

„Czy myślałeś kiedykolwiek o samobójstwie?”

„Samobójstwie? Nie, Kamyk...” - przekazał z miną pełną rezygnacji. - „Ale o morderstwie myślę dość często.”

Z kolei Winograd, który hodował pod łóżkiem aż pięć szczurów, prowadził z Gladiatorem prawdziwą wojnę. Na nic nie przydawały się tłumaczenia, że jego zwierzaki są oswojone, czyste, niczego nie niszczą i nikomu nie przeszkadzają. Gladiator nie miał zamiaru tolerować „roznosicieli zarazy” i ciągle domagał się ich likwidacji. Biedny Winograd drżał z lęku o swoich ulubieńców, słusznie podejrzewając, że nasz nauczyciel byłby zdolny do użycia trucizny.

Gdzieś około zimowego przesilenia nadeszła wreszcie przesyłka od Płowego. Zawierała kilka rzeczy, o które prosiłem, między innymi mój diariusz oraz bardzo gruby list. Czytałem go z mieszanymi uczuciami.

Ojciec był wdzięczny wszelkim możliwym bóstwom, że wyszedłem cało (czy też prawie cało) z tarapatów. Ubolewał nad tym, że w sumie najgroźniejsze niebezpieczeństwo groziło mi ze strony ludzi, a nie smoków. Wylewnie dziękował za zbiór egzotycznych owadów i chrząszczy. Pytał o sprawy, o jakie zwykle pyta się w listach - zdrowie, kolegów i nauczycieli i czy nie trzeba mi czegoś jeszcze prócz przysłanych mi już wcześniej przedmiotów. Żałował, że zatrzymano mnie w Zamku i zobaczymy się dopiero na wiosnę, po wylewach. Przy okazji pytał zawczasu, co chciałbym dostać na siedemnaste urodziny. Dowiedziałem się paru plotek. Bednarz pokrył swoją klacz ogierem cieśli, bez zgody właściciela, i doszło do poważnych niesnasek. Czyjaś żona po raz kolejny powiła bliźnięta. Chłopak imieniem Sokolnik (jeden z moich najzaciętszych wrogów z lat dziecińczych) zaciągnął się do wojska. Niektórzy mieszkańcy Żmijowych Pagórków pytali od czasu do czasu, gdzie się podziewa „ten milczek Kamyk i jego kuzyn” i Płowcy musiał wymyślać różne bajki. Najważniejsze jednak mój przybrany rodzic zostawił na koniec. U schyłku lata przywędrowała do osady młoda kobieta. Była wygłodzona i nędznie ubrana, a na dodatek miała przy sobie dziecko. Smutny rezultat przelotnej miłości jakiegoś maga, który oczarował dziewczynę, a potem ją porzucił. Chłopczyk nie wykazywał żadnych oznak magicznego talentu, więc Krąg się nim nie zainteresował. Płowcy ulitował się nad tą nędzą, zaproponował, by samotna matka zajęła się jego starokawalerskim gospodarstwem. Okazało się, że Wierzba jest pracowita, czysta, bardzo miła i świetnie gotuje i robi bardzo dobre ciasto, i potrafi szyć... i tak dalej. A małego Jesiona jest wszędzie pełno, gada jak najęty i o wszystko pyta.

Przyjemny dzieciak, bardzo żywy, całkiem jak „tamten łobuziak sprzed lat.” Dało się wyczuć między wierszami, że Płowy stopniał jak masło w garnku i muszę się posunąć w jego sercu, by zrobić miejsce tamtem dwojgu. Ogarnęła mnie dziwna melancholia, ale jednocześnie przyjemnie mi było, że Płowy nie jest samotny.

Odpisałem na wesoło, starannie omijając wszelkie rzeczy dotyczące mych porażek w nauce. Jestem zdrowy, nic złego mi się nie dzieje, mam przyjaciół, uczę się szermierki, a na urodziny chcę braciszka w ładnym opakowaniu.

Nocny Śpiewak na moją prośbę wykonał kilka zabawek i kawałek tkaniny na sukienkę od święta. Podążyło to razem z listem na północ, przez kolejne rampy Wędrowców, aż do stacji kurierskiej w okręgu Lenn, skąd miało trafić do Pagórków.

Przez chwilę miałem problem z chronologią. Przy wielu zapiskach brakuje dat, a moi koledzy często nie mogą dojść do porozumienia, co zdarzyło się najpierw, a co potem. Pewne jest jednak, że wydarzenia dotyczące Iskry i moja choroba były równoległe. Sprawa Myszki wypłynęła jeszcze przed walką o Nocnego Śpiewaka, a to, co dotyczy Kowala, Wiatru Na Szczycie i Srebrzanki, należy umieścić gdzieś pośrodku. Do tego opisy wydarzeń, których świadkiem nie byłem, muszę wyciągać od innych, a zauważyłem, że nie zawsze mają na to ochotę, lub przekręcają fakty, chcąc ukazać się w lepszym świetle.

Była już głęboka noc, gdy Nocny Śpiewak wracał do swojej kwatery. Wiatr rwał chmury nad Zamkiem i nadgryziona tarcza księżycy co rusz pokazywała się w dziurach, oświetlając drogę niepoprawnemu włóczykijowi.

- Bez łaski - szepnął do siebie chłopiec, mając na myśli podniebną lampę. Znał rozkład budowli tak samo dobrze, jak ustawienie sprzętów we własnej komnacie. Trafiłby wszędzie nawet w kompletnych ciemnościach. Przemykał w cieniach, kładących się pod ścianami. Omijał bezszelestnie nieliczne strażę. W ogrodach dwukrotnie natknął się na groźniejszych strażników - wielkie, drapieżne koty sprowadzone z Gór Zwierciadlanych. Nie bał się zupełnie. Drapał między uszami krągłe łby. Zwinne cielska ocierały się o jego nogi, mrucząc przyjaźnie. Koty rozpoznawały swego. Serce Nocnego Śpiewaka drżało radośnie, miał ochotę nucić, roznosiła go energia. Przeskakiwał po dwa stopnie na raz, wchodził na balustrady i balansował na ich wąskich krawędziach tanecznym krokiem. We włosach został mu jeszcze zapach pachnideł, a dłonie pamiętały rozkoszne kształty i ciepło kobiecego ciała.

- Aaach... - westchnął i aż przymrużył oczy, uśmiechając się do świeżych wspomnień.
- Czarodziejka...

Dotarł do różanej galerii, siedziby „połówek”. Zwolnił kroku, by uciszyć postukiwanie obcasów, odbijające się lekkim echem od ścian. Na palcach przemykał się przed szeregiem drzwi. Większość chłopaków pewnie już spała kamiennym snem, podobnie jak współlokator młodego Stworzyciela. Kamyk był niekłopotliwy, sympatyczny na swój sposób i niewiele rzeczy było w stanie go rozdrażnić. Jego tolerancja dla wybryków towarzysza osiągnęła poziom spokoju krowy przeżuwającej trawę na pastwisku. Tak w każdym razie uważał Nocny Śpiewak. Czasami czuł się nieco rozczarowany. Spodziewał się, że smoczy jeździec, podróżnik, który walczył z piratami i różnymi potworami, będzie towarzyszył mu w jego wyprawach, zbytkach i drobnych matactwach. Niestety, Kamyk okazał się straszliwie porządny. Kładł się wcześniej, wstawał jeszcze wcześniej. Systematycznie odrabiał ćwiczenia, alkoholu nie brał do ust, dziewczyny dla niego nie istniały. Ogólnie, był idiotycznie dobrze wychowany.

Nocnego Śpiewaka dzieliła już niewielka odległość od własnych drzwi, gdy raptem ostatnie w szeregu otworzyły się nagle, z rozmachem uderzając o ścianę. Na galerię chlusnęła struga światła i z wnętrza komnaty wypadła smukła postać z rozwianym włosiem, potykając się na progu. Nocny Śpiewak zamarł. Długowłosego chłopiec zrobił ruch, jakby zrywał się do biegu. W tej chwili od kolumny oderwała się ciemna sylwetka, stając za nim. Jej ręce wykonały błyskawiczny ruch nad głową chłopca. Krzyk zamarł w powietrzu, zduszony do cichego charkotu. Młody mag miotał się, ledwo dotykając ziemi stopami, jak ryba pochwycona na wędkę. Sięgnął ku tyłowi, wczepiając palce we włosy napastnika. Rozległ się przytłumiony wrzask bólu. Nocny Śpiewak otrząsnął się z zaskoczenia, wyszarpnął nóż z za cholewki buta. W dwóch skokach znalazł się tuż przy walczących. Z krótkiego rozmachu wbił ostrze w bok wyższego mężczyzny. Czuł, jak klinga zatrzymuje się na żebrze. Skrytobójca puścił ofiarę, usiłując kopnąć Stworzyciela w brzuch. Chłopak uchylił się w ostatniej chwili i chwycił mężczyznę za kostkę, szarpiąc z całej siły. Rzucił się na obalonego przeciwnika, ponawiając cios nożem, tym razem pod żebra. Linka owinęła się wokół jego szyi, poczuł ucisk kciuka na tętnicy. Pod czaszką Nocnego Śpiewaka załomotały ciężkie młoty. Rozpaczliwie kłuł nożem raz za razem, zdając sobie sprawę, że traci przytomność. Nagle ucisk zelżał. Ręce zabójcy puściły końce linki i opadły bezwładnie na boki, stukając kostkami palców o posadzkę. Chłopiec zaczerpnął ciężko powietrza, ze wstrętem ściągnął sznur z szyi i podniósł się z martwego ciała. Obok siedział oszołomiony, na pół przytomny Zwycięski Promień Świtu. Nocny Śpiewak złapał go pod pachy i z trudem postawił na nogi. Iskra

przyciskał obie dłonie do gardła, jego szeroko otwarte oczy błędziły bezmyślnie w przestrzeni. Ktoś, zwabiony hałasem, otworzył drzwi na galerię.

- Co się tam dzieje?!... - rozległ się zirytowany, zaspany głos z głębi.

- To znowu Śpiewak. Z panienką - odrzekł inny, dostrzegając widocznie tylko dwie splecione ze sobą postacie, z czego jedną długowłosą.

- Do czarnej zarazy! Czy on to musi robić właśnie tutaj?!

Drzwi zamknęły się na powrót.

Nocny Śpiewak potrząsnął Iskrą, ale nie wywołał żadnej reakcji poza jękiem.

- Trudno, trzeba będzie obudzić Kamyka - mruknął.

Nie spałem. Zemściło się na mnie picie zimnej wody ze studni po ćwiczeniach z mieczem. Drapało mnie w gardle. Leżałem po ciemku z otwartymi oczami i rozważałem, czy jutro zgłosić dolegliwość, co uwolniłoby mnie przynajmniej na jeden dzień od Gladiatora, czy iść na lekcje, nie ryzykując niemiłych zabiegów ze strony lekarza.

Toteż gdy do komnaty wpadł Nocny Śpiewak, podtrzymujący słaniającego się Zwycięskiego Promienia Świtu w niekompletnej odzieży, byłem całkowicie przytomny. W świetle zapalanej przez Stworzyciela lampy zobaczyłem krew na szyi Iskry i na rękach Nocnego Śpiewaka. Pierwsza moja myśl była kompletnie bezsensowna: mój przyjaciel poderznął gardło Iskrze.

Pospiesznie wkładałem na siebie przypadkowe części ubrania, podczas gdy Nocny Śpiewak przekazywał mi, co się zdarzyło, szorując ręce w miednicy.

Zwycięski Promień Świtu leżał na jego łóżku, kredowo blade, z szyją owiniętą ręcznikiem.

„Nie miał chłop kłopotu, wziął sobie młodą babę” - wyrzekał Nocny Śpiewak, trzęsąc się z nerwów. - „Trup na korytarzu, krew... Co z tym dworskim pieskiem, zostanie mu tak?”

Obejrzałem Iskrę. Był zupełnie bierny. Oprócz zdartego kawałka skóry z szyi nie znalazłem na jego ciele żadnych obrażeń. Źrenice miał wielkie jak talerzyki.

„Jest w szoku. Wystarczy, że się prześpi, a dojdzie do siebie. Będzie taki sam jak przedtem, albo i gorszy.”

Nocny Śpiewak dygotał coraz bardziej, ogarnięty spóźnioną paniką. Wpatrywał się we mnie zrozpaczonym wzrokiem.

„Kamyk, ratunku... Przed chwilą zadźgałem na galerii człowieka! Zarządca obedrze mnie ze skóry!”

„Bredzisz. To była obrona konieczna. Uratowałeś życie temu tutaj.”

„Nie powinno mnie tam wcale być. Powinienem być grzecznie leżeć w łóżku” - upierał się Nocny Śpiewak. - „Zacznę pytać, co robiłem po nocy. Dowiedzą się, gdzie byłem... Nie mogę się przyznać...”

„Znów byłeś w Ogródku?”

„Ogródek to nic. Jest legalny. Błagam, nie wydaj mnie...”

„Co nabroiłeś?”

- Nocny Śpiewak nachylił się ku mnie, jakby chciał szeptać, a ktoś mógł go podsłuchać.

„Żona zarządcy wschodniej wieży” - wydusił z siebie bezradnie.

Zakryłem oczy w geście rezygnacji.

„Gdzie ty masz rozum? Między nogami? I właściwie co te baby w tobie widzą?”

Była to jedna z niepojętych tajemnic natury.

Czas biegł nieubłaganie. Na galerii leżał nieboszczyk, lada chwila mógł natrafić na niego nocny patrol lub zapach krwi przywabiłby hajgońskie pantery. Jedyńm człowiekiem, jaki przyszedł mi na myśl i do którego mieliśmy zaufanie, był Wiatr Na Szczycie.

Zaciągnęliśmy trupa do komnaty Zwycięskiego Promienia Świtu i o niemiły wstrząs przyprawił nas widok drugiego ciała. Zabitym okazał się służący Iskry. Leżał na podłodze przy swoim posłaniu i wyglądał, jakby spał. Tyle że śpiący raczej nie kładą się na twardych deskach i raczej starają się oddychać. Pozostawiłem Nocnego Śpiewaka przy ciałach, a sam czym prędzej pobiegłem, by sprowadzić Wiatr Na Szczycie. Tak bardzo się spieszyłem, że nie wziąłem nawet kurtki.

Przekradałem się na przełaj, dziwnymi skrótami, przez ogrody kwiatowe i warzywniki, po klamrach dla czyścicieli rynien i po wierzchołkach murów. Raz i drugi przeczekiwałem idące patrole. W ogrodach dopadły mnie pantery. Zamarłem bez ruchu, gdy wielkie łapska oparły się o mój brzuch, a wrażliwy koci nos węszył badawczo. Widocznie jednak miałem odpowiedni zapach, bo przepuściły mnie dalej. Ominąłem główne drzwi prowadzące do kwater zajmowanych przez kilku „błękitnych” magów. Na korytarzu mogłem natknąć się na któregoś sługę z nocną zmiany. Nie miałem ochoty podnosić na nogi wszystkich mieszkańców. Wiedziałem, że okna komnat Mistrza Iluzji wychodzą na wewnętrzny dziedziniec, a pod nimi biegnie ozdobny gzyms, dość szeroki, by na nim stanąć, przedostawszy się nań z galeryjki obok. Teraz wydaje mi się te dość głupawe: chodzić przy niepewnym świetle księżycy po występie niewiele szerszym niż szarfa, ale człowiek w niektórych stanach ducha zdolny jest do dziwnych rzeczy. Nie mogłem sobie przypomnieć,

czy okno otwiera się na zewnątrz, czy do wewnątrz. Sunąłem, kroczył po kroczeniu, przyklejony do ściany i myślałem, czy popędliwy Hajg, wyrwany nagle ze snu, nie skręci mi karku, zanim mnie rozpozna. Okno otwierało się do środka i do tego było lekko uchylone. Z ulgą wsunąłem się przez nie. Wewnątrz było mroczno. Nędzny płomyczek nocnej lampki, częściowo przysłonięty, oświetlał tylko jeden kąt. Przez moment zastanawiałem się, gdzie stoi łoże maga i jak go obudzić bez wszczynania alarmu. Niespodzianie objęło mnie dwoje mocnych ramion i poczułem na policzku szorstki zarost. Przeraziłem się niebotycznie! Kopnąłem tego kogoś w kostkę i wyrwałem się gwałtownie z czułych objęć. Wpadłem na jakiś mebel, wyrznąłem w coś głową, aż zobaczyłem gwiazdy. Pojaśniało. Obok stał Wiatr Na Szczycie z lampą w ręku. Na mój widok oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, następnie poczerwieniały, a jego twarz ściągnęła się w grymasie gniewu.

„Wytlumacz mi, młody człowieku...” - w powietrzu pojawiały się kolejno staranne znaki pisma - „co robisz o tej porze w mojej sypialni!? Lekcje szermierki odbywają się na zewnątrz, tutaj nie mam zamiaru niczego cię uczyć!”

„Czy ja wyglądam na dziewczynę?! Nawet w nocy!?” - odpaliłem natychmiast, trzęsąc się ze zdenerwowania. -”Co ty chciałeś zrobić?”

Widziałem, że z trudem zachowuje spokój.

„Tego już za wiele. Masz dziesięć sekund, zanim cię stąd wyrzucę. A jutro staniesz pod ścianą u zarządcy, przysięgam na Matkę Świata.”

Tego się po nim nie spodziewałem.

„Mamy trupa. Dwa trupy” - wypisałem w powietrzu i skuliłem ramiona, bo zrobił ruch, jakby chciał mną potrząsnąć.

Postawił lampę na stole i zaczął się pospiesznie ubierać.

„Na Miłosierdzie... Kamyk, w co ty się wplątałeś? Kto i gdzie?”

„U nas. A kto, nie wiemy.”

„Trzeba zawiadomić strażnicę.”

„Nie mogę. Ze względu na Nocnego Śpiewaka. Dowiesz się na miejscu.”

Było mi zimno. Wiatr Na Szczycie zauważył to i rzucił mi swój płaszcz.

„Wkładaj! Głupi pomysł, biegać w środku zimy w samej koszuli.”

Już na miejscu Wiatr Na Szczycie starał się odtworzyć przebieg wydarzeń. Sługa Zwycięskiego Promienia Świtu zginął jako pierwszy, w sposób łagodny, od trucizny. Prawdopodobnie przeznaczona była dla chłopca, ale nie zjadł czy też nie wypił tego, w czym była. Morderca czekał na zewnątrz, pragnąc stwierdzić, czy jego podstęp się powiodł. Nie spodziewał się kłopotów, bo miał przy sobie jedynie łatwą do ukrycia linkę. Może myślał, że

zatrute danie spożyje tylko Iskra, a ze służą łatwo sobie poradzi. A może odczekiwał po prostu pewien czas, by bez przeszkód przeszukać komnatę. Na swoje nieszczęście zetknął się z młodym magiem. Na głowie zabitego widniały głębokie, wypalone ślady, tam gdzie dosięgły go dłonie Iskry. Gdyby przeżył, bezpowrotnie straciłby całą urodę. Największa jednak zasługa przypadła Nocnemu Śpiewakowi, który nadszedł w odpowiednim momencie.

„Zawsze mówiłem, że ochrona jest tu dziurawa jak portki żebraka” - narzekał Wiatr Na Szczycie, z urazą wypisaną na twarzy. - „Ale kto słucha wytatuowanego dzikusa? Strażników jest za mało i łążą jak śnięci. Cały Krąg rozleniwiał się bezwstydnie.”

„Pantery też zawiodły” - dodałem nieśmiało, bo te wielkie koty były dumą i ukochaniem Mistrza Iluzji. To on domagał się przed laty ich sprowadzenia. Sam doglądał ich hodowli i tresury. Toteż zachnął się.

„To tylko zwierzęta. Moje kotki dobre są na złodziei i takich, co próbują przeleźć przez mur z zewnątrz. Ten tutaj przygotowywał się od dłuższego czasu. Ma ubranie służby kuchennej. Pewno najął się do pracy, nie spieszył się i zdążył przejść tutejszym zapachem.” „To Zamek ma swój własny zapach?” „A jakże. Wszystkie ubrania pierze się w tym samym rodzaju mydła. Każdy mieszkaniec jest nim przesiąknięty.” Pozostało jedno pytanie, które nurtowało nas wszystkich. Kto i dlaczego zlecił zabójstwo Zwycięskiego Promienia Świtu?

Wiatr Na Szczycie tylko wzruszył ramionami. „Może on sam nam to powie, jak obudzi się jutro, a właściwie już dzisiaj.”

Iskra spał na łóżku Nocnego Śpiewaka, zwinięty w ciasny kłębek. Nie próbowaliśmy go budzić. Za radą Mistrza Iluzji, Stworzyciel skorzystał z talentu, by usunąć ciała. Zamienił je w coś podobnego do mokrego piasku, co bez trudu dało się zebrać w kubły i rozsypać w ogrodzie. Deszcz zrobił nam przyjemność i rozpadał się na dobre, rozmywając kopczyki. Był to bardzo dziwny pogrzeb. Wiatr Na Szczycie obiecał Nocnemu Śpiewakowi, że będzie trzymał język za zębami. Nie ręczył jednak za Iskrę. Ostatecznie cała ta sprawa dotyczyła przede wszystkim jego i to on powinien zdecydować - wszcząć śledztwo, zachować wszystko dla siebie czy wrócić do domu, pod opiekuńcze skrzydła rodziny.

Następnego dnia nikt nie zauważył nic szczególnego. W jednej z kuchni samowolnie porzucił pracę posługacz. Nikt się tym specjalnie nie przejął. Poszła plotka, że „ten mały arystokrata” oddalił osobistego służącego, będąc pewnie niezadowolony z jego usług. Włochaty Stworzyciel był dziwnie czymś przybity, a w czasie zajęć lekcyjnych zasnął z głową na książce i znów naraził się nauczycielowi. Dwóch chłopców zostało w łóżkach z

powodu bólu gardła.

Nie wiem, jak tam było dokładnie ze Zwycięskim Promieniem Świtu, ja natomiast rozchorowałem się naprawdę. Wieczorne drapanie w gardle rankiem zmieniło się w dotkliwe pieczenie. W mgnieniu oka dostałem potwornego kataru, aż bolało mnie pod oczami. Nocny Śpiewak przed wyjściem przykrył mnie wszystkimi dostępnymi pledami, a i tak się trząsałem. Miałem gwarantowany tygodniowy odpoczynek od Gladiatora i tylko to było trochę pocieszające. Jeszcze przed południem zajął do mnie medyk - Obserwator o zimnych dłoniach, który nie miał pojęcia, jak delikatnie badać czyjeś gardło. Zmusił mnie do połknięcia jakiegoś świństwa, gorzkiego jak żółć. Na domiar złego coś mu się nie spodobało w moim oddechu. Twierdził, że mam szmery w płucach. Musiałem szczegółowo opisać mu historię zranienia strzałą i swoją chorobę na wyspie. Straszyl, że z pewnością mam „rozległe zmiany martwicze w prawym płacie” (cokolwiek to znaczy) i każde zaniedbane przeziębienie może skończyć się „zejściem”. Zostawił po sobie tabliczkę zapisaną od góry do dołu bzdurami oraz leki w ilości zdolnej powalić konia. Samowolnie zmniejszyłem sobie dawki o połowę, a części postanowiłem wcale nie ruszać. Po dwóch dniach przyszedł powtórnie i strasznie się cieszył, że terapia przynosi dobre skutki. Przyniósł mi wiadomość o tym, iż czeka mnie wizyta u Stworzyciela, bardzo dobrego chirurga, który „z pewnością położy kres moim dolegliwościom”. Nie bez racji twierdził Płowy: „Głupcy są jak chwasty, można ich znaleźć wszędzie”.

Tymczasem u Iskry, sąsiadującego z nami przez ścianę, działy się rzeczy zarówno okropne, jak i śmieszne. Wiatr Na Szczycie dowiedział się od nieszczęsnego chłopaka, że jego pobyt w Zamku Magów był właściwie zesłaniem. Ochryplym szeptem z powodu opuchniętego gardła, Zwycięski Promień Świtu opowiedział o tym, jak po zaręczynach z najmłodszą córką cesarza stał się czwartym w kolejności kandydatem do tronu. W ten sposób zagroził poważnie innym, starszym od niego rywalom. Gdy jego najbardziej zaufany sługa zmarł od trucizny; gdy cudem przeżył upadek z konia, który padł pod nim, ugodzony strzałą; kiedy spalił czającego się nań kolejnego skrytobójcę, gotów był zrezygnować z najwyższego zaszczytu, nawet za cenę obrazy cesarza i jego niełaski. Przeszkodzili chłopcu zbyt ambitni rodzice, a także starszyzna Kręgu, która chciałaby widzieć na tronie maga. Zamek wydawał się najbezpieczniejszym miejscem dla młodego kandydata do błękitu, tym bardziej, że zaczynał on odchodzić od zmysłów, widząc wroga w każdym cieniu. Matka z ulgą pozbyła się ognistego zagrożenia dla kosztownych gobelinów i ukochanych mebli. Staremu księciu-ojcu było wszystko jedno. W ten sposób Zwycięski Promień Świtu znalazł się w „ciasnej, ponurej norze”, w towarzystwie „wieśniaków i bękartów”, pozbawiony „elementarych

wygód” oraz „wszelkiej rozrywki”. Co gorsze, całe to jego poświęcenie okazało się tyle warte, co kurz na wietrze. Nawet tu, w osławionej, niezdobytej warowni nastawano na jego życie. - Synku... - powiedział Wiatr Na Szczycie złowrogim tonem, wysłuchawszy tych rewelacji. - Wszyscy ci wieśniacy i bękarty są twoimi współbraćmi i tego nie zmienisz. Chyba, że otworzysz sobie ten głupi łeb i wyrwiesz z niego jądro swego talentu. Przypominam też, że jeden z tych, jak mówisz, „prostaków”, uratował ci życie. I jeśli chcesz je nadal zachować, to masz tylko jedną drogę. Musisz przystać do tych, którymi tak pogardzasz. Jeśli ci pozwolą - dodał przytomnie.

- Muszę? - spytał Iskra z miną, jakby proponowano mu jedzenie błota.

- Nie, synku, nie musisz - odparł Mistrz Iluzji, rozpierając się w najlepszym fotelu kandydata do tronu Lengorchii. - Idź natomiast do składów, znajdź tam człowieka imieniem Bycze Oko i spytaj go, czy ma dostateczny zapas drewna na stos, bo masz zamiar wyprawić sobie pogrzeb, bardzo wystawny.

Iskra skurczył się jak przekłuty rybi pęcherz.

- To nie koniec - ciągnął Wiatr Na Szczycie. - Będą próbowali nadal. Tym razem stawiam na strzałę z ukrycia albo jakiś dodatek do żarcia. Nie wolno ci więc przebywać nigdy samemu, jeść osobno ani spać, siadać koło okna w dobrze oświetlonym pomieszczeniu. Tylko grupa może dać ci ochronę, przynajmniej częściową. Rozważ to.

- Nie mam pary. Jest nas nieparzysta liczba - jęknął Iskra. - Zresztą i tak by nikt nie chciał...

Mistrz Iluzji uśmiechnął się demonicznie.

- Co za szkoda. Chyba będziesz musiał bardzo pokornie prosić o przebaczenie za wszystkie krzywdy i obraźliwe słowa. A jeśli „połówki” uznają, że to mało i zechcą złoić ci skórę, to i tak jest to dla ciebie opłacalne. Natomiast ja dam ci podarunek. To będzie kotek. Będziesz z nim mieszkał, czesał go, karmił i codziennie głaskał, bo bardzo to lubi. Za to jeśli ktoś ciemną nocą zechce wejść tutaj i poderżnąć ci gardło, kotek go zeżre.

W ten sposób Zwycięski Promień Świtu został uszczęśliwiony towarzystwem hajgońskiej pantery o wdzięcznym imieniu Miętówka.

Nocny Śpiewak, który czuł się nieco odpowiedzialny za Iskrę, zaglądał do niego od czasu do czasu i zdawał mi relacje na bieżąco, pękając jednocześnie ze śmiechu i tłumionej irytacji.

Miętówka upodobała sobie łóżko Zwycięskiego Promienia Świtu. Zaczynała od tego,

że kładła się na brzeżku. Potem jednak po trochu zdobywała teren i kończyło się na tym, że to Iskra spał na skraju, a czasami nawet spadał na podłogę.

Zaczął przychodzić na posiłki do wspólnej jadalni. „Połówki” obrzucały go nieufnymi spojrzeniami, choć nikomu nie zdarzyło się oparzyć o metalowy czerpak łyżki, ani znaleźć doszczętnie spalonego mięsa na talerzu. Próbował dołączać do rozgadanych grup, powodując tylko, że natychmiast się rozchodziły. Był obiektem złośliwych docinków i... milczał.

„W dodatku ma dwie lewe ręce do wszystkiego” - przekazywał Nocny Śpiewak. - „Chyba nigdy w życiu sznurówek sobie sam nie zawiązał. Nie umie się nawet sam porządnie uczesać. Te jego loki, wyobraź sobie, były skręcane na żelazkach. Teraz się rozprostowały, sięgają mu do tyłka i ciągle nimi o coś zaczepia. A te jego głupawe ubranka...! Wyglądają, jakby w nich sypiał. Mają zapięcia w dziwnych miejscach i gówniarz nie może sobie poradzić. Czekam, kiedy się załamie i wróci do mamusi.”

Jak wszyscy, nie żywiłem cieplejszych uczuć dla Zwycięskiego Promienia, ale rozumiałem, że powrót do wygod rodzinnego pałacu oznacza dla niego śmierć, prędzej czy później.

„Ulituj się nad tym biednym szczeniakiem. Zrozum, że on nie miał normalnego życia. Założę się: wiecznie laził za nim jakiś głupek i wszystko za niego robił. Zrób dobry uczynek i naucz go czegoś.”

Nocny Śpiewak zachnął się.

„A czego to miałbym go uczyć? Jak się portki w wychodku odpina? Stary bawół, niech sam sobie radzi.”

Trafiłem chyba jednak do jego sumienia, gdyż następnego dnia tryumfalnie wprowadził do naszej komnatki Zwycięskiego Promienia Świtu w zupełnie nowej postaci. Cudaczne stworzenie w dziecięcych pończochach ustąpiło miejsca zgrabnemu szesnastolatkowi, po którym było widać, że wyrośnie na silnego mężczyznę. Loki chłopca rzeczywiście zniknęły. A w robocie były też nożyce. Włosy miał znacznie krótsze, szesane z czoła. Na skroniach zaplecione cienkie warkoczyki biegnące ku tyłowi, gdzie sterczała kita opleciona rzemieniem. Było to uczesanie myśliwych. I jak łowca miał na sobie irchową bluzę z frędzlami, dopasowaną w talii, by mógł wygodnie owinąć się błękitną szarfą maga. Całości dopełniały wąskie czarne spodnie ze sznurówką z boku, mocne buty z nie barwionej skóry i krótki, wygodny płaszcz - czarny z błękitnym wykończeniem. Jedynym elementem nie pasującym do reszty był jedwabny szalik, którym Iskra szczelnie owinął szyję, by ukryć pręgę po ataku skrytobójcy.

Ogólne wrażenie było bardzo korzystne. Podniosłem się z łóżka, by lepiej widzieć. Rysunki Pożeracza Chmur, które akurat przeglądałem, posypały się na podłogę.

„Nareszcie wyglądasz jak człowiek” - wypisałem w powietrzu znaki skierowane do Zwycięskiego Promienia Świtu. - „Jak szyja?”

Dał znak, że dobrze. Był skrępowany, nie wiedział, co robić z rękami. Pochylił się i zaczął zbierać szkice, by ukryć zmieszanie. Nie poznawałem go.

„Przetrząsnęliśmy magazyny. Znaleźliśmy ten płaszcz i skórę. I «podstawy» do reszty. Wszystko sam dopasowałem. Wspaniale wyszło, prawda?” - chwalił się Nocny Śpiewak.

„Niewiarygodne. Daj sobie spokój z Kręgiem i błękitem. Zostań krawcem. Świetnie się do tego nadajesz. Sam go strzygłeś?”

„Jedna znajoma dziewczyna.”

Tymczasem Iskra z zaciekawieniem oglądał rysunki. Były tam głównie uwiecznione rzeźby ze starego miasta. Pokazał coś Nocnemu Śpiewakowi, który również się zainteresował i przez długą chwilę o czymś rozmawiali.

„On mówi, że ten człowiek zupełnie przypomina ciebie” - wyjaśnił wreszcie Stworzyciel, pokazując szkic skośnookiego wojownika, który strzegł na Jaszczurze zrujnowanej siedziby jakiegoś zmarłego przed wiekami bogacza.

Najpierw dla zabawy, a potem całkiem poważnie zaczęliśmy wyszukiwać z pliku obrazków te wizerunki, które kogoś nam przypominały. A potem z kolei dopasowywaliśmy do nich stwarzane przeze mnie miraży „połówek”. Podniecony Nocny Śpiewak notował rezultaty, a Zwycięski Promień Świtu zaglądał mu przez ramię i co rusz pokazywał coś palcem, przeszkadzając nam nieco.

Zarówno figury, jak i rysunki postaci, skopiowane ze ścian podziemnej cytadeli, z grubsza prezentowały ten sam typ urody: długonogie, gibkie ciała, proste, czarne włosy, oczy jak kreski, wystające podbródki, twarze zbliżone kształtem do trójkąta oraz ostro zarysowane nosy.

Zabawna i ciekawa sprawa, każdy z naszych kolegów posiadał choć jedną z tych cech. Większość z nas miała włosy czarne jak sadza. Oczy moje, Nocnego Śpiewaka i Winograda były wiernymi odbiciami tych z rysunków. Myszkę zdradzał układ szczęk i długie, smukłe palce. Iskrę - nos, dziedziczony ponoć z pokolenia na pokolenie.

- Nie wyprzemy się przodków. Tu oto mamy portret idealnego maga - powiedział wtedy Nocny Śpiewak ze śmiechem, pokazując jeden z rysunków. - Niestety, krew się w nas szalenie rozwodniła i jesteśmy...

- ...kundle - dokończył Iskra tak dziwnym tonem, aż Nocny Śpiewak spojrział na niego

zdumiony.

Poddanie się zabiegom Nocnego Śpiewaka wyszło Zwycięskiemu Promieniowi Świtu na dobre. Skończyły się drwiny z jego strojów i manier. Po prostu przestał się tak rażąco wyróżniać. A że zachowywał się poprawnie, reszta „połówek” coraz częściej pozwalała, by dołączał do niektórych rozmów i zabaw.

Skończyła się moja choroba. Wiatromistrze podarowali nam pogodne popołudnie, zachęcające do gry w piłkę. Niestety, nie mogłem jeszcze w niej uczestniczyć i chłopcom nie pozostało nic innego, jak zastąpić mnie Iskrą, osadzając go „na śrubie” pośrodku pola. Obserwowałem, jak uwija się, przejmując najtrudniejsze zagrywki przeciwników, i z poświęceniem uczestniczy w najgorszych kotłowaninach. I to właśnie wtedy jego miano uległo skróceniu, gdyż znacznie wygodniej krzyknąć: „Promień, do ciebie!”, niż łątać język na pełnym imieniu. Potem wszyscy byli zgodni, że to głównie dzięki niemu miotacze pod wodzą Gryfa zdołali zaliczyć wrzutki do wszystkich czterech pierścieni, zanim przeciwna drużyna zdobyła trzy. A gdy wreszcie zwycięzcy i zwyciężeni schodzili z pola, wszyscy na równi zmęczeni, zdyszani i straszliwie brudni, na przedzie kroczyli ramię w ramię Promień i Gryf: pierworodny syn księcia i chłopiec, o którego pochodzeniu można było powiedzieć tylko tyle, że zamieszana była w to kobieta i przynajmniej jeden mężczyzna.

Nie zdołałem wykręcić się od kontaktu ze Stworzycielem. Upomniał się o mnie sam, gdy tylko wstałem z łóżka. Najwyraźniej był w zмовie z zimnorękim Obserwatorem. Nie pozostało mi nic innego, jak powlec się pod wskazane drzwi w gmachu koło wschodniej wieży. Pierwsze wrażenie było dość przyjemne. Na jasnych deskach, lśniących od wosku, ktoś przypiął ćwiartkę pergaminu z napisem: „Grzywa Stworzyciel. Najlepszy chirurg na tym piętrze. Cuda wykonywane od ręki. Rzeczy niemożliwe z opóźnieniem jednodniowym.”

Wnętrze pracowni Grzywy było jeszcze bardziej sympatyczne. Żółte ściany w wesołym odcieniu, na nich barwne szklane ozdoby, gdzieniegdzie doniczka z kwiatem. Gdyby nie unoszący się w powietrzu szczególny zapach środka do czyszczenia ran zmieszanego z wonią lekarstw, można by pomyśleć, że to zwyczajne pokoje. Nic bardziej mylnego. Kunsztowne szafeczki nie zawierały kryształów i sreber, lecz mnóstwo przyrządów, instrumentów medycznych, flaszeczek z tajemniczą zawartością, a także lśniące groźnie ostrza różnych wielkości i przeznaczenia umieszczone w osobnych przegródkach.

Sam Grzywa był równie miły, jak jego zakątek. Siwiejący mężczyzna o młodych oczach, przyjemnym uśmiechu i zadbanych rękach. W przeciwieństwie do tamtego Obserwatora, nie traktował mnie jak chorego zwierzaka. Był uprzedzająco grzeczny. Rozgrzał ręce przed badaniem, co doceniłem. A przede wszystkim „kontaktował się” i rzucał żarcikami.

„Oddychaj głęboko. Co za ładna muzyka, jakby wiatr hulał. Cóż to było, strzała? Zachwycające objawy, typowe, jak z książki. Ale przeżyłeś i to nie jest typowe. Skąd jesteś? Z Lenn? No, to dobry tam mają materiał do robienia ludzi. Będę miał ciekawy wpis do dziennika: «połówka» z połową płuca, a wygląda jak młody byczek. Nie, oczywiście to żart. Nie przejmuj się. Bądź tak miły, zdejmij z siebie to i owo, i połóż się na tym stole.”

Był tak miły. Nie wiem, ile sympatii Grzywy wynikało z jego usposobienia, a ile z tego, by uspokoić pacjenta. Ważne, że osiągał dobre wyniki.

Leżałem na stole, przykryty prześcieradłem po brodę i denerwowałem się zaledwie trochę. Na suficie namalowane były kwiatki. Zastanawiałem się, czy Grzywa, podobnie jak Stworzyciel z Grobli, używa igieł przy pracy i czy będę znów pił coś niesmacznego. Na razie mag szorował ręce w gorącej wodzie, a jego pomocnik krzątał się przy sąsiednim blacie, coś tam przygotowując. Okazało się, że jest to przyrząd do iniekcji. Płowy posiadał coś podobnego i nie był to mój ulubiony przedmiot w domu.

„Będziesz spał” - wyjaśnił Stworzyciel. - „Nie lubię, kiedy pacjent ucieka mi spod rąk.”

„Ale ja się nie boję.”

„To jesteś albo bardzo odważny, albo bardzo niemądry.”

Musiałem więc pozwolić, by uczeń Grzywy przekłuł mi żyłę i wtoczył do niej jakąś podejrzaną substancję. Pewnie od niej dostałem zawrotów głowy i okropnych mdłości. Nie mogłem patrzeć na wirujące pod sufitem kwiatki. Uniesiono mi głowę, próbowano wlać coś do ust. Zacisnąłem zęby. Litości, przecież zaraz i tak zwymiotuję!

„Nie grymaś. To stabilizator. Spokojnie, powolutku...”

Posłusznie spróbowałem przełknąć. O dziwo, to było słodkie. Szalejący żołądek uspokajał się z wolna, a zmysł równowagi sadowił na swoim miejscu.

Popatrzyłem na Grzywę. Nadal mył ręce. Zirytowałem się nieco. Ileż czasu można się myć!? Jak długo mam jeszcze tu czekać?

„Możesz wstać. Już po wszystkim. Minęły prawie cztery godziny.”

Jakie godziny? Kiedy? Zamknąłem przecież oczy tylko na chwilę.

Wtedy dopiero dostrzegłem, że woda w misce jest jasnoczerwona. Stworzyciel

zmywał z dłoni krew. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Oczy mu zapadły i już się nie uśmiechał. Podniosłem się i pomacałem podejrzliwie prawy bok. Żadnych śladów, nawet najmniejszych. Oprócz blizny po grocie. Zakrawało to na oszustwo.

„Zostawiłem ci te szramy, żebyś mógł się nimi chwalić” - przekazał Grzywa. - „W środku jesteś połatany i odrobinę lżejszy. Miałeś w płucu zwapnienie wielkości dziecięcej pięści. Wyrzuciłem ten śmietnik. Tkanka w większości dała się uzupełnić. Oczywiście, prócz sieci nerwowej. Nie, nie dziękuj.”

Poniewczasie przypomniałem sobie o dobrym wychowaniu. Oczywiście, że podziękowałem. Bardzo, bardzo gorąco. To, że mogę w tej chwili biegać równie szybko, jak dawniej i bez trudności nurkować, zawdzięczani Grzywie.

Ubierając się, popatrywałem, jak pomocnik segreguje i wstawia na powrót do szafy buteleczki wypełnione klarownymi lub mętnymi płynami w różnych barwach i zielonkawymi albo szarymi proszkami. Bezwiednie odczytywałem ich nazwy. Wiele było znajomych. Przypominałem sobie - tego używał ojciec, i tamtego także... To na serce, tamto uśmierza ból... Pomocnik zamknął drzwiczki na klucz, który oddał Grzywie, a mag zawiesił go na szyi. Uznałem to wtedy za chwalebłą ostrożność.

Minęło parę dni, podczas których głównie odrabialiśmy z Nocnym Śpiewakiem zaległości. Nie pisałem o tym dotąd. Razem zarabialiśmy pieniądze. To, co dostawaliśmy od zarządcy „na cukierki”, byłoby hojnym uposażeniem na wsi, ale w mieście, gdzie czyhało tyle pokus, okazało się sumą co najmniej nie wystarczającą. Nocny Śpiewak jest cudotwórcą w swym fachu, lecz prawdziwe ciastka zawsze wydawały się jak gdyby smaczniejsze, a za wstęp na przedstawienia i u księgarzy należało płacić nie fałszowaną monetą. Nasza współpraca polegała na tym, że stwarzałem półprzeźroczyste miraże rozmaitych ładnych przedmiotów, a Nocny Śpiewak wypełniał je materią. W ten sposób powstawały niezwykle precyzyjne miniaturowe rzeźby, elementy zastawy stołowej o fantastycznych kształtach, misterne ozdoby z drewna i metalu. Niezwykle twory ze szkła łączonego wielowarstwowo, czasem użyteczne, a czasem tylko mające cieszyć oko.

Nocny Śpiewak przemyślał te rzeczy za bramy Zamku i sprzedawał umówionym z góry kupcom, którzy zachwyceni byli jakością towaru i niewiarygodnie niskimi cenami. Oczywiście nie było to legalne. Uczciwi rzemieślnicy, zrzeszeni w cechach, obdarliby Nocnego Śpiewaka z jego kosmatej skóry, gdyby dowiedzieli się o tych interesach. Uzyskane sumy Stworzyciel uczciwie dzielił na pół. Po raz pierwszy w życiu czułem się jak człowiek

zamożny.

Potem nasza spółka została zerwana w sposób dość gwałtowny.

Myszka był (jest zresztą nadal) najmłodszy i najmniejszy z nas wszystkich. Miał czternaście lat, a wyglądał na dwanaście. Oglądał świat wielkimi, orzechowymi oczami, w których zastygł *wyraz* melancholijnego zdziwienia. Okropnie nieśmiały, niewiarygodnie tchórzliwy, a naiwny jak ośmiolatek. Wszyscy, bez wyjątku, zastanawialiśmy się, jakim cudem Myszcze udało się przejść przez egzamin pod surowym okiem mistrzów i w dodatku otrzymać szansę na błękit. A także, dlaczego nie umarł ze strachu na sam widok igieł Mistrza Tatuazu. Bał się pajaków, węży i widoku krwi, ale najbardziej krzyku i gniewu. Natychmiast kulił ramiona i spoglądał spode łba, jakby oczekiwał uderzenia. Nie można byłoby z nim wytrzymać, gdyby jednocześnie nie był uprzejmy, szczery i bardzo uczynny.

Myszka straszliwie obawiał się Gladiatora i zawsze przychodził do sali lekcyjnej sporo przed czasem, by nie narazić się na besztanie z powodu spóźnienia. Byliśmy więc zdziwieni, gdy pewnego ranka nie zastaliśmy chłopca na jego miejscu, przy pulpicie w pierwszym rzędzie. Winograd, z którym Myszka mieszkał, nie wiedział niczego. Gdy obudził się rano, jego kolegi już nie było. Musiał wyjść bardzo wcześnie.

Zajęliśmy miejsca, oczekując Gladiatora i jego nowej porcji duchowych tortur. Dokoła mnie panował zwykły, leniwy ruch. Paru chłopców rozmawiało, odwracając się do siebie. Kilku powtarzało lekcje z dnia poprzedniego, spodziewając się odpytywania. Promień pokazywał Gryfowi, jak zonglować dwiema kulkami za pomocą jednej ręki.

Raptem wszystkie głowy odwróciły się do drzwi. Stał w nich gniewny Gladiator, prowadzący ze sobą Myszkę. Trzymał chłopca za włosy na karku, tam gdzie najbardziej boli. Biedny dzieciak wspinał się na palce, usiłując zmniejszyć cierpienie z powodu naciągniętej skóry. Nie wierzyłem własnym oczom. Spodziewałbym się każdego z nas w takich opałach, ale nie Myszki. Cóż złego mógł zrobić ten łagodny, grzeczny, bojaźliwy jak królik chłopaczek?

Tymczasem Gladiator przeprowadził Myszkę przed nami, mówiąc coś, zapewne bezlitośnie łajac za przewinienie, jakiegokolwiek by było. A potem sięgnął na swój stół po trzcinę. Myszka był bledziutki jak papier, drżał. Oczy biegały mu na wszystkie strony niczym u osaczonego zwierzęcia. Nie będąc jeszcze do końca pewny, co zamierza Gladiator, powoli wysunąłem się ze swego miejsca. Miałem bardzo niedobre przeczucia. Myszka wyglądał, jakby chwiał się na granicy utraty przytomności... lub panicznej ucieczki. A należał do

Wędrowców. Czy Gladiator był aż takim głupcem? Jeszcze chwila, a przerażony chłopiec rzuci się na oślep w pustkę i możemy go już nigdy nie zobaczyć, zaś trzymający go nauczyciel straci rękę. Gladiator, wciąż z twarzą ściągniętą gniewem, zmusił Myszka do położenia się na blacie i wznosił trzcinę do uderzenia. Niewiarygodne, miał zamiar wychłostać tego dzieciaka! Tu, na oczach wszystkich! Rzuciłem się do przodu, przewracając krzesło, i chwyciłem Gladiatora za przegub, zanim trzcina opadła. Odepchnąłem go z całej siły, aż wpadł na ścianę. Myszka zerwał się ze stołu i schował za mnie, jakbym był tarczą. Gladiator patrzył z niedowierzaniem i wściekłością malującą się na brzydkiej twarzy. Poczulem jak wypelza ze mnie cała nienawiść, jaką czułem do tego człowieka. Za wszystkie poniżenia, drwiny z wysiłków, za szpiegowanie cudzych myśli, za wyśmiewanie potknięć, za szczury Winograda, za Myszka wreszcie...

„NIE WOLNO CI!” - rzuciłem w powietrze. - „Nie wolno ci nas dręczyć!! Nie masz prawa nas ponizać, ani bić!! My będziemy mistrzami, a ty jesteś «czarny» i zawsze będziesz «czarny!»” - i zrobiłem brzydki gest, określający dość dokładnie, czym była jego matka.

Gladiator spurpurowiał, żyły wystąpiły mu na skroniach. Zrozumiałem, że trafiłem w jego czule punkty. Nagle zamachnął się pięścią. Nie zdołałem się uchylić. Przeszkodził mi Myszka, wczepiony w moją bluzę, jak w ostatnią deskę ratunku. Otrzymałem potężny cios prosto w twarz i poleciałem do tyłu. Samego momentu zetknięcia z podłogą nie pamiętam.

Przyjaciele podnieśli mnie mocno oszołomionego. Krew lała mi się z nosa i spływała do gardła piekącym strumyczkiem. Obmacałem zęby językiem. Były wszystkie. Nocny Śpiewak przyłożył mi do twarzy jakąś szmatę.

„Kamyk, żyjesz?” - To był Koniec.

„Tak jakby. Jak to wygląda?”

„Szczzerze? Okropnie. Skurwysyn chyba złamał ci nos”.

Gladiator leżał na podłodze. Trzech chłopców trzymało go za ręce i nogi, a Promień siedział mu na brzuchu, z miną pantery czyhającej na zdobycz i ostrzegawczo wyciągał nad twarzą maga rękę z rozłożonymi palcami.

„Możesz wstać?”

Mogłem.

„Dojdiesz do lekarza?” - dopytywał się Koniec.

Uspokoilem go ruchem ręki.

„Mamy poważne kłopoty. Nie pozwól Promieniowi go usmażyć. Na Miłosierdzie, ależ to boli... Wypytaj Mysz, co zrobił, że Gladiator tak się wściekł.”

Ale Koniec nie miał takiej okazji. Myszka uparł się, że odprowadzi mnie do chirurga.

Całkiem słusznie, bo puchłem z chwili na chwilę i coraz gorzej widziałem. W ten sposób, w krótkim czasie znów trafiłem do Grzywy.

Akurat z kimś rozmawiał, ale gdy zobaczył na progu zakrwawioną ofiarę pobicia, natychmiast oddalił mniej potrzebującego pacjenta.

„Co to było? Strome schody czy pocisk z katapulty?” - spytał, oglądając moją twarz i zmywając z niej ostrożnie krew.

„Nauczyciel.”

„Uderzył cię? On chyba rzeczywiście był gladiatorem. Pęknięta kość, znaczne przemieszczenie przegrody, pozrywane naczynia... Muszę cię znieczulić, żebyś mi tu nie zemdlął przy nastawianiu.”

Myszka cały czas trzymał mnie za rękę, chcąc mi dodać otuchy, ale wyglądał, jakby sam potrzebował pomocy medycznej. Obawiałem się, że Grzywa, tak jak poprzednio, zechce położyć mnie spać i znowu będę bardzo źle się czuł. Na szczęście nie było takiej potrzeby. Stworzyciel zatamował płynącą krew, a potem sięgnął po przedmiot przypominający kryształowego jeża. Z przejrzystej kuli o spłaszczonej podstawie sterczały dziesiątki igieł. Miały cieniutkie końcówki. Grzywa wyjmował je z dziurek i wbijał w moją skórę. U nasady nosa, pod oczami, koło brwi i w innych miejscach. Niebawem ból rozbitego nosa przycichł, a cała twarz odrętwiała. Ogarnęło mnie niepokojące wrażenie, że mam pośrodku niej dziurę, sięgającą aż do środka czaszki.

„Już nic nie czujesz?” - spytał Grzywa. - „To będziemy działać dalej. Nie ruszaj się.”

Nawet gdybym chciał się poruszyć, i tak bym nie mógł. Ręce pomocnika Stworzyciela objęły moją głowę i skutecznie unieruchomiły. Grzywa popatrzył na swoje instrumenty i wybrał niewielkie szczypce. Spojrzałem kątem oka na Myszkę. Zaciskał mocno powieki. Zrobiłem to samo.

To, co robił ze mną chirurg, nie było przyjemne, o nie. Całe to ciągnięcie, przepychanie, wstawianie na poprzednie miejsce kawałków kości.

„Łamigłówa” - stwierdził Grzywa z niezadowoleniem. - „Już ja coś powiem temu oprawcy!”

W końcu odłożył narzędzie i powyciągał igły.

„Sprzątanie mamy za sobą. Teraz została już tylko czysta praca.”

Położył kciuki po obu stronach mego nosa. Wracało mi czucie. Nadeszło wrażenie ciepła, potem gorąca. Miałem tuż przed oczami wierzchy dłoni i przedramiona Grzywy. Ze zdumieniem ujrzałem, jak drobne włosy podnoszą się na nich, jakby żyły własnym życiem. Stworzyciel zagryzał wargę i marszczył brwi, wpatrując się we mnie intensywnie. Trwało to

jakiś czas. Uczucie gorąca i mrowienia zaczęło zanikać. Silne ręce pomocnika puściły mnie wreszcie.

„Koniec. Jesteś tak samo piękny, jak dawniej.”

„Nie jestem piękny” - zaprzeczyłem odruchowo.

„O tym decyduje jedynie kobiecy gust, drogi chłopcze” - zażartował mag. - „Czy to, co masz na sobie, to twoja najlepsza bluza?”

„Niestety. Pewnie już nic z niej nie będzie”.

Była to najładniejsza rzecz, jaką ofiarował mi w przyływie dobrego humoru Nocny Śpiewak. Grubo tkana, jasna wełna ze skórzanymi wstawkami na ramionach, wytłaczanymi w postaci smoków. A krew zostawia trudne do usunięcia plamy.

„Zdejmij ją i idź się umyć za tę zasłonę. Ja tymczasem porozmawiam z twoim wrażliwym przyjacielem” - przekazał Grzywa

Kiedy wróciłem, Stworzyciel otrząpywał moją odzież z rudego proszku.

„Bóg Los za mnie poświadczy, że nie brałem od Kręgu pieniędzy za darmo. Masz tu swój skarb.”

Znowu było za co dziękować.

„Jodłowy opowiedział mi, co się stało” - przekazywał Grzywa. - „Wpakowaliście się w bagno, ale Gladiator chyba w jeszcze gorsze. Co innego podnieść rękę na starszego maga, obojętne, «czarnego» czy nie, a co innego złamać nos kandydatowi na «błękitnego». Ja w każdym razie będę świadczył na waszą korzyść.”

Jeszcze tego samego dnia wszczęto śledztwo. Trzech „błękitnych” ze złowieszczymi minami zapędziło nas do korytarza przed biblioteką. „Połówki” wzywano pojedynczo do komnatki, gdzie Strażnicy Słów przechowywali indeksy. Jako pierwszego zawołano Myszka. Razem z nim wszedł Winograd, ale wyleciał natychmiast z wściekłą miną. Gdy skończyli z Myszką, wezwali mnie.

Siedzieli za stołem. Mówca, Obserwator i Strażnik Słów, sądząc po ornamentach kastowych na ramionach. Nasi sędziowie. Dwaj ostatni zapewne jako próbnik kłamstwa oraz świadek. Pierwsze, co zrobiłem po wejściu, to wyciągnąłem z kąta krzesło i ustawiłem naprzeciwko nich. Usiadłem, przybierając pozę swobodną, lecz nie wyzywającą. Spojrzeli po sobie znacząco. Nie, nie miałem zamiaru stać przed nimi, jak z góry skazany przestępca.

„Jakże wiele można powiedzieć, nic nie mówiąc” - wszedł mi do głowy Mówca. - „Nie boisz się? Obserwator Arena rzuca dość poważne oskarżenia.”

Tak poznałem prawdziwe imię Gladiatora. Skojarzenie było dość proste.

„Rzecz idzie o pobicie. Możesz stracić szarfę” - ciągnął Mówca.

Jeśli chciał mnie rozzłościć, to mu się udało.

„Szarfa to kawałek tkaniny. Dobrze służy jako pasek i można w niej chować jakieś drobiazgi. Niekoniecznie muszę mieć niebieską. I niekoniecznie muszę tu być.”

Znów wymiana spojrzeń.

„Jest ci tak bardzo niedobrze w Zamku? Zdawało się nam, że z początku bardzo ci zależało na zostaniu mistrzem.”

Z uwagi na obecność Strażnika Słów, używałem powietrznego pisma i teraz pojawiły się przed „sędziami” czarne jak smoła znaki:

„Mocno się rozczarowałem.”

Musiałem opisać bardzo dokładnie całe tamto nieszczęsne zajście. Łącznie, ku swemu zawstydzeniu, z tym wulgarnym gestem. Wyjaśniłem, czego się obawiałem, jeśli chodzi o Myszkę. A także co mnie skłoniło, by obrazić nauczyciela. Im dalej to szło, magowie drążyli coraz głębiej. W końcu przestałem cokolwiek rozumieć. Pytania z tych dotyczących Gladiatora i nauki w Zamku, zeszyły na moich kolegów, iluzje, moje spotkania z Wiatrem Na Szczycie, zainteresowania i rozrywki, a także książki. Gdy wreszcie padło pytanie: „Co czytałeś ostatnio?”; byłem zmęczony i całkiem skołowany, więc wypisałem tytuł bez zastanowienia:

„Zmiany w prawie celnym w latach panowania Skaty Piorunów.”

Mówca wytrzeszczył oczy.

„Czy to interesująca lektura?” - spytał ostrożnie.

Wyraz mej twarzy, zdaje się, starczył mu za odpowiedź. Pozwolił mi odejść.

Wszystkich pytali mniej więcej o to samo. I uzyskiwali podobne odpowiedzi. Gdy dwudziesty z kolei nastroszony i nieufny chłopak objaśniał, dlaczego to został nazwany przez wychowawcę „tępakiem, gorszym od barana, bo barana można choć ostrzyć”, trójka magów podpierała już głowy rękoma z wyrazem smutnej rezygnacji w oczach. Obecność Obserwatora gwarantowała prawdomówność przesłuchiwanym. Dorznął ich Winograd, którego, z zemsty chyba, zostawili na sam koniec.

- Za co go walnąłem? - powtórzył z zastanowieniem. - Chyba za wszystko razem. Najbardziej za to, że próbował otruć moje szczury.

- Dlaczego nie poskarżyłeś się nikomu?

- Poszedłem do zarządcy naszej „ćwiartki”. Usłyszałem, że mam siedzieć cicho, póki mam co jeść i dach nad głową - odrzekł gorzko Winograd. - Tak to bywa, gdy jest się tylko wychowankiem bez ojca i matki.

W czasie oczekiwania na korytarzu przed biblioteką dowiedziałem się, co nabroił Myszka. Rzecz była znamienna. Mały Wędrowiec miał, jak wszyscy, swoje marzenia, choć nikomu się dotąd z nich nie zwierzał. Zostać kurierem Kręgu, zobaczyć świat, przestać się bać i zasłużyć na uznanie kolegów - skromne to były pragnienia. A jeszcze jednym, wspólnym dla wszystkich młodych Wędrowców, była cenna Księga Koordynatów. Ten solidny tom, ciężki jak okowy piekieł, leżał w jednym z działów biblioteki na specjalnym pulpicie, przymocowany do niego łańcuchem. Zamieszczono w nim wszystkie współrzędne ramp do „skoków” w obrębie cesarstwa, a prócz tego wyliczenia, opisy, plany i stałe punkty krajobrazu do bardziej ryzykownych podróży w „dzikie” miejsca. Mieć wolny dostęp do czegoś takiego - piękny sen. A posiadać, o tym strach nawet śnić.

Tymczasem to właśnie Myszka, gnany namiętnością do zdobycia tego skarbu, prawie noc w noc przenikał do biblioteki. Kradnąc po dwie, trzy godziny snu, przy świetle małej świecy pracowicie przepisywał to straszliwe tomisko. Wreszcie stało się (niestety) to, co można było przewidzieć od samego początku. Przemęczony chłopiec zasnął z piórem w ręku i tak zastali go Strażnicy Słów, którzy rankiem otworzyli podwoje swego królestwa. Pewnie skończyłoby się to tylko na niewielkiej awanturze i wytarganiu uszu za zagrożenie biblioteki pożarem, bo kasta „zółwi” potrafi docenić pęd do wiedzy, ale akurat napatoczył się Gladiator. Z satysfakcją skorzystał z okazji, by pognać małego. I tym samym spowodował całą lawinę wypadków.

- Nie zobaczymy już Gladiatora - rzekł Winograd do przyjaciół z niezachwianą wiarą, gdy jako ostatni wyszedł z „sali sądu”. - Powiedzieli, że mamy jutro wolne. Wyrzucą go, to pewne.

Okazało się, że miał rację, ale tego dowiedzieliśmy się dopiero następnego dnia, po nocy pełnej niespokojnych snów i tłumionych obaw.

O tym, co działo się w winiarni, gdzie zwyczajowo zbierano się na wieczorny

pucharek, dowiedziałem się od Wiatru Na Szczycie.

- Niewiarygodne! - rozprawiał podniesionym głosem zirytowany Strażnik Słów. - A jednak mogę wam powtórzyć zdanie po zdaniu, co mówili ci biedacy. Zebraliśmy zaledwie dwadzieścia siedem „połówek” w ciągu ostatnich trzech lat. Przyznacie sami, że to znikomy ułamek! Tymczasem zamiast bystrych, energicznych następców otrzymujemy żalosne stadko otępiałych i zniechęconych pętałów. I to wszystko przez tego głupiego degenerata! Wydziałał książki, jakby to było lekarstwo na kaszel!

- I to jakie książki... - wtrącił Mówca. - Zatkalo mnie, gdy ten Tkacz rzucił mi tytułem w oczy. „*Zmiany w prawie celnym...*” Na Wieczny Krąg! Dzieciak, który przywiózł, na wagę, cztery szekale zapisków o smokach, był zmuszony uczyć się takich bzdur. Nic dziwnego, że chce wracać do domu.

- Od dawna mówiłem, że ten cały Arena to bałwan i kat! - warknął Wiatr Na Szczycie. - Ale czy mnie się tutaj słucha? Kamyk to drugi Biały Róg. Raz na stulecie taki się rodzi, a ja musiałem patrzeć, jak marnujecie mi chłopaka. Wychowywanie dzieci to nie hodowla psów!

- Skąd w tobie tyle uczuć rodzinnych, Wietrze? Myślałem, że u Hajgów to sprawa majątkowa - odezwał się ktoś złośliwie z kąta.

- Wara ci od moich zwyczajów! - wybuchnął Mistrz Iluzji. - Gdybyś sobie kupił żonę, to byś ją bardziej szanował! Masz syna wśród „połówek”. Szkoda tylko, że chłopak nic o tym nie wie!

Złośliwy mag zamknął usta i nie odezwał się już więcej.

Głos zabrał z kolei Obserwator.

- Źle się stało. Trudno będzie odzyskać zaufanie tych chłopców. Są jak źle traktowane psiaki. Podejdiesz z kością, a będą warczeć, podejrzewając, że trzymasz kij za plecami.

Wtedy odezwał się starszy wiekiem mag, który milczał do tej pory, uważnie przysłuchując się dyskusji.

- Bławat, nie wiem czy słusznie porównujesz ich do psów. To są ludzie. Bardzo młodzi, jeszcze nie ukształtowani, ale ludzie. Nasi młodszy koledzy i jako takich należy ich traktować. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale najstarsi z nich zaczynają się już golić. I są sprytniejsi, niż ci się zdaje. Nawet ten mały, jak mu tam... Jodła? Powinniśmy go ozłocić za przedsiębiorczość i cierpliwość. A temu hodowcy szczurów dać stały przydział sera dla jego zwierzaków. Arena przesadził. Bestiarom nie odbiera się zwierząt. To przestępstwo.

- Dobrze, ale nie możemy puścić ich samopas. Ktoś musi przejąć grupę - przerwał mu Strażnik. - Czy ktoś się tego podejmie?

Magowie zaczęli spoglądać na siebie niepewnie. Niektórzy wbijali wzrok w dna

pucharów z winem.

- Niestety, jestem tylko hodowcą panter - odezwał się z żalem Wiatr Na Szczycie. - Nie mógłbym być ich nauczycielem.

- A my nie chcielibyśmy zyskać dwudziestu siedmiu Lengorchian z niebieskimi pasami na twarzach - powiedział ktoś półzartem.

- Ja wezmę to nieciekawe dziedzictwo po Arenie -rzekł nagle ów starszy mag, który tak życzliwie mówił o „połówkach.”

- Czy ty wiesz, czego chcesz się podjąć? To dwudziestu paru wyrostków, których dopiero co wybronił się od kary za pobicie wychowawcy. Sam Nocny Śpiewak starczy za dwóch - rzekł ostrzegawczo Mówca.

Mag łyknął wina i otarł posiwiałe wąsy.

- Ktoś musi. A ja mam sporo czasu i poza tym wydają mi się jednak sympatyczni. Jedno z mych okien wychodzi na ogrody. Czasem widzę, jak się bawią. Pewnego razu patrzę: czają się w krzakach, szukają, jeden drugiego łapie... Przyglądam się uważniej i widzę, że marmurowemu lwu przybył jeździec. Bardzo porządnie wyrzeźbiony. Zaraza, myślę, ogrody przerabiają? Ale nie... Tropicieł zorientował się dopiero wtedy, jak figura ożyła i skoczyła mu na plecy! Nieźle się wtedy uśmiełem. To musiał być ten twój Kamyczek, Wietrze. A znowu Nocnego Śpiewaka widuję wieczorami, jak spaceruje z dziewczyną.

- Chciałeś powiedzieć: z dziewczynami - poprawił Obserwator.

- Z dziewczyną - podkreślił mag.

- I co robią?

- Bez obleśnych uśmieszków! Chodzą, trzymając się za ręce. Rozmawiają, całują się, jak to zakochani. Bardzo miło... - powiedział siwy mag, wprawiając obecnych w zdumienie i zakłopotanie.

- Stawiam pięć złotych talentów, że za dziesięć dni znów będziemy szukać kogoś na twoje miejsce. Słyszysz, Kowal? - rzekł jeden z magów, dolewając mu wina.

- Przyjmuję - odparł człowiek nazwany Kowalem. -I dorzucam dwa, że skończą się kłopoty Strażników, którym książki w bibliotece giną i pojawiają się na nowo.

W taki to sposób skończyła się dla nas złowroga era Gladiatora, a nastał czas Kowala Mówcy.

To, że pozbyliśmy się zniechęconego wroga, zdawało się pięknym snem. Wręcz baliśmy się przebudzenia. Lecz mijały godziny podarowanego nam dnia wolności, a Gladiator

nie pojawiał się, by znów nas gnębić. Najwyraźniej Los spojrział na nas przez niebiański mur i uśmiechnął się łaskawie. Pod wieczór chłopcy zaczęli ściągać do komnatki mojej i Nocnego Śpiewaka, by jeszcze raz wyrazić swe uznanie dla mej odwagi, a także by porozmawiać z innymi. Wkrótce zrobiło się okropnie ciasno, więc przenieśliśmy się wszyscy za ścianę, do Promienia, który miał największą komnatę. Nie wiadomo już, kto pierwszy przyniósł piwo, ale nie był ostatni. Kolejne dzbanki zapełniały wolne miejsce na stole i na półkach. Nastrój zrobił się jarmarczny. Każdy siedział, gdzie mu było wygodnie: na nielicznych krzesłach, rzędkiem na łóżku, na podłodze i na skrzyniach z odzieżą. Chłopcy śmiali się, gadali i stroili błazeńskie miny. Pili piwo całymi kubkami, jedli ostry ser i twarde jak kamień suchary. Było ciepło i coraz duszniej. Jeden z Diamentów przyniósł nalewkę na brzoskwiniach. Wkrótce za sprawą Nocnego Śpiewaka i Stalowego - drugiego Stworzyciela w naszym gronie, ilość brzoskwiniówki wzrosła niezmiernie i uczestnicy biesiady radośnie przerzucili się na nowy trunek. Nie lubię piwa, ale brzoskwiń mogę zjeść ilość dowolną. Wypiłem jeden kubek, potem dałem namówić się na drugi. Zagłębiony w porywającej dyskusji z Mówcą Piaskowcem, nie wiedzieć kiedy wlałem w siebie trzeci, a może i czwarty. Stanowczo za szybko. Świat zawęził się do tej ciepłej, jasnej, przytulnej norki i stał się dość zadziwiający. Większość przedmiotów straciła właściwe kształty i wymiary, nadymała się, pękając ze śmiechu. Mrugała świeżo pozyskanymi oczkami. Ulatywała w powietrze, gdzie unosiły się barwne obłoki, srebrne gwiazdki i puchate lśniące dziwotwory, podobne do pękających smoków. Zastanawiałem się niejasno: czy to ja? Czy to mój talent?

Pamiętam jeszcze Winograda. Zarumieniony, z nastroszonymi włosami wilgotnymi od potu, karmił swoją piątkę szczurów chlebem. Spiczastonose zwierzaki łąziły po stole, zaglądając do kubków i próbując słodkiej nalewki. Wkrótce dwa z nich zasnęły w misce po serze, trzeci i czwarty umknęły gdzieś przed bardzo zaciekawioną Miętówką. Ostatniego, płacząc ze śmiechu, obserwowali młodzi magowie. Uparcie próbował stanąć słupka i umyć sobie wąsy. Za każdym razem tracił równowagę i przewracał się na grzbiet, rozpaczliwie machając łapkami.

Jak przez mgłę przypominam sobie Klingę i Nocnego Śpiewaka, siłujących się na rękę. Promienia, który zasypiał, przytulony do szaro-czarnego futra pantery, i Myszkę, śpiącego już słodko jak dziecko. Reszta była kolorowym melanzem o kuszącym, ostrym smaku złocistych owoców.

Obudziłem się we własnym łóżku, z głową ciężką jak kamień. Musiało być już

strasznie późno, a za oknem trwała piękna pogoda, bo przez szyby wpadały ukośne promienie słońca, odbijając na ścianie krzywe owale okiennych opraw. Przed lustrem stała nieznajoma kobieta, upinając włosy. Obejrzała się, gdy się poruszyłem i posłała mi przyjazny uśmiech. W ustach trzymała kilka szpilek do włosów. Podejrzliwie obrzuciłem spojrzeniem znajome wnętrze. Nie, na pewno jestem u siebie. Co ona tu robi? No, tak. Przecież mieszkam z Nocnym Śpiewakiem. Doprawdy, za dużo sobie już pozwala.

Spojrzałem w stronę jego posłania. Nie spał. Leżał z głową opartą na ramieniu. Patrzył na mnie i uśmiechał się niewinnie. Na jego piersi spoczywała dziewczęca główka ze zmierzwionymi włosami. Kwiatek na jej policzku rozmazał się, zmieniając w kolorową smugę.

„Jakie wrażenia?” - spytał Nocny Śpiewak uprzejmie.

Spojrzałem znów na tamtą przed lustrem, z uczuciem narastającej paniki. Gdzieś w głębi pamięci z wolna odemknęły się jakieś drzwiczki i przypomniałem sobie inne fragmenty tej wariackiej nocy. Matko Świata! Podłoga, kołysząca się pod stopami jak pokład okrętu. Zapach egzotycznych kwiatów, dotyk wilgotnej, gorącej skóry i rozkosz rwąca *przez* całe ciało jak wodospad.

„ŚPIEWAK ! ZABIJĘ CIĘ!”

„Dlaczego??” - zdziwił się z urazą. - „W nocy nie miałeś nic przeciwko.”

„Ale teraz mam, łotrze!! Spiełeś mnie i wykorzystałeś okazję!”

„Spiełeś się sam!” - oburzył się nie na żarty. - „A wykorzystanie wygląda całkiem inaczej, zapewniani.”

Dwaj ludzie, wygrażający sobie pięściami w kompletnym milczeniu stanowią dziwny i niezrozumiały widok, ale jeśli chodzi o magów, nie takie rzeczy się ogląda w Zamku. Kobieta sprzed lustra pomogła ubrać się zaspanej towarzysze i czym prędzej zniknęły za drzwiami, bo w powietrzu wisiała awantura.

„Zawiodłeś moje zaufanie!”

„Wielkie rzeczy! Tak sobie cenileś to nieszczęsne dziewictwo? W drzwiach się musisz schylać, a zachowujesz się jak dziewczynka!”

„Nie ty powinienesz za mnie decydować, kiedy, jak i z kim! A już na pewno nie z jakąś dziwką!!”

„Obrażasz Różę! Należy do cechu. Jest najlepsza w Ogródku, o wiele dla ciebie za dobra, tłumoku! Wiatr Na Szczycie zawsze ją wybiera.”

A więc, co było dobre dla Mistrza Iluzji, musiało starczyć i mnie?

„Zawsze, chyba że jest zajęta” - uzupełnił Nocny Śpiewak złośliwie. - „Wtedy Wiatr

bierze któregoś z chłopców”.

Zatkało mnie. Jakbym otrzymał cios w brzuch.

„Co, nie wiedziałeś?” - zdziwił się Śpiewak obłudnie. - „Przecież tyle czasu spędzacie razem...”

Uderzyłem go w twarz.

Usiadł powoli na brzegu łóżka, z ręką przyciśniętą do policzka. To był koniec. Ubrałem się. Zacząłem zbierać swoje rzeczy. Na rozłożonym kocu układałem bieliznę i ubrania. Książki, notatki, rysunki. Oddzielałem wszystkie podarunki, jakie kiedykolwiek dostałem od Nocnego Śpiewaka i kładłem je na stole. A nie było tego mało. Przyznaję, że serce mi drgnęło, gdy brałem do ręki bluzę ze smokami, ale byłem zbyt dumny, by ją zatrzymać. Nocny Śpiewak wodził za mną wzrokiem obitego psa. Zrobiło mi się go żal. Mógłbym mu wybaczyć ten niechciany podarek w postaci pierwszej dziewczyny. Pewnie miał dobre zamiary, a znów mu nie wyszło. Ale nie mogłem i nie chciałem puścić w niepamięć tej drugiej rzeczy. Parę znaków przekazanych w gniewie zniszczyło moje zaufanie do Wiatru Na Szczycie, a w każdym razie mocno je nadszarpnęło. Nigdy już nie pójdę razem z nim do łaźni po skończonych ćwiczeniach, by zmyć z siebie pot. Choćby patrzył na mnie wzrokiem roztargnionym, choćby dotknął w sposób najbardziej niewinny, zawsze już będę się zastanawiał, o czym w tej chwili myśli. Nocny Śpiewak skrzywdził mnie naprawdę dotkliwie.

„Jestem ci winien jeszcze pół talenta. Za tę cukiernicę motylami” - przekazał, spuszczać wzrok.

„Nie jesteś. Kupiec złożył następne zamówienie?”

„Złożył.”

„Odmów” - poleciłem sucho.

Zaniosłem toból ze swoimi rzeczami do pierwszej wolnej komnaty w przylegającym boku galerii. Łokciem pchnąłem gałkę do pozycji „otwarte”, kopnąłem drzwi. Wnętrze było jasne, świeże i wysprzątane. I przeraźliwie puste.

Gdy Mistrz Mówców wszedł do sali lekcyjnej, przywitało go dwadzieścia siedem par oczu, patrzących z jednakowym wyrazem rezerwy. Rozejrzał się po młodych twarzach. Najmniejszy w pierwszym rzędzie to z pewnością ten mały Wędrowiec, prawie dziecko. Zaraz za nim rosła postać sporo starszego chłopca. Gęstwa kręconych włosów spadająca na szerokie brwi, wąskie oczy patrzą przenikliwie. To musi być następca Wiatru Na Szczycie. Zaraz obok Nocny Śpiewak, potargany i niechlujnie oparty na łokciu. Z drugiej strony jakiś

młody łowca. Nadgarstki okręcone rzemieniami, rękawy podwinięte aż do połowy ramienia. Spojrzenie spode łba. Dalej okrągławy Koniec. Z tyłu za nim... jak mu tam? Piaskowiec chyba. Jest też Obłok i Szary. Tych zna. To Mówcy. Był przy ich wprowadzeniu. Ciekawe, który jest tym obrońcą szczurów. I gdzie się podział ten mały książę? Dawno już Kowal nie widział go w ogrodach. Może wrócił do stolicy? Ale byłoby ich w takim razie dwudziestu sześciu...

My ze swej strony widzieliśmy mężczyznę w wieku trochę ponad czterdziestkę (czyli według nas strasznie starego), o bujnej czuprynie koloru „ziemi z solą”, takich samych wąsach i krótkiej brodzie. Oczy miał niewielkie jak kamyczki. Patrzące z humorem i lekkim roztargnieniem.

Ukradkiem dałem znak Końcowi, prosząc, by tłumaczył mi słowa na znaki przekazu.

- Nazywam się Kowal - powiedział mag, splatając ramiona na piersiach. - Tak się składa, że jestem „błękitnym” Mówcą.

Wymiana wielu spojrzeń na sali. Następny wścibski „czytac” umysłów.

- „Mistrzu Mówco” to, uważam, zbyt oficjalny zwrot na co dzień, a „Mistrz Kowal” brzmi trochę niemądrze. Wystarczy więc samo: Kowal.

„Podlizuje się” - przekazał Koniec.

Kowal tymczasem podniósł z podłogi trzcinę Gladiatora, która do tej pory leżała tam, gdzie ją upuszczono. Wygiął ją parokrotnie w rękach.

- Co za okropne narzędzie - powiedział.

- Synku - odezwał się do Promienia. - Otwórz okno.

Gladiator zwróciłby się do chłopca zgryźliwym: „Paniczu”, a Promień jeszcze dwa tygodnie temu zignorowałby polecenie. Ale to było dawno. Okno zostało otwarte, Kowal wziął zamach, jakby rzucał oszczepem, i trzcina wyfrunęła z sali wprost w gałęzie starego drzewa, gdzie utknęła na zawsze.

- A ty jak masz na imię, synku? - zwrócił się mag do zaskoczonego Myszki.

- Myszka. To znaczy Jodłowy - poprawił się chłopiec i jego uszy oblały się czerwienią.

- Jodłowa Myszko, idź teraz tam naprzeciwko, do biblioteki i poproś „żółwie”, żeby dały ci indeks tematyczny. Ale tylko z piątego działu, bo całości nie uniesiesz.

Myszka wybiegł, a Kowal tymczasem wypatrzył Winograda. Szczur akurat obudził się z drzemki i wyrzywał na wolność, by rozprostować łapki. Spłoszony Winograd usiłował na

powrót upchnąć go pod kurtką. Jednocześnie garbił się za pulpitem, by skryć te manipulacje. Jednak nic to nie dało.

- Pokaż, co tam masz, synku. Nie bój się. Winograd z ogromnym wahaniem podał zwierzątko

Mówcy.

- Ładnie utrzymany - pochwalił mag. - I całkiem spory. Ma chyba ze ćwierć szekala. - Zważył szczura na dłoni. - Nie przekarmiasz go?

„Potrafisz zrobić drugiego?” - Mówca wszedł mi do głowy tak niespodzianie, że aż drgnąłem.

„Potrafię.”

To nie było nic trudnego. W mgnieniu oka mag trzymał na ręku już dwa szczury. Oba obwąchiwały mu palce, wspinały się na ramiona. Poglaskał obydwu. Po czym jednego oddał Winogradowi, a drugiego posadził na pochyłym pulpicie. Chłopak niepewnie spoglądał to na jednego, to na drugiego. Oba były identyczne. Wreszcie trzymanego w ręku oddał zdecydowanie Mówcy, a wziął tego, który właśnie balansował zgrabnie na zwieńczeniu pulpitu.

- Tamten był „pusty” - wyjaśnił.

Mówca roześmiał się i poufale zmierzwił nastroszone włosy Bestiara. Winograd miał rację. Zlikwidowałem miraż szczura siedzącego na ręku Kowala.

„Dobry jesteś. Bardzo dobry” - przesłał mi przychylną myśl. - „Dla nie-maga byłyby nie do odróżnienia.”

Tymczasem wrócił Myszka, uginając się pod ciężarem spisu książek. Kowal odebrał go od chłopca i rozłożył na stole.

- A teraz, skoro jesteś taki zdolny, synku - zwrócił się do Winograda - w nagrodę możesz jako pierwszy wybrać pięć pozycji, które weźmiesz sobie do czytania w najbliższym czasie.

Winograd wytrzeszczył oczy z zaskoczenia.

Kolejno deklarowaliśmy chęć studiowania rozmaitych rzeczy. Ci, którzy nie byli pewni, czego chcą, mogli rozejrzeć się w spisie i wybrać coś, kierując się radą Mówcy. Myszka wybrał atlas map i, ku naszemu zdumieniu, *Historię strojów dworskich*. Ja mogłem nareszcie spełnić swoje marzenie. Wziąłem dla siebie *Ryby tropikalne*, tom duży, rzucający się w oczy na półce, a więc zbyt trudny do podebrania przez Wędrowca. Nocny Śpiewak zażądał prowokacyjnie *Wojny o Puchar* - opowieści pełnej zbójców, wojowników, potworów, skarbów i księżniczek, nie mającej nic wspólnego z dziełem naukowym. Kowal nawet okiem

nie mrugnął. Powiedział tylko:

- Tylko przeczytaj to uważnie, bo będę cię odpytywał.

Wywołał tym falę śmiechu. Koniec, który cierpliwie przekazywał mi co ciekawsze odezwania, chichotał w kułak i przewidywał ciężkie boje między Kowalem a Nocnym Śpiewakiem.

Ku naszemu zdumieniu, Mówca rzeczywiście zażądał po dwóch dniach od Śpiewaka wydania lekcji. Choć nie w sposób, jakiego się spodziewaliśmy. Po wysłuchaniu streszczenia, skinął głową, a potem rzekł:

- Dobrze, synku. Masz niezłą pamięć. A teraz powiedz mi, którzy z bohaterów są postaciami historycznymi.

Przypuszczam, że młody Stworzyciel zbladł pod sierścią.

- Krzemień... Długoręki... Sól Na Rany... - wymieniał niepewnie.

- A teraz zanalizujemy sobie bitwę nad Jelenim Brodem, tak jak wyglądała w rzeczywistości, bez tych idiotycznych literackich ozdobników. A także zrobimy przegląd uzbrojenia obu walczących stron. *Wojna o Puchar* jest dość swobodną interpretacją historii walk terytorialnych na Półwyspie Wojennym, chłopcy. Odsuńcie wszystkie sprzęty pod ściany i niech ktoś znajdzie kredę. Zrobimy plan bitwy na podłodze, a Nocny Śpiewak będzie naszym przewodnikiem.

To była najlepsza lekcja historii, w jakiej zdarzyło mi się uczestniczyć. Choć po półgodzinie bardzo już bolały kolana od łażenia na czworaka po twardych deskach. Wszyscy świetnie się bawiliśmy, prócz Nocnego Śpiewaka. Na koniec lekcji wyglądał tak, jakby osobiście brał udział w tej bitwie. Kowal był bezlitosny, a przy tym miał nienaganne maniery. Pod koniec zajęć Nocny Śpiewak otrzymał prawo ponownego wyboru lektury. Tym razem bez wygłupiania się, zamówił *Chemię cząsteczkową - wybrane zagadnienia*, *Legendę Burona Stworzyciela* i bardzo niepewnym głosem (jak zapewnił mnie Koniec) spytał, czy może wziąć *Zatopione miasto* - powieść z gruntu rozrywkową, a trudną do dostania na podzamczu.

- Oczywiście - zgodził się Kowal. - To jest bardzo dobre. Sam czytałem dwa razy.

Pulpity, które powędrowały pod ściany, nie wróciły na swoje miejsca. Wygodniej nam było ustawić je w kole z wolnym miejscem pośrodku. W ten sposób widzieliśmy się wszyscy nawzajem. Kowal, chodząc wewnątrz prowadził wykłady i mógł podejść do każdego z nas, nie obijając się o kanty mebli. Ktoś żartem nazwał to Wewnętrznym Kręgiem, ktoś inny poprawił na Drugi Krąg i tak już pozostało. I nie chodziło tu tylko o umeblowanie sali

lekcyjnej. Drugim Kręgiem byliśmy my sami, powiązani wzajemną solidarnością. W pewien sposób Gladiator wyświadczył nam przysługę. Nic tak nie wiąże, jak wspólny wróg. Nikt już nie wypominał podłych psot Promieniowi, a ja nie robiłem na złość Nocnemu Śpiewakowi. Po prostu tylko nie mieszkaliśmy już razem i trochę rzadziej „rozmawialiśmy”.

We wnętrzu Drugiego Kręgu zrodziła się też idea „godzin chwały”, oczekiwanych zarówno z niecierpliwością, jak i onieśmieleniem. Każdy z chłopców otrzymywał szansę pokazania się z najlepszej swej strony: talentu. Przygotowywaliśmy się do tych pokazów bardzo starannie, traktując je niemal tak poważnie, jak niegdyś egzamin na „błękit”.

Wtedy to miałem nareszcie okazję poznać pełne możliwości Myszki. Z powagą i napięciem malującym się na dziecinnej twarzy, pojawiał się i znikał w różnych punktach sali z prędkością, która wydawała się niewiarygodna. Przemieszczał drobne przedmioty z jednego miejsca do drugiego w granicach błędu wahających się od grubości nici do cienkiego sznurka, co specjalnie mierzyliśmy. Dzielił owoce, wysyłając ich fragmenty do dwóch, trzech, a nawet czterech punktów naraz. Granicę przeskoku wyznaczały płaszczyzny cięć. Dostawałem dreszczy, widząc, jak znika połowa brzoskwini, a cięcie przechodzi precyzyjnie przez skórę, mięsz i środek twardej pestki. Po raz kolejny na nowo pojmowałem, dlaczego Krąg tak zazdrośnie strzeże swych tajemnic przed pospolitymi ludźmi, czemu tak twardo żąda od magów przestrzegania prawa i dlaczego tak straszliwie boją się nas kraje sąsiednie. Jeden jedyny Wędrowiec byłby w stanie wybić znaczną część wrogiej armii, wysyłając ją „nigdzie” lub, przykładowo, na dno oceanu. Nie docenialiśmy dotąd Myszki, który okazał się magiem bardzo wysokiej próby. Po jego „godzinie chwały” reszta „połówek” zaczęła traktować go z większym szacunkiem.

Gryfowi, który jest Obserwatorem, trudno było cokolwiek wymyślić. Możliwości jego kasty były mało efektowne. Poszedł więc na układ z dwoma Wędrowcami - Piórem i Wężownikiem. „Skoczyli”, jak daleko pozwalał im zasięg, a Gryf zdołał wyłowić ich spośród setek innych emanacji umysłów i spisał to, co robili w czasie nieobecności. Po ich powrocie porównaliśmy notatki Gryfa oraz ich raporty. Zgadzały się niemal idealnie. A przy tym były bardzo śmieszne.

Ciekawi byliśmy, co planują Iskry, a zwłaszcza Promień. Znając ambicję książęcego potomka, rzeczą najbardziej widowiskową wydawało się podpalenie całego Zamku. Spółka dwóch władców płomieni poprzestała jednak na pokazie sztucznych ogni, a Promień wybrał o wiele skromniejszy, wewnętrzny. Stojąc w tradycyjnym miejscu pośrodku sali, w grubych rękawicach na rękach, rozgrzewał i wyginał kawałki szkła. Nadtapiał je samym talentem i łączył, tworząc zachwycające drobiazgi, które, jeszcze gorące, rozdawał kolegom. Jeżeli

komuś się wydaje, że poszedł łatwą drogą, niech sam spróbuje. Tak precyzyjne operowanie przez Iskrę mocą, by materiał nie popękał ani nie rozpląnął się, wymaga wielkiego skupienia. Pod koniec godziny Promień opływał potem i łzawiły mu oczy od gorąca oddawanego przez obrabiane szkło. Zaniepokojony Kowal obkładał go mokrymi ręcznikami. Ale pokaz zdobył pełne uznanie.

Wszystkich jednak zakasował Winograd, który pokazał piszącego szczura. Nie zmyślam. Bestiar przyniósł swojego ulubieńca, starannie wyszczotkowanego, z błękitną kokardą zawiązaną na ogonie i przedstawił z pełną powagą jako jedyne w swoim rodzaju wykształconego przedstawiciela kasty Gryzoni”. Wśród ogólnej wesołości posadził go na dużej karcie papieru i położył przed nim kawałek grafitu. Sam usiadł z boku, krzyżując nogi. Przez parę minut nic się nie działo, szczur zachowywał się jak szczur, czyli węszył, drapał się tylną łapą za uchem i próbował zjeść kokardkę. Winograd siedział skupiony, nieruchomy jak posąg. Gdyby nie surowy *zakaz*, by nie przeszkadzać podczas „godzin chwały”, zaczęlibyśmy go wyśmiewać. Wtem jednak szczur zainteresował się rysikiem. Wziął go w chwytne łapki i z mozołem zaczął stawiać niezdarne lecz czytelne znaki na papierze. Z zartem i wytrzeszczonymi oczami czytaliśmy: DAJCIE SERA, WY GŁUPKI BEZ OGONÓW.

Wybuchnęliśmy nieopanowanym śmiechem. Szczur się spłoszył i nie dał już namówić do dalszych popisów. Tak więc godzina Winograda trwała zaledwie dziesięć minut, ale i tak uznaliśmy ją za najbardziej udaną. Szczur został uhonorowany serem, a Winograd otrzymał zaproszenie na wieczór w winiarni ze starszymi magami.

Swobodny dostęp do zasobów bibliotecznych, jaki nam wkrótce zapewnił Kowal, zaowocował przedziwnymi i dramatycznymi wydarzeniami. Zaczęło się - w moim przypadku - od „tropienia smoków”, czyli od tego, że dawałem upust swej pasji, wyszukując wszystko, co się dało znaleźć na temat tych stworzeń. Ryłem jak kret w stosach rycin, starych pamiętników, jeszcze starszych rękopisów i nowoczesnych druków. Poszukiwałem najdrobniejszych wzmianek i odkryłem coś dziwnego. Historia pisana rozpoczynała się ni stąd, ni zowąd od relacji o starciach między przybyszami z wysp a rdzenną ludnością wybrzeża i przemieszania się ras, jakie nastąpiło wkrótce potem. A przecież wiele działo się jeszcze przedtem. Doskonale o tym wiedziałem. Smocze Wyspy nie były jedynie tymczasową przystanią dla uchodźców zza morza. Budowano tam miasta, pisano książki, prowadzono rejestry i kalendarze. Gdzie to wszystko się podziało? Niemożliwe, by na kontynencie nie ocalało nic z tej spuścizny. Dziedzictwo po przodkach nie mogło ograniczać się jedynie do

tych trzystu tomów pozostawionych na Jaszczurze.

Przypomniało mi to o rękopisach przywiezionych z Archipelagu. Zaprzagnąłem je przejrzeć jeszcze raz. Może tutaj uda mi się je odczytać? A może „żółwie” już to zrobiły? Ku memu bezbrzeżnemu zdumieniu, bibliotekarz nic nie wiedział o tych tomach. Spytałem następnego. To samo. Zdążyłem zmęczyć doszczętnie wszystkich Strażników z trzech zmian i dotarłem do samego Mistrza, zanim spokojne „żółwie” miały mnie już dość. Zostałem dość stanowczo wyproszony z biblioteki (a właściwie wyprowadzony za kark i postraszony biciem, jak za czasów Gladiatora). Wszystko wskazywało na to, że bezcenne woluminy z Jaszczura zginęły bezpowrotnie.

Zwierzyłem się ze swych zmartwień najbliższym przyjacielom. Zdradziłem tajemnicę jaskiń na Jaszczurze, odebrawszy od nich przysięgę, której siła wzmocniona została przemieszaniem krwi z nakłutych igłą palców, że będą milczeć. Wiadomość o księgozbiorze starożytnego maga zrobiła na nich wielkie wrażenie.

„Skoro je dostarczyłeś, gdzieś muszą być” - stwierdził rozsądnie Koniec, myśląc o trzech zaginionych tomach. - „Żółwiom nic nie ginie, bo o wszystkim pamiętają. Jeśli niczego się nie dowiedziałeś, to znaczy, że faktycznie nic nie wiedzą.”

„Albo kłamią” - zasugerował Nocny Śpiewak. - „Kto wie, co było w tych książkach. Może je spalili.”

„Nie daliby rady. Stworzyciel je «zagaęścił» i tylko Stworzyciel mógłby je zniszczyć. Poza tym, czy widziałeś kiedy maga, który zniszczył jakąkolwiek książkę?”

„Nie” - przyznał Nocny Śpiewak.

„Może raz” - dodał, przekazując mi obraz Promienia w dawnej postaci.

Po naszej naradzie Strażników Słów dręczyło już pięciu żądnych wiedzy młodzieńców, bo nawet Myszka zdobył się na śmiałość, by zadawać kłopotliwe pytania. Nie zdołałem odszukać Wędrowca, który dostarczył mnie do Zamku, lecz odnalazłem Mówcę - egzaminatora. Na pytanie, co się stało z rękopisami, wyjaśnił uprzejmie:

„Zostały przekazane Mistrzowi Strażników Słów.”

„Na pewno?” - wyrwało mi się z powątpiewaniem.

Mówca rozgniewał się.

„Młody człowieku, brak ci dobrych manier. Idź do bibliotekarzy i nie zajmuj mi cennego czasu.”

Koło się zamknęło.

„Czy ty zdajesz sobie sprawę, co chcesz osiągnąć?” - złościł się Nocny Śpiewak. - „Znaleźć trzy książki w Zamku, który ma dwa tysiące sześćset osiemdziesiąt dwie piki

powierzchni. Przemnóż to przez piętra i pojemność głównych wież. Posiwiejesz, zanim coś odszukasz, nawet jeśli nikt nie będzie ci przeszkadzał. Na rozum ci padło?”

Machnąłem na niego gniewnie ręką.

„Nie chodzi tylko o te trzy tomy. Pożeracz Chmur i Jagoda znaleźli podziemny magazyn wypełniony pustymi półkami. A na nich gdzieniegdzie porzucone resztki pergaminów. Jeśli to nie była kiedyś biblioteka, dużo większa od księgozbioru zmarłego Strażnika, to zjem szczura.”

- Zjedz swoje buty! - oburzył się Winograd.

„W grę wchodzi parę tysięcy tomów. Wszystko, co wywieziono z Jaszczura z początkiem ery Rozproszenia. Z pewnością ocalała z tego przynajmniej część. « Żółwie» już wtedy były stuknięte, jeśli chodzi o książki. Tego musi być dużo” - ciągnąłem. - „A wiecie, co to znaczy?”

Winograd, który odczytywał wypisywane przeze mnie znaki, spojrzął po kolegach z błyskiem zrozumienia w oku.

- To znaczy, drodzy spiskowcy... - powiedział i zawiesił głos - że mamy szukać dużego pomieszczenia pełnego staroci.

- Albo paru niniejszych - dodał Myszka cały zaczerwieniony z podniecenia. - Matko Świata! Tyle książek. Ale dlaczego ktoś miałby to chować przed innymi?

To pytanie zadawaliśmy sobie wszyscy.

- Kamyk ma rację - powiedział Koniec. - Dość duża sala w ustronnym miejscu. Raczej nie uczęszczana i pewnie znana zaledwie kilku ludziom. Śpiewak...?

- Co ty sobie wyobrażasz, że ja znam tę chałupę na pamięć? - zachnął się Nocny Śpiewak.

- Tak! - powiedzieli zgodnym chórem Myszka i Winograd.

Nocny Śpiewak już od dawna z upodobaniem rysował i gromadził plany Zamku. Od tych kreślonych jeszcze niewprawną ręką dziecka aż do najnowszych, wypieszczonych rzutów poziomych i pionowych. Z dołączonymi pełnymi opisami i wymiarami. Wyciągnął te papiery z szafy i zaczęliśmy mozolne analizy. Od razu można było wykluczyć pomieszczenia dla służby i stajnie. To samo dotyczyło sal położonych blisko kuchni i łaźni, ze względu na wilgoć.

„Jeśli ten zbiór został zakonserwowany jak tamten z Jaszczura, to może być nawet zatopiony w gnojówce” - zauważył Nocny Śpiewak z ironią.

„Nie znasz Strażników? To maniacy. Śpią na książkach jak stare smoki na swych kolekcjach.”

- A jeżeli ta biblioteka jest gdzieś w ukrytych lochach, pod ziemią? - spytał tymczasem Myszka Końca, nieświadomy, że właśnie zastanawiamy się z Nocnym Śpiewakiem nad podobną sprawą.

- Słyszałem, że myszy bardzo dobrze kopią - odparł Mówca, spoglądając zezem.

- O... - powiedział tylko Myszka markotnie.

Zasoby Nocnego Śpiewaka nie zawierały jednak wszystkiego. Wieża centralna, najtrudniejsza do pomiarów, wciąż czekała na opracowanie. To samo dotyczyło wieży południowej i paru innych, pomniejszych budynków. Większość magów znała pasję Nocnego Śpiewaka, więc nikogo nie dziwił widok kosmatego Stworzyciela z taśmą mierniczą oraz przyrządami do pomiarów wysokości, jak bazgrze pracowicie na kawałkach papieru i sztywnego pergaminu.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy rezultatów jego pracy, lecz dni mijały, a Śpiewak nie odkrył niczego podejrzanego w zamkowej architekturze. Zacząłem wątpić w sens naszych poszukiwań. Może to rzeczywiście była bzdura? Mieliśmy bardzo wątpliwe podstawy dla swoich podejrzeń. Brak było pewności, że zbiory starożytnej biblioteki znajdują się właśnie w Zamku. Właściwie nie było pewne nawet to, czy naprawdę istnieją.

Tymczasem wiosna wybuchła nad Zamkiem Magów jak gejzer pełen ciepła, słońca i kwiatów. Znacznie wcześniej niż się spodziewałem - ja, do niedawna mieszkaniec chłodniejszych rejonów na północy kraju.

W ogrodach rozkwitały ciężkie kiście białych pienników i najwcześniejsze róże. Służba szorowała wszystko, co tylko się dało. Wywieszano i trzepano z kurzu dywany i gobeliny. Do skrzyń powędrowały płaszcze, ciepłe bluzy oraz wysokie buty. Na światło dzienne wydostały się płócienne tuniki, spodnie z lekkich tkanin i sandały.

Trzeciego, zdaje się, ciepłego dnia wpadła do mnie cała czwórka kolegów z Nocnym Śpiewakiem na czele. Wszyscy bardzo podnieceni.

„Południowa wieża! Jednak południowa!” - zawiadomił mnie Stworzyciel tryumfalnie już od progu.

Rozwinął na stole rulon papieru. Pięć głów zderzyło się ze sobą nad pokrytą wykresami płachtą. Zakotłowało się.

- Patrzcie tu! I tutaj...

- Gdzie?

- Co znalazłeś?

- Wysokości.... Au! Kamyk, przestań!

- Wyjaśnij mu cokolwiek. Widzisz, że go roznosi.

„Południowa wieża jest najstarsza. Najwcześniej podobno zbudowana. Zrobiłem pomiary z zewnątrz i wewnątrz. Na pierwszym poziomie jest sala zgromadzeń, na drugim cała kupa różnych pracowni, na trzecim to samo” - Nocny Śpiewak skierował przekaz do wszystkich jednocześnie. - „Straszliwa harówka, obmierzyć każdą ścianę osobno. Czwarte piętro to pokoje zarządcy, a nad nimi są strychy. Popatrzcie. Sala: sześć pik wysokości, potem trzy poziomy po cztery piki, potem jeden na niecałe dwie. Wysokość z zewnątrz: dwadzieścia pięć pik, trzy i pół kroka, dwa łokcie...”

„Dobrze, dobrze... Przejdź dalej”.

„Suma wysokości pomieszczeń wewnątrz wynosi... dwadzieścia jeden z uwzględnieniem legarów. Plus zwieńczenie dachu... Różnica wynosi około trzech pik!”

Nocny Śpiewak potoczył dumnym spojrzeniem.

„Tam jest jeszcze jedno piętro!”

„I nikt się przez te wszystkie lata nie połapał?” - zdumiałem się.

„Nikommu nie chciało się łączyć po zakurzonych składach pozbawionych okien. Poza tym ja wiedziałem, co chciałbym znaleźć.”

Z okna Nocnego Śpiewaka widać było południową wieżę. Ustawił w szerokim wykuszu stojak z lunetą, przez którą mogliśmy dokładniej obejrzyć interesującą nas budowlę.

„Czy tam można się jakoś dostać?” - spytałem Nocnego Śpiewaka, patrząc przez szkła. Mury wieży od pewnej wysokości były zupełnie jednolite, ale w cieniach pod skośnymi płaszczyznami dachu kryły się niewielkie otwory. Sprawiały wrażenie strzelnic, lecz po dokładniejszym przyjrzeniu się można było dostrzec błysk szkła okiennego.

„Ze strychów nie ma wejścia. Sprawdziłem. Jednolite ściany. Kamień na zewnętrznych i cegła na działowe. Grubość wahająca się od kroka do dwóch dłoni. Strop, legary, dechy dębowe, wypełnienia z trzciny i kruszywa wapiennego.”

„Ukryte przejście?”

„Nie ma. Jestem w końcu Stworzycielem czy nie?”

„Jesteś, jesteś... I najlepszym architektem, jakiego znam.”

„Dużo ich znasz?”

„Tylko ciebie. Wygląda na to, że mogą się dostać tam wyłącznie Wędrowcy... lub Stworzyciele.”

„Zapomnij o tym, że mam robić dziury w suficie.”

„Chciałbyś tam wysłać Myszkę? Doskonale wiesz, że nie «skoczy» do miejsca,

którego nie zna. Wystarczy, że trafi na podporę stropową i zostanie z niego miazga.”

„Kolumny potrafię przewidzieć.”

„I co jeszcze?” - zdenerwowałem się. - „Jesteś Stworzycielem czy Przewodnikiem Snów? Możesz przewidzieć, co zrobi ci rodzina Myszki, jak go będziesz narażał?”

Rozwiązanie znalazł Winograd. Wystarczyło, że wystawił rękę przez okno i już po chwili na jego przegubie siedział jeden z gołębi gnieźdzących się na gzymsach i w załomach murów. Bestiar głaskał szare pióra ptaka, a na jego lisią twarz wypływał znajomy wyraz oddalenia. Posadził gołębia na lunecie, a sam usiadł na podłodze, krzyżując nogi i kładąc ręce na kolanach. Powieki opadły mu do połowy. Ptak odleciał. Trzepocąca się szara plamka podążyła w stronę wieży. Przez lunetę było widać, jak ptak ląduje kolejno w wąskich wykuszach okiennych. Potem zniknął za węglem.

Dłonie Winograda poruszały się nieznacznie. Marszczył lekko brwi, powieki mu drgały. Był związany ze skrzydlatym wysłannikiem w podobny sposób, jak niegdyś Pożeracz Chmur łączył się ze mną. Wtem brwi Bestiara uniosły się ze zdumienia, a twarz rozjaśniła się w wyrazie radosnego niedowierzania. Jakby zapaliła się w jego wnętrzu lampa. W napięciu śledziliśmy jego twarz, zmienną jak woda. Odbijały się na niej: wesołość, zdumienie, namysł, lekki niepokój... Potem znów uśmiech... W końcu, po dłuższym czasie na nowo przybrała maskę skupienia. Wiedzieliśmy, że za chwilę „wróci”.

Nagle twarz Winograda wykrzywiła się w grymasie przerażenia. Szarpnął się gwałtownie do tyłu, waląc głową w podłogę. Ciało chłopca wygięło się w spazmie, tak, że przez chwilę opierał się wyłącznie na czubku głowy i piętach. Ręce wyrzucił przed siebie, jakby się przed czymś broniąc. Rzuciliśmy się ku niemu, wystraszeni, ale w mgnieniu oka było po wszystkim. Nagle rozluźnił mięśnie, opadł na podłogę i spojrzał przytomnie.

Zakłopotany, zawstydzony i nieszczęśliwy odepchnął troskliwe dłonie. Rzucił kilka słów wyjaśnienia, a potem wymknął się chyłkiem, by zmienić zmoczone spodnie. Wyglądało to na atak choroby.

Pociągnąłem Końca za rękaw.

„Jastrząb go dorwał” - wyjaśnił Mówca, nadal jeszcze trochę wstrząśnięty.

„Winograda...?”

„Gołębia. Gołąb zginął, a Winograd razem z nim. W pewnym sensie.”

Ogarnęło mnie współczucie. To rzeczywiście musiało być potworne. W jednej chwili cieszyć się słońcem i lotem, a w następnej umierać, rozszarpywany przez ostre szpony. Pozostawała jeszcze śmierć samego gołębia. Jastrzębie żywiły się drobniejszym ptactwem, tak było od zarania dziejów. Ale to nie stanowiło wielkiej pociechy dla Bestiara, który

zwierzęta traktował jak osobistych przyjaciół.

Gołąb Winograda, nim zakończył życie, zdołał dostać się przez dziurę w wytłuczonym okienku do wnętrza wieży. Bestiar oczami ptaka zobaczył spore, zastawione regałami pomieszczenie. Mroczne, zakurzone, z festonami pajęczyn w każdym kącie. Na półkach piętrzyły się w nierównych stosach stare księgi i walce, zawierające pewnie zapisy na zwojach. Wszystko pokryte było warstwą miękkiego, szarego kurzu, jakby nikt nie dotykał tych przedmiotów co najmniej od dziesiątków lat. Ptak dreptał po półkach i podłodze, zostawiając po sobie gałązki drobnych śladów. Mag liczył regały i zapamiętywał ich ustawienie.

W ten sposób Nocny Śpiewak, czerpiąc wprost z umysłu Winograda, był w stanie narysować mapę pomieszczenia i oznaczyć w nim wolne miejsca. Tam, gdzie Wędrowiec mógłby przenieść się bez szwanku.

Marzenie o tajemniczym księgozbiórze stało się rzeczywistością. Śmieszny, nierealny pomysł zrodzony w niedowarzonej głowie okazał się zgodny z prawdą. Życie potrafi sprawiać niespodzianki.

Nie mogliśmy się wprost doczekać, kiedy na własne oczy przekonamy się, co zawiera ukryta biblioteka. Z pewnością dzieła zakazane, bezcenne skarby ludzkiej myśli. Może nawet bardzo niebezpieczne. Bo z jakiego powodu ktoś miałby je umieszczać w miejscu tak niedostępnym?

„Nawet jeśli to same śmieci, to i tak nieźle się bawię” - pocieszył mnie Nocny Śpiewak.

Tak więc drżeliśmy z niecierpliwości. Tymczasem zbuntował się... Myszka, od którego zależało powodzenie całego przedsięwzięcia. Nie i nie. Nie „skoczy” nigdzie korzystając z mapy wykreślonej na podstawie obserwacji jakiegoś głupiego gołębia. Życie jeszcze mu się nie uprzykrzyło. A my nie mamy pojęcia, do czego go nakłaniamy.

- Myszko, zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz - podlizywał się Nocny Śpiewak.

- Jedwabną tunikę? - zainteresował się mały Wędrowiec. - I pawie pióra? I sorbet?

- Całą miskę, tylko dla ciebie - zapewnił Nocny Śpiewak.

- Zastanowię się - powiedział Myszka łaskawie.

- Ja nie poznaję tej Myszy! - zdenerwował się Wino-grad. - Zrobił się strasznie pyskaty. I chciwy. Posłuchaj, ty wredny gryzoniu! Kiedy Kamyk ratował twój tyłek, to nie pytał, co za to dostanie.

- A wiadomo, co dostał - wtrącił się Koniec. - Pięścią w twarz. Dobrze wiesz, Jodłowy, komu z nas najbardziej zależy na tych książkach. Przemyśl to.

Myszka oklapnął jak przeziębione ciasto.

- No dobrze, to tylko sorbet. Ja ryzykuję. Coś mi się w końcu należy...! - powiedział żałośnie.

Nocny Śpiewak powtórzył mi potem tę wymianę zdań, nieco zgorszony zachowaniem Myszki. Ja jednak nie miałem Myszce niczego za złe. Wręcz przeciwnie, uznałem, że nareszcie nabiera troszeczkę charakteru. Dotąd ulegał we wszystkim kolegom. Dobrze się stało, iż tym razem napotkali choć trochę oporu z jego strony. Niech walczy o swoje. To może wyjść mu tylko na dobre.

Tradycyjną porą niezwykłych przygód jest noc lub co najmniej zachód słońca. My jednak wybraliśmy jasny dzień, zaraz po zakończeniu zajęć z Kowalem. Jedynymi źródłami światła na zakazanym piętrze były małe okienka pod samym stropem, a dobrze by było, gdyby Myszka widział cokolwiek, gdy już tam się znajdzie. Mały Wędrowiec niezwykle poważnie traktował swoją misję. Z dziesięć razy sprawdzał mapę Nocnego Śpiewaka i nanosił na nią swoje własne tajemnicze cyfry i strzałki.

Zebrałiśmy się u Nocnego Śpiewaka.

- Masz dziesięć minut - pouczał Myszkę Koniec, gdy chłopiec był już gotowy. - Skaczesz, rozglądasz się i wracasz. I koniecznie zabierz ze sobą jakąś książkę. Pamiętaj, dziesięć minut. Po piętnastu zawiadamiamy Kowala, że coś ci się stało.

Myszka przybladł i zaczął głęboko oddychać. Koniec odstał od niego na trzy kroki, zwolnił zapadkę kulkowego zegara, stojącego na stole. Na dany znak Myszka przekreślił trzymaną w ręku klepsydrę, zamknął oczy i zniknął.

Skupiliśmy uwagę na zegarze. Koniec poruszał wargami, licząc upływający czas. Drobny śrut sekund sypał się na czerpaczek, a ten opadał, zwalniając mechanizm dozujący grubsze kuleczki minut. Nocny Śpiewak przygryzał wąsy. Winograd wyłamywał palce, nie odrywając wzroku od zegara. Już dziewięć kulek spoczywało na dnie ozdobnej miseczki. Czekaliśmy. Spadła dziesiąta. Potem jedenasta. Myszka nie wracał. Winograd, błąd jak płótno, zerwał się z miejsca. Złapałem go za rękę.

„Spokój! Ma jeszcze cztery minuty. Koniec, «sięgnij» do niego.”

Koniec skinął głową. Po chwili na jego okrągłą twarz wypłynął wyraz ulgi.

„Nic mu nie jest. Chyba, że udusi się z podniecenia. Prosił o jeszcze trochę czasu.

Wróci za moment.”

Czekaliśmy w napięciu. Myszka pojawił się na starym miejscu. Trzymał w objęciach kilka wielkich ksiąg, uginając się pod ich ciężarem. Był zarumieniony z wysiłku, na włosach miał pajęczynę, a jego rękawy wyglądały tak, jakby czyścił nimi bardzo brudną posadzkę. Upuścił księgi na podłogę, aż podniósł się obłok kurzu i wszyscy zaczęliśmy kaszleć. W jednej chwili Myszka stał się ośrodkiem huraganu zachwyków. Zniósł jakoś pół minuty potrząsania i duszenia w objęciach. Potem zajęliśmy się księgami. Wytarliśmy je ręcznikiem, który w mgnieniu oka przestał być biały. Myszka z ogromną dumą wręczył jeden z tomów Nocnemu Śpiewakowi. Na pociemniałej ze starości skórze okładki był wytłoczony znak Kręgu i Płomienia, z resztkami złocień. Nocny Śpiewak otworzył księgę na pierwszej stronicy i znieruchomiał oszołomiony, wpatrując się w nią jak zaczarowany. Wszyscy, prócz Myszkę, stłoczyliśmy się wokół niego. Pośrodku strony tytułowej zobaczyliśmy dwa namalowane cienkim pędzelkiem znaki. Tusz musiał być bardzo dobrej jakości, gdyż nie zrudział z upływem lat. Przeczytałem: „Buron Stworzyciel”.

Patrzyliśmy na ten napis, wzruszeni, a jednocześnie pełni niedowierzania. Pamiętnik legendarnego maga sprzed prawie czterech wieków. Skarb wręcz niewyobrażalny. Nocny Śpiewak wodził palcami po stronicach, zapisanych starodawnym krojem pisma.

„Matko Świata! Na wieczny Krąg! Kamyk, czy to mi się śni? On zginął w pożarze, myślałem, że to także się spaliło!”

„Wszyscy tak myśleli, prócz tych, którzy wiedzieli. Ciekawe, czemu schowali jego pamiętnik w wieży? Są przecież ludzie, którzy daliby sobie uciąć rękę za możliwość przeczytania autentyku. Zamiast tej późniejszej wersji, spisanej przez jakiegoś «żółwia».”

„Nie dam sobie niczego uciąć. I nie dam sobie też tego odebrać. Zaraz zaczną czytać i nie przerwę, aż skończą. Choćby przez całą noc.”

(Wyprzedzę nieco wydarzenia. Nocny Śpiewak po skończonej lekturze skomentował: „Nieprzyjemny typ. Cholernie zdolny. Piekielnie inteligentny, zimny jak wąż i obrzydliwie cyniczny. Co za ulga, że już nie żyje.”)

Drugi rękopis traktował o kulcie Wielkiego Węża, o czym przekonaaliśmy się po pobieżnym przejrzaniu tekstu. Myszka wybrał go, dziecinnie zainteresowany winietami, przedstawiającymi krwawe rytuały, i ornamentami w kształcie gadów. Przypomniało mi to materiały

1 rzeźby pozostawione na Jaszczurze.

Trzeci tom był zapisany różnymi charakterami pisma. Na pierwszy rzut oka wyglądał mało interesująco. W czterech kolumnach umieszczono: daty sprzed około stu lat, imiona i

gdzieniegdzie miana rodów, jakieś liczby i krótkie komentarze, czasem skwitowane jednym tylko znakiem. Czytaliśmy, zaglądając sobie wzajemnie przez ramię.

Dziesiąty [dzień] żniwnego, rok Lwa; Ostry z Kamiennej; 164; za szlaki.

Piętnasty żniwnego, rok Lwa; Powój, zarządca okręgu Bykowiec; 2000; transport srebra, stal dla Zwierciadlanych.

Osiemnasty żniwnego, rok Lwa; cichoręki od Czarnego; 1500; likwidacja Kotów, udana.

Dwudziesty żniwnego, rok Lwa; cichoręki od Czarnego; 1200; wino dla księcia; udane.

Trzydziesty drugi żniwnego, rok Lwa; Orzeł z Podgórza; broń i ziarno za Krew Bohaterów; podbija stawką, kłopotliwy.

Obok tego wersu ktoś dopisał: „układać się, sprzątanie w ostateczności”.

„Nic z tego nie rozumiem” - napisałem iluzyjnymi znakami na marginesie.

„A ja, owszem” - odparł Koniec, zamykając księgę jednym palcem, jakby dotykał czegoś wstrętnego. - „Prawdopodobnie jest to stary rejestr łapówek i opłat dla skrytobójców. Czy ktoś jeszcze chce być magiem?”

Spojrzeliliśmy po sobie niepewnie.

„No to mamy zdechłą mysz w cieście” - podsumował Nocny Śpiewak. - „Zjadamy ją razem z resztą czy wieszamy kucharza?”

„Ja jestem za tym, by odkroić ten kawałek z myszą. Reszta da się przełknąć” - odparłem. Moi koledzy wstydliwie spuścili oczy. Fale się złoścą, a galera płynie nadal.

Koniec zdjął rejestr ze stołu i wsunął go pod łóżko, które kiedyś było moje, a teraz zamieniło się w magazyn papierów. Humory zwarzyły nam się tylko chwilowo. Nocny Śpiewak przystąpił do produkowania sorbetu dla Myszki, w ilości zdolnej doprowadzić do wymiotów tuzin łakomych dziesięciolatków. Oczywiście jedliśmy wszyscy, bo Myszka po prostu nie potrafił nie dzielić się.

Pamiętnik Burona, który przywłaszczył sobie Nocny Śpiewak, nasunął mi (nie po raz pierwszy) myśli o moim mistrzu - Białym Rogu. Poszedłem do biblioteki. „Żółwie” pracowały do późna, nadal była otwarta. Poprosiłem o dostęp do starych pamiętników „błękitnych”. Z początku Strażnik krzywił się i na różne sposoby dawał mi do zrozumienia,

że powinienem zrezygnować. Tom zapisany ręką Białego Roga należał do najcenniejszych. Nalegałem jednak i w końcu się zgodziłem. Pozwolił mi przejrzeć księgę w czytelni.

Tom był podobny do diariusza, który prowadzę. Podobne okucia i klamra. Karty sygnowane imieniem właściciela. „Biały Róg, syn Fali, z ojca Liścia Dębu, z domu na Kozich Wzgórzach”. Teraz te wzgórza nosiły nazwę Iluzyjnych.

Z niezbyt dobrego portretu wiszącego na ścianie biblioteki spoglądał sztywny, jakby nadąsany mężczyzna w średnim wieku, o pospolitej, nieciekawej twarzy. Natomiast w pamiętnik tuż na przedzie wklejono niewielki prostokąt pergaminu, na którym nieznanymi rysownik nakreślił tuszem wizerunek młodego chłopca. Rzadkie włosy spadały mu na czoło i uszy, twarz miał pociągłą, jeszcze nie poznaczoną bruzdami, jakie rzeźbią lata. Miał strasznie smutne oczy i usta dokładnie wytarte z uśmiechu.

Krągłe znaki układały się w zapis losów człowieka, który żył przed stuleciem.

Nazywam się Biały Róg, mam piętnaście lat i jestem Tkaczem Iluzji. To lepiej niż być Obserwatorem, bo ludzie nie lubią, jak im zaglądać do głów. A ja mogę wymyślać różne rzeczy i wtedy się tak bardzo nie nudzę. Ten mag, który mnie sprawdzał, a potem dał ten pamiętnik i szarfę, powiedział, że pewnie spełniło się marzenie mojego życia. A to nie jest prawda. Bo najbardziej bym chciał paść kozy na pastwiskach należących do mego ojca. Powiedziałem to człowiekowi Kręgu, a on się śmiał. Ale tylko przez chwilę, bo potem się domyślił, o co mi chodziło. Jakbym był pasterzem, to by znaczyło, że mogę chodzić i biegać i mam prawdziwe nogi, a nie takie chude patyki. Ale skoro nie ‘mogę być pasterzem, to będę magiem. To też jest jakieś zajęcie.

Czytałem aż do zapadnięcia zmroku. Biały Róg miał smutne życie. Tym bardziej doceniał i cieszył się każdą przyjemnością. Pogodnym dniem, dobrą książką, tęczą, ptakiem na gałęzi, wizytą przyjaciela...

Czego ja chcę? - pytałem sam siebie.

„Błękit to władza i bogactwo... Zastanów się, czy aby na pewno tego chcesz?” - przypominałem sobie przekaz Słonego.

Czego ja chcę? Czy wygodnego życia w Zamku? Łatwego spełniania zachcianek? Czego z kolei oczekuje ode mnie Krąg? Posłuszeństwa, lojalności, wdzięczności za łaski? A czego ja oczekuję od życia?

Borykałem się z tym jakiś czas. Odpowiedź przyszła, jakby czekała tylko na znak, gdyż nosiłem ją od dawna w sobie.

„Chcę wrócić na wyspy. Chcę być z tymi, których kocham. Chcę przyjaźni Pożeracza Chmur. Chciałbym robić to, co potrafię najlepiej i co lubię. I jeszcze znaleźć kobietę cierpliwą i wyrozumiałą, mieć rodzinę, jak Słony.”

Odniosłem wrażenie, że wszystkie te rzeczy naraz trudno pogodzić z interesem Kręgu.

Następnym razem Myszka przeniósł do południowej wieży nas wszystkich. Buszowaliśmy wśród zakurzonych półek, z zachwytem dokonując nowych odkryć. Nocny Śpiewak odnalazł jeszcze jedną część dokumentacji Burona. Tym razem luźny plik „zagęszczonych” kart, umieszczony w drewnianych okładkach ze skórzanym grzbietem. Przejrzał je od razu w wieży i dostał szału. Wymachiwał trzymanymi w garści papierami, podniecony i wściekły, aż piana drobnymi płatkami osiadła mu na krótkich wąsach. Chłopcy musieli go uciszać.

„Czy ty wiesz...? Czy ty wiesz, co to jest?!” - zwrócił się do mnie. Oczy miał straszne. - „To jest twój słuch!”

Nie rozumiałem.

„Buron dokonywał przemian «z żywego w żywe», a także prowadził próby nad stwarzaniem istot żywych. Potrafił odtwarzać tkankę nerwową! Wiedział, jak to się robi! Nie rozumiesz? Od czterech wieków leży tu przepis na rzeczy, o których marzą wszyscy Stworzyciele! Zaginiona wiedza, którą posiadali nasi przodkowie! Po prostu leży i pokrywa się kurzem!”

„Ale to chyba bardzo niebezpieczne. Poza tym, u mnie przywrócenie słuchu oznaczałoby utratę talentu.”

„To nie takie pewne. O ile dobrze się orientuję, zapis wspomina także coś o przenoszeniu funkcji do różnych rejonów ośrodka nerwowego. Zaraza i czerń, Kamyk, mam ochotę kogoś zabić! Mógłbym wyglądać jak człowiek, a nie jak wilkołak, gdyby któremuś z tego stada zaskorupałych padalców chciało się kiwnąć palcem!”

Ogarniałem rozmiary jego gniewu. Sam czułem podobny, choć nie tak wielki. Z drugiej strony pojmowałem, czemu dokonania Burona - ostatniego z największych magów Stworzycieli, zostały wygnane do tego ponurego miejsca. Wciąż jeszcze żyły na świecie błędy (a może świadectwa chwały?) naszych poprzedników: mantikory, syreny, wydrzaki i lamie, ostatnie centaury, trójrogi, półkrwi gnomy, drapieżne lotniaki... i inne, mniej znane stworzenia. A smoki? Któż wie, skąd właściwie wzięły się smoki? Nocny Śpiewak miał w ręku klucz do groźnej wiedzy, tym groźniejszej, że dostała się w ręce godnego następcy

Burona.

Znalazłem też wszystkie trzy tomy z Jaszczura - czyjaś ręka położyła je na wierzchu innych tomów na zapełnionej półce. Jakiś Strażnik Słów wetknął za okładki kartki z krótkimi objaśnieniami przetłumaczonej treści.

Zakazane kulty. Rytualne okaleczenia. Ofiary dla węży. Zbyt charyzmatyczne.

Cywilizacja zachodnich kontynentów. Niepopularne treści i wywrotowe poglądy.

Historia wojny domowej na Nowej Ziemi.

Dokonałiśmy ze Słonym dość nieszczęśliwego wyboru, biorąc coś na chybił trafił, bez żadnych rysunków w środku.

Tymczasem Myszka pławił się w obfitości map całego świata. Był bardzo szczęśliwy, choć wiele z nich było już prawie całkowicie nieczytelnych. Koniec szukał dalszych rejestrów i zapisów historycznych (tych, które nie wybielały bohaterów), a Winograd razem ze mną przeglądał jeden zakurzony foliał po drugim, wynajdując materiały o smoczej rasie.

Odłożyliśmy wiele tomów na bok, do zabrania w świat zewnętrzny, gdzie jeszcze raz ucieszą chętne do czytania oczy. Nazbierał się tego spory stos. Gdy myśliśmy się potem w komnacie Nocnego Śpiewaka, sterta ksiąg leżała na podłodze, wzbudzając lekki niepokój swymi rozmiarami. A tyle jeszcze ich pozostało w wieży do przejrzania, odczytania... i ukradzenia, niestety. Co zrobić z tym nieoczekiwanie zdobytym skarbem? Jak go ukryć, gdzie przechować? Ani jedne drzwi należące do „połówki” nie miały czegoś takiego jak zamek, całkiem jakbyśmy nie potrzebowali nawet szczypty intymności. Służba wchodziła bez przeszkód podczas naszej nieobecności, by umyć okna, pościerać kurze czy zabrać odzież do prania. Przy okazji węszyła po kątach i robiła bałagan w naszych notatkach. Jedno, jedyne pomieszczenie wolne było od tej plagi, choć z początku nikt jakoś nie chciał wspomnieć jego mieszkańca. Pierwszy odezwał się Koniec, z pewną niechęcią:

- Moglibyśmy... Ostatecznie mogliśmy wtajemniczyć Promienia.

Wszyscy spojrzeliśmy na siebie ze zmieszaniem. Co prawda Promień od pewnego czasu zachowywał się jak normalny chłopak, a nie „cholerny arystokrata”, lecz nie mogliśmy powiedzieć w pełni szczerze, że można mu ufać. Kto wie, co może przyjsć mu do głowy? A jednak byłoby to całkiem zadowalające rozwiązanie problemu.

Komnata Promienia stała się „ziemią niczyją”, od kiedy zamieszkała z nim Miętówka. Wielka, srebrzyście nakrapiana kocica zdumiewająco trafnie rozpoznawała wszystkie „połówki”, pozwalając wchodzić do środka kolegom Iskry. Cała reszta była wstrętnymi

wrogami, czyhającymi na jej pana i przedmiotem mniej lub bardziej udawanych ataków. W ten sposób już od tygodni przez próg Promienia nie stąpnęła noga służącego. Wewnątrz panował swojski nieład, a w kątach *zalegały* kłaczki kurzu nabitego kocią sierścią. Można tam było schować tygrysa i dwa jednorożce na dodatek, a nie tylko trochę zakazanych ksiąg. Rozmowy z Promieniem podjął się Nocny Śpiewak, który pozostawał z Iskrą w lepszych stosunkach, niż każdy z nas pozostałych. Zaczął bardzo ostrożnie, z początku dając tylko do zrozumienia to i owo, ale Promień szybko przerwał mu przydługie wywody, pytając trzeźwo i konkretnie:

- Czyj to trup, kto go zabił i dlaczego to ja mam go chować pod łóżkiem?

Wtedy Nocny Śpiewak musiał już się przyznać, że nie chodzi o nieboszczyka w sensie „cielesnym”, tylko raczej duchowym. Promień z zainteresowaniem wysłuchał całej historii, po czym rzekł, uśmiechając się szelmowsko:

- Biorę ten towar.

Nocny Śpiewak wrócił z dobrymi wiadomościami. Promień miał umieścić wszystkie rękopisy u siebie w skrzyniach na ubrania, jeśli tylko pomożemy mu pozbyć się całego tego eleganckiego kramu, którego nie chce już nosić. W zamian żądał wejścia do grona szperaczy, na pełnych prawach, a więc łącznie z możliwością nieskrępowanego dostępu do odnalezionych przez nas manuskryptów. Odpowiadało to wszystkim. Nie mogło być lepszej gwarancji na milczenie Iskry niż uczestnictwo w występku.

Nie obyło się jednak bez kłopotów. Z jednej strony - odkrywaliśmy coraz to nowe fascynujące rzeczy. Na przykład, obaj z Winogradem coraz bardziej byliśmy pewni, że smoczy gatunek wywodzi się od jednej pary powstałej przed tysiącami lat z rąk Stworzyciela lub Stworzycieli, może nawet potężniejszych niż legendarny Buron. Tak można było wnioskować z najstarszych, zagadkowych przekazów - zagadek. Z drugiej strony jednak - mieliśmy coraz większe kłopoty z nauką. Wyprawy na wieżę przeciągały się nieraz i niejednokrotnie pracowaliśmy potem u Promienia, aż do późnej nocy. Cała nasza szóstka miała oczy czerwone jak smoki. Byliśmy ciągle niewyspani, a przez to nieuważni. Było oczywiste, że wcześniej czy później zwrócimy na siebie uwagę Kowala. I tak też się stało. Najpierw zaczął nas obserwować. Potem pojedynczo wypytywać. Pierwszą zasadą postępowania z Mówcami jest: pod żadnym pozorem nie kłamać. Wszyscy jak jeden twierdziliśmy to samo. Uczymy się i czytamy po nocach. I była to czysta prawda. Kowal, ze swoimi nienagannymi manierami, nie próbował zagłębiać się w nasze umysły, szukając

szczegółów. Upomniął nas tylko. Nie pomogło. Potem już była ostra nagana za niedbałe opisywanie zadanych tematów. A gdy nieludzko wykończonemu Myszcze zdarzyło się zasnąć na lekcji, Kowal rozgniewał się nie na żarty. Wyrzucił nas wszystkich za drzwi ze stanowczym poleceniem: Natychmiast iść spać! Za godzinę sprawdzi, a jeśli nie zostanie całej czerwonoookiej gromadki w łózkach... Jeżeli następnego dnia nie zobaczy porządnie odrobionych zadań (bo wyraźnie czytamy nie te pozycje, co trzeba)... Jeśli ktoś jeszcze raz przyjdzie na zajęcia, wyglądając jak śnięta przed tygodniem ryba... to on, Kowal, osobiście pośle go „pod ścianę”.

Były to czcze groźby, bo Kowal brzydził się przemocą i na nikogo by nie podniósł ręki. Niemniej, potraktowaliśmy te ostrzeżenia poważnie. Badanie starożytnego księgozbioru nie mogło odbywać się kosztem snu i innych zajęć. W żadnym wypadku nie powinniśmy się teraz rzucać w oczy.

Z tego powodu liczba szperaczy urosła do siódemki, gdyż po głębokim namyśle i burzliwej naradzie, postanowiliśmy wtajemniczyć drugiego Wędrowca i tym sposobem odciążyć Myszkę. I tak dołączył do nas Wężownik. Nastąpił podział na dwie grupy, które działały na przemian. Skończyliśmy też z przesiadywaniem do białego rana. Spiskowcy przyczaili się, wszystko wyglądało normalnie. Kowal był zadowolony i my także.

Aż nadszedł ten nieszczęśliwy dzień, gdy nastąpiła katastrofa. Od rana już zaczęły się drobne nieprzyjemności, jakby zapowiadając, że będzie coraz gorzej. Urwałem sznurówkę od sandała i nie mogłem znaleźć zapasowej. Na śniadanie podano nam zalewanekę. (Nieświadomym szczęśliwcom wyjaśniam: jest to czerstwy chleb krojony w kostkę, zalany rosołem zabielonym mlekiem, z wielką ilością przypraw. Może to zjeść tylko południowiec i to niewybredny.) Kowala niespodzianie odwołano z wykładu i nie dowiedzieliśmy się, jak toczy się dalej frapująca opowieść o łowcach wielkich białych węży. Potem okazało się, że nie dostanę w bibliotece niezbędnego mi słownika, gdyż ubiegł mnie ktoś inny.

Wreszcie zaszyliśmy się wraz z Winogradem u mnie, mając nadzieję na spokojne popołudnie, które spędzimy odrabiając ćwiczenia i jedząc konfitury z czereśni. Nie było nam to dane. W pewnej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę, a w progu stanął zadyszany Gryf, za plecami mając równie zdyszanego Końca. Widziałem, jak Gryf wyrzuca z siebie słowa, a Winograd zrywa się z miejsca, zmieniony na twarzy.

„Straż ujęła Nocnego Śpiewaka!” - dotarło do mnie od Mówcy.

To był szok. Przez chwilę zamiast żołądka miałem kamienną bryłę, a w głowie tylko

jedną myśl: „Tajna biblioteka!” Dopiero potem nadeszły pytania: „Kiedy? Jak? Dlaczego?”

Gryf był świadkiem tego wydarzenia. Szli z Nocnym Śpiewakiem ścieżką w ogrodzie, spokojnie rozmawiając. Nie robili niczego szczególnego. Nocny Śpiewak zachowywał się zwyczajnie. Nagle otoczyło ich czterech ludzi w uniformach zamkowej straży.

- Jesteś zatrzymany - powiedział jeden ze strażników do Nocnego Śpiewaka, a inny w tej samej chwili wbił chłopcu igłę w kark.

- Sąd Kręgu uznał cię winnym złamania prawa. Okaż skruchę - dodał beznamiętnie.

Nocny Śpiewak nie zdążył nawet krzyknąć. Świadomość w jego oczach zgasła niemal natychmiast. Pozostali strażnicy pochwycili osuwające się bezwładnie ciało i położyli je na ziemi.

- Nic tu po tobie, chłopcze. Wracaj do domu - usłyszał

Gryf.

Nie ruszył się z miejsca. Przestraszony i zdumiony patrzył na nieprzytomnego kolegę, na strażników o zimnych, obojętnych twarzach.

- Idź stąd! - Pchnięcie w ramię wytrąciło go z równowagi. Odwrócił się i pobiegł między różanymi krzewami, wciąż mając w oczach tamtą scenę - czterech mężczyzn pochylających się nad bezbronny, leżącym bez ruchu chłopcem.

Za co? Co zrobił Nocny Śpiewak, że potraktowano go w taki sposób? To prawda, że do jego sposobu prowadzę-

nią się można było mieć liczne zastrzeżenia. Nie był jednak kłamcą ani złodziejem. Wręcz przeciwnie, jego hojność szeroko znano. Był pogodnym kpiarzem i łagodnym szydercą. Wielbicielem kobiet (zwłaszcza cudzych), amatorem mocnych win i nadnaturalnie pracowitym magiem Czy któraś z tych cech mogła sprowadzić na niego aż takie kłopoty? Zdawało się nam to niewiarygodne. A jednak...

- Tak po prostu - mówił Gryf z goryczą. - Wzięli go jak swoją własność. Nigdy bym nie pomyślał. Bez wyraźnego oskarżenia, bez osądzenia, bez ostrzeżenia. Łatwiej niż nakryć świerszcza ręką. Jeśli to jest zgodne z prawem, to ja jestem tancerka.

- Prawo niby jest równe dla wszystkich, ale nie licz na to, że uszanują cię, jeśli jesteś bękartem - mruknął Winograd. Spojrzeli na siebie z Gryfem. Obaj wychowywali się u obcych i znali cienie życia na czyjejś łasce.

- Powiem ci jeszcze, że nie potraktowaliby tak Mówcy, Obserwatora ani Przewodnika Snów. Zastanów się, co zrobiliby w takim położeniu Iskra. Albo Wędrowiec. Oni po prostu boją się Nocnego Śpiewaka.

- Nadal jednak nie wiemy, co zrobił Śpiewak. Nie wierzę, by kogoś zamordował albo

ograbił. Musi chodzić o co innego - wtrącił Koniec.

- A Kamyk, jak zwykle, siedzi i myśli. „Kamyk?”

Wyprostowałem się, porzucając niewesołe rozmyślenia.

„Siedzicie tylko i mielecie ozorami bez pożytku. Koniec i Winograd, odszukajcie Kowala. Ja pójdę do Wiatru Na Szczycie. Trzeba dowiedzieć się, dokąd zabrali Nocnego Śpiewaka i co mu grozi. Gryf niech zawiadomi resztę. Za godzinę zbierzemy się tutaj.”

Popatrzyli na mnie wzrokiem zaskoczonym, lecz nie pozbawionym pewnej dozy szacunku. Rozeszliśmy się, każdy do swoich zadań.

Nie przyszedłem jednak na umówione spotkanie. Zbyt wiele czasu zabrało Wiatrowi Na Szczycie uzyskanie informacji o Nocnym Śpiewaku oraz zgody, byśmy mogli go obaj zobaczyć.

„Nie wierzę. Handel narkotykami? Bzdury!” - Wiatr Na Szczycie był wściekły. Gnał jak huragan przez galerie i przejścia Zamku. Ledwo za nim nadążałem.

„W handel mogę uwierzyć. W narkotyki nie bardzo” - wypisałem w powietrzu. - „Chociaż kto to wie... Nocny Śpiewak jest skryty, jeśli chodzi o pewne sprawy. Może w coś się wplątał...? Miał różne kontakty na zewnątrz.”

„Co to jest Smoczy Ogon?” - spytał Wiatr Na Szczycie.

„Korzeń. Dość rzadki.”

„Czy to zielsko podpada pod cesarski edykt?”

„Jako używka? Z tego się robi głównie leki!”

„Coś mi klarował ten bałwan... Smoczy Ogon... podstawa do wyrobu środków uzależniających...”

„Nocny Śpiewak sprzedawał Smoczy Ogon?... To przecież nie rośnie tak sobie, pod każdym płotem!”

Wiatr Na Szczycie wzruszył ramionami.

„Lepiej go znasz niż ja. Pewnie nauczył się wytwarzać gotowy preparat. Synteza i tak dalej. Narkotyki to pretekst, skoro twierdzisz, że ten chwast służy przede wszystkim jako lekarstwo. Cała «góra» szaleje. Krąg ma wyłączność na takie rzeczy. A tego podobno szło w świat dziesiątki szekali. «Błękitnym» umknęły straszliwe pieniądze.”

No, tak. Nocny Śpiewak wpadł w bagno po szyję. Na miłosierdzie Losu, co mu przyszło do głowy, by robić takie rzeczy?

Dotarliśmy z Hajgiem na miejsce. Pod wejście do ponurego budynku, przytulonego do

murów Iskier. Tutaj karano oporną służbę, przetrzymywano w areszcie niedbałych wartowników lub posługaczy o lepkich palcach. Wiatr Na Szczycie nigdy nie słyszał, by więziono w takim miejscu maga. Mój towarzysz wcisnął zarządcy więzienia jakiś świstek i zostaliśmy wpuszczeni do środka.

Cela, w której umieszczono Nocnego Śpiewaka, przeraziła mnie. Ściany z surowej cegły, kamienne płyty na podłodze, jedyne okno pozbawione szyb, za to z gęsto ustawionymi prętami. Żadnych sprzętów, jedynie parę mat rzuconych na zimny kamień, a na nich skulony żałośnie więzień. Tunikę miał porwaną na ramionach, włosy zmierzwił i pozlepiane w kosmyki. Wyglądał jak ktoś, kto śni sen pełen najgorszych koszmarów.

Nie ocknął się pod moim dotykiem. Dygocąc, zwinął się w jeszcze ciaśniejszy kłębek, jak płód. Wiatr Na Szczycie ukląkł przy nim z drugiej strony.

„Nadal nieprzytomny? Tyle czasu? Co oni mu dali?”

Mistrz Iluzji delikatnie spróbował ułożyć Nocnego Śpiewaka w wygodniejszej pozycji. Cofnął ręce, jak oparzony. Chłopak zaczął rzucać się, niczym w ataku konwulsji. Tłukł dokoła rękami, jakby bronił się przed sforą niewidzialnych bestii. Po chwili znów znieruchomiał. Tym razem leżąc sztywno na wznak, z dłońmi o rozpostartych palcach, przylegającymi płasko do posadzki. Jakby chciał trzymać się kamienia. Twarz miał wykrzywioną, powieki mocno zaciśnięte.

Wiatr Na Szczycie zerwał się na równe nogi. Z furią doskoczył do stojącego wciąż w drzwiach zarządcy, chwycił go za koszulę na piersiach i *zaczai* tłuc nim o ścianę. Przerazony człowiek usiłował odepchnąć rozwścieczonego maga. Wargi mu drżały. Coś mówił, czemuś przytakiwał, czemuś zaprzeczał, wciąż z wypisaną na twarzy paniką. Wiatr Na Szczycie puścił go wreszcie.

„Chodź, Kamyk. Czas wracać.”

Z żalem opuściłem Nocnego Śpiewaka. Płacz dławił w gardle. Kara nie była na miarę winy. Co zrobiła z nim Straż, że w jednej chwili z kandydata do błękitu stał się żalonym strzępem człowieka?

Wiatr Na Szczycie objął mnie ramieniem. Nie odsunąłem się. Było mi wszystko jedno.

„Postraszyłem trochę tego szczura. Będzie dbał o chłopaka. Łóżko, koce i tak dalej. Spytałem, czy ktoś go bił.”

„Tak to wyglądało.”

„Nikt go nie skrzywdził bardziej niż na początku. Ale ma pozostać w takim stanie aż do odwołania. Taka jest kara wyznaczona przez sąd Kręgu. Jeden z medyków Stworzycieli

będzie przychodził tutaj, by znowu mu to świństwo podać.”

Zakryłem twarz rękami w geście rozpacz.

„Dlaczego? Jak długo? To przecież potworne! On cierpi!”

Wiatr Na Szczycie oderwał mi rękę od twarzy. Spojrzał w oczy. Wzrok miał ponury.

„Dlaczego? Dobre pytanie.” - Odczytywałem tworzone przez niego znaki. - „Dlatego, że Nocny Śpiewak już teraz, jako durny szczeniak, jest lepszy od wielu z nich. Zazdroszczą mu i boją się, co będzie, gdy osiągnie szczyt możliwości. Słyszę, co mówi się po kątach. Ten dzieciak to drugi Buron, a do tego za nic ma wszelkie rygory. Ktoś uznał, że lepiej będzie mieć posłuszne narzędzie niż niebezpiecznego konkurenta. Złamią go, Kamyk. Po dziesięciu czy piętnastu dniach takiego rozdrabniania mózgu zgodzi się na wszelkie warunki. Zrobi wszystko, by nie wrócić do celi.”

Ponowne spotkanie z Końcem i Winogradem wzbogaciło moją wiedzę o inne elementy. Chłopcy dowiedzieli się od Kowala, że narkotyk, który podano Nocnemu Śpiewakowi, to substancja przygotowana według hajgońskiej receptury, a wykonawcą wyroku nie jest kto inny, tylko sympatyczny Grzywa.

Wiatr Na Szczycie w desperacji złapał się za włosy.

„Krew Bohaterów? Dali mu Krew Bohaterów? Chłopak tego nie wytrzyma!”

Chcieliśmy wiedzieć więcej. Wiatr Na Szczycie opisywał rzeczy bardzo niewesołe.

„Krwii Bohaterów próbowałem kilka razy. W czasie przejścia... Kiedy stajesz się mężczyzną. Potem przed potyczkami. Starczy parę kropli, by czuć się jak bóg. Smakowałem wiatr, słyszałem z dwudziestu kroków oddech nornika pod kamieniem, byłem szybki jak jelen. Zwą to Krwią Bohaterów, bo wprawia w euforię i można walczyć mimo wielu ran. Ale wiem, co się dzieje, gdy zwiększyć dawkę parokrotnie. Nadwrażliwość staje się tak wielka, że zdaje się, jakby cały świat wdeptywał człowieka w ziemię. Każde dotknięcie to trzęsienie ziemi, oddech: huragan. Światło wypala oczy, chłód zamraża, ciepło spala... Nocny Śpiewak nie będzie mógł poruszać się, spać ani jeść.

Oczywiście będą go karmić na siłę, ale to dla niego tylko dodatkowa tortura.”

Spojrzelśmy na siebie, zdjęci przerażeniem.

„On z tego nie wyjdzie o zdrowych zmysłach” - przekazał Koniec.

Wiatr Na Szczycie wracał do siebie z uczuciem, jakby otrzymał policzek. Wciąż

jeszcze miał świeżo w pamięci chłodne spojrzenie swego ulubieńca. Uprzejme skłonienie głowy i:

„Czy mógłbyś nas teraz opuścić, Mistrzu Iluzji? Chcielibyśmy porozmawiać we własnym gronie.”

Matko Świata! A on po prostu wstał i wyszedł, jak odprawiony sługa, ku własnemu, bezbrzeżnemu zdumieniu. Dlaczego poddał się woli tego dzieciaka, który dopiero co wylazł z pieluch? Upokorzenie paliło jak ogień. Wrócić i palnąć niewdzięcznego gówniarza w ucho? Siedemnaście lat ma zaledwie...

Wiatr Na Szczycie zastanowił się, dając dojść do głosu rozsądkowi. A co on sam porabiał, mając tyle lat, co Kamyk w tej chwili? Ogarnęło go zdumienie, gdy oddał się wspomnieniom. Siedemnasty rok życia: od dwóch lat niebieskie pasy na policzkach, kosmyki włosów ucięte zabitym wrogom, zwisające z belki pod stropem - po jednym za każdy rok życia. Niemowlę na jego rozpostarych dłoniach i zdziwienie, jak bardzo pierworodny jest lekki.

Gdzie umknęło całe to życie? Nie ma już żony, ani syna. Nie ma Gór Zwierciadlanych, krwawych bitew międzyklanowych, wilczych stad, wieczorów przy ogniskach. Jest tylko ten obcy, płaski kraj, gdzie nikt nigdy nie widział śniegu. I niespełnione marzenia.

„Łatwo ci było przykroić się do tutejszej formy” - skarcił sam siebie. - „Kamyk to już mężczyzna. Zapamiętaj.” Wieczorem posłał po kobietę. Nie z wymagającej zaspokożenia potrzeby, lecz po to, by nie być sam. Odpędzić smutne myśli o młodym Stworzycielu. Porozmawiać o błahych sprawach, pośmiać się, słuchając opinii o niektórych sąsiadach. Róża - jego ulubiony „kwiatek” - słyęła z ciętego języka.

Jednak, ku jego zaskoczeniu, w drzwiach nie pojawiły się posągowe kształty Róży, lecz szczupła figurka niedużej dziewczynki. Niewątpliwie także była „kwiatkiem”. Świadczyły o tym misternie zaplecione włosy, srebrne ozdoby, półprzezroczysty stanik i siatkowe wstawki w barwnej spódnicy odsłaniające uda.

- A to co za pisklę? - spytał zdziwiony mag. - Nie zamawiałem ciebie, ptaszyno.

„Kwiatek” spuścił skromnie oczy i uklonił się, odginając wytwornie dłonie na zewnątrz.

- Róża nie mogła przyjść, Mistrzu Iluzji. Prosiła, żebym ją zastąpiła, bo nie przesłałeś innych poleceń.

Wiatr Na Szczycie z zakłopotaniem mierzył wzrokiem dziewczynę.

- Ja nie sypiam z dziećmi - rzekł ze wzburzeniem. - Ileż ty masz lat, kwiatku?

- Dwadzieścia - odpowiedziała, prostując się i nieznacznie wypinając piersi.

- Ej! Nie kłam, kwiatku!

- Osiemnaście - poprawiła. - Mistrzu Iluzji, nie odsyłaj mnie od razu - dodała prosząco. - Ogrodniczka będzie się złościć.

Wiatr Na Szczycie prychnął z niezadowoleniem, po czym spytał:

- Umiesz robić masaż?

- Umiem, Mistrzu.

Hajg ściągnął tunikę i rzucił się na łożo.

- Zaczynij od karku - burknął.

Dziewczyna uklękła obok i zaczęła umiejętnie rozcierać napięte mięśnie. Gdyby mag otworzył wtedy oczy, zobaczyłby figlarny uśmiech na jej twarzy. Przypomniała sobie, co mówiła Róża: „Nie, dziewczyno, nie jest stary. Trzydzieści siedem lat i ani jednego siwego włosa. Brzuch ma jak dębową deskę. Daj nam, Losie, więcej takich klientów. I nie słuchaj plotek rozpuszczanych przez «zabaweczki». To prawdziwy mężczyzna. Ze wszystkimi zaletami i wadami.”

Masując plecy Wiatru Na Szczycie, zaczęła nucić:

Gdzie rogacz biegnie, a wilk za nim bieży w ślad...

aoa-ehej...

Gdzie do gwiazd blisko, jak nigdzie indziej...

aoa-ehej...

Tam twoje ramiona są domem mym...

aoa-ehej...

A moje .dato darem twym...

aoa-ehej...

Swobodniejsi od ptaka w błękanie,

I szybsi od strzały,

Wolni jak wiatr na szczycie,

Darujmy sobie siebie...

aoa-aoa-ehej!

- Skąd to znasz, spryciaro? - mruknął mag, nie otwierając oczu.

- Nauczyłeś Różę, a ona mnie.

Wiatr Na Szczycie obrócił się na wznak. Podłożył ramiona pod głowę.

- Umiesz coś jeszcze, prócz masowania pleców i śpiewania, kwiatku? - spytał.

- Mam rozliczne talenty - odpowiedziała, pochylając się i całując go w usta. - Mogę zacząć od tego, że zdejmę ci buty.

Dużo później, gdy leżeli obok siebie, a dziewczyna leniwie wodziła palcem po wypukłościach mięśni Hajga, powiedziała cicho:

- Mistrzu Iluzji, czy mogę o coś spytać?

- Mhm...

- Mamy w Ogródku stałych gości... Niektórych lubimy. Jest pewien chłopiec... Dowiedziałyśmy się, że coś mu się stało. Ma jakieś przykrości. Służba mówi, że go widziałeś.

Wiatr Na Szczycie oprzytomniał w jednej chwili. A to mała, podstępna zmija!

- To przestępca. Wytwarzał narkotyki. Złamał za jednym zamachem prawo cesarskie i zakazy Kręgu. Dorabiał się na ludzkiej krzywdzie. Otrzymał zasłużoną karę, łajdak - odparł mag oschle.

- Nieprawda! - krzyknęła dziewczyna z gniewem. -

;- On nie jest taki! Jest dobry... życzliwy... - Zacisnęła usta, •zdając sobie sprawę, że powiedziała za dużo.

Wiatr Na Szczycie przypomniał sobie, co kiedyś w winiarni opowiadał Kowal.

- Jest miły, spaceruje z tobą po ogrodach i potrafi opowiadać piękne kłamstwa. Sprawia, że czujesz się jak dama. Czy nie tak?

Dziewczyna zaczęła ubierać się.

- Często mamy niewiele więcej, prócz kłamstw - odpowiedziała. - Trzeba w nie wierzyć, bo inaczej nie będzie i już nic.

Mag westchnął. Dobry nastrój przysł. Znów nachalnie pchał się przed oczy obraz sponiewieranego Nocnego Śpiewaka.

- Jak ci na imię? - zapytał.

- Srebrzanka.

- To od farby?

- Nie - uśmiechnęła się blado. - Od takiego małego kwiatka.

- A, tak. My nazywamy go skalną gwiazdką. Srebrzanka zaczęła sznurować sandaalki.

- Jak trafiłaś do Ogródka? - pytał dalej mag, bez szczególnego zaciekawienia. - Należysz do cechu?

- Nie. Wzięli mnie z ulicy. Zabawne, bo nikt nie pytał, co potrafię - zaśmiała się z przymusem. - Zmierzyli mi głowę i ręce, a potem musiałam odgadywać, co jest schowane pod odwróconymi kubkami. Nawet nie wiem, czy dobrze odgadłam. Ale chyba byli zadowoleni,

bo zostałam.

- Dobrze ci tutaj?

- Lepiej niż tam. Dobrze tu karmią. Mam ładne łóżko i nie pracuję tak ciężko. Rzadko trafiają się pijani. Czasem ktoś porozmawia, jak ty. No i jest tu Nocny Śpiewak - dodała.

- On nie ożeni się z tobą, dziewczyno - rzekł Wiatr Na Szczycie ze smutkiem.

- Dlatego, że jestem dziwką? - rzekła urągliwie. - To niewiele dla niego znaczy. A ja nie mam zamiaru wypuścić go z rąk. I to nie dlatego, że chcę się wyrwać z Ogródka, a dlatego, że kocham tego głupiego sierściucha.

Wiatr Na Szczycie oniemiał na chwilę. Zabawne stworzonko z twarzą wymalowaną jak lalka, na jego oczach stało się gniewną, stanowczą, dojrzałą kobietą.

- Zabrali chłopca do więzienia pod mur. Nie dostaniesz się do niego - powiedział.

- Są sposoby - rzekła sucho, wygładzając fałdy spódniczki. - Strażnicy to też mężczyźni.

- Masz zamiar spać ze wszystkimi, którzy pomogą ci dotrzeć do Śpiewaka?

- Dlaczego nie? On jest tego wart.

- Idź już, dziewczyno - machnął ręką Wiatr Na Szczycie. - Jeśli uda ci się go zobaczyć, pamiętaj: nie dotykaj go pod żadnym pozorem i zachowuj się bardzo cicho. Nie dodawaj mu cierpienia. Zresztą, pewnie i tak by cię nie rozpoznał.

Dziewczyna zniknęła za drzwiami, pozostawiając maga z zamęt w głowie. W czyich oczach widział ostatnio tyle siły i wiary w cud? Chyba tylko w szarych oczach Śnieżynki. Przed laty, gdy zaciskał zęby na drewnianym klocku, a znachor zszywał mu rozplątany brzuch. Nie ma już tej okropnej blizny. Nie ma też żony, która śpi na wieczność wraz z ich dzieckiem pod stosem kamieni na połoninie w dalekich górach.

Srebrzanka. Skalna Gwiazdka. Roślina, której starczy szczelina w kamieniu, szczypta ziemi, kropla wody, a przeżyje, rozkwitnie i wyda nasiona. Dobre imię dla samotnej dziewczyny.

„Wzięli mnie z ulicy. Zmierzyli głowę i ręce.” Za jakiś czas ciemnowłosa „kwiatek” o oczach w kształcie wierzbowych liści otrzyma osłodzoną wodę zamiast środka przeciw ciąży. A w dziewięć miesięcy później zaufana rodzina gdzieś na wybrzeżu być może dostanie na wychowanie małego chłopczyka. Będą o niego dbać, może nawet kochać, ale mały kandydat do błękitnej szarfy nigdy nie dowie się, kim byli jego prawdziwi rodzice.

Tymczasem na galerii „połówek” trwało ożywienie. Dwudziestu sześciu chłopców

tłoczyło się w komnacie

Promienia. Jednak nikt, kto chciałby podsłuchiwać pod drzwiami, nie wyłowiłby niczego istotnego, poza pojedynczymi słowami i zdaniami. Główny nurt rozmów toczył się na poziomie mentalnym oraz przy pomocy tworzonych w przestrzeni obrazów.

„Ten Zamek jest jak przykryta gałęziami pułapka na wilki. Najlepszy dowód, co zrobiono ze Śpiewakiem. To może czekać każdego z nas, jeśli będziemy niepokorni. Jeszcze niedawno szczytem moich marzeń było zostać «błękitnym» magiem. Teraz straciłem na to ochotę. Ocknijmy się. Każdy z nas jest magiem od urodzenia, a «błękitni» będziemy niezależnie od tego, jakim kolorem dopełnią nam znaki.”

Wielu chłopców miało niepewne miny, odczytując moje przesłanie. Lecz Gryf poparł mnie.

- Rzeczywiście, szarfa! Równie dobrze mogę ją sobie założyć na szyję i będę miał smycz. Przez całe życie słyszałem, że powinienem być wdzięczny Kręgowi za każdy kawałek chleba. Mam dość! Wolę głodować.

„Nie jestem pewien, czy ktokolwiek z nas ma w tym wolny wybór” - przekazał rozsądnie Koniec. - „Mam wrażenie, że w tym kraju mag albo nosi szarfę, albo służy dokarmianiu mrówek. Nie znam miejsca, gdzie Krąg nie miałby wpływów.”

„Ja znam. Smoczy Archipelag.”

„Nie chciałbym wybierać między Radą Kręgu a głodnym smokiem” - przekazał Mówca Piaskowiec.

„Różnica jest taka, że smok cię uśmierci od razu, a nie będzie dręczył i upadłał.”

- A ja wolę smoki - powiedział cicho Myszka. - Chciałbym z Kamykiem popłynąć na Jaszczura. Tam jest ładnie.

- I są wielkie pająki.

- Można się przyzwyczaić - odparł Myszka poważnie. - Uwolnijmy Nocnego Śpiewaka i uciekajmy na wyspy. Starzy boją się smoków.

„Ta Mysz niegłupio gada. Tylko jak to zrobić?” - To był Stalowy, Stworzyciel.

Stałem na środku.

„Skoro Grzywa przygotowuje Krew Bohaterów, to na pewno ma też antidotum. Wiem, gdzie chowa takie rzeczy, i wiem, gdzie trzyma klucz. Dla Wędrowca wyciągnięcie Śpiewaka z celi to chwila, ale lepiej, żeby on to dobrze zniósł. Druga rzecz, to znalezienie odpowiedniego statku i zapewnienie przychylności kapitana. To oznacza pieniądze. Trzecie - musimy zastanowić się, jak to wszystko zrobić. Najważniejsze jednak jest to: kto chce uczestniczyć w przedsięwzięciu? Uprzedzam, że nie będzie powrotu do Lengorchii przez całe

lata. Być może nigdy. Możemy też znaleźć się w podobnym położeniu jak Śpiewak. Albo stracić życie. Kto się boi, niech wyjdzie stąd teraz. Proszę tylko o milczenie. Jeśli Los się uśmiechnie, nie będzie nas tutaj w ciągu trzech dni. Mnie, Śpiewaka i tych, którzy się zdecydują.”

Chłopcy wstawali pojedynczo i parami. Mijając mnie spuszczaali wzrok. Przerzedziło się. Jak się spodziewałem, odeszli ci, którzy mieli rodziny. Lub zwyczajnie bali się. Policzyłem wzrokiem tych, którzy zostali. Oczywiście Winograd i Koniec. Myszka - bledziutki, ale wierny do ostatka. Obserwator Gryf - niewdzięczny wychowanek Kręgu. Wężownik - zmiennik Myszkki w wyprawach do południowej wieży. Stalowy i Diament Wiatromistrz. Ale obok Gryfa stał ktoś jeszcze.

„Promień...?”

Wzruszył ramionami, nadąsany, a potem powiedział coś i zaczął się śmiać. Inni razem z nim.

„Do cholery, przecież ja tu mieszkam!” - przetłumaczył Koniec.

Mimo wszystko Promień dołączył do nas. Co dawało okrągłą liczbę dziesięciu, licząc Nocnego Śpiewaka. I bardzo wzmacniało nasze siły, gdybyśmy musieli się bronić.

- Nikt mnie nawet nie zapytał, czy chcę się żenić z tą smarkatą! - prychnął Iskra ze złością, wyjaśniając swą decyzję. - Prawie dałem gardło za rękę dziewięcioletniej gówniary. I to nawet nie bardzo ładnej. Dość tego! Nie będą mnie ustawiać, tak jak chcą!

- Na wyspach nie ma pałaców - ostrzegł Gryf. - Jesz to, co złowisz, a ubierasz się w to, co sobie uszyjesz.

- Bardzo dobrze strzelam z łuku - odparł Promień z godnością.

Rozmawiali tak, schodząc traktem od bramy ku miejskim nabrzeżom. Na ramionach nieśli wędki. Towarzyszył im Winograd.

Tego ranka Promień wyciągnął ze skrzyni pękaty woreczek i wysypał na stół stos złotych monet.

- W końcu jestem księciem, no nie? - powiedział, widząc oszołomione miny kolegów.

Teraz kilka z tych złotych talentów miał przy sobie, ukryte w szarfie. Chłopcy usiedli rzędkiem na drewnianym pomoście, machając bosymi stopami nad zielonkawą wodą. Zarzucili wędki, lecz ich oczy penetrowały keje, gdzie przycumowane były statki handlowe i nieliczne okręty strażnicze. Półgłosem wymieniali uwagi.

- Ten? Za duży.

- Tamten na prawo?

- To mała galeota. W górę rzeki na żaglu, w dół na wiosłach.

- Sprawdzi się na morzu?

- Czemu nie?

Gryf poderwał wędkę. Na końcu strunki trzepotał mały krasnogonek.

- To niech Promień idzie pogadać z kapitanem.

- Dlaczego ja? - burknął Iskra.

- Bo masz najlepsze buty. Spływaj, mały łakomczuchu, i przyprowadź ojca - powiedział Gryf, odczepiając rybkę z haczyka i wrzucając ją na powrót do wody.

Promień przewrócił oczami z irytacją.

- Co mają do rzeczy buty?!

- Dużo. Mówię ci, jako człowiek doświadczony. Możesz mieć na górze sam aksamit i złote hafty, a jak masz zniszczone buty, to nikt nie będzie chciał z tobą gadać - rzekł kategorycznym tonem młody Obserwator.

Gdy dwóch skromnie ubranych chłopców stanęło przed jednym z pracujących przy trapie żeglarzy, ten z początku nie zwrócił na nich większej uwagi.

- Szukamy szypra - odezwał się niższy chłopak, z długimi włosami związanymi na karku.

Żeglarz spojrzał odruchowo na jego buty, bardzo porządne, z cienkiej cielęcej skóry. Dopiero potem dostrzegł błękitną szarfę.

- To ja - powiedział. - W czym rzecz?

- Kłamię - rzekł spokojnie wyższy chłopiec. Żeglarz poczuł się nieswojo, ten dzieciak również nosił szarfę maga.

- Łże. To bosman - wzrok chłopaka podążył w stronę nadbudówki na pokładzie. - Szyper jest tam. Siedzi nad księgą handlową i próbuje dojść, gdzie podziały się dwie bele bawełny. I pewnie dojdzie - dodał złośliwie, przenosząc wzrok z powrotem na bosmana.

Obaj chłopcy weszli na pokład, odprowadzani ponurym spojrzeniem mężczyzny przy trapie.

Kapitan był uprzejmy, lecz z miejsca odmówił wszelkich usług, tłumacząc się pracami remontowymi i pilnymi interesami w głębi ładu. W odpowiedzi Promień położył na rejestrze złotą monetę. Szyper wziął ją do ręki i obejrzał, nachylając powierzchnię ukośnie do światła.

- Złoto Stworzycieli? - spytał z lekką kpina.

- Cesarskie - odrzekł Iskra i dorzucił drugą monetę.

- Sporo dostajesz na słodycze, syneczku - powiedział kapitan.

Złoto zrobiło się ciepłe, potem gorące. Szyper upuścił je z okrzykiem bólu. Złote płytki upadły na stół, a spod nich zaczęły unosić się delikatne smużki dymu z przypalonego drewna.

- Możesz nazywać mnie Iskrą - powiedział Promień łaskawie. - Tak, jak mówiłem na początku. Dziesięciu ludzi, sześćset talentów w złocie i żadnych pytań. Czy dojdziemy do porozumienia?

- Dojdziemy - mruknął kapitan, patrząc na przypalony blat.

- W ciągu dwóch dni otrzymasz wiadomość od Mówcy, który wyznaczy miejsce spotkania. Tak?

- Tak... Iskro.

- Dziękuję, że jesteś chętny do współpracy, kapitanie. Oskanowałeś go? - Promień zwrócił się z pytaniem do Gryfa.

- Oczywiście. Kilka razy - powiedział Gryf, wpatrując się w kapitana przenikliwie.

- W takim razie... Do zobaczenia. Chłopcy wyszli, zostawiając kapitana w stanie pomieszania i irytacji.

- Mistrzostwo - rzekł Gryf półgłosem, gdy zeszli z pokładu i oddalili się trochę. - Co to znaczy „oskanować”?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Promień, wzruszając nieznacznie ramieniem. - Wymyśliłem to. Dobrze brzmi, no nie?

Tymczasem my, cała reszta, głowiliśmy się, jak zdjąć Grzywie z szyi klucz do szafy z jego tajemniczymi miksturami.

„Zacząć się i dać mu po głowie” - zaproponował Stalowy bez przekonania.

„Oszalałeś?!” - zgorszył się Koniec. - „Walniesz go za słabo, a posieka nas na miejscu. Za mocno... pošlesz człowieka za Bramę i będziesz mordercą!”

„Czy on nigdy nie zdejmuje go z szyi?”

„Pewnie w kąpielni albo w intymnej sytuacji.”

„To niegłupie.”

- Przepraszam...! Bardzo przepraszam, ale ja na nic się nie zgodzę! - zawołał rozpaczliwie Myszka. - Nieważne, co o mnie mówią!

Mimo powagi sytuacji, wszyscy obecni ryknęli niepohamowanym śmiechem, a biedny

Myszka zmieszal się straszliwie.

Uczepiliśmy się jednak tej „intymnej sytuacji” jak tonący wiosła. Wężownik, który bywał od czasu do czasu w Ogródku, został wysłany tam z delikatną misją pozyskania dla naszej sprawy choć jednej przyjaznej dziewczyny. Byliśmy pełni nadziei. Ostatecznie Nocny Śpiewak był stałym klientem Ogródka. „Kwiatki” go lubiły za dowcip i hojną rękę. Jakoż Wężownik wrócił niebawem, zarumieniony i w dobrym nastroju. Los nam sprzyjał. Nocny Śpiewak miał bliską przyjaciółkę w Ogródku, a inne dziewczęta obiecały pomoc. Choć... nie za darmo.

„Grzywa posyła po którąś z dziewcząt co drugi, lub co trzeci wieczór. Nie ma ulubionej, więc trzeba będzie wtajemniczyć wszystkie. Róża - ona tam stoi na czele, postara się podesłać mu jakąś bardzo... energiczną. Jak Stworzyciel się zmęczy i zaśnie, dziewczyna wyrzuci klucz przez okno. Tam będzie już czekał ktoś od nas. Będziemy mieli parę godzin na wszystko” - przekazywał mi Koniec. - „Na Nocnego Śpiewaka, na przeniesienie do umówionego miejsca wszystkich książek z wieży, na oczekiwanie statku i na podrzucenie klucza z powrotem.”

„Ile chcą dziewczyny? Oszczędności całego życia wystarczą?”

Koniec odkaszlnął w kułak, próbując ukryć uśmiech, rozciągający mu usta od ucha do ucha.

„Chcą... ciebie. Tym razem trzeźwego. Zapłata z góry.”

Przerażony, zerwałem się na równe nogi.

„Co takiego?!”

Dopiero teraz zrozumiałem głupie uśmieszki kolegów i ukradkowe odwracanie twarzy. No nie, miałem być zapłatą za usługę?

„Dlaczego nie ty, Stalowy, albo Winograd??!”

„Daj spokój, świetny układ. Tylko pozazdrościć” - tłumaczył Koniec, dusząc się ze śmiechu.

„Dlaczego ja?! Wężownik je podpuścił?”

„Dlaczego ty? Bo jesteś przystojny. Nie jesteś gruby jak ja, masz więcej lat niż Myszka i nie masz takiej wrednej gęby jak Winograd.”

„Nie zgadzam się! Nie zgadzam! Nie jestem rzeczą!” - w desperacji darłem się za włosy, niemal płacząc ze złości. Jak można było zrobić mi coś takiego? Chłopcom z wolna rzedły miny. Chyba zaczęli dostrzegać drugą stronę tej „zabawnej” sytuacji. Rzuciłem się na łóżko i przykryłem twarz podglówkiem.

„Kamyk? To ja, Stalowy” - przekaz podszyty był uczuciem zażenowania. -

„Wężownik naprawdę pytał dziewczęta, czy nie wolałyby kogoś innego. Ale one uparły się na ciebie. Nie wiem, dlaczego.” Wycofał się. Długo tak leżałem, otoczony ciszą i ciemnością. Przetrawiałem poczucie krzywdy i wstyd. Potem zacząłem myśleć, jak wygląda to ze strony moich przyjaciół. Przejąłem dowództwo naszej niewielkiej grupy. Szanowali mnie. To ja podejmowałem ostateczne decyzje. Wydawałem rozporządzenia. Ode mnie oczekiwano odpowiedzialności i odwagi. Tymczasem okazało się, że nie potrafię sprostać pierwszemu wyzwaniu. Najłatwiejszemu ze wszystkich. Jaki ze mnie przywódca? Jaki mężczyzna wreszcie?

Wyjrzałem na świat spod podglówka, mrużąc oczy od ostrego światła. O dziwo, wszyscy jeszcze byli. Patrzyli na mnie z oczekiwaniem. Zmieszałem się nieco.

„Stalowy, masz coś od bólu głowy? Niech to wszystko zaraza. Robię to tylko dla Śpiewaka. Może doceni. Chyba mam jeszcze jakąś świeżą tunikę.”

Na twarzy wokoło wypłynął jednakowy wyraz ulgi.

Przekradałem się do Ogródka niczym złodziej. Byle mnie tylko nikt nie dostrzegł. Co też by powiedział Płowy, gdyby zobaczył mnie w tej sytuacji? Południe jeszcze nie nadeszło, więc prawie wszystkie „kwiatki” miały wolne. Wsunąłem się do środka, trzymając się ściany niczym cień. Oczekiwała mnie Róża. Z tajemniczym a filuternym uśmiechem na pięknej twarzy. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła w głąb, między barwne kotary z lśniącego jedwabiu, ozdoby z paciorków i posrebrzanych cekinów. Między miękkie poduszki. W zapach perfum, aurę rozbuchanej kobiecości. Do małego królestwa rozpusty. Była tam komnata sprawiająca wrażenie aksamitnej groty. Tyle tam było obić na ścianach, puchatych sof, poduszek na podłodze, frędzelków i koronkowych serwetek. Parę lamp dawało przyjemne, rozproszone światło. Oczekiwało mnie co najmniej trzydzieści dziewcząt! Gdyby nie dłoń Róży, trzymająca mój nadgarstek jak obręcz kajdan, chyba bym uciekł. „Kwiatki” były jeszcze w strojach niezawodowych, czyli odziane w lekkie tuniki, skromnie zakrywające biusty oraz kolana. Koszulki z cienkiego płótna i sukienki aż do kostek. Jeszcze nieco zaspane, jeszcze zaróżowione od snu. Z włosami rozpuszczonymi lub splecionymi w zwyczajne warkocze. Bez farby na powiekach i policzkach wyglądały młodziej, niewinnie i wzruszająco. Róża posadziła mnie na sofie, nieszczęśliwego pod ostrzałem tyłu spojrzeń. Głowę miałem pełną myśli, które w tej chwili wydają mi się warte śmiechu do łez. Mianowicie: która pierwsza, czy odbędzie się to w jakimś dyskretniejszym miejscu, czy dadzą mi odetchnąć chociaż po pierwszej piątce i czy wytrzymam wszystkie trzydzieści. To

była jedna z najgorszych chwil w moim życiu. Zapewne umarłbym ze wstydu, gdybym wtedy wiedział, co mówiły między sobą dziewczęta. Na szczęście opowiedziano mi o tym dopiero później.

- Rózo, dlaczego on się tak boi? Coś ty mu zrobiła?

- Jest strasznie blady. Przynieście wody.

- Czy nikt go nie uprzedził, co ma tutaj robić? Jak to: nie? Rózo, jesteś podła! Biedak, zaraz umrze ze strachu.

- Jest słodki. Uwielbiam tych jeszcze niewinnych.

- Nie taki on niewinny, dziewczyno.

- Która umie dobrze pisać? Oświećcie go, czego chcemy.

Dostałem kubek zimnej wody i kartkę ze słowami: *Chcemy zobaczyć smoki*. Doznałem niebotycznej ulgi, aż zakręciło mi się w głowie. Łyknąłem wody. Smoki. Tylko tyle? Matko Świata, dobry Losie i wszyscy inni, dzięki za to. „Kwiatki” pragnęły po prostu iluzji. Oderwania się od ciasnego światka, wyznaczonego przez ściany domu uciech. Ucieczki gdzieś, gdzie na chwilę zapomną, że są tylko zabawkami dla pożądlivych mężczyzn. Zanim jeszcze zacząłem pokaz, do komnaty wsunęli się nieśmiało czterej chłopcy, smukli i wielkoocy jak sarny. Udałem, że ich nie widzę.

Nie miałem najmniejszego zamiaru zbyć dziewcząt byle czym. I to nie tylko ze względu na Nocnego Śpiewaka. Zdobyłem się na wielkoduszność. To były miraż tkane równie starannie, jak te dla „połówek”. Dałem „kwiatkom” co tylko miałem najlepszego. Gorące plaże Jaszczura, ogromne muszle o różowych wnętrzach, które dziewczęta zbierały w cieplej wodzie płyczn. Rozkoszne, puchate smoczątka, przymilne jak koty. Smukłe olbrzymy o szkarłatnych oczach, pozwalające wdrapywać się na swe grzbiety. Wydobywające z siebie głębokie ryki niczym głosy wielkich rogów. Pokazałem miasto, ale nie leżące w ruinie, lecz piękne jak przed wiekami. Pełne rzeźb i wspaniałych fresków. Barwne ptaki zlatywały z drzew, by siadać dziewczynom na rękach. Dziobały podawane im owoce, skubały lekko podsuwane palce. W końcu nadszedł wczesny zachód słońca na oceanie, tkający lśniący pas na powierzchni fal i ubierający niebo w złocistości i róże. Nieważne, że nie wszystko zgadzało się z rzeczywistością. Dziewczyny były szczęśliwe. Tworzyłem dla nich miraż przez bardzo długi czas. Dopóki mogłem. Ostatkiem sił doznałem do ostatniej wizji, zakończyłem ją płynnie i powróciliśmy do Ogródka. „Kwiatki” były oczarowane, jeszcze przez chwilę oszołomione, nadal w marzeniach tam, na dalekim południu. Osłabiony, zapadałem w sen na stosie poduszek. Zasypiałem, czując na czole i skroniach niewinne pocałunki. Nie miałem siły otworzyć oczu.

Dużo później, gdy wspominaliśmy ze Srebrzanką tamto zdarzenie, przyznała się, że stała nade mną wraz z Różą.

- Przykro mi teraz, że tak z niego zakpiłam - powiedziała starsza dziewczyna. - Nie wiedziałam, że tyle potrafi.

- A ja wiedziałam - odpowiedziała Srebrzanką. - Śpiewak mi o nim opowiadał. To dobry chłopak.

- Jaki on ładny, kiedy tak śpi - rozculiła się Róża.

- Czy ja wiem? - zastanowiła się Srebrzanką. - Brwi nie ma za grubych? I za wąskiej twarzy?

- Skądże. Nic mu nie brak - zapewniła Róża tonem znawczyni.

- A jednak brak. Brak mu włosów na całej twarzy i wszędzie indziej.

Roześmiały się obie. Róża uściskała przyjaciółkę.

- Będziesz miała tego swojego nicponia. A jak już go dostaniesz, nie wypuszczaj z garści.

Udało mi się jeszcze raz zobaczyć Nocnego Śpiewaka. Nie wyglądał lepiej, niż poprzednim razem, ale i nie gorzej. Nie leżał już na twardej macie, a na niewymyślnym łóżku - ramie obciążonej żaglowym płótnem. Ktoś (strażnik lub sam Grzywa) litościwie przykrył mu oczy chustką złożoną w kilkoro, bo południowe słońce wpadało do celi jaskrawymi promieniami. Ręce miał przywiązane do wezglowia taśmami z podartej tkaniny. Sprawdziłem, pętle były luźne. Może rzucał się i nie chciano, by zrobił sobie krzywdę? W powietrzu unosił się zapach więzienia - potu, uryny, wymiotów i podłego jedzenia. Pomyślałem, że wkrótce Nocny Śpiewak opuści to miejsce. Może już tej nocy zabierzemy go stąd.

Przyszło jednak czekać. Grzywa okazywał irytującą wstrzemięźliwość. Dopiero dyskretne zabiegi uwodzicielskiej Róży sprawiły, że umówił ją na wieczór. W grupie spiskowców zawrzało. Nadszedł czas wprowadzenia w życie naszego skomplikowanego planu.

Od trzech już dni trwało segregowanie i pakowanie rękopisów z tajnej biblioteki. Koniec z pogardą odłożył wszelkie rejestry brudnych rachunków Kręgu dotyczących nagłego wygasania całych rodów, broni dostarczanej krajom leżących między nami a Northlandem,

handlu dziećmi i równie brzydkich spraw. Wybraliśmy najcenniejsze prace dotyczące technik genetycznych, w tym całą dokumentację Burona. Zapisy dotyczące miast na Smoczym Archipelagu. Mapy i prawie wszystkie zwoje pokryte niezrozumiałymi zapisami sprzed tysięcy lat, które mieliśmy nadzieję kiedyś przetłumaczyć. Nasze bagaże przedstawiały się niezwykle skromnie. Tylko kilka osobistych pamiątek. Jeśli udałoby się nam ucieczka, obecność w naszym gronie dwóch Stworzycieli rozwiązać miała problem zaopatrzenia we wszystko. Od żywności, aż po igły do cerowania. Co do broni, miałem jeszcze swój nożomiecz od Płowego. Promień zdjął ze ściany łuk, którego dawno nie miał okazji używać. Zapewniał przy tym, że ze stu kroków trafia w jabłko na drzewie. W duchu miałem nadzieję, iż nie zajdzie potrzeba strzelania w coś większego od jabłka. Poza tym Promień sam w sobie był bronią.

Gryf miał sztylet o ostrzu długim na półtorej dłoni. Przedstawiało się to nędznie, lecz przecież nie chcieliśmy żadnych bitew, pragnęliśmy jedynie odejść.

Szło gładko. Jeszcze przed zamknięciem bram Promień wraz z Gryfem wymknęli się do portu, by przypomnieć kapitanowi o zawartej umowie i dopilnować jej dotrzymania.

- Jeśli wybuchnie tam pożar, to znaczy, że szyper robił trudności - mruknął Diament do Winograda, gdy tamci żegnali się, unosząc trzy palce w geście życzenia szczęścia. - I że Los nie sprzyja ani jemu, ani nam.

Winograd zrobił ukradkiem znak odpędzający demony.

Druga grupa, składająca się z Końca, Winograda, Myszki i Diamenta, miała czekać w komnacie Promienia, pilnując skrzyń wypełnionych księgami, na pozostałą trójkę, czyli Wężownika, Stalowego i mnie.

Staliśmy pod oknem kwatery Grzywy, ukryci w krzewach magnolii, nudząc się niemilosiernie. Księżyc srebrzył mur i domalowywał dziwne cienie na płaskorzeźbach. Kładł jasne plamy na witrażowych szybkach okiennych. Ziewałem raz po raz, bardziej ze zniecierpliwienia niż z senności. Wężownik oparł się plecami o mur, ramiona założył na piersiach, głowę spuścił i zdawał się dumać nad czymś głęboko. Stalowy w podobnej pozycji unosił głowę do góry, popatrując na okno sypialni Stworzyciela. Uśmiechał się co chwile, wyraźnie dobrze się bawiąc. Wreszcie, po długim czasie okno uchyliło się, pojawiła się w nim na mgnienie dłoń Róży, a Stalowy zręcznie schwytał spadający klucz. Zgodnie, nie zwlekając, podążyliśmy w stronę pracowni Grzywy.

Byliśmy w połowie drogi, gdy Wężownik zatrzymał mnie, wystawiając w bok rękę.

Stalowy wyrzwał ostrożnie zza rogu korytarza.

„Choroba i kurestwo!” - przeklął wulgarnie. - „Patrol.”

„Przejdą.”

„Stoją, lenie. Idziemy dookoła? Czy Wężownik nas przerzuci?”

„Szkoda czasu i energii. To przecież blisko. Stalowy, wracamy z późnej hulanki. Uwaliłeś się i prowadzimy cię do domu.”

W półmroku dostrzegłem, jak kiwa głową. Uwiesił się na mnie całym ciężarem. Z drugiej strony podtrzymał go Wężownik. Wytoczyliśmy się zza zakrętu. Minęliśmy strażników, przyglądających się nam z politowaniem i lekkim zgorzaniem. Posłałem im uśmiech przepaszający i nieco głupkowaty. Ciągnęła się za nami iluzja woni mocnej brzoskwiniówki.

„Czy mam też rzygać? Będzie prawdziwiej” - spytał Stalowy, zataczając się umiejętnie.

„Tobie się wydaje, że to zabawa?”

„Na razie chyba tak” - przekazał szczerze.

„Poczekaj, aż zobaczysz Nocnego Śpiewaka.”

Niebawem dotarliśmy pod drzwi ze znajomym napisem: „Grzywa Stworzyciel. Najlepszy chirurg...” i tak dalej. W uchwycie przy drzwiach płonęła mała lampka. Zgasilem ją dmuchnięciem. Dotknąłem Stalowego, dając znak kontaktu.

„Przypomnij Wężownikowi: przedsiemek ma cztery kroki na dwa w poprzek. Po bokach wąskie ławki. Nic więcej.”

Uścisnął krótko moje ramię, potwierdzając przyjęcie wiadomości. Stanęliśmy blisko siebie. Wężownik zacisnął palce na naszych rękach. Na mgnienie oka ziemia uciekła nam spod stóp, ogarnęło przykre uczucie, że nie ważymy zupełnie nic, i już byliśmy wewnątrz.

Mrok rozpraszało jedynie światełko strażniczej lampki, stojącej na półeczce blisko wejścia. Wziąłem ją ze sobą. Nawet jeśli ktoś dostrzeże przez szyby poruszające się światełko, pomyśli, że to sam Grzywa pracuje nocą. Pamiętałem, gdzie stoi szafka z preparatami. Klucz przekręcił się gładko. Przy wątłym blasku lampki przeglądałem zawartość półek, ale dopiero na czwartej znalazłem wciśniętą w kąt flaszczykę z upragnioną zawartością.

„Co to takiego?” - spytał Stalowy, przyglądając się, jak ostrożnie przelewam część płynu do przygotowanego wcześniej słoiczka i starannie go zamykam. - „Wygląda jak woda.”

„Bo to jest woda. W przeważającej części. Pozostały składnik to jad białego węża. Właściwie powinienem robić to w rękawiczkach. Wystarczy malutka ranka na skórze i jestem

martwy.”

„Myślałem, że mamy wyleczyć Śpiewaka, a nie go otruć!”

„Śpiewak nie jest chory, tylko znarkotyzowany tym hajgońskim paskudztwem. Biały Wąż, gdy go się wypije, jest najsilniejszym znanym środkiem znieczulającym. Dziwne, że ty, Stworzyciel, nie wiesz takich rzeczy. Biały Wąż zniesie działanie Krwi Bohaterów. Nocny Śpiewak zaśnie, nie będzie się rzucał i krzyczał, gdy go zabierzemy.”

„Trzeba mu to jeszcze wlać do gardła” - przekazał Stalowy, a jego myśli podszyte były zwątpieniem.

„Po to jesteś mi potrzebny.”

Owinąłem starannie naczynie chustką i schowałem je pieczołowicie w szarfie. Miałem nadzieję, że nic nie sprawi, iż je rozbiję. Skończyłyby się dla mnie wtedy wszystkie kłopoty. Wraz z życiem.

Zatarliśmy wszystkie ślady naszego pobytu. Wziąłem jeszcze jedną ze szklanych rurek Grzywy. Miała podziałkę do odmierzenia płynów.

„Skąd tyle wiesz o Białym Wężu?” - zapytał Stalowy z uznaniem.

„Żmijowe Pagórki to jedno z niewielu miejsc, gdzie żyją. Pierwszy, jakiego złapałem, był jednocześnie ostatnim. Gdy przyniosłem go do domu, dostałem w skórę, a potem musiałem nauczyć się wszystkiego o neurotoksynach. Przydało się.”

Odstawiłem latarenkę na dawne miejsce. Wężownik skinął poważnie głową. Chwyciliśmy się za ręce, jak podczas zabawy w kółko i już po chwili staliśmy na zaniedbanym dziedzińcyku za więzieniem, zgodnie z koordynatami, ustalonymi wcześniej przez Wędrowca. Przed nami wznosiła się tylna ściana, podziurawiona czarnymi otworami okien. Stalowy sprawdzał, co porabiają więźniowie i ich strażnicy.

„Trzech ludzi w jednej izbie. To pewnie dozorecy. Dwóch śpi, jeden popija. Jeden, dwa, trzy, pięć... osiem różnych snów. To pewnie więźniowie...” - W tym momencie przekaz od niego rozsypał się i został podjęty dopiero po chwili. - „Trafiłem na Nocnego Śpiewaka. On jest bliski obłędu! Chce umrzeć. Myśli, jak odgryźć sobie język!”

„To się pospieszmy.”

Ustaliliśmy, które okno należy do celi Nocnego Śpiewaka. Przeniknięcie przez mur było błahostką. Światło księżyca kładło się kanciastą plamą na wewnętrznej ścianie celi. Gdzie indziej panował mrok. Stalowy pozostawał ze mną w stałym kontakcie. Jednomyślnie, bez straty czasu, podnieśliśmy posłanie Śpiewaka i przenieśliśmy je tam, gdzie jaśniej. Wieczorna dawka Krwi Bohaterów jeszcze działała. Chłopiec wyprężył się, gdy tylko oblała go księżycowa poświata. Nawet to łagodne światło nocnego wędrowca sprawiało cierpienie

przewrażliwionym żrenicom.

„Stalowy, spróbuj do niego jakoś dotrzeć. Wytlumacz, że to my i że musi połknąć to, co mu damy.”

Stalowy po chwili potrząsnął bezradnie głową.

„Nie wiem, czy zrozumiał. Błaga tylko, żeby go więcej nie dręczyć.”

„Trudno, musimy.”

Miałem już przygotowane naczynie z Białym Wężem. Uważnie nabrałem do szklanej „słomki” sporą dawkę płynu.

„Otwórzcie mu usta. I przytrzymajcie. Nie mogę go skaleczyć.”

„Na razie tylko jęczy. Będzie wrzeszczał, a wtedy sprowadzi nam na kark strażników.”

„Tym gorzej dla nich” - odparłem złowrogo, unosząc szkło ze śmiertelną trucizną.

Nocny Śpiewak milczał. Dwie pary rąk usiłujące rozewrzeć mu szczęki przyprawiły go o taką mękę, że jego gardło zacisnęło się w spazmie i nie był w stanie nie tylko krzyczeć, ale nawet oddychać. Stalowy zamykał Śpiewakowi usta, licząc upływające sekundy. Ja masowałem mu gardło, licząc, że połknie jednak zbawczą mieszankę. Nocny Śpiewak krztusił się i wił, usiłując uwolnić. Zrozumiałem w pełni, czemu służyły więzy. W końcu ciało chłopca zwiotczało. Puściliśmy go. Sprawdziłem, czy nadal oddycha. Nabierał powietrza ciężko, jakby wzdychał, lecz regularnie. Udało się. Po czterech dniach i nocach nieustannego czuwania, wyczerpany walką z ogłuszającym hałasem, oślepiającym światłem i nieznośnym szarpaniem przez obce, okrutne ręce, Nocny Śpiewak nareszcie zasnął.

Dopiero wtedy zauważyłem, że jestem spocony, jakby ktoś oblał mi głowę i plecy wodą. Schowałem słoiczek z Białym Wężem z powrotem do szarfy. Zastanowiłem się, co zrobić z miarką. Po chwili wahania położyłem ją na wystającej belce nad drzwiami. Przecieliśmy więzy na rękach Nocnego Śpiewaka, owinęliśmy go kocem. Rankiem zdumiony zarządca więzienia znajdzie tylko pustą pryczę i parę strzępów płótna. Drzwi nadal zamknięte na klucz, nie naruszone kraty w oknie i ściany. A my będziemy już daleko.

Pojawiliśmy się u Promienia dokładnie pośrodku kręgu wyznaczonego przez leżący na podłodze sznur. Ledwo zdążyłem ochłonąć po przykrym doznaniu towarzyszącym „przerzutowi”, a już ktoś odepchnął mnie na bok bez żadnych ceremonii. Jakaś dziewczyna uklękła przy Nocnym Śpiewaku, delikatnie wzięła jego twarz w obie dłonie. Gładziła wilgotne kosmyki na czole śpiącego.

Dziewczyna miała na sobie męską koszulę, spodnie i wysokie buty, jakby szykowała się do podróży. Na głowie zamotała chustkę, a spod niej wyglądał gruby, czarny warkocz. Przykucnąłem i zjrzałem jej w twarz. Nie zdziwiłem się, rozpoznając „kwiatek” z okna Ogródka, choć nie miała już żółtej wstążki na czole ani wymalowanych oczu. To była ta sama główka, którą przedtem widziałem w łóżku Nocnego Śpiewaka i całkiem niedawno dostrzegłem wśród dziewcząt z domu uciech.

„To Srebrzanka” - wyjaśnił Koniec, rozkładając bezradnie ręce. - „Idzie z nami.”

„Tak po prostu?”

„Przyszła zaraz po waszym odejściu i już nie dała się wyrzucić. To dziewczyna Nocnego Śpiewaka.”

„Widzę. Jedna ze stu pięćdziesięciu. Koniec, na Miłosierdzie, czy naprawdę nie byliście w stanie poradzić sobie z jedną dziewczuchą?”

„Sam spróbuj, bohaterze! Mało mi oczu nie wydrapała.” „Ciekawe, co na to powie Śpiewak, gdy już się ocknie.” „Nie będzie miał nic do gadania” - odparł Mówca z pełnym przekonaniem.

Oddałem Wężownikowi klucz należący do Grzywy. Położył go na dłoni, przez parę chwil wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, poruszając wargami. Kalkulował parametry przerzutu. Następnie klucz zniknął z jego dłoni, jakby nigdy tam nie leżał.

„Umieścił go na podłodze w sypialni, trzy kroki od okna. Tam powinna być wolna przestrzeń. Grzywa pomyśli, że go upuścił” - zameldował Stalowy. - „A zresztą niech myśli, co chce.”

Niebawem miało zacząć świtać. Czas był najwyższy, by znaleźć się na miejscu umówionym z Promieniem i Gryfem - najdalszym krańcu cypla wyspy, na której rozsiadł się Zamek Magów. Rzeka była tam jeszcze dość głęboka, by statek zbliżył się do brzegu. Na pokład mieliśmy dotrzeć łodzią.

Wężownik pierwszy stanął w kręgu ze sznura, ze swym tobołkiem na ramieniu. Uśmiechnął się, unióśł palce w geście przywołania dobrego losu i „skoczył”. Na miejscu, gdzie stał przed chwilą, postawiliśmy dwa pierwsze kufry. Przejęty Myszka wodził nosem po karcie z opisanymi koordynatami. Dał nam znak, byśmy cofnęli się, i obie skrzynie powędrowały w ślad za Wężownikiem. Myszka skinął na Diamenta. Ten stanął w kole, obejmując kurczowo torbę podróżną i zamknął oczy, a Myszka posłał go Wędrowcowi do pomocy. Liczyłem w duchu: jeden... dwa... trzy... chłopcy odstawiają kufry na bok... cztery... pięć... dwa następne stają na rampie u nas... sześć... siedem... teraz Myszka. I od nowa.

Srebrzanka czuwająca nad Nocnym Śpiewakiem obserwowała nasze działania. Z

drugiej strony wodziły za nami żółte ślepie Miętówki. Kładła płasko uszy i marszczyła pysk, zaniepokojona nieobecnością Promienia oraz niezwykłym ruchem w jego komnacie.

Wreszcie przyszała kolej i na nas. Stanęliśmy ciasno, jedno obok drugiego, z Nocnym Śpiewakiem u stóp. Każdy z torbą lub zawiniątkiem, jak włóczędzy. Z nie dopiętej torby Winograda wysuwały się szczurze pyszczki. Rozejrzałem się, czy nie zapomnieliśmy niczego. W sumie Zamek nie był takim złym miejscem. Wynosiłem stąd również miłe wspomnienia. Tyle wspólnych zabaw i gier. Wypraw do rojnego miasta. Pozostawiałem tu tylu dobrych kolegów, Kowala, Wiatr Na Szczycie.

Poczułem, jak w moją dłoń wsuwa się czyjaś ręka, chłodna z lęku. Spojrzałem prosto w ciemne oczy Srebrzanki. Posłałem jej uśmiech pełen otuchy. A już w następnej chwili świat przestał istnieć. Serce uderzyło w piersi, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz. Przez ciało przebiegł przykry wstrząs, gdy stopy opadły sztywno na twardą ziemię. Owiało nas chłodniejsze powietrze znad rzeki. Nozdrza wypełnił zapach wody, mułu i szuwarów. Oczekiwali nas Diament i Wężownik, siedząc na kufrach z księgami jak dwa smoki pilnujące skarbów.

Nie jestem w stanie napisać następnego fragmentu. Zaczynałem już dwukrotnie i za każdym razem darłem brudnopis. Ilekroć myślę o wydarzeniach na cyplu, czuję głęboki wstyd i straszliwe pomieszanie uczuć. Postanowiłem przekazać pióro Końcowi, który był naocznym świadkiem, a ma z pewnością większy dystans do całej sprawy.

Kamyk zwałił na mnie to trudne zadanie, ale może rzeczywiście ma rację i ja lepiej się z niego wywiążę. Obserwowałem wszystko z boku i mam w pamięci nie tylko obrazy, a także to, co zostało powiedziane... i pomyślane.

Czekaliśmy niecierpliwie na statek z portu. Świtało powoli i znad wody podnosiła się poranna mgła, jak to na wiosnę. Kamyk krążył dookoła, wypatrując to statku na wodzie, to znów czegoś na brzegu. Stawiał miękko stopy, bezwiednie omijając gałązki i kępy zeschłej trzciny.

- Jakim cudem on tak cicho chodzi, skoro sam siebie nie słyszy? - zdziwił się Stalowy półgłosem, wodząc za nim oczami.

- Nie mam pojada - przyznałem szczerze. - On w ogóle jest dość dziwny. Może to z tego powodu, że tyle czasu żył wśród smoków¹?

Kamyk podszedł wprost do nas. W powietrzu przed nim rozwinął się ciąg znaków i obrócił, byśmy mogli go odczytać. Kiedyś czułem się nieswojo, gdy rozmawiał ze mną w ten sposób, ale dawno już do tego przywykłem.

„Widzę maszty. I coś majaczy pod samym murem. Koniec, proszę, sięgnij w tamtą stronę. Mam niedobre przeczucia.”

Przeczucia Kamyka były powszechnie znane. Intuicję miał piekielną, choć oczywiście nie objawiała się na sposób właściwy Przewodnikom Snów. Po prostu zauważyliśmy, że często Kamyk pojawia się na właściwym miejscu o właściwym czasie. Odruchowo unikał osób, które dopiero później miały okazać się niegodne zaufania, natomiast Ignął do ludzi, którzy z pozoru byli niebezpieczni albo niewiele warci. Tak było z Nocnym Śpiewakiem. Z tym ordynarnym dzikusiem Wiatrem Na Szczycie, który potrafił przeklinać jak pijany woziwoda. Myszka, uważany przez wszystkich za mazgaja i niedojdę, przy Kamyku rozkwitł

I zmężniał, okazując się całkiem sensownym dzieciakiem. A Promień? Gdy Kamyk przybył do Zamku, wszyscy spodziewali się ciężkiego mordobicia między tymi dwoma. A teraz to cyniczne ksiąźtko wykonuje polecenia Smoczego Jeźdźca.

Nie wspominam już sprawy starej biblioteki. Co takiego w nim tkwi?

Wtedy, na brzegu rzeki, także bez szemrania wykonałem jego prośbę-rozkaz, jak posłuszny żołnierz. Pod murem szedł oddział straży. Co więcej, szukali właśnie nas.

Dużo później okazać się miało, że zdrada nadeszła z najmniej oczekiwanej strony. Grzywa spał smacznie we własnym łóżku, nieświadomy, że ktoś dobrał się do jego szafki. Tak samo jak zarządca więzienia, do którego jeszcze nie dotarło, że ma o jednego więźnia mniej.

Przyczyną nieszczęścia stała się zlekceważona Miętówka. Zostawiliśmy ją samą w komnacie Promienia. Pantera, zdenerwowana nieobecnością podopiecznego, podniosła alarm, drapiąc drzwi i miaucząc przeraźliwie. W ten sposób nad ranem obudziła wszystkich na galerii. „Połówki” próbowały spać, przeklinając kocicę i zasłaniając uszy podgłówkami. Natomiast Kowal, który miał kwaterę tuż obok, zaniepokoił się i postanowił zejść ze swego piętra, by sprawdzić, co dzieje się u jego uczniów. Wypuścił szalejącą z niepokoju panterę, która natychmiast popędziła do swego pana - Wiatru Na Szczycie. Kowal odkrył nieobecność Promienia i brak niektórych sprzętów w jego komnacie, oraz krąg ze sznura. Tknięty niedobrym przeczuciem zajrzał do Myszk i Winograda, zastając jedynie równo zaścielone posłania, nie używane tej nocy. To samo było w kilku innych kwaterach. Wypytywani chłopcy, których koledzy i współmieszkańcy zniknęli jak dym, powtarzali to samo: nie wiedzą nic.

Natomiast sondowanie ich myśli dało niejasne wieści: Nocny Śpiewak, ucieczka, Smocze Wyspy. Nic więcej, lecz i tak było wiadomo, że dziesięciu smarkaczy sprowadziło sobie na głowy nieliczne kłopoty. To tłumaczyło, dlaczego chłopcy ostatnio byli rozkojarzeni i opuszczali lekcje. Przerażony Kowal zawiadomił straż nadbrzeżną na wyspie, postawił na nogi patrole na obu brzegach Enite i zbudził dwóch znajomych Mówców, rezydujących w samym mieście. Zgnębiony, prosił jedynie, by schwytanych uciekinierów potraktowano łagodnie, bo „to przecież tylko dzieci”. Ale w głębi duszy sam w to nie wierzył. Zawiedziono jego zaufanie. Czuł się oszukany, co wyznał w przypiływie szczerości Mistrzowi Iluzji, który przybiegł, przeczuwając nieszczęście, gdy poderwał go ze snu rozdrażniony miaukot pantery.

- Włóż porządne buty i chodźmy szukać tych poszukiwaczy przygód - zaproponował Wiatr Na Szczycie. - Nie zostawiałbym tego wyłącznie straży. Uczylem Kamyka, jak posługiwać się mieczem. Może polać się krew. Przeczysz okolice tym swoim talentem, zgarnijmy ich, zanim zrobią to strażnicy. A potem będziemy się martwić, co zrobić, by cała sprawa skończyła się jedynie garbowaniem skóry.

Patrol zbliżał się. Widzieliśmy nad wierzchołkami zarośli końce włóczni. Strażnicy szli powoli, lecz maszty oczekiwanego statku, który nadpływał z drugiej strony, poruszały się równie wolno.

Na twarz Kamyka wypłynął wyraz wścieklej determinacji. Chwycił swój miecz i, pochylony, dał nura w chaszczę.

- Matko Świata! Czy on ma zamiar walczyć?! - jęknął ktoś, chyba Diament.

- Dlaczego nie? - warknął Stalowy i wyciągnął nóż zza cholewki.

- Czekajcie, jak długo możecie - powiedziałem do niego. - Jak tamci się zbliżą, niech Myszka spróbuje was przerzucić.

- W ciemno? - spytał Myszka niepewnie.

- Poradzisz sobie - odpowiedziałem głosem tak pewnym, na jaki tylko potrafiłem się zdobyć. A potem pobiegłem w ślad za Kamykiem, w stronę, z której zaczęły właśnie dobiegać niewyraźne głosy i szczęk metalu o metal.

Nie jestem bardzo odważny. Daleko mi było do tej szaleńczej śmiałości naszego dowódcy, który rzucił się w pojedynkę na uzbrojonych żołnierzy. Ostatnie kroki przebyłem na kolanach, pełznąć między kępami dzikich wiśni i błyszczyka. Rozgarnąłem ostrożnie gałęzie i zobaczyłem, jak Kamyk bije się z pięcioma strażnikami naraz. Zupełnie dobrze sobie radził, nawet jeśli wiedziasto się, że tamci mężczyźni walczą poniżej swoich możliwości, chcąc wziąć

go żywcem. Nie myślałem, że potrafi poruszać się tak szybko. Blokował kolejne uderzenia, uskakiwał przed innymi, zadawał własne. Słysząc było, jak walczą dyszą z wysiłku. Padły przekleństwa i groźby. Kamyk, otoczony luźnym kręgiem, zwił się jak demon.

Tak bardzo pragnąłem mu wtedy pomóc, lecz cóż, pozbawiony broni, a do tego nieruchawy jak chrząszcz, mogłem jedynie patrzeć, czając się tchórzliwie wśród zieleni.

Żołnierze, coraz bardziej zagniewani, natarli gwałtowniej i wtedy cios obliczony prawdopodobnie na to, by wytrącić chłopakowi miecz, lub tylko lekko go zranić, trafił w odsłonięte ciało. Klinga strażnika otworzyła straszliwą ranę tuż pod żebrami. Kamyk zachwiał się. Usłyszałem słaby okrzyk bólu, jakby zabrakło mu oddechu. Z twarzą skrzywioną cierpieniem, przyciskając łokieć do zranionego boku, upuścił miecz i padł na zrytą obcasami ziemię.

Nie wrzasnąłem wtedy tylko dlatego, że przerażenie całkiem odebrało mi głos.

Mężczyźni stłoczyli się nad Kamykiem.

- Coś ty zrobił!? Zabieś chłopaka! - usłyszałem głos któregoś z nich. - Głupcze! Cholera, nie przyszliśmy tu, by mordować dzieciaki!

- Może jeszcze żyje?...

- Jakby żył, to by jeszcze dychał, świński zadzie! Powieszają nas wszystkich!

Wtłoczyłem pięść do ust. Łzy błyskawicznie wezbrały we mnie i przelały się potokiem. Kulilem się w tych krzakach, dusząc od tłumionego płaczu. Myślałem, że serce mi pęknie. Dlaczego to musiał być właśnie Kamyk? Dlaczego nie ten cholerny Promień albo ta łajza Diament - przepowiadacz pogody? Żal podsuwał mi myśli niegodne i podłe. Tak bardzo lubiłem tego chłopaka. Od pierwszej chwili, gdy skromnie wsunął się do sali lekcyjnej, nie mając pojęcia, że jest dla nas bohaterem i wzorem. I potem także, gdy dzielił z nami niedole życia pod jarzmem Gladiatora, gdy narażał się dla Myszki, kiedy tłumaczył mi biologię albo grał w piłkę „na śrubie”... Nigdy już nie stanie pośrodku pola, wysoki niczym maszt, przygotowując się do podania dla miotaczy.

Wbijalem zęby w kostki palców, by nie wyć z poczucia krzywdy i straty.

Usłyszałem za to, jak wyje ktoś inny. Męski głos wzniósł się w krzyku pełnym straszliwej skargi. Otarłem czym prędzej oczy. Przez zasłonę liści zobaczyłem, jak strażnicy rozstępują się i cofają pospiesznie, a tuż koło nich szamocą się ze sobą dwaj mężczyźni - w jednym rozpoznałem od razu hajgońskiego Tkacza Iluzji, od tyłu oplatał go ramionami Kowal.

- Idźcie stąd! - usłyszałem gniewny rozkaz Mówcy. -

Zanim ktoś tu jeszcze zginie! Schwytajcie tamtych, i, na wieczny Krąg, bez ofiar!

Odeszli w pośpiechu, chcąc uniknąć zemsty Wiatru Na Szczycie. Mistrz Iluzji padł na kolana przy nieruchomym ciele Kamyka, przyciskając pięści do skroni.

- Bogowie... Rozplatał go prawie na pół. To był taki zdolny chłopak. Co za potworna strata - rzekł Kowal cicho, stojąc z opuszczoną głową.

- Strata? Tylko tyle? - spytał Wiatr Na Szczycie zdławionym głosem. - Kowal, on był twoim uczniem.

- I tylko uczniem. A kim jeszcze był dla ciebie, skoro tak rozpaczasz?

Wiatr Na Szczycie położył rękę na czole martwego chłopca niespodziewanie czułym gestem.

- Gwiazdą. Gwiazdy się kocha, Kowal. Patrzy na nie. I nigdy nie zdobywa. Dlaczego wy, Lengorchianie, myślicie, że istnieje tylko jedna, właściwa i odpowiednia miłość? Czemu wszystko prowadzacie do jednego?

Głos mu drżał.

- Idź stąd, Mówco, bo mam zamiar go oplakiwać i chcę być przy tym sam.

Kowal odszedł, podążając śladami straży.

Patrzyłem na tę scenę, poruszony. Jak niewiele w sumie wiedziałem o tym Hajgu i jego uczuciach. Raptem czyjaś dłoń zacisnęła się na mojej twarzy. Wzdrygnąłem się, przestraszony. Spojrzałem w tył i... zamarłem. Za mną klęczał Kamyk! Zacisnąłem na moment powieki, lecz gdy je otworzyłem znowu, obraz nie zniknął. Mój przyjaciel był obok mnie, jak najbardziej żywy i namacalny. Spojrzałem powtórnie przez gałązki. Wiatr Na Szczycie właśnie nacinał nożem wierzch nadgarstka, klęcząc nad nieruchomym ciałem. Składał ofiarę z krwi.

Drugi Kamyk, ze ściągniętą wysiłkiem, pobladłą twarzą, skinął na mnie ręką, przynaglając. Podążyłem za nim przez zarośla, starając się nie trząść gałęziami. Zrozumiałem wszystko. To była mistrzowska iluzja, nie - nadmistrzowska. Nie było żadnej walki, żadnej śmierci. Straż potykała się z mirażem i miraż zabiła. Co też powie Wiatr Na Szczycie, gdy przekona się, że rozpaczal nad iluzją? Czy będzie wściekły, czując się jak głupiec, czy też złoży podziękowanie Losowi, iż jego „gwiazda” żyje?

Biegliśmy razem w stronę cypelka. Kamyk wciąż miał spojrzenie człowieka, który wszystko widzi podwójnie. Domyślałem się, że nadal podtrzymuje miraż własnego trupa. To dawało nam czas, zatrzymując „błękitnego” wojownika.

„Kamyk, jesteś potworem!” - stwierdziłem z gniewem, ochłonąwszy. - „Myślałem, że zginąłeś! Wiatr Na Szczycie rozpacza po tobie! Nie jesteś wart tych łez!”

Na jego twarzy wciąż malowało się napięcie. To było wręcz niesamowite. Jak on był w stanie kontrolować iluzję z takiej odległości, nie widząc jej i to z takim kunsztem, że oszukał

mistrza?

„Wolę być... żywym potworem... niż bardzo martwym człowiekiem... albo uwięziony... albo wychłostany za karę” - odpowiedział, dzieląc uwagę i poświęcając mi jej część.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie oczekiwała nas reszta. Ujrzeliśmy straszny obraz, choć oczekiwany w głębi ducha. (Łódź i strażnicy musieli dotrzeć tu prawie równocześnie. Na brzegu leżało pięć ciał w uniformach straży. Trzech wyglądało, jakby beczka prochu wybuchła im w twarz. Czwarty miał przecięte gardło. Z piątego została tylko dolna połowa, odcięta czysto od reszty. Obok skrzyń siedział na ziemi Kowal, a Diament owijał mu szarfą zranioną głowę.

Srebrzanka kulila się, przyciskając twarz do piersi nieprzytomnego Nocnego Śpiewaka. Bladozielonkawy Wężownik klepał po policzkach zemdlonego Myszkę. Stalowy z ponurą miną wycierał ostrze noża. Na burcie zarytej w piasku łodzi przysiadł Promień. Jedną ręką zakrywał oczy, drugą zwiesił bezsilnie, a Miętówka lizała go po palcach. Dwóch członków załogi rozglądało się ze zgrozą.

Kamyk klepnął mnie w ramię. Jego twarz straciła już wyraz skupienia.

„Źle się stało, ale mogło być jeszcze gorzej. W pierwszej kolejności załadujemy do szalupy Śpiewaka i Srebrzankę, Mysz i połowę pakunków. Reszta za drugim razem. Biermy się do roboty.”

Podszedłem jeszcze do Kowala, który przyglądał się temu wszystkiemu z goryczą.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem cicho. - Czy to ktoś z naszych?

- Nie. Potknąłem się i wyrznąłem czołem prosto w kant kufra. Co tutaj macie?

- Podręczniki - powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

Westchnął tylko i przyłożył dłoń do czoła.

W połowie załadunku spomiędzy krzaków błyszcząca wynurzył się Wiatr Na Szczycie. Nie biegł. Szedł spokojnym, równym krokiem. Zatrzymał się przy Kowalu.

- Jest znakomity - powiedział przez zęby. - Nie wiem, czy obdrzeć go ze skóry, czy oddać mu swoją szarfę. Zawiadomiłeś następny oddział?

- Nie, dopóki jest tutaj ten Książę Iskier. Powtórzy się rzeź. A jak sprowadzę tu innych magów, zacznie się regularna bitwa. Młodzi są bardzo zdecydowani. Przyszedłeś się pożegnać?

- Poniekąd tak. A przede wszystkim odebrać dług. Wiatr Na Szczycie podszedł do Kamyka. Stanęli naprzeciwko siebie. Zrobiło się cicho. Coś wisiało w powietrzu.

- Cieszę się, że żyjesz - powiedział Mistrz Iluzji bezbarwnym tonem, rozwijając jednocześnie szereg iluzyjnych znaków w powietrzu. I w tym samym momencie, szybki jak

błyskawica, odwinął się i z całej siły trzasnął Kamyka w twarz otwartą dłonią, aż echo poszło po wodzie. Chłopak stracił równowagę i padł jak długi na trawę.

Jak bardzo zasłużyłem na ten policzek, najlepiej wiedzą Wiatr Na Szczycie i bogini Matka Świata, która pewnie z aprobatą przyglądała się całemu zdarzeniu.

Jednak wtedy nie czułem skruchy, tylko gniew, że potraktowano mnie w ten sposób przy „moich” ludziach. Wiatr Na Szczycie poderwał mój autorytet. Nie mogłem bić się z nim (był silniejszy i bardziej doświadczony). Pozostało tylko wstać i ominąć Mistrza Iluzji z pogardą, jakby był powietrzem. I tak też zrobiłem - ja, głupi, niewdzięczny, arogancki szczeniak.

Dopiero w jakiś czas potem pocziwy Koniec oświecił mnie, jak wyglądało w pełni całe zdarzenie pod murem. Powtórzył wiernie treść słów, jakie padły między Kowalem i Wiatrem Na Szczycie. Hajg nigdy nie myślał o mnie jak o „zabaweczce”. Szanował mnie i kochał na swój sposób. Tymczasem ja potraktowałem go jak przedmiot, który można wykorzystać, a potem odrzucić, gdy jest już niepotrzebny.

„Podeptałeś mu serce” - dodał Koniec od siebie, a ja miałem ochotę zapaść się pod ziemię. - „Nie przypuszczałem, że możesz być taki bezwzględny.”

„Gwiazda”! Ładna ze mnie gwiazda. Wstyd bolał bardziej niż twarz po tamtym uderzeniu.

Kowal odwołał inne patrole. Bez przeszkód dostaliśmy się na pokład. Ze zdumieniem zobaczyłem, że Wiatr Na Szczycie pomaga przy załadunku, a potem wsiada do łodzi razem z innymi. Jednak wciąż byłem wściekły i postanowiłem go zignorować. Dałem tylko dyskretny znak Stalowemu, wskazując oczami na Hajga.

„Powiedział, że ma dość Lengorchii. I dość Zamku. Chce się uwolnić od wygód, zanim całkiem zmięknie. Ciągnie go na wyspy, bo tam jest dzicz” - wyjaśnił Stworzyciel.

Kapitan nie był zachwycony nadwyżką pasażerów, zwłaszcza, że doszła jeszcze Miętówka, która za nic w świecie nie chciała opuścić Promienia. Płynęła za łodzią, aż chłopcy zlitowali się i wciągnęli ją za kark do środka. Wszystkich dziwiła ta kocia miłość. Promienia trudno było lubić, a co dopiero kochać i to do tego stopnia.

A już o atak furii przyprawiła szypra wiadomość, gdzie właściwie ma dostarczyć tę dziwną zbieraninę: wytatuowanego człowieka z mieczem na plecach, wyglądającego jak zbir,

gromadę smarkaczy, dziewczynę, dzikiego kota i dodatkowo „coś” przypominające małpę - pijaną chyba doszczętnie.

Szczurów Winograda na szczęście nie odkrył. Ugłaskał go dopiero pękaty woreczek otrzymany od Promienia i zapewnienie, że ma na pokładzie człowieka obłaskawiającego smoki (czyli mnie). Może i nie uwierzył w to do końca, ale swoje zrobiła też relacja o rzezi, jaka dokonała się na cyplu, przekazana mu przez nerwowego bosmana. Smarkacze nosili na biodrach błękitne szarfy nie tylko na pokaz. Możliwe, że bardziej należało się bać gniewu starszyny Kręgu Magów, ale my po prostu byliśmy bliżej.

Wkrótce wpłynęliśmy do ujścia rzeki, a stamtąd już na postawionych żaglach wydostaliśmy się na otwarte wody Oceanu Smoków. Umieściliśmy troskliwie skrzynie z księgami w kącie ładowni. Rozejrzeliśmy się po pomieszczeniach pod pokładem, zaferowanych przez kapitana. Było bardzo ciasno, lecz nikt nie narzekał. Zostawiliśmy swoje rzeczy i wyszliśmy z powrotem na górę, starając się jednak nie zawadzać załozde. Nocny Śpiewak spał nadal twardo, ułożony przy burcie od zawietrznej. Srebrzanka czuwała przy nim przez cały czas.

- Co to za stworzenie? - spytał jeden z żeglarzy. - Gryzie?

- Uważaj, człowieku - ostrzegł Gryf. - Mówisz o Stworzycielu i to jednym z najlepszych.

Mieliśmy sprzyjający wiatr. Pogoda była wspaniała. Świeciło ostre słońce, a na niebie pełzło zaledwie kilka jasnych, niewinnie puchatych obłoków. I to mnie niepokoiło. Nie dawałem wiary, że tak łatwo nam poszło. Cała potęga Kręgu tak po prostu machnęła ręką, pozwalając odejść trzeciej części przyszłych „błękitnych”? Nie podążał za nami żaden okręt. Nie próbował dostać się na nasz pokład żaden obcy Wędrowiec. To akurat mogłem zrozumieć - byliśmy w ruchu. Wciąż jednak łąziłem w tę i z powrotem od burty do burty, jak podrażniony kocur, wypatrując nie wiadomo czego. Co jakiś czas moczyłem chustkę w kubie z morską wodą i przykładałem do spuchniętego policzka, na którym odbiło się wszystkie pięć palców Wiatru Na Szczycie.

Podobne uczucia dzielił ze mną Diament, choć nie okazywał tego aż tak otwarcie. Minęło kilka godzin. Wreszcie powiedział o swoich niepokojach Końcowi, a Koniec przekazał je mnie.

„Diament wyczuwa nadejście sztormu. Poszedł z tym do kapitana.”

Szyper spojrział z góry na chudego piętnastolatka, który z ufnością powiadomił go o zbliżającej się burzy. Wokoło panowała piękna pogoda.

- Jak ci na imię, synu? - spytał łagodnie.

- Diament, ojczulku - odrzekł zapytany tym samym tonem.

- Jesteś żeglarzem, synku?

- Jestem Wiatromistrzem - odpowiedział „synek”, a w jego głosie pojawiły się złe nutki.

Zmarszczka między brwiami kapitana pogłębiła się.

- Dobrym? - miejsce kpiny w jego głosie zajęła nieufność.

- Jedynym na tej łajbie - powiedział Diament, urażony. - A gdybyś chciał mnie wynająć tam, w dokach, byłbym najdroższy. Wszyscy tu jesteśmy „błękitni”, człowieku.

- Jak silny będzie sztorm?

- Szóstka, może siódemka w skali. Cały jestem w „mrówkach”. Powietrze smakuje jak żelazo. Nadchodzi od lądu. Mamy jeszcze ze dwie godziny spokoju. Potem nas dogoni i... Losie, chroń niewinnych.

- Ja bym uwierzył - wtrącił się sternik. - Co szkodzi? Kapitan podjął decyzję. Jedyną słuszną.

- Trzymaj kurs - polecił, po czym zawołał do bosmana, wymieniając nazwy żagli:

- Ściągnąć „latawiec”! Skrócić „klingę”! Idziemy na „motylu”! Umocować ładunek!

Jakoż o wyznaczonym przez Diamenta czasie od strony kontynentu pojawiła się na horyzoncie chmura. Mała jak pięść, ale za to popielato-czarna. Zbliżała się szybko, puchnąc i rozpełzając na boki, niczym coś żywego. Obserwowaliśmy rosnący wał ciemnych chmurzysk w posępnych nastrojach. Diament nie powiedział kapitanowi tego, co zdradził nam - ta burza nie była naturalna. Ścigał nas gniew Kręgu.

„Nie chcieli robić przedstawienia przy świadkach. Za dużo statków kręci się po Enite i w ujściu” - podsunął mi gorzko Koniec. - „Popsuliby sobie opinię. A tak, załatwią to czysto i bez wyrzutów sumienia. Nikt się nie dowie.”

„Nie mogli nas zatrzymać, więc chcą zabić.”

„Diament mówi, że to szaleństwo. Chyba wszyscy Wiatromistrze w Zamku pracują nad tym sztormem. Rozchwieją klimat wybrzeża na długie dni. Dlaczego to robią? Czy jesteśmy aż tacy ważni?”

„Chyba jednak jesteśmy. Lekceważyli nas dotąd, a teraz przestraszyli się. Pewnie dowiedzieli się też o bibliotece. Drugi Krąg, rozumiesz, Koniec? Nie przyjęliśmy ich reguł. Chcemy własnych.”

„Rozumiem. Bez przywilejów dla wybranych i bez ograniczeń z powodu kaprysu. Nie

byłoby «błękitnych» i «czarnych». Studiowałbym historię, a nie politykę, tak jak oni chcieli.”

„To byłoby piękne. Ale by to stało się rzeczywistością, musimy przeżyć.”

Wiatr dął coraz silniej. Zwinięto resztę żagli. Przy sterze tkwili czujnie sternik i bosman. Zapędzono nas pod pokład, do mrocznych, dusznych kajut. Statek dzielnie wspinał się na kolejne fale, by za chwilę zwalić się ciężko w następną morską dolinę. Bardzo starałem się pokazać dobrą formę, lecz niestety, robiło mi się coraz bardziej niedobrze. Trudne, wręcz niemożliwe jest granie roli przywódcy, gdy żołądek uparcie podchodzi do gardła. Jedynym pocieszeniem mógł być tylko fakt, że nie mnie jednemu. Jedynymi, którzy dobrze znosili kołysanie byli: Nocny Śpiewak, który nadal odsypiał działanie narkotyku, Wężownik i, o dziwo, Myszka. Choć ten ostatni był tak przerażony, że zwinął się w kłębek na koi, zamknął oczy i zasłonił uszy rękami, by odgrodzić się od tego, co słyszeli inni - jękliwego trzeszczenia wręg pod naporem szalejącej kipieli.

„Kamyk, na Miłosierdzie, nie wymiotuj choć przez chwilę! Przenicujesz się!” - To był Koniec, sam wymęczony do ostatnich granic.

„To mają być te dramatyczne przygody na morzu?” - wtrącił się Stalowy. - „Zawsze bardzo lubiłem huśtawkę... ale bardzo... bardzo chciałbym już zejść!”

Ale zejść nie było można. Statek, miotany burzą, podskakiwał wściekle niczym narowisty koń. Rzucało nami od ściany do ściany, jak kamyczkami w puszcze. Trzymaliśmy się, czego się tylko dało. Koi, słupków podpierających pokład, listew na ścianach, siebie nawzajem... Przysięgałem sobie, że jeśli wyjdę z tego cało, nigdy już nie wsiądę na żaden statek. Nie postawię stopy na łódce, nawet jeśli woda byłaby równa jak stół, bez jednej falki.

W pewnej chwili Stalowy i Koniec poderwali głowy.

„Nie mamy już masztu...!” - przekazał Stworzyciel ze zgrozą.

W następnym momencie kadłubem targnął potworny wstrząs, jakby morska bestia rozrywała statek pazurami. Brzeg koi wyslizgnął mi się z rąk. Wszystko stanęło dęba. Podłoga uciekła spod nóg, wyrznąłem głową o powalę, a potem rąbnąłem całym ciężarem na deski, wraz z resztą podróżników. Przy czym co najmniej dwójka wylądowała na mnie.

Statek uniósł się jeszcze parokrotnie. Lecz coraz łagodniej, jak pozbawiona rozmachu chybotka. Coraz spokojniej, leniwie...

Trwaliśmy bez ruchu, niepewni, co właściwie się stało.

Jak potem twierdzili zgodnie wszyscy świadkowie, właśnie ten moment, pełen napięcia i oczekiwania, wybrał Nocny Śpiewak, by nareszcie wyjść z letargu. Niewiarygodne, ale (przywiązany do koi) przespał całą tę kotłowanąinę i zbudził go dopiero ten ostatni wstrząs.

- Przepraszam...? - spytał żałośnie i dziecinnie. - Czy ja umarłem? Czy to jest

piekło...? Wypuście mnie! Ja się poprawię!

Pierwszy parsknął śmiechem Stalowy, a potem dołączyła do niego reszta, łącznie ze mną, gdy Koniec przekazał mi, co zaszło.

Otworzyliśmy drzwi na wąski korytarzyk, a potem klapę prowadzącą na pokład. Wszędzie było wody po kostki, ale sztorm ustał. Na zewnątrz oślepiło nas słońce i przytłoczyło gorąco. Statek był w żalonym stanie. Złamany tylny maszt, podruzgotane barierki, zerwane reje i ożaglowanie w strzępach. Kolejno pojawiali się na pokładzie wyczerpani członkowie załogi i reszta naszej gromadki. Także Nocny Śpiewak, podtrzymywany przez Srebrzankę i Wężownika. Brakło tylko Wiatru Na Szczycie, lecz i on pojawił się wreszcie - nadal zielonkawy na twarzy.

Byliśmy tak zmordowani, że z początku nie dotarła do nas niezwykłość tej sytuacji. Położyłem się na pokładzie, pod gorącymi promieniami słońca, które wyciągały wilgoć z ubrania i powoli docierało do mnie okropne podejrzenie. Coś było nie tak. Burza była, raptem jej nie ma... Nawet gdyby to Wiatromistrzowie z Kręgu przerwali swe wysiłki, raz rozpetany sztorm trwałby dalej, napędzany siłą bezwładu. I gdzie my właściwie jesteśmy...? Zerwałem się nagle.

„Myszka...?!“

Myszka miał minę dzieciaka słusznie podejrzanego o kradzież słodczy.

- Myszek... Myszeńko, powiedz nam, coś ty właściwie zrobił? - zapytał Stalowy głosem słodko-kwaśnym, gdyż wpadło mu do głowy to samo, co mnie.

- Tttto tttak sssaaaammmo wyyszzłło - zapewnił Myszka, szczękając zębami, kuląc się pod groźnym wzrokiem starszych i większych kolegów. - Ttto nnie mmoja wwwwina...!

Wmieszal się kapitan i trzeba było mu wyjaśnić, co właściwie się stało. Małego Wędrowca zawiodły nerwy. Ryzykując życiem wszystkich obecnych, „przerzucił” cały statek na ślepo, kierując się wyłącznie instynktem. Cud, że w ogóle jesteśmy „gdziekolwiek”. I że żyjemy, nie rozmazawszy się w bezkresie pozaprzeźstrzeni. A w tej chwili możemy być dosłownie wszędzie, w każdym punkcie Zachodniego Oceanu, Morza Smoków, Morza Syren albo gdziekolwiek indziej.

- Przywiążę tego gówniarza za nogę do liny i przeciągnę pod kilem! - warknął kapitan.

- Nie waż się mnie dotknąć! - krzyknął Myszka przez łyż. - Świnie! Wszyscy byśmy się potopili, gdyby nie ja! Tacy z was przyjaciele?!“

- Ta Mysz... - zaczął Promień i nie skończył, bo mały Wędrowiec rzucił w niego szczątkiem relingu.

- Nie mów na mnie: „Ta Mysz”! - wrzasnął, purpurowy z gniewu i płaczu. - Ja mam

imię! Ty... ty... cacane książątko!

Promień cofnął się, chyba po raz pierwszy w życiu zapominając, do czego służy język. Myszka Jodłowy roztrącił stojących mu na drodze i schował się na powrót pod pokładem.

„Słońce spadło z nieba, ptaki latają tyłem” - skomentował zadziwiony Stalowy, który w pośpiechu przekazywał mi przebieg całej awantury. - „Pierwszy raz coś takiego widzę.”

Mieliśmy ważniejsze zajęcia niż zajmowanie się humorami Myszkki. Należało dokonać niezbędnych napraw, zająć się tymi, którzy ucierpieli w czasie burzy, uporządkować z grubsza pokład. Lecz wszyscy odczuwali wyrzuty sumienia. Prawdy nie można zmienić. Myszką, jako najmłodszym, pomiatano. Nic dziwnego, że w końcu miał tego dość. Dziwne było tylko, że wybuchnął po tak długim czasie.

Szyper z grubsza ustalił nasze położenie za pomocą busoli, a gdy zapadła noc, upewnił się, patrząc w gwiazdy. Nie było już żadnych wątpliwości: znajdowaliśmy się na Zachodnim Oceanie, za Smoczym Archipelagiem.

Wyciągnęliśmy nadąsanego Myszkę z dusznej kajuty, by oddać mu hołdy należne największemu Wędrowcowi wszech czasów. Dopiero wtedy, oszołomiony, i przestraszony i szczęśliwy jednocześnie, dowiedział się, czego właściwie dokonał.

- To ja mam aż taki zasięg...? - dziwił się, gdy chwaliliśmy go bez umiaru. - Chciałem tylko, żebyśmy byli gdzieś, gdzie jest spokojnie i ciepło...

- To ci nieźle wyszło - rzekł z uznaniem Wężownik. -Taki kawał drogi! Będziesz mógł „skakać” z Jaszczura na kontynent, na piwo.

- Chyba nie będę chciał - odparł Myszka, śmiejąc się. - Rwo i tak będzie wytwarzał Nocny Śpiewak.

Tak więc dopływaliliśmy do wybrzeży Jaszczura od całkiem innej strony, niż pierwotnie zamierzaliśmy. Statek brnął przez fale, niedożaglowany, gdyż tylny maszt pękł w połowie i galeota zachowywała się jak zraniony ptak o jednym tylko skrzydle. Niebawem pojawiły się pierwsze smoki, szybujące wysoko ponad nami. Zwykle okręwały nas kilkakrotnie i odlatywały, nie próbując nawiązać kontaktu. Obawialiśmy się, czy nie zaatakują, gdy tylko bardziej zbliżymy się do wyspy. Na wierzchołku masztu powiewał pęk błękitnych szarf, a Bestiar każdemu skrzydlatemu zwiadowcy starał się przekazać taki sam komunikat: „Bezbronni, niegroźni, potrzebujący pomocy, bardzo młodzi, szczenięta...” Najwyraźniej pomagało, gdyż czas mijał, a smoki, choć coraz bardziej zniżały lot, przyglądały się tylko ciekawie, nakrywając nas cieniami wielkich skrzydeł.

Aż nadszedł dzień, gdy okaleczony statek dobrnął do przybrzeżnych wód Jaszczura. Wyspa rysowała się przed nami w postaci grubego pasma zieleni. Prawdziwa radość dla oczu znużonych jednostajnym widokiem nieba i błękitnozielonej wody. Było to zwłaszcza ulgą dla Wiatru Na Szczycie. Góral z dziada pradziada, fatalnie czuł się na chybotliwym pokładzie. Wszyscy zdążyliśmy przywyknąć, a on nadal chorował przy co silniejszym wietrze. Sto razy zdążył przekląć swoją decyzję ucieczki z Lengorchii.

Na niebie rozsypały się podłużne plamki - znajome kształty smoków, którym odległość odbierała konkretne barwy i wyraźne kontury. Przyglądaliśmy się temu bez niepokoju. Nawet Myszka i najbardziej nerwowi członkowie załogi zdążyli przyzwyczać się do tego widoku. Smoki zbliżały się, tańcząc w powietrzu, kreśląc na niebie zawile pętle. Było to największe stado, jakie widzieliśmy do tej pory. Rozdzieliły się na dwie grupy, omijając galeotę po obu stronach. Gibkie ciała śmigały całkiem niedaleko - czarne, stalowosiwe, brązowe i rudawe, białe jak mleko... Przez ogromne skrzydła przeświecał blask słoneczny, barwiąc je na złocistoróżowo.

Nagle jeden ze smoków zawrócił ostro, prawie dotykając wody końcem skrzydła. Zaniepokojeni ludzie zgromadzili się koło masztu, pod wątlą osłoną żagla. Pozostałem jako jedyny na rufie. Smok był biały. Serce waliło mi jak oszalałe w radosnym przeczuciu. Zaciskałem pięści aż do bólu i myślałem, nie mogąc, nie śmiejąc dokończyć: „Żeby to był... żeby to był...”

I był. Wylądował niepewnie, drapiąc pazurami deski pokładu i machając skrzydłami. Szeroko otwierał szkarłatne oczy, drgały mu wrażliwe nozdrza.

„Kamyk.”

„Pożeracz Chmur.”

Tylko tyle. Nie trzeba było więcej. Zatopieni w pełnym kontakcie, przestaliśmy zauważać resztę świata. Objąłem wielką smoczą głowę, a Pożeracz Chmur otoczył mnie łapami. Od dawna nie czułem się tak szczęśliwy, spokojny i absolutnie bezpieczny. Wróciłem do domu.

I na tym mógłbym zakończyć. Na tej scenie, pięknej i w dużej mierze patetycznej. Ale to byłoby szachrajstwo. Życie wciąż się toczy dalej.

Na przykład siedzę w tej chwili w miłym, cieniastym zakątku na terytorium Skaczącej Gwiazdy. Na kolanach mam kawałek deski, na desce rozłożony pamiętnik. A pisać mogę tylko dlatego, że dwa dni temu zwichnąłem nogę w kostce i zostałem zwolniony z ciężkich

robót w starym mieście. Tyle z tego pożytku, że nareszcie mogę uporządkować i zapisać to wszystko, co zdarzyło się od tamtej pamiętnej wiosny.

Drugi Krąg wznosi sobie siedzibę, podnosząc z ruin dawne miasto magów.

Nocny Śpiewak jest szczęśliwy, jak nigdy dotąd. Pracuje najciężej z nas wszystkich, odtwarzając każdy szczegół, przywracając do dawnej świetności każdą rzeźbę, gzyms czy arkadę. Tam, gdzie nie da się już rozpoznać dawnego wyglądu konstrukcji, wyobraźnia zdolnego architekta tworzy nowe dzieła. Odnalazł w tym samego siebie, a to, co już powstało, ma w sobie zaklętą część jego duszy. Nowej duszy, a może dawnej, tej, która przez całe lata drzemała, przytłoczona przez złe nawyki, zamknięta w pancerzu z drwin, wątpliwości i samotności? Bo Nocny Śpiewak zmienił się od chwili, gdy przeszedł piekło Krwi Bohaterów. Spoważniał, złagodniał, posmutniał jakby. Mniej mówi, nie kpi już ze wszystkiego, a w każdym razie rzadziej to czyni. Czy to zmiana na gorsze, czy lepsze? Nie mam pewności.

Srebrzanka dba o niego. Pilnuje, by jadł porządne posiłki i nie zabijał się zbyt długim przetwarzaniem materii. Męczył się w upale, więc ostrzygła go króciutko i teraz wygląda bardzo szczupło i wytwornie. Za to Srebrzanka okrągłeje z dnia na dzień, jak dojrzewający owoc. Doświadczona matka - Księżycowy Kwiat zajmuje się dziewczyną. Szyją razem malutkie koszulki i obrębiają pieluchy. A przy tym plotkują całymi godzinami. Jakkolwiek by liczyć, ziarno zostało zasiane jeszcze w Zamku. Nie ma więc żadnej pewności, że to Śpiewak jest ojcem. Lecz nikogo to nie obchodzi, a już najmniej jego samego. Patrzy w swoją dziewczynę jak w tęczę, a życzy sobie tylko jednego - żeby dziecko było jak najbardziej podobne do matki. „Kiedy wreszcie się z nią ożenisz?” - pytam go czasem. Uśmiecha się zwykle i odpowiada: „Kiedy skończę dla niej dom.”

Na razie wykończone są trzy niewielkie budynki, akurat tyle, byśmy pomieścili się wszyscy na czas pory deszczowej. A Śpiewak marzy o pojedynczej przestronnej siedzibie, tylko dla swojej rodziny.

Dzieciarnia Słonego wyrosła podczas mej nieobecności. Przestał też być ściśle strzeżoną tajemnicą fakt, że Żywe Srebro ma talent Strażnika Słów, a mały Tygrysek to Bestiar. Nikt nie powróci na kontynent, by zdradzić ten sekret i Krąg nie upomni się o dzieci Mówcy. Swoją drogą, to niesamowite nagromadzenie talentów w jednej rodzinie.

Jagoda krąży, dezorientowana, między tyloma chłopcami do wyboru. Wyładniała bardzo, tak jak się spodziewałem, i niejeden chciałby zerwać ten egzotyczny, jasnowłosy kwiatek. Gryf, Stalowy, Wężownik, a nawet Promień wodzą za nią wzrokiem. Wystarczy jednak, by pojawił się Pożeracz Chmur, miny im rzedną. Porzucił smoczą postać. Znów mam okazję obserwować własną kopię, jak waruje, pilnując Jagody przed zakusami natrętów.

Dziwaczne zjawisko, lecz można przywyknąć. Zwłaszcza, że w okolicy często widuje się razem czterech mężczyzn, wysokich i mocno zbudowanych, jak wieże. Jedna para to Słony i Nurek, a druga - Wiatr Na Szczycie i Deszczowy

Przybysz. Smoki można odróżnić wyłącznie po braku tatuaży.

Ci ostatni zajrzeli do mnie niedawno.

„Jak idzie ci pisanie? I jak tam kostka?” - spytał Hajg z pasami na twarzy i rozwinął warstwę płótna okrywającą okład. Hajg bez pasów stał obok i z sympatią poruszał uszami.

„Opuchlizna schodzi. Jutro chyba wstaniesz, «Gwiazdo»?”

Ostatnio często tak do mnie się zwraca. Zdobyłem się na to, by podejść do niego i prosić o wybaczenie. Dobrze zrobiłem. Tak należało, choć Los świadkiem, że sporo to mnie kosztowało. Długo „rozmawialiśmy”, siedząc pod klifem wydrzaków. Wiele zostało wyjaśnione, przebaczone i pущzone w niepamięć. Dowiedziałem się, co znaczy dokładnie wśród hajgońskich klanów określenie „gwiazda”. Skrzywdziłem Wiatr Na Szczycie wstrętnymi podejrzeniami. „Gwiazda” tak ma się do „zabaweczki”, jak syn do domowego psa. „Gwiazda” to chłopiec oddany pod opiekę starszego wojownika, zwanego „wilkiem”, który dba o jego wychowanie i uczy wszystkiego, co uzna za potrzebne. Tacy ludzie są bardzo ze sobą związani. Silniej, niż zwyczajny uczeń i nauczyciel. Wspierają się wzajemnie. Nierzadko walczą ramię w ramię. „Gwiazdy” nadają często synom imiona swoich nauczycieli, nie jest też wyjątkiem, że sami z kolei stają się „wilkami” dla młodszych dzieci własnych wychowawców.

„Czy «gwiazdy» spiąją z «wilkami»?” - spytałem wtedy wprost, czerwieniąc się okropnie i czując jak głupiec.

Wiatr Na Szczycie nie wyśmiał mnie. Na twarzy miał wyraz absolutnej powagi.

„To się zdarza. Nie mogę zaprzeczyć. Ale nie jest to regułą ani obowiązkiem, ani przymusem. Przede wszystkim liczy się zaufanie.”

„Tak jak ja i Pożeracz Chmur?”

„Bardzo podobnie.”

No i jestem „gwiazdą” dla Wiatru Na Szczycie. Razem łazimy po zboczach wulkanu, polujemy, tarbierńy kolejne drewniane miecze podczas ćwiczeń, gdy zbieram sińce, połajanki i pochwały. Tych ostatnich jest coraz więcej. Staram się. Kto wie, czy nie trzeba będzie wzięć do ręki prawdziwego miecza? Długi cień tamtego Kręgu może nas ogarnąć każdego dnia. Kiedyś pewnie dotrze do nich wiadomość, że nasz statek nie zatonął na wodach Zatoki Cesarskiej. Boję się tego. Czasami nawet bardzo.

Ale nie teraz, nie w tej chwili. Zmęczeni budowniczy wracają na wieczorny

posilek. Jest z nimi Pożeracz Chmur. Kiwa do mnie z daleka i zaczynam słyszeć, jak Gryf nuci przyjemnym, niskim głosem, tak wyraźnie, jakby był tuż obok:

*Złapała mnie w sidła swych rzes,
Zagrodziła drogę łzami,
Już nie odejdę stąd,
Już nie uwolnię się,
Jej warkoczem oplatany.*

To stara piosenka miłosna. Opowiada o dziewczynie, a mnie wydaje się, jakby Gryf śpiewał o naszej wyspie. Bo i ona nas wszystkich właśnie tak usidliła. Nie odejdziemy stąd, nie uwolnimy się od jej urody i nawet tego nie chcemy.

Nadchodzą moi przyjaciele. Jest gorąco. Pościągali tuniki, ocierają spocone czoła i karki. Na ich piersiach widnieją jednakowe symbole - znak talentu i krąg. Na dole czarny, a na górze wypełniony zielenią.